

BESTSELLER „USA TODAY”  
BESTSELLEROWY PISARZ „NEW YORK TIMESA”

# Crashed

Tom III trylogii *Driven*

W zderzeniu  
z miłością

K. Bromberg

septem  
septem.pl

**K. Bromberg**

**Crashed**

**W zderzeniu z  
miłością**



## **Dedykacja**

### **Mamie i Tacie**

*Dziękuję, że nauczyliście mnie, iż w życiu nie chodzi o to,  
żeby przetrwać sztorm, lecz o to, żeby umieć tańczyć w deszczu.*

*A ja w końcu tańczę...*

# Prolog

## Colton

*Stuk. Stuk. Stuk.*

Rezonujący w głowie ból pulsuje w rytm atakujących uszy uderzeń.

*Stuk. Stuk. Stuk.*

Jest tak głośno od bzyczącego białego szumu, lecz mimo to panuje ogłuszająca cisza. Poza tym pieprzonym stukaniem.

Co to, do diabła, jest?

Czemu czuję przejmujące zimno, skoro jest tak cholernie gorąco, że widzę, jak ciepło faluje z asfaltu?

*Ja pierdołę!*

Coś po prawej przykuwa moją uwagę. Sprasowany metal, rozerwane opony, poszycia rozprute w strzępy. Nie mogę oderwać wzroku. Becks mnie zabije za rozpieprzenie samochodu. Rozerwie mnie na strzępy jak samochód, którego kawałki walają się po całym torze. Co się, do cholery, stało?

U podstaw kręgosłupa tańczy dreszcz niepokoju.

Serce mi przyspiesza.

Na obrzeżach świadomości migocze uczucie zagubienia. Zamykam oczy, próbując wyrzucić z głowy pulsowanie, które nagle zaczyna wybijać rytm moim myślom. Myślom, które nie do końca potrafię uchwycić. Przesypują się przez mój umysł jak piasek przez palce.

*Stuk. Stuk. Stuk.*

Otwieram oczy, żeby zlokalizować ten cholerny dźwięk, który intensyfikuje mój ból...

*Zakopywać ból pod przyjemnością...*

Te słowa szumią mi w mózgu. Potrząsam głową, próbując zrozumieć, co się dzieje, i wtedy zauważam *jego*: ciemne włosy proszące się o fryzjera, małe rączki trzymające plastikowy helikopter, plaster ze Spider-Manem na palcu wskazującym, którym obraca wirnik.

*Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

— *Stuk. Stuk. Stuk* — mówi bardzo łagodnym głosem.

To dlaczego jest to tak ogłuszające? Patrzy na mnie przez gęste rzęsy swoimi wielkimi zielonymi oczami, które emanują niewinnością. Gdy spotykają się nasze spojrzenia, przestaje obracać wirnikiem, przechyla głowę i wnikliwie mnie obserwuje.

— Cześć — mówię, bo w przestrzeni między nami rezonuje ogłuszająca cisza.

Coś jest nie tak.

Coś jest cholernie nie w porządku.

Wraca niepokój.

W głowie mam przebłyski czegoś nieznanego.

Dusi mnie niepewność.

Jego zielone oczy mnie pochłaniają.

Niepokój znika, gdy w kącikach lekko ubrudzonych ust chłopca pojawia się uśmiech, który sprawia, że na jego policzku pojawia się dołek.

— Nie wolno mi rozmawiać z nieznanymi — odpowiada i wyprostowuje się nieco, starając się zachowywać jak duży chłopak, którym chciałby być.

— To dobra zasada. Mama cię tego nauczyła?

*Dlaczego on wydaje się taki znajomy?*

Wzrusza nonszalancko ramionami. Taksuje mnie starannie spojrzeniem, po czym wraca do moich oczu. Zerka na coś za moim ramieniem, ale z jakiegoś pieprzonego powodu nie potrafię oderwać od niego wzroku. Nie chodzi o to, że jest najbardziej uroczym dzieciakiem, jakiego widziałem... Nie, to raczej jakby miał na mnie jakiś magnetyczny wpływ, którego nie potrafię pokonać.

Na jego czole pojawia się mała zmarszczka, gdy spogląda w dół i skubie kolejny plaster z superbohaterem, który ledwo przykrywa duże zadrapanie kolana.

*Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

*Zamknijcie się!* — chciałbym krzyknąć do demonów w swojej głowie. Nie mają prawa tutaj być... Nie mają prawa tłoczyć się wokół tego słodkiego chłopca, lecz mimo to wirują wokół jak karuzela. *Jak mój samochód, który powinien być teraz na torze.* Dlaczego więc zbliżam się do tego polaryzującego chłopca zamiast przygotowywać się na wiadro inwektyw, jakimi Becks na pewno zmyje mi głowę? Na które, sądząc po wyglądzie samochodu, w pełni zasługuję?

Mimo to nadal nie potrafię się oprzeć.

Podchodzę jeszcze bliżej, powoli i miarowo, tak jak do chłopców w Domu.

Chłopcy.

Rylee.

Muszę ją zobaczyć.

*Nie chcę już być samotny.*

Muszę ją poczuć.

*Nie chcę już być zepsuty.*

Dlaczego unoszę się w oceanie niepewności? Ale i tak robię kolejny krok przez mgłę w stronę tego nieoczekiwanego promienia światła.

*Bądź moją iskrą.*

— Masz całkiem poważną ranę...

Prycha. Jest niezmiernie uroczy, gdy ma tak poważną twarz z piegowatym zadartym nosem i patrzy na mnie, jakby coś mi umykało.

— *Dzięki, Panie Oczywisty!*

I do tego jest wyszczekany. *Dzieciak w moim typie.* Tłumię chichot, bo widzę, że już po raz trzeci zerka za moje ramię. Zaczynam się odwracać, żeby sprawdzić, na co patrzy, ale zatrzymuje mnie słowami:

— Wszystko w porządku?

*Hę?*

— A co masz na myśli?

— Wszystko w porządku? — powtarza pytanie. — Wyglądasz, jakbyś był trochę zepsuty.

— O czym ty mówisz? — dopytuję i podchodzę kolejny krok. Moje migoczące myśli przeplatają się z jego posępnym tonem głosu, a wyryte na jego twarzy zmartwienie zaczyna mnie denerwować.

— Cóż, wyglądasz, jakbyś był zepsuty — szepcze i zaczyna znowu obracać wirnikiem, wznosząc i opuszczając helikopter. *Stuk, stuk, stuk.*

Przechodzi mnie dreszcz niepokoju i spoglądam w dół, ale mój kombinezon jest nietknięty. Poklepuję się dłońmi, żeby uśmierzyć to uczucie.

— Nie — mówię szybko. — Nic mi nie jest, kolego. Widzisz? Wszystko w porządku — stwierdzam i oddycham z ulgą. Przez tego małego skurczybyka na chwilę się przestraszyłem.

— Nie, głuptasie — mówi, przewracając oczami i wzdychając głośno, po czym wskazuje za moje ramię. — Spójrz. Jesteś zepsuty.

Odwracam się, żeby spojrzeć za ramię, bo intryguje mnie spokój i prostota jego głosu.

Serce przestaje mi bić.

*Stuk.*

Nie mogę złapać oddechu.

*Stuk.*

Czuję obezwładniające zimno.

*Stuk.*

Mrugam oczami z niedowierzaniem, próbując odpędzić obrazy, które przed sobą widzę. Obrazy przebijające się przez lepką mgłę.

*Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

Kurwa. Nie. Nie. Nie. Nie.

— Widzisz? — słyszę za sobą jego anielski głos. — Mówiłem ci.

Nie. Nie. Nie. Nie.

W końcu udaje mi się wypchnąć powietrze z płuc. Z trudem przełykam ślinę, która smakuje jak papier ścierny.

Wiem, że mam przed oczami cały ten chaos, ale jak to w ogóle możliwe? Jakim cudem jestem i tu, i tam?

*Stuk. Stuk. Stuk.*

Próbuję się ruszyć. Biec, kurwa! Zwrócić ich uwagę, żeby zobaczyli, że jestem tutaj i że nic mi nie jest. Ale moje stopy nie słuchają rozpychającej się w głowie paniki.

Nie. Tam mnie nie ma. Jestem tutaj. Wiem, że nic mi nie jest i że jestem żywy, bo czuję swój płytki oddech, gdy podchodzę, żeby się lepiej przyjrzeć. Strach przeciąga swymi paznokciami po mojej czaszce, bo to, co widzę... to nie może... to po prostu, kurwa, niemożliwe.

*Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

Z tego stanu na granicy wybuchu wściekłości wrywa mnie cichy szum piły tarczowej, za pomocą której zespół ratowników medycznych przecina kask kierowcy przez środek. W chwili, gdy go otwierają, czuję, jakby moja głowa eksplodowała. Opadam na kolana, bo ból jest tak rozdzierający, że jestem w stanie jedynie chwycić ją w dłonie. Muszę podnieść wzrok. Muszę sprawdzić, kto jest w moim samochodzie. Kto wsadził tam swoją dupę. Ale nie potrafię, bo ból jest nie do zniesienia.

*Zastanawiam się, czy śmierć boli...*

Wzdrygam się, gdy czuję jego dłoń na ramieniu... ale w momencie, gdy mnie dotyka, ból znika.

*Co, do...?* Wiem, że muszę spojrzeć. Muszę sprawdzić, kto jest w samochodzie, chociaż w głębi duszy znam prawdę. Poszatkwane wspomnienia błyskają w mojej głowie jak kawałki rozbitego lustra w tym pieprzonym osiedlowym barze.

*Pierdolony Humpty Dumpty.*

Strach pełźnie w górę po kręgosłupie, chwyta mnie za serce i wibruje w środku. Nie mogę tego zrobić. Nie potrafię podnieść wzroku. *Nie bądź mięczakiem, Donovan.* Zamiast tego patrzę w prawo, w jego oczy, które w tym chaosie emanują nieoczekiwanym spokojem.

— Czy to... czy ja...? — pytam chłopca. Oddech więźnie mi w gardle, a obawa przed usłyszeniem odpowiedzi sprawia, że słowa zamierają mi na ustach.

Chłopiec po prostu na mnie patrzy. Jasny wzrok, poważna twarz, ściągnięte usta, drgające piegi... W końcu ścisną moje ramię i pyta:

— A jak myślisz?

Chciałbym wytrząsnąć z niego pieprzoną odpowiedź, ale wiem, że tego nie zrobię. Nie potrafię. To, że jest przy mnie w tym oszałamiającym chaosie, jednocześnie napawa mnie niewiarygodnym spokojem i wzbudza nieznanym wcześniej strach.

Zmuszam się, by oderwać wzrok od tej pogodnej twarzy i spojrzeć na to, co dzieje się przede mną. To jak kalejdoskop poszarpanych obrazów, na których widzę moją twarz — tak, moją — na szpitalnych noszach.

Moje serce się rozpada. Roztrzaskuje. Zatrzymuje. Umiera.

*Spider-Man.*

Szara skóra. Napuchnięte, posiniaczone i zamknięte oczy. Uchylone i blade usta.

*Batman.*

Przygniatające zniszczenia, wszechogarniająca desperacja, życie przelewa się przez palce. A mimo to dusza uporczywie trzyma się ciała.

*Superman.*

— Neeee! — krzyczę ile sił w płucach, aż dostaję chrypki. Nikt się nie odwraca. Nikt mnie nie słyszy. Nikt nie reaguje. Ani moje ciało, ani ratownicy medyczni.

*Iron Man.*

Ciało na noszach wzdryga się, gdy ktoś podchodzi i zaczyna uciskać klatkę piersiową. Inna osoba zakłada mi kołnierz ortopedyczny, po czym podnosi powieki i sprawdza źrenice.

*Stuk.*

Ostrożne twarze. Pokonane spojrzenia. Rutynowe ruchy.

*Stuk.*

— Nie! — wykrzykuję ponownie i czuję, jak spowija mnie mgła paniki. — Nie! Jestem tutaj! Tutaj! Nic mi nie jest!

*Stuk.*

Płyną łzy niedowierzania. Wszelkie perspektywy zanikają. Nadzieja umiera.

*Moje życie się rozmywa.*

Patrzę na dłoń, która zwisa bez życia z noszy. Pojedyncza kropla krwi powoli spływa do wierzchołka palca, po czym po kolejnym ucisku klatki piersiowej spada na ziemię. Skupiam się na tej ścieżce krwi, bo nie potrafię spojrzeć w swoją twarz. Nie zniósłbym tego widoku ponownie.

Nie mogę patrzeć, jak ucieka ze mnie życie. Nie potrafię wytrzymać strachu, który wkrada się w moje serce, czegoś nieznanego, co sączy się do mojej podświadomości, i chłodu, który powoli ogarnia moją duszę.

— Pomóż mi! — Odwracam się w stronę tak bliskiego, choć nieznanego mi chłopca. — Proszę — błagam szeptem, wkładając w to każdy strzęp życia, jaki jeszcze mi pozostał. — Nie jestem gotowy, by... — Nie potrafię dokończyć zdania. Jeśli to zrobię, zaakceptuję to, co dzieje się przede mną na noszach, i to, co symbolizuje miejsce za mną.

— Nie? — pyta. Jedno słowo, ale chyba najważniejsze w moim pieprzonym życiu. Wpatruję się w niego, zafascynowany tym, co widzę w głębi jego oczu. Jest w nich zrozumienie, akceptacja i uznanie. Nie chcę rezygnować z uczuć, które z nim przeżywam, ale nawet przez chwilę nie mam wątpliwości, jak odpowiem na jego pytanie, na ten wybór między życiem i śmiercią.

Mimo to decyzja, żeby żyć — żeby wrócić i udowodnić, że zasłużyłem na tę pieprzoną szansę — oznacza, iż będę musiał opuścić tę anielską twarzyczkę i zrezygnować ze spokoju duszy, jaki czuję w jego obecności.

— Zobaczę cię jeszcze kiedyś? — nie wiem, skąd wzięło mi się to pytanie, ale wypowiadam je bez zastanowienia. Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na odpowiedź. Chciałbym, żeby była zarówno twierdząca, jak i przecząca.

Przechyla głowę na bok i się uśmiecha.

— Jeśli tak zapisano w kartach.

*Czyich pierdolonych kartach?* Chcę na niego wrzasnąć. Boga? Diabła? Moich? Czyich pierdolonych kartach? Ale wykrztuszam tylko:

— *W kartach?*

— Uhm — odpowiada i kiwa nieznacznie głową, zerkając na moment na swój helikopter.  
*Stuk. Stuk. Stuk.*

Odgłos jest teraz niższy i zagłusza wszelkie otaczające mnie hałasy. Mimo to wciąż słyszę, jak chłopiec wstrzymuje oddech. Wciąż słyszę uderzenia serca w uszach. I wciąż czuję spowijający moje ciało kokon spokoju, gdy jego dłoń spoczywa na moim ramieniu.

Nagle zauważam helikopter ratowniczy na środku pasa. Czeka na mnie z kręcącym się wirnikiem: stuk, stuk, stuk. Nosze zaczynają szybko jechać w jego stronę.

— Nie idziesz ze mną? — pyta chłopiec.

Z trudem przełykam ślinę, po czym patrzę na niego i zrezygnowany potrząsam głową.

— Nie... — odpowiadam niemal bezgłośnie, obawiając się nieznanej ciężkości swojego głosu.

*Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

— Hej — mówi. Wracam spojrzeniem do jego perfekcyjnej twarzyczki, a on wskazuje na coś za mną. — Wygląda na to, że twoi superbohaterowie tym razem się zjawili.

Odwracam się i serce więźnie mi w gardle. W głowie mam kompletny zamęt. Początkowo nie wiem, o co chodzi, bo pilot jest plecami do mnie i pomaga załadować *moje* nosze do helikoptera, lecz gdy się odwraca, żeby wskoczyć na swój fotel i chwycić za dźwignię sterowania, uderza mnie to z siłą porannego słońca.

Moje serce staje.

I rusza z powrotem.

Moja dusza wydaje z siebie westchnienie ulgi.

Kask pilota jest pomalowany.

Na czerwono.

I ma czarne paski.

A na czole znaczek Spider-Mana.

Moje wewnętrzne dziecko się uśmiecha. Dorosły mężczyzna oddycha z ulgą.

Odwracam głowę, żeby pożegnać się z chłopcem, ale nigdzie go nie widzę. Skąd, do cholery, wiedział o moich superbohaterach? Rozglądam się dookoła, bo chcę go o to zapytać, ale nigdzie go nie ma.

Jestem sam.

Sam, poza pokrzepiającym towarzystwem tych, na których czekałem przez całe życie.

Decyzja została podjęta.

Superbohaterowie w końcu przybyli.



## Rozdział 1.

W moje ciało powoli wkrada się ośpienie. Nie potrafię się ruszyć, nie potrafię myśleć, nie potrafię oderwać wzroku od sprasowanego samochodu na torze. Jeśli spojrzę gdziekolwiek indziej, wszystko stanie się realne. Unoszący się w górę helikopter będzie naprawdę transportował pokiereszowane ciało mężczyzny, którego kocham.

Którego potrzebuję.

Którego nie mogę stracić.

Zamykam oczy i słucham, ale nic nie słyszę. Jedynym odgłosem w moich uszach jest dudniący puls. Za zamkniętą kurtyną powiek i w sercu mam tylko poszatkowane obrazy. Max staje się Coltonem, który z kolei płynnie zmienia się w Maxa. Wspomnienia, które budzą nadzieję będącą teraz dla mnie ostatnią deską ratunku, migoczą i płoną, po czym znikają. Podobnie jak ciemność, która powoli wypiera wszelkie światło z mojej duszy.

„Wysciguję cię, Ryles” — jego silny i niezachwiany głos wypełnia moją głowę, migocze w niej przez chwilę i znika.

Kulę się. Chcę, żeby popłynęły łzy albo żeby iskra nadziei rozświetliła moją duszę, ale nic się nie dzieje. Moje serce jest jak z ołowiu i przygniata mnie do ziemi.

Zmuszam się do oddychania i próbuję się oszukiwać, że ostatnie dwadzieścia dwie minuty wcale się nie wydarzyły. Samochód nie wykonał gwiazdy i piruetu w gęstym dymie, a posępni ratownicy wcale nie rozcinali poszycia, żeby uwolnić nieprzytomne ciało Coltona.

*Jeszcze się nie kochaliśmy* — przemyka mi przez głowę. Nie mieliśmy szansy *wyscigować się* po tym, jak w końcu powiedział mi to, co chciałam usłyszeć. Po tym, jak to zaakceptował, wyznał i poczuł.

Chciałabym cofnąć czas i wrócić do pokoju, w którym się przytulaliśmy. W którym mieliśmy więź i byliśmy za mało lub za bardzo wystrojeni. Ale nie potrafię wyprzeć obrazu straszliwie pomażdżonego samochodu. Jak mam żywić nadzieję, skoro to już drugi raz takie obrazy wypalają się w mojej pamięci?

„*Ry, nie jest ze mną zbyt dobrze*” — słyszę w głowie słowa Maxa, lecz wypowiedane głosem Coltona. To Colton przestrzega mnie przed tym, co może się zdarzyć. Przed tym, czego już raz doświadczyłam.

O Boże. Proszę, nie. Tylko nie to.

Moje serce drży.

Moja determinacja gaśnie.

Obrazy sączą się w zwolnionym tempie.

— Rylee! Musisz się skupić. Spójrz na mnie! — znowu słowa Maxa. Zaczynam słabnąć. Moje ciało poddaje się, podobnie jak nadzieja, ale czuję, że ktoś chwyta mnie obiema rękami i potrząsa.

— Spójrz na mnie! — Nie, to nie Max. Ani nie Colton. *To Becks*. Zmuszam się, żeby zogniskować spojrzenie na jego oczach. Błękitne źrenice, z nieoczekiwanymi zmarszczkami w kącikach. Widzę w nich strach. — Musimy teraz pojechać do szpitala, dobrze? — mówi łagodnie, lecz stanowczo. Chyba myśli, że jeśli będzie do mnie mówił jak do dziecka, nie rozpadnę się na miliony kawałeczków niczym moja dusza.

Nie potrafię przełknąć piasku w gardle, żeby coś odpowiedzieć, więc Beckett znowu mną potrząsa. Opadają ze mnie wszelkie emocje prócz strachu. Potakuję, ale nie wykonuję żadnego innego ruchu. Panuje kompletna cisza. Na trybunach są dziesiątki tysięcy osób, lecz nikt nie rozmawia. Wszystkie oczy są wpatrzone w ekipę sprzątającą i pozostałości po kilkunastu

samochodach na torze.

Wyteżam słuch, żeby cokolwiek usłyszeć. Jakąś oznakę życia. Nic. Absolutna cisza.

Czuję, że Beckett obejmuje mnie ramieniem i wyprowadza z wieży nad aleją serwisową. Schodzimy po schodach i wsiadamy do czekającego na nas vana. Becks popycha mnie lekko i sadza, jakbym była dzieckiem.

Wsiada obok mnie i wpycha mi torebkę z komórką do rąk, po czym mówi do kierowcy:

— Jedź.

Samochód zrywa się z szarpnięciem i wyjeżdżamy w stronę tunelu prowadzącego na zewnątrz. Odwracam się i widzę kompletnie nieruchome samochody wyścigowe porzucane po całym torze. Kolorowe nagrobki na cichym asfaltowym cmentarzu.

„*Crash, crash, burn...*” — słowa piosenki wylatują z głośników i zawisają w panującej w vanie martwej ciszy. Mój odrętwiały umysł powoli je przetwarza.

— Wyłącz to! — krzyczę zdecydowanie, chociaż trawi mnie panika. Zaciskam pięści i zgrzytam zębami, bo słowa piosenki wplotły się w rzeczywistość, którą nieskutecznie próbuję wyprzeć ze świadomości.

*Histeria.*

— Zander — szepczę. — Zander ma wizytę u dentysty we wtorek. Ricky potrzebuje nowych korków. Aiden zaczyna w czwartek lekcje z nauczycielem domowym, a Jax nie wpisał tego w kalendarz. — Odwracam się do Becketta, który patrzy mi w oczy. Kątem oka dostrzegam siedzących za nami kilku innych członków zespołu, ale nie mam pojęcia, jak się tam znaleźli.

*Gotuje się.*

— Beckett, potrzebuję mojego telefonu. Dane o tym zapomni, a Zander naprawdę musi iść do dentysty, a Scooter po...

— Rylee — mówi spokojnie, ale ja tylko potrząsam głową.

— Nie! — wrzeszczę. — Nie! Potrzebuję telefonu! — Zaczynam odpinać pas i ze zdenerwowania nie zauważam, że trzymam telefon w dłoni. Próbuję przeskoczyć przez Becketta i otworzyć odsuwane drzwi, ale Beckett obejmuje mnie i trzyma mocno, żebym tego nie zrobiła.

*Bulgoce na powierzchni.*

— Puść mnie — mówię, walcząc z nim. Miotam się i wierzgam, ale jemu udaje się mnie utrzymać.

— Rylee — powtarza. Jego złamany głos odzwierciedla to, co czuję w sercu, i sprawia, że tracę siły do walki.

Opadam na fotel, lecz Beckett nadal mnie do siebie przyciska. Oddychamy ciężko. Chwyta mnie za dłoń i mocno ją ściska. To jedyny objaw rozpaczony w jego skądinąd stoickim zachowaniu, ale nie mam siły, żeby zrobić to samo.

Świat za oknem się rozmywa, lecz mój staje w miejscu. Leży na noszach w nieznanym mi miejscu.

— Kocham go, Beckett — szepczę w końcu.

*Popychana przez strach...*

— Wiem — odpowiada z drżącym wydechem i całuje mnie w czubek głowy. — Ja też.

*...rozpalana przez rozpacz...*

— Nie mogę go stracić — mówię prawie bezgłośnie, jakbym się bała, że wypowiedzenie tych słów na głos sprawi, iż stanie się to, co nie może się stać.

*...zderzona z nieznanym.*

— Ja też.

\*\*\*

Szum automatycznych drzwi do oddziału ratunkowego jest paraliżujący. Zamieram, gdy go słyszę.

W głowie pojawiają się koszmarne wspomnienia, a anielska biel korytarzy w żaden sposób nie działa na mnie kojąco. To dziwne, że w głowie błyskają mi przelatujące przed oczami świetlówki zamontowane na suficie. Tylko na nich mogłam się skupić, gdy w kakofonii medycznego żargonu i kotłowaniu niespójnych myśli jechałam korytarzem na łóżku szpitalnym i przez cały czas modliłam się za Maxa, za moje dziecko i o nadzieję.

— Ry? — Głos Becketta otrząsa mnie z paniki dobierającej się do gardła i wspomnień, przez które stanęłam w miejscu. — Możesz iść?

Delikatność jego głosu spływa po mnie i jest jak balsam na moje otwarte rany. Jedyne, czego pragnę, to płakać, słuchając jego kojącego brzmienia. Lecz chociaż łyzy zapychają mi gardło i palą mnie w oczy, to nie chcą popłynąć. Ani jedna.

Biorę pokrzepiający wdech i zmuszam stopy do ruchu. Beckett obejmuje mnie ręką w pasie i pomaga mi z pierwszym krokiem.

Widzę w myślach przebłysk twarzy lekarza. Stoickiej. Wypranej z emocji. Potrząsa głową na boki z przeproszającym wzrokiem. Ma zrezygnowaną postawę. Pamiętam, jak pragnęłam zamknąć oczy i także odejść na zawsze. Z jego ust padają słowa: „Przykro mi”.

Nie. Nie. Nie. Tylko nie te słowa. Nie wytrzymałabym, gdybym usłyszała, jak ktoś oznajmia, że straciłam Coltona, szczególnie że właśnie się odnaleźliśmy.

Idę ze spuszczoną głową. Liczę laminowane płytki na podłodze, a Becks prowadzi mnie do poczekalni. Chyba coś do mnie mówi. Albo do pielęgniarki. Nie jestem pewna, bo skupiam się wyłącznie na odpychaniu niechcianych wspomnień. Na próbach odrzucenia rozpaczy, żeby w jej miejsce mogła wkraść się iskierka nadziei.

Siadam na krześle obok Becketta i bezmyślnie wpatruję się w wibrujący telefon w mojej dłoni. Mam milion wiadomości i nieodebranych połączeń od Haddie. Nie wyobrażam sobie, że miałabym teraz z nią rozmawiać, chociaż wiem, iż na pewno trawi ją strach. W tym momencie to ponad moje siły i w ogóle ponad wszystko.

Słyszę skrzypienie butów na linoleum, bo po nas wchodzi kolejne osoby, ale skupiam się na leżącej przede mną na stoliku książeczce. *The Amazing Spider-Man*. Mój umysł zaczyna obsesyjnie błądzić różnymi szlakami myśli. Czy Colton się bał? Czy miał świadomość tego, co się dzieje? Czy wypowiedział mantrę, o której mówił Zanderowi?

Sama ta myśl łamie mi serce, ale łyzy nadal nie płyną.

Kątem oka dostrzegam buty w workach ochronnych i słyszę, że ktoś pyta o Becketta.

— Lekarze muszą dokładnie znać przebieg wypadku, dlatego potrzebujemy szczegółowego opisu. Chcieliśmy obejrzeć powtórkę, ale telewizja ABC przestała ją puszczać. — Nie, nie, nie. Przeczący krzyk odbija się echem w mojej głowie, lecz mimo to spowija mnie cisza. — Powiedziano mi, że pan może udzielić mi takich informacji.

Beckett przesuwa się na krześle i chrząka. Jego głos jest tak przesycony emocjami, że wbijam palce w uda.

— Uderzył do góry kołami w ogrodzenie... chyba. Próbuję sobie to przypomnieć, chwileczkę. — Chowa twarz w dłoniach i pociera palcami skronie. Wzdycha, próbując zebrać myśli. — Tak. Samochód był do góry kołami. Skrzydło uderzyło w górną część ogrodzenia ochronnego, gdy przód był blisko ziemi. Środkowa część trafiła w betonową barierę. Samochód rozpadł się wokół kapsuły kierowcy.

*Zbiorowe westchnienie publiczności wciąż dźwięczy mi w uszach.*

— Czy ma pani dla nas jakieś wiadomości? — pyta pielęgniarkę.

*Charakterystyczny odgłos miazdzonego metalu.*

— Jeszcze nie. To wczesna faza i próbujemy zająć się wszystkim...

— Czy on...

— Poinformujemy pana od razu, gdy będziemy coś wiedzieli.

*Zapach palonej gumy na ubrudzonym olejem asfalcie.*

Znowu skrzywienie butów. Szepty. Beckett wzdycha i pociera twarz dłońmi, po czym drżącymi palcami bierze mi rękę z mojego uda i kładzie na swoje.

*Tocząca się opona odbija się od wewnętrznej bariery.*

Proszę, daj mi jakiś znak. Jakikolwiek. Cokolwiek, za co mogłabym zaczepić nadzieję, która wymyka mi się z rąk.

W sterylnych ścianach poczekalni niesie się echem dzwonek telefonu. Bez końca. Jak pikanie maszyny do podtrzymywania życia, którą słyhać w innym pomieszczeniu. Za każdym razem, gdy któryś z tych odgłosów milknie, część mnie zamiera.

Słyszę urywany oddech Becksa. Jego zduszony pojedynczy szloch uderza mnie jak huragan, rozrywając w strzępy papierową torbę, w której trzymałam resztki samozaparcia i wiary. Beckett stara się powstrzymać wybuch płaczu, lecz ponosi klęskę. Żal wyrywa się na zewnątrz i spływa w milczeniu po jego policzkach. Dobija mnie to, że mężczyzna, który był dotychczas moją opoką, w końcu się zламаł. Zaciskam oczy i zmuszam się do wykrzesania z siebie siły dla Becketta, ale wciąż chodzą mi po głowie jego wczorajsze słowa.

Potrząsam głową ze spanikowanym niedowierzaniem.

— Przepraszam — szepczę. — Jest mi tak niemożliwie przykro. To wszystko moja wina.

Beckett zwiesza głowę, po czym wyciera oczy dłońmi. Ten gest odpychania łez niczym zawstydzone dziecko jeszcze bardziej łamie mi serce.

Nie potrafię powstrzymać kołoczącej paniki, gdy uświadamiam sobie, dlaczego Colton tu jest. Odrzuciłam go i nie wierzyłam mu. Przeze mnie zmęczył się w noc przed wyścigiem. A wszystko przez mój upór i lęk.

— To ja mu to zrobiłam — te słowa mnie zabijają. Rozdzierają moją duszę na kawałki.

Beckett odrywa dłonie od zaczerwienionych oczu.

— O czym ty mówisz? — Nachyla się bliżej i wpatruje się we mnie pełnymi sprzecznych emocji niebieskimi oczami.

— O wszystkim... — Przerzywam, bo brakuje mi powietrza. — Mieszałam mu w głowie przez ostatnie kilka dni, a ty powiedziałeś, że jeśli tak zrobię, to będzie moja wina...

— Ryl...

— I walczyłam z nim i odeszłam od niego, i nie spaliśmy prawie do rana, i wsiadł do samochodu zmęczony, i...

— Rylee! — wyrzuca w końcu z siebie surowym tonem. Potrząsam tylko głową. Oczy mnie palą i mam w sobie wulkan emocji. — To nie jest twoja wina.

Wzdrygam się, gdy obejmuje mnie ramionami i przyciska do siebie. Czuję szorstkość jego kombinezonu na policzku i zaciskam pięści.

— To był wypadek. Jechał na ślepo. Takie są wyścigi. To nie twoja wina. — Jego łamiący się głos odbija się od moich głuchych uszu. Obejmuje mnie ramionami, które mnie blokują, i czuję nadchodzącą klaustrofobię. Zaczynam się dusić.

Zrywam się z krzesła, bo muszę się ruszyć i pozbyć się niepokoju trawiącego duszę. Zaczynam spacerować do odległego końca poczekalni i z powrotem. Przy drugim przejściu jakiś chłopczyk zeskakuje z krzesła w kącie pomieszczenia, żeby wziąć kredkę. Jego buty błyskają czerwonymi światełkami i przykuwają moją uwagę. Mrużę oczy, żeby się lepiej przyjrzeć, i zauważam odwrócony trójkąt z literą „S” w środku.

*Superman.*

Imię błyska w mojej podświadomości, lecz moją uwagę przykuwa telewizor, na którym ktoś zmienił kanał. Słyszę nazwisko Coltona i wstrzymuję oddech. Boję się spojrzeć, lecz chcę wiedzieć, co pokażą.

Wydaje się, jakby jednocześnie cały pokój wstał. Jedna masa czerwonych kombinezonów i pełnych emocji twarzy skupionych na ekranie. Prezenter mówi, że był wypadek, który na ponad godzinę przerwał wyścig. Na ekranie pojawiają się chmury dymu i odbijające się od siebie samochody. Kamera patrzy z innego miejsca niż my, więc możemy zobaczyć więcej, lecz gdy samochód Coltona wchodzi w zakręt, transmisja zostaje przerwana. Wszyscy obserwujący opuszczają ramiona z ulgą, gdy uświadamiają sobie, że nie zobaczą tego, na co z takim niepokojem czekali. Materiał kończy się wypowiedzią prezentera, że Colton aktualnie przebywa w klinice w Bayfront.

Widzę nieprzytomne ciało Coltona na noszach i Maxa na siedzeniu obok mnie. Podobieństwo tych sytuacji sprawia, że tracę oddech. Niekończący się ból i kolidujące ze sobą wspomnienia.

Odwracam się i widzę Westinów wchodzących do poczekalni. Dostojna i władcza matka Coltona jest blada i wygląda na zrozpaczoną. Przelykam gulę w gardle, nie mogąc oderwać od nich wzroku. Andy delikatnie ją podtrzymuje i pomaga jej usiąść, a Quinlan trzyma ją za drugą rękę.

Beckett w mgnieniu oka podchodzi do nich i obdarza Dorotheę i Quinlan szybkimi, lecz czułymi uściskami. Andy wyciąga dłoń i przytula Becketta nieco dłużej. Emanuje z niego rozdzierająca serce rozpacz. Słyszę zdławiony szloch i niemal sama się łamię.

Cała ta scena sprawia, że w głowie pojawiają mi się obrazy z pogrzebu Maxa. Miniaturowa różowa trumna na normalnej, czarnej trumnie, obie pokryte czerwonymi różami. Przypominają mi się słowa, których za nic nie chciałabym znowu usłyszeć: *z prochu powstałeś, w proch się obrócisz*. Przypominają mi się puste uściski, które w żaden sposób nie pocieszają. Co gorsza, już przed nimi byłaś obdarta do żywego mięsa, a po nich jesteś jeszcze bardziej przeczulona i odsłonięta.

Zaczynam znowu spacerować wśród szeptów typu: „kiedy będzie coś wiadomo?”. Twarze, które zawsze emanowały siłą i energią, są poorane troską i niepokojem. W pewnym momencie przystaję i okazuje się, że patrzę w oczy Andy’ego i Dorothei.

Wpatrujemy się w siebie w milczeniu. W ich twarzach odbija się moje niedowierzenie i cierpienie. W pewnym momencie Dorothea drżącą ręką chwyta moją dłoń, a ja wykrztuszam, potrząsając głową:

— Nie wiem, co... Przepraszam...

— Wiemy, kochanie — odpowiada, przyciąga mnie do siebie i dodajemy sobie otuchy wzajemnym uściskiem. — Wiemy.

— Colton jest silny — mówi Andy, gładząc mnie po plecach pokrzepiająco. Ale przytulanie z rodzicami, wzajemne dodawanie sobie otuchy, mokre policzki i stłumione szlochy sprawiają, że to wszystko staje się zbyt realne. Moja wiara, że to tylko zły sen, zostaje poważnie zachwiana.

Zataczam się w tył i próbuję się na czymś skupić. Na czymkolwiek, byle tylko nie stracić nadziei.

Ale wciąż widzę tylko twarz Coltona. Stoi bez ruchu pośród rozbieganych członków zespołu, którzy siedzą teraz ze mną i modlą się z głowami w dłoniach, zaciśniętymi ustami i zamkniętymi oczami. Stoi i z absolutną pewnością wyznaje mi swoje uczucia. Muszę się zatrzymać, żeby złapać oddech, bo ból w piersi, w sercu, jest nie do opanowania.

Moją uwagę znowu przykuwa telewizor. Słyszę jakiś podszept w podświadomości i

odwracam się, żeby spojrzeć na ekran. Zapowiedź nowego filmu o Batmanie. Składam w całość zdarzenia z ostatniej godziny i moja nadzieja odżywa.

Książeczka o Spider-Manie na stoliku. Buty z Supermanem. Film o Batmanie. Próbuje to zracjonalizować i mówię sobie, że to przypadek. Że zobaczenie tych trzech superbohaterów to tylko zbieg okoliczności. A potem dochodzę do wniosku, że potrzebuję czwartego, żeby uwierzyć. Potrzebuję Iron Mana, żeby zamknąć krąg. To będzie znak, że Colton z tego wyjdzie.

I że wróci do mnie.

Rozglądam się po poczekalni z nadzieją, która jest gotowa do rozkwitnięcia, gdy tylko znajdę ostatni znak. Ręce mi się trzęsą, mój optymizm chowa się pod powierzchnię, na której pojawia się zmęczony łeb ostrożności.

Słyszę jakieś odgłosy w korytarzu. Ten hałas — ten głos — rozpala we mnie każdą kielkującą emocję.

W jednej chwili jestem na granicy wybuchu.

Blond włosy i długie nogi przekraczają drzwi. Nie obchodzi mnie to, że jej twarz wygląda na równie zdruzgotaną i zatroskaną jak moja. Cały mój ból i cała wściekłość rozpalają się jak na zawołanie.

Albo jak po uderzeniu pioruna.

W jednej sekundzie jestem na drugim końcu sali. Wszyscy się odwracają, gdy dają się ponieść obudzonemu gniewowi.

— Wynoś się! — krzyczę. Kotłuje się we mnie tak wiele emocji, że czuję jedynie przytłaczające zagubienie. Tawny podnosi na mnie swoje wstrząśnięte oczy, a jej usta układają się w perfekcyjne „O”. — Ty spiskująca su...

Nagle tracę oddech, bo Beckett gwałtownie przyciska mnie od tyłu do swojej piersi.

— Puść mnie! — Walczę z nim, lecz on przyciska mnie jeszcze mocniej. — Zostaw mnie!

— Daj spokój, Ry! — mówi przeciągle powściągliwym, lecz stanowczym głosem. — Musisz zachować cały ten ogień i całą energię, bo Colton będzie jej od ciebie potrzebował. Każdy pieprzony gram tej energii. — Jego słowa uderzają we mnie, przenikają przez otwarte rany i tłumią zastrzyk adrenaliny. Przestaję walczyć. On wciąż trzyma mnie w żelaznym uścisku i czuję na policzku jego przyspieszony oddech. — Nie jest tego warta, OK?

Nie potrafię nic wykrztusić, bo w tym momencie mój umysł nie jest zdolny do normalnego funkcjonowania, więc po prostu potakuję i zmuszam się do skupienia na punkcie na podłodze, a nie na długich nogach na prawo ode mnie.

— Na pewno? — dopytuje, po czym powoli mnie uwalnia. Staje przede mną i zmusza mnie, żebym spojrzała mu w oczy, bo chce się upewnić, że może mi zaufać.

Zaczynam się trząść. Jestem zakładniczką krążącego we mnie gniewu, żalu i jeszcze jakiegoś nieznanego uczucia.

Brakuje mi tchu, bo przy każdym wdechu bołą mnie płuca. W spojrzeniu Becketta życzliwość miesza się z zatroskaniem, co wywołuje we mnie istne emocjonalne tornado. Czuję się paskudnie, bo on próbuje się mną zaopiekować, chociaż także kocha Coltona i ma w głowie podobny chaos wynikający z niepewności, więc zmuszam się do przytaknięcia. Naśladuje mój gest, po czym odwraca się do Tawny, zasłaniając ją przede mną.

— Becks... — szepcze Tawny. Samo brzmienie jej głosu jest jak oliwa na płonący we mnie ogień.

— Ani jednego pierdolonego słowa, Tawny! — odpowiada stanowczo Beckett na tyle przyciszonym głosem, że słyszy to tylko nasza trójka, chociaż sporo par oczu w poczekalni jest skierowanych na nas. Widzę, że Andy próbuje rozszyfrować tę sytuację i wstaje z krzesła na

drugim końcu pomieszczenia. — Pozwolę ci zostać tylko dlatego... że Wood będzie potrzebował mieć przy sobie wszystkich, którzy są po jego stronie, gdyby... — słowa więzną mu w gardle — gdy z tego wyjdzie... w tym ciebie, chociaż po tej intrydze mającej skłócić go z Ry nie jestem pewien, czy określenie „przyjaciółka” nadal się do ciebie odnosi.

Zaskakują mnie słowa Becketta. Słyszę jej chrząknięcie. Potem zapada chwila ciszy... i nagle słyszę, że zaczęła płakać. Ciche, pełne żalu łkanie, które przebija się przez cierpliwość wzbudzoną we mnie przez Becketta.

Łamię się. Tracę panowanie nad sobą i zapominam o zapewnieniach, że będę oszczędzać siły.

— Nie! — wrzeszczę, próbując odepchnąć Becketta, bo chcę ją uderzyć. — Nie masz prawa nad nim płakać! Nie masz prawa płakać za mężczyznę, którego próbowałam zmanipulować! — Czuję zamykające mnie od tyłu w objęciach ramiona, które nie pozwalają mi wymierzyć ciosu, ale nie zważam na to, bo zupełnie tracę poczucie rzeczywistości. — Wynoś się! — krzyczę falującym głosem, a ktoś odciąga mnie od jej zdumionej twarzy. — Nie! — Miotam się w obejmujących mnie ramionach. — Puść mnie!

— Ciiiiiiii! — to głos Andy’ego. Andy trzyma mnie mocno, próbując jednocześnie mnie uspokoić i opanować. Moje serce wali jak oszalałe, a ciało drży z wściekłości i potrafię się skupić tylko na tym, że potrzebuję *pit stopu*. Potrzebuję znaleźć Coltona. Dotknąć go, zobaczyć, uciszyć tumult w mojej duszy.

Ale to niemożliwe.

Jest gdzieś zamknięty. Mój zbuntowany łobuz nie może uwolnić ukrywającego się w nim skrzywdzonego chłopca. Mężczyzna, który właśnie zaczął dochodzić do siebie, jest znowu potłuczony, a ja nie jestem w stanie go poskładać. Moje szeptane słowa zachęty i cierpliwa natura nie naprawią unieruchomionego i nieprzytomnego ciała, które zostało załadowane na nosze i pośpiesznie umieszczone gdzieś w tym budynku. Tak blisko, a jednocześnie bardzo daleko ode mnie. On musi teraz zdać się na obcych ludzi. Obcych, którzy nie wiedzą o jego niewidzialnych bliźnach wciąż pozostających pod powierzchnią.

Czuję kolejne dłonie. Dorothea i Quinlan próbują mnie pocieszyć, ale to nie ich dłoni pragnę, tylko Coltona.

Wtedy uderza mnie przerażająca myśl. Zawsze, gdy Colton jest w pobliżu, czuję specyficzne mrowienie, które informuje mnie, że jest w zasięgu ręki, ale teraz nic nie czuję. Wiem, że jego ciało jest gdzieś w pobliżu, ale nie czuję tego iskrzenia.

„*Bądź moją iskrą, Ry*” — słyszę jego głos wypowiadający te słowa i pamiętam to uczucie, gdy jego oddech omiatał moją skórę... Ale *to* uczucie jest nieobecne.

— *Nie umiem!* — krzyczę. — Nie mogę być twoją iskrą, jeśli nie czuję twojej, więc nie waż się mi tu zgasnąć. — Nie obchodzi mnie to, że jestem w pomieszczeniu wypełnionym patrzącymi na mnie ludźmi i Dorothea trzyma mnie w ramionach. I tak nie słyszy mnie osoba, do której powinno to dotrzeć. Ta świadomość sprawia, że każda cząstka mnie, która nie była owładnięta strachem, zostaje pochłonięta przez rozpacz. Zaciskam dłonie na żakiecie Dorothei i przywieram do niej. — Nie waż mi się umierać, Colton! Potrzebuję cię, do cholery! — krzyczę w sterylną ciszę poczekalni. — Potrzebuję cię tak bardzo, że też tu umieram razem z tobą! — Głos mi się łamię tak, jak serce, i chociaż znajduję częściowe pocieszenie w ramionach Dorothei, szeptach Quinlan i cichej pewności Andy’ego, to nie mogę już tego wytrzymać.

Odpycham się, żeby na nich spojrzeć, po czym beładnie rzucam się w stronę korytarza. Wiem, że tracę kontrolę. Jestem tak otępiała i pusta w środku, że nie mam siły dyskutować z Beckettem i wzniecać w sobie nienawiść do Tawny. Jeśli to przeze mnie Colton tu jest, to ona z pewnością także ma w tym swój udział.

Skrećam w stronę ubikacji, lecz każdy ruch staje się niemożliwie trudny. Opieram się dłońmi o ścianę, żeby się nie przewrócić. Przypominam sobie o oddychaniu i stawianiu jednej stopy przed drugą, ale nie potrafię się na tym skupić, bo mam w głowie wyłącznie to, że mój ukochany mężczyzna walczy o życie, a ja nie mogę nic zrobić. Brak mi nadziei i sił.

Umieram od środka.

Trafiam dłońmi na drzwi i wtaczam się przez futrynę w stronę najbliższej kabiny. Cieszę się, że nikogo tu nie ma. Rozpinam szorty, lecz gdy zsuwam je z bioder, zauważam szachownicę na majtkach. Moje ciało chciałoby uciec, osunąć się nieprzytomnie na ziemię, ale ja nie chcę. Chwytam za szlufki wiszących mi na biodrach szortów. Mój oddech jest niemiłosiernie szybki i kręci mi się w głowie, więc opieram się rękami o ścianę, ale to nic nie daje, bo panika uderza we mnie z całą mocą.

*Gwarantuję ci, że tę flagę na pewno zdobędę.*

Jego dudniący głos działa tak kojąco. Pozwalam, żeby rozlał się we mnie jak klej spajający moje poszarpane wnętrze. Oddycham płytko, charcząc przez zęby i próbuję zatrzymać to wspomnienie. Jego niewiarygodny uśmiech i chłopięcą psotliwość w oczach, zanim pocałował mnie po raz ostatni. Podnoszę palec do ust, bo pragnę poczuć z nim więź, a strach przed nieznanym ciąży mi na sercu.

— Rylee? — jej głos gwałtownie przywraca mnie do rzeczywistości. Wolałabym, żeby sobie poszła i nie naruszała moich wspomnień jego ciepłej skóry, pocałunków i zawłaszczającego dotyku. — Rylee?

Słyszę pukanie w drzwi kabiny.

— Uhm? — bełkoczę w odpowiedzi, bo mój oddech jest wciąż płytki i nieregularny.

— To ja, Quin — mówi łagodnym, lecz nierównym głosem. Dobija mnie, gdy słyszę, że się łamie. — Ry, proszę, wyjdź...

Sięgam dłonią do zamka i otwieram go. Quin otwiera drzwi i patrzy na mnie dziwnie, a twarz ze śladami łez i rozmazane kreski pod oczami uwydatniają jej zdruzgotane spojrzenie. Ściąga usta i wybuchą śmiechem, który jest tak bliski hysterii, że gdy niesie się echem w wykafelkowanym pomieszczeniu, słyszę kryjącą się w nim rozpacz pomieszaną ze strachem. Wskazuje na moje opuszczone szorty i majtki w szachownicę i nie może przestać się śmiać, a łzy na policzkach w dziwny sposób kontrastują z odgłosem wydobywającym się z jej ust.

Zaczynam się śmiać razem z nią. Tylko to mogę zrobić. Łzy nie popłyną, strach nie osłabnie, a nadzieja jest chybota. Śmiech wydaje mi się niewłaściwy. Wszystko jest takie niewłaściwe. Po chwili Quinlan, kobieta, która nienawidziła mnie od pierwszego wejrzenia, obejmuje mnie, a jej śmiech przechodzi w szloch. Przejmujące do głębi szarpnięcia nieokiełznanego strachu. Jej drobne plecy drgają wraz z pogłębiającym się bólem.

— Tak się boję, Rylee — tylko tyle potrafi wykrztusić pomiędzy panicznymi wdechami, ale nie musi nic więcej dodawać, bo czuję dokładnie to samo co ona. Jej pokonana postura, jej przenikliwy żal i siła uścisku odzwierciedlają strach, którego nie potrafię wyrazić, dlatego przywieram do niej z całej siły, bo potrzebuję tej więzi bardziej niż cegokolwiek innego.

Przytulam ją i pocieszam najlepiej jak potrafię, starając się zatracić w roli ciepłego wychowawcy, którą tak dobrze znam. Znacznie łatwiej jest ukoić czyjąś rozpacz niż poradzić sobie z własną. Quin próbuje się ode mnie oderwać, lecz nie potrafię jej wypuścić. Nie mam siły wyjść przez te drzwi i czekać, aż lekarz przyniesie informacje, których boję się usłyszeć.

W końcu wciągam szorty i podnoszę wzrok, żeby spojrzeć na swoje odbicie w lustrze. Przed oczami stają mi na moment prześladowające mnie wspomnienia. Widzę rozbite lustro wsteczne i promienie słońca na jego poszczerbionych i zaplamionych krwią krawędziach, gdy Max wydaje z siebie ostatnie tchnienie. A potem przypomina mi się inne lustro. To użyte w feerii



namiętności, żeby pokazać mi, dlaczego jestem wystarczająca dla Coltona. *Dlaczego wybrał mnie.*

— Chodź — szepcze Quinlan, wrywając mnie z transu. Puszczą mnie i obejmują w pasie. — Nie chcę przegapić żadnych nowych informacji.

## Rozdział 2.

Czas się rozciąga. Każda minuta zdaje się być godziną. A każda z trzech godzin, które upłynęły, wydawała mi się wiecznością. Za każdym razem, gdy rozsuwają się automatyczne drzwi, podrywamy się na krzesłach i opadamy z powrotem. Dookoła podajnika wody walają się plastikowe kubki. Kombinezony są w większości porozpinane i przewiązane w pasie, bo w poczekalni robi się coraz bardziej duszno. Bez przerwy dzwonią telefony, bo ludzie chcą się czegoś dowiedzieć, ale wciąż nie mamy im nic do przekazania.

Beckett siedzi z Andym. Dorothea ma z jednej strony Quinlan, a z drugiej Tawny. Wszyscy szepczą między sobą, a telewizor robi tło dla moich myśli. Siedzę sama i nie licząc Haddie, która bez przerwy do mnie pisze, jestem sama. Nie muszę nikogo pocieszać ani nikt mnie nie pociesza. Z każdą sekundą schizofrenia w moim umyśle staje się coraz głośniejsza.

Skręca mnie w brzuchu. Jestem głodna, lecz na samą myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze. Moja głowa niemiłosiernie pulsuje, lecz cieszę się z bólu i liczę ukłucia, żeby przyspieszyć upływ czasu. Albo go zwolnić — jeśli to jest lepsze dla Coltona.

Piknięcie elektroniki drzwi. Piszczenie butów. Tym razem nawet nie otwieram oczu.

— Mam wiadomości na temat pana Donavana. — Zrywam się na ten głos. Słysząc szum stóp, bo wszyscy wstają i z niepokojem czekają na to, co zostanie powiedziane.

Boję się. Nie mogę ustać. Nie potrafię się ruszyć. Jestem tak obezwładniona przez słowa, które za chwilę padną z ust tego lekarza, że zmuszam się do przełknięcia śliny, ale nadal z przerażenia stoję jak wmurowana.

Zaciskam ręce, wbijając palce w nagą skórę ud. Liczę na to, że ból powstrzyma wspomnienia. Nie chcę powtórki z historii i kolejnego rozbitego samochodu z ukochanym mężczyzną.

Lekarz chrząka, a ja biorę wdech, modląc się i licząc na jakikolwiek skrawek nadziei, którego mogłabym się chwycić.

— Wciąż trwają badania, ale na podstawie wstępnych oględzin możemy powiedzieć, że pan Donovan doświadczył obrażeń narządów wewnętrznych od nagłej utraty prędkości spowodowanej uderzeniem w ogrodzenie. Obrażenia powstały dlatego, że ciało zostało gwałtownie zahamowane, lecz organy wewnętrzne nadal były w ruchu wskutek bezwładności. Na ile możemy powiedzieć...

— Proszę po ludzku — szepczę. Próbuję przebić się przez żargon medyczny i wiem, że gdybym nie błądziła w tej mgłę niepewności, byłabym w stanie go zrozumieć. Lekarz przerywa i chociaż nie potrafię na niego spojrzeć, powtarzam nieco głośniejsz. — Proszę po ludzku, panie doktorze. — Strach mnie przytłacza. Ostrożnie podnoszę wzrok i spoglądam lekarzowi w oczy. Kątem oka widzę, że wszyscy członkowie zespołu patrzą na mnie. — Wszyscy bardzo się martwimy i chociaż pan rozumie swoje słowa, nas ta cała terminologia niemiłosiernie przeraża... — milknę, a on uprzejmie potakuje. — Nasze umysły są teraz zbyt przytłoczone, żeby to wszystko przetworzyć... Czekaliśmy już bardzo długo... Mógłby pan powiedzieć nam to prostszym językiem?

Uśmiecha się nieznacznie, lecz jego oczy pozostają poważne.

— Gdy Colton uderzył w ścianę, samochód się zatrzymał i jego ciało też się zatrzymało, ale jego mózg nadal pędził i uderzył w otaczającą go czaszkę. Na szczęście Colton miał na sobie urządzenie HANS, dzięki któremu nie nastąpiło przerwanie rdzenia kręgowego w karku, ale jego obrażenia i tak są poważne.

Moje serce przyspiesza i brakuje mi tchu, bo mój mózg pieczołowicie produkuje miliony

możliwych scenariuszy, jakie mogą z tego wyniknąć.

— *Czy on...?* — to Andy, który podszedł, stanął między mną i lekarzem i zadał pytanie, którego nie potrafił dokończyć. W pomieszczeniu zapada cisza. Słysząc tylko szuranie stóp, gdy z wstrzymanym oddechem czekamy na odpowiedź.

— Pan Westin, jak się domyślam? — pyta lekarz i wyciąga dłoń do potakującego Andy'ego. — Jestem doktor Irons. Nie będę pana okłamywał... u pana syna w trakcie transportu dwukrotnie nastąpiło NZK... to znaczy dwa razy serce przestało bić.

Czuję, jakby część mojej duszy się zapadła. *Nie opuszczaj mnie. Proszę, nie opuszczaj mnie.* Chciałabym, żeby moje milczące błagania dotarły jakoś do Coltona przez te szpitalne mury.

Andy ściska dłoń Dorothei.

— Po jakimś czasie udało nam się przywrócić regularną pracę serca, co jest dobrym objawem, bo obawialiśmy się, że siła uderzenia mogła rozerwać aortę. Na razie ustaliliśmy, że ma krwiak podtwardówkowy. — Lekarz podnosi wzrok, żeby spojrzeć mi w oczy i dodaje: — To oznacza uszkodzenie naczyń krwionośnych między mózgiem a czaszką i to miejsce wypełniło się krwią. Ma to dwa następstwa: nie dość, że mózg Coltona jest obrzęknięty po uderzeniu w czaszkę, to jeszcze zbierająca się krew wywiera na niego nacisk, gdyż nie ma jak odpłynąć i zmniejszyć to ciśnienie. — Doktor Irons rozgląda się wśród zgromadzonych osób. — W tej chwili stan pacjenta jest dość stabilny, więc przygotowujemy go do operacji. Musimy wejść do środka i zmniejszyć nacisk, aby złagodzić obrzęk.

Dorothea chwyta Andy'ego i przywiera do niego, żeby się nie zachwiać, a jej bezwarunkowa miłość do syna sprawia, że zalewam się emocjami.

— Ile trwa taka operacja? Czy on odzyskał świadomość? Czy ma jeszcze jakieś obrażenia? — Beckett odzywa się po raz pierwszy i wypowiada na głos wszystkie pytania, które chodzą nam po głowach.

Doktor Irons przełyka ślinę, styka palce obu dłoni, tworząc wieżę, i spogląda Beckettowi w oczy.

— Jeśli chodzi o inne obrażenia, są one niewielkie w porównaniu z obrażeniami głowy. Colton pozostaje w śpiączce i na razie nie odzyskał świadomości. Sporadycznie przejawia typowe zachowania przy takich obrażeniach, czyli niespójne mamrotanie, mocowanie się z nami. Jeśli chodzi o pozostałe kwestie, będziemy wiedzieć więcej, gdy rozpoczniemy operację i ocenimy rozmiary krwawienia w mózgu.

Beckett wypuszcza powietrze, które wstrzymywał, a jego ramiona opadają z ulgą, chociaż nie jestem pewna, czy to czasem nie była rezygnacja. Żadna przekazana przez lekarza informacja nie zmniejszyła ciężaru przyniatającego moją duszę. Quinlan podchodzi do przodu i chwyta Becketta za dłoń. Zerka na rodziców, po czym pyta lekarza o to, czego najbardziej się obawiamy.

— Jeśli operacja nie zatrzyma krwotoku... — mówi drżącym głosem, a Beckett kładzie na czubku jej głowy pokrzepiający pocałunek — co... to oznacza? Chodzi mi o to, że rozmawiamy o urazie mózgu, więc jakie są rokowania? — Jej oddech zostaje przerwany pojedynczym stłumionym szlochem. — Jakie są jego szanse?

Lekarz wzdycha głośno i spogląda na Quinlan.

— W tym momencie, przed rozpoczęciem operacji i sprawdzeniem rozległości uszkodzeń, nie mogę określić szans. — Zapada cisza, którą przerywa stłumione westchnienie Andy'ego. Doktor Irons podchodzi do niego, kładzie mu dłoń na ramieniu i czeka, aż Andy podniesie wzrok i spojrzy mu w oczy. — Robimy absolutnie wszystko, co w naszej mocy. Mamy duże doświadczenie w tego rodzaju przypadkach i pański syn w pełni korzysta z naszych kwalifikacji. Proszę zrozumieć, że nie określam procentowych szans nie dlatego, że stan jest

tragiczny, lecz dlatego że muszę zdobyć więcej informacji o tym, z czym się mierzymy. Gdy je zdobędę, będę w stanie nakreślić plan działania. — Andy potakuje nieznacznie, pocierając palcami oczy, a doktor Irons podnosi wzrok i rozgląda się po wszystkich twarzach w pomieszczeniu. — Colton jest silny i zdrowy, a to zawsze lepiej. Widzę też, że jest otoczony miłością wielu osób... Wiedźcie państwo, że zabiorę ze sobą tę wiedzę na salę operacyjną. — Uśmiecha się nieznacznie, po czym odwraca się i wychodzi.

Nikt się nie rusza. Wszyscy są w szoku.

Pozwalamy, żeby brutalne słowa lekarza przesaczyły się przez naszą podziurawioną determinację. Myśli i emocje stopniowo się uspokajają i ludzie powoli zaczynają się przemieszczać.

Ale ja nie potrafię.

On żyje. Nie jest martwy jak Max. Żyje.

Tępe uczucie ulgi jest zbyt słabe, żeby zrównoważyć silny strach przed nieznanym. I w żadnym stopniu nie uśmierza głęboko zakorzenionego w duszy lęku. Czuję na skórze klejące palce klaustrofobii. Robię długi wydech, żeby nieco zahamować wydzielanie potu, który gromadzi się na górnej wardze i który spływa strużką po kręgosłupie. Mam wrażenie, że tlen wychodzi z moich płuc, nie docierając do ciała.

Znowu różne obrazy migoczą mi przed oczami. Max zmienia się w Coltona. Colton w Maxa. Krew płynąca strużką z jego ucha. Krew w kącikach jego ust. Krew rozprysnięta po całym wnętrzu zmasakrowanego samochodu. Moje imię wymęczone przez jego usta. Jego błagania, które odciskają się piętnem w mojej pamięci. Wypalają się jak tatuaż, który będzie mnie prześladował do końca życia.

Dreszcz niepokoju przeradza się w ulewę paniki. Potrzebuję świeżego powietrza. Muszę wyrwać się z napięcia panującego w tej pieprzonej poczekalni. Potrzebuję barw i czegoś żywego i pełnego energii, jak Colton. Czegoś innego niż monochromatyczny obraz i przytłaczające wspomnienia.

Zmuszam się do wstania i niemal wybiegam z poczekalni, ignorując wołania Becketta. Chwiejnym krokiem zmierzam w stronę wyjścia, bo tym razem dźwięk rozsuwanych drzwi mnie przyciąga, oferując chwilę wytchnienia od hysterii, która wysysa moją nadzieję.

*„Wywołujesz we mnie uczucia, Rylee...”*

Wypadam przez drzwi. Wspomnienie muska moją duszę, lecz uderza mnie jak nieoczekiwany cios w żołądek. Oddycham głośno, a ból promieniuje na każdą komórkę nerwową. Biorę poszarpany wdech. Potrzebuję czegoś, czegokolwiek, co pomoże mi uzyskać siłę niezbędną do stawienia czoła temu, że Colton może nie przeżyć operacji. Albo nocy. Albo świtu.

Potrząsam głową, żeby pozbyć się trucizny toczącej moje myśli. Skręcam za róg budynku i wpadam w sam środek istnego armagedonu. Nagle błyska chyba ze sto fleszy jednocześnie. Huk zadawanych pytań jest tak potężny, że przytłacza mnie swoim impetem. Natychmiast zostaję otoczona i przyparta do muru, a mikrofony i kamery wycelowane w moją twarz rejestrują, jak tracę kontakt z rzeczywistością.

— *Czy to prawda, że Colton ma otrzymać ostatecznie namaszczenie?*

Słowa więzną mi w gardle.

— *Co panią łączy z panem Donovanem?*

Wściekłość przybiera na sile, ale jestem przytłoczona nawałem pytań.

— *Czy to prawda, że Colton leży na łożu śmierci z rodzicami przy boku?*

Otwieram i zamykam usta, zaciskam pięści, moje oczy płoną, czuję rozdieranie duszy, a moja wiara w człowieczeństwo rozpada się w pył. Wiem, że wyglądam jak jeleń w świetle reflektorów, ale jestem w potrzasku. Myślałam wcześniej, że czuję na sobie klejące palce

klaustrofobii, ale teraz media są jak dłoń zaciśnięta na tchawicy, która kompletnie pozbawia mnie dostępu do powietrza. Oddycham krótko i płytko. Błękitne niebo wiruje nade mną, a moją świadomość powoli spowija mrok.

Tuż przed tak pożądaną utratą świadomości czuję na sobie uścisk silnych rąk, które nie pozwalają mi osunąć się na ziemię. Całym ciężarem ciała opadam na Sammy'ego i przypomina mi się poprzedni raz, gdy padałam w ramiona mężczyzny. Słodko-gorzkie migawki zapomnianych tabliczek aukcyjnych i zatrzaśniętych drzwi schowka. Pełne energii zielone oczy i arogancki, zadowolony uśmiech.

*Szelmowski. Buntowniczy. Bezceremonialny.*

Głos Sammy'ego przebija się przez mój zamglony umysł.

— Odsuńcie się! — krzyczy, obejmując mnie w pasie i podtrzymując moje bezwładne ciało. — Udzielimy wam informacji, gdy jakieś otrzymamy. — Niebo znowu rozświetlają błyski fleszy.

Znowu odgłos rozsuwanych drzwi, ale tym razem się nie kulę. Bestia w środku jest znacznie łatwiejsza do opanowania niż ta na zewnątrz. Oddech trochę mi się wyrównuje, a serce zwalnia. Zostaję posadzona na krześle, a gdy podnoszę wzrok, trafiam na badawcze spojrzenie Sammy'ego.

— Co ty sobie, do cholery, wyobrażałaś? Oni pożarliby cię żywcem — rzuca ostro. Ten jaskrawy wybuch emocji ze strony stoickiego ochroniarza uzmysławia mi, że wyjście na zewnątrz było poważnym błędem. Wciąż nie potrafię się odnaleźć w publicznym życiu Coltona i nagle czuję się paskudnie, bo uświadamiam sobie, że gdy siedziałam w środku otoczona przez wszystkich, Sammy był na zewnątrz i pilnował, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

— Przepraszam, Sammy — mówię cicho. — Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem i... Przepraszam.

W jego oczach pojawia się troska.

— Wszystko w porządku? Jadłaś coś? Prawie tam zemdlałaś. Myślę, że powinnaś coś zjeść...

— Nic mi nie jest. Dziękuję — przerywam mu i powoli wstaję. Chyba jest zaskoczony, bo wyciągam rękę i ściskam jego dłoń. — A jak ty sobie radzisz?

Wzrusza nonszalancko ramionami, chociaż jego gest wcale nie wyraża obojętności.

— Dopóki Colton żyje, nic mi nie jest.

Kiwa do mnie głową i zanim zdążę coś odpowiedzieć, odwraca się, żeby wrócić na swój posterunek przed wejściem do szpitala. Przez chwilę patrzę za nim, a bezduszne pytania prasy odbijają się echem w mojej duszy. Zbieram odwagę, żeby wrócić do poczekalni.

Zamykam oczy. Zmuszam się do wzbudzenia jakiegokolwiek uczucia mimo trawiącego moją duszę odrętwienia. Próbuję przebić się przez mgłę rozpacz i przypomnieć sobie jego śmiech, smak jego pocałunków, a nawet jego upartą naturę i zaciętą determinację. Cokolwiek, co pomoże mi odnowić więzy miłości Coltona, które poskładały w całość moje rozbite serce.

*„Nie jesteś nieistotna, Rylee. Niemożliwe, żebyś stała się nieistotna”.*

Wspomnienie błyska w mojej głowie jak iskra krzesiwa rozpalającego na nowo malutki płomyk nadziei. Biorę głęboki wdech i zmuszam się do ruszenia długim korytarzem, na którego końcu wszyscy niecierpliwie czekają. Gdy przechodzę obok pokoju pielęgniarek, słyszę nazwisko Coltona padające w rozmowie dwóch stojących do mnie tyłem pielęgniarek. Zwalniam, żeby wychwycić jakiegokolwiek dodatkowe informacje. Próbuję zignorować przerażającą myśl, że okłamano nas w kwestii powagi sytuacji. Wtedy padają słowa, które zapierają mi dech w piersi.

Sprawiają, że moje serce staje.

A przez całe ciało przechodzi dreszcz.

— Kto jest na sali operacyjnej z Donavanem?  
— Doktor Irons jest lekarzem prowadzącym.  
— Cóż, jeśli miałabym być operowana w takich okolicznościach, to na pewno chciałabym, żeby robił to *Iron Man*.

*Spider-Man.*

Wzdycham głośno i pielęgniarki się odwracają. Wyższa z nich podchodzi i pyta z przechyloną głową:

— W czymś pani pomóc?

*Batman.*

— Jak pani nazwała doktora Ironsa?

*Superman.*

Patrzy na mnie i nieznacznie marszczy brwi.

— Chodzi pani o pseudonim doktora Ironsa?

*Iron Man.*

Nadzieja więźnie mi w gardle i potrafię tylko pokiwać głową.

— Och, tutaj wszyscy na niego mówią *Iron Man*. W czymś pani pomóc?

*Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

Potrząsam głową i robię trzy kroki w stronę poczekalni, lecz zatrzymuję się, opieram się o ścianę i osuwam na podłogę. Przytłacza mnie nadzieja związana z pojawieniem się wszystkich ukochanych superbohaterów Coltona.

Dziecięca obsesja przekształciła się w isierkę nadziei.

Opieram głowę o zgięte kolana i trzymam się kurczowo myśli, że ten zbieg okoliczności musi być czymś więcej niż zbiegiem okoliczności. Kiwam głową na boki i szeptem powtarzam niczym mantrę wszystkie cztery imiona. Na pewno po raz pierwszy są wypowiedziane z taką czcią.

— Colton w dzieciństwie powtarzał to przez sen. — Głos Andy’ego sprawia, że się wzdrzgam. Andy siada przy ścianie obok mnie z ciężkim westchnieniem. Przesuwam się trochę, żeby móc na niego spojrzeć. Wygląda znacznie starzej niż przed rozpoczęciem dzisiejszego wyścigu. Jego oczy emanują smutkiem. Próbuje się uśmiechnąć, ale ponosi sromotną klęskę. Mężczyzna, którego znałam jako pełnego życia, został pozbawiony całego swojego entuzjazmu. — Od dawna już tego nie słyszałam. Właściwie to o tym zapomniałam i teraz ty mi przypomniałaś. — Chichocze słabo, poklepując mnie po kolanie, i rozprostowuje swoje nogi.

— Andy... — szepczę jego imię i obserwuję, jak boryka się z emocjami. Strasznie chciałabym mu opowiedzieć o tych wszystkich znakach i przypadkowym pojawieniu się wszystkich czterech superbohaterów, ale boję się, że pomyśli, iż tracę kontakt z rzeczywistością. Wystarczy, że najprawdopodobniej Beckett tak o mnie myśli.

O ile mogę się teraz czegokolwiek bać.

— Jestem zaskoczony, że ci o nich opowiedział. To była jego sekretna mantra, którą recytował w dzieciństwie, gdy miał koszmar lub był przerażony. Nigdy nie rozmawiał... nigdy nie wyjaśnił, dlaczego ci czterej superbohaterowie tak go uspokajają. — Odwraca się do mnie i jego uśmiech zamiera. — Dottie i ja mogliśmy sobie tylko wyobrażać, przed czym ci bohaterowie mieli go chronić...

Słowa zawisają w ciszy i osiadają na pytaniach, które chcielibyśmy sobie zadać. Czy wie coś, czego ja nie wiem, i czy ja wiem coś, czego on nie wie? Wyciera oczy wierzchem dłoni i wydaje z siebie poszarpane westchnienie.

— On jest silny, Andy... Na pewno z tego... musi z tego wyjść — mówię w końcu, gdy odzyskuję panowanie nad głosem.

Andy tylko potakuje. Obok nas przechodzi kilku lekarzy i serce staje mi w gardle, bo boję

się, że to z powodu Coltona. Andy pociera twarz dłonią, a w jego oczach pojawia się miłość.

— Pierwszy raz, gdy go zobaczyłem, złamał mi serce i skradł je jednym spojrzeniem. — Potakuję, zachęcając go do kontynuowania, bo doskonale wiem, o co mu chodzi. Jego syn zrobił mi dokładnie to samo.

Skradł, złamał, wyleczył i zabrał sobie na zawsze.

— Byłem u siebie w przyczepie i pracowałem nad przerobieniem pewnej sceny. Miałem za sobą długą noc. Quin była chora i w ogóle nie zmrużyłem oka. — Potrząsa głową i zerka na mnie, po czym wraca spojrzeniem na pasek zegarka, którym się bawi. — Byłem już spóźniony na rozpoczęcie zdjęć. Otworzyłem drzwi i niemal się o niego potknąłem. — Przerzywa na chwilę, żeby opanować zbierające się w oczach łzy. — Chyba głośno przekląłem i zobaczyłem, że ta mała istotka skuliła się z przerażenia. Wystraszył mnie, lecz mogłem się tylko domyślać, co spowodowało taką reakcję z jego strony. Nie chciał na mnie spojrzeć, chociaż starałem się mówić najłagodniejszym głosem, jaki potrafię z siebie wydobyć.

Wyciągam rękę i chwytam jego dłoń, ściskając ją, żeby dać mu do zrozumienia, że wiem o demonach Coltona, chociaż nigdy mi o nich nie powiedział. Nawet jeśli nie znam szczegółów, to widziałam dostatecznie dużo, żeby rozumieć istotę sprawy.

— Usiadłem obok niego na ziemi i czekałem cierpliwie, aż zrozumie, że nie zamierzam go skrzywdzić. Śpiewałem jedyną piosenkę, jaka mi się wtedy przypomniała. — Śmieje się. — *Puff the Magic Dragon*. Za drugim razem podniósł głowę i w końcu na mnie spojrzął. *Słodki Jezu*. Zaparło mi dech w piersi. Miał największe zielone oczy, jakie zmieściłyby się na jego bladej twarzyczce, i patrzył na mnie z takim strachem... z tak złymi przeczuciami... że musiałem wykrzesać całą swoją siłę woli, żeby się na niego nie rzucić, bo tak chciałem go przytulić.

— Niewyobrażalne — mruczę i próbuję wycofać dłoń, ale Andy ją ściska, więc ją zostawiam.

— Początkowo nic do mnie nie mówił. Próbowałem na wszelkie możliwe sposoby dowiedzieć się od niego, jak ma na imię i co tutaj robi, ale mi się nie udało. Wszystko straciło znaczenie. Spóźnienie na zdjęcia, stracone pieniądze, wszystko. Byłem zahipnotyzowany przez tego wrażliwego chłopca, którego oczy zdradzały, że widział i przeżył w życiu zdecydowanie zbyt wiele jak na swój wiek. Quinlan miała wtedy sześć lat. Colton był od niej mniejszy, więc uznałem, że musi mieć około pięciu lat. Byłem szokowany, gdy się dowiedziałem później od policji, że jest ośmiolatkiem.

Słucham tej opowieści o pierwszych chwilach w życiu Coltona, w których doświadczył bezwarunkowej miłości. Wtedy po raz pierwszy zamiast strachu pojawiła się jakaś nadzieja. Zmuszam się do przełknięcia śliny.

— W końcu spytałem go, czy jest głodny. Jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Nie miałem w przyczepie zbyt wielu produktów, które smakowałyby dziecku, ale znalazłem snickersa. Przyznaję — mówi ze śmiechem — że strasznie chciałem, żeby mnie polubił... i pomyślałem, że przecież chyba każde dziecko da się przekupić słodyczami, prawda?

Uśmiecham się do Andy'ego i przypominam sobie, że Colton zjada snickersa przed każdym wyścigiem. I że dzisiaj też go jadł. Czuję ściskanie w piersi na tę myśl. Czy to naprawdę było kilka godzin temu? Wydaje się, jakby minęło parę dni.

— Wiesz, rozmawialiśmy z Dottie o tym, czy chcielibyśmy mieć więcej dzieci... ale uznaliśmy, że Quinlan nam wystarczy. Chociaż właściwie powinienem powiedzieć, że ona chciała więcej, a mi wystarczyło jedno. Kurde, byliśmy bardzo zapracowani, sporo podróżowaliśmy i los się do nas uśmiechnął, dając nam zdrową dziewczynkę. Czegóż więcej chcesz? Moja kariera była w rozkwicie, a Dottie dostawała role, gdy tylko chciała. Ale po kilku godzinach z Coltonem nie miałem nawet chwili zawahania. Jak mógłbym odejść od tych oczu i

tego uśmiechu, który musiał być ukryty gdzieś pod tą maską strachu i wstydu? — Po policzku Andy'ego spływa pojedyncza łza, a troska o syna, zarówno ta z przeszłości, jak i aktualna, przetacza się przez niego falami. Podnosi na mnie oczy wypełnione po brzegi emocjami. — Colton jest najsilniejszym człowiekiem, jakiego znam, Rylee — mówi i tłumi szloch. — Chcę, żeby taki był właśnie teraz... Nie mogę go stracić.

Jego słowa wdzierają się głęboko do mojej duszy, bo doskonale rozumiem cierpienie rodzica, który boi się stracić dziecko. Głęboko zakorzeniony strach, do którego nie chcesz się przyznać, lecz który ściska ci serce. Czuję falę współczucia dla tego mężczyzny, który dał Coltonowi wszystko, ale wewnętrzne otępienie nie pozwala mi płakać.

— Nikt z nas nie może, Andy. Colton jest dla nas najważniejszy — szepczę złamanym głosem.

Andy przechyla głowę i obserwuje mnie przez chwilę.

— Bałem się za każdym razem, gdy wsiadał do tego samochodu. *Za każdym pieprzonym razem...* Ale to było jedyne miejsce, w którym zdawał się być wolny od bagażu z przeszłości... Jedyne miejsce, w którym mógł zostawić za sobą prześladowające go demony. — Ściska moją dłoń tak długo, aż podnoszę wzrok i spoglądam mu w oczy. — To znaczy, do niedawna jedyne miejsce. Do momentu, gdy usłyszałem, jak mówi... o tobie. Gdy zobaczyłem, jak się o ciebie troszczy i jak cię traktuje.

Przestaję oddychać i po raz pierwszy zbierają mi się łzy, ale wciąż nie chcą popłynąć. Po tym, jak matka Maxa przez tak długi czas mnie nienawidziła, aprobata ze strony ojca Coltona jest dla mnie bezcenna. Oddycham płytko, próbując opanować tornado targających mną emocji.

— *Kocham go* — tylko tyle jestem w stanie wykrztusić. Tylko o tym jestem w stanie myśleć. Kocham go, chociaż nie potrafię mu pokazać, że wolno mu czuć to samo do mnie. A w świetle aktualnych okoliczności być może już nigdy nie będę miała na to szansy.

Głos Andy'ego wrywa mnie ze szponów kielkującej paniki.

— Colton powiedział, że zachęcałaś go, żeby dowiedział się czegoś o swojej rodzonej matce.

Patrzę w dół i bezmyślnie rysuję palcem okręgi na kolanie. Wiem, że ta rozmowa może potoczyć się dwojako: albo Andy będzie wdzięczny, że próbowałam pomóc jego synowi, albo będzie zły i uzna, że chcę go poróżnić z synem.

— Dziękuję ci za to — wzdycha cicho. — Wydaje mi się, że zawsze mu czegoś brakowało. Może poznanie losów matki w jakimś stopniu wypełni tę lukę. Sam fakt, że o niej mówi i o nią pyta, to poważny krok... — Andy obejmuje mnie i przyciąga do siebie, a ja kładę głowę na jego ramieniu. — Dlatego dziękuję ci, że pomagasz mu na wielu płaszczyznach.

Potakuję, a jego wyznanie sprawia, że zostaję bez słowa. Siedzimy tak razem przez chwilę, wzajemnie się pokrzepiając, chociaż w środku czujemy ogromną pustkę.



## Rozdział 3.

Ten dzień jest po prostu idealny. Niebieskie niebo, słońce grzejące w policzki i kompletna pustka w głowie. Fale rozbijają się o piaszczysty brzeg w nieubłaganym, kojącym następstwie. Jedna za drugą. To tutaj mieliśmy pierwszą randkę. Często tu przychodzę, bo czuję tu jego bliskość. Wspomnienie, coś, czego mogę się uchwycić, skoro nie mogę się już do niego przytulić.

Siedzę, obejmując kolana, i chłonę to wszystko. Pogodziłam się z tym, że w sercu już zawsze będę miała smutek i żal, że nie ma przy mnie Coltona. Jednocześnie jednak wiem, że od czasu, gdy odszedł, nie czułam jeszcze takiego spokoju. Być może to przełom w mojej żalobie — tak przynajmniej twierdzi terapeuta — bo już od kilku dni nie doświadczyłam ataku połączonej ze stłumionymi krzykami ślepej paniki, która trawiła moje myśli i sprawiała, że traciłam kontakt z rzeczywistością. Może w końcu po całym tym czasie jestem gotowa ruszyć do przodu. Nie „pójść dalej”, tylko „ruszyć do przodu”.

Mój wzrok przykuwa pojedynczy samochód na parkingu. Nie wiem, dlaczego. Może chodzi o to, że stoi w pobliżu miejsca, w którym Colton zaparkował swojego astona martina na naszym pierwszym spontanicznym wypadzie — najdroższej na świecie randce na plaży. Patrzę w tamtą stronę z nadzieją, chociaż wiem, że to niemożliwe. Niemożliwe, żeby to on przyjechał dołączyć do mnie.

Widzę jakąś postać podchodzącą do auta od strony drzwi pasażera, która pochyla się, żeby porozmawiać z kierowcą przez otwarte okno. Coś w tej postaci każe mi podnieść się z piasku. Zasłaniam oczy przed blaskiem słońca i wnikliwie oglądam jej profil, bo nagle czuję, że coś jest nie tak.

Bez zastanowienia ruszam w stronę samochodu, a mój niepokój rośnie z każdym krokiem. Nieznajomy wyprostowuje się i na sekundę odwraca twarz w moją stronę. Słońce oświetla jego ciemne rysy, a ja stoję jak wryta i nie umiem złapać oddechu.

*Mój mroczny anioł stojący w blasku.*

— Colton? — wykrztuszam z siebie szeptem, bo mój mózg ma trudności z przyswojeniem tego, co nie powinno być teoretycznie możliwe. Że on jest tutaj, chociaż widziałam, jak kładli jego bezwładne ciało na nosze, i całowałam po raz ostatni jego zimne usta przed złożeniem trumny do ziemi. Serce łomocze mi w piersi, przyspieszając z każdą sekundą wraz z rosnącą nadzieją, która przeplata się z kielkującą paniką.

Mimo że mówiłam szeptem, on odwraca się na dźwięk swojego imienia i patrzy na mnie wzrokiem przepelnionym cichym smutkiem. Zaczyna podnosić rękę, ale przerywa ten gest, bo rozpraszają go otwierające się drzwi samochodu. Zagląda do środka, a potem wraca spojrzeniem do mnie. Na jego wspaniałej twarzy maluje się rezygnacja. Opornie podnosi rękę i macha w moją stronę.

Podnoszę palce do ust, gdy toczący go żal w końcu dociera do mnie i całkowicie pozbawia mnie tchu. Natychmiast czuję jego absolutną rozpacz. Przenika przez moją duszę niczym piorun rozdzierający niebo.

*I w tym momencie rozumiem.*

— Colton! — wołam go ponownie. Tym razem mój zdesperowany krzyk przebija się przez spokojną atmosferę plaży i sprawia, że mewy podrywają się do lotu. Ale Colton, nie oglądając się, wsiada do środka na miejsce pasażera i zamyka drzwi.

Samochód powoli rusza w stronę wyjazdu z parkingu, a ja rzucam się za nim w pogoń. Bolał mnie nogi i płuca, ale jestem zbyt wolna. Nie dogonię go na czas, bo zdaje się stać w miejscu niezależnie od tego, ile przebiegnę. Samochód skręca w prawo na opustoszałą drogę i

wiem, że będzie mnie mijał w drodze na południe. Metaliczny niebieski lakier błyszczący w promieniach słońca, a to, co widzę przez szybę, sprawia, że stoję jak wmurowana.

Minęła chyba cała wieczność od czasu, gdy ostatnio go takim widziałam. Typowy Amerykanin, niebieskie oczy i swobodny uśmiech, który tak uwielbiałam. Ale jego oczy nawet na moment nie odrywają się od drogi.

*Max nigdy się za mną nie oglądał.*

Z kolei Colton patrzy prosto na mnie. Na jego twarzy odciska się mieszanina strachu, paniki i zrezygnowania. Po jego policzkach spływają łzy. Patrzy na mnie przepraszająco i wali pięściami w szyby, szepcząc słowa, których nie jestem w stanie usłyszeć. Cały ten widok rozdziera mi serce i rani duszę.

— Nie! — wrzeszczę, a każda komórka mojego jestestwa skupia się na szukaniu sposobu, żeby mu pomóc i go ocalić.

Wtedy dostrzegam ruch na tylnym siedzeniu i z przejścia padam na kolana. Wbijający się w nie żwir jest niczym w porównaniu z cierpieniem wypalającym dziurę w najgłębszej części mojej istoty. I chociaż ból przekracza wszelkie wyobrażenie, jakaś część mnie patrzy z podziwem i zatracą się w bezwarunkowej miłości, w którą się nie wierzy, dopóki samemu się jej nie doświadczy.

Jej anielska buzia jest obramowana loczkami, które podskakują wraz z ruchami samochodu. Uśmiecha się łagodnie do Maxa, kompletnie nieświadoma gwałtownych protestów Coltona na siedzeniu przed nią. Odwraca się na foteliku i spogląda na mnie. Patrzy na mnie lustrzane odbicie moich fioletowych oczu. Dziecięca ciekawość bierze nad nią górę i uśmiecha się nieznacznie, odprowadzając mnie spojrzeniem. Małe paluszki unoszą się powyżej dolnej krawędzi okna i machają do mnie.

Zapominam o konieczności oddychania. Zmuszam się do jakiegokolwiek myśli, bo właśnie zostałam rozbита na najdrobniejsze kawałeczki i poskładana z powrotem w całość. A mimo to jej widok całkowicie mnie obnażył, pozbawiając mnie przyszłych wspomnień, które nigdy nie nastąpią.

Których nigdy nie odzyskam.

I które nigdy nie były moje.

Siedząc na ziemi, próbuję znaleźć coś, czego mogłabym się chwycić, zanim pochłonie mnie mrok rozpacz, i krzyczę z całych sił imię jedynej osoby, którą można jeszcze ocalić.

— Colton! Stać! Colton! Walcz, do cholery! — Dostaję chryпки przy ostatnich słowach i zaczynam łkać pod wpływem przytłaczającej rozpacz. Kryję głowę w dłoniach i po raz drugi w życiu pozwalam, żeby wchłonął mnie druzgocący mrok. — Nie! — krzyczę.

Jakieś niewidoczne dłonie potrząsają mną i próbują mnie z nim rozdzielić, ale walczę z nimi z całych sił, żeby móc ocalić Coltona.

Ocalić mężczyznę, którego kocham.

— Rylee! — jakiś głos skłania mnie, żebym odwróciła się od Coltona. Za żadne skarby nie odejdę po raz drugi.

Nigdy.

— Rylee! — głos staje się bardziej natarczywy, a niewidoczne dłonie znowu mną potrząsają. Próbuję młócić rękami, ale ktoś trzyma je w stalowym uścisku.

Nagle się budzę i widzę wpatrzony we mnie jasnoniebieskie oczy Becketta.

— To tylko sen, Rylee. Tylko sen.

Moje serce bije w szaleńczym tempie. Połykam łapczywie powietrze, ale moje ciało zdaje się go nie przyjmować. Nie nadążam z kolejnymi oddechami. Pocieram twarz drżącą dłonią, żeby się pozbierać. To było tak realne. Niemożliwe, lecz tak realne... chyba że... chyba że Colton...

— Becks — wypowiadam jego imię prawie bezgłośnie szepcąc. Resztki snu wirują mi w głowie i zaczynam rozumieć, dlaczego Colton był z Maxem i moją córką.

— O co chodzi, Ry? Jesteś blada jak trup.

Słowa więzną mi w gardle. Nie mogę mu wyjawiać, co mam w głowie. Jąkam się, próbując znaleźć jakieś słowa, lecz przerywa nam kobiecy głos.

— Czy jest tu rodzina Coltona Donavana?

Wszyscy w poczekalni wstają i gromadzą się przy wejściu, przy którym stoi niska kobieta w odzieży medycznej i odwiązuje maskę chirurgiczną. Ja także wstaję. Strach każe mi podejść do samego przodu, w czym pomaga mi Becks. Gdy stajemy obok rodziców Coltona, chwyta mnie za rękę. To jedyny sygnał, że jest równie przerażony jak ja.

Kobieta rozgląda się wśród nas i potrząsa głową z wymuszonym uśmiechem.

— Nie, chcę rozmawiać z jego najbliższą rodziną — oznajmia. Słyszę zmęczenie w jej głosie, na co mój umysł zaczyna produkować jeszcze więcej myśli.

Andy wychodzi przed wszystkich i chrząka.

— Tak, jesteśmy tu wszyscy.

— Widzę, ale chciałabym udzielić informacji tylko najbliższej rodzinie i na osobności, zgodnie z polityką szpitala. — Ton jej głosu jest surowy, lecz kojący. Mam ochotę potrząsać nią tak długo, aż powie: „Pieprzyć przepisy” i powie mi wszystko, co wie.

Andy odwraca się i rozgląda wśród nas, po czym wraca wzrokiem do niej.

— Moja żona, córka i ja jesteśmy najbliższą rodziną, ale pozostałe osoby... dzięki nim on jeszcze żyje... więc w moich oczach także są rodziną i zasługują na otrzymanie informacji w tym samym czasie co my. Do diabła z polityką szpitala.

Przez jej twarz przemyka lekki szok, a ja w tej chwili rozumiem, dlaczego przed laty policjanci w szpitalu nie zadawali Andy'emu żadnych pytań, gdy oznajmiał, że Colton będzie spał w jego domu.

Potakuje mu ze ściągniętymi ustami.

— Jestem doktor Biggeti i byłem w zespole operacyjnym doktora Ironsa podczas operacji pańskiego syna. — Kątem oka widzę, że mężczyźni potakują, a kobiety nachylają się, żeby wszystko dobrze słyszeć. Dorothea podchodzi do męża z jednej strony, a Quinlan staje z drugiej i chwyta go za rękę, tak jak Becks za moją. — Colton przetrwał operację i został przeniesiony na OIOM.

Wszyscy jednocześnie wzdychają. Moje serce łomocze w przyspieszonym tempie i kręci mi się w głowie od tych wieści. A więc Colton żyje. Wciąż walczy. Jestem przerażona i on też, ale nadal walczymy.

Doktor Biggeti wyciąga dłoń, żeby uciszyć szepty.

— Na razie wciąż jest sporo niewiadomych. Krwiak i obrzęk były dość rozległe i musieliśmy usunąć niewielką część czaszki Coltona, żeby zmniejszyć ucisk na mózg. W tej chwili obrzęk wydaje się być pod kontrolą, ale muszę podkreślić słowa *w tej chwili*. W takich przypadkach wszystko może się zdarzyć. Najbliższe dwadzieścia cztery godziny są kluczowe i powiedzą nam, w którą stronę podaży organizm Coltona. — Czuję, że Beckett się chwieje, więc puszczam jego dłoń i obejmuję go w pasie. Pociesza mnie to, że jesteśmy tu razem i czujemy to samo. Tym razem nie patrzę sama na to, jak ukochany mężczyzna walczy o życie. — I chociaż mam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze, muszę państwa uprzedzić, że mogły wystąpić uszkodzenia obwodowe, które poznamy dopiero wtedy, gdy Colton się wybudzi.

— Dziękujemy wam — to Dorothea, która podchodzi do zaskoczonej doktor Biggetti i obdarza ją krótkim uściskiem, po czym wraca, ocierając łzy. — Kiedy będziemy mogli go zobaczyć?

Lekarka kiwa głową ze współczuciem.

— Tak jak powiedziałam, na razie trwają przenosiny na OIOM i badanie jego funkcji życiowych. Za jakiś czas będziecie państwo mogli się z nim zobaczyć. — Lekarka zerka na Andy'ego i dodaje: — W tym przypadku muszę przestrzec polityki szpitala i do odwiedzin zostanie dopuszczona tylko najbliższa rodzina.

Andy potakuje.

— Państwa syn jest bardzo silny i ma za sobą poważną walkę o życie. Widać w nim silną wolę życia... która jest bardzo pomocna.

— Serdecznie pani dziękujemy. — Andy wzdycha, po czym mocno obejmuje Dorotheę i Quinlan. Zaciska pięści na ich plecach, zdradzając kotłującą się w nim mieszaninę niepokoju i ulgi.

Lekarka odchodzi i wtedy jej słowa do mnie docierają. Zamykam oczy, żeby skupić się na pozytywach. Colton walczy z całym siłą, żeby do nas wrócić. Żeby wrócić do mnie.

\*\*\*

Kazano nam wszystkim — zarówno rodzinie, jak i znajomym — przejść do innego pomieszczenia, bo zajmowaliśmy całą poczekalnię. Teraz jesteśmy na innym piętrze, bliżej oddziału intensywnej opieki i bliżej Coltona. Ściany w tym pomieszczeniu są pomalowane na kojący, jasnoniebieski kolor, ale ja wcale nie jestem spokojna. Sama myśl, że Colton jest w pobliżu, przyspiesza mój oddech. Niestety, nie jestem najbliższą rodziną, więc nie będę go mogła zobaczyć.

Ta myśl sprawia, że mam problemy z oddychaniem.

Każde moje uczucie jest nagie i obnażone. Czuję się, jakby obdarto mnie do żywej skóry i polewano wodą.

W głowie mam tylko to, że muszę go zobaczyć, żeby nie zwariować.

Stoję twarzą do okien wychodzących na dziedziniec przed szpitalem. Parking jest wypełniony ciężarówkami telewizji i zespołami dziennikarskimi, które próbują zdobyć jakieś informacje, których nie ma konkurencyjna stacja. Obserwuję ich bezmyślnie i cała ta masa zaczyna mi się zlewać. *„Byłaś dla mnie wyraźną jednokolorową iskrą w świecie rozmytych barwnych plam...”*

Jestem tak zatopiona w myślach, że wzdrygam się, gdy czuję czyjaś dłoń na ramieniu. Odwracam głowę i trafiam na zrozpaczone spojrzenie matki Coltona. Wpatrujemy się w siebie przez kilka chwil i bardzo wiele sobie przekazujemy, chociaż nie wymieniamy ani słowa.

Dorothea wróciła z odwiedzin u Coltona. Chciałabym się dowiedzieć, jak Colton się czuje, jak wygląda i czy jest z nim tak źle, jak w prześladujących mnie wyobrażeniach. Otwieram usta, lecz nic nie mówię, bo nie potrafię znaleźć właściwych słów.

Jej oczy są wilgotne, a dolna warga drży od stłumionych łez.

— Ja po prostu... — zaczyna, lecz od razu przerywa. Podnosi dłoń do ust i potrząsa głową. Po kilku chwilach zaczyna od nowa. — Nie mogłam wytrzymać oglądania go w takim stanie.

Próbuję przełknąć ślinę, ale mam wrażenie, że moje gardło się zaciska. Podnoszę rękę do swojego ramienia i kładę na jej dłoni. To jedyne pocieszenie, jakie mogę jej zaoferować.

— Na pewno wszystko będzie dobrze... — mówię te same słowa, które powtarzałam już dzisiaj wielokrotnie. Które nic nie zmieniają, ale i tak je wypowiadam.

— Na pewno — potwierdza z determinacją i krąży wzrokiem po parkingu. — Mam niedosyt, jeśli chodzi o kontakt z nim. Straciłam pierwsze osiem lat jego życia, więc powinnam dostać dodatkowe lata za to, że nie miałam możliwości uratować go wcześniej. Bóg nie może być

tak okrutny, żeby pozbawić go tego, na co zasługuje. — Ogląda się na mnie przy ostatnich słowach, a ja czuję milczącą siłę matki walczącej o swojego syna. — Nie pozwolę na to — z tymi słowami wraca władcza kobieta, która na chwilę straciła swoje opanowanie.

— Mamo... — mówi szlochając Quinlan, która właśnie weszła do poczekalni. Obie się do niej odwracamy. Idzie do nas obserwowana przez wszystkich czekających. Widzę, jak Dorothea zmienia się na twarzy z nieustępliwej obrończyni na matkę pocieszycielkę. Przytula Quinlan i całuje ją w czubek głowy, po czym zaciska mocno powieki i szepcze pokrzepiające słowa, chociaż ma świadomość, że mogą się okazać kłamstwami.

Czuję się jak podglądacz. Chciałabym teraz przytulić się do własnej matki. Dorothea spogląda na mnie znad głowy Quinlan, a jej słowa zapierają mi dech w piersi:

— Teraz twoja kolej.

— Ale ja nie jestem... — Sama nie wiem, dlaczego jestem tak zszokowana tą okazją. Moja wewnętrzna służbistka wdryga się na perspektywę złamania reguł, ale moja ciężko doświadczona dusza wyostrza słuch.

— Tak, jesteś — stwierdza z nieznacznym uśmiechem i szczerością w oczach. — Dzięki tobie poczuł się spełniony, a to jedyna rzecz, której nie potrafiłam mu dać jako matka. Dobija mnie to, lecz jednocześnie skoro znalazł to w tobie... — Nie potrafi dokończyć zdania, a w jej oczach wzbierają łzy, więc po prostu ściska moją dłoń. — Idź.

Ja także ściskam jej dłoń i potakuję, po czym odwracam się i ruszam na spotkanie z mężczyzną, bez którego nie mogę żyć. Strach i nadzieja eksplodują we mnie niczym fajerwerki na atramentowo czarnym niebie.

## Rozdział 4.

Stoję przed pokojem Coltona na oddziale intensywnej opieki medycznej i przygotowuję się do wejścia. Trzęsą mi się dłonie z powodu wielkiej kuli niepokoju, która wyparła strach ścierający się z nadzieją.

Dopiero po chwili jestem w stanie podnieść wzrok i spojrzeć na nieruchome ciało mojego ukochanego mężczyzny. Na obrazach podsuwanych przez wyobraźnię wyglądał znacznie gorzej — więcej krwi i sińców, totalna rzeź — ale nawet to nie przygotowało mnie na jego widok. Nie jest pokiereszowany i nie krwawi, ale leży kompletnie bez ruchu i bez życia. Głowę ma zawiniętą białą gazą. Powieki na wpół przymknięte, a białka oczu pokazują strzępy czegoś, co dzieje się w jego obrzękniętym mózgu. Z każdego miejsca na ciele wychodzą jakieś sondy, a otaczające go monitory bez przerwy pikają. Ale to nie ten cały ten sprzęt medyczny mnie tak rozbija, tylko to, że mój ukochany mężczyzna stracił swoją żywiołowość i ogień.

Podchodzę do łóżka, skanując wzrokiem każdy szczegół jego ciała, jakbym nigdy wcześniej go nie widziała i nie czuła. Jakbym nigdy nie doświadczyła łomotania jego serca na swojej piersi. Wyciągam rękę, bo desperacko pragnę go dotknąć, ale jego dłoń jest zimna i bez życia. Zniknęły nawet uwielbiane przeze mnie zrogowacenia, które tak rozkosznie drapały mnie po nagiej skórze.

Pojawiają się łzy. Płyną niekończącym się strumieniem, gdy na ślepo siadam na krześle obok łóżka. Trzymam go za rękę obiema dłońmi i przyciskam do niej usta, a moje łzy kapią na jego skórę. Płacę jeszcze bardziej, kiedy uświadamiam sobie, że tak dobrze mi znany zapach, który podsycał moje uzależnienie, zastąpiła sterylna woń szpitala. Nie sądziłam, że tak bardzo będę tęskniła za tą drobną, naturalną cechą ukochanego mężczyzny, gdy wszystko inne tak drastycznie się zmieni.

Szeptę coś bez ładu i składu w nasze splecione dłonie.

— Proszę, obudź się, Colton. — Szlocham. — Nie możesz mnie teraz zostawić. Straciliśmy niepotrzebnie tyle czasu i mamy jeszcze tak wiele do zrobienia. Muszę ci kiedyś zrobić paskudny obiad, a ty musisz nauczyć mnie surfować. Musimy pójść na mecz chłopców, a ja muszę kiedyś stać na głównej trybunie, gdy będziesz wygrywał wyścig. — Serce podchodzi mi do gardła na samą myśl o tym, że miałyby znowu wsiąść do samochodu wyścigowego, ale do głowy przychodzą mi kolejne rzeczy, których powinniśmy jeszcze razem doświadczyć. — Musimy kiedyś zjeść lody na śniadanie i naleśniki na kolację. I kochać się w leniwe niedzielne popołudnie. Musimy przeżyć też to, że jak wrócisz do domu, to pchnę cię na drzwi z ogromnej tęsknoty i nienasycenia. Bo jeszcze się tobą nie nasyciłam... — milknę, zamykam oczy i opieram czoło o nasze dłonie, powtarzając szeptem jego imię.

— Wiesz, nigdy jeszcze nie byłem na niego tak wściekły, jak wczoraj w nocy — głos Becketta wrywa mnie z chaotycznego transu.

Podnoszę na niego zamglone łzami oczy. Opiera się o futrynę ze skrzyżowanymi rękami i wpatruje w swojego najlepszego przyjaciela. Wiem, że nie oczekuje ode mnie odpowiedzi, a ja jestem na granicy płaczu, więc udaje mi się tylko wymamrotać coś bez sensu, po czym odwracam się do Coltona.

— Byłem na niego wkurzony setki razy, ale wczoraj naprawdę przegiął. — Becks bierze długi, sfrustrowany wdech. Potem słyszę jego kroki. Siada na krześle naprzeciw mnie i opornie chwyta drugą dłoń Coltona. Patrzy przez chwilę na nieruchomą twarz przyjaciela, a potem odwraca wzrok i spogląda na mnie. — Uzmysłowiłem sobie, że zamierza pozwolić ci odejść bez powiedzenia prawdy i bez walki... — potrząsa głową z niedowierzaniem, a w jego oczach

pojawiają się łzy — i chyba jeszcze nigdy nie byłem tak zdenerwowany i nigdy nie miałem takiej ochoty mu przywalić, jak wtedy, gdy kazał mi wyjść z twojego pokoju.

— W sumie oboje zachowywaliśmy się jak uparte osły — przyznaję. Żałuję, że nie możemy wrócić do pokoju hotelowego i powtórzyć tamtego wieczoru. Przerwalibyśmy tę walkę szybciej, a ja obejmowałabym go nieco mocniej i dłużej. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu chociaż na tyle, żeby ostrzec Coltona przed tym, co się stanie na torze. Ale to i tak nie miałyby znaczenia. Mój brawurowy buntownik uważa się za niezwyciężonego i nie powstrzymałoby go to przed wskoczeniem do samochodu.

Spoglądam znowu na jego twarz, która wcale nie wygląda teraz na niezwyciężoną. Czuję w gardle zbliżający się szloch i próbuję go powstrzymać, ale mi się nie udaje.

— Był przekonany, że nie zasługuje na szczęście, które go spotyka. Nigdy nie zdradził mi żadnych szczegółów, ale wiem, że uważał, iż zasługuje co najwyżej na to, skąd pochodzi, cokolwiek to nie było. Myślał, że nie jest ciębie wart i...

— Jest dla mnie wszystkim — szepczę, a szczerłość moich słów rezonuje w mojej duszy. Mimo smutku w oczach na ustach Becketta pojawia się cień uśmiechu.

— Wiem, Rylee — stwierdza. — Jesteś jego kołem ratunkowym.

Odrywam wzrok od Coltona i spoglądam na Becketta.

— Nie sądzę, żeby go teraz potrzebował. Odeszłam od niego wczoraj po twoim wyjściu — wyznaję i z poczuciem winy opuszczam wzrok na nasze splecione dłonie. — Po tym, co mi powiedział, wydawało mi się, że *nie mogę z nim być na takich warunkach*. Myślałam, że mogę być w pobliżu i pomóc mu wyleczyć stare rany, ale nie mogłam znieść tego, że jestem oszukiwana, więc odeszłam.

— Dobrze zrobiłaś. Potrzebował poczuć na własnej skórze, jak to jest. Zachowywał się jak dupek i wykorzystywał swój lęk, żeby napędzać własną niepewność... Ale poszedł za tobą, Ry. Już samo to oznacza, że ma świadomość, jak bardzo cię potrzebuje.

— No wiem — przyznaję szeptem, który zostaje wchłonięty przez nieustanne pikanie urządzeń. — Chętnie odeszłabym od niego znowu, i to bez oglądania się za siebie, jeśli dzięki temu nie byłibyśmy teraz w tej sytuacji.

Mówię to bez przekonania, bo głęboko w środku wiem, że niezależnie od tego, jaki jest Colton, nigdy nie byłabym w stanie od niego odejść.

Siedzimy w milczeniu, pochłonięci własnymi myślami. Nagle Beckett wstaje, a gwałtownie odsunięte krzesło przerywa aseptyczną ciszę.

— To jakieś gówno. Nie potrafię tu siedzieć i patrzeć na niego, gdy jest w takim stanie. — Jego głos emanuje emocjami.

— Wyjdzie z tego, Becks. Musi — mój głos załamuje się na ostatnich słowach, zdradzając brak pewności.

Beckett zatrzymuje się w drodze do wyjścia, pociąga nosem i odwraca się w moją stronę.

— Ten bałwan jest uparty we wszystkim, co robi, więc lepiej, żeby mnie teraz nie zawiódł. — Skupia się na Coltonie i staje z boku łóżka. Z każdą sekundą żal przeradza się w coraz dzikszą wściekłość. — Zawsze wszystko musi się kręcić wokół ciebie, co, Wood? *Egoistyczny dupek*. Gdy się obudzisz, a wiem, że się obudzisz, bo nie pozwolę ci tak odejść, to skopię ci dupę za to, że musieliśmy się o ciebie martwić.

Wyciąga dłoń i wbrew swoim zrzędlivym słowom kładzie ją na ramieniu Coltona. Po chwili odwraca się i wychodzi.

Zostaję sama z mężczyzną, którego kocham. Przygniata mnie ciężar nieznanego, ale na obrzeżach bólu w końcu zaczyna pojawiać się nadzieja.

## Rozdział 5.

### Colton

Czuję w piersi wyjący silnik, który mówi mi, że żyję. Wyczuwam samochód, zanim zobaczę, jak wystrzela zza zakrętu. Skupiam się na dłoniach. Drżą. Trzęsą się jak cholera. Nie potrafię utrzymać kierownicy. Wszystko mi się wymyka. Kierownica drży pod moimi palcami, które nie są w stanie zapanować nad pierdolonym chaosem dookoła mnie.

Przepadła pewność, którą miałem w jedynym miejscu dającym mi odkupienie. Rozpłynęła się w pierdolonym dymie.

*Co tu się, do cholery, dzieje?*

Odgłos poddającego się i rozdzieranego metalu pomieszany z piskiem opon odbija się echem wokół mnie. Uderza mnie samochód Jamesona. Czuję szarpnięcie, z głowy zostają wytrąsnięte wszystkie myśli, a wspomnienia rozbijają się i zderzają jak nasze samochody.

Najpierw z zaskoczenia uderza mnie myśl o Rylee.

Pierdolony promień światła w spowijających mnie ciemnościach. Słońce przebijające się przez dym i chaos kolizji. Jedyny wyjątek od moich reguł. Dlaczego słyszę jej łkanie w słuchawkach i widzę ją w oddali zgiętą wpół wskutek szoku? Coś jest nie w porządku. Kurewsko nie w porządku.

*Ale co? Jak?*

Mimo tego całego dymu widzę wyraźnie jej twarz. Fioletowe oczy obdarzające mnie czymś, na co nie zasługuję — pieprzonym zaufaniem. Błagające mnie, żebym ją wpuścił i pozwolił jej wyleczyć to, co zostało zniszczone w przeszłości. Przeszłości, od której nie ucieknę, nawet gdybym pojechał prosto na pierdoloną ścianę.

Widzę, jak mój samochód unosi się w dymie, ponad cholerne strzępy porozrywanego zaufania i beżużytecznej nadziei. Tracę oddech i czuję, jakby za chwilę miało mi rozerwać pierś. Jakby miała eksplodować niczym granat odłamkowy ze wspomnieniami, które rozprysną się w takie zakamarki umysłu, że nie będę w stanie ich zlokalizować. Obserwuję to z zewnątrz, ale wszystko czuję — siłę obrotów, napięcie mięśni, potrzebę mocnego trzymania kierownicy. Moja przyszłość i przeszłość wirują wokół mnie jak pieprzone tornado. Tracę kontrolę nad wszystkim. Borykam się ze strachem i z bólem, który na pewno za chwilę nastąpi.

Przed którym nie mam szans uciec.

Rozsypane odłamki... na torze i w mojej głowie.

Przypadkowo trafiają w stojącą obok biedną duszę. A ja miałem w tym swój udział. Przełykam kulę pożerającego duszę strachu, który wbija się w moją psychikę, bo nawet w trakcie lotu, gdy powinienem być wolny od wszystkiego, wciąż czuję *jej* obecność. *On też tu jest.* Zawsze o nich pamiętam.

*Colty, jeśli będziesz nieposłuszny, będziesz cierpieć. Bądź teraz grzecznym chłopcem i poczekaj na niego. Gdy jesteś niedobry, dzieją się niedobre rzeczy, mój chłopcze.*

Miażdżenie metalu i jego męskie chrząkanie.

Zapach destrukcji i jego alkoholowy odór.

Moje ciało objijające się w otaczającej mnie ochronnej klatce i jego mięsiste palce, które się do mnie dobierają i mnie zawłaszczają.

*Powiedz, że mnie kochasz. Powiedz to!*

*Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię.*

Cieszę się z kolejnego zderzenia, bo strąca te słowa z mojego języka. Widzę to, czuję i słyszę jednocześnie, jakbym był we wszystkich miejscach naraz. W samochodzie i poza nim.



Słyszę rezonujący, rozpoznawalny odgłos miazdzonej blachy. Wpadam w stan nieważkości i przez chwilę nie czuję bólu. Wiem, że wypowiedzianie tych *dwóch słów* skutkuje wyłącznie cierpieniem.

Pierdolona trucizna zżerająca mnie kawałek po kawałku, aż nie zostanie nic z tego, kim teraz jestem.

Paraliżuje mnie cholerny strach, który jest niczym pieprzony dynamit eksplodujący w komorze próżniowej.

Moje ciało rzuca się do przodu, jakby Rylee mnie do tego zachęcała, lecz ramię mnie więzi i nie pozwala mi się ruszyć. Tak jakby wspomnienie o *nim* wstrzymywało mnie w miejscu. Jego nieubłagane objęcia nie pozwalają mi odejść, chociaż walczę z ciemnością, którą mnie wypełnia. Ze słowami, które kazał mi mówić, pozbawiając je na zawsze normalnego znaczenia.

Czuję pełną siłę uderzenia — samochodu o bandę, serca o pierś, nadziei rozbijającej się o demony — ale widzę jedynie Rylee, która przechodzi przez ścianę. I *jego*, podchodzącego do mnie, gdy ona odchodzi.

— *Rylee!* — wołam za nią. Pomóż mi. Uratuj mnie. Ocal. Nie odwraca się i nie reaguje. Moja nadzieja przepadła.

*Jestem zepsuty...*

Obserwuję samochód i czuję jego ruchy, gdy powoli się zatrzymuje. Nie wiem, jaki jest stopień zniszczeń, bo zaczyna pochłaniać mnie ciemność.

*...i tak bardzo skrzywiony...*

Mój ostatni oddech oporu — przeciw niemu i przeciw niej — bo tracę siły do walki.

*Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

— Tracimy go. Zapaść!

*Zastanawiam się, czy śmierć boli...*

— Colton, wracaj. Walcz, do cholery!

## Rozdział 6.

Minuty stają się godzinami.

Godziny dniami.

Czas się nam wymyka, skoro tyle go straciliśmy.

Nie chcę odchodzić od łóżka Coltona. Zbyt wiele osób opuściło go w życiu, a ja nie chcę tego zrobić wtedy, gdy najbardziej mnie potrzebuje. Więc bez przerwy do niego mówię. Opowiadam mu o wszystkim i niczym, ale to nie pomaga. Nie reaguje, nie rusza się... A mnie to dobija.

Sporadycznie pojawiają się i znikają jego rodzice, Quinlan i Becks. Członkowie zespołu i Tawny przychodzą codziennie w odwiedziny i otrzymują nowe informacje. Jestem pewna, że Becks pilnuje, żeby Tawny trzymała się ode mnie z daleka i nie pogarszała mojego beznadziejnego stanu.

Piątego dnia nie potrafię już tego wytrzymać. Pragnę poczuć go przy sobie. Pragnę poczuć fizyczny kontakt. Ostrożnie odsuwam wszystkie przewody na bok i delikatnie wpełzam na łóżko obok niego. Kładę głowę na jego piersi, a dłoń na jego sercu. W momencie, gdy czuję jego ciało, pojawiają się łzy. Uspokaja mnie bicie jego serca, które bije mocno i zdecydowanie obok mojego ucha. To znacznie lepsze niż pikanie monitora, na którym musiałam polegać w kwestii jego aktualnego stanu.

Przytulam się do niego. Chciałabym, żeby mnie objął. Chciałabym poczuć jego głos rezonujący w klatce piersiowej. Drobne gesty, których nie ma.

Leżymy tak przez chwilę i zaczynam odpływać w objęcia snu, gdy nagle coś mnie budzi. Przysięgłabym, że to głos Coltona. Słyszałam mantrę z superbohaterami, burzliwe westchnienie z jego ust. Zaznajamiam się na nowo z nieznanym otoczeniem, a serce wali mi jak oszalałe. Znajomy wydaje mi się jedynie leżący obok mnie Colton, ale nawet on nie przynosi ukojenia mojej wzburzonej psychice, bo jest inny niż kiedyś. Jego palce drgają przez chwilę i znowu jęczy. Nie są to słowa, które mnie obudziły, ale głęboko w środku wiem, że wzywa właśnie *ich*. Prosi ich, żeby wyciągnęli go z tego koszmaru.

Nie wiem, jak go ukoić. Chciałabym móc wpełznąć do jego ciała i sprawić, żeby poczuł się lepiej, ale nie potrafię. Więc robię jedyną rzecz, która przychodzi mi do głowy. Przypomina mi się, co mówił jego ojciec, i zaczynam cicho śpiewać. Myślałam, że nie będę pamiętała słów piosenki, której tak dawno nie słyszałam, ale po kilku problematycznych słowach na początku idzie mi całkiem płynnie.

Próbuję wnieść trochę ciepła w to zimne, sterylne pomieszczenie, śpiewając Coltonowi piosenkę z jego dzieciństwa: *Puff the Magic Dragon*.

Chyba musiałam zasnąć, bo nagle budzi mnie piszczenie butów na podłodze. Podnoszę wzrok i trafiam na uprzejme spojrzenie oddziałowej. Widzę, że ma reprimendę na końcu języka, ale mój błagalny wzrok ją powstrzymuje.

— Kochanie, nie powinnaś leżeć na jego łóżku. Ryzykujesz odłączenie sondy — mówię łagodnie i potrząsa głową, gdy spoglądam jej w oczy. — Ale jeśli tego chcesz podczas mojej zmiany, to obiecuję, że nikomu nie powiem. — Puszczą mi oczko, a ja uśmiecham się do niej z wdzięcznością.

— Dziękuję. Ja po prostu potrzebowałam... — urywam, bo nie wiem, jak przekazać to, że pragnęłam poczuć jakikolwiek kontakt z nim.

Ona poklepuje mnie po ramieniu ze zrozumieniem.

— Wiem, słońce. Kto wie, może to będzie dla niego korzystne w tym stanie? Po prostu

bądź ostrożna, dobrze? — stwierdza. Potakuję, a ona wychodzi z pokoju.

Zostaję sama w niesamowitym poblasku urządzeń, które oświetlają pokój w ciemnościach. Wtulona w jego bok, przechylam głowę i kładę pocałunek w moim ulubionym miejscu na jego szyi, tuż nad krawędzią szczęki. Jego zarost rozrósł się prawie do rozmiarów brody i przyjemnie łaskocze mnie w nos i usta. Wchłaniam go i nie mogę się oderwać. Pierwsza łza wymyka się bezgłośnie, lecz chwilę później spływa ze mnie napięcie ostatnich kilku dni. Leżę przy mężczyźnie, którego kocham, wciąż boję się, że mogę go stracić, i jestem przytłoczona wszystkimi możliwymi emocjami.

Dlatego szepczę jedyne słowa, które są w stanie wyrazić pętający moją duszę strach.

*Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

Po jakimś czasie moje łzy łagodnieją, a ja z powrotem zapadam w objęcia snu.

\*\*\*

Budzę się dezorientowana i mrugam, bo oślepia mnie wpadające przez okno słońce. Docierają do mnie jakieś szepty, ale ten najbardziej zaskakujący wibruje tuż obok mojego ucha.

Nagle przytomnieję, gdy uświadamiam sobie, że ta vibracja to głos Coltona. W ułamku sekundy moje serce zaczyna łomotać, brakuje mi tchu, a nadzieja wystrzela w niebo. Kręci mi się w głowie, gdy siadam i zapominając o otoczeniu, skupiam się na swoim ukochanym mężczyźnie.

— Cześć — to jedyne słowo, jakie potrafię wykrztusić. Nasze spojrzenia się spotykają, a mnie przechodzą dreszcze i drżą mi ręce, gdy widzę, że się obudził i jest w pełni świadomy.

Zerka za moje ramię, po czym wraca spojrzeniem do mnie.

— Cześć — mruczy, a ja czuję nagłą falę radości. Przechyla głowę i obserwuje mnie.

Przez jego twarz przemyka dezorientacja, lecz nie przejmuję się tym, bo najważniejsze, że odzyskał świadomość.

I że wrócił do mnie.

Siedzę tak i wpatruję się w niego przez chwilę. Mój puls szaleje i nie potrafię nic powiedzieć zaskoczona jego przebudzeniem.

— *Iron... Iron Man...* — jąkam, bo dochodzę do wniosku, że powinnam zawołać lekarza. Nie chcę się stąd ruszać. Chciałabym go pocałować, przytulić i nigdy już nie pozwolić mu odejść. On patrzy na mnie z zagubieniem w oczach, co zrozumiałe, skoro właśnie obudził się w takim bałaganie, a ja powiedziałam tylko imię superbohatera.

Zaczynam schodzić z łóżka, ale on łapie mnie za nadgarstek.

— Co ty tu robisz? — Jego oczy szukają w moich odpowiedzi na tyle pytań, że nie wiem, czy potrafię na nie odpowiedzieć.

— Ja... ja... miałeś wypadek — jąkam się, próbując coś wyjaśnić. Łudzę się, że przerażenie pełnące wzdłuż kręgosłupa i chwytające mnie swoimi mackami za kark wynika z tego, że ostatnie dni kosztowały mnie wiele emocji. — Rozbiłeś się w trakcie wyścigu. Twoja głowa... byłeś nieprzytomny przez tydzień... — milknę, bo on mruży oczy i przechyla głowę. Widzę, że próbuje sobie coś przypomnieć, więc pozwalam mu to zrobić.

Znowu zerka za moje ramię, a ja przypominam sobie, że słyszałam w pokoju więcej niż jedną osobę, ale coś w jego spojrzeniu sprawia, że boję się obejrzeć za siebie.

— Colton...

— Odeszłaś ode mnie... — mówi złamanym i niedowierzającym głosem, który ścisza mnie za serce.

— Nie... — Potrząsam głową i chwytam go za dłoń, a w moim głosie słychać strach. — Nie. Ja wróciłam. Wyjaśniliśmy sobie wszystko. I razem się obudziliśmy. — Słyszę w swoich słowach rosnącą panikę, czuję łomotanie serca. Nadzieja, którą właśnie odzyskałam, rozbija się z

trzaskiem o ziemię. — *Powiedzieliśmy sobie, że się wyścigujemy.*

Colton powoli kręci głową na boki z absolutnym niedowierzaniem.

— Nie, wcale nie. — Znowu zerka za moje ramię, uwalnia dłoń i podaje ją osobie za moimi plecami. — Odeszłaś ode mnie. Próbowałem cię gonić, ale nie wiedziałem, gdzie poszłaś. I ona znalazła mnie w windzie. — Na jego twarzy w końcu pojawia się pokrzepiający uśmiech, którego tak potrzebowałam... Ale nie jest skierowany do mnie.

Brakuje mi tlenu. Krew odpływa mi z twarzy, a każdą cząstkę mojej duszy ogarnia przenikliwie zimno, bo uwielbianym przeze mnie uśmiechem, który był zarezerwowany tylko dla mnie, została obdarzona osoba stojąca za mną.

— Colton nie potrafił sobie wszystkiego przypomnieć, *laluniu* — głos za moimi plecami rani moje uszy i łamie mi serce. — Więc przypomniałam mu niektóre zdarzenia — mówi Tawny, przechodząc w moje pole widzenia i pociera nos z protekcyjnym uśmiechem. — To, że odeszłaś i że zszedł się ze mną. — Porusza językiem w ustach, jej oczy błyszczą, a zwycięski uśmiech coraz bardziej się poszerza. Komunikat jest jasny i czytelny.

Ja wygrałam.

Ty przegrałaś.

Cały mój świat się rozpada, przed oczami pojawia się ciemność i pozostaje mi już tylko pustka.

## Rozdział 7.

Zrywam się ze snu. Płuca łapczywie wchłaniają powietrze, a zamroczony umysł próbuje znaleźć coś realnego, na czym mógłby się oprzeć. Krzyk na moich ustach zamiera, bo uświadamiam sobie, że jestem z Coltonem sama. Wciąż trzymam głowę na jego piersi i obejmuję go w pasie ramieniem.

Czuję krążącą w organizmie adrenalinę i biorę drżący wdech. To był tylko sen. *Jasny gwint, to był tylko sen.* Powtarzam to sobie na okrągło i próbuję się skupić na jednostajnym pikaniu monitorów i zapachu szpitala. Jeszcze niedawno tego nienawidziłam, lecz teraz to pikanie i zapach stanowią dowód na to, że nic się nie zmieniło. Że Colton nadal jest w śpiączce, a ja wciąż liczę na cud.

Ale na taki bez udziału Tawny.

Kładę się z powrotem obok Coltona. Koszmar błakający się jeszcze na obrzeżach świadomości sprawia, że cała drzę z niepokoju. Jestem tak zatopiona w myślach o koszmarze wypadku i koszmarze z Tawny, że gdy opada adrenalina, powieki robią się ciężkie. Rozpływam się w kojących objęciach snu i czuję dłoń, która gładzi mnie po włosach i zastyga na plecach. Na wpół świadoma zatapiam się w to kojące uczucie. Wtulam się bliżej, przyjmując płynące z niego ciepło i spokój.

Wtedy to do mnie dociera. Podnoszę głowę i patrzę na Coltona. Łkanie zamiera mi w gardle, serce staje w miejscu, a dusza doświadcza gwałtownego przebudzenia.

Zamieram, gdy natrafiam na jego spojrzenie. W głowie mam płataninę myśli, z których najbardziej wyróżnia się ta, że Colton do mnie wrócił. Colton się przebudził, żyje i jest ze mną. Nie odrywamy od siebie wzroku; w jego oczach dostrzegam przebłyski zagubienia i czegoś nieznanego.

— Cześć — uśmiecham się niepewnie i nie wiem, dlaczego jakaś część mnie jest nerwowa. Colton oblizuje usta i zamyka oczy, a ja wpadam w panikę, że znowu stracił przytomność. Na szczęście znowu je otwiera i mruży. Jego usta się rozchylają, jakby chciał coś powiedzieć.

— Ciiiiii — mówię, kładąc palec na jego ustach. — Miałeś wypadek. — Marszczy brwi i próbuje podnieść głowę, ale jest dla niego za ciężka i nie daje rady. Potem podnosi wzrok, chcąc zobaczyć grube bandaże na głowie. — Miałeś operację. — Jego oczy powiększają się z przerażenia, a ja rugam się w myślach za to, że się tak zacynam i nie wyrażam się jaśniej. Monitor za moimi plecami pika coraz szybciej, a jego odgłosy zaczynają wypełniać pokój. — Teraz już jest wszystko w porządku. Wróciłeś do mnie. — Widzę, że próbuje to pojąć i czekam na pojawienie się iskry w jego oczach, ale jej nie ma. — Pójdę po pielęgniarkę.

Przesuwam rękę, żeby się podeprzeć na łóżku, ale Colton zaciska na moim nadgarstku leżącą na materacu dłoń. Potrząsa głową i krzywi się pod wpływem tego ruchu. Odruchowo kładę drugą dłoń na jego policzku. Jego skóra blednie, a na grzbiecie nosa pojawiają się kropelki potu.

— Nie ruszaj się, dobrze? — mówię łamiącym się głosem i przyglądam się badawczo jego twarzy w poszukiwaniu oznak bólu. *Jakbym była w stanie to rozpoznać.*

Potakuje nieznacznie i szepcze niemal bezgłośnie:

— Boli.

— Wiem — odpowiadam i sięgam za łóżko, żeby przycisnąć guzik wzywający pielęgniarkę. Czuję wzbierającą w sercu nadzieję. — Zadzwońię po pielęgniarkę, żeby poradziła coś na ból, dobrze?

— Ry... — jego głos znowu się załamuje, a emanujący z niego strach trafia mnie odłamkiem w serce. Robię jedyną rzecz, która moim zdaniem może go ukoić, i muskam ustami jego policzek, zastygając przez chwilę w tym pocałunku. Próbuję opanować gorączkę emocji, które uderzają mnie jak tsunami. Łzy spływają po policzkach i kapią na jego twarz, a moim ciałem wstrząsają ciche łkania. Słyszę ciche westchnienie, a gdy się odrywam, jego oczy są zamknięte, a umysł znowu pogrążony w ciemnościach.

— Wszystko w porządku? — głos pielęgniarki wyrywa mnie z transu.

Odwracam do niej głowę, nie odrywając dłoni od twarzy Coltona. Na jego ustach widać ślady moich łez.

— Obudził się... — nie potrafię wykrztusić nic więcej, bo ogromna ulga wypłukuje ze mnie wszystkie słowa. — Obudził się.

\*\*\*

W ciągu następnych kilku dni Colton budzi się jeszcze kilkakrotnie. Krótkie przebliski świadomości we mgle nieświadomości. Za każdym razem przez te kilka minut, które z nami jest, próbuje coś bezskutecznie powiedzieć, a my staramy się ukoić jego strach, którego oznaką jest gwałtownie przyspieszający puls.

Nie chcę wychodzić, bo boję się, że przegapię jedną z takich cennych chwil. Kilka skradzionych minut, w trakcie których mogę przerwać nieustanny niepokój i udawać, że nic się nie stało.

Dorothea w końcu przekonuje mnie, że powinnam pójść na stołówkę i chwilę odetchnąć. Chociaż nie mam na to ochoty, wiem, że przywłaszczam sobie jej syna i że przypuszczalnie chciałaby pobyc z nim chwilę sam na sam.

Odbieram zamówiony posiłek, chociaż w ogóle nie mam apetytu. Dżinsy wiszą na mnie bardziej niż tydzień temu, po przylocie na Florydę. Na nic nie mam ochoty, nawet na czekoladę, która w stresie jest moim ulubionym źródłem kalorii.

Dzwoni telefon. Szukam go w pośpiechu, bo mam nadzieję, że to Dorothea, która chce mi powiedzieć, że Colton znowu się ocknął, ale to nie ona. Moja ekscytacja opada.

— Cześć, Had.

— Cześć, kochana. Coś nowego?

— Nie. — Wzdycham, żałując, że nie mam nic więcej do powiedzenia. Haddie przywykła już do tego i chwilę milczy.

— Jeśli on się wkrótce nie obudzi, zignoruję twoje słowa, spakuję dupę w samolot i przylecę do ciebie. — Oto Haddie i jej rzeczowe podejście. Ale nie ma potrzeby, żeby tu była. Siedziałaby tylko i czekała tak jak my wszyscy. Tylko co by to zmieniło?

— Tylko dupę? — Pozwalam, żeby na mojej twarzy pojawił się uśmiech, chociaż wydaje się niestosowny w tym ponurym miejscu.

— Cóż, jest całkiem zgrabna, chociaż nie wiem, czy mnie to stwierdzać... Wiesz, sprężysta i twarda jak skała. — Śmieje się. — Dzięki Bogu! W końcu przemawia przez ciebie dziewczyna, którą uwielbiam. Nadal tam siedzisz?

— Tylko tyle mogę zrobić — wzdycham.

— A co u niego? Wybudził się znowu?

— Tak, wczoraj wieczorem.

— Czyli, zgodnie z tym, co mówił Becks, pięć razy w ciągu dwóch dni? To dobry objaw, prawda? Od zera do kilku razy dziennie?

— Chyba tak... Nie wiem. Wydaje się strasznie przerażony, gdy się budzi. Puls na monitorze niemilośnie przyspiesza, a on nie potrafi złapać oddechu. A przebudzenia są tak

krótkie, że nie mamy czasu wyjaśnić, że wszystko jest w porządku i że z tego wyjdzie.

— Ale widzi was wszystkich przy sobie, Ry. Samo to, że tam jesteście, przekazuje mu, że nie ma się czego obawiać — stwierdza, na co ja mruczę wymijająco. Mam nadzieję, że ma rację i że widok nas wszystkich go uspokaja, a nie skłania do przerażającego wniosku, że leży na łożu śmierci. — A co mówi doktor Irons?

Oddycham głęboko, bo boję się, że wypowiedane słowa mogą się ziścić.

— Twierdzi, że stan Coltona jest stabilny. Że im częściej się budzi, tym lepiej... Ale dopóki nie zacznie mówić całymi zdaniami, nie da się ocenić, czy jakieś obszary mózgu zostały uszkodzone.

— No dobrze — mówi, przeciągając ostatnie słowo tak bardzo, że brzmi niemal jak pytanie. Pytanie o to, czego nie chcę jej powiedzieć. — A czego mi nie mówisz, Ry?

Przesuwam jedzenie na talerzu, a rozsypane myśli krążą wokół upływającego czasu. Przełykam ślinę i biorę drżący wdech.

— Lekarz twierdzi, że czasem zdolności motoryczne ulegają tymczasowemu upośledzeniu...

— I... — Haddie milknie i czeka na moją odpowiedź. — Odlóż ten widelec i mów do mnie. Powiedz mi, czym naprawdę się martwisz. Bez ściemniania. Myłam się już, więc nie musisz mi mydlić oczu.

Jej próba rozśmieszenia mnie wydobywa ze mnie krótki chichot, który przechodzi w westchnienie.

— Lekarz mówi, że Colton może nic nie pamiętać. Czasem w takich przypadkach dochodzi do tymczasowej lub trwałej utraty pamięci.

— A ty się obawiasz, że zapomni wszystko, zarówno dobre, jak i złe chwile? — Nie odpowiadam, bo mi głupio, ale jednocześnie czuję, że moje obawy są uzasadnione. Haddie uznaje, że brak odpowiedzi jest odpowiedzią. — Na pewno cię pamięta, bo przecież nie świrował, gdy leżałaś przy nim w łóżku, prawda? Chwytał cię za rękę, pogładził włosy... To oznacza, że wie, kim jesteś.

— Noo... Ale wiesz, Haddie, właśnie go odzyskałam i na samą myśl o tym, że mogłabym go w taki sposób stracić, czuję paniczny strach.

— Przestań myśleć o tym, co się jeszcze nie zdarzyło. Rozumiem twoje obawy, Ry, masz za sobą dość ciężkie przeżycia, w tym błazeństwa tej idiotki Tawny, dlatego powinnaś odejść od krawędzi, na której siedzisz, i poczekać na rozwój wydarzeń. Nie ma sensu martwić się na zapas, prawda?

Chcę jej odpowiedzieć, ale mój telefon sygnalizuje wiadomość tekstową, więc odrywam go od ucha i zerkam na wyświetlacz. Moje serce gwałtownie przyspiesza, gdy czytam SMS-a od Quinlan: *Obudził się.*

— To Colton. Muszę kończyć.

## Rozdział 8.

### Colton

Ból pulsuje w skroniach jak młot pneumatyczny. Oczy mnie palą, jakbym się obudził po opróżnieniu całego jacka danielsa. W gardle mam gulę i skręca mnie w żołądku.

Skręca mnie tak, jak w tamtym pokoju z zawilgoconym materacem, w którym czułem wilgotne macki strachu na plecach, gdy czekałem na *niego*. W którym mama mnie oddawała, *handlowała mną*... Ale to niemożliwe. Quin jest tutaj. Beckett. I mama z tatą.

*Co się, kurwa, dzieje?*

Zaciskam powieki i próbuję otrząsnąć się z zagubienia, ale efektem jest tylko jeszcze większy ból.

Ból.

Cierpienie.

Przyjemność.

Potrzeba.

*Rylee.*

Oślepiają mnie przebłyski wspomnień, których nie potrafię uchwycić i zrozumieć, ale szybko znikają w ciemnościach.

*Ale gdzie ona jest?*

Próbuję wyrzesać z siebie jakieś wspomnienia i wyciągnąć je na powierzchnię, żeby chwycić się ich jak koła ratunkowego.

Czy ona w końcu rozgryzła, co mnie zatruwa od wewnątrz? Uświadomiła sobie, że ta przyjemność nie jest warta bólu, jaki jej koniec końców zadam?

— Panie Donovan? Jestem doktor Irons. Słyszysz mnie pan?

*Kim ty, do cholery, jesteś?* Gapi się na mnie swoimi niebieskimi oczami.

— Może pan mieć trudności z mówieniem. Przyniesiemy panu trochę wody. Może pan ścisnąć moją dłoń na znak, że mnie pan rozumie?

Po co, do diabła, mam ścisnąć jego dłoń? I dlaczego moja ręka się nie rusza? Jak mam wystartować w dzisiejszym wyścigu, skoro nie jestem w stanie trzymać kierownicy?

Moje serce huczy jak silnik samochodu, w którym powinienem teraz siedzieć.

Ale jestem tutaj.

Wczoraj też się tu obudziłem, z Ry. Obudziłem się z nią... A teraz jej nie ma.

*Czas na flagę z szachownicą, mała...*

Nagle widzę to wszystko bardzo wyraźnie, po czym zapada kompletna ciemność. Obrazy w mojej głowie przypominają podziurawiony film, w którym wyraźne kadry przeplatają się z pustką. Nie potrafię połączyć wszystkich kropek. Nic mi się nie układa w całość poza tym, że jestem kompletnie pogubiony.

Wszystkie oczy w pokoju są skierowane na mnie, jakbym był atrakcją pieprzonego cyrku. *Drodzy państwo, jego następnym wyczynem będzie poruszanie palcami.*

Próbuję poruszyć lewą dłońią. Udaje się, dzięki Bogu.

Znowu mam przebłyski wspomnień. Miażdżony metal, błyskające iskry, gęsty dym.

Uderzenia, przewracanie się, spadanie, szarpnięcia.

*Wygląda na to, że twoi superbohaterowie tym razem się zjawili...*

Mój umysł próbuje rozszyfrować, co to, do cholery, znaczy, ale nic nie wymyśla.

Rylee zniknęła.

*Najwyraźniej wcale nie kochała we mnie tego, co zepsute.*



Próbuję wyrzucić z głowy te bzdurne myśli, ale zamiast tego jęczę, bo czuję nagłe ukłucie bólu.

Max.

Ja.

Odeszła.

Nie może tego znowu przeżywać.

Nie mogę uwierzyć, że byłem tak samolubny, że w ogóle ją o to prosiłem.

— Colton — to znowu doktor — miałeś poważny wypadek. To cud, że przeżyłeś.

*Poważny wypadek?* Przebłycki obrazów w głowie zaczynają się powoli w coś układać, ale wciąż mam luki w ciągu zdarzeń. Próbuję coś powiedzieć, ale mam tak zaschnięte gardło, że wydobywam z siebie tylko chrypięcie.

— Doznałeś obrażeń głowy. — Uśmiecha się, ale wzbudza moją czujność.

*Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby.*

Może i zawdzięczam mu życie, ale nie ma przy mnie jedyne go powodu, dla którego żyję. Była na tyle mądra, że odeszła, bo nie jestem w stanie dać jej tego, czego potrzebuje: stabilizacji, życia bez wyścigów, zadeklarowania się na zawsze.

— Pielęgniarka przyniesie ci trochę wody, żebyś zwilżył sobie gardło. — Zapisuje coś na swoim tablecie. — Wiem, że może ci się to wydawać przerażające, ale wszystko będzie dobrze. Najgorsze już za nami. Teraz musimy wprowadzić cię na ścieżkę do pełnej rehabilitacji.

Ścieżka do rehabilitacji? Dzięki, Panie Oczywisty. Chyba autostrada do piekła.

Nagle moje pole widzenia wypełniają twarze. Mama całuje mnie w policzek, łzy spływają po jej twarzy. Tata ukrywa emocje, ale oczy zdradzają, że jest w rozsypce. Quin się cieszy. Beckett mamrocze coś o byciu samolubnym draniem.

To musi być coś naprawdę poważnego.

Ale ja i tak czuję się odrętwiały. Pusty. Niekompletny.

*Rylee.*

Po kilku chwilach powoli się oddalają. Mama naciska, że powinni dać mi przestrzeń, żebym miał czym oddychać.

A mi właśnie znowu zabrakło powietrza.

Odwracam się, żeby przyjrzeć się rozmytej plamie, którą dostrzegłem kątem oka, i widzę ją.

Stoi w drzwiach. Włosy w nieładzie, twarz bez makijażu, zapadnięte i przeorane łzami policzki, wilgotne oczy, idealne usta ułożone w zaskoczony „O”. Wygląda, jakby przeszła przez piekło, ale i tak jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Uznacie mnie za mięczaka, ale przysięgam, że ona jest jedynym powietrzem, jakie przyjmują moje płuca. Niech mnie szlag, jeśli nie jest wszystkim, czego potrzebuję, lecz na co w ogóle nie zasługuję.

Bawi się telefonem i ma na sobie moją szczęśliwą koszulkę, która wisi na jej ramionach. Z lękiem w oczach rozgląda się po całym pokoju, ale omija mnie.

Oddychaj, Donovan. Kurwa, oddychaj. Nie odeszła. Wciąż tu jest. Antidotum na truciznę, która wypala moją duszę.

W końcu trafia wzrokiem w moje oczy. Widzę w niej swoją przyszłość, zbawienie, jedyną szansę na odkupienie win. Ale jej oczy? Kurwa, przebłykują w nich całkowicie spreczne emocje: ulga, optymizm, niepokój, strach i wiele innych, nieznanych.

*I właśnie na tych nieznanych skupiam uwagę.*

Widzę, że to wszystko rozdziera jej serce. Że byłoby nie w porządku, gdybym kazał jej znowu przez to przechodzić. Ale wyścigi to moje życie. Coś, czego potrzebuję, jak powietrza.

Cóż za ironia, skoro ona jest moim powietrzem. W każdym razie to mój jedyny sposób na ucieczkę przed ścigającymi mnie demonami. Mrocznym szlamem wdzierającym się w każde pęknięcie duszy i zastygającym w niej na zawsze. Nie mogę być egoistą i prosić ją, żeby została przy mnie, skoro muszę być najbardziej egoistycznym dupkiem, jakiego nosiła ziemia.

Nie mogę odpychać jej i jednocześnie błagać, by została.

*Ale jak mam pozwolić jej odejść, skoro każda część mnie należy do niej?*

Z przyjemnością bym się udusił, żeby mogła swobodnie oddychać. Bez obaw. Bez nieustannego strachu.

Całe życie byłem egoistą, lecz w ten sposób po raz pierwszy zachowałbym się altruistycznie.

Powinienem był jej to powiedzieć — wyrzucić z siebie ten pierdolony strach, który trawi moją duszę — ale nie byłem w stanie... dlatego ona o niczym nie wie.

*Spidermanuję cię...*

Słowa, które krzyczą w moich myślach, lecz więzną mi w gardle. Nie wiem, czy kiedykolwiek na tyle wyleczę swoją duszę, żeby jej to powiedzieć.

Wiele lat temu *ona* zabrała mi to wszystko.

A teraz będę musiał za to zapłacić.

Wypuszczając z rąk swoją jedyną i życiową szansę.

Nagle słyszę wyrywający się z jej gardła pojedynczy szloch, w którym słyszę niedowierzanie i udrękę. Drżą jej ramiona i cała się w sobie zapada.

Wiem, że to, czego pragnę, kompletnie nie pokrywa się z tym, co byłoby dla niej najlepsze.

## Rozdział 9.

Patrzy na mnie lekko zamroczony, a z mojego gardła wrywa się niespodziewany szloch. Mój pokiereszowany mężczyzna to dla mnie najpiękniejszy widok na świecie.

Serce przyspiesza mi jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe. Szum w pomieszczeniu powoli cichnie, wszyscy odstepują od łóżka i w milczeniu obserwują naszą wymianę spojrzeń.

Mimo to stoję jak wmurowana i próbuję odczytać emocje, które z zawrotną prędkością przebłyskują w jego spojrzeniu. Zdaje się patrzeć przepraszająco i z zaniepokojeniem, ale w jego oczach kryje się jeszcze jakaś nieznana emocja, która wywołuje trwogę w zakamarkach mojej duszy.

Obok mnie przechodzi pielęgniarka, która muska mnie ramieniem i przerywa mój kontakt wzrokowy z Coltonem. Wkłada mu w usta słomkę, a on łączywie wypija cały kubek wody.

— Musiałeś być naprawdę spragniony, co? — drażni się, po czym dodaje: — Przyniosę ci jeszcze, ale poczekajmy chwilę, żeby to zostało w żołądku i żebyśmy cię nie przepoili.

Próbuję uspokoić przyspieszony oddech, lecz niespecjalnie mi to wychodzi. Czuję obejmujące mnie ramię Quinlan, która pociąga nosem obok mnie, ale w ogóle nie zwracam na nią uwagi. Nie potrafię oderwać wzroku od tego rozmazanego łzami widoku przed sobą.

Pielęgniarka zabiera kartę od doktora Ironsa i wychodzi. Nadal stoję jak skamieniała. Nie potrafię się ruszyć. Patrzę, jak doktor Irons bada Coltona: sprawdza oczy, odruchy kończyn i siłę mięśniową. Zauważam, że czterokrotnie prosi Coltona o zaciśnięcie prawej dłoni, a na twarzy Coltona pojawia się błysk paniki. Nie potrafię oderwać wzroku. Chłonę go w całości, bo boję się, że umknie mi coś z tych pierwszych chwil po jego przebudzeniu.

— Wygląda na to, że wszystko jest w porządku — mówi w końcu doktor Irons po zakończeniu badania. — Jak się czujesz, Colton?

Colton przełyka ślinę i zamyka oczy, krzywiąc się z bólu, po czym znowu je otwiera. Podchodzę o krok, bo chciałabym mu jakoś ulżyć w cierpieniu, a on rozgląda się po twarzach osób w pokoju, próbując odzyskać głos.

— Moja głowa. Boli — mówi chrapliwie. — Ręka? — Kieruje zagubione spojrzenie w stronę prawej ręki. — Stało? Jak długo?

Doktor Irons siada na krawędzi łóżka i mówi mu o wypadku, operacji i o tym, jak długo był w śpiączce.

— Jeśli chodzi o rękę, może to być wynikiem pozostałości po obrzęku mózgu. Musimy cię teraz obserwować i zobaczymy, jakie będziesz robił postępy. — Colton potakuje ze skupieniem na twarzy. — Możesz mi powiedzieć ostatnią rzecz, którą pamiętasz?

Wstrzymuję oddech, a Colton robi głośny wydech. Potem znowu przełyka ślinę i zwilża usta.

— Pamiętam... cztery uderzenia — jego głos brzmi, jakby struny głosowe były posypane żwirem.

— Co jeszcze? — pyta Andy.

Colton spogląda na ojca i nieznacznie potakuje, po czym zamyka oczy, żeby się skupić.

— Mam w głowie same skrawki. Niektóre z nich są niejasne — chrypi, po czym przełyka ślinę, otwiera oczy i spogląda na doktora Ironsa. — Inne... są rozmyte. Wyczuwam je, ale nie potrafię sobie ich przypomnieć.

— To normalne. Czasem...

— Fajerwerki w alei serwisowej — przerywa lekarzowi. — I to, że obudziłem się *przesadnie wystrojony*. — Gdy to mówi, podnosi wzrok i spogląda na mnie, przekazując mi, że

pamięta mnie i niezapomniany sposób, w jaki go obudziłam. Jeden kącik jego ust unosi się w nieznacznym uśmiechu, który kompletnie nie pasuje do bladego koloru jego zazwyczaj opalonej skóry.

Tymi słowami tylko potwierdził to, że już dawno skradł moje serce i odcisnął piętno na całej jego powierzchni.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu, który wyrywa się z moich ust. Odruchowo ruszam do przodu, podchodzę do krawędzi łóżka, a on śledzi wzrokiem moje ruchy. Uśmiecham się szerzej, łzy płyną mi strumieniami po policzkach, a serce rośnie, bo po raz pierwszy od kilku dni czuję ulgę. Wyciągam rękę i ściskam jego leżącą na materacu dłoń.

— Cześć — głupio to brzmi, ale to jedyne słowo, jakie udaje mi się precyzyjnie przez zapchane emocjami gardło.

— Cześć — szepcze, a na jego ustach pojawia się cień tak uwielbianego przeze mnie uśmiechu.

Przypatrujemy się sobie przez chwilę. Nasze usta milczą, lecz oczy prowadzą żywą konwersację. Splatam palce z jego palcami i widzę niepokój w jego oczach, gdy próbuje zareagować, lecz nie potrafi.

— To nic — mówię kojąco, bo nie potrafię się powstrzymać. Przykładam drugą dłoń do jego policzka i cieszę się, że czuję na skórze pulsowanie mięśnia. — Musisz dać jej trochę czasu, żeby wydobrzała.

Próbuje to wszystko przetrwać, a w jego oczach tańczą tysiące emocji. W tym momencie kłujący mnie w piersi strach przed nieznanym zostaje zastąpiony współczuciem dla ukochanego mężczyzny, który musi pogodzić się z tym, że jego zazwyczaj żywiołowe i czułe ciało wcale takim nie jest.

— Rylee ma rację — stwierdza doktor Irons, przerywając naszą milczącą wymianę spojrzeń. — Musisz dać jej trochę czasu. Co jeszcze pamiętasz, Colton? Obudziłeś się przesadnie wystrojony i przeżyłeś cztery uderzenia — ponagliła go, ukrywając dezorientację wynikającą z tego, że nie rozumie słów Coltona. — Co było potem?

— Nie — stwierdza Colton i krzywi się, gdy instynktownie potrząsa głową. — Najpierw uderzenia, potem obudzenie.

Zerkam na Becketta, bo spośród wszystkich zgromadzonych on najlepiej rozumie, że to nie jest właściwa kolejność zdarzeń. Doktor Irons zauważa moje przerażone spojrzenie i potrząsa głową, żeby mi się nie odzywała.

— Oczywiście. Co jeszcze pamiętasz o dniu, niezależnie od kolejności zdarzeń? — Colton patrzy na niego ze zdziwieniem, więc doktor dodaje: — Czasem po tego typu obrażeniach głowy wspomnienia ulegają transformacjom i zmianom. Niektórzy ludzie wszystko pamiętają, lecz myślą kolejność zdarzeń. Dla innych niektóre wspomnienia są bardzo wyraźne, a niektóre zupełnie znikają. Miałem pacjentów, którzy doskonale pamiętali dzień wypadku, lecz mieli luki w innych wspomnieniach i zdarzeniach. Każdy pacjent jest wyjątkowy.

— Jak długo utrzymują się takie luki? — pyta stojący przy łóżku Andy.

— Cóż, czasami krótko, a czasem pozostają na zawsze... Dobrym objawem jest to, że Colton ma jakieś wspomnienia z dnia wypadku. Wygląda na to, że luka w jego pamięci jest niewielka. Wraz z upływem czasu być może uświadomi sobie, że czegoś nie pamięta... Bo tak naprawdę dopóki nikt mu tego nie przypomni, nie będzie miał pojęcia, że czegoś brakuje. — Doktor Irons rozgląda się po nas i wzrusza ramionami. — Na ten moment możemy śmiało zakładać, że odzyskasz wszystkie wspomnienia, Colton, ale zalecam ostrożność, bo mózg to dość skomplikowany organ. Co więcej...

— Hymn państwowy — mówi Colton z ulgą, że wyciągnął z mroków pamięci kolejne

zdarzenie. Chrząka, a ja uśmiecham się, żeby dodać mu otuchy. — Ja... Nie mogę... — Frustracja promieniuje od niego falami, bo nie potrafi nic więcej przywołać. — Co się stało? — Wzdycha, rozglądając się po zgromadzonych, i pociera twarz lewą dłonią. — Byliście tam wszyscy. Co jeszcze się działo?

— Nic na siłę, kochanie — odzywa się Dorothea. — Prawda, panie doktorze?

Odwracamy się do doktora Ironsa, który potakuje, lecz w międzyczasie Colton zasypia.

Wydajemy z siebie zbiorowy jęk, bo obawiamy się, że Colton znowu zapadł w śpiączkę. Nasze umysły produkują myśli z zawrotną prędkością, lecz doktor Irons wyhamowuje naszą panikę.

— To normalne. Będzie wyczerpany po pierwszych kilku przebudzeniach.

Opuszczamy ramiona i wzdychamy z ulgą, ale nadal mamy pewne obawy.

— Wiemy, że Colton, czy raczej jego mózg, jak dotąd funkcjonuje w miarę normalnie — mówi Quinlan, podchodząc do łóżka. — Czego możemy się teraz spodziewać?

Doktor Irons obserwuje Coltona przez chwilę, po czym mówi, patrząc nam kolejno w oczy:

— Cóż, każdy człowiek jest inny. Mogę jedynie powiedzieć, że im więcej czasu zajmie mu przypominanie sobie zdarzeń, tym większa będzie jego frustracja. Czasem nastawienie pacjenta się zmienia i zaczyna być nerwowy lub łagodniejszy, a czasem nic się nie zmienia. W tym momencie możemy jedynie czekać i obserwować, jaki to wszystko ma na niego wpływ na dłuższą metę.

— Czy powinniśmy mu pomóc wypełnić luki w pamięci? — pyta Beckett.

— Jeśli chcecie, to oczywiście, że tak — odpowiada doktor — ale nie da się ze stuprocentową pewnością stwierdzić, jak Colton na to zareaguje.

\*\*\*

Wracam na swoje miejsce przy łóżku. Dorothea podchodzi do mnie i na pożegnanie całuje mnie w policzek. Potem całuje Coltona w czoło.

— Jedziemy do hotelu, żeby trochę odpocząć. Wrócimy rano. Nie waż mi się poddawać. — Oddala się o krok i patrzy na Coltona przez chwilę, po czym uśmiecha się do mnie łagodnie i dołącza do Andy'ego i Quinlan, którzy czekają na nią w korytarzu.

Wzdycham głośno, gdy Beckett zbiera pozostałości po naszym późnym obiedzie, który jedliśmy, czekając niecierpliwie na przebudzenie Coltona. Obserwuję jego metodyczne ruchy znad książki, z której tak naprawdę nic nie wiem. Podkrążone oczy i zarośnięta twarz świadczą o tym, że ostatni tydzień mocno dał mu się we znaki. Wydaje się zagubiony.

— Jak się trzymasz? — pytam cicho, ale wiem, że mnie słyszał, bo zamiera na chwilę, po czym wrzuca ostatnie śmieci do śmietnika.

Odwraca się i opiera biodrami o stół. Wzrusza ramionami, gdy nasze spojrzenia się spotykają.

— Sama wiesz — mówi przeciągłym, rezonującym głosem, który zdążyłam pokochać. — Znam się z nim szesnaście lat i po raz pierwszy zdarzyło nam się tak długo ze sobą nie rozmawiać. — Znowu wzrusza ramionami i spogląda przez okno na ciężarówki telewizyjne na parkingu. — Może i jest wymagającym anielskiej cierpliwości mądrałą, ale brakuje mi go. Nazwiesz mnie mięczakiem, ale trochę go polubiłem.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu, który rozkwita na moich ustach.

— Ja też — szepczę. — Ja też.

Becks podchodzi do mnie i całuje mnie w czubek głowy.

— Jadę do hotelu. Muszę wziąć prysznic i sprawdzić co u brata, a potem wrócę do ciebie,

dobrze?

Czuję kielkujące w środku coraz większe uwielbienie dla niego, bo jest prawdziwym najlepszym przyjacielem.

— A czemu nie zostaniesz tam na noc, żeby się porządnie wyspać? W prawdziwym łóżku, a nie na niewygodnych krzesłach w poczekalni?

— Przyganiał kocioł garnkowi, co? — Chichocze drwiąco i potrząsa głową.

— Wiem, ale ja po prostu nie mogę... A poza tym ja śpię na tych niewygodnych krzesłach — mówię, poklepując krzesło, na którym siedzę. — Te są przynajmniej miękkie, w przeciwieństwie do tych na korytarzu. — Przechylam głowę i obserwuję go, jak sobie to przetrawia. — Obiecuję, że zadzwonię, gdy się obudzi.

Wzdycha głośno i rzuca mi niechętnie spojrzenie.

— No dobrze... Ale zadzwonisz?

— Jasne.

Becks wychodzi, a ja cieszę się, że w końcu w tym szpitalnym pokoju zapadła cisza. Siedzę i patrzę na Coltona. To prawdziwe szczęście, że jest tutaj żywy i że mnie nie zapomniał, bo wtedy byłoby mi znacznie gorzej. Zanoszę w milczeniu modlitwy do niebios i mam świadomość, że muszę powoli zacząć się wywiązywać ze złożonych sił wyższej obietnic w zamian za sprawienie, żeby Colton mógł do mnie wrócić.

Czytam kilka wiadomości od Haddie i odpisuję jej, sprawdzam, co u chłopców, a szczególnie jak Ricky poradził sobie z dzisiejszym sprawdzianem z matematyki, a na koniec piszę do Becketta, że Colton wciąż się nie przebudził i że życzę mu dobrej nocy.

Zbliża się świt, a ja już nie mogę wytrzymać. Zsuwam buty, wyciągam spinkę z włosów i kładę się w jedynym miejscu na świecie, w którym pragnę być.

U boku Coltona.

## Rozdział 10.

Światło poranka pali mnie przez powieki. Próbuję się wybudzić z najgłębszego snu, jakiego doświadczyłam od sześciu dni. Poddaję się jednak i wtulam głębiej w otaczające mnie od tyłu ciepło. Jednak muskanie palców na policzkach natychmiast przywraca mi pełną świadomość, a przez całe ciało przechodzi mnie dreszcz.

— Dzień dobry — szepcze Colton w czubek mojej głowy. Moje serce zostaje zalane mnóstwem emocji, z których najwyraźniejszą jest poczucie pełni.

*Znowu czuję się spełniona.*

Przesuwam się, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

— Żadnych lekarzy. Po prostu tego potrzebuję. Ciebie. Nikogo innego, dobrze? — pyta.

Serio? *A czy niebo jest niebieskie?* Gdybym mogła, porwałabym go z tego sterylnego więzienia, żeby mieć go tylko dla siebie przez jakiś czas. Czyli całą wieczność lub trochę dłużej, gdyby mi pozwolił. Tłumię jednak ten nonszalancki komentarz, a zamiast tego wdycham z zadowoleniem i obejmuję go ciaśniej. Zamykam oczy i wchłaniam wszystkie doznania tej chwili. Tak bardzo chciałabym, żebyśmy byli gdziekolwiek indziej, gdzie moglibyśmy leżeć obok siebie nago i gdzie mogłabym poczuć nieopisaną bliskość. I to, że faktycznie robię coś, co pomaga mi uzdrowić poszatkowaną pamięć i pokiereszowaną duszę.

Leżymy w milczeniu. Trzymam dłoń na jego sercu, a on palcami lewej dłoni rysuje leniwe linie na moim przedramieniu. Chciałabym mu zadać tak wiele pytań, bo w mojej głowie tłoczą się najróżniejsze myśli. Zamiast tego wykrztuszam tylko:

— Jak się czujesz?

Jego palce zamierają na ułamek sekundy i prawie tego nie wyłapuję. To wystarczy, żebym wiedziała, że coś jest nie w porządku poza tym, co oczywiste.

— Całkiem tu fajnie — mówi lakonicznie, co utwierdza mnie w moim przeczuciu. Daję mu chwilę na pozbieranie myśli i zastanowienie się nad tym, co chce powiedzieć, bo wśród wielu rzeczy, jakich dowiedziałam się w ciągu ostatnich kilku tygodni, najważniejsze było uświadomienie sobie, że nie potrafię słuchać, gdy jest to naprawdę ważne.

A teraz to jest ważne.

Więc siedzę cicho, chociaż mój umysł kotłuje się od domniemań.

— Obudziłem się kilka godzin temu — zaczyna. — Słuchałem twojego oddechu. Próbowałem zmusić do ruchu prawą rękę. Staralem się ogarnąć to wszystko, co się stało. Przypomnieć sobie to. Mam to w głowie. Czuję to, ale nie potrafię wyciągnąć tego na powierzchnię... — urywa.

— Co pamiętasz? — pytam.

Strasznie chciałabym się odwrócić, spojrzeć mu w oczy i zobaczyć strach i frustrację, które przypuszczalnie w nich pływają, ale tego nie robię. Daję mu przestrzeń, żeby miał czym oddychać. Żeby uszanować naturalną męską potrzebę bycia silnym i nieokazywania słabości.

— Tyle, co mówiłem — wdycha. — Urywki i fragmenty. Nic się ze sobą nie klei poza tym, że ty jesteś w większości wspomnień. Możesz mi opowiedzieć, co się wydarzyło i jaki był przebieg dnia, żebym mógł sobie uzupełnić luki?

— Uhm — potakuję nieznacznie, uśmiechając się na wspomnienie naszego poranka.

— Pamiętam, że obudziłem się, mając przed oczami najpiękniejszy widok świata: ciebie, nago, na mnie. — Wdycha z uznaniem, budząc z uspienia te części mnie, które były nieaktywne przez ostatni tydzień. Uśmiecham się bezwiednie, gdy widzę jego nabrzmiewającą pod pościelą męskość. Fajnie, że nie tylko mnie kręci to wspomnienie.

— Becks wpadł bez pukania i wkurzył mnie tym. Wyszedł i wydaje mi się, że w kilka sekund po tym, jak trzasnął za sobą drzwiami, twoje spodnie leżały na podłodze, a ty byłaś przyciśnięta plecami do ściany. — Milczymy przez chwilę, rozkoszując się przeskakującymi iskrami. — Słodki Jezu, co ja bym oddał, żeby móc teraz to zrobić.

Wybucham śmiechem i podnoszę się, żeby usiąść i na niego spojrzeć. Pozwala mi na to. Odwracam się do niego, a gdy nasze spojrzenia się spotykają, na mojej skórze zaczynają tańczyć małe iskierki.

— No nie wiem, czy doktor Irons by na to pozwolił — drażnię się i wzdycham cicho z ulgą, że wróciliśmy do stanu sprzed wypadku. Żartujemy, pragniemy się i nawzajem się dopełniamy. Nie mogę się powstrzymać i kładę dłoń na jego policzku. Nienawidzę tego, że tak dawno się nie dotykaliśmy.

— Cóż — stwierdza — z całą pewnością to będzie pierwsza rzecz, o jaką go zapytam, gdy przyjdzie z wizytą.

— Pierwsza rzecz? — dopytuję. Colton odwraca głowę i całuje mnie w dłoń, a ja muszę przełknąć serce, które właśnie podskoczyło mi do gardła. Prosty gest, który zacisnął węzeł wstęgi wiążącej moje serce z jego sercem.

— Trzeba mieć jakieś priorytety — oznajmia z uśmiechem. — Jeśli jedna głowa jest spięrzona, to siłą rzeczy z drugiej trzeba wydobyć jej *maksymalny potencjał*. — Wybucham śmiechem, ale krzywi się i podnosi lewą dłoń do skroni.

W mojej głowie odzywa się alarm i natychmiast podnoszę dłoń, żeby przycisnąć guzik i wezwać pielęgniarkę, ale Colton łapie mnie za rękę. Dopiero po sekundzie spostrzegam, że złapał mnie prawą ręką. Wydaje mi się, że Colton uświadomił sobie to w tym samym momencie co ja.

Przełyka ślinę, przenosi wzrok na swoją rękę i puszcza mnie. Podążam za jego wzrokiem i widzę, że próbuje zacisnąć pięść, bo jego palce drgają gwałtownie. Czoło tuż pod bandażem zaczyna mu lśnić od potu z wysiłku. Gdy już nie mogę znieść patrzenia na jego wysiłki, chwytam jego dłoń i zaczynam ją masować, żałując, że nie mogę mu pomóc.

— Dobry początek — wspieram go. — Małymi kroczkami, dobrze? — Chciałabym go przytulić i wycisnąć z niego cały ból i frustrację, ale wydaje się tak delikatny, że boję się go dotknąć, chociaż zmniejszyłoby to niepokój, który wkrada się w moje myśli. Mój optymizm został poddany ciężkiej próbie w ciągu ostatnich kilku tygodni, a ja nie potrafię się otrząsnąć z przecucia, że to jeszcze nie koniec. Że czeka nas coś jeszcze, jakiś kolejny potężny cios od losu.

— Co jeszcze pamiętasz? — pytam, bo chcę, żeby przestał skupiać się na dłoni.

Opowiada mi cały dzień. Od czasu do czasu brakuje mu jakichś kawałków. Nie są to zbyt ważne szczegóły, ale zauważam, że luki stają się coraz większe, w miarę jak zbliża się do momentu rozpoczęcia wyścigu. A każdy kolejny fragment układanki staje się coraz trudniejszy do wydobycia, tak jakby musiał siłą wyszarpywać wspomnienia z otchłani umysłu.

Daję mu chwilę odpocząć i odnoszę do przylegającej do pokoju łazienki płyn do płukania ust, o który prosił. Gdy wracam, Colton patrzy w stronę okna i potrząsa głową.

— Pamiętam, że byliśmy w przyczepie. Ktoś zapukał do drzwi. — Odwraca wzrok w moją stronę, a w jego zielonych oczach tańczą lubieżne myśli. Siadam na łóżku obok niego. — I że nie zdobyłem pewnej *specyficznego* flagi w szachownicy — mówi i ściga usta.

Wszelki opór jest daremny.

Zawsze tak jest, jeśli chodzi o moją siłę woli i Coltona.

Nachylam się i robię to, czego tak bardzo pragnę: muskam go ustami. Poddaję się potrzebie poczucia więzi z nim i zaspokojenia swojego jedynego nałogu. Wiem, że to niedorzeczne, ale boję się zrobić mu krzywdę. Boję się, że lubieżne myśli wywołane przez to niewinne muśnięcie spowodują ból w jego gojącej się głowie.



Ale w chwili, gdy nasze usta się łączą, a z jego ust wymyka się cichy jęk, który wślizguje się prosto do mojej duszy, nie potrafię już jasno myśleć. Wycofuję się odrobinę, bo chcę się upewnić, że wszystko w porządku, chociaż tak naprawdę chciałabym zatopić się w kuszące mnie jabłko.

Lecz Colton podaje mi je na srebrnej tacy: chwyta mnie lewą dłonią za kark i przyciąga moje usta z powrotem do swoich. Znowu jesteśmy połączeni: wargi się rozchylają, języki splatają się ze sobą. Jednoczymy się w pełnym oddania pocałunku. Nigdzie nam się nie spieszy i rozkoszujemy się naszą niepodważalną więzią. Irytujące pikanie monitorów ginie w hałasie cichych westchnień i zadowolonych pomruków, które zdradzają nasze emocje.

Zatracam się w nim całkowicie. Jeszcze niedawno bałam się, że już nigdy nie poczuję jego smaku, a teraz myślę tylko o tym, czy kiedykolwiek się nim nasycę.

Czuję, że jego usta zastygają. Na jego twarzy pojawia się grymas bólu, a mnie natychmiast zalewa poczucie winy. Posunęłam się za daleko w chęci zaspokojenia swojej egoistycznej potrzeby dodania sobie otuchy. Próbuję oddalić głowę, ale Colton trzyma mnie zdecydowanie lewą dłonią. Dotykamy się nosami i czołami i muskamy się oddechami.

— Daj mi chwilę — szepcze w moje usta. Kiwam głową, bo oddałabym mu całe życie, gdyby poprosił.

— Te ataki są tak nagłe, że czuję się, jakbym dostał młotem kowalskim w głowę — stwierdza po chwili.

Troska natychmiast gasi mój płomień pożądania.

— Przywołam lekarza.

— Nie — odpowiada i uderza lewą dłonią o łóżko, aż trzęsą się poręcze. — W tym miejscu czuję się, jakbym znowu miał osiem lat. — Po tych słowach argument, który miałam na końcu języka, rozpadł się w proch i zniknął. — Wszyscy patrzą na mnie zmartwionym wzrokiem, lecz nikt nie udziela mi żadnych odpowiedzi... Różnica jest taka, że tym razem to ja nie potrafię udzielić odpowiedzi.

Śmieje się cicho, a jego ciało znowu napina się z bólu.

— Colton...

— E-e. Jeszcze nie — powtarza uparcie i gładzi mnie kciukiem po karku, żeby mnie uspokoić, chociaż to ja przecież powinnam uspokajać jego. — Pamiętam wywiad z ESPN. I że zjadłem snickersa. — Szybko odwraca wzrok po tym, jak jego twarz przybiera dziwny wyraz. — Całowałem się z tobą w alei serwisowej, a potem pustka — dodaje, próbując odwieść mnie od pomysłu wezwania lekarza.

— Spotkanie kierowców — pomagam mu. — Becks był na nim z tobą.

— Dlaczego pamiętam zjedzenie batona, a nie spotkanie?

Łączę kropki w myślach, przypominając sobie informację uzyskaną od Andy'ego. Bo zwyczajowy snickers na szczęście jest powiązany z przeszłością Coltona. Z pierwszym uśmiechem losu, jaki spotkał go w życiu.

— Nie wiem. Na pewno ci się przypomni. Nie sądzę...

— Stałaś obok mnie podczas hymnu. Po jego zakończeniu... — milknie, próbując przypomnieć sobie kolejne zdarzenia, a ja czuję gulę w gardle. — Patrzałem, jak Davis pomaga ci pod ścianą, bo chciałem mieć pewność, że jesteś bezpieczna, podczas gdy Becks przeprowadzał ostatnie przygotowania... Pamiętam jeszcze, że gdy stanąłem na swoim polu startowym, miałem bardzo dziwne poczucie *spokoju*, ale nie mam pojęcia, dlaczego... A potem nic, aż do obudzenia się w szpitalu.

Mrowiące uczucie niepokoju, które miałam wcześniej, przeradza się w potężny kopniak. Moje serce nurkuje. Brakuje mi tchu. *On nie pamięta*. Nie pamięta, że powiedział mi

słowa, które posklejały w całość moje złamane serce. Muszę wykrzesać całe swoje opanowanie, żeby ten nieoczekiwany policzek w moją duszę nie uzewnętrznił się w napięciu ciała.

Nie miałam pojęcia, że tak bardzo pragnę usłyszeć to jeszcze raz, szczególnie po tym, jak prawie go straciłam. I że świadomość, iż pamięta ten definiujący nas moment, uleczyłaby ostatnie pęknięcia mojego serca.

— A ty? — wdziera się swoim głosem w moje rozpierzchnięte myśli i całuje mnie w czubek nosa, po czym oddala trochę moją głowę, żeby spojrzeć mi w oczy.

Próbuję zamaskować emocje, które z pewnością w nich widać.

— A ja co? — pytam, zmuszając się do przełknięcia kłamstwa, które utknęło mi w gardle.

Przechyla głowę i patrzy na mnie, a ja się zastanawiam, czy wie, że coś przed nim ukrywam.

— A ty wiesz, dlaczego przed wyścigiem byłem taki *szczęśliwy*?

Zwilżam usta językiem i przypominam sobie, żeby nie przygryzać dolnej wargi, bo wtedy domyśli się, że kłamię.

— Nie — udaje mi się wykrztusić, chociaż serce mi pęka. Nie mogę mu tego powiedzieć. Nie mogę wzbudzać w nim uczuć wywoływanych przez słowa, których nie pamięta, i nie mogę zmuszać go do powtarzania czegoś, co kojarzy mu się z najgorszym horrorem z dzieciństwa.

„...*ale to, co mi powiedziałaś... te dwa słowa... one zamieniły mnie w kogoś, kim już nigdy nie chcę być. Wywołały wspomnienia, demony i tyle straszego gówna...*”.

Jego słowa sprzed wyścigu wdzierają mi się do głowy i tworzą bliznę, którą tylko on będzie w stanie uleczyć. Ale wiem, że chociaż strasznie tego pragnę, a tłumienie tej potrzeby sprawia mi olbrzymi ból, to nie mogę mu tego powiedzieć.

Zmuszam się do nieznacznego uśmiechu i spoglądam mu w oczy.

— Myślę, że byłeś podekscytowany rozpoczęciem sezonu i tym, że sądząc po treningu, miałeś olbrzymie szanse sięgnąć po tę flagę z szachownicą — kłamstwo wytacza się z moich ust i boję się, że Colton mi nie uwierzy. Ale on po chwili uśmiecha się półgębkiem, a ja wiem, że się nie zorientował.

— Wydaje mi się, że byłem wtedy skupiony na zdobyciu więcej niż jednej flagi z szachownicą.

Potrząsam głową, a mój uśmiech zaczyna się chwiać.

Z twarzy Coltona natychmiast znika rozbawienie, a pojawia się troska spowodowana moją nagłą zmianą zachowania.

— Co się dzieje? — pyta i kładzie dłoń na moim policzku. Nie potrafię odpowiedzieć, bo z całych sił skupiam się na powstrzymaniu fali łez. — Nic mi nie jest, Ry. Wszystko będzie dobrze — szepcze pokrzepiająco, obejmując mnie i przyciągając do siebie.

Wtedy tama pęka.

Bo całowanie z Coltonem to jedno, ale wtulenie się we wszechogarniające ciepło jego ramion to coś zupełnie innego. Czuję się, jakbym znalazła się w najbezpieczniejszym miejscu na świecie. Fizyczny aspekt naszej relacji jest bez wątpienia odurzający i niezbędny, ale jednocześnie wiem, że to właśnie to uczucie, gdy obejmuje mnie muskularnymi ramionami i szepcze mi w czubek głowy dodające otuchy zapewnianie, a ja słyszę jego silne i stabilne bicie serca, pozwoli mi przetrwać ciężkie czasy. Takie jak ta sytuacja, kiedy pragnę go na tak wiele sposobów, że nie sądziłam, iż to w ogóle możliwe. I nawet nie brałam tego pod uwagę.

Płaczę z tak wielu powodów, że wszystkie zaczynają się ze sobą mieszać i powoli wygasają wraz z każdą łzą, która spływa dobrze znaną ścieżką po policzku. Płaczę, bo Colton nie pamięta tych słów. Płaczę, bo jest cały i zdrowy, a jego ramiona obejmują mnie ciasno. Płaczę, bo nie miałam szansy doświadczyć tego z Maxem, chociaż na to zasługiwał. Płaczę, bo

nienawidzę szpitala i tego, co reprezentuje, oraz tego, jak wpływa na życie każdej przebywającej w nim osoby i jak je zmienia na dobre albo na złe.

W końcu wyrzucam z siebie wszystkie emocje, które tłumiłam przez ostatni tydzień, i moje katharsis się kończy. Łzy powoli ustają, a ja uświadamiam sobie, że to, co najważniejsze, jest tu, przede mną.

Jesteśmy w stanie temu podołać. *Możemy się na nowo odnaleźć.* W głębi duszy czuję lęk przed tym, że nigdy nie przypomni sobie tak istotnego dla mnie momentu, lecz jednocześnie wiem, że mamy przed sobą tyle nowych momentów i wspólnych przeżyć, iż nie powinnam się dłużej nad sobą użalać.

Moim ciałem znowu zaczynają targać łkania, więc wtulam się mocniej w Coltona.

— Tak się bałam — wykrztuszam. — Byłam przerażona.

— Spider-Man, Batman, Superman, Iron Man — szepcze niemal odruchowo.

— Wiem — potakuję. Ocieram łzy z policzków i oddalam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. — Wzywałam ich, żeby ci pomogli.

— Przykro mi, że w ogóle musiałaś to robić — mówi z taką szczerością w głosie, że patrzę jak zahipnotyzowana w jego źrenice i widzę w nich samą prawdę. On wie, jak bardzo byłam przerażona.

Nachylam się i całuję go po raz kolejny, bo nie potrafię się oprzeć. Chciałabym, żeby także poczuł tę ulgę, która w końcu zadomawia się w mojej duszy. Chcę mu pokazać, że potrafię być silna, gdy on będzie dochodził do siebie. I że może pozwolić, żebym mu pomogła.

— No, no, no. Co ja tu widzę? Śpiąca królewna w końcu otworzyła swoje paskudne oczęta.

Głos Becketta sprawia, że odrywamy się od siebie, a moje policzki pokrywają się rumieńcem.

— Właśnie miałam do ciebie zadzwonić.

— Serio? Naprawdę właśnie to miałaś zrobić? — drażni się, podchodząc do łóżka. — Pocałować następną żabę? Bo mi to wygląda, jakby śpiący królewicz zupełnie cię oczarował.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu.

— Masz rację. I wcale nie jest mi przykro. — Odwracam się i wymieniam z nim uścisk dłoni. — Ale chciałam do ciebie zadzwonić za chwilę.

— Spoko. Wiem, że byś zadzwoniła. — Odwraca się do Coltona z największym uśmiechem, jaki widziałam u niego od dnia wyścigu. — Cóż za przyjemny widok dla moich oczu. Witaj w świecie żywych, człowieku. — Słowa Becketta brzmią surowo, ale wyczuwam drżenie w jego głosie i zauważam wilgotne kąciaki oczu, gdy patrzy na Coltona. Klepie się po ramieniu i dodaje: — Kurde. Ten dziwny wygolony placek na twojej głowie przypuszczalnie sprawił, że wyleciałeś z klubu pięknych ludzi. Jak się czujesz po opuszczeniu krainy Jestem Kurewsko Przystojny?

— Odwal się. Mówisz to z krainy Jestem Kurewskim Błaznem?

Beckett wybucha śmiechem i potrząsa głową.

— W mojej krainie przynajmniej nie mamy tak rozdmuchanego ego, że musimy przerabiać drzwi, żeby się w nich zmieścić.

— To tak mnie witasz po moim powrocie z zaświatów? Czuję twoją miłość, stary. To ja już chyba wolę być pod wpływem przepisanych mi środków odurzających niż się obudzić i słuchać tego gówna. — Colton ściska moją dłoń i zerka na mnie, po czym wraca spojrzeniem do Becketta.

— Naprawdę? Bo ja może i nie przebudziłem się ze śpiączki, ale zapewniam cię, że doznania z odurzenia lekami są niczym w porównaniu z pełną świadomością i doznawaniem

cieplej, mokrej...

— Hola! — Podnoszę ręce i zeskakuję z łóżka, bo nie chcę słyszeć, dokąd zmierza ta konwersacja. Lekki zapach wczorajszego obiadu w koszu podsuwa mi wytłumaczenie pragnienia chwili samotności. — Ja mam dość, chłopaki. Idę na dół rozprostować kości i wyrzucić te śmieci.

— Ej, Ry! No weź... — mówi Becks, rozkładając ręce. — Chciałem powiedzieć: kąpieli. Ciepłej, mokrej kąpieli. — Śmieje się głośno razem z Coltonem, a ja czuję, że świat, który został wytrącony ze swojej trajektorii, został częściowo przywrócony na właściwe tory.

— Jasne — sarkam, wyciągając worek z kosza. — Wierzę ci, że przymiotników „ciepły” i „mokry” używasz wyłącznie w odniesieniu do kąpieli. — Potrząsam głową i łapię spojrzenie Coltona na chwilę. — Wrócę za kilka minut.

## Rozdział 11.

Jest mi o wiele lżej na duszy, gdy wracam korytarzem do pokoju Coltona. Napisałam do jego rodziców i Quinlan, że znowu się obudził, i jestem pewna, że za chwilę tu będą, a teraz zmierzam do końca holu, gdzie dzięki uprzejmości personelu szpitala został umieszczony Colton. Jego pokój zapewnia większą prywatność niż pozostałe, bo trudniej do niego zajrzeć innym odwiedzającym. A tym samym dziennikarze mają mniejsze szanse na zdobycie tak pożądanego zdjęcia.

Tuż przed jego pokojem przychodzi mi do głowy, żeby przynieść mu trochę wody. Odwracam się odruchowo i niemal wpadam wprost na osobę, której w ogóle nie mam ochoty oglądać.

Nigdy.

Absolutnie.

Tawny.

Obie wzdrygamy się na swój widok. Oczywiście ja wyglądam żałośnie z powodu przerywanego snu i kilkudniowych ubrań, a ona jest idealna i gotowa do zdjęć. Muszę przyznać, że trzymała się z dala po reprimendzie Becketta w poczekalni. Lecz gdy obdarza mnie pokrępiającym uśmiechem, nie obchodzi mnie to, że przestała być złośliwa, bo nagle wybuchają we mnie wszystkie nagromadzone przez ostatnie dni emocje.

— Co ty tu robisz? — cedzę przez zaciśnięte zęby. Gdyby odraza była odgłosem, z pewnością brzmiałaby tak, jak mój głos w tej chwili. Wbijam paznokcie w dłonie zaciśnięte w pięści, a każdy mięsień mojego ciała wibruje z oburzenia.

Całą minutę zajmuje jej otrząśnięcie się z szoku, ale gdy w końcu to robi, na jej twarzy pojawia się tradycyjna maska poczucia wyższości.

— Colton się przebudził — oznajmia, wruszając ramionami, a na jej różowych ustach pojawia się cień uśmiechu. — Chce ze mną porozmawiać na osobności — dodaje i unosi podbródek na wypadek, gdybym jeszcze nie wiedziała, że mną gardzi.

— Każdy interes Coltona jest też moim interesem.

— Śnij dalej, laleczko.

— Zetrę ci to zadowolenie z twarzy, Tawny.

— Czyżby ktoś czuł się winny, bo dzień przed wyścigami mieszał Coltonowi w głowie? Każdy wie, że odgrywałaś na nim te swoje małe gierki. Że przez ciebie był zmęczony. I że przez ciebie...

Chwytam ją za ramiona i przyciskam do ściany tak energicznie, że przerywa, bo brakuje jej tchu. Mam w sobie furię w masce spokoju.

— Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Tawny. Powiem to tylko raz, więc lepiej, żebyś słuchała, zrozumiano?

Przełyka ślinę i potakując bierze drżący wdech. Zerka na lewo i prawo, ale w korytarzu nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Nachylam się bliżej. W moich żyłach krąży ogień, a głos jest zimny jak lód.

— To przez ciebie Colton tu jest. Nie przeze mnie. Przez ciebie. W piekle jest osobne miejsce dla takich kobiet, które pieprzą się z facetami innych kobiet, i jeśli dalej będziesz się tak zachowywać, to możesz mieć pewność, że otrzymasz tam pokój ze swoim imieniem. — Ściskam jej ramiona nieco mocniej, ostrzegając ją w ten sposób, że dopiero się rozgrzewam. — Oto, jak będzie, na wypadek, gdybyś nie załapała najnowszego stanu rzeczy i wciąż żyła przeszłością. Colton nie jest już do wzięcia. Jest mój, a ja jestem jego. Czy to jasne? — Nie obchodzi mnie jej

brak odpowiedzi, bo jestem jak w transie i nic mnie nie powstrzyma. Zauważam, że zrobiła wielkie oczy i kontynuuję: — Poza tym, jeśli kiedykolwiek zasugerujesz lub dasz komuś do zrozumienia, że między tobą a Coltonem jest coś więcej niż relacja zawodowa i znajomość rodzinna, to będziesz miała do czynienia ze mną... a gwarantuję ci, że to nie będzie przyjemne. Mało jeszcze w życiu widziałas, *laleczko*. Gdy muszę chronić to, co moje, niszczę wszystko na swojej drodze. — Tawny próbuje się wyrwać z mojego uścisku, ale ja chwytam ją mocniej i nachylam się bliżej. — Poza tym masz traktować mnie z szacunkiem i trzymać ode mnie z dala swoje stado puszczałskich przyjaciółek.

Mimo że nie pozwalam jej się wyrwać, udaje się jej odzyskać nieco panowania nad sobą i odpowiada:

— Bo co?

Kontynuuję, zupełnie ignorując jej pytanie:

— Twoja relacja z Coltonem będzie czysto zawodowa i nie będziesz podkładać mu pod oczy swoich cycków ani żadnych innych swoich *atutów*. Czy to jest jasne, czy mam ci to przeliterować?

Puszczam ją, bo przekazałam, co chciałam, ale wcale nie czuję się lepiej, bo Colton nadal leży na łóżku za ścianą. Tawny taksuje mnie spojrzeniem.

— Cóż, chyba wyraziłaś się jasno... Szkoda, że nie rozumiesz, iż Colton potrzebuje mnie w swoim życiu.

W mgnieniu oka przyciskam ją do ściany przedramieniem i cedzę kilka centymetrów od jej twarzy:

— Twój termin przydatności już dawno minął, *kochanie*. Colton potrzebuje tylko mnie. A jeśli spróbujesz go przekonywać, że jest inaczej, będziesz musiała pożegnać się ze swoją prestiżową pracą... więc lepiej zastanów się dwa razy, zanim cokolwiek powiesz. — Puszczam ją i zaczynam odchodzić, ale odwracam się jeszcze. W jej oczach kipi podobna wściekłość jak w moich. — I wiesz co, Tawny? Colton nie dowie się o tej rozmowie. W ten sposób zachowasz pracę, a on będzie nadal przekonany, że jego przyjaciółka z dzieciństwa i szczenięca miłość jest miłą osobą, za jaką ją uważa, a nie podstępną suką, którą jest w rzeczywistości.

— I tak by ci nie uwierzył. W końcu nadal tu jestem, czyż nie? — mówi do moich pleców. Odwracam się powoli, próbując odzyskać przynajmniej częściową kontrolę nad gotującym się pod powierzchnią gniewem.

— Tak, *na razie* — mówię, unosząc brew, i potrząsam głową z niedowierzaniem — ale zegar tyka, *laleczko*. — Tawny próbuje coś powiedzieć, ale jej przerywam: — Sprawdź, czy nie żartuję. Sprowokuj mnie, bo naprawdę niczego tak nie pragnę, jak udowodnić ci, że mówię teraz całkowicie poważnie.

— Czy jest jakiś problem? — Z zamroczenia wściekłością wyrывa mnie głos wychodzącej z pokoju Coltona pielęgniarki, którą spotkałam u niego wcześniej.

Patrzę na nią, po czym zerkam na chwilę z powrotem na Tawny.

— Nie, nie ma — odpowiadam słodkim głosem. — Ja tylko wyrzucałam *śmieci*. — Posyłam Tawny jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie, po czym wykonuję dziesięć kroków dzielących mnie od pokoju Coltona i wchodzę do środka z uśmiechem na twarzy.

Oddycham z ulgą, bo widzę, że doktor Irons jest zajęty badaniem Coltona, a ja potrzebuję chwili na uspokojenie łomoczącego pulsu i drżących z gniewu palców. Colton zerka na mnie i uśmiecha się lekko, po czym skupia się z powrotem na rozmowie z lekarzem.

Wydecham z drżeniem wstrzymywane powietrze i widzę, że Beckett przechylił głowę i patrzy na mnie zdeorientowany, zastanawiając się, dlaczego mam tak czerwone policzki. Potrząsam głową do niego. Tymczasem doktor Irons postanawia ściągnąć Coltonowi bandaż z

głowy.

Tłumię westchnienie, które ciśnie mi się na usta. W górnej części czaszki po prawej stronie Colton ma wygolony placek z kręgiem szwów o średnicy około pięciu centymetrów. To miejsce jest opuchnięte, a srebrne szwy tworzą przerażający kontrast z różowym nacięciem i ciemną czerwienią zaschniętej krwi.

Colton musiał zauważyć mój wyraz twarzy, bo w trakcie badania wykonywanego przez doktora Ironsa zerka w stronę Becketta i pyta:

— Jak źle?

Beckett przygryza policzek od środka i wykrzywia usta, oglądając ranę, po czym wraca spojrzeniem do Coltona.

— Całkiem paskudnie, stary.

— Tak?

— Tak — potwierdza Beckett, kiwając głową.

— No trudno. — Colton wzrusza ramionami. — To tylko włosy. Odrosną.

— Pomyśl o tym, ile punktów współczucia zarobisz u Rylee, jeśli dobrze to wykorzystasz.

Colton zerka na mnie i błyska uśmiechem.

— Nie potrzebuję mieć u niej żadnych punktów współczucia. — Mam odpowiedź na końcu języka, ale on przenosi wzrok za moje ramię. — Tawny.

Automatycznie przechodzą mnie ciarki po plecach, ale staram się je zignorować. Powiedziałam swoje. Dostała ode mnie wystarczającą ilość liny, żeby się powiesić, sprawdzmy więc, czy woli się huśtać, czy zostać na ziemi.

— Cześć — mówi cicho. — Cieszę się, że się przebudziłeś.

Staję przy łóżku obok Coltona i chwytam go za prawą dłoń, zaznaczając swoje terytorium na wypadek, gdybym nie wyraziła się dostatecznie jasno. Zauważam, że wciąż nie odzyskał pełni władzy w tej dłoni.

— Też się cieszę, że się przebudziłem — odpowiada, po czym krzywi się i syczy pod wpływem badawczego dotyku doktora Ironsa. — Daj mi chwilkę, dobrze?

— Jasne.

Stoimy w milczeniu i obserwujemy badanie Coltona. W końcu doktor odchyła się od niego.

— No dobrze, Colton, więc jakie masz jeszcze pytania, bo na pewno masz jakieś poza tym, o czym już rozmawialiśmy?

Colton spogląda na mnie i dostrzega moje onieśmienie, bo w jego oczach pojawiają się radosne ogniki. Porusza językiem w ustach i uśmiecha się szerzej, unosząc brwi.

— Jeszcze nie, młody człowieku — śmieje się rozbawiony doktor Irons i klepie go po kolanie, bo domyślił się, o jakie pytanie chodzi. Jestem pewna, że na moich policzkach widać ślady zażenowania, ale w ogóle się tym nie przejmuję. — Co ja bym dał, żeby znowu być przed czterdziestką — wzdycha.

Colton wybucha śmiechem i patrzy na mnie intensywnie. Przeskakują iskry, które rozpalają ukrytą żądzę.

— Niezależnie od czasu i miejsca, kochana — powtarza słowa, które powiedział mi w noc, gdy się poznaliśmy.

I nagle wszyscy w pokoju przestają istnieć. Moje wnętrze zwija się z pożądania pod wpływem jego słów i lubieżnego spojrzenia. Patrzy na mnie przez chwilę w akompaniamencie pulsującego mięśnia szczęki, po czym odwraca wzrok do doktora Ironsa. Wzrusza ramionami w udawanych przeprosinach, lecz na jego ustach pojawia się połowiczny, łajdacki uśmiech.

— Przepraszam, ale dałeś mi zakaz i teraz jeszcze bardziej mnie kusi, żeby go złamać.  
Doktor Irons potrząsa głową.

— Zauważyłem, chłopcze, ale konsekwencje... — zaczyna i tłumaczy, że w trakcie rekonwalescencji trzeba pilnować ciśnienia krwi przepływającej przez główne arterie w jego mózgu, a pewne wyczerpujące aktywności mogłyby podnieść ciśnienie powyżej bezpiecznego na tym etapie poziomu. — Coś jeszcze?

— Tak — stwierdza Colton, a ja zauważam wymianę spojrzeń między nim a Beckettem. Spogląda z powrotem na doktora i pyta: — Kiedy będę mógł wrócić do wyścigów?

Spodziewałam się każdego innego pytania, tylko nie tego. Oczywiście wiedziałam, że raczej nie mam co liczyć, iż Colton nie będzie chciał już startować, ale tak bezpośrednie potwierdzenie moich obaw sprawia, że zaczyna mnie ogarniać panika. Chociaż staram się ukryć wywołany jego słowami miniatak niepokoju, moje ciało instynktownie się spina, zaciskam ręce na jego dłoni, a oddech słyszalnie więźnie mi w gardle.

Colton odwraca się od doktora Ironsa, żeby spojrzeć mi w oczy. Doktor najwyraźniej wyczuwa mój niepokój, bo zwleka chwilę z odpowiedzią. W tym czasie Colton przekazuje mi bardzo wiele, lecz jednocześnie broni dostępu do swoich najskrytszych myśli. W chwili, gdy zaczynam wychwytywać coś głębszego, odwraca się z powrotem do doktora.

Tym gestem automatycznie pobudza mój niepokój, chociaż nie mam pojęcia, jaka jest jego przyczyna. A to jeszcze bardziej mnie przeraża. Nawet w normalnym związku coś nieznanego budzi przerażenie, lecz w przypadku Coltona oznacza dodatkowo kompletny mętlik w głowie.

Mój puls przyspiesza od samego pytania, a teraz jeszcze muszę się martwić tajemniczym ostrzeżeniem w jego oczach? O co tu, do cholery, chodzi? Może, jak zasugerował wcześniej doktor Irons, wypadek wpłynął na jego emocje i charakter? Próbuję sobie wmówić, że taki właśnie jest powód i tak chcę to rozegrać, ale głęboko w środku słyszę sygnał ostrzegawczy, który w naszym związku nigdy nie oznacza niczego dobrego.

Doktor Irons chrząka, czym wyrывa mnie z burzliwego transu. Boję się, co odpowie Coltonowi.

— Cóż... — Wzdycha i opuszcza wzrok na tabletki, po czym spogląda z powrotem na Coltona. — Ponieważ zauważyłem, że za każdym razem, gdy ci czegoś *zabraniam*, w praktyce zachęca cię to do jeszcze szybszego spróbowania...

— Szybko się uczysz — żartuje Colton.

Doktor Irons znowu wzdycha, próbując stłumić uśmiech cisnący mu się na usta.

— Teoretycznie musiałbym powiedzieć, że powrót do wyścigów jest złym pomysłem, bo twój mózg został już wystarczająco mocno przetrzepany i nawet, gdy czaszka w pełni wydobrzeje, wciąż będzie miała słabe punkty w miejscach zrostu, które mogą być niebezpieczne... Ale wiem, że niezależnie od moich słów zamierzasz wrócić do wyścigów, prawda?

Muszę usiąść, bo chociaż staram się zachować powierzchowny spokój, poprawne domysły doktora Ironsa zupełnie rozbiły mnie od wewnątrz.

Colton bierze długi wdech i przez chwilę patrzy w stronę okna, a ja dostrzegam szczelinę w jego zbroi. Jest naprawdę niewielka, ale jest. Być może nigdy się do tego nie przyzna, ale bałby się wsiąść do samochodu wyścigowego. Bałby się, że przypomną mu się te wszystkie chwile przed wypadkiem, których teraz nie pamięta. Bałby się, że znowu stanie mu się coś złego. Jest tak pochłonięty myślami, że bezwiednie zabiera mi swoją rękę.

— Masz rację — odzywa się w końcu, a mnie natychmiast przechodzą ciarki. — Wróć. Nie mam innego wyboru... ale dostosuję się do twoich porad i poczekam, aż będę w pełni



zdrowy. Moi lekarze z Kalifornii skontaktują się z tobą, żeby niczego nie przegapić.

Doktor Irons przełyka ślinę i potakuje.

— Dobrze, muszę w takim razie stwierdzić, że jesteś rozsądnym człowiekiem... to znaczy, o ile można mówić o rozsądku w przypadku kogoś, kto zarabia na życie jazdą z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. — Colton uśmiecha się na te słowa. — Przyjdę później sprawdzić, co u ciebie.

Doktor Irons wychodzi i w pokoju zapada niezręczna cisza. Myślę, że to dlatego, iż każdy z nas zastanawia się w milczeniu, co będzie, jeśli (a nie *gdy*) Colton wróci do wyścigów.

Czuję na sobie ciężar przerażenia i nie mam pojęcia, jak sobie z nim poradzić. Bo przecież nie dam rady patrzeć, jak wsiada do niemal identycznego samochodu jak ten, w którym prawie zginął.

Colton przerywa niezręczną ciszę.

— Becks?

— Tak? — Becks podchodzi bliżej i wbija wzrok w swojego przyjaciela.

— Powiedz Eddiemu, żeby wziął moją kartotekę od doktora Ironsa, żebyśmy mogli przestudiować mój przypadek i uzupełnić projekt HANS.

Wiem, że Colton mówi o ściśle tajnym urzędzeniu ochronnym, które miał na sobie w trakcie wypadku i które CD Enterprises zamierza opatentować, dlatego nie rozumiem, dlaczego Beckett ma taki dziwny wyraz twarzy. Rzuca Tawny zaniepokojone spojrzenie, po czym wraca do Coltona.

— Co, Becks? Czego mi nie mówicie? — Najwyraźniej Colton także zauważył ich reakcję.

Becks chrząka i bierze głęboki wdech.

— Zwolniłeś Eddiego kilka miesięcy temu, Colton.

— Co? No weź. Przestań sobie ze mną pogrywać i zdobądź dla niego moją kartotekę, dobrze?

— Nie pogrywam sobie z tobą. Zniknął drugi zestaw schematów, a Eddie miał kupę hazardowych długów i inne problemy. Wyrzuciłeś go, bo zbyt wiele wskazywało na niego — mówi Beckett, a Colton rozgląda się po pokoju, kręcąc głową w jedną i drugą stronę, jakby próbował zrozumieć to, co właśnie usłyszał.

— Serio? — upewnia się. Gdy Beckett potakuje, Colton przenosi wzrok na Tawny, która także potakuje. — O, kurwa — cedzi przez zęby i porusza ramionami, po czym odwraca się w stronę okna. Po chwili wraca spojrzeniem do Becketta — *Kradzież?* W ogóle tego nie pamiętam — mówi z rezygnacją i niedowierzaniem.

Ściskam jego dłoń, a on odwraca się do mnie.

— Hej, to nic takiego. Wszystko ci się przypomni. To tylko tymczasowe — mówię, próbując go pocieszyć najlepiej jak potrafię.

— Ale... jeśli nie pamiętam czegoś takiego, to o czym jeszcze nie pamiętam i nawet o tym nie wiem? — Patrzy na mnie zagubionym wzrokiem, a na jego twarzy przez chwilę pojawia się grymas bólu, który sprawia, że moje serce przyspiesza ze strachu.

— Nie przejmuj się tym, stary. Pomyśl o tym całym gównie, za które normalnie dostałbyś w skórę, a teraz możesz się wyprzeć pod pretekstem amnezji.

Dzięki Bogu za pogodną osobowość Becketta, bo nawet jeśli Colton wciąż próbuje to wszystko ogarnąć, to poczułam w jego dłoni, że częściowo się rozluźnił. Wymieniam spojrzenie z Beckettem i po cichu mu za to dziękuję.

Tawny chrząka cicho i nagle wszyscy czujemy, jakbyśmy zostali wyrwani z prywatnych myśli. Colton robi głęboki wdech i mówi:

— Tawny, chciałbym, żebyś wystosowała oświadczenie prasowe.

— Co chcesz w nim przekazać? — pyta panna Zawsze Rzeczowa, podchodząc do jego łóżka naprzeciw mnie. Colton zbiera myśli, a ona zerka ukradkiem w moją stronę, po czym skupia się na nim i mówi jeszcze łagodniej: — Colton?

— Tak? — odpowiada Colton i podnosi wzrok, słysząc pytanie w jej głosie.

Tawny ściska jego biceps i ogląda ranę na głowie, po czym zabiera rękę, gdy on nie reaguje.

— Tak się cieszę, że z tego wychodzisz.

Wyczuwam szczerą w jej głosie i wiem, że naprawdę tak myśli, ale to i tak nie sprawia, że zaczynam ją lubić.

— Mogło być o wiele gorzej z tego, co mi mówiono, więc też się cieszę. — Colton bierze łyk wody i marszczy brwi w skupieniu. — Powiedz prasie, że już kilka dni temu odzyskałem świadomość. Czuję się coraz lepiej, ruszam z powrotem do Kalifornii, gdy tylko zostanę wypisany, czyli zapewne do tygodnia, i w trymiga wracam na tor. Dziękuję za wsparcie i modlitwy, a zamiast kwiatów i prezentów wolałbym, żeby wpłacili datek na Corporate Cares. Chłopcy potrzebują tego bardziej niż ja.

Tawny odrywa wzrok od telefonu, na którym wszystko zapisywała, i pyta:

— A co z utratą pamięci?

— Nie ich sprawa — stwierdza Colton i znowu zerka na Becketta. Wymieniają porozumiewawcze spojrzenie. — To wszystko. — Tawny podnosi wzrok i patrzy na Coltona, jakby nie rozumiała. — Możesz już iść — mówi Colton, a ja muszę ukryć wyraz szoku na twarzy spowodowany tak niespodziewaną odprawą.

Tawny podnosi głowę, wrzucając telefon do torebki.

— Cóż, hm, no dobrze — odpowiada, oblewając się purpurą, i rusza w stronę drzwi.

— Hej, Tawn? — zatrzymuje ją Colton, kompletnie mnie zaskakując swoim zgryźliwym tonem.

— Tak? — pyta Tawny, odwracając się i stając twarzą do nas.

— Jak już wystosujesz notkę prasową, możesz pozbierać rzeczy i wracać do domu.

Przechyla głowę i patrzy na Coltona przez chwilę. Na jej twarzy maluje się zagubienie.

— Ale lepiej, jeśli jestem tutaj i dogaduję się z mediami...

— Nie — przerywa jej Colton. — Chyba nie rozumiałaś, o czym mówię. — Tawny odruchowo zwilża dolną wargę, bo zaczynają zjadać ją nerwy. Robi krok w stronę łóżka, a Colton dodaje: — Znamy się już ile? Większą część życia? W każdym razie na tyle długo, że wiesz, iż nie lubię, gdy się ze mną pogrywa. — Colton przechyla się w jej stronę. Jej oczy się powiększają, a ja wstrzymuję oddech, zaskoczona jego lodowatym tonem. — Pogrywałaś ze mną, Tawn. A co gorsza, pogrywałaś z Rylee. *I co?* Tego na pewno nie zapomniałem. *Game over*. Pakuj swoje śmieci. Jesteś zwolniona.

Słyszę, jak Beckett głośno wciąga powietrze. Jednocześnie Tawny wykrztusza:

— Ccco? Colton, nie...

— Daruj sobie — mówi Colton, podnosząc dłoń, żeby jej przerwać, i potrząsa głową, demonstrując swoje rozczarowanie. — Oszczędź mi swoich nedorzecznych wykrętów i idź, zanim pogorszysz swoją sytuację.

Tawny patrzy na niego, próbując mruganiem odpędzić łzy, po czym zerka na Becketta, odwraca się na pięcie i pośpiesznie wychodzi z pokoju.

Patrząc za nią i próbując sobie wyobrazić, co musi teraz przeżywać. Straciła zarówno pracę, jak i mężczyznę, który miał być jej miłością życia.

A gdy słyszę za sobą, jak Colton wydaje z siebie głośne westchnienie ulgi, robi mi się jej

szkoda.

Chociaż... *może nie do końca.*

## Rozdział 12.

Stłumiony odgłos wyrywa mnie ze snu. Jestem śmiertelnie zmęczona i pragnę wrócić w objęcia Morfeusza, bo w ciągu ostatnich dwóch tygodni bardzo niewiele spałam, dlatego nie otwieram oczu i uznaję, że to musiał być przelatujący samolot. Ale jestem już świadoma, więc gdy słyszę ten odgłos po raz drugi, wiem, że byłam w błędzie.

Otwieram oczy i jestem wstrząśnięta tym, co widzę. Mój niepokorny zły chłopiec ma mocno zaciśnięte powieki, boleśnie przygryza dolną wargę, a jego twarz jest przesłonięta milczącym żalem spływającym mu po policzkach. Jest kompletnie rozbity. Momentalnie zastygam w niepewności.

Niepewność bierze się stąd, że w ostatnich dniach czułam, iż się od siebie oddaliliśmy. Z jednej strony wydawało mi się, że Colton mnie odpycha i utrzymuje na dystans, bo pilnował, żeby wszystkie rozmowy były powierzchowne. W chwili, gdy podejmowałam poważny temat, zawsze bolała go głowa lub musiał się zdrzemnąć.

Ale oprócz tego zdarzały się dziwne sytuacje, gdy myślał, że nie zwracam na niego uwagi, i patrzył na moje odbicie w oknie pokoju z wyrazem bolesnego oddania na twarzy, albo raczej tęsknoty splecionej ze smutkiem. Takie krótkie spojrzenia zawsze przyprawiały mnie o ciarki na plecach.

Jego ciałem wstrząsa pojedynczy szloch. Powoli otwiera oczy, które emanują ewidentnym bólem. Mój mężczyzna nosi w sobie blizny wyłobione przez łzy małego chłopca. Odwraca wzrok i próbuje się pozbierać, ale uzyskuje tylko tyle, że z powrotem zaciska powieki i zaczyna jeszcze mocniej płakać.

— Colton? — Podnoszę się i wyciągam niepewnie dłoń, ale cofam ją, gdy widzę w jego oczach absolutną rozpacz. Moje wahanie okazuje się słuszne, gdyż Colton patrzy na moją dłoń i potrząsa głową, sugerując, że mój dotyk tylko by go dobił.

Ale ja nie mogę się powstrzymać. Jeśli chodzi o Coltona, to nigdy tego nie potrafię.

Nie mogę mu pozwolić cierpieć w milczeniu z powodu tego, co trawi jego duszę i przesłania cieniem jego twarz. Muszę nawiązać z nim kontakt i pocieszyć go w jedyny sposób, który wydawał się skuteczny w ostatnich kilku tygodniach.

Odpinam pas i zbliżam się do niego, pytając wzrokiem, czy mogę go dotknąć. Nie czekam na odpowiedź, bo nie chcę dawać mu kolejnej szansy na odepchnięcie mnie, tylko siadam mu na kolanach. Obejmuję go ramionami najlepiej, jak potrafię, wtulam głowę w zagłębienie szyi i zastygam w pokrępiącej ciszy.

Trwam przy nim, gdy jego pierś targają spazmy.

A płynące po jego twarzy łzy albo przynoszą oczyszczenie, albo zwiastują nieuchronną katastrofę.

## Rozdział 13.

— Nie potrzebuję pieprzonego wózka inwalidzkiego!

Powtarza to już po raz czwarty i na razie jest to jedyna rzecz, jaką powiedział do mnie od przebudzenia w samolocie. Przygryzam wargę, gdy widzę, jak walczy ze sobą, wpatrując się w pielęgniarkę, która po raz kolejny podjeżdża z tyłu wózkiem, nie komentując ani słowem swojego trudnego pacjenta. Jest wyczerpany wysiadaniem z samochodu i przejściem kilku metrów w stronę drzwi wejściowych, bo stanął i oparł się o ścianę. Nie dziwię się, że w końcu się poddaje i siada.

Dobrze, że napisałam wcześniej do wszystkich, żeby czekali w domu i nie witali nas na podjeździe. Widząc, ile wysiłku kosztowało go przejście z samolotu do samochodu uznałam, że mogłby się poczuć zażenowany, gdyby miał widzów.

Paparazzi wciąż krzyczą po drugiej stronie zamkniętej bramy, domagając się głośno zdjęcia lub wypowiedzi Coltona, ale Sammy i jego nowi pomocnicy świetnie się spisują w pilnowaniu prywatności tej chwili, za co jestem im niezmiernie wdzięczna.

— Dajcie mi pierdoloną minutę — jęczy, gdy pielęgniarka zaczyna popychać wózek. Ma kolejny atak bólu głowy, bo chwyta się za nią, zgina palcami daszek czapki i siedzi bez ruchu.

Biorę głęboki wdech i trzymając się na uboczu, próbuję rozgryźć, co się z nim dzieje. Po jego cichym załamaniu w samolocie wiem, że nie chodzi tylko o ból głowy. Ani o wypadek. Coś się zmieniło, a ja nie potrafię rozgryźć, skąd w nim te sprzeczne osobowości.

A gdy nie znam odpowiedzi na pytanie *dłaczego*, staję się kłębkim nerwów.

Colton przyciska dłonie do skroni i widzę, jak napina ramiona, próbując stłumić promieniujący z głowy ból. Chociaż wiem, że niewiele mogę zrobić, podchodzę do niego, bo nie mogę się powstrzymać i muszę spróbować mu jakoś pomóc. Kładę dłonie, żeby dać mu do zrozumienia, że jestem przy nim.

Że nie jest sam.

\*\*\*

— Nie potrzebuję pierdolonej pielęgniarki, żeby mnie doglądała. Nic mi nie jest. Serio — mówi Colton, spoczywając w półleżącej pozycji na szezlongu. Komitet powitalny krótko po naszym przybyciu zorientował się, że Colton ma wyjątkowo kiepski nastrój, i wszyscy poza Beckettem wyszli. Colton od trzydziestu minut jest na górnym tarasie, bo po tak długim zamknięciu w szpitalu ma ochotę posiedzieć w spokoju i nacieszyć się słońcem. Ale trudno mu uzyskać ten spokój, skoro wyklócał się z każdym odwiedzającym, że nic mu nie jest i że chce zostać sam.

Becks krzyżuje ramiona na piersi.

— Wiemy, że jesteś uparty jak osioł, ale oberwałeś dość porządnie i nie zamierzamy cię zostawić...

— Odwal się ode mnie, Daniels — wyszczekuje Colton z widocznym rozdrażnieniem do podchodzącego Becketta. — Gdybym chciał usłyszeć twoje trzy grosze, to bym zapytał.

— No to lepiej otwórz swoją świnkę skarbonkę, bo zamierzam ci wsypać całą złotówkę w jednogroszówkach — odpowiada Beckett, nachylając się bliżej Coltona. — Główka cię boli? Postanowiłeś zachowywać się jak kutas, bo byłeś zamknięty w pieprzonym szpitalu? Pragniesz współczucia, którego nie otrzymujesz? No to, kurwa, szkoda. Prawie umarłeś, Colton, powtarzam: *umarłeś*, więc zamknij jadaczkę i przestań być dupkiem wobec ludzi, którzy się o ciebie troszczą. — Becks potrząsa głową z irytacją, lecz nadąsany Colton jedynie naciąga czapkę

bardziej na czoło.

Becks kontynuuje, lecz tym razem jego głos jest spokojny i wyrachowany, jak wtedy, gdy rozmawiał ze mną w pokoju hotelowym przed wyścigiem.

— Nie chcesz, żeby siostra Ratched myła cię gąbką? Rozumiem to. Masz wybór między nią, mną a Rylee, ale ktoś musi każdego wieczoru myć twoje jaja, dopóki lekarze nie stwierdzą inaczej. Wiem, kogo bym wybrał, i na pewno nie byłbym to ja, ani wielka mrukliwa niemiecka pielęgniarka, która czeka w kuchni. Kocham cię, stary, ale moja przyjaźń kończy się w momencie, w którym trzeba cię chwycić za interes. — Beckett odchyła się do tyłu i unosi brwi. Wzrusza skrzyżowanymi na piersi ramionami, żeby podkreślić swoje słowa.

Colton patrzy na Becketta spod daszka swojej czapki i uparcie milczy. Jestem zmęczona, nerwowa i potrzebuję побыć z nim sam na sam, więc podchodzę bliżej i próbuję po raz kolejny naprawić nasz świat.

— Zostaję z tobą, Colton. Bez gadania. Nie zostawię cię tu samego — mówię i uciszam go dłonią, bo próbuje się sprzeciwać. *Uparty dupek*. — Jeśli chcesz się zachowywać jak mały chłopiec w trakcie napadu szału, to ja będę cię traktować jak takiego chłopca.

Po raz pierwszy od początku naszego pobytu na tarasie Colton podnosi wzrok i patrzy mi w oczy.

— Myślę, że powinniście już sobie pójść — mówi niskim i pełnym złości głosem.

Podchodzę jeszcze bliżej, bo chcę dać mu do zrozumienia, że może przeginać do woli, a ja i tak się nie wycofam. Rzucam mu w twarz jego własne słowa, chociaż nawet nie wiem, czy je w ogóle pamięta:

— Możemy to zrobić delikatnie lub brutalnie, As, ale na pewno zrobimy to *po mojemu*.

\*\*\*

Upewniam się, że Becks wychodząc zamknął drzwi wejściowe, biorę talerz z serem i krakersami, po czym wracam na górę. Colton nadal spoczywa na szeszlunku, ale ściągnął czapkę, odchylił głowę do tyłu i ma zamknięte oczy. Zatrzymuję się w drzwiach, żeby na niego popatrzeć. Wygolony placek na głowie powoli pokrywa się włosami, które zaczynają zasłaniać paskudną bliznę. Zmarszczone brwi Coltona mówią mi, że wcale nie jest spokojny.

Wchodzę po cichu na taras. Cieszę się, że z głośników dobiegają łagodne dźwięki piosenki *Hard to Love*, które maskują moje kroki, bo mam nadzieję, że nie obudzę Coltona. Kładę przed nim na stole leki przeciwbólowe i talerz z jedzeniem.

— Ty też możesz już iść.

Wzdrygam się, gdy słyszę jego mrukliwy głos wypowiadający nieoczekiwane słowa. Wpadam w irytację. Patrzę na niego, ale nie potrafię zrobić nic poza potrząśnięciem głowy z absolutnym niedowierzaniem, bo wciąż ma zamknięte oczy. Wydarzenia ostatnich kilku dni uderzają mnie jak kalejdoskop wspomnień. Dystans i unikanie. To coś więcej niż zirytowanie tym, że jestem ograniczona jego rekonwalescencją.

— Czy jest coś, co chciałbyś z siebie wyrzucić?

Samotna mewa skrzeczy nade mną, gdy czekam na odpowiedź, próbując się przygotować do tego, co usłyszę. Przejście od niewyjaśnionego płaczu do stwierdzenia, że mam już iść, nie zwiastuje niczego dobrego.

— Nie potrzebuję pieprzonego współczucia. Nie masz czasem domu pełnego chłopców, w którym możesz zrealizować ten swój wrodzony popęd do wyczekiwania i głaskania?

Mógłby obrzucić mnie najgorszym mięsem, ale nie ukłułoby mnie to tak, jak słowa, które właśnie powiedział. Patrzę na niego oniemiała, otwierając i zamykając usta, a on ma twarz skierowaną do słońca i nadal zamknięte oczy.

— Że co? — tylko tyle udaje mi się wykrztusić w odpowiedzi.

— To, co słyszałaś. — Podnosi podbródek niczym w geście odprawienia, lecz nadal nie otwiera oczu. — Wiesz, gdzie są drzwi, słonko.

Być może brak snu przytłumił moją normalną reakcję, ale te słowa uruchomiły ją w stu procentach. Czuję, jakbyśmy cofnęli się w czasie o kilka tygodni, i natychmiast chowam się za swoją obronną tarczą. To, że nawet na mnie nie patrzy, jest jak nafta na mój płonący gniew.

— Co się, do cholery, dzieje, Donovan? Jeśli chcesz mnie spławić, mógłbyś przynajmniej zaszczycić mnie swoim spojrzeniem.

Zerka na mnie jednym okiem, jakby irytowała go rozmowa ze mną. Mam tego dosyć. Udało mu się mnie skrzywdzić w ciągu pięciu minut od chwili, gdy zostaliśmy sami, co nie było trudne, bo moja stabilność emocjonalna wisi na cienkiej nitce. Obserwuje mnie, a na jego twarzy pojawia się cień uśmiechu, jakby bawiła go moja reakcja i to, że ze mną pogrywa.

Przez głowę przemykają mi niewypowiedziane myśli, które szepczą, żebym przyjrzała się bliżej. Ale co mi umyka?

— Rylee, przypuszczalnie najlepiej będzie, gdy zaczniemy nazywać rzeczy po imieniu.

— Przypuszczalnie najlepiej? — mówię podniesionym głosem i uświadamiam sobie, że być może oboje jesteśmy wyczerpani i przytłoczeni tym wszystkim, co się wydarzyło, ale wciąż nie mam pojęcia, o co chodzi. Czuję kielkującą panikę, bo przecież nie można kurczowo trzymać się kogoś, kto nie życzy sobie twojego towarzystwa. — Co jest, Colton? Co się dzieje?

Odsuwam krzesło i podchodzę do barierki. Patrzę przez chwilę na ocean, bo potrzebuję chwili na wyciszenie frustracji i wskrzeszenie cierpliwości, ale jestem już nieziemsko zmęczona tym huraganem emocji.

— Nie możesz mnie odpychać, Colton. Nie możesz mi mówić, że mnie potrzebujesz, a chwilę później odtrącać najmocniej jak potrafisz. — Próbuję nie brzmieć na skrzywdzoną, ale to praktycznie niemożliwe.

— Mogę robić co tylko zechcę! — krzyczy na mnie.

Odwracam się na pięcie z zaciśniętą szczęką i czuję w ustach świeży smak odrzucenia.

— Nie, gdy jesteś ze mną, to nie możesz! — mój głos niesie się echem po betonie tarasu, a zapadająca cisza powoli pochłania wszelką nadzieję.

— To może nie powinienem być z tobą. — Cicha determinacja w jego głosie zwała mnie z nóg. Czuję podczas wdechu promieniujący ból w piersi. Co, do licha? Czyżbym wszystko źle odczytała? Co mi umyka?

Chciałabym go zaatakować. Uwolnić całą furię, która we mnie rezonuje.

Colton odwraca na chwilę wzrok i w tym momencie coś zaskakuje. Wszystkie elementy układanki, z którymi od tygodnia nie umiałam sobie poradzić, w końcu zaczynają do siebie pasować.

A gdy wszystko staje się jasne, czuję się jak idiotka, że wcześniej tego nie widziałam.

Czas sprawdzić jego blef.

Ale co będzie, jeśli sprawdzę i okaże się, że jestem w błędzie? Serce więźnie mi w gardle na tę myśl, ale czy zostały mi jakiegokolwiek inne opcje? Wyglądam dłońmi dzinsy, zirytowana tym, że się denerwuję.

— Dobra — mówię z rezygnacją, podchodząc kilka kroków w jego stronę. — Wiesz co? Masz rację. Nie potrzebuję takiego szajsu ani od ciebie, ani od kogokolwiek innego. — Potrząsam głową i widzę, że bierze czapkę, nasuwa ją na głowę i obniża daszek tak, że ledwo widzę jego oczy. Patrzy na mnie z pełną rezerwy intensywnością. — *Bez żadnych wykrętów, pamiętasz?* — powtarzam swoją groźbę, którą rzuciłam mu w jacuzzi całe wieki temu, i w końcu widzę przebłysk emocji w jego stoickich oczach.

Wzrusza lekceważąco ramionami, ale wiem, że do niego trafiłam. Może i nie wiem, o co dokładnie chodzi, ale coś jest nie tak i znudziła mi się jego ściema w stylu *już to przeżyłem*.

— Potrafisz w ogóle wyciągać wnioski? A może w trakcie operacji przy okazji wycięli ci zdrowy rozsądek?

Odruchowo podnosi na mnie oczy. *Świetnie*, mam jego uwagę. Jak dotąd się nie odezwał, ale przynajmniej na mnie uważnie patrzy.

— Nie potrzebuję twoich protekcyjnych pierdół, Rylee. — Naciąga daszek tak, że zasłania mu oczy, i odchyła się do tyłu, olewając mnie po raz kolejny. — Wiesz, gdzie są drzwi.

W jednej chwili doskakuję do niego i zrzucam mu czapkę z głowy, po czym nachylam twarz tak, że znajduje się kilka centymetrów od jego twarzy. Otwiera oczy, które kipią od emocji wywołanych przez moje niespodziewane działania, po czym przełyka ślinę. Patrzę na niego i nie zamierzam ustąpić.

— Nie odpychaj mnie, bo odepchnę cię dziesięć razy mocniej — mówię mu, błagając milcząco, by zajrzał do swojego wnętrza i był ze sobą szczery. I żeby był szczery na temat nas. — Świadomie mnie skrzywdziłeś. Wiem, że grasz nieczysto, Colton... więc powiedz mi, przed czym próbujesz mnie ochronić? — Opuszczam się na szezlong tak, że nasze uda się dotykają, żeby czuł naszą więź i nie mógł jej zaprzeczyć.

Przez kilka chwil patrzy w stronę oceanu. W końcu spogląda na mnie pełnym wątpliwości wzrokiem.

— Przed wszystkim. Przed niczym. — Wzrusza ramionami i znowu odwraca wzrok. — Przede mną — mówi niespodziewanie łamiącym się głosem, który rozluźnia więzy ściskające moje serce.

— Co... O czym ty mówisz? — Wsuwam dłoń w jego dłoń i ściskam ją, zastanawiając się, co siedzi w jego głowie. — Ochronić mnie? Pomiatanie mną i pokazywanie drzwi w żaden sposób mnie nie chroni, Colton, lecz krzywdzi. Przerabialiśmy to wcześniej...

— Daj sobie spokój, Ry.

— Nie dam sobie żadnego pieprzonego spokoju! — odpowiadam podniesionym głosem, bo chcę podkreślić swoje zdanie. — Nie możesz...

— Daj spokój! — nakazuje z zaciśniętą szczęką i widocznym napięciem w karku.

— Nie!

— Sama powiedziałaś, że już tak dłużej nie możesz — jego słowa dopływają do mnie na tle kojącego szumu oceanu, chociaż w moim sercu szaleje istny tajfun. Po jego spokojnym głosie domyślam się, że cierpi, natomiast słowa sprawiają, że zaczynam szukać w pamięci tego, o czym mówi.

— Co...? — zaczynam, ale przerywa mi gestem dłoni i zaciska mocno powieki, bo znowu ma atak bólu głowy. Oczywiście czuję się winna, że go tak naciskałam, ale jeśli myśli, że sobie pójdę, to mnie nie zna. Chciałabym wyciągnąć dłoń, żeby go pocieszyć i ulżyć mu w bólu, ale wiem, że nie jestem w stanie mu pomóc, więc siedzę bez ruchu i bezmyślnie pocieram kciukiem wierzch jego napiętej dłoni.

— Gdy byłem tutaj... słyszałem, jak mówisz w kuchni do Becksa, że już nie możesz tak dłużej... i że chętnie byś odeszła... — milknie i wwierca się wzrokiem w moje oczy. Mięsień szczęki pulsuje zapalczywie, przekazując mi pytanie, które nie pada bezpośrednio.

— I o to to wszystko? — pytam jednocześnie zdumiona i olśniona. — O urywek rozmowy z Becksem, gdy mówiłam mu, że chętnie bym odeszła lub zrobiła cokolwiek inaczej, gdyby to uchroniło cię od leżenia w śpiączce w szpitalu? — Przypominam sobie konwersację z Beckettem, której fragmenty zostały wypaczone. Ale Colton w ogóle mnie o to nie zapytał. Nawet o tym nie wspomniał. I to mnie irytuje bardziej niż całe nieporozumienie.



— Powiedziałaś, że z chęcią byś odeszła — powtarza zdecydowanym tonem, jakby nie wierzył, że mówię prawdę. — Twoja litość nie jest ani potrzebna, ani mile widziana.

— Odsuwałeś się, bo myślałeś, że jestem tutaj z litości? I że po wypadku już cię nie chcę? — Teraz ja jestem wkurzona. — Cieszę się, że masz o mnie tak wysokie mniemanie. Co za palant — mruczę bardziej do siebie niż do niego. — Super, opieraj się dalej na domysłach, bo nie wiem, czy pamiętasz, ale jak dotąd działy prawdziwe cuda w naszym związku. — Nie potrafię powstrzymać się od sarkazmu, ale po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, gdy wydawało mi się, że zawsze znajdziemy jakieś rozwiązanie, boli mnie to, że w ogóle przyszło mu do głowy, iż mogłabym pragnąć go mniej dlatego, że nie jest w pełni sprawny.

— Rylee — wzdycha głośno i próbuje chwycić moją dłoń, ale ją odsuwam.

— Żadna Rylee. — Nie potrafię powstrzymać łez wzbierających w moich oczach. — Prawie cię straciłam...

— Masz pierdoloną rację i dlatego muszę pozwolić ci odejść! — wykrzykuje, po czym mruczy pod nosem jakieś przekleństwo. Splata palce na karku i łączy łokcie, próbując choć trochę stłumić swój gniew. Podnoszę wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy, i oddycham płytko w poczuciu zagubienia. — Jednego wieczoru słyszałem twoją rozmowę z Haddie, gdy myślałaś, że śpisz. Mówiłaś jej, że nie wiesz, czy będziesz w stanie patrzeć na to, jak znowu wsiamam do samochodu. Nie chcę być zmuszony do wyboru między tobą a wyścigami — oznajmia z ewidentnym bólem, którego fale rozbijają się o emanującą ze mnie desperację. — Potrzebuję i ciebie, i wyścigów, Rylee. — Rozpacz w jego głosie miesza się ze strachem i uderza w bardzo głębokie struny. — *I ciebie, i wyścigów.*

W końcu rozumiem. Nie chodzi o to, że myśli, iż go nie chcę, bo jest niesprawny, lecz że nie będę go chciała w przyszłości, ponieważ będę czuła strach za każdym razem, gdy wsiądzie do samochodu.

Nie wiedziałam, że słyszał tę rozmowę. Tak swobodną rozmowę. Przechodzi mnie dreszcz, gdy przypominam sobie, co mówiłam, i to bez owijania w bawełnę, jak w rozmowach z innymi ludźmi.

Chwytam dłoń jego twarz i zmuszam go, żeby na mnie spojrział.

— Rozmawiaj ze mną, Colton. Nie możesz mnie po prostu zignorować lub odtrącić po tym wszystkim, co przeszliśmy. Musisz ze mną porozmawiać. Albo nigdy tego nie przezwyciężymy.

Widzę emocje w jego oczach i przykro mi, że musi się z nimi zmagać. Przykro mi, że przez ostatni tydzień coś zżerało go od środka, chociaż powinien być skupiony na wracaniu do zdrowia. Nie na nas. Przykro mi, że w ogóle podważał cokolwiek związanego z nami.

Robi postrzępiony wydech i zamyka na chwilę oczy.

— Próbuję zrobić to, co jest dla ciebie najlepsze — jego głos jest tak cichy, że niemal ginie w szumie fal.

— To, co jest dla mnie najlepsze? — pytam identycznym tonem. Jestem zdumiona, lecz chcę zrozumieć mężczyznę, który jest tak skomplikowany, a jednocześnie pod wieloma względami tak dziecinny.

Otwiera oczy i widzę w nich ból. Jest taki odsłonięty i wrażliwy, że rozdziera mi serce.

— Jeśli nie będziemy razem... to nie będę cię krzywdził za każdym razem, gdy wsiądę do samochodu.

Przełyka ślinę, a ja milczę przez chwilę, żeby on mógł znaleźć właściwe słowa, a ja — odzyskać zdolność oddychania. Odpychał mnie dlatego, że mu zależy i że stawia mnie na pierwszym miejscu. Serce mi rośnie na tę myśl.

Podnosi rękę, bierze dłoń, którą trzymam na jego policzku, splata palce z moimi i kładzie

na swoim udzie. Wbijają wzrok w nasze połączone dłonie.

— Mówiłem ci, że dzięki tobie staję się lepszym człowiekiem... I ja próbuję z całych sił być dla ciebie lepszym, ale za cholerę nie potrafię. Jako lepszy człowiek pozwoliłbym ci odejść, żebyś nie musiała przeżywać na nowo mojego wypadku i tego, co stało się z Maxem, za każdym razem, gdy wsiądę do samochodu. Zrobiłbym to, co dla ciebie najlepsze.

Dopiero po chwili udaje mi się odzyskać głos, bo to, co właśnie usłyszałam, jest równoznaczne ze słowami „wyściguję cię”. Dowodzi tak głębokiej przemiany w nim, że nie potrafię powstrzymać łzy, która zsuwa się po moim policzku.

Poddaję się chwili. Nachylam się i przyciskam usta do jego ust. Smakuję go, bo chcę chociaż w taki sposób upewnić się, że żyje i jest ze mną. Że mężczyzna, którego miałam nadzieję znaleźć pod tymi wszystkimi bliznami i ranami, naprawdę tam jest. Że to właśnie ten piękny pokrzywdzony facet, który przyciska teraz swoje usta do moich.

Oddalam się odrobinę i patrzę mu w oczy.

— To, co najlepsze dla mnie? Nie wiesz, co jest dla mnie najlepsze, Colton? Każde twoje oblicze. Uparte, dzikie i lekkomyślne, zabawne, poważne, a nawet to zepsute — mówię, całując go między poszczególnymi słowami. — Wszystko to, czego nigdy nie będę w stanie znaleźć u kogoś innego... Tego właśnie potrzebuję. Tego pragnę. Ciebie, kochany. Tylko ciebie.

*To właśnie jest miłość* — chciałabym do niego wykrzyknąć. Potrząsnąć nim, żeby zrozumiał, że tak wygląda prawdziwa miłość. A nie tak, jak nauczyła go matka. Całe to niepoahamowane cierpienie i przemoc, których doświadczył w przeszłości, nie ma nic wspólnego z miłością. To jest miłość: ja i on, szukający wspólnej ścieżki. To, że jedna strona jest silna, gdy druga tego potrzebuje. To, że myśli się o drugiej stronie, gdy ma się świadomość, że nasze działania mogą ją skrzywdzić.

Ale nie mogę tego powiedzieć.

Nie mogę wzbudzić w nim lęku, przypominając mu to, co do mnie czuł, lub to, co mi powiedział. Przeszkadza mi, że nie mogę mu powiedzieć *wyściguję cię*, ale mogę mu to pokazać, trzymając go za rękę i okazując siłę, gdy tego potrzebuje. I milcząc, chociaż chciałabym krzyczeć.

Colton przygryza dolną wargę i patrzy na mnie z absolutnym oddaniem w oczach. Wyczuwa emocje i chrząka, po czym kiwa głową, milcząco akceptując moje błagalne słowa.

— To, co powiedziałaś Haddie, jest prawdą. Będiesz umierać za każdym razem, gdy wsiądę do samochodu...

— Nie zamierzam cię okłamywać. Będę umierała za każdym razem, ale znajdę sposób, jak się z tym uporać, gdy dojdziemy do tego momentu — mówię, chociaż na samą myśl czuję na sercu lepkie macki strachu. — To znaczy: *my* znajdziemy — poprawiam się, a jeden kącik jego ust unosi się w najbardziej uroczym uśmiechu na świecie, który roztopia moje serce.

Colton potakuje, a jego wzrok przekazuje mi słowa, które chciałabym usłyszeć. Na razie mi to wystarczy. Bo gdy masz do czynienia z czymś najważniejszym na świecie, zaakceptujesz cokolwiek, żeby to zatrzymać.

— Nie jestem w tym dobry — wyznaje z troską w oczach, która odciska się na jego twarzy.

— Nikt nie jest — odpowiadam, ściskając jego dłoń. — Związki nie zawsze są usłane różami. Zdarzają się komplikacje i trudności... ale w takich sytuacjach najwięcej się o sobie uczymy. A gdy wszystko jest w porządku... — przerywam i czekam, aż spojrzy mi w oczy — to czujesz się, jak w domu... jakbyś znalazł brakującą część swojej duszy... — Odwracam wzrok, bo nagle zawstydzam się swoimi introspekcyjnymi słowami i beznadziejnie romantyczną naturą.

Colton ściska moją dłoń, lecz ja nadal jestem odwrócona twarzą do słońca. Liczę na to, że

w jego blasku nie będzie widać koloru moich policzków. Wyobrażam sobie, co mogłoby się stać, gdyby tylko dopuścił mnie do swojego wnętrza i pozwolił w nim zostać. Nie przeszkadza mi cisza, bo jest wypełniona możliwościami, a nie wzajemnym niezrozumieniem. Skąpani w świetle słonecznym zatapiamy się w myślach, bo taras świetnie się do tego nadaje, a my akceptujemy to, że mamy przed sobą wspólną przyszłość.

W takim refleksyjnym stanie miga mi przed oczami stojący na stole talerz z jedzeniem i tabletki.

— Hej, musisz wziąć tabletki — mówię, odwracając się do niego i spoglądając mu w oczy.

Colton kładzie dłoń na moim policzku i muska kciukiem moją dolną wargę. Biorę postrzępiony, egzaltowany wdech, a on obserwuje mnie, przechylając głowę.

— Jesteś jedynym lekarstwem, jakiego potrzebuję, Rylee.

Nie mogę się powstrzymać przed uśmiechem i sarkastyczną odpowiedzią.

— Widzę, że lekarze nie wycięli ci umiejętności bajerowania?

— Nie — mówi z diabelskim uśmiechem, po czym równocześnie zbliżamy się do siebie.

Bardzo delikatnie muskamy się wargami dwa razy, po czym Colton rozchyła usta i zaczynamy taniec języków. Pieścimy się dłońmi i czujemy, jak wzbierają nasze serca od czułości wkładanej w pocałunek. Podnosi drugą dłoń, żeby położyć na moim policzku, i próbuje ją na nim utrzymać, a ja czuję jej drżenie, więc przykładam do niej swoją dłoń, żeby mu pomóc. Czuję płomień pożądania w głębi brzucha i chociaż wiem, że zalecenia lekarza nie pozwalają mi zaspokoić mojej żądy, to i tak rozpaczliwie tego pragnę.

Gdy przeżywamy intymne zespolenie, chodzi o coś więcej niż nieziemski orgazm z wyjątkowo doświadczonego Coltonem. O coś, czego nie da się opisać słowami. Satysfakcja płynąca z naszego zespolenia zapuszcza korzenie głęboko w mojej duszy i dopełnia mnie. I wiąże nas ze sobą. Brakuje mi tego uczucia.

Z głębi gardła Coltona dobywa się seksowny jak diabli pomruk, który wcale nie ułatwia mi opanowania żądy. Gładzę wolną ręką jego klatkę piersiową, odczuwając przyjemne wibracje będące rezultatem mojego dotyku. Przechodzą mnie ciarki, ale wcale nie z powodu oceanicznej bryzy, lecz fali doznań, za którymi tak tęskni moje ciało.

— Kurde, tak bym chciał w ciebie wejść, Ry — szepcze w moje usta, a każdy nerw w moim ciele staje w gotowości i błaga o to, żeby mnie wziął, posiadł i ponownie uczynił swoją. Zsuwam dłoń w dół jego torsu i już mam powiedzieć „*pieprzyć zalecenia lekarza*”, gdy nagle czuję, jak ciało Coltona się spina, a jego oddech staje się urywany.

Natychmiast zalewa mnie poczucie winy z powodu braku siły woli do odparcia pokusy, którą mam przed oczami, i przełączam się w tryb opiekuńczy.

— Mocno boli? — pytam.

Colton nieznacznie kiwa głową, nie zmieniając grymasu twarzy i nie otwierając zaciśniętych powiek, po czym przesuwają się i przyjmuje pozycję półleżącą. Biorę tabletkę i wkładam mu w dłoń.

Najwyraźniej nie jestem jedynym lekarstwem, jakiego potrzebuje.

## Rozdział 14.

Spaceruję po domu w Malibu. Zamartwianie się Coltonem i tęsknota za chłopcami i Haddie spędza mi sen z powiek. To najdłuższy jak dotąd okres rozłąki z nimi i chociaż Kocham Coltona, potrzebuję tego elementu *mojego życia*.

Potrzebuję ich energii, która zawsze podnosi mnie na duchu i poprawia mi samopoczucie. Przegapiłam zeznanie Zandera, zdobycie czwartej bazy przez Ricky'ego, wezwanie Aidena do gabinetu dyrektora za przerwanie bójkki, a nie za jej wszczęcie... Czuję się jak wyrodna matka, która zaniedbuje swoje dzieci.

Nie znalazłszy ukojenia, wchodzę po schodach, żeby po raz milionowy sprawdzić, co u Coltona. I upewnić się, że wciąż jest znokautowany przez mieszkankę medykamentów, którą doktor Irons zalecił nam przez telefon, gdy ból głowy Coltona nie chciał ustąpić.

Wciąż się martwię. Chyba podświadomie boję się zasnąć, bo mogłabym przegapić jego wołanie o pomoc.

Przypominają mi się wyznania Coltona sprzed ataku bólu głowy i na mojej twarzy rozkwita bezwiedny uśmiech. To, że próbował mnie odepchnąć, żeby mnie chronić, było może niefortunne, ale cudowne.

Z całą pewnością jest jeszcze dla nas nadzieja.

Podchodzę do łóżka. W tle cicho gra Halestorm, a ja odruchowo wstrzymuję oddech, gdy siadam na łóżku obok Coltona. Leży na brzuchu z rękami pod poduszką i twarzą skierowaną w bok, w moją stronę. Jasnoniebieskie prześcieradło zsunęło mu się poniżej bioder. Wodzę wzrokiem wzdłuż wyrzeźbionych linii jego pleców i pragnę dotknąć jego rozgrzanej skóry. Potem oglądam bliznę na głowie, która powoli kryje się pod krótkimi włoskami. Jeszcze trochę i nikt nie będzie wiedział, że pod włosami kryje się ślad poważnej traumy.

*Ale ja będę wiedziała.* Będę pamiętała. I będę się bała.

Potrzęsam głową i zamykam oczy, bo chcę okiełznać nagły przyływ emocji. Biorę jego koszulkę, która leży obok niego, i zanurzam w niej nos, wchłaniając jego zapach. Chcę, żeby to poczucie więzi złagodziło odczuwany nieustannie strach. Nie wystarcza mi to, więc kładę się na łóżku obok niego. Nachylam się i składam pocałunek między łopatkami, starając się go nie obudzić.

Wdycham jego zapach, czuję ciepło jego ciała na swoich ustach i dziękuję Bogu, że znowu mogę tego doświadczać. Za drugą szansę. Leżę tak przez chwilę i szepczę bezgłośnie podziękowania, gdy nagle Colton zaczyna zawodzić.

— *Proszę, nie* — mówi dziecinnym głosem, który w ustach dorosłego mężczyzny brzmi przerażająco, niepokojąco i druzgocąco. — *Proszę, mamusiu, będę grzeczny. Nie daj mu mnie skrzywdzić.*

Odrzuca głowę w proteście i obejmuje się ramionami, a całe jego ciało się spina. Próbuję go obudzić, chwytam go za ramiona i potrzęsam. Jego głos staje się coraz bardziej uporczywy i niepokojący.

— *Proszę, mamusiu. Prooooooszę* — jęczy błagalnym i falującym z przerażenia tonem. Serce więźnie mi w gardle i łyży cisną się do oczu, gdy patrzę na tego małego chłopca w ciele dorosłego mężczyzny.

— *Obudź się, Colton!* — Szarpię go za ramię. Zaczyna bardziej się wiercić, ale silne lekarstwa, które doktor Irons kazał mi mu podać, nie pozwalają wyrwać go ze szponów koszmaru. — *Hej, Colton, obudź się* — powtarzam, a on zaczyna się kołysać i szeptać dobrze mi znaną mantrę.

Wyrywa mi się szloch, a on po raz kolejny przewraca się na drugi bok, milknie, po czym odwraca się na plecy. Potem jeszcze przewraca się tam i z powrotem kilka razy, a ja oddycham z ulgą, bo najwyraźniej koszmar minął. Wciąż jednak wydaje się niespokojny, więc wpełzam obok niego. Kładę głowę na jego piersi, splatam nogi z jego nogami i przykładam dłoń do jego szaleńczo bijącego serca. A potem zaczynam robić jedyne, co może go ukoić: śpiewam.

Śpiewam o małych chłopcach i żyjących w wyobraźni smokach. O wierze w coś niemożliwego. O zapominaniu i ruszaniu dalej.

— Mój ojciec śpiewał mi to, gdy miałem koszmary.

Pomruk jego głosu śmiertelnie mnie przeraża. Nie wiedziałam, że się obudził. Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga bliżej do siebie.

— Wiem — szepczę w półmrok oświetlonego księżycem pokoju — a teraz je miałeś.

Colton wydaje z siebie łagodne westchnienie i zapada cisza. Wiem, że wciąż ma w głowie swój sen, więc pozwalam mu pomyśleć o nim w ciszy. Przyciska usta do czubka mojej głowy i tak zastyga.

W końcu się odzywa, a ja czuję ciepło jego oddechu na głowie.

— Byłem przerażony. Pamiętam jak przez mgłę, że byłem przerażony w ciągu tych ostatnich kilku sekund, gdy samochód obracał się w powietrzu — po raz pierwszy przyznał się do czegoś, co potwierdza moje obawy związane z wypadkiem.

— Ja też — mówię, gładząc go dłonią po piersi.

— Wiem — odpowiada i wsuwa mi dłoń pod majtki, chwytając za pośladek i przyciągając do siebie, żebym spojrzała mu w oczy. — Przepraszam, że musiałaś przez to przechodzić po raz drugi. — Widzę szczerą w jego oczach i zmarszczonym czole, lecz nie potrafię się odezwać, bo łzy blokują mi gardło. Chcę mu jednak podziękować, że dostrzegł moje uczucia, więc nachylam się i całuję go w usta.

Rozchyła wargi, a ja wsuwam w nie swój język. Słyszę cichy pomruk dobywający się z głębi jego gardła, który pobudza mnie do posmakowania jedyne lekarstwa na moje uzależnienie. Gładzę dłońmi jego zarosnięte policzki, po czym chwytam go za kark i zażywam odurzającą miksturę, od której zdążyłam się uzależnić. Mieszanie jego smaku, dotyku i seksualnej vibracji.

Ujmuje moją twarz w dłonie, wplatając palce w moje włosy, i odsuwa ją na moment od swojej. Patrzymy na siebie, dysząc sobie w usta, a nasze oczy przekazują otwarcie emocje, które wcześniej staraliśmy się ukryć.

Czuję, jak jego szczeka pulsuje pod moimi palcami, gdy próbuje się wysłowić.

— Ry... — urywa, a ja wstrzymuję oddech. Moja dusza zamiera z nadzieją. W myślach dopowiadam sobie upragnione dwa słowa, które idealnie dopełniłyby jego wypowiedź i naszą relację. Słowa, które widzę w jego oczach i czuję w jego pełnym uwielbienia dotyku. Przełyka ślinę i dodaje: — Dzięki, że zostałam.

— Nie ma takiego miejsca, w którym wolałabym teraz być — mówię cicho. Widzę, jak moje słowa trafiają do jego wnętrza, bo przyciąga mnie do siebie i sadza sobie na udach, a potem rozgniata swoje usta o moje. *To prawdziwe zderzenie*. Moje pragnienie zderza się z jego desperacją i następuje eksplozja gorączkowej namiętności. Błędzimy dłońmi, smakujemy się językami i rozpalamy emocje, przypominając sobie kształty naszych ciał.

Colton zsuwa dłoń po moich plecach i chwytam mnie za biodro, przesuwając mnie na ukrytą w bokserkach stalową erekcję. Zalewają mnie doznania, które wywołują tak intensywną żądzę, że aż granicząca z bólem. Moje ciało domaga się tej wszechogarniającej rozkoszy, którą tylko on potrafi mi zapewnić.

Wchłaniam jego jęk, pochłonięta przez naszą bliskość i emocje chwili. Colton zsuwa

drugą dłoń na moje biodro i próbuje ściągnąć mi koszulkę, ale nie potrafi chwycić materiału prawą dłonią. Nie chcę, żeby to zepsuło nastrój chwili, więc szybko przejmuję inicjatywę, krzyżuję dłonie na piersiach, chwytam za dół koszulki i zdejmuję ją przez głowę.

Siedzę na nim okrakiem. Nie licząc skąpych majtek, jestem naga, a on błądzi wzrokiem po moich kształtach. Widzę w jego oczach samcze uznanie, nieokiełznane pożądanie i nieodpartą żądzę. Wyciąga dłoń, żeby mnie dotknąć. Tańczy palcami na mojej klatce piersiowej, a potem przyciąga moją twarz do swojej, żeby mnie smakować i kusić.

Moje piersi przyciskają się do jego torsu. Jęczę, bo moje stwardniałe sutki są wrażliwe na dotyk. Colton zmusza mnie do poruszania biodrami i zalewają mnie doznania. Jestem na granicy eksplozji. Wyginam się w łuk i daję się ponieść doznaniom, a on całuje moje piersi, przykładając gorące usta do chłodnej skóry.

Pragnę go. Potrzebuję go. Pożądał go tak bardzo, że nie sądziłam, iż to w ogóle możliwe.

Dyszmy ciężko, a nasze serca łomoczą szaleńczo, gdy dajemy się ponieść instynktowi, który przyciąga nas do siebie od pierwszego spotkania. Nagle czuję, że jego ręka wiotczeje, i przypomina mi się ostrzeżenie doktora Ironsa. Chcę go zignorować i kazać mu spierdalać, a potem posiąść swojego mężczyznę, zadowolić go i oddać mu się tak, jak on oddaje mi się każdym fragmentem swojego jestestwa. Ale nie mogę ryzykować.

Zsuwam dłonie na biodra i splatam palce z jego palcami. Przerywam pocałunek i opieram czoło na jego czole.

— Nie możemy. To niebezpieczne — wykrztuszam, a mój napięty głos zdradza, z jakim trudem przychodzi mi rezygnacja ze zrobienia tego, czego oboje pragniemy. Colton nie wydaje żadnego dźwięku. Przyciska tylko mocniej dłonie do moich bioder, a nasze ciężkie oddechy wypełniają ciszę sypialni. — Zbyt duży wysiłek.

— Mała, jeśli nie ma wysiłku, to znaczy, że nie robię tego tak, jak należy — chichocze w moją szyję, łaskocząc zarostem spragnioną jego dotyku skórę.

Zmuszam się, żeby usiąść prosto i być dalej od jego kuszących ust, ale uświadamiam sobie, że w tej pozycji czuję większy nacisk między nogami, wywierany przez jego erekcję. Muszę stłumić jęk, który pragnie wyrwać się z moich ust. Colton się uśmiecha, bo dokładnie wie, co się właśnie stało. Próbuję udawać, że w ogóle to na mnie nie działa, ale moje wysiłki spełzają na niczym, gdy zaczyna kołysać biodrami.

— *Colton* — jęczę przeciągle.

— Dobrze wiesz, że wcale nie chcesz, żebym przestał — mówi z szelmowskim uśmiechem i chce coś dodać, ale kładę mu palec na ustach.

— *Ta kobieta* po prostu dba o twoje bezpieczeństwo.

— Ale niestety zapomniałaś, że pacjent zawsze ma rację, a *ten pacjent* myśli, że *ta kobieta*... — mówi i przez chwilę ssie mój palec, co wywołuje we mnie kaskadę doznań — pragnie być porządnie przerżnięta przez tego pacjenta.

Zaciskam na nim nogi i przyciskam dłonie do ud, bo moje ciało przypomina sobie, jak wygląda porządne rżnięcie w wykonaniu Coltona Donavana. Chociaż staram się wykrzesać całą swoją siłę woli, moje ciało krzyczy: bierz mnie, napiętnuj mnie, posiadź mnie. Każdy kawałek ciała, tu i teraz.

— Bezpieczeństwo — protestuję ponownie, próbując odzyskać chociaż szczątkową kontrolę nad swoim ciałem i sytuacją. Staram się myśleć o jego bezpieczeństwie, a nie o dzikim i nieokiełznanym płomieniu pożądania, który czuję w środku.

— Ryles, czy ty widziałaś kiedykolwiek, żebym dbał o bezpieczeństwo? — Posyła mi zwodniczy, diabelski uśmiech, któremu nigdy nie potrafiłam się oprzeć. — Proszę... pozwól mi

się wysilić — błaga, a ja wiem, że pod tym swawolnym tonem kryje się mężczyzna, który ostatkiem sił panuje nad sobą. — Umieram z pragnienia, żeby zająć miejsce kierowcy i narzucić tempo.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu, bo jego słowa przypominają mi pewien komentarz.

— Gdy cię poznałam, Haddie się zastanawiała, czy pieprzysz się tak, jak prowadzisz samochód.

Chichocze krótko, po czym uśmiecha się szelmowsko, a na jego twarzy pojawia się uwielbiany przeze mnie dołeczek.

— Czyli jak?

— Ze szczyptą brawury, przekraczając wszelkie granice i z zaangażowaniem aż do ostatniego okrążenia... — milknę stopniowo, przesuwając palec przez środek jego klatki piersiowej, i czuję, jak jego mięśnie napinają się pod wpływem mojego dotyku.

Przechyla głowę, a jego arogancki uśmiech nieco się poszerza.

— Myślisz, że miała rację, czy mam cię zabrać na kolejne okrążenie, żeby odświeżyć ci pamięć?

Uwielbiam patrzeć na Coltona, którego znam i za którym tęskniłam. Ma w sobie taką żywiołowość, że postanawiam się trochę zabawić i pokonać go w jego własnej grze. Chce seksu, którego nie zamierzam mu dać, ale to nie znaczy, że nie mogę mu ulżyć za pomocą drobnego pokazu. Muszę zrobić coś, co jakoś go rozładuje.

*Albo jeszcze bardziej rozpali pożądanie.*

Przesuwam palce w dół jego klatki piersiowej na swoje kolana, a potem w górę moich ud. Patrzy, jak zatrzymuję się na szczycie trójkątnego skrawka materiału zakrywającego moją kobiecość.

— Nie wiem, czy pamiętam, As. Tak dawno nie widziałam cię w akcji.

Wciąga powietrze, co jeszcze bardziej mnie pobudza, i pozwalam sobie pójść o krok dalej. Pocieram dłonią swój nagi brzuch, po czym chwytam się za ciężkie od pożądania piersi. Ujmuję sutki kciukami i palcami wskazującymi i celowo przeciągam wargę przez zęby. Jęczę cicho, oddając się doznaniom rozplywającym się po całym ciele. Jego oczy ciemnieją, gdy patrzy, jak sprawiam sobie przyjemność. Rozchyła wargi, a jego członek pulsuje między moimi udami.

Ta reakcja mnie ośmiela i dodaje mi odwagi. Jeszcze kilka miesięcy temu nie było mowy, żebym zrobiła coś takiego i bezwstydnie dotykała się pod jego badawczym wzrokiem. Ale on zrobił to dla mnie i pokazał mi, że moje ciało jest seksowne. Że ciało, w którym widziałam tyle niedoskonałości, jest przez niego pożądane i go podnieca. *I w pełni go zaspokaja.*

Mając tę świadomość, jestem w stanie wykonać ten pokaz z pewnością siebie i bez drżenia dłoni.

Pozwalam sobie na jeszcze jeden jęk i widzę pożądanie w jego zielonych oczach. Dostrzegam moment, w którym orientuje się, co zamierzam zrobić. Unosi w połowicznym uśmiechu jeden kącik swoich nieziemsko pięknych ust. Potrząsa lekko głową, a jego twarz emanuje radością, która mówi mi, że z przyjemnością zagra ze mną w tę grę.

— Jeśli chcesz mnie powstrzymać, nie powinnaś rzucać takich komentarzy.

Porusza biodrami pode mną i czuję, jak jego twarda jak skała męskość przyciska się dokładnie tam, gdzie najbardziej pragnę ją poczuć. Napiera na miejsce, które powinna wypełnić, i podsyca moje niespełnione pożądanie. Próbuję stłumić odruchowe westchnienie i udawać nieśmiałą, ale moje starania spełzają na niczym, gdy Colton znowu porusza biodrami. Rozchylam wargi, z głębi mojego gardła dobywa się zadowolone mruczenie, a dłoń bezwiednie przyciska się do moich wilgotnych majtek. Muszę coś zrobić, żeby stłumić tę żądzę, która każe mi sięgnąć po

zakazany, lecz upragniony owoc.

*Po niego.*

Przestaje ruszać biodrami, a ja zatapiam palce w udach, żeby powstrzymać się od zrobienia tego, czego pragnę: zerwania z niego bokserek, wzięcia jego nabrzmiałego członka w dłoni i nakierowania go w siebie, żeby poczuć to rozkoszne rozciąganie. Odzyskuję kontrolę nad sobą w wystarczającym stopniu, żeby podnieść wzrok i spojrzeć mu w oczy. Udaję, że doskonale nad sobą panuję, chociaż tak naprawdę stąпам po bardzo cienkim lodzie.

Colton wyciąga dłoń i boleśnie wolno rysuje linię między moimi piersiami. Zauważa, że moje sutki stwardniały pod wpływem tego dotyku, i jego uśmiech rozszerza się na całe usta, bo to dowodzi, że moja stanowczość to tylko maska mająca ukryć moje niewiarygodne podniecenie.

— Cóż, jeśli myślisz, że pieprzę tak, jak prowadzę samochód, powinnaś zobaczyć, jak podkręcam tempo i *wyściguję* się z tobą na finiszu.

Oddech więźnie mi w gardle. Na pewno użył słowa *wyścigować* przez przypadek, bo to w końcu jego zawód, ale każda cząstka mojej duszy liczy skrycie, że jestem w błędzie. Że on w ten sposób chce mi przekazać, iż pamięta. Ale nadzieja gaśnie równie szybko, jak się pojawia, a ja ostrożnie wydecham powietrze. Robię więc jedyną rzecz, która mi pozwoli o tym zapomnieć, a jemu ułatwi przypomnienie.

Czas na wykonanie show, którym go kusiłam.

Colton patrzy to w moje oczy, to na palce, a ja rozkładam nogi szerzej, żeby dokładnie widział, co robię. Wsuwam końce palców pod majtki i zatrzymuję się. Moje ciało domaga się dotyku równie mocno jak on, co widzę w jego wzroku i w tym, jak pociera palce, pragnąc samemu mnie dotknąć. Ale wciąż nad sobą panuje. Wciąż jest spokojny.

Czas przetestować jego powściągliwość.

— Myślałam, że wyścigi to nie jest sport drużynowy — mówię spod rzęs. — Wiesz, każdy patrzy na siebie. — Sprawdzam, czy patrzy, i zsuwam palce nieco dalej na południe, a on z trudem przełyka ślinę.

— Każdy, tak — wykrztusza w końcu. — Wyścigi to niebezpieczny sport, wiesz?

— Naprawdę? — odpowiadam pytaniem.

Wsuwam dłoń jeszcze głębiej między nogi, żeby zadać sobie słodką torturę. Wślizguję się między wilgotne od podniecenia wargi i zaczynam pocierać łechtaczkę. Wszystko jest takie rozkoszne — przyciskanie, pocieranie, jego twardy członek napierający na mnie od dołu — ale najbardziej podnieca mnie jego wyraz twarzy. Niezaprzeczalne podniecenie i absolutne skupienie na moich ruchach, których może się tylko domyślać, bo zasłania mu kawałek czerwonego jedwabiu.

Ale ja chcę czegoś więcej. Chcę zniszczyć jego stoicką powściągliwość, więc poddaję się doznaniom, poddaję się erotyzmowi tego, że patrzy, jak się dotykam i robię coś, co z pewnością przechylili szalę, bo jest jak przyłożenie otwartego ognia do beczki prochu. Odchyłam głowę, zamykam oczy i pozwalam, by z moich ust wymknęło się jęśliwe „o, Boże”.

— Słodki Jezu! — wykrzykuje Colton, a jego powściągliwość pęka równocześnie z cienkim materiałem moich majtek.

Nadal mam odchyloną głowę, ale wiem, że z rozkoszą obserwuje ruchy moich palców. To, że zerwał ze mnie majtki, żeby móc patrzeć, było nieoczekiwane wyzwajające. Czuję się nieskrępowana, pozbawiona wstydu i całkowicie mu oddana, zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Mój puls przyspiesza. Ciepło rozchodzi się po ciele falą doznań, w której pragnę się zatopić. Colton jęczy tuż obok mnie, przywracając mnie do teraźniejszości. Gdy podnoszę głowę i otwieram oczy, widzę, że wbija wzrok między moje uda. Wydaję syczące westchnienie,



wyciągając do niego palce, żeby zobaczył, jak błyszczą od mojego podniecenia. Z trudem opanowuję wszechogarniający płomień rozpalający się we wcześniej nieznanym mi miejscach i próbuję odzyskać głos.

— Cóż, As, ja się nie boję niebezpieczeństw, bo doskonale opanowałam jazdę na *śliskim torze* — mruczę i nie potrafię powstrzymać uśmiechu, gdy on bezwiednie zaciska mocniej dłonie na moich udach. Patrzę mu prosto w oczy i wkładam palce do ust, żeby possać je przez chwilę i powoli wyciągnąć.

Mięsień jego szczęki drga. Jego członek pulsuje pode mną w odpowiedzi. Widzę, że brakuje mu tchu.

— Ślisko i mokro, co? Niebezpieczeństwo jeszcze nigdy nie było tak kuszące — mówi przeciągle i zwilża wargi językiem, obserwując, jak zsuwam dłonie w dół po piersiach i po brzuchu, po czym zagłębiam je z powrotem między uda. Tym razem rozstawiam kolana jeszcze szerzej i rozchylam palcami wargi, żeby widział, jak palce drugiej ręki przesuwają się wzdłuż nabrzmiałego różowego rozcięcia. Na pięknych rysach jego twarzy pojawiają się ślady wewnętrznej walki. Patrzę, jak zalewa go pożądanie, a na jego ustach pojawia się sugestywny uśmiech, który idealnie go dopełnia.

Mój przystojny, arogancki rozbójnik.

Trochę zarozumiały.

Z wieloma wadami.

Cały mój.

— Wiesz — chrypi, wodząc palcem w górę mojego uda. Celowo omija moją napiętą w oczekiwaniu cipkę i kontuuje ruch na drugim udzie. — Czasem nie jest łatwo dojechać do mety i takie żółtodzioby jak ty muszą dołączyć do jakiegoś zespołu, żeby uzyskać to, czego pragną.

Nie walczę z uśmiechem i nie próbuję ukryć drżenia w oddechu, gdy jego palce odrywają się od mojej skóry. Kładę dłonie na jego piersi, nachylam się i spoglądam mu prosto w oczy.

— Przykro mi, ale ten silnik świetnie sobie radzi w pojedynkę — mówię i podnoszę się, przejeżdżając paznokciami po jego klatce piersiowej. Jego mięśnie drgają pod moimi palcami, dzięki czemu wiem, że chociaż nadal uśmiecha się arogancko, jego ciało pragnie tego, co mam do zaoferowania. Wsuwam palce z powrotem między uda i wypowiadam kwestię, która ma na celu ostateczne pozbawienie go panowania nad sobą. — Doskonale wiem, co muszę zrobić, żeby dojechać do mety.

— Oj, widzę, że lubisz ścigać się nieczysto, co? Łamać wszelkie reguły? — szydzi, odbijając piłeczkę z powrotem na moje pole.

— Och, zdecydowanie potrafię ścigać się nieczysto — drażnię się, unosząc brwi, po czym wyciągam dłoń w jego stronę. Zwęża oczy, gdy podsuwam mu pod usta palce pokryte moją wilgocią. Błyskawicznie łapie mnie za nadgarstek i wsuwa je do ust. Niski pomruk dobywający się z głębi jego gardła rozchodzi się falą po całym moim ciele. Moja siła woli także zostaje poddana testowi, gdy jego język pieści moje palce, a ja odruchowo przyciskam się do niego biodrami i zaczynam nimi poruszać. *Ja pierdolę, co za niebiańskie uczucie.* Docieram do granicy swojego opanowania. Poruszam się w tył, czując jego twardość na swojej miękkości, a w głowie mam wyłącznie krążące w ciele pożądanie. Wilgoć między moimi nogami. Jego palce na moim ciele, we mnie, doprowadzające mnie do szczytu.

Matko, jak ja go pragnę. Rozpaczliwie. Robię więc jedyną rzecz, jaką mogę, nie uciekając się do bezpośredniego błagania. Wygłaszam ostatnią sensowną prowokację, jaka przychodzi mi do głowy zanim mój umysł pograży się w huraganie doznań. Nachylam się tak, żeby czuł mój oddech na policzku, wdycham jego zapach i mówię:

— Taki zawodowiec, jak ty, mógłby pokazać żółtodziobowi naprawdę ostrą jazdę.

Przesuwam biodra dokładnie na koniec jego członka i czuję, jak zacisnął zęby, żeby się pohamować. Wykonuję ten sam ruch jeszcze raz i wydaję z siebie zadowolone westchnienie, chociaż moje ciało błaga o więcej.

— Zły wielki zawodowy kierowca boi się pokazać żółtodziobowi, jak operować drążkiem, co?

Zapomniałam już, jak szybko potrafi się ruszać. W mgnieniu oka odpycha mnie tak, że znowu siedzę na nim okrakiem, przyciąga moje stopy prawie pod swoje pachy i rozsuwa moje kolana najszerzej jak to możliwe.

Bingo.

Bezpiecznik przepalony.

Udało mi się.

*Dzięki Bogu!*

Colton chyba źle odczytuje mój wyraz twarzy, na której maluje się ulga pomieszana z desperacją, bo stwierdza:

— Zmieniam biegi, kochana, bo tylko ja mam prawo prowadzić ten samochód.

Zsuwa dłonie na moje biodra i muska kciukami cienki pasek moich włosów. Jego delikatny dotyk wyzwala we mnie eksplozję dreszczy, które odbijają się rykoszetem po całym ciele, zapowiadając to, co zaraz nastąpi, i zwiastując poziomy rozkoszy, na jakie może mnie zabrać.

Jego palce zamierają, a on podnosi wzrok, żeby spojrzeć mi prosto w oczy. Na jego twarzy pojawia się cień zadowolonego uśmiechu. Nie odrywa ode mnie oczu, jakby próbował zmusić mnie do odwrócenia wzroku, gdy wkłada jedną dłoń między moje uda, rozchyła nabrzmiałe wargi i wsuwa do środka palce drugiej dłoni. Odrzucam głowę z jękiem. Zaczyna poruszać palcami i zataczać nimi kręgi, dotykając moich uwrażliwionych zakończeń nerwowych w środku. Wsuwa i wysuwa palce, a moje ścianki zaciskają się na nich zachłannie i pożądliwie.

Patrzę na jego twarz. Wsuwa lekko język, a jego oczy ciemnieją od pożądania. Widzę, jak mięśnie ramion zaciskają się na przemian, gdy palcami doprowadza mnie do krawędzi. Docieram do niej bardzo szybko, bo jestem tak wygłodniała i tak przesiąknięta pożądaniem, że jego widok, dotyk i związane z nim wspomnienia działają na mnie jak benzyna dolewana do ognia.

Moje ciało się napina, cipka zaczyna konwulsyjnie pulsować, a ja łamiącym się głosem jęczę jego imię i przeciągam paznokciami po jego ramionach. Opadam na jego pierś. Czuję falę gorąca rozchodzącą się po całym ciele i rozpalającą mnie od środka. Wszelkie sensowne myśli wyparowują. Pragnę poczuć jego skórę na swojej skórze. Pragnę poczuć twardość jego ciała i bezpieczeństwo jego silnych objęć, gdy oddaję się wywołanym przez niego doznaniom.

Moje ciało powoli się uspokaja. Oddycham płytko, a on wodzi palcami po moim kręgosłupie. Czuję jego łagodny chichot na piersi.

— Hej, żółtodziobie?

Zmuszam się do wyrwania się z poorgazmowej śpiączki i podniesienia wzroku.

— Hej? — wykrztuszam, gdy trafiam na jego rozbawione oczy.

— Tylko ja mogę doprowadzać cię do pierdolonej flagi z szachownicą.

Zaczynam się bezwiednie śmiać. Myślę sobie, że moją flagę może zdobywać, kiedy tylko zechce.

## Rozdział 15.

— Och, jestem z ciebie taka dumna! — mówię, walcząc z falą poczucia winy, która się przeze mnie przetacza. Nie pomagałam Connorowi przygotować się do testu z najgorszego jego zdaniem przedmiotu, czyli z matematyki. — Wiedziałam, że ci się uda!

— Wykorzystałam ten trik, o którym mi powiedziałaś! — Duma w jego głosie sprawia, że do oczu napływają mi łzy radości, a jednocześnie czuję żal, że mnie przy nim nie ma.

— Mówiłam ci, że on działa! No to ruszaj na baseball. Jax na pewno już na ciebie czeka! — Wybuch śmiechu Connora utwierdza mnie w przekonaniu, że mam rację. — Obiecuję, że zobaczymy się jeszcze w tym tygodniu, dobrze?

— Dobrze. Leguję cię — mówi, wyrażając uczucia za pośrednictwem pasji do klocków Lego.

— Ja też cię leguję, stary!

Rozłączam się i odwracam się w stronę tarasu, z którego dociera do mnie śmiech pomieszany z łoskotem fal. Wieloletnia przyjaźń przełamuje zły nastrój Coltona. Cieszę się z wizyty Becketta. Słyszę, że znowu wybuchają śmiechem, i jestem wdzięczna, że wpadł, nawet jeśli żałuję, iż to nie ja wywołuję uśmiech na naburmuszonej ostatnio twarzy Coltona.

Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Patrzę, jak stukają się szyjkami butelek, i wzdycham głośno, bo chciałabym, żeby znikło napięcie między mną a Coltonem. Napięcie, które na pewno wynika z naszej frustracji seksualnej. Pragniemy, potrzebujemy i pożądamy czegoś, co jest w zasięgu naszych palców, ale nie możemy po to sięgnąć i się zaspokoić. To jest brutalność w najczystszej postaci.

Przyznaję, że jego wprawne palce przyniosły mi pewną ulgę dwa dni temu, ale to nie to samo. Nawiazaliśmy więź, ale jej nie przypieczętowaliśmy. Dopiero, gdy Colton jest we mnie i dosłownie rozciąga mnie do granic możliwości, czuję się wypełniona i spełniona w każdym znaczeniu tych słów. Jest moim dopełnieniem, zawłaszcza mnie i sprawił, że nie potrafiłabym być z nikim innym.

Czuję się z nim bliżej przez to, że spędziliśmy razem już tyle czasu, lecz jednocześnie jestem daleko. I strasznie mi to nie odpowiada.

Otrząsam się z tego marudzenia i myślę sobie, że przecież mogło być o wiele gorzej. Zrzucam buty i idę na taras zaczerpnąć świeżego powietrza. Przechodzę między szeszlongami Coltona i Becketta i siadam na trzecim, naprzeciw nich.

Raczę się ich widokiem zza okularów przeciwsłonecznych i wiem, że nie ma na świecie kobiety, która nie chciałaby teraz być w mojej skórze. Obaj są zrelaksowani. Mają na sobie szorty, czapki baseballowe i okulary. Błądzą leniwie wzrokiem po wyraźnie zarysowanych mięśniach na ich nagich torsach i walczę z uśmiechem, który pragnie rozciągnąć moje usta.

— Toż to prawdziwa Florence Nightingale[1] — mówi Beckett przeciągle w typowy dla siebie sposób i podnosi butelkę do ust.

— Myślę, że gdybym była panią Nightingale, powiedziałałabym swojemu pacjentowi, obecnemu tu Coltonowi Donovanowi, że raczej nie powinien pić alkoholu, skoro ma we krwi taką mieszankę środków przeciwbólowych.

— Prędej siostra Ratched[2] — prycha Colton, patrząc na mnie spod daszka czapki. Wodzi wzrokiem wzdłuż moich wyciągniętych na szeszlongu nóg. Błyskawiczne zwilżenie ust językiem zdradza mi, że chciałby zrobić o wiele więcej niż tylko patrzeć.

— Siostra Ratched, co? — pytam i przesuwam stopą w górę i w dół łydki, starając się zignorować obrazę.

— Taa — odpowiada i ściąga usta, obserwując mnie znad butelki piwa. — Gdyby dała mi to, czego naprawdę pragnę, wyzdrowiałbym o wiele szybciej. — Unosi brwi, pożerając mnie sugestywnym wzrokiem.

— Kurwa — stwierdza Beckett — albo muszę was łączyć, albo pilnować żebyście się nie łączyli. Pieprzyć to!

— *Pieprzyć* — mówi przeciągle Colton, naśladując manierę Becketta — to jest właśnie to słowo.

Beckett parska i przewraca oczami.

— W istocie, całkiem fajne.

Colton przerywa nasz kontakt wzrokowy i przechyla głowę, żeby spojrzeć na swojego najlepszego przyjaciela.

— Zapewniam cię, stary, że jak tylko dostanę błogosławieństwo od lekarza, żadna siła nie odciągnie mnie od Rylee przez długie *pieprzone* godziny. No może poza zmianą prześcieradeł.

Moje policzki pokrywają się purpurą po tych bezceremonialnych słowach, a przez ciało przechodzi dreszcz w związku z zawartą w nich obietnicą. Nie przejmuję się tym, że Beckett to słyszał, bo skupiam się na frazie „*długie pieprzone godziny*”.

— Zapamiętam — oznajmia Beckett i pociąga kolejny łyk piwa.

— Muszę się odlać — stwierdza Colton i odpycha się od szezlongu. Przez ostatnie dni nauczyłam się tłumić odruch wstawania, gdy przez chwilę chwieje się z powodu nagłych zawrotów głowy, które go prześladują. Po kilku sekundach staje w miarę stabilnie i sięga prawą dłonią w stronę stolika, żeby odłożyć butelkę. Około trzydziestu centymetrów przed blatem ręka odmawia posłuszeństwa i butelka spada z brzękiem na ziemię.

Beckett rzuca mi ukradkowe zaniepokojone spojrzenie, po czym wybucha śmiechem, udając, że nie zauważył problemu z ręką.

— Wtopa! — wykrzykuje. — Może siostra Ratched ma rację sugerując, że nie należy łączyć wszystkich tych leków z alkoholem.

— Odwal się — rzuca przez ramię i rusza do środka. — Właśnie dlatego idę po następne! — Patrzę za nim, jak wchodzi do kuchni, i gdy myśli, że nikt go nie widzi, bezskutecznie próbuje zacisnąć prawą pięść, po czym potrząsa głową.

— Jak jego stan?

Odwracam się do Becksa.

— Bóle głowy są coraz rzadsze, ale on jest coraz bardziej sfrustrowany. Wciąż trafia na szczegóły, których sobie nie przypomina. No i czuje się zamknięty. — Wzruszam ramionami. — A sam wiesz, jaki jest, gdy tak się czuje.

Beckett wzdycha głośno i potakuje.

— Musi jak najszybciej wrócić na tor.

Patrzę na niego oniemiała.

— *Co?* — wrywa mi się, bo czuję w plecach sztylet zdrady. To ma być najlepszy przyjaciel? Czyżby nie zależało mu na bezpieczeństwie Coltona? Na utrzymaniu go przy życiu?

— Cóż, mówisz, że czuje się zamknięty... A tor jest jedynym miejscem, w którym zawsze czuł się wolny od wszystkiego — tłumaczy Beckett, wytrzymując moje zdumione spojrzenie. — Poza tym, jeśli w miarę szybko nie siądzie za kierownicą, trawiący go strach pochłonie jego duszę, zawładnie jego myślami i sparaliżuje go. I gdy potem uzna, że naprawdę może usiąść za kierownicą, będzie zagrożeniem sam dla siebie.

Jestem inteligentną osobą i gdybym wciąż nie była zaskoczona pierwszym stwierdzeniem Becketta, zrozumiałabym, co próbuje mi przekazać i zobaczyła to z szerszej perspektywy. Ale nie rozumiem.

— O czym ty mówisz? Odkąd wróciliśmy do domu, nieustannie marudzi o powrocie na tor.

Chichocze w odpowiedzi. Nie jest to protekcjonalny chichot, ale i tak czuję się przyparta do muru i zgrzytam zębami, gdy to słyszę.

— No kurwa, wiadomo, że on też jest przerażony, Ry. Do szpiku kości. Jeśli nie będzie się mógł już wymawiać ręką, to wymyśli coś innego... A naprawdę powinien wrócić na tor. Jeśli tego nie zrobi, strach pożre go żywcem.

Przewijam w myślach wydarzenia ostatniego tygodnia. Przypominam sobie słowa Coltona o wyścigach. I działania przeczące jego słowom. Powoli dociera do mnie, że Beckett może mieć rację.

— Ale co z *moim* strachem? — Nie potrafię stłumić desperacji.

— A myślisz, że ja się nie boję? Że dla mnie to będzie łatwe? — Gorycz w jego głosie skłania mnie do tego, żeby na niego spojrzeć. — Myślisz, że nie będę odtwarzał w myślach tych ostatnich kilku sekund za każdym razem, gdy zapnę go w samochodzie? I za każdym razem, gdy będzie śmigał prostą? Kurwa, Ry, ja też niemal go straciłem. Nie myśl sobie, że dla mnie to będzie łatwe, bo nie będzie. Już prędzej *kurewsko ciężkie*. Nie zmienia to faktu, że to jest coś, czego on naprawdę potrzebuje. — Wstaje z szezlongu i podchodzi do barierki, opiera się szeroko i wychyla na zewnątrz. — Zanim się pojawiłaś, liczyły się dla niego tylko wyścigi. Tylko one trzymały go przy zdrowych zmysłach. — Wzdycha głośno. — To jedyne, co zna. — Odwraca się w moją stronę. Jego oczy są ukryte za okularami. — Dlatego powinien jak najszybciej się pozbiierać i wrócić na tor. Będę go dopingował jak najbardziej zagorzała cheerleaderka, ale nie daj się zwieść i nie myśl, że moje serce nie będzie łomotało jak szalone przez cały czas, gdy będzie siedział w samochodzie.

Śledzę go wzrokiem, gdy przechodzi na drugi koniec tarasu, żeby się uspokoić, po czym wraca, bierze piwo i wypija je do końca.

— Wyścigi to osiemdziesiąt procent nastawienia psychicznego i dwadzieścia procent umiejętności, Rylee. Musimy przygotować go psychicznie i przekonać, że jest gotowy. Wtedy będzie gotowy.

Dostrzegam logiczność jego argumentacji, ale to nie znaczy, że nie jestem śmiertelnie przerażona.

\*\*\*

Leżę na szezlongu na tarasie i wystawiam twarz do słońca, żeby złapać jego ostatnie promienie, zanim schowa się za horyzontem. Nucę lejącą w tle piosenkę *Collide* i myślę o rozmowie z Beckettem. Zastanawiam się też, jak to będzie, gdy Colton znowu wsiedzie za kierownicę i czy będzie się bał równie mocno jak ja.

— Hej, nad czym tak rozmyślasz w tej samotni? — głos Coltona wrywa mnie z transu. Otwieram oczy i widzę, że patrzy na mnie z góry, a na policzku ma odcisniętą poduszkę. Przenika mnie fala ciepła, bo bezwiednie zaczynam się zastanawiać, jak wyglądał jako mały chłopiec.

— Wypałeś się? — Odsuwam się trochę, żeby mógł obok mnie usiąść, ale nie za bardzo, bo chcę się w niego wtulić.

Obejmuje mnie i przyciąga do siebie.

— Tak, kompletnie mnie ścięło. — Uśmiecha się, przyciskając usta do czubka mojej głowy. — Ale nie boli mnie głowa, więc wszystko jest w porządku.

— Biorąc pod uwagę ilość piwa, jaką pochłonęliście, nie wyobrażam sobie, że mogłoby cię cokolwiek boleć.

— Nie bądź taka mądra.

— Wolę być mądra niż głupia.

— Widzę, że masz dzisiaj temperamencik? — pyta, łaskocząc mnie w żebra. — Wiesz, jak działa na mnie temperament, mała, i z chęcią bym go dzisiaj wykorzystał.

Wyrrywam się z jego objęć.

— Niezła próba, lecz najprawdopodobniej musimy jeszcze odczekać parę dni, a potem będę dla ciebie miała taki temperament, jaki sobie zażyczysz — mówię, unosząc brwi, a on zaczyna gładzić mnie po plecach.

— Nie obiecuj takich rzeczy tak wygłodniałemu facetowi jak ja, jeśli nie zamierzasz ich zaoferować na miejscu, kochana.

— Och, bez obaw, As — mówię i wtulam się w niego z powrotem. — Zaoferuję ci całą tonę temperamentu, gdy będę wiedziała, że ci nie zaszkodzi.

Colton nic nie mówi, mruczy jedynie coś w odpowiedzi. Siedzimy przez chwilę w komfortowym milczeniu. Cieszę się, bo po raz pierwszy od kilku dni nie ma między nami tego napięcia. Gdy słońce chowa się w oceanie przed nadchodzącą nocą, znowu przypomina mi się rozmowa z Becksem. Jak to ja, muszę zapytać i poznać myśli Coltona na temat wyścigów.

— Mogę cię o coś zapytać?

— Uhm — mruczy w czubek mojej głowy.

Początkowo się waham, bo nie chcę podsuwać mu myśli, których być może jeszcze nie ma, ale w końcu się decyduję.

— Boisz się wrócić na tor? I wystartować w wyścigach? — pytam pośpiesznie i zastanawiam się, czy udało mi się ukryć trwogę.

Zatrzymuje na chwilę dłoń w połowie ruchu na moim kręgosłupie, a ja wiem, że poruszyłam kwestię, w której nie czuje się na tyle pewnie, żeby o niej rozmawiać lub coś potwierdzać. Wzdycha, gdy ja milczę, żeby dać mu pomyśleć.

— Trudno mi to wyjaśnić — mówi i przesuwa się tak, żebyśmy siedzieli obok siebie i patrzeli sobie w oczy. Potrząsa subtelnie głową i kontynuuje: — W pewnym sensie jednocześnie się tego boję i tego potrzebuję. Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć.

Wyczuwam jego niepokój, więc robię to, co potrafię najlepiej: próbuję go uspokoić.

— Ze mną ci się udało.

Patrzy na mnie z zagubieniem w oczach.

— Co masz na myśli?

Nie miałam zamiaru sprowadzać rozmowy w te rejony i wprawiać go w zakłopotanie dyskusją o „nas” sprzed wypadku, skoro mnie *wyścigował*, lecz tego nie pamięta. Kładę dłoń na jego nieogolonym policzku i czekam, aż na mnie spojrzy.

— Bałeś się mnie i jednocześnie mnie potrzebowałeś... — mówię coraz ciszej.

Bierze wdech, a jego oczy błyszczą od emocji. Ściąga usta na chwilę. Deprymuje mnie jego milczenie w połączeniu z intensywnością spojrzenia. Słyszę jego płytki oddech, szum oceanu i łomotanie swojego serca w uszach, a on milczy. Odwraca się, a ja próbuję się przygotować, chociaż nie wiem, na co. Gdy znowu na mnie spogląda, potakuje, a jeden kącik jego ust unosi się powoli w nieśmiałym uśmiechu.

— Masz rację, faktycznie cię potrzebuję.

Głęboko w środku czuję olbrzymią ulgę, bo w końcu przyznaje, że jest między nami więź. Akceptuje ją. Nieważne, że nie mówi mi „wyściguję cię”, bo to, że mnie potrzebuje, to coś więcej, niż kiedykolwiek marzyłam.

Podnosi dłoń, żeby delikatnie ująć mój policzek i pieści kciukiem moją dolną wargę. Nachyla się i muska czule ustami moje usta, po czym całuje mnie w czubek nosa. W końcu

odchyła się i posyła mi szelmowski uśmiech.

— Teraz moja kolej.

— Twoja kolej? — pytam, a on bawi się guziczkami mojej bluzki.

— Tak. Gramy w pytanie i odpowiedź, Ryles, i teraz ty siadasz na gorącym krzeselku.

— Z przyjemnością usiadłabym na twoim gorącym krzeselku — stwierdzam, a on w odpowiedzi obdarza mnie błyskawicznym uśmiechem, który rozpała do białości wszystkie hormony w moim ciele.

— Uważaj, złotko, bo jestem chodzącym przypadkiem sinych jaj i niczego tak nie pragnę, jak zatopić się w tej linii mety, którą masz między nogami — mówi, nachylając się do mnie tak blisko, że mógłby mnie pocałować, ale tego nie robi. Słodka tortura. — Lepiej nie testuj mojej siły woli — mówi, a jego słowa muskają mnie w usta.

Każda część mojego ciała się do niego przysuwa. Pragnie go, potrzebuje i prowokuje. Ale on nadal nad sobą panuje, chociaż chichocze z trudem.

— Moja kolej. Dlaczego nie byłaś jeszcze u chłopców?

Spodziewałabym się każdego pytania, tylko nie tego. Muszę wyglądać na lekko zszokowaną, bo ma rację. Faktycznie desperacko pragnę się z nimi zobaczyć, ale nie wiem, jak to zrobić, nie przyprowadzając ze sobą tego całego medialnego cyrku. Cyrku, który nie jest im potrzebny i z którym nie potrafiliby sobie poradzić.

— Ty mnie teraz bardziej potrzebujesz — odpowiadam, bo nie chcę podawać prawdziwego powodu, żeby nie dokładać mu zmartwień.

— Ściemniasz, Ry. Jestem dużym chłopcem. Można mnie zostawić samego na noc. Nic mi się nie stanie.

A co, jeśli się stanie? Co jeśli będziesz mnie potrzebował, nikogo tu nie będzie i stanie się coś okropnego?

— Taa... ja właśnie... — urywam, bo chciałabym mu powiedzieć, lecz nie chcę go urazić. — Nie chcę, żeby ich świat zderzył się z twoim światem. Nie potrzebują kamer skierowanych w twarz i nie potrzebują tego, żeby cały świat się dowiedział, że są sierotami i że nikt ich nie chce. Ani żadnych innych nieprzyjemnych konsekwencji, które na pewno by z tego wynikły.

— Ry, spójrz na mnie — mówi i podnosi mój podbródek, żebym spojrzała mu w oczy. — Ty i ja? Absolutnie nie chcę, żeby szum związany z moim życiem, media i cały ten szajs stanął między tobą a chłopcami. Oni się tu najbardziej liczą, a ja rozumiem to lepiej niż większość ludzi.

Gdybym teraz wygrała w lotto, nie miałyby to dla mnie znaczenia, bo czuję się jak najbogatsza osoba na świecie. Przyznał, że mnie potrzebuje, a teraz to wyznanie. *Naprawdę mnie rozumie*. Rozumie, że chłopcy są częścią mojego życia i że jeśli chce być ze mną, musi ich kochać. Beckett twierdzi, że jestem kołem ratunkowym Coltona, ale wydaje mi się, iż Colton właśnie pokazał, że to działa w obie strony.

Przełykam łzy, które uwięzły mi w gardle, a on nadal na mnie patrzy, upewniając się, czy zrozumiałam, o co mu chodzi. Mruczę coś potakująco, bo z nadmiaru emocji nie potrafię nic wykrztusić.

— Coś wymyślę — mówi i muska delikatnie moje usta. — Dopilnuję, żebyś wkrótce zobaczyła się z chłopcami bez niepotrzebnych świadków, OK?

Potakuję i wtulam się w niego, a przez myśl przebiega mi mnóstwo pytań, które chciałabym mu zadać. Nagle wiem.

— Moja kolej — stwierdzam. Chcę zadać to pytanie, chociaż boję się odpowiedzi.

— Uhm.

— Tego pierwszego wieczoru — przerywam, bo nie do końca wiem, jak o to zapytać. Postanawiam rzucić się na główkę, licząc na to, że jestem na głębokim końcu basenu. — Co robiłeś z Bailey w tej wnęce, zanim mnie spotkałeś?

Colton śmieje się krótko i mruży jakieś przekleństwo. Chyba jest trochę zaskoczony moim pytaniem.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

Chcę? Teraz to sama już nie wiem. Potakuję i zamykam oczy, przygotowując się na to, co usłyszę.

— Poszedłem za kulisy, żeby odebrać telefon od Becksa — śmieje się. — Kurde, w momencie, gdy się rozłączyłem, rzuciła się na mnie jak grzechotnik. W ułamku sekundy zerwała ze mnie marynarkę, rozpięła sukienkę z przodu i wpiła się we mnie ustami... — milknie, a ja próbuję nic po sobie nie pokazać, ale wiem, że wyczuł napięcie w moim ciele, bo składa pokrzepiający pocałunek na czubku mojej głowy. — Uwierz mi, Rylee, to nie było takie ekscytujące, jak się wydaje.

— Naprawdę? Od kiedy to słynny kobieciarz Colton Donovan odtrąca chętną kobietę? — Nie potrafię ukryć sarkazmu. Trudno mi się tego słucha, chociaż sama go o to zapytałam. — Poza tym wydawało mi się, że lubisz dominujące kobiety.

Znowu się śmieje.

— Nie masz powodu, by być zazdrosną, kochana... Chociaż to dość kręjące, że jesteś. — Szturcham go palcem, zadowolona, że próbuje złagodzić prawdę i zamiast mnie odepchnąć, przyciąga mnie mocniej do siebie. — A ja w całym życiu pozwoliłem dominować tylko jednej kobiecie, bo poza nią na żadnej innej mi nigdy nie zależało.

Pocieram nos, bo serce mi rośnie na te słowa, ale moja głowa zastanawia się, czy przypadkiem nie próbuje chronić swojego tyłka. Cynizm zwycięża.

— Phhh — parskam. — Jestem przekonana, że słyszałam, jak mówisz „słodki Jezu”, i nie ja byłam tego przyczyną.

Czuję jak jego ciało wibruje, gdy wybucha szczerym śmiechem, który tak uwielbiam.

— Wyobraź sobie to raczej jak bycie pożerany przez piranię z tępyimi zębami. — mówi, a ja nie potrafię powstrzymać śmiechu i potrząsam głową. — Nie, serio — dodaje. — W chwili, gdy udało mi się złapać trochę powietrza, wykrztusiłem z siebie te słowa, bo ta kobieta całowała jak pieprzony buldog. — Teraz śmieję się pełną piersią, a zazdrość ustępuje miejsca poczuciu ulgi. — A najlepsze jest to, że w tym momencie zadzwoniła moja mama, bo chciała się dowiedzieć, jak impreza, i nieświadomie uratowała mnie z jej szponów.

— Chyba z jej magicznej cipki?

— O kurwa, nie — chichocze. — Ty, mała, jesteś moją magiczną cipką. Bailey była raczej jak cipka piranii.

Śmiejemy się jeszcze trochę z jego coraz zabawniejszych porównań.

— No dobrze, więc... — mówi w końcu, wodząc palcem po nagiej skórze mojego ramienia i zostawiając na niej elektryzujący ślad. — AS?

Czekałam na pytanie, lecz gdy to mówi, odchylam się i potrząsam głową.

— Zamierzasz zmarnować na to swoje następne pytanie? Będziesz strasznie rozczarowany. — Wykrzywiam usta i patrzę na niego. — Nie chciałbyś dowiedzieć się czegoś innego?

— Nie zmieniaj tematu, Thomas! — Łaskocze mnie palcami w żebra, a ja próbuję mu się wyrwać.

— Przestań — mówię, wiercąc się. — No dobrze już, dobrze! — Podnoszę ręce. Colton przestaje, a ja szturcham go w ramię. — Tyran! — wykrzykuję, a on zaczyna mnie znowu



łaskotać. W końcu przestaje i chrząka, a ja próbuję znaleźć właściwe słowa. — Haddie miała nedorzeczną skłonność do zbuntowanych złych chłopców — przerywam w połowie zdania, widząc jego uniesione brwi.

— Przyganiał kocioł garnkowi, co? — mówi. Widzę, że z trudem tłumi śmiech.

— Powiedziałaś ci wtedy na imprezie, że *nie kręcą mnie* źli chłopcy.

— Och, słonko, z całą pewnością mną wtedy zakręciłaś.

Nawet nie próbuję tłumić śmiechu, bo na jego twarz powrócił ten arogancki uśmiech, który rozświetla mu oczy i na nowo kradnie mi serce.

— Z całą pewnością, ale ty byłeś wyjątkiem od reguły — oznajmiam z uśmiechem.

— Tak jak ty moim — odpowiada, a ja myślę o tym, z jaką łatwością mówi teraz słowa, które jeszcze miesiąc temu w ogóle nie przeszłyby mu przez usta. Nachyla się i muska moje wargi. Wsuwa język między nie i kusząco tańczy z moim. Po chwili przerywa pocałunek, a ja jęcę z niezaspokojenia. — A teraz odpowiadaj, kobieto. AS? — pyta z uniesionymi brwiami.

— No dobrze, dobrze — ulegam, chociaż rozprasza mnie to, że jego usta są tak blisko, a ja rozpaczliwie pragnę je znowu poczuć, mimo że wciąż czuję na sobie ich ciepło. — Jak już powiedziałam, Haddie zawsze wybierała wytatuowanych chłopców, którzy zawsze łamią dziewczynom serce. Niektórzy byli dla niej dobrzy, ale większość nie. Razem z Maxem śmialiśmy się z tego tabunu rebeliantów, który zawsze ją otaczał. W każdym razie na studiach chodziła z kolesiem, który miał na nazwisko Stone — potakuję, gdy Colton patrzy na mnie pytająco, bo nie wie, czy dobrze słyszał.

— Tak, naprawdę nazywał się Stone Był oczywiście dupkiem, ale Haddie szaleńczo się w nim zakochała. Pewnego wieczoru wystawił ją i poszedł się spotkać z kumplami. Siedziałyśmy razem w domu przy butelce wina i pudełku czekoladek Hershey, a ja stwierdziłam, że Stone to prawdziwy „as” wśród kut-as-ów. Potem wypiliśmy jeszcze po lampce, a potem po jeszcze jednej. — Śmieję się na wspomnienie tak dawnych czasów. — Gdy byłyśmy już naprawdę mocno pijane, postanowiłyśmy, że słowo AS stanie się dla nas skrótem... Wydawało nam się, że wymyślamy bardzo błyskotliwe rozwinięcia, a kiedy w końcu wpadłyśmy na takie, które idealnie pasowało do jej faceta, nie potrafiłyśmy opanować chichotu. Jeszcze tej nocy wstąpił do nas, wracając z wieczoru z kumplami, a Haddie przywitała go w drzwiach słowami: „Cześć, As!”. I tak ksywa się przyjęła. Jemu się wydawało, że to oznacza, iż jest asem w łóżku, podczas gdy Haddie tak naprawdę mówiła mu, że jest *Aroganckim Sukinsynem* — mówię. Colton spogląda mi prosto w oczy, gdy w końcu wyjawiam mu to, co chciał wiedzieć. — Od tego czasu za każdym razem, gdy spotykała się z kolesiem pokroju Stone'a nazywałyśmy go As.

Przez chwilę patrzy na mnie w milczeniu, po czym kiwa nieznacznie głową.

— Hmpf — wyrzuca z siebie. Jego twarz jest stoicka i bez wyrazu. Przygryzam nerwowo dolną wargę w oczekiwaniu. W końcu na jego twarzy pojawia się leniwy, połowiczny uśmiech. — Dla mnie to wciąż oznacza *Absorbujące Spotkanie*, ale domyślam się, że zasłużyłem sobie wtedy na to twoje przezwisko.

Prycham.

— Cóż, hm, możesz to powtórzyć jeszcze raz.

— Nie kop chorego człowieka, który leży na ziemi — mówi z udawanym smutkiem, a ja nachylam się i całuję go w usta.

— Biedaczek — jęcę.

— Oczywiście, a ponieważ mi teraz współczujesz, zyskuję prawo do następnego pytania. Czego jeszcze nie pamiętam, o czym mi nie mówisz?

Przysięgam, że moje serce podskoczyło i uwięzło mi w gardle. Próbuję nie zemdleć. Próbuję nie pokazać, że zbił mnie z tropu, bo wtedy na pewno się domyśli, że wiem coś, czego

on nie wie. Uznaję, że najlepszą strategią będzie zmiana tematu.

— Niezła próba, As — drażnię się, przelękając z trudem ślinę.

Schodzę niżej i składam rząd pocałunków na jego karku i klatce piersiowej. Wtedy przychodzi mi do głowy następne pytanie. Przypuszczalnie nie powinnam go zadawać, bo wiem, że to temat tabu i że powinnam raczej zapytać o to czterokrotne stukanie w maskę samochodu, ale i tak je zadaję:

— Co oznaczają twoje tatuaże? — Czuję, że na chwilę wstrzymał oddech, więc podnoszę wzrok i patrzę mu w oczy. — To znaczy, wiem, co reprezentują poszczególne symbole... ale jakie mają znaczenie dla ciebie?

Patrzy na mnie z niepewnym wyrazem twarzy, a w jego oczach kotłują się emocje.

— Ry... — mówi niemal bezgłośnie, próbując znaleźć słowa, którymi mógłby wyrazić wojnę emocji toczącą się w jego oczach.

— Dlaczego je zrobiłeś? — pytam, uznawszy, że lepiej nieco zmienić temat, bo może wtedy zniknie strach przeblyskujący w jego źrenicach.

— Uznałem, że skoro czuję w środku nieustanne przerażenie, żyję z nim każdego dnia i wiem, że nigdy się go nie pozbędę, to równie dobrze mogę napiętnować się także na zewnątrz. — Odwraca wzrok z westchnieniem i patrzy w ocean. — Żeby pokazać wszystkim, że czasem coś, co z zewnątrz wydaje się atrakcyjne, może być w środku zepsute, napiętnowane i nie do naprawienia. — Głos mu się łamie przy ostatnim słowie, podobnie jak moje serce. Jego słowa są jak kwas przeżerający moją duszę.

Nie mogę znieść smutku, który nim zawładnął, więc przejmuję inicjatywę. Chcę mu pokazać, że cokolwiek reprezentują te tatuaże, jest bez znaczenia. Chcę mu pokazać, że tylko on mógłby wykorzystać coś, co uważa za niewidzialne wewnętrzne blizny, do stworzenia pięknego dzieła sztuki. Chcę mu wyjaśnić, że te blizny wewnątrz i na zewnątrz nie mają znaczenia, bo liczy się mężczyzna, który je posiada i *panuje nad nimi*. I którego pokochałam.

Nie za bardzo wiem, jak mu to przekazać, więc zdaję się na instynkt. Dotykam jego ręki tak, żeby ją podniósł. Potem bardzo powoli nachylam się i przyciskam usta do pierwszego tatuażu od góry: celtyckiego symbolu reprezentującego *przeciwności losu*. Czuję na ustach, jak jego pierś drży pod wpływem mojego pocałunku, gdy próbuje opanować zalewające go emocje. Powoli przesuwam się do następnego: *akceptacji*.

Świadomość, że ktoś mógłby trwale się napiętnować, żeby zaakceptować straszliwe doświadczenia, których nawet sobie nie wyobrażam, uderza mnie z pełną mocą. Przyciskam usta do znaku i zamykam oczy, żeby Colton nie zobaczył wzbierających w nich łez. Żeby nie uznał ich mylnie za przejaw litości. Ale nagle dociera do mnie, że chcę, żeby je zobaczył. Chcę, żeby wiedział, że jego cierpienie jest moim cierpieniem. Że jego wstyd jest moim wstydem. Że jego przeciwności losu są moimi przeciwnościami losu. Że jego zmagania są moimi zmaganiem.

Że już nie musi toczyć tej walki samotnie i nie musi samotnie nosić piętna w duszy i na ciele.

Gdy odrywam usta od symbolu *akceptacji* i przesuwam się do *uzdrowienia*, spoglądam na niego rozmazanymi przez łzy oczami. Patrzy prosto w nie, a ja staram się przelać wszystkie swoje emocje w ten wzrokowy dialog.

*Akceptuję cię* — staram się mu przekazać.

*Całego.*

To, co zepsute.

To, co skrzywione.

To, czego się wstydzisz.

Pęknięcia, przez które przeziara nadzieja.

Przeżalonego małego chłopca i dorosłego mężczyznę, który wciąż cierpi w jego cieniu.  
Demony, które cię prześladują.

Twoją wolę przetrwania.

Twojego ducha walki.

Kocham każdą najdrobniejszą część ciebie.

I akceptuję.

I chcę pomóc ci wyjść na prostą.

Przysięgłabym, że żadne z nas nie oddychało w trakcie tej milczącej rozmowy, lecz czuję kruszące się mury, które otaczają serce bijące pod moimi ustami. Przez nigdy zamknięte bramy przebija się światło nadziei, miłości i zaufania. Ściany się rozpadają i po raz pierwszy wpuszczają kogoś do środka.

Ta chwila jest tak obezwładniająca, że po moim policzku spływa samotna łza. Słony smak na ustach, jego zapach w nozdrzach i łomotanie jego serca sprawiają, że rozpadam się na miliony kawałeczków i układam w nową całość.

Colton zaciska powieki, walcząc z łzami. Zanim je otwiera, podnosi mnie, żebym znalazła się na poziomie jego wzroku. Mięsień jego szczęki pulsuje, a oczy zdradzają, że zмага się z tym, jak to wszystko wyrazić. Daję mu przestrzeń, której potrzebuje, i siedzimy przez chwilę w milczeniu.

— Ja... — zaczyna, ale natychmiast przerywa i spuszcza wzrok. Po chwili wraca spojrzeniem do mnie. — Nie jestem gotowy, żeby o tym rozmawiać. To dla mnie zbyt wiele, bo chociaż pamiętam to wszystko bardzo dokładnie, bo mam to odcisnięte w duszy i wraca to do mnie w koszmarach, to mówienie o tym na głos po raz pierwszy w życiu jest po prostu...

Serce mi pęka. Rozpierała się na najdrobniejsze fragmenty z powodu wspomnień, które sprawiają, że w jego oczach pojawia się to zagubione, przeprasające i zawstydzone spojrzenie. Ujmuję jego twarz w dłonie, próbując ukoić ból wygrawerowany w pięknych liniach jego twarzy.

— Ciiii. To zupełnie normalne, Colton. Nie musisz się z niczego tłumaczyć. — Całuję go w czubek nosa, tak jak on mnie całuje, po czym opieram czoło na jego czole. — Chcę tylko, żebyś wiedział, że jestem tu, jeśli kiedykolwiek się na to zdecydujesz.

Robi poszarpany wydech i przyciska mnie mocniej do siebie, żebym poczuła się bezpiecznie, chociaż to ja powinnam zrobić to dla niego.

— Wiem — szepcze w ciemniejące niebo. — Wiem.

Nie umyka mi to, że pozwolił mi pocałować wszystkie tatuaże i wyrazić w ten sposób miłość do wszystkich symboli jego życia — poza tym oznaczającym zemstę.

[1] Florence Nightingale — słynna angielska pielęgniarka z przełomu XVIII i XIX wieku. Od jej nazwiska pochodzi tzw. efekt Florence Nightingale, objawiający się tym, że opiekunka zaczyna żywić romantyczne uczucia do swojego pacjenta — *przyp. tłum.*

[2] Siostra Ratched — despotyczna siostra oddziałowa z książki *Lot nad kukułczym gniazdem* — *przyp. tłum.*

## Rozdział 16.

**Colton**

— Ja pierdolę!

Gdzie ja, do cholery, jestem? Zrywam się gwałtownie ze snu i siadam. Serce wali mi jak oszalałe, głowa pulsuje z bólu i brakuje mi tchu. Moja skóra lśni od potu, a ja próbuję ogarnąć plątaninę obrazów, którą miałem w głowie, zanim rozbiła się na kawałki. Wspomnienia znikły jak pieprzone duchy w chwili, gdy się obudziłem, i pozostał mi po nich tylko nieprzyjemny smak w ustach.

Tak, ja i koszmary to jak rodzina. Jesteśmy związani ze sobą na zawsze.

Zerkam na zegar. Dopiero siódma trzydzieści rano, a ja potrzebuję szota — albo raczej *całej pierdolonej półlitrowki* — żeby poradzić sobie z tymi pieprzonymi snami, które mnie dobijają. Co za pojebana ironia: nie pamiętam traumatycznego wypadku, ale wykończę się, próbując go sobie przypomnieć.

Czy to nie jest naprawdę popieprzone?

Śmieję się głośno, ale odpowiada mi tylko łomotanie ogona Baxtera o jego poduszkę na podłodze przy łóżku. Poklepuję łóżko, żeby wskoczył obok mnie, i po chwili pieszczot powalam go na prześcieradło, śmiejąc się z jego niedorzecznej potrzeby lizania.

Kładę się na poduszce i zamykam oczy, żeby przypomnieć sobie sen. Chciałbym wypełnić puste miejsca w mojej pamięci, ale nic z tego.

Słodki Jezu! Rzuć mi chociaż jakiś ochłap.

Słyszę jęk Baxtera. Otwieram oczy, spodziewając się uroczej mordki, błagającej o moją uwagę, ale nie. W żadnym wypadku. Nie potrafię powstrzymać śmiechu.

Pieprzony Baxter. Najlepszy przyjaciel człowieka i takie tam, ale poza tym przynosi mi ulgę, rozśmieszając mnie, gdy najbardziej tego potrzebuję.

— Serio, stary? Gdybym potrafił się tak lizać, nie potrzebowałbym kobiety. — Moje słowa nie robią na nim wrażenia i spokojnie kończy swoje zabiegi higieniczne. Po wszystkim przechyla głowę i spogląda na mnie ze zwisającym z boku pyska jęzorem. — Nie patrz na mnie z takim zadowoleniem, jęlopie. Wydaje ci się, że jesteś superpsem, skoro jesteś taki elastyczny, ale wierz mi, też byś wolał się wstrzymać, gdyby w grę wchodziła cipka Ry. Pierdolona magiczna cipka, Bax. — Drapię go po łbie i śmieję się, potrząsając głową.

Czy ja jestem aż tak zdesperowany, że rozmawiam o seksie z psem? A lekarz twierdzi, że z moją głową wszystko w porządku. Kurde, chyba zrobiłem o jedno okrążenie za dużo.

Baxter podnosi się i zeskakuje z łóżka.

— Jasne, rozumiem, wykorzystałeś mnie i sobie idziesz — mówię do niego i natychmiast przypominają mi się słowa Rylee z wieczoru, gdy się poznaliśmy. *Zerznąć i porzucić*. Pieprzona Rylee. Klasowa, cholernie seksowna, temperamentna i z niewyparzoną gębą. Jakim cudem przeszliśmy od tamtej chwili do teraz?

Niech mnie szlag, jeśli życie nie jest ciągiem chwil. Niektóre są nieoczekiwane. Większość nie. Ale rzadko które są nieistotne. Nigdy w życiu nie przypuszczałbym, że przypadkowy pocałunek doprowadzi do tego. Rylee i ja.

Pierdolone flagi z szachownicą i w ogóle.

Robię długi wydech, bo czuję nadchodzący ból głowy. Przewracam się na łóżku i sięgam do stolika po tabletki. Czuję, jakby moja głowa miała za chwilę eksplodować białym światłem. Wspomnienie spotkania kierowców uderza mnie jak młot kowalski, po czym znika, zanim zdążę zarejestrować cokolwiek prócz nielicznych szczegółów.

— Cholera! — Zbieram się z łóżka. Zawroty głowy są mniejsze niż wczoraj. I przedwczoraj. Irytuje mnie to męczenie pamięci, pieprzone zmuszanie umysłu, żeby przywołał to, co właśnie przemknęło mi przez głowę. Zaczynam chodzić tam i z powrotem, ale nic się nie pojawia. Czuję się sfrustrowany, ograniczony i niespokojny.

I trochę popieprzony.

Nie jestem sobą. A potrzebuję tego teraz bardziej niż czeokolwiek innego. Bycia sobą. Panowania nad sobą. Rozdawania kart w swojej pierdolonej grze.

Bycia *pieprzonym* Coltonem Donovanem.

— Aaargh! — krzyczę, bo *pieprzenie* jest z całą pewnością czymś, czego teraz potrzebuję. Czymś, co pomogłoby mi odnaleźć siebie. Mogę sobie łązić po sypialni, ale mój członek stoi jak drąg, a moje jaja są tak niebieskie, że chyba zamienię się w Papę Smerfa, jeśli szybko nie dostanę pozwolenia od lekarza.

*Dupa*, a nie zakopać ból pod przyjemnością. Co mam, do cholery, zrobić z bólem, skoro nie mogę zakosztować przyjemności?

Niech mnie szlag, jeśli to nie jest najgorsza, a zarazem najśłodsza tortura: spanie obok jedynej kobiety, której kiedykolwiek pragnąłem. Nie zniosę kolejnego dnia tej udręki. Nawet na samą myśl o tym rozrywa mnie w środku. Na samą myśl o niej odruchowo chwytam się za członka, żeby sprawdzić, czy czasem nie uschnął i nie odpadł od nieużywania.

*Taa, nadal na swoim miejscu.*

Do tego jeszcze drży mi ręka. Trzęsie się tak, że nawet nie potrafię utrzymać w niej swojego członka.

*Ja pierdolę, kurwa mać!* Teraz to trzęsę się z frustracji. Jestem sfrustrowany sobą, Jamesonem, że we mnie wjechał, i całym światem. To więzienie mnie dobija. Przeżera mi mózg i sprawia, że zaczynam wariować!

Biorę poduszkę z kanapy i rzucam o szklaną ścianę, po czym opadam na fotel.

— Kurwa! — Zaciskam powieki i nagle widzę kalejdoskop obrazów, które powiększają się w gwałtownym tempie i rozpryskują tuż przed oczyma umysłu. Białe błyski uderzają z częstotliwością niemieckiego techno i jednocześnie mnie paraliżują i zamrażają.

*Jedź, jedź, jedź. No dalej, trzynastko. Dalej, mała. Jedź, jedź, jedź.*

*Zbyt szybko.*

*Kurwa!*

*Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

Gwałtownie otwieram oczy, gdy zgubione wspomnienia wracają w wysokiej rozdzielczości.

Przewraca mi się w żołądku, bo wracają zapomniane emocje. Z sercem w gardle próbuję poskładać przebieg wypadku ze wspomnień podziurawionych jak ser szwajcarski.

Niepokój atakuje mnie z pełną siłą i nie potrafię się z niego otrząsnąć. Zawroty głowy. Zaburzenia równowagi. Mdłości. Strach. Cztery składniki zmieszane jak w drinku Long Island Iced Tea, który teraz uratowałby mi życie. Moje ciało drży z powodu odłamków wspomnień, które umysł postanowił przywrócić.

Czuję się jak na kolejce górskiej w trakcie swobodnego spadania i trudno mi złapać pieprzony oddech.

*Przestań jęczeć, Donovan. Skończ się nad sobą użalać!* Niech mnie szlag, bo jedyne, czego teraz pragnę, to Rylee. A nie mogę jej mieć, więc kiwam się jak pierdolony kotek, żeby powstrzymać się przed zadzwonieniem do niej pierwszego dnia, który może poświęcić chłopcom.

Ale i tak jej potrzebuję, szczególnie teraz, gdy to wszystko zrozumiałem... Gdy ją zrozumiałem. Rozumiem prześladowającą ją klaustrofobię, bo w tej chwili nie potrafię nic zrobić.

Mogę tylko leżeć na podłodze, patrzeć na wirujący przed oczyma pokój i próbować opanować pulsowanie w głowie.

W chwilowym przeblasku świadomości w środku szalejącej paniki uzmysławiam sobie, że owszem, wcześniej nie czułem się sobą, ale z całą pewnością nie cierpię tej aktualnej, użalającej się nad sobą wersji siebie, która jest rozwalona na łopatki i leży na podłodze jak ostatnia łajza z powodu paru wspomnień.

Zamykam oczy, a mój umysł unosi się w pieprzonej mgle.

*Jeśli tak zapisano w kartach...*

Przez głowę przemykają mi kolejne okruchy wspomnień, ale nie potrafię ich zatrzymać na tyle długo, żeby przyjrzeć im się dokładniej.

*Twoi superbohaterowie tym razem się zjawili...*

Odpycham wspomnienia z powrotem w ciemność. Jestem teraz beznadziejny. Chciałbym sobie przypomnieć, ale nie wiem, czy to wytrzymam. Zawsze byłem brawurowym kolesiem, ale teraz muszę posuwać się do przodu maleńkimi kroczkami. Najpierw raczkowanie, potem chodzenie, i takie tam.

Zamykam oczy i skupiam się na tym, żeby pokój przestał wirować.

*Stuk!*

Uderza mnie kolejne wspomnienie. Pięć minut temu nie potrafiłem sobie niczego przypomnieć, a teraz nie potrafię zapomnieć. Pieprzyć bycie zepsutym lub skrzywionym — teraz jestem jak rozerwany wybuchem samochód.

Oddychaj, Donavan. Oddychaj, do cholery.

*Stuk!*

Żyję. Jestem cały. I świadomy.

*Stuk!*

Biorę kolejnych kilka głębokich oddechów. Dywan jest mokry od spływającego ze mnie potu. Próbuję usiąść i bezskutecznie pozbierać porozrzucone wszędzie części mnie, ale najwyraźniej trzeba czegoś więcej niż spawarka, żeby to wszystko poskładać do kupy.

Wtedy z siłą pociągu towarowego uderza mnie świadomość tego, co muszę teraz zrobić. Zaczynam pełznąć. Gdybym był w lepszym stanie psychicznym, zapewne śmieszyłaby mnie moja naga dupa sunąca po podłodze w stronę pilota i to, jak nisko upadłem.

Ale gównu mnie to obchodzi, bo jestem zdesperowany.

Chcę znowu odnaleźć siebie.

Kontrolować strach, nad którym jestem w stanie zapanować.

Skonfrontować się ze wspomnieniami i odebrać im moc oddziaływania.

Nie chcę być pieprzoną ofiarą.

*Nigdy.*

Więcej.

Dotarcie po pilota kosztuje mnie więcej wysiłku niż przebiegnięcie zwyczajowych ośmiu kilometrów, a przepelznałem raptem trzy metry. Jestem beznadziejnie słaby pod tak wieloma względami, że nawet nie chce mi się ich liczyć. Brakuje mi tchu, a w głowie znowu zaczyna uderzać kafar. W końcu docieram do łóżka i siadam tak, żeby móc się oprzeć o jego ramę.

Czas zmierzyć się z jednym z dwóch lęków, które prześladują mnie w snach.

Kieruję pilota w stronę telewizora i włączam go. Widzę podwójnie i dopiero po minucie obraz zaczyna być wyraźny. Pieprzone palce są jak z galarety i trochę mi zajmuje, zanim trafiam we wszystkie potrzebne przyciski, żeby znaleźć odpowiednie nagranie na nagrywarce.

Muszę wykrzesać z siebie każdy gram wszystkiego, żeby obejrzeć, jak mój samochód wpada w dym.

Żeby nie odwrócić wzroku, gdy samochód Jamesona uderza w mój, produkując iskry jak na pokazie fajerwerków.

Żeby pamiętać o oddychaniu, gdy samochód razem ze mną przelatuje przez wypełnione dymem powietrze.

Żeby nie wzdrygnąć się po usłyszeniu okropnego odgłosu po uderzeniu w barierkę.

Żeby zobaczyć, jak samochód rozpada się na kawałki.

Rozpieprza się wokół mnie.

Beczki toczą się jak pierdolone opony zrzucone ze schodów.

Odwracam się dopiero wtedy, gdy muszę wymiotować.

## Rozdział 17.

Zadowolona i pełna nadziei wracam skąpaną w słońcu autostradą do domu Coltona. Wracam do miejsca, które przez ostatnie trzy tygodnie były także moim domem. Mały kroczek o olbrzymim znaczeniu dla naszego związku.

Taka była konieczność. To wcale nie oznacza, że Colton chce, żebym została u niego na nieokreślony czas. Rozumiemy się?

Czuję się lżej na duszy po spędzeniu pierwszego od trzech tygodni dwudziestoczworgodzinnego dyżuru z chłopcami. Uśmiecham się bezwiednie, gdy przypominam sobie poświęcenie Coltona, żeby umożliwić mi wyjście z domu i pojechanie do chłopców bez ogona złożonego z paparazzich. Siadłam za kierownicą range rovera, ukryta za jego mocno przyciemnianymi szybami, a Colton otworzył bramę na podjeździe i wszedł prosto w tłum reporterów, skupiając na sobie ich pełną uwagę. Gdy sępy go dopadły, wyjechałam z drugiej strony bez żadnego ogona.

„*Oczekiwania nie są nieistotne*” — te cztery słowa, które Colton napisał mi wcześniej, chodzą mi po głowie i prowokują do wymyślania możliwych scenariuszy. Próbowałam do niego zadzwonić, żeby spytać, co miał na myśli, ale odezwała się poczta głosowa, a chwilę później dostałam drugiego SMS-a:

*Żadnych pytań. Przejmuję kontrolę. Zobaczymy się po pracy.*

Samo to, że byłam z nim praktycznie bez przerwy przez trzy tygodnie, a teraz nie mogę z nim porozmawiać, zbudowało we mnie dość spore oczekiwania. Pozostaje jednak pytanie: czego mam się spodziewać? Oczywiście moje ciało już zdecydowało i całe wibruje od domniemanej odpowiedzi, ale mój umysł mówi, żebym nastawiła się na coś innego. Boję się, że jeśli uznam, iż dostał pozwolenie od lekarzy, a okaże się, że nie dostał, to będę tak przytłoczona nieokiełznaną żądzą, że sięgnę po to, czego desperacko pragnę, nawet jeśli nie będzie to dla niego bezpieczne.

Nie potrafię opanować zadowolonego uśmiechu, gdy zastanawiam się nad tym, co przyniesie wieczór, i wracam ze świetnej zmiany z *innymi* mężczyznami w moim życiu. Wchodząc do Domu, czułam się jak gwiazda rocka, bo chłopcy przywitali mnie z prawdziwą czułością i miłością. Tak za nimi tęskniłam. Ricky i Kyle oczywiście przekrzykiwali się, kto lepiej gra w baseball, Zander odzywał się sporadycznie, lecz regularnie swoim słodkim głosem, a Shane trąkotał o Sophii i o tym, że Colton musi wyzdrowieć, żeby nauczył go prowadzić samochód. Były też uściski i moje zapewnienia, że z Coltonem jest coraz lepiej, a wszystkie nagłówki w gazetach, które sugerują coś innego, są po prostu niezgodne z prawdą.

Włączam radio. Akurat nadają piosenkę *What I Needed*, więc zaczynam śpiewać na głos, bo słowa wzmacniają mój dobry nastrój, jeśli to możliwe, żeby był lepszy. Oglądam się przez ramię przy zmianie pasa i po raz trzeci zauważam za sobą niebieskiego sedana. Może jednak nie udało mi się uciec przed reporterami. Albo to jeden z ludzi Sammy’ego pilnuje, żebym bezpiecznie dotarła do domu. Ale i tak czuję lekki niepokój.

Gdy niepokój zaczyna przeradzać się w paranoję, postanawiam zadzwonić do Coltona i spytać go, czy kazał Sammy’emu przydzielić mi jakąś obstawę. Sięgam po telefon na siedzenie pasażera i trafiam dłonią na własnoręcznie wykonane przez chłopców prezenty dla Coltona. Uświadamiam sobie, że odłożyłam torebkę z telefonem podczas ładowania bagażnika i tam została, bo zapomniałam ją zabrać.

Zerkam w lusterko, lecz samochód wciąż jedzie kilkanaście metrów za mną. Próbuję otrząsnąć się z trawiącego mnie uczucia niepokoju i zmusić się do koncentracji na drodze. Wmawiam sobie, że to po prostu zdesperowany fotograf. Nic wielkiego. To terytorium Coltona i



on jest do tego przyzwyczajony, a ja jeszcze nie. Wzdycham głośno, przejeżdżając przez nadmorską dzielnicę w stronę Broadbeach Road.

Nie powinnam być zaskoczona, że reporterzy wciąż oblegają ulicę przed bramą do posiadłości Coltona. Nie powinnam się kulić, bo muszę lawirować między nimi, gdyż zauważyli, że jadę jego samochodem. Nie powinnam patrzeć po raz kolejny w lusterko, gdy naciskam przycisk otwierania bramy, bo okazuje się, że niebieski sedan zaparkował przy chodniku. Powinnam zwrócić uwagę na to, że nikt z niego nie wysiadł, a tym bardziej nie wyciągnął aparatu, żeby zrobić zdjęcie, dla którego za mną jechał. Ale jazda wśród eksplodujących fleszy sprawia, że trudno skupić się na czymkolwiek innym.

Brama się za mną zamyka, a ja biorę drżący oddech i parkuję auto. Wsiadam z drżącymi rękami i wciąż słysząc swoje imię wykrzykiwane zza ogrodzenia, zastanawiam się, jak można przywyknąć do tej medialnej wrzawy. Podnoszę wzrok i widzę, że Sammy stoi przy bramie, i odpowiadam skinieniem głowy na jego pozdrowienie. Już mam go zapytać o dodatkową ochronę, gdy przypominam sobie wiadomość od Coltona.

*„Oczekiwania nie są nieistotne”.*

Wszystko w moim ciele zaciska się i rozpala, jestem kłębkim nerwów i gorączkowo pragnę zobaczyć się z mężczyzną, który jest w domu. Otwieram bagażnik i wyciągam torebkę; uznaję, że po resztę przyjdę później. Szybko podchodzę do drzwi frontowych, wkładam klucz i otwieram je. Gdy je zamykam, kakofonia na zewnątrz cichnie, a ja opieram się o nie i opuszczam z ulgą ramiona, bo właśnie dosłownie i w przenośni zamknęłam drzwi do zewnętrznego świata i znalazłam się w swoim zakątku raju.

*Jestem teraz z Coltonem.*

— Ciężki dzień?

Prawie wyskakuję ze skóry. Colton wyłania się z zaciemnionej alkowy i opiera się plecami o ścianę, a ja muszę wyrzesać całą swoją siłę woli, żeby pamiętać o oddychaniu. Moje oczy chciwie błędzą po wyraźnie zarysowanej rzeźbie jego okrytego wyłącznie czerwonymi szortami ciała, które emanuje czystą męskością. Prześlizguję się wzrokiem wzdłuż wytatuowanych symboli i po jego klatce piersiowej, aż do cienia połowicznego uśmiechu na jego ustach. Tuż przed tym, jak spotykają się nasze spojrzenia, wyłapuję iskrę, która detonuje naszą stłumioną żądzę.

Zanim robię kolejny oddech, Colton rzuca się na mnie z lubieżnym pomrukiem. Przywiera do mnie ciałem, przyciska mnie do drzwi i dosięga miriadami doznań zamkniętych w pocałunku. Zawłaszcza mnie bez opamiętania i naznacza swoim nieskrępowanym pożądaniem. Instynktownie chwytam go za włosy z tyłu głowy, a on robi mi to samo. Druga dłoń łąduje na moim biodrze, a rozgrzane palce penetrują moje chciwe ciało. Piersiami ocieram się o jego twardy tors, którego ciepło jeszcze bardziej wznieca szalejący we mnie płomień.

Czuję piekło pożądania, które wydaje mi się niemożliwe do zaspokojenia.

Poruszamy się jak w gorączce. Trzyma mnie mocno za włosy tak, że moje wargi są na łasce jego wprawnych ust. I języka, który zagłębia się we mnie i pieści tak chciwie, jakby smakował swój ostatni posiłek w życiu, jakby powiedział sobie „pieprzyć wszelkie ograniczenia”, po czym poddał się ochoczo grzechowi obżarstwa.

Przeciągam dłońmi po jego łopatkach, a on jęczy z zadowolenia, że w końcu znowu może oddać się doznaniom. Zakłada sobie moją nogę na biodro, przez co jego stalowa erekcja idealnie trafia w moją pulsującą kobiecość. Opieram głowę na drzwiach, bo to przytłumione ocieranie wyzwala falę wilgoci, a Colton skwapliwie wykorzystuje to, że odsłoniłam szyję. W ułamku sekundy przyciska usta do wrażliwej skóry i muśnięciami języka pobudza do życia wszystkie zakończenia nerwowe, przypiekając je buzującym ogniem namiętności.

Chwytam go za napięte bicepsy, gdy szybko rozpina mi spodnie i wsuwa dłonie pod materiał. Kołyszę biodrami, żeby ułatwić mu ich ściągnięcie, a on zaczyna muskać chciwymi palcami moją nabrzmiałą cipkę. Pieści ją delikatnie. Drugą dłonią chwytam mnie za pośladek, odgradzając go od drzwi, i przyciąga jeszcze bliżej siebie.

Pragnienie wzbija się na niewyobrażalne szczyty, a rozpaczliwa żądza pożera każdy skrawek mojego ciała.

— Colton — jęczę, bo pragnę, żeby dopełnił naszego zespolenia. Zsuwam dłonie na brzuch i rozrywam rzep jego szortów. Otaczam dłońmi jego boleśnie dużą męskość, a on wciąga powietrze ze świstem. Czuję, jak całe jego ciało się napina, gdy czuje moją skórę na swojej skórze.

— Ry... — dyszy moje imię, a ja przesuwam dłoń w górę i w dół jego członka. Wkładam dłonie pod moją bluzkę i ściąga ją szybkim ruchem, po czym rozpina mi stanik. — Rylee — mówi przez zaciśnięte zęby. Jest tak przytłoczony kaskadą doznań, że przestaje mnie całować, puszcza moje ciało, opiera się rękami o drzwi po obu stronach mojej głowy i przyciska czoło do mojego czoła. Czuję, jak cały wibruje od zalewającego go pożądania, muskając moje usta skrawkami oddechów.

Mówi coś tak cicho, że jego głos ginie w wypełniającym pomieszczenie dyszeniu. Poruszam dłonią po raz kolejny, bo to takie przyjemne, gdy cały drży.

— Stop — szepcze w moje usta. Tym razem go słyszę. Natychmiast przestaję i odchylam się, żeby na niego spojrzeć. Boję się, że to znowu głowa. Mój niepokój się wzmacnia, gdy widzę, że zaciska mocno powieki.

Z trudem bierze oddech i powoli otwiera oczy. Patrzy na mnie, delikatnie muskając palcami moje pośladki.

— Rozpaczliwie pragnę się w ciebie zatopić, Ry. Poczucie cię, zatracić się w tobie i odnaleźć się na nowo... — mówi z wyraźną desperacją w głosie, którą potwierdza jego napięta szyja. — Zasługujesz na wolno i delikatnie, mała, ale jedyne, co mogę ci teraz dać, to szybko i ostro, bo już tak cholernie dawno cię nie miałem.

Mój Boże, ten facet jest tak cholernie seksowny, a jego wyznanie tak mnie podnieca, że mam gdzieś wolno i delikatnie. Moje emocje, zakończenia nerwowe i samokontrola są na takiej krawędzi, że wystarczy, iż lekko mnie popchnie, a rozpadnę się na miliony odłamków rozkoszy, żeby potem poskładać się w nową, spełnioną całość.

Przechylam głowę i zbliżam ją do niego, po czym muskam jego usta. Słyszę jego ciężki wdech i czuję napięcie w jego ustach, gdy ciągnę delikatnie zębami jego dolną wargę. Odchylam głowę i trafiam na jego przepelnione żądzą spojrzenie.

— Pragnę cię — szepczę. Jedną dłonią otulam jego stalową męskość, a drugą dłonią trzymam kurczowo za włosy z tyłu głowy, bo chcę, żeby odczuł intensywność mojego pożądania. — W jakikolwiek możliwy sposób. Szybko, ostro, łagodnie, powoli, na stojąco, na siedząco... Obojętne, pod warunkiem że to ty będziesz we mnie.

Patrzy na mnie przez sekundę, a w jego przesyconych żądzą oczach widzę przeblysk niedowierzania. Czuję, jak drży z pożądania, gdy próbuje się opanować, i dostrzegam moment, gdy daje się ponieść. Przywiera do mnie ustami. Bezceremonialnie i gwałtownie. Jego język jest pieszczotliwy, kuszący i zawłaszczający, tak jak tylko Colton potrafi. Silnymi dłońmi wodzi po moim tułowiu, muskając od spodu ciężkie od pożądania piersi, po czym schodzi niżej, na biodra.

Mówi się, że trzeba zasiać nasionko namiętności, aby rozkwitło pożądaniem, lecz to absolutna bzdura, bo teraz — *dokładnie teraz* — jestem jak ogród żądy.

Pocieram kciukiem wilgotny czubek członka, a on jeszcze bardziej się powiększa. Colton wydaje z siebie gardłowy pomruk. Drugą dłonią drapię go po plecach, a ustami wpijam się

chciwie w jego usta. Colton w ułamku sekundy chwytam mnie za biodra, podnosi i przyciska do drzwi. Próbuję opleść go w pasie nogami, ale mi nie pozwala i zastygamy w zawieszaniu tuż przed najbardziej upragnionym zespoleniem, a jego sterczący twardo członek dotyka mnie między nogami, zadając mi najsłodsza torturę.

Chwytam go dłonią, a Colton wstrzymuje oddech. Chcę przejąć kontrolę nad mężczyzną, którego nikt nie jest w stanie okiełznać. Pragnę wyzwolić w nim to, co najgorsze, najlepsze, wszystko.

W jego oczach migocze przez chwilę jakaś nieokreślona emocja, ale jestem tak wyposzczona i tak zaabsorbowana tym, co za chwilę się stanie, że w ogóle nie zwracam na nią uwagi.

Puszczam na chwilę członka i sięgam między swoje nogi, żeby zwilżyć palce. Potem smaruję czubek członka, bo chcę go przygotować, a jednocześnie pokazać Coltonowi, jak na mnie działa i czego od niego oczekuję. Mój mały pokaz pozbawia go resztek samokontroli.

Zatapia palce w moich biodrach i unosi mnie nieco wyżej. Nakierowuje mnie, po czym opuszcza na siebie. Oboje wydajemy z siebie jęk, gdy w końcu doświadczamy zespolenia. Gdy moje gorące i mokre wnętrze rozciąga się do granic możliwości, żeby przyjąć jego natarcie.

Tak dawno we mnie nie był, że już zapomniałam to przyjemne, palące uczucie.

— Boże — dyszę, gdy moje ciało dopasowuje się do niego. — Jestem taka ciasna — stwierdzam, przypisując to temu, że nie uprawialiśmy seksu od ponad trzech tygodni.

— Nie, kotku — mówi Colton z rozbawieniem, stojąc nieruchomo i pozwalając mi się do siebie dopasować. — To ja jestem taki duży.

Parskam w myślach, ale śmiech nie dociera do moich ust, bo Colton rzuca jedynie swój arogancki uśmiech, po czym od razu przywiera do moich ust. Tym razem jego pocałunki są władcze i zawłaszczające. Zaczyna poruszać biodrami i prowadzić mnie dłońmi, a jego członek torturuje każdy nasycony zakończeniami nerwowymi fragment mojego wnętrza. Całkowicie panuje nad naszymi ruchami i eskalacją naszych doznań.

Opieram głowę o drzwi i sycę się jego widokiem. Ma zamknięte oczy, lekko rozchylone usta i zmierzwiłone przeze mnie włosy. Mięśnie ramion falują w rytmie jego ruchów.

Mój pokrzywdzony mężczyzna jest teraz w czysto dominującym trybie, a każdy nerw mojego ciała błaga o to, żeby dać się zdominować. Żeby uczynił mnie swoją. Żeby to ja była tą, której udowodni swoją męskość.

— Booże, jesteś taka rozkoszna — mówi, unosząc mnie na chwilę, po czym zanurza się we mnie z powrotem. Moje mięśnie się zaciskają, a zakończenia nerwowe otrzymują tak upragnione bodźce.

— Colton — dyszę i wbijam palce w jego ramiona, bo czuję, że jestem coraz bliżej i bliżej krawędzi. Doznania przybierają na sile, a wstępne fale rozkoszy przygotowują mnie na trzęsienie ziemi. Czuję w środku gwałtownie rozprzestrzeniający się pożar. Wbija się znowu. Czuję, jak moje uda zaciskają się wokół niego. Drapię go po ramionach i gorączkowo szukam jego ust.

Kilka sekund później rozkosz przeradza się w eksplozję białego światła w pochłaniającej mnie czarnej pustce. Świat zewnętrzny przestaje istnieć, a ja zatracam się w naszym zespoleniu. Jesteśmy tylko ja i on, opętani przytłaczającymi doznaniem, przez które brakuje nam tchu. Zatapiam się w płynnej lawie i poddaję się doznaniom, dysząc raz po raz jego imię.

Chwilę później przez mgłę mojego rozkosznego otumanienia przebija się jęk Coltona, a jego biodra zaczynają mnie konwulsyjnie atakować. Colton kołysze się tam i z powrotem kilka razy, żeby przedłużyć tę chwilę. Oddycha ciężko, a jego pierś jest wilgotna od jego potu pomieszanego z moim.

Opada na mnie i chowa twarz w mojej szyi. Spoczywam na jego biodrach przyciśnięta do drzwi i oplatom go ramionami. Rozkoszuję się chwilą: gwałtownym unoszeniem się i opadaniem jego klatki piersiowej, ciepłem jego oddechu na swoim karku, jednoznacznym zapachem seksu. Uświadamiam sobie, że dla tego mężczyzny bez wahania poruszę niebo i ziemię, jeśli będzie taka potrzeba.

Colton poprawia swój chwyt za moje biodra i powoli opuszcza moje stopy na ziemię, chociaż głową wciąż jestem w obłokach. Wysuwa się ze mnie, ale odnawia zespolenie za pomocą ramion, którymi mnie obejmuje. Przytula mnie do swojej nagiej skóry, jakby nie chciał jeszcze mnie wypuszczać.

A ja nie mam nic przeciwko, bo też nie wiem, czy kiedykolwiek byłabym w stanie pozwolić mu odejść.

— Kurde, ależ tego potrzebowałem — wzdycha z lekkim uśmiechem. Wykrztuszam jakieś mruknięcie w odpowiedzi, bo wciąż jeszcze błędzę wysoko w chmurach.

Milczymy przez chwilę, poddając się nastrojowi chwili, i cieszymy się po prostu z bycia razem.

— Nie mogę uwierzyć, że mi nie przypomniałaś — stwierdza, przerywając ciszę. Kiwa głową przez chwilę, po czym odchyła się, żeby spojrzeć pytająco w moje oczy.

— Nie przypomniałam? — pytam zdezorientowana.

Przez jego usta przeemyka cień uśmiechu. Kładzie dłoń na moim policzku i bardzo delikatnie muska kciukiem nabrzmiące od jego pocałunków wargi.

— Tego, co ci powiedziałem, zanim wsiadłem do samochodu...

Przerywam wdech w połowie, a serce przestaje bić i więźnie mi w gardle, gdy słyszę te słowa i widzę emocje w jego oczach. Pragnę go poprosić, żeby powiedział mi te słowa, bo chociaż oczywiście wiem, o jakie słowa chodzi, to chciałabym się przekonać, że je pamięta i że nadal czuje to, co się za nimi kryje.

Próbuję zapanować nad oddechem i falowaniem głosu, bo muszę zapytać.

— Co masz na myśli? — Jestem beznadziejnym kłamcą i wiem, że bez trudu przejrzał moją udawaną dezorientację.

Chichocze cicho i całuje mnie czule w usta i w czubek nosa. Potem odchyła się, żeby spojrzeć mi prosto w oczy. Zwilża usta językiem i mówi:

— *Wyściguj cię, Ryles.*

Serce mi się roztopia, a dusza wzdycha, gdy Colton powtarza słowa, których używałam jako spoiwa sklejącego potłuczenia spowodowane przez wypadek. Czuję spokój, chociaż słyszałam niepokój w jego drżącym głosie, i widzę, jak szarpie zębami dolną wargę. W końcu jednak udziela mi się jego nerwowość. Czy on po prostu powtórzył te słowa, lecz wcale już tak nie myśli? Wiem, że to niedorzeczne, biorąc pod uwagę to, co zaszło kilka chwil wcześniej, ale nauczyłam się, że w przypadku Coltona nic nie jest przewidywalne.

— Taa — wzdycham i spoglądam w jego zuchwałe oczy. — Te słowa... mówisz je teraz, bo sobie o nich przypomniałeś czy dlatego, że wciąż to czujesz? — *Bach.* Wyłożyłam karty na stół i zaoferowałam pierwszą opcję, żeby miał jakieś *wyjście*, gdyby już mnie nie *wyścigował*. Gdyby wypadek zmienił jego uczucia i gdyby to, co jest między nami, wróciło na poziom *przypadkowej* znajomości.

Colton przechyla głowę i przez chwilę przypatruje mi się badawczo. Jego wzrok jest błagalny, lecz jego usta się nie poruszają. Czas niemiłosiernie spowalnia, a ja czekam na odpowiedź, która albo rozbije mnie na kawałki, albo ukoi moje pokiereszowane serce.

— Ry... nie wiesz, że ja nigdy nie zapominam tego, co się dzieje, jak się wyściguję? *Zarówno na torze, jak i poza nim?* — Chwilę trwa, zanim jego słowa do mnie docierają i

zaczynam zrozumieć ich znaczenie. On pamięta i wciąż to do mnie czuje. Zabawne jest to, że teraz, gdy wiem, że wszystkie te obawy były bezzasadne i że możemy ruszyć naprzód, to stoję jak wmurowana.

Jesteśmy nadzy i opieramy się o drzwi, za którymi czyha ponad setka reporterów. Mężczyzna, którego *wyściguję*, właśnie powiedział mi, że także mnie wyściguje. Ale ja potrafię tylko patrzeć na niego w milczeniu, gdy moją duszę wypełnia nadzieja, w końcu zadomawiając się w niej na stałe.

Colton nachyla się tak, że prawie dotyka mnie ustami, i ujmuję moją twarz w dłonie, jakby chciał zajrzeć mi głęboko w duszę.

— Wyściguję cię, Ryles — powtarza, mylnie uznając, że milczę, bo nie zrozumiałam, o co mu chodziło. Nie ma pojęcia, że w tej chwili, gdy stoję przed nim naga i z obnażonym sercem, zalewa mnie miłość do niego i dlatego nie potrafię wykrztusić ani słowa. Zamiast tego więc po prostu przyjmuję jego muskające, pełne oddania pocałunki. W końcu opiera czoło o moje.

— Nie rozumiesz? — pyta. — Jesteś moją pierdoloną flagą w szachownicy.

Całuje mnie znowu. Czuję, że jego usta układają się w uśmiech, i sama także pozwalam sobie wybuchnąć śmiechem. To takie przyjemne, bo nagle uświadamiam sobie, że zniknął cień, który kłuł mnie w serce.

Że mężczyzna, którego kocham, także mnie kocha.

I że złapał moje spadające serce.

Colton zsuwa dłoń po moim kręgosłupie, powodując tak delikatne dreszcze, że prawie ich nie rejestruję. Potem przesuwa dłoń z powrotem w górę, a ja czuję na brzuchu, że znowu twardnieje.

— Zakładam, że dostałeś pozwolenie od lekarzy? — pytam, bo moje zaspokojone ciało także na nowo odnajduje w sobie żądzę.

— Jasne, ale po takim dniu — mówi, całując mnie w czoło i przytulając mocno — nie miało to żadnego pieprzonego znaczenia. I tak bym wziął to, co moje.

— To, co twoje, he? — drażnię się z nim, chociaż jego słowa rozgrzewają moje serce.

— Uhm.

Nagle dociera do mnie znaczenie jego poprzednich słów i odchylam się od niego.

— Co było nie tak z twoim dniem?

Jakaś emocja przesłania jego oczy, ale szybko ją tłumi.

— Nie martw się o mnie — stwierdza, wzbudzając moje obawy.

— Co się stało, Colton? Przypomniałeś sobie coś jeszcze? Coś, co...

— Nie — ucina i przyciska swe usta do moich. — Przypomniałem sobie tylko to, co ważne. Część luk nadal pozostała. — Mistrz uniku w każdym calu. — Wydaje mi się, że ostatnio cię zaniedbywałem.

Czyli nie chce rozmawiać o tym, co go trapi. Dobrze... Biorąc pod uwagę ostatnie dwadzieścia minut, zdecydowanie mogę dać mu trochę przestrzeni i go nie naciskać.

— *Zaniedbywałeś mnie?*

— Tak, nie traktowałem cię tak, jak powinienem — oznajmia i klepie mnie w tyłek. Czuję lekkie pieczenie, które rozlewa się falą po moim wrażliwym ciele i dociera także między uda. — Zajmowałaś się mną, jak zwykle nie zważając na siebie, a ja nie zajmowałem się tobą tak, jak należy.

— Moim zdaniem właśnie się mną zająłeś... *tak, jak należy* — drocę się, poruszając się w jego objęciach. Z gardła Coltona dobywa się głęboki pomruk. — Jeśli to uważasz za niezajmowanie się mną i zaniedbywanie mnie, to *proszę*, As... — skubię go w szyję tuż pod krawędzią szczęki — zaniedbaj mnie jeszcze trochę.

— Mój Boże, kobieto, testujesz moją powściągliwość — mruczy i zsuwa dłoń po kręgosłupie na moje pośladki. — Ale to było tylko małe odejście od tematu, bo...

— Ja bym nie nazwała go *małym* — wypalam, unosząc brwi, i znowu poruszam biodrami, a Colton wybucha śmiechem. — W zasadzie mógłbyś codziennie zaniedbywać mnie swoim odejściem od tematu.

— Jasne, że mógłbym — drażni się, ściskając moje biodra. — W każdym razie chciałem powiedzieć, że nadszedł czas, żeby zapewnić ci lepsze zajęcie niż siedzenie przy mnie i zabawianie mnie w łóżku, dlatego zorganizowałem porządną randkę. — Unoszę brwi, gdy mówi o zabawianiu go w łóżku, ale on tylko potrząsa głową i posyła mi uwielbiany przeze mnie uśmiech. Nachyla się i całuje mnie delikatnie. — Potem będziesz miała mnóstwo czasu, żeby zabawiać mnie w łóżku, bo teraz zabieram cię na premierę filmu — mruczy w moje usta.

Jego słowa kompletnie mnie zaskakują.

— Cccoo? — pytam z niedowierzaniem na twarzy i półotwartymi ze zdziwienia ustami. A on uśmiecha się do mnie, zadowolony, że mnie zaskoczył.

Przechodzi mnie lekki dreszcz ekscytacji na myśl, że doświadczę z Coltonem czegoś nowego. Że stworzymy razem jakieś nowe wspomnienia. Oznacza to jednak, że będę się musiała nim podzielić z *nimi*. Z *reporterami*, którzy czekają przed bramą, i bez wątpienia pojawią się na imprezie ze swoimi napastliwymi pytaniami i kamerami wymierzonymi prosto w twarz. Oznacza to również, że musimy wyjść na zewnątrz, poza nasz przytulny mały świat, w którym możemy uprawiać słodką leniwą miłość, gdy tylko pocujemy na to ochotę.

*Wiem, co bym wolala robić.*

Przypomina mi się jego sarkastyczny komentarz powiedziany do Becksa kilka dni temu.

— Myślałam, że jak tylko dostaniesz błogosławieństwo od lekarza, żadna siła nie odciągnie cię ode mnie przez *długie pieprzone godziny*, no może poza zmianą prześcieradeł — powtarzam mu jego własne słowa.

Oczy Coltona natychmiast ciemnieją z pożądania i pojawia się w nich szelmowski błysk. Wykrzywia usta, zastanawiając się, którą opcję wybrać.

— Cóż — stwierdza ze śmiechem — faktycznie tak powiedziałem. — Zsuwa delikatnie palec po moim policzku, po szyi, a potem między piersiami. Wstrzymuję oddech, moje sutki bezwiednie sztywnieją i czuję, jak zalewają mnie emocje. — A jak wiesz, Ryles, zawsze dotrzymuję słowa... Jakim cudem mam spełnić obietnicę, że będziesz naga, nie licząc prześcieradeł, a jednocześnie wybrać się na premierę, na której też obiecałem się pojawić? Hmm... decyzje, decyzje — szepcze, po czym nachyla się i przejeżdża językiem po mojej szyi. — Co powinniśmy zrobić?

Otwieram usta, żeby coś odpowiedzieć, ale potrafię skupić się tylko na tym, żeby pamiętać o oddychaniu, gdy Colton szarpie językiem płatek mojego ucha.

— Myślę, że świat za chwilę się dowie, jak seksownie wyglądasz w samym prześcieradle.

Podnoszę wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy, a moje libido skacze do góry wskutek szoku, ale Colton w ułamku sekundy z diabelskim uśmiechem chwytą mnie i przerzuca sobie przez ramię.

— Nie! — piszczę, gdy rusza w stronę schodów. — Puść mnie!

— Media będą miały niezłą sensację — szydzi. Klepię go w tyłek, ale on idzie dalej. — Wiesz, patrząc na to z innej strony, nie będziesz się musiała zbyt długo zastanawiać nad tym, co założyć.

— Kompletnie ci odbiło! — krzyczę, a on w odpowiedzi wymierza mi kolejnego klapsa w nagą pupę przelożoną przez jego ramię.

— Moja strata, twój zysk, kochana! — chichocze, wchodząc na ostatni stopień schodów.

— *Dupa*, a nie zysk! — mruczę pod nosem, a Colton znowu się śmieje.

— Naprawdę? — mówi, po czym odwraca głowę i całuje mnie w biodro. — Nie wiedziałem, że lubisz się zabawiać z *tej strony*, ale z całą pewnością możemy to sprawdzić w stosownym momencie.

Otwieram usta i wystrzelam nerwowym śmiechem, a Colton zatrzymuje się i powoli zsuwa mnie z siebie, aż w końcu staję na podłodze. Jego szelmowskie spojrzenie sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy on czasem nie ma w zanadrzu jeszcze czegoś, czego dotychczas nie brałam pod uwagę. Jestem tak zatopiona w myślach i skupiona na milczącej kalkulacji w jego oczach, że nie rejestruję tego, iż znajdujemy się na ustronnym tarasie na drugim piętrze.

W końcu to sobie uświadamiam i zauważam, co mnie otacza. Znowu jestem zszokowana... lecz tym razem niespodzianka roztopia mi serce.

— Och, Colton! — słowa bezwiednie wypadają z moich ust, gdy widzę wszystko, co przygotował. Na drugim końcu tarasu stoi przenośny ekran, a przed nim stoją szezlongi ustawione jak fotele w kinie i pokryte kilkoma warstwami prześcieradeł. Uśmiecham się do siebie i czuję rozplywające się w środku ciepło, bo zauważam drobiazgi świadczące o tym, że mu na mnie zależy: miska czekoladek Hershey, butelka wina, wata cukrowa, porozstawiane wszędzie świece i sterty poduszek, żeby było na czym się położyć.

Łzy napływają mi do oczu, a jedna z nich ucieka i spływa mi po policzku. Nie przejmuję się tym, bo staranność tych wszystkich przygotowań sprawia, że brak mi słów. Odwracam się do Coltona i kręcę głową... bo to, co przygotował, pozbawiło mnie słów, ale zewnętrzne i wewnętrzne piękno, które w nim dostrzegam, kradnie mi serce. Stoi przede mną nago, nieogolony, ze zmierzwionymi włosami, które, poza wygolonym plackiem, proszą się o fryzjera. Jakby tego było mało, potwierdza spojrzeniem to, co powiedział mi na dole.

— Dziękuję — mówię urywanym głosem. — To najmiłsza rzecz... — gubię głos, bo Colton podchodzi, ujmuje moją twarz w dłonie i odchyła ją, żeby spojrzeć mi w oczy. — To najlepsza randka, jaką mogę sobie wyobrazić. Film z moim Asem, prześcieradła... *Tylko my i prześcieradła*.

Uśmiecha się nieśmiało w sposób, który mnie rozbija, i muska mnie pocałunkiem.

— Masz absolutną rację, Ry. Tylko my i prześcieradła. *Nic nas już nie rozdzieli: będziemy tylko my i prześcieradła*.

Jego słowa mnie uderzają, poruszają i dopełniają. Jedyne, co mogę zrobić, to zbliżyć się i przycisnąć usta do jego ust. Czuję bicie jego serca i drapanie jego zarostu na swoim podbródku i widzę miłość w jego oczach, więc powtarzam bezwiednie:

— *Tylko my i prześcieradła*.

## Rozdział 18.

Czuję na skórze ciepło porannego słońca, rozganianego podmuchem chłodnej oceanicznej bryzy. Zapomnieliśmy wczoraj wyłączyć muzykę i w głośnikach słysząc głos Matta Nathansona, który niemal gubi się w szumie fal. Wtulam się bardziej w Coltona, zadowolona z nieoczekiwanego zwrotu, jaki nastąpił zarówno w moim, jak i w jego życiu po tym, jak niespodziewanie na siebie wpadliśmy. Serce wręcz mnie boli od ogromu tego wszystkiego. Oboje powoli akceptujemy to, że dostaliśmy od życia drugą szansę, której jeszcze rok temu nawet sobie nie wyobrażaliśmy.

Mrużę oczy i patrzę z zadowoleniem na kratę z pnącymi roślinami, rzucającą cień na łóżko z szezlongów, na których wczoraj zasnęliśmy. Nawet nie próbuję stłumić westchnienia zadowolonej kobiety, gdy przypominam sobie czuły, namiętny seks pod gwiazdami na łożu nowych możliwości.

Przed oczyma przebiegają mi obrazy z wczoraj. Siedzę na nim, opadam na niego, obserwuję błyszczące w jego oczach emocje. Łagodnie i powoli z Coltonem zapewnia równie silne doznania jak szybko i ostro. Przypominam sobie, jak ten nieokazujący uczuć mężczyzna, który nie dopuszcza nikogo do swojego wnętrza, powoli się otwiera, usuwa kolejne cegły z muru wokół serca i pozwala, aby klucz przekręcił się w zamku i otworzył drzwi.

Uśmiecham się lekko i oglądam pozostałości po wczorajszym wieczorze. To wszystko było po prostu niesamowite i zupełnie nie pasuje do mężczyzny niewierzącego w romantyczność. Który facet prosi swojego ojca o przysługę i użyczenie kopii przyszłego przeboju kinowego, który jeszcze nie miał premiery? I to tylko po to, żeby obejrzeć go w zaciszu domowym ze swoją dziewczyną? I chociaż odkryłam, że Quinlan trochę mu pomagała, to sam pomysł był jego... Tak samo jak różne istotne drobiazgi, które znaczą dla mnie o wiele więcej niż największe ekstrawagancje.

Podnoszę głowę z jego klatki piersiowej i patrzę na niego, jak śpi. Owiewa mnie chłodna bryza, ale rozgrzewa mnie miłość.

— Czuję, że na mnie patrzysz — mruczy pod nosem, ściągając usta, lecz nie otwiera oczu.

— Uhm — mówię i bezwiednie się uśmiecham.

— Kto wymyślił, żeby tutaj spać? Ależ tu jasno. — Przewraca się nie, otwierając oczu, i przyciąga mnie do siebie ręką, którą trzymał pod głową.

— Wydaje mi się, że ktoś powiedział: „Twoja magiczna cipka wyssała ze mnie całą moją magię. Nie mam sił, żeby się stąd ruszyć” — powtarzam jego słowa, nie kryjąc zadowolenia na twarzy i dumy w głosie.

— Nie, to zdecydowanie nie moje słowa — stwierdza, po czym otwiera jedno oko i patrzy na mnie z moim ulubionym lubieżnym uśmiechem. — Mam nieskończone pokłady magii, kotku. To musiał być jakiś inny koleś, z którego wyssałaś całą energię.

Tłumię wybuch śmiechu, bo ten chropowaty poranny głos i zaspane oczy są dla mnie kwintesencją seksowności, co bardzo utrudnia udawanie nonszalancji.

— Tak, masz rację. Jak zapewne pamiętasz, mnie nie pociągają tacy źli chłopcy jak ty. — Wzruszam ramionami. — To był pewien gładko ogolony facet, z którym spotykam się na boku. Taki, który daje mi to, czego ty nie jesteś w stanie mi zapewnić — droczę się i podnoszę prześcieradło przykrywające nasze biodra, żeby pod nie zerknąć. Wodzę chciwie wzrokiem wzdłuż jego imponującej porannej erekcji. Moje lekko obolałe po nocy mięśnie natychmiast kurczą się w nadziei na dalszy ciąg. Zamykam oczy, żeby ukryć pożądanie, które na pewno w



nich widać, po czym wzdygam z zadowoleniem.

— Zobaczyłaś coś pięknego? Coś, czego tamten facet nie może ci zapewnić?

Uwielbiam jego swawolny ton. Muszę pilnować swojego głosu, bo jego chełpliwa gra wstępna wzbudziła we mnie pragnienie tego, co jest na wyciągnięcie ręki.

— Bez obaw. — Zmuszam się do wydobycia głosu, patrząc spod rzęs prosto w jego rozbawione oczy. — *Ta kobieta* jest nawet więcej niż zaspokojona. Nie ma potrzeby doświadczania twojej magii, skoro tamten facet potrafi tak manipulować swoją różdżką, że byś nie uwierzył.

Colton w ułamku sekundy odwraca mnie na plecy i nachyla się nade mną, opierając się na łokciu, a drugą ręką trzyma moje nadgarstki nad głową. Zbliży twarz do mojej z uśmiechem na ustach i wyzywająco uniesionymi brwiami.

— Wydaje mi się, że ja mówiłem o *dlugich pieprzonych godzinach* — stwierdza, przyciskając się swoją erekcją do mojej kości łonowej. — Widziałaś już *dlugie*, a teraz pora zadbać o część mówiącą o *pieprzeniu*.

Mój wybuch śmiechu przeradza się w jęk rozkoszy, gdy Colton zatapia się we mnie. Nie jestem całkiem gotowa na jego wejście, ale nie czuję bólu, chociaż normalnie byłoby to nieprzyjemne. Tym razem tarcie pobudza wszystkie możliwe zakończenia nerwowe, łącznie z tymi, które mogły zostać wczoraj pominięte.

— Słodki Jezu, kobieto, czuję się jak w niebie — mruczy w moje ucho i wycofuje się odrobinę. Trzymając moje ręce nad głową, robi coś dziwnie intymnego i kładzie głowę w zagłębieniu mojej szyi, przez co za każdym razem, gdy ze mnie wychodzi i zatapia się ponownie, czuję na skórze drapanie jego zarostu i ciepło oddechu. Nie wiem, dlaczego, ale w wydawanych przez niego odgłosach jest coś niewiarygodnie podniecającego. Może chodzi o to, że jego usta są tak blisko mojego ucha, albo o to, że jesteśmy tak ze sobą zestrojeni, ale kręci mnie, gdy jego pomruki przeradzają się w jęki rozkoszy.

Próbuję uwolnić ręce, ale Colton nie pozwala mi się wyrwać.

— Colton — dyszę, bo moje ciało zaczyna się rozkręcać. Czuję falę gorąca i jestem tak napięta z pożądania, że nie mogę się doczekać uwolnienia. — Chcę cię dotknąć.

— He? — mruczy, a wibracja jego głosu rezonuje w całym moim ciele. Zaczyna wykonywać biodrami koliste ruchy, a jego członek uderza w ukryte zakończenia nerwowe, po czym wyciąga go i zaczyna pocierać nim o moją lechtaczkę, a wszystkie wcześniejsze myśli o uwalnianiu rąk wylatują mi z głowy. Colton chichocze, bo doskonale wie, co właśnie zrobił. — Tak jest dobrze?

— Boże, tak! — jęczę, a on powtarza całą sekwencję. Moje uda zaczynają się napinać, a skóra rumieni się od fali doznań, która przygotowuje mnie na najwyższą rozkosz.

— Wiem, że jestem dobry, ale Bóg może poczuć się trochę zazdrosny, jeśli będziesz nas porównywać.

Żartobliwy ton, leniwe uprawianie miłości... bo to jak najbardziej jest uprawianie miłości. Colton nazywa to wyścigowaniem się, ale szeptane przez niego słowa, dogłębna akceptacja, pełna świadomość ciała kochanki, poczucie komfortu — to wszystko wygląda, jakby okazywał mi miłość.

Nie potrafię powstrzymać beztroskiego śmiechu. Wyginam się w łuk i przechylam biodra, przygotowana na jego kolejne staranne pchnięcie.

— Cóż, przygotuj się na to, że za chwilę sam będziesz zazdrosny — mówię wyzywająco, a on odrywa głowę od mojej szyi, celowo ocierając się zarostem o mój sutek. Fala pożądania spływa w dół, między moje uda, gdzie Colton tak wprawnie operuje biodrami. Unosi z rozbawieniem brwi, próbując rozgryźć, co właściwie miałam na myśli, ale nie przestaje

wykonywać kolistych ruchów biodrami, więc się gubię.

Zatracam się w tej chwili.

W nim.

W orgazmie, który nagle przetacza się przeze mnie i wciąga w wir przytłaczających doznań.

W mantrze: „*O Boże, o Boże, o Boże!*”, którą wykrztuszam po każdej zalewającej mnie fali rozkoszy.

Zanurzam się w mgłę pożądania, ale i tak słyszę, jak Colton chichocze, gdy dociera do niego, dlaczego miałby być zazdrosny. Moje ciało pulsuje wokół niego w konwulsyjnych skurczach, a on nachyla się do mojego ucha.

— Może i wołasz teraz jego imię, kochana, ale już za chwilę to mnie będziesz dziękować — mówi z tą swoją poranną chrypą, która rezonuje w całym moim ciele, po czym skubie zębami mój bark, puszcza moje ręce i oddala się ode mnie.

Jestem tak zatracona w przeżywanym orgazmie, że ciepło jego ust i pociągnięcia językiem w najbardziej wrażliwym miejscu między nogami sprawiają, iż chwytam go za włosy.

— Colton! — krzyczę, gdyż jego liźnięcia potęgują intensywność mojego orgazmu i przedłużają falę ekstazy. — Colton! — powtarzam i wierzgam biodrami, bo rozkosz staje się tak intensywna, że jest niemal nie do zniesienia.

Po kolejnym liźnięciu rusza dalej w górę, składając mokre pocałunki na moim brzuchu, piersiach i szyi. W końcu dociera do ust i daje mi skosztować smaku mojego podniecenia. Jęczę cicho w jego usta, gdy wchodzi we mnie ponownie i zaczyna pościg za własnym orgazmem.

Odrywa się od moich ust, siada na kolanach i trzymając moje nogi w górze, posyła mi uśmiech, któremu nie potrafię się oprzeć.

— Mówiłem ci, że koniec końców to moje imię będziesz krzyczeć — stwierdza.

Chcę coś odpowiedzieć, ale chwytam go za biodra i zaczyna się we mnie wbijać w morderczym tempie. Ściskam dłońmi prześcieradło, a jego imię staje się moją nową mantrą, gdy prowadzi nas w stronę spełnienia.

\*\*\*

— Co chciał Becks? — pytam Coltona, wchodząc do jego gabinetu. Staję przed nim, opierając się pośladkami o biurko. Gdyby nie ta pozycja, nie dostrzegłabym błysku niepewności w jego oczach tuż przed tym, jak się skrzywił.

— Mocny atak? — pytam o ból głowy, który próbuje przede mną ukryć.

— Nie, nie aż tak bardzo. Są coraz słabsze i rzadsze — mówi i milknie, rozginając w skupieniu spinacz do papieru.

— Becks? — przypominam mu, wyczuwając, że coś jest nie tak.

— Hm, on? Pytał, czy zarezerwować mi czas na torze, bo ustawili z wyprzedzeniem parę terminów, żeby mieć pewność, że będę miał czas, gdy tego zechcę. — Odwraca wzrok i skupia się na spinaczu. — Uważa, że powinienem wznowić treningi.

*Pieprzony Beckett!*

Chciałabym wrzasnąć te słowa ile sił w płucach, ale poprzestaję na zganieniu Becketta w myślach. No dobrze. Wściekam się na niego bezpodstawnie, bo zrobił to, co sama uznałam za właściwe, chociaż to wcale nie oznacza, że się z tym zgadzam. Poczulałabym się o wiele lepiej, gdybym miała pod ręką worek bokserski, bo wciąż przeraża mnie wizja Coltona zakładającego kombinezon i wsiadającego za kierownicę. Pytanie jednak brzmi, czy Colton też jest przerażony.

— Co o tym myślisz? Jesteś gotowy?

Colton wzdycha i odchyła się na krześle. Splata palce za głową i wbija wzrok w sufit.

— Neeee — mówi w końcu, przeciągając to słowo, żeby zyskać trochę czasu na wyjaśnienie. — Wczoraj czu... — przerywa i potrząsa głową. — Nieważne... Nie jestem na razie w stanie utrzymać kierownicy tą pieprzoną ręką — stwierdza. Wiem, że to ściema, bo wczoraj bez problemu trzymał mnie za pośladki, przyciskając do drzwi, ale powiedzenie tego na głos byłoby kopaniem leżącego, bo udowodniłabym, że jest przerażony, a do tego kłamie.

Moją uwagę zwraca natomiast jego urwane wyjaśnienie, które w mojej głowie zderza się gwałtownie z wczorajszym komentarzem o ciężkim dniu. Bez słowa siadam mu na kolanach i wtulam się w niego. Wypuszcza z rezygnacją powietrze, po czym rozplata palce i obejmuje mnie.

— Co się stało wczoraj? — pytam po chwili. Czuję, że jego ciało napięło się na sekundę, więc udzielam mu milczącego wsparcia, całując go w klatkę piersiową.

— Oglądałem nagranie.

Nie musi mówić nic więcej. Wiem dokładnie, o jakie *nagranie* mu chodzi, bo ja wciąż nie umiem się zmusić do jego obejrzenia.

— I jak sobie z tym poradziłeś?

Jego ciało wibruje z niepokoju. Domyślam się, że Colton potrzebuje się poruszyć, bo zaczyna się pode mną wiercić. Zeskakuję z jego kolan, a gdy wstaje i podchodzi do okna, zatapiam się z powrotem w skórzany szezlong, jeszcze ciepły od jego ciała.

Colton przeczesuje dłonią włosy i patrzy w dół, w stronę plaży. Na jego nagich plecach wyraźnie widać napięcie mięśni. Śmieje się w wymuszony sposób.

— Cóż, jeśli nazwiesz dorosłym spanikowanego faceta czołgającego się nago po pierdolonej podłodze i targanego suchymi torsjami, bo każde pieprzone uczucie związane z wypadkiem uderza go jak młot — mówi z ewidentnym sarkazmem — to jeśli to, kurwa, nazywasz poradzeniem sobie, to jasne... zdałem ten pierdolony test. — Wzrusza ramionami i nie oglądając się za siebie, wychodzi z gabinetu. Dopiero, gdy słyszę, jak odsuwa drzwi na taras i zasuwuje je za sobą, wypuszczam powietrze, które wstrzymywałam.

Czekam chwilę zatopiona w myślach. Boli mnie serce z powodu rozdarcia Coltona między potrzebą jazdy a lękiem przed wejściem do samochodu i wstaję, żeby go poszukać.

Wychodzę na taras i słyszę plusk wody. Długa, szczupła postać z gracją płynie po powierzchni. Szybko dociera do końca basenu, gdzie wykonuje jakiś podwodny zwrot, po czym pojawia się na powierzchni i płynie z powrotem.

Siadam po turecku na brzegu basenu i podziwiam jego naturalnie wysportowaną sylwetkę, ruchy mięśni i pełną kontrolę nad ciałem. Zastanawiam się, czy mój absolutny pociąg do niego ma jakiegokolwiek granice.

Przy którejś z kolei nawrotce Colton odbija się od przeciwległej ściany basenu i zamiast wznowić ruchy ramion przewraca się na plecy i unosi się na wodzie, z rozpędu przesuwał się w moją stronę. Oddycha ciężko, ale wygląda teraz tak spokojnie, że chciałabym częściej widzieć taką pogodę ducha na jego twarzy.

W pewnym momencie staje na nogach, wynurzając się częściowo z wody, podnosi dłonie i pociera twarz. Potem je opuszcza i podnosi wzrok. Z zaskoczeniem zauważa, że go obserwuję, a na jego twarzy pojawia się najbardziej urokliwy uśmiech. Pociera nos, a ja myślę sobie, że tak musiał wyglądać, gdy był małym chłopcem, i wszystkie moje troski związane z jego samopoczuciem znikają bezpowrotnie.

Podchodzi do mnie, nie odrywając ode mnie wzroku.

— Przepraszam, Ryles — wdycha i potrząsa głową. — Ciężko mi przyznać, że boję się wrócić do samochodu.

Jestem zszokowana jego wyznaniem. Wyciągam dłoń, żeby musnąć jego policzek, i czuję, że kocham go jeszcze bardziej.

— To nic. Ja też się boję.

Chwyta mnie za biodra i przyciąga do siebie, żeby mnie pocałować. Jego muskające usta i zapach chlorowanej wody na skórze wystarczą, żebym znowu poczuła się z nim dobrze. Zaczyna coś mówić i przerywa.

— Co? — pytam łagodnie.

Chrząka, zwilża usta językiem i odwraca wzrok w stronę plaży.

— Gdy wrócę na tor, żeby wsiąść do samochodu... będziesz... będziesz przy mnie?

— Oczywiście! — wykrzykuję bez wahania i od razu obejmuję jego mokre ciało, żeby podkreślić swoje słowa. Czuję drżenie jego klatki piersiowej i rwący się oddech, gdy przyciska się do mnie mocniej. Chowa twarz w mój kark, a ja zaczynam bawić się jego włosami.

*Kocham cię* — te słowa dudnią mi w głowie i muszę siłą je powstrzymać, żeby nie przedostały się do ust, bo intensywność moich uczuć do niego jest nie do opisania. Bezwarunkowa miłość.

Dobiegający z wnętrza domu dźwięk dzwonka do drzwi sprawia, że się od siebie odrywamy. Patrzę na niego zdezorientowana.

— To przypuszczalnie ktoś z ochrony — stwierdza. Podnoszę się, a on pod pływa do schodków.

— Otworzę — mówię i wchodzę do domu, odrywając zmoczoną koszulkę od ciała. Dobrze, że założyłam czerwoną, a nie białą.

Przekręcam zamek i odciągam drewnianą zasuwę.

— *Zaczekaj!* — krzyczy Colton z tarasu, ale za późno. Drzwi się otwierają i nieświadomie staję twarzą w twarz z jednym z moich najgorszych koszmarów.

Opuszczam ramiona z rezygnacją na jej widok. Rejestruję tylko długie nogi, blond włosy i protekcyjny uśmiech, bo ona bezceremonialnie mnie mija. Zatrzymuje się w środku, odwraca głowę i rzuca przez ramię:

— Pakuj manatki, dziewczynko. Koniec zabawy, bo Colton już cię nie potrzebuje. Jest teraz w dobrych rękach, bo wróciła pani domu.

Szczęka mi opada i nie wiem, co odpowiedzieć. Stoję jak wmurowana, a ona rusza w głąb domu, jakby należał do niej, pozostawiając za sobą obezwładniającą mgłę perfum.

— Colton? — krzyczę do niego, ale on już wchodzi do korytarza. Ręcznik, którym wycierał włosy, spada mu na ziemię.

Jego twarz jest bez wyrazu, chociaż w oczach dostrzegam różne emocje, z których najwyraźniejszą jest irytacja.

A w przypadku Coltona kamienna i pozbawiona emocji twarz oznacza nadchodzący sztorm.

— Co ty *tu*, kurwa, robisz, Tawny? — jego lodowaty głos zamraża mnie na miejscu, ale na niej nie robi żadnego wrażenia.

— Colt, kochanie — mówi, zupełnie nie zważając na jego przykre słowa. — Musimy porozmawiać. Wiem, że dawno się nie widzieliśmy, ale...

— Nie jestem w nastroju do słuchania twoich melodramatycznych ściem, więc daruj je sobie. — Colton robi krok w jej stronę. — Wiesz, że nie jesteś tu mile widziana, Tawny. Gdybym cię tutaj chciał, to bym cię zaprosił.

Jego głos jest tak jadowity, że przechodzi mnie dreszcz, ale jednocześnie ogarnia mnie wściekłość. Jestem wściekła, że wparadowała tu tak, jakby ten dom należał do niej, chociaż to ja jestem jedyną kobietą, jaką Colton kiedykolwiek tu przyprowadził.

— Mamy temperamencik, co? — gani go żartobliwie, ignorując jego kompletny brak zainteresowania. — Martwiłam się o ciebie i o to, czy już odzyskałeś pamięć, więc...

— Wsadź sobie w dupę swoją troskę! Masz dwie sekundy. Mów, co chcesz powiedzieć, albo od razu wyrzucę cię z domu. — Colton robi kolejny krok w jej stronę. Widzę, jak zgrzyta zębami i patrzy na nią z zimnym lekceważeniem.

— To, że jesteś wkurzony, bo tak powoli dochodzisz do siebie i nie potrafisz przypomnieć sobie *ważnych* rzeczy, nie oznacza, że możesz się na mnie wyżywać. — Tawny śmieje się protekcyjnie, po czym odwraca głowę i patrzy na mnie z niedowierzaniem, jakby chciała powiedzieć: „*Serio? Wybrał cię zamiast mnie?*”. Głośno jednak mówi: — Jestem pewna, że fajnie było być jego pielęgniarką, laleczko, ale nie jesteś już tutaj potrzebna.

Zalewa mnie gniew i jestem gotowa na nią wybuchnąć, ale Colton mnie uprzedza. Chwyta ją za ramię, wręcz promieniując wściekłością.

— Wynoś się! — krzyczy i rusza z nią w stronę drzwi. — Nie będziesz przychodziła do mojego domu i okazywała braku szacunku...

— Jestem w ciąży.

Słowa wypadają z jej ust i zasiewają ciszę w całym pomieszczeniu, chociaż widzę, jak rezonują w Coltonie. Zatrzymuje się, rozluźnia uchwyt na jej ramieniu i zaciska zęby. Dopiero po chwili odzyskuje panowanie nad sobą i znowu zaczyna ciągnąć ją w stronę drzwi.

— To super. Gratuluję — cedzi przez zęby, a jego słowa wręcz kipią od sarkazmu. — Dobrze wiedzieć. — Zaczyna otwierać drzwi, lecz Tawny wyrzywa się z jego uchwytu.

— *To twoje.*

Ręka Coltona zamiera na klamce, a moje serce staje w miejscu. Patrzę na rozwój sytuacji, która rozgrywa się tuż przed moimi oczami, ale czuję się jak przypadkowy obserwator oddalony od nich o całe lata świetlne. Opuszcza lekko głowę, zaciska pięści po bokach, a jego oczy płoną gniewem, gdy bardzo powoli się odwraca. Przez sekundę wymienia spojrzenie ze mną, a to, co widzę w jego oczach, wysącza ze mnie całą energię. Nie jest to wściekłość, lecz niedowierzanie pomieszane z prośbą o wybaczenie. Prośbą, która zdradza, że głęboko w środku obawia się, iż jej słowa mogą być prawdą. Czuję ołów w żołądku, ale Colton z powrotem przywdziewa maskę gniewu, którą kieruje w stronę Tawny.

— Oboje wiemy, że to niemożliwe, Tawny. — Podchodzi krok bliżej i widzę, jak z całych sił walczy ze sobą, żeby jej nie wyrzucić siłą za drzwi. Zerka na jej brzuch, po czym wraca do oczu.

— Co? — wykrztusza Tawny boleśnie zszokowanym głosem. — To ty nie pamiętasz? — Przykłada dłoń do ust, a jej oczy wzbierają łzami. — Colton, ty i ja... w noc po urodzinach Davisa... Nie pamiętasz tego?

Żołądek mi się skręca, bo nawet jeśli próbowała odegrać mały teatrzyk, żeby odzyskać Coltona, to tym skrzywdzonym spojrzeniem i desperackim głosem właśnie zdobyła owację na stojąco.

O mój Boże. O mój Boże. To jedyna sensowna myśl, jaka przychodzi mi do głowy, bo cała drzę z nadmiaru wszelkich możliwych emocji.

— Nie — mówi Colton, potrząsając przecząco głową. Jego twarz wygląda tak, jakby się łudził, że jeśli będzie zaprzeczał odpowiednio długo, to cały ten koszmar się skończy. Dobija mnie to. Rozdziera mnie wewnętrznie i otwiera rany, przygotowując na nadchodzącą lawinę bólu.

— To jedyna możliwość — mówi cicho Tawny i przykłada dłoń do brzucha. Na wygładzonej teraz bluzce widać niewielkie wybrzuszenie. — Jestem w piątym miesiącu, kochanie.

Walczę z gulą w gardle, która rosnąć pożera całą nadzieję. Zmuszam się do oddychania. Skup się, Rylee. Tu nie chodzi o ciebie, tylko o to, że spełnił się najgorszy koszmar Coltona, i to

tuż po waszej magicznej nocy. Ale nie jest mi łatwo.

Słowa Tawny rezonują mi w uszach, więc koncentruję się na datach. *Pięć miesięcy, pięć miesięcy, pięć miesięcy* — powtarzam w kółko, bo znacznie łatwiej skupić się na upływie czasu niż na rzeczywistości, w której właśnie straciłam grunt pod nogami. Gdy odzyskuję zdolność logicznego rozumowania, uświadamiam sobie, że od mojego poznania z Coltonem minęło niecałe pięć miesięcy. Kurwa, *to możliwe*.

Wmawiam sobie, że Tawny kłamie. Że próbuje zdobyć Coltona, czyli swoje najbardziej upragnione trofeum, wyciągając kartę „jestem w ciąży”. Najstarsze zagranie świata. Ale mam przed sobą dowód w postaci nabrzmiałego brzucha i przerażonego wyrazu twarzy Coltona, który próbuje sięgnąć do spowitych mrokiem czeluści pamięci, aby znaleźć wspomnienie, o którym mówi Tawny. Na jego twarzy pojawiają się przebliski strachu, po czym wpadają w jego oczy, którymi nagle boi się na mnie spojrzeć.

A ja, chociaż bardzo bym chciała, nie potrafię odwrócić wzroku. Wpatruję się w niego tak intensywnie, jakbym liczyła na to, że w końcu się odwróci i zobaczę na jego twarzy ten uśmiech, którym obdarzył mnie chwilę wcześniej przy basenie, a ona po prostu zniknie.

Tak się jednak nie dzieje.

Colton stoi między nami, zatopiony w myślach, które mogę sobie tylko wyobrazić. Swawolny mężczyzna z wczorajszego wieczoru zniknął bez śladu. Widzę, jak tryby w jego głowie pracują z wytężeniem, zauważam grymas, który z pewnością oznacza kolejny atak bólu głowy... Ale jeśli o nim można powiedzieć, że stoi jak wmurowany, to ja jestem kompletnie sparaliżowana.

Tawny zerka na mnie z absolutną pogardą, po czym wraca spojrzeniem do Coltona i uśmiecha się miękko.

— Odwiozłeś mnie do domu po imprezie Davisa, spytałeś, czy możesz wejść... uprawialiśmy seks, Colton. Byliśmy pijani... desperacko pragnęliśmy to znowu zrobić i nie użyliśmy kondomu.

Sztylet jej słów przebił moją skórę i zanurzył się w moim sercu, lecz po jej komentarzu o tym, że robili to wiele razy, ostrze obróciło się kilka razy i weszło głębiej.

— Wcześniej... gdy spotykaliśmy się wcześniej... — wykrztusza Colton i chrząka — wręcz fanatycznie pilnowałaś zażywania pigułek. — Nie poznaję jego głosu, a byłam już pod ostrzałem jego wściekłości. Tym razem jednak jego głos emanuje absolutną pogardą, od której przechodzą mnie ciarki.

— Nie brałam wtedy pigułek — mówi miękko i przepaszająco wzrusza ramionami. Potem podchodzi do niego o krok. Potencjalna matka jego dziecka. Łagodna intymność jej głosu wyciska łzy z moich oczu. Wyciąga dłoń, żeby chwycić Coltona za ramię, lecz on się wyrывa.

Jego reakcja w połączeniu z absolutną paniką w oczach sprawia, że powoli dociera do mnie realność tej sytuacji i coraz trudniej mi ją wypierać. To może wcale nie być intryga mająca na celu odzyskanie faceta.

Opadam plecami na ścianę i czuję, jak duchy przeszłości i kobiece kompleksy wychylają swoje paskudne łby. Kładę dłoń na brzuchu, żeby stłumić ukłucie w swoim bezużytecznym łonie. Łonie, które na zawsze pozostanie puste. Łonie, które nie może dać mu tego, co *ona może*. Czuję nadchodzący atak paniki. Brakuje mi tchu, serce łomocze jak oszalałe, wzrok mi mętnieje. Zastanawiam się, czy facet, który się zarzekał, że nigdy nie będzie miał dzieci, mógłby zmienić zdanie, gdyby zobaczył własne. Przecież tak dzieje się cały czas. A co w takim wypadku będzie z nami? Zostawi mnie? Kobieta, która nie może mu tego dać?

— Nie! — krzyczy Colton w odpowiedzi na moje rozmyślenia.

Odwraca się do mnie i rzuca mi krótkie spojrzenie. Jego twarz jest pełna udręki, jakby

słyszał moje niespodziewane myśli. Wtedy Tawny prychnął z pogardą, co dolewa oliwy do ognia jego wściekłości.

— Wynocha! — wrzeszczy tak głośno, że aż podskakuję, a ponieważ patrzy na mnie, przez chwilę boję się, iż mówi do mnie. Przelykam ślinę z trudem, a on patrzy na mnie jeszcze przez chwilę, po czym odwraca się plecami i wskazuje ręką Tawny i drzwi. — Wy-noś. Się. Stąd!

— *Colty...*

— Nie waż się mnie tak więcej nazywać! — krzyczy stalowym głosem i wskazuje wzrokiem kierunek, w którym ona nie chce podążyć. — *Nikt nie ma prawa tak do mnie mówić!* Myślisz, że jesteś wyjątkowa? Że możesz tu wparadować i gadać o piątym miesiącu ciąży? I że mnie to obchodzi? Dlaczego mówisz mi to teraz, co? Bo jest za późno, żebym mógł wyrazić swoje zdanie, więc myślisz, że złapałaś mnie w pułapkę? I zdobyłaś swój złoty bilet? — Wzdycha głośno i zaczyna chodzić dookoła, splatając palce za głową. — Nie jestem pieprzonym Willym Wonką, kochana. Znajdź sobie innego sponsora.

— Nie wierzysz mi?

Colton odwraca się na pięcie, wymienia ze mną spojrzenie przez ułamek sekundy, a ja wpadam w przerażenie na widok pustki w jego oczach. Natychmiast jednak odrywa ode mnie swój martwy wzrok i odwraca się w stronę Tawny.

— Oczywiście, że ci, do cholery, nie wierzę. Przystań pieprzyć i wypierdalaj stąd razem ze swoimi głupimi kłamstwami. — Staje kilka centymetrów od jej twarzy. Wygląda groźnie, a oczy błyszczą mu z wściekłości.

— Ale ja wciąż cię kocha...

— Nie masz prawa tak mówić! — ryczy i wali pięścią w stojący obok kredens. Odgłos uderzenia i brzęk rozkołysanych wazonów rezonuje w cichym skądinąd domu. Tawny wydaje z siebie pojedynczy szloch, lecz jej wybuch emocji nie robi na Coltonie żadnego wrażenia. — Nie masz prawa tak mówić — powtarza bardzo cicho, lecz słyszę ból w jego głosie i widzę rozpacz, która przetacza się przez niego falami.

Pociera dłońmi twarz. Przez chwilę patrzy w okno na spokojny ocean, ale w nim samym widać nadciągającą burzę. Jestem w samym środku jego emocjonalnego sztormu i nie mam żadnego koła ratunkowego. Gdy podnosi wzrok na Tawny, za jego zsuwającą się maską dostrzegam tak wiele emocji, że nie wiem, na której się skupi w swojej reakcji.

— Chcę testu na ojcostwo.

Tawny wciąga gwałtownie powietrze i osłania brzuch dłonią, ale gdy podnoszę wzrok na jej twarz, zauważam dokonującą się przemianę. Dziewczynka w opalonych przeradza się w mściwą jędzę.

— To dziecko jest twoje, Colton. Ja się nie puszczam.

Colton prychnął i potrząsa głową.

— Oczywiście, dla stałych klientów jesteś święta. — Podchodzi do drzwi i odwraca się w jej stronę. — Idź poszukać innego łatwowiernego skurwiela, któremu będzie zależało. Mój prawnik się z tobą skontaktuje.

— Będziesz mi musiał zaoferować coś znacznie większego niż straszenie mnie swoimi prawnikami, żeby się z tego wywinąć — stwierdza i prostuje się. — Przygotuj swoją książeczkę czekową i swoje ego na poważne straty, *kochanie!*

— Czy ty serio myślałaś, że wparadujesz tu, rzucisz swoją ściemą, a ja uwierzę ci na słowo? A potem wypiszę ci sowity czek lub ożenię się z tobą i odjedziemy w stronę pierdolonego zachodzącego słońca? — grzmi. — To. Nie. Moje!

Tawny wzrusza ramionami i przybiera przymilny wyraz twarzy.

— Media będą miały gorący temat, gdy to nagłośnię... Miły, soczysty skandal, w którym będą mogły zatopić swe wygłodniałe zęby.

Rusza w stronę wyjścia. W chwili, gdy myślę, że będę mogła swobodnie odetchnąć, Colton wali dłoń w drzwi i odwraca się do Tawny, stając kilka centymetrów przed nią. Odgłos uderzenia niesie się echem w martwej ciszy domu.

— Do twojej wiadomości, *kochanie*: lepiej wymyśl coś mocniejszego niż ta groźba, bo nie boję się mediów. Nie tylko ty potrafisz grać w tę grę — mówi drżącym z wściekłości głosem i otwiera drzwi. — Upewnij się, że opowiesz wszystkie pikantne szczegóły, bo ja na pewno nie będę nic ukrywał. Swoją drogą zdumiewające, jak w tym mieście można pograżyć obiecującą karierę, gdy rozejdą się plotki, że ktoś jest wymagającą divą. Nikt nie chce pracować z pieprzoną żołą, a ty zdecydowanie zasłużyłaś na tę etykietę. A teraz wypierdalaj.

Tawny, przechodząc obok, patrzy na niego, ale on nie zaszczycą jej swoim spojrzeniem. Drzwi od razu zatrząskują się za nią z hukiem, gdy tylko staje za progiem. Colton bez zastanowienia podchodzi do kredensu, w który wcześniej uderzył, bierze jeden z wazonów i rzuca nim o ścianę. Odgłos rozpryskującego się szkła i dźwięczny deszcz odłamków na płytkach podłogi wyraźnie kontrastują z ciężkością chwili. Rzut nie przynosi mu ulgi, więc kładzie dłoń na kredensie i opiera się na niej.

Wychodzę z zacienionego miejsca w holu. Nie wiem, co zrobić, gdy podniesie wzrok i napotka mój. Próbuję odczytać jego emocje, ale nie potrafię, bo na jego twarz wróciła dawna maska. Kiedy uświadamiam sobie, ile wysiłku będzie wymagało ponowne rozwalenie tych murów, mała część mnie umiera i spoczywa obok innej części mnie, która umarła po tym, jak usłyszałam od lekarza, że ponowne zajście w ciążę byłoby praktycznie cudem.

Bezużyteczność mojego łona znowu mnie uderza. Podchodzę do Coltona, który obserwuje mnie z pulsującą szczęką i napiętym ciałem.

— Colton, ja...

— Rylee — ostrzega — odwal się ode mnie!

— Co, jeśli to prawda? Co, jeśli faktycznie to zrobiliście, a ty tego nie pamiętasz? — to jedyna logiczna myśl, jaką potrafię sformułować, bo mój umysł wiruje wokół tematów *co, jeśli i co nigdy nie nastąpi*.

— *A co?* — Odwraca się w moją stronę, a ja przełykam nerwowo ślinę. — Liczysz na to, że będziesz mogła się bawić w dom? — Podchodzi o krok i patrzy na mnie tak, że przechodzi mnie dreszcz. — Bo tak bardzo chcesz mieć dziecko, że już je czujesz? Że zrobiłabyś wszystko, żeby je mieć? Że wzięłabyś to, które może jest, a może nie jest moje, żeby też zapuścić u mnie korzenie? W ten sposób miałabyś z obu światów to, co najlepsze, czyli kupę forsy i dziecko. Pierdolone marzenie każdej kobiety. — Uderza mnie tymi słowami jak batem i rani tę część duszy, która oddałaby wszystko za szansę posiadania dziecka. — Ona kłamie! — grzmi. — Ona kłamie — powtarza znacznie spokojniej.

Stoję jak wmurowana. Chciałabym uciec i zostać, czuję swój ból i jego cierpienie. Jestem na rozstajach niepewności i pragnę skulić się pod kloszem, żeby zewnętrzny świat przestał istnieć. Żeby zniknęli Colton i Tawny, a także ból, który nigdy nie odejdzie. Bo nigdy już nie poczuję, jak porusza się we mnie dziecko. Nigdy nie stworzę czegoś z miłości z osobą, którą kocham. Na samą myśl czuję gulę w gardle i zatykam usta, żeby stłumić odruch wymiotny.

— Taa, mi też chce się rzygać na myśl o tym, że miałbym być ojcem. — Śmieje się szyderczo, a jego głos emanuje czymś więcej niż tylko pogardą. Tylko dlatego nie zwymiotuję, ale nie mogę mu tego powiedzieć, bo jestem zbyt skupiona na tym, by stłumić te odruchy. — *Tylko my i prześcieradła*. — Śmieje się protekcjonalnie, patrząc w sufit, po czym spogląda na mnie. — Co za ironia, że cała ta sytuacja wynika z bycia na prześcieradle z kimś innym, co nie,



Ryles? Jak ci się teraz podoba ta fraza?

— Pierdol się — mówię cichym, skrzywdzonym głosem, bardziej do siebie niż do niego. Mam dość. Może i jest zdenerwowany i prześladowają go okropieństwa z przeszłości, ale to nie daje mu prawa być pieprzonym dupkiem i wyzywania się na mnie.

Odwraca się do mnie. Uosobienie furii na tle spokojnego oceanu za jego plecami.

— Dokładnie — cedzi przez zęby. — Pierdolę się.

Po tych słowach otwiera drzwi na taras. Nie wołam za nim. Nie mam ochoty. Patrzę tylko, jak zbiega po schodach na plażę i gwizdnięciem przywołuje do siebie Baxtera.

## Rozdział 19.

Im dłużej siedzę i czekam na niego, tym bardziej jestem nerwowa.

I tym bardziej się wkurzam.

Jestem nerwowa, bo od momentu uzyskania od lekarza pozwolenia na wzmożoną aktywność fizyczną, czyli od wczoraj, jego jedynym treningiem było pływanie. Wiem, że wściekłość zmusi go do tego, żeby biec szybciej, dalej i bardziej intensywnie, a przecież nie wiadomo, ile mogą wytrzymać jego gojące się naczynia krwionośne w mózgu. Nie ma go już prawie godzinę. Jak długo to zbyt długo?

A wkurzona jestem dlatego, że po tym wszystkim, co mi powiedział, nadal się o niego martwię.

Potrząsam głową, a jego słowa rezonują w moich myślach, gdy patrzę wzdłuż plaży. Rozumiem jego gniew i potrzebę wyładowania się w związku z kurczowym trzymaniem się swoich uprzedzeń, ale myślałam, że mamy to już za sobą. Myślałam, że po tym wszystkim, co przeszliśmy przez krótki czas naszej znajomości, udowodniłam mu, iż jest inaczej. Udowodniłam mu, że nie jestem taka jak *inne kobiety*. Że go potrzebuję. Że nigdy bym nim nie manipulowała tak, jak inne kobiety, żeby zdobyć to, czego pragnę. I że go nie opuszczę. Chociaż desperacko pragnę stąd teraz wyjść i uciec przed klótnią i kolejnymi ciosami, które mogą się posypać po jego powrocie. Muszę mu jednak udowodnić, że zostanę przy nim, gdy mnie najbardziej potrzebuje, nawet jeśli myśl o tym, że miałyby mieć dziecko z inną kobietą, sprawia mi niewyobrażalny ból.

Przełykam gulę, która znowu uwięzła mi w gardle, i tym razem nie potrafię się już powstrzymać. Biegnę do łazienki i opróżniam zawartość żołądka. Chwilę zajmuje mi odzyskanie równowagi. Próbuję się przekonać, że nie warto skakać ze skały, na której się znajduję, chociaż jestem już na krańcu wytrzymałości. Tyle się zdarzyło w tak krótkim czasie, że mój umysł pragnie się po prostu wyłączyć.

Co jednak, jeśli to prawda? Co to oznacza dla niego jako człowieka, dla nas jako pary i dla mnie jako kobiety, która nie może mu tego dać? Tego, co dała mu *tamta kobieta*? Na samą myśl znowu robi mi się niedobrze. Kładę czoło na muszli i zamykam oczy, żeby wyłączyć obrazy uroczego chłopca z atramentowymi włosami, szmaragdowymi oczami i szelmowskim uśmiechem. Chłopca, którego nigdy nie będę w stanie mu dać.

*A ona ma taką możliwość*. Jeśli ten scenariusz okaże się prawdą, to co ja, do cholery, mam zrobić? Kochać mężczyznę, ale nie jego dziecko, bo nie ja jestem jego matką, tylko właśnie Tawny? Cóż za okropną osobę to ze mnie robi? I chociaż wiem, że to nieprawda i że nie byłabym w stanie nienawidzić dziecka z powodu okoliczności, na które nie miało wpływu, to jednocześnie miałabym przed oczami nieustanne przypomnienie tego, że ktoś inny dał Coltonowi to, czego ja nie potrafię.

Ostateczny dar.

Bezwarunkową miłość i niewinność.

Ocieram łzy, których wcześniej nie zauważyłam. Słyszę słabe szczekanie Baxtera, więc zbieram się i ruszam w stronę tarasu. Nieszkodliwa bestia przeskakuje ostatnie schody i wyczerpana pada z jękiem na płytki. Biorę głęboki oddech i przygotowuję się na nadejście Coltona, chociaż nie wiem, z jakim jego obliczem będę miała do czynienia.

Po chwili pojawia się na tarasie. Oddycha ciężko i ma zaczerwienione policzki, a jego włosy są mokre od potu. Chcę zapytać, jak się czuje i co myśli, ale się powstrzymuję. Pozwolę, żeby to on nadał ton tej rozmowie.

Podnosi na mnie wzrok i na jego twarzy przez sekundę maluje się szok. Zatrzymuje się,

opiera dłonie na biodrach i patrzy się na mnie przez chwilę.

— Czemu ty tu, do cholery, ciągle jesteś?

*Czyli tak to będzie wyglądało.*

Myślałam, że się uspokołam, i miałam nadzieję, że jemu także bieg chociaż trochę pomógł, ale najwyraźniej oboje jesteśmy nadal owinięci kolczastym drutem poczucia krzywdy. Oboje jesteśmy gotowi zaciekle bronić swoich racji. Pytanie brzmi: jak przyjmie to, co zamierzam mu powiedzieć? Wybuchnie po raz kolejny? Znowu złamie mi serce? Czy może uświadomi sobie, że mimo bomby przyniesionej przez Tawny nasze wyścigowanie się wcale się nie skończyło? I że poradzimy sobie z tymi niezaplanowanymi rewelacjami?

— Nie możesz cały czas uciekać, Colton. — Mam nadzieję, że te słowa, które kiedyś mi powiedział, jakoś do niego trafią.

Zatrzymuje się w pół kroku obok mojego krzesła, lecz wbija wzrok w ziemię, żeby na mnie nie patrzeć.

— Nie jestem twoją własnością, Ry. Nie możesz mi mówić, co mogę, a czego nie mogę robić, tak samo jak Tawny — mówi szeptem, ale jego słowa są jak cios w żołądek.

— *Bez żadnych wykrętów, pamiętasz?* — ostrzegam go z zuchwałością, która na pewno nie jest widoczna w moich oczach. Colton stoi niecierpliwie i w napięciu, a ja czuję, że powinnam kontynuować. Albo przerwać, albo podjąć zaczynającą się między nami walkę. — Masz rację — kiwam głową. — Nie jesteś moją własnością... i wcale nie chcę, żebyś był. Ale związek nie polega na tym, że krzywdzisz kogoś dlatego, iż sam cierpisz, bo potem możesz przeprosić i będzie dobrze. To ma swoje konsekwencje i...

— Mówiłem ci, Rylee... — Odwraca się do mnie twarzą, lecz chociaż wciąż na mnie nie patrzy, to ton jego głosu, wyrażający absolutne obrzydzenie, każe mi wstać. — Robię to, co mi się podoba. Lepiej, żebyś o tym *pamiętała*.

— Colton... — tylko tyle potrafię wykrztusić, bo po jego nieoczekiwanym wyznaniu czuję, jakbym w naszym związku została skopana o parę stopni w dół. Jakby nagle chciał odzyskać wymykającą mu się kontrolę nad swoim życiem. Ale on nic nie rozumie. To już nie jest tylko *jego* życie, ale także moje! Tu chodzi o mężczyznę, którego kocham, i o możliwości, jakie przed nami widzę. Dobija mnie to równie bardzo jak jego, ale on jest zbyt mocno zaabsorbowany sobą, żeby spojrzeć na to z innej perspektywy. Z trudem przełykam ślinę, próbując znaleźć właściwe słowa, żeby mu to przekazać. Żeby zrozumiał, że oboje cierpimy, a nie tylko on. Ale zbyt długo zwlekam i Colton uprzedza moje słowa kolejnym ciosem.

— Mówisz, że jesteśmy w związku, Rylee... Jesteś pewna, że tego chcesz? Bo tak właśnie wygląda moje życie — krzyczy, wkładając w zniecierpliwioną gestykulację całą swoją negatywną energię. — *Czarujące* życie pieprzonego Coltona Donavana. Po każdym wzlocie następuje nieunikniony upadek na łeb na szyję. Każde dobre zdarzenie jest równoważone złym. — Podchodzi o krok. Ewidentnie próbuje mnie sprowokować. Wbijam paznokcie we wnętrza dłoni, powtarzając sobie, że muszę dać mu się wykrzyzczeć. Pozwolić mu zrzucić winę na cały świat, jeśli to konieczne, żeby się uspokoił i żeby zrozumiał, że to nie jest koniec świata, chociaż w tej chwili sama tak właśnie myślę. — Jesteś gotowa na taki *zwrot* na ścieżce mojego życia? — dokańcza kilka centymetrów od mojej twarzy kipiącym od sarkazmu głosem. Wyczuwam promieniującą od niego wściekłość i desperację, z jaką próbuje sprowokować moją reakcję. Przełykam ślinę i potrząsam głową.

— No dobrze — mówię przeciągle, żeby zyskać na czasie i móc się zastanowić. — Co jest w takim razie dobrym zdarzeniem, a co złym?

— Dobrym? — pyta, otwierając szeroko oczy. Pot spływa mu na klatkę piersiową. — Dobrze jest to, że przeżyłem, Rylee. Że kurwa żyję! — krzyczy, uderzając się pięścią w pierś.

Kulę się pod wpływem jego krzyków, a on mylnie odczytuje moją reakcję i karmi nią swoją wściekłość. — Co? Myślałaś, że powiem coś o *tobie*? — Każę sobie nie płakać i myśleć, że wcale nie liczyłam na taką odpowiedź, ale kogo ja oszukuję? Czy ja naprawdę wierzyłam, że w całym tym szaleństwie Colton będzie mnie postrzegał jako źródło swojej siły? Jako powód do życia? Mogłam się łudzić, ale nie powinnam być zaskoczona, skoro Colton tak mocno przywykł do polegania wyłącznie na sobie.

— Myślisz, że jak wparadujesz do mnie i będziesz się bawić w dom, pielęgnując mnie, gdy wracam do zdrowia, to wszystkie moje problemy i wszystkie moje pieprzone demony po prostu znikną? Wydaje mi się, że Tawny właśnie udowodniła, iż ta teoria jest błędna, co? — Wybuchła protekcyjnym śmiechem, który wyżera małe dziury w resztkach mojej siły woli. — Idealny świat, w który wierzysz, z całą pewnością nie istnieje. Nie da się zrobić lemoniady z cytryny, która jest przegnita na wylot.

Nie wiem, co boli bardziej: kwas trawiący mój żołądek, jego wściekłość raniąca moje uszy czy ból ściskający moje serce. Wstrząs po wizycie Tawny przekształcił się w bolesne trzęsienie ziemi, w którym moje myśli wyrwały się spod kontroli i uderzyły z hukiem w ścianę, tak jak Colton. Tym razem zniszczenia są zbyt duże, żebym była w stanie je wytrzymać, bo wszystko dookoła mnie się rozpada. Znowu czuję nudności i próbuję rozpaczliwie znaleźć cokolwiek, czego mogłabym się chwycić i co dałoby mi chociaż odrobinę nadziei.

Potrzebuję powietrza.

Nie mogę oddychać.

Muszę się stąd wydostać.

Robię kilka kroków wstecz, żeby stąd uciec, lecz wpadam na poręcz. Zwalczam kolejny atak nudności, po czym odwracam się i ściskam drewnianą balustradę, próbując się nie przewrócić.

— Nie musisz już uciekać, Rylee, *jesteśmy w związku*. Czy nie tak brzmiały twoje reguły? — Jego przedrzeźniający głos odzywa się bliżej, niż się spodziewałam, a jego intymność pomieszana z sarkazmem wytrąca mnie ostatecznie z równowagi.

Odwracam się na pięcie.

— Nie uciekam, Colton! Ja cierpię! Serce mi pęka, bo nie wiem, co powiedzieć i jak na ciebie zareagować! — krzyczę. — Jestem wkurwiona tym, że tak mnie poruszyła twoja cholerna bezdusznosc, bo *masz rację*! Oddałabym wszystko, żeby móc mieć dziecko. *Wszystko!* Ale to niemożliwe, więc myśl o tym, że ktoś inny być może da ci coś, czego ja nie mogę, łamie mi serce.

Chowam twarz w dłoniach i zostaję tak przez chwilę, próbując opanować płacz i zebrać myśli. W końcu podnoszę głowę i znowu spoglądam mu w oczy.

— Ale wiesz co? Nawet gdybym mogła mieć dzieci, nigdy nie wykorzystałabym cię ani nie zmanipulowała, żeby zająć w ciążę. Nie jestem ani pieprzoną Tawny, ani tą żalonną imitacją człowieka, jaką była twoja matka. — Łzy płyną strumieniami po mojej twarzy i widzę w rozmyciu, jak stoi oniemiały moim nagłym wybuchem.

Próbuje coś powiedzieć, ale podnoszę dłoń, żeby mu przerwać, bo chcę dokończyć to, co mam do powiedzenia.

— Nie, Colton, ja nie uciekam i nie zostawiam cię, tylko po prostu nie wiem, co zrobić. *Nie mam pojęcia!* Mam tu zostać i pozwolić, żebyś jeszcze mnie trochę podręczył? Ja umieram od środka, Colton. Nie widzisz tego? — Ocieram łzy z oczu i potrząsam głową. Potrzebuję jakiegokolwiek reakcji z jego strony. — Czy mam po prostu sobie pójść? Dać nam kilka dni na naprawienie tego szajsu, który miesza nam w głowach? Żeby nie miała do ciebie żalu, jeśli zdecydujesz się na coś, czego ja nigdy nie doświadczę. I żebyś się przekonał, że nie jestem taka,

jak te wszystkie kobiety, które cię wykorzystają.

Robię krok w jego stronę, w stronę mężczyzny, którego kocham, i żałuję, że nie mogę zrobić nic, co złagodziłoby jego wewnętrzny chaos. Czuję, że też jest teraz na krawędzi, bo perspektywa zostania ojcem to coś więcej, niż potrafi znieść, biorąc pod uwagę to, co musiał przeżyć. Nie potrafię mu jednak pomóc, bo sama mam w środku kompletny chaos.

Mięsień jego szczęki pulsuje, gdy próbuje zapanować nad swoimi emocjami, wściekłością i potrzebą wyzycia się. Żałuję, że nie mogą nic dla niego zrobić, bo jeśli mi pęka serce, to nie wyobrażam sobie, co dzieje się z jego sercem. Jedyne, co potrafię wymyślić, to danie nam odrobiny przestrzeni... żebyśmy się uspokoili... i wszystko sobie poukładali. Bo wtedy będziemy mogli wrócić do siebie.

I odnaleźć się na nowo.

Podchodzę o jeszcze jeden krok bliżej i w końcu Colton podnosi wzrok i spogląda mi w oczy, dzięki czemu mogę zobaczyć, co czuje. Może to kwestia tego, że tak dobrze się znamy, albo tego, że nawzajem zburzyliśmy swoje ściany ochronne, ale chociaż z całych sił stara się ukryć swoje emocje, to ja doskonale je wszystkie widzę. Strach, gniew, zagubienie, wstyd, obawa, niepewność. Widzę w nich też coś, co podejrzewałam: że próbuje mnie sprowokować do odejścia, żeby udowodnić sobie, iż jestem taka, jakie jego zdaniem są wszystkie kobiety. Jednocześnie jednak w jego oczach przebłyśnie poczucie winy. Moja dusza wzdycha z ulgą na ten widok i znajduje w nim punkt oparcia.

Colton także podchodzi bliżej. Stoimy bardzo blisko siebie, ale się nie dotykamy. Widzę przebłyśki emocji na jego twarzy i napięcie w mięśniach wynikające z próby opanowania tego wszystkiego, co dostrzegłam w jego oczach. Boję się, że jeśli go dotknę, oboje pękniemy, a w tej chwili przynajmniej jedno z nas musi być silne.

I to muszę być ja.

— Spójrz na mnie, Colton — mówię i czekam, aż znowu wróci do mnie wzrokiem. — To ja, dziewczyna, która cię wyściguje. Ta, która będzie walczyć o ciebie ze wszystkich sił. Zrobię wszystko, żeby zniwelować ból w twoich oczach i cierpienie targające twoją duszę... i żeby oskarżenia Tawny zniknęły bez śladu... *ale nie mogę*. Nie mogę nic zrobić, dopóki nie przestaniesz mnie odpychać. — Podchodzę bliżej. Chciałabym go dotknąć i wymazać cierpienie z jego oczu. — *Bo ja chcę ci tylko pomóc*. Potrafię znieść to, że jesteś dupkiem. Potrafię znieść to, że wylewasz na mnie swoje pomyje... ale to niczego nie rozwiąże. Nie sprawi, że Tawny, jej dziecko i cokolwiek innego zniknie. — Krztuszę się łzami, które wzbierają w moim gardle. — Po prostu nie wiem, co zrobić.

— *Rylee...* — odzywa się w końcu Colton. Przechodzą mnie ciarki, gdy słyszę swoje imię wypowiedane z takim bólem. — Mam teraz nieźle namieszane w głowie. — Z trudem przełykam ślinę i potakuję, żeby wiedział, że słucham. Zamyka oczy na chwilę i wzdycha. — Słuchaj, ja... ja... potrzebuję trochę czasu, żeby to wszystko wyprostować... nie odpycham cię już... ja tylko...

Przygryzam dolną wargę. Sama nie wiem, czy to, że chce, żebym poszła, mnie wkurza czy przynosi mi ulgę. Wyciąga dłoń, ale odsuwam się, bo boję się, że jeśli mnie dotknie, nie będę w stanie odejść.

— Dobrze — mówię ledwie słyszalnym głosem i robię krok w tył. — Odezwę się do ciebie za kilka dni.

Nie potrafię już spojrzeć mu w oczy, bo nasze cierpienie, chociaż wynika z innych powodów, jest niemal wyczuwalne w powietrzu, więc odwracam się i ruszam do środka.

— Rylee — powtarza moje imię w sposób, jaki tylko on potrafi, a ja natychmiast się zatrzymuję. Wiem, że czuje się tak, jak ja. Jest niepewny, niezdecydowany, chciałby, żebym

została, i jednocześnie wolałby, żebym sobie poszła, dlatego nie odwracam się, tylko potakuję.

— *Wiem* — *Wiem*, że jest mu przykro z bardzo wielu powodów. Bo mnie skrzywdził, bo mnie kocha, bo muszę przez to przechodzić i konfrontować się z Tawny, z niepewnością i z własnymi kompleksami dotyczącymi tego, czego nie mogę mu dać... Ale najbardziej jest mu przykro dlatego, że pozwala mi teraz odejść, bo nie potrafi znaleźć w sobie siły, żeby poprosić mnie, abym została.

## Rozdział 20.

— Jestem z ciebie taka dumna, stary. — Patrzę Zanderowi w oczy i próbuję opanować łzy. Chciałabym, żeby zobaczył głębię moich uczuć do niego, bo naprawdę go podziwiam. Dał prokuratorowi okręgowemu wszystko, co trzeba, żeby postawić w stan oskarżenia mężczyznę, który przepadł jak kamień w wodę. Usiadł przy stole pełnym przerażających dorosłych i niedawno odzyskanym głosem opowiedział im, jak jego ojciec zamordował matkę. Że zaatakował ją od tyłu, wielokrotnie ją dźgnął, a potem zczekał, aż umrze. Zander ukrywał się wtedy za kanapą, bo miał już spać. To jest dopiero odważny dzieciak. Ściskam go mocno, bardziej dla siebie niż dla niego, bo żałuję, że nie potrafię odebrać mu tego wspomnienia.

— Skąd wzięłeś w sobie tyle odwagi? — pytam.

Nie oczekuję odpowiedzi, dlatego jestem w szoku, gdy ją słyszę.

— Superbohaterowie mi pomogli — odpowiada, wzruszając ramionami. Z trudem przełykam palące mnie w gardle emocje, które odbierają mi zdolność mówienia. Patrzę w oczy tego małego chłopca, którego kocham z całego serca i siłą rzeczy widzę w nim podobieństwo do innego, dorosłego chłopca, który także skradł mi serce. Czuję miłość do nich obu, ale chociaż jestem przepelniona niewiarygodną dumą, to jest ona nieco zmacona smutkiem, bo wiem, że Colton chciałby wiedzieć, czego Zander dzisiaj dokonał. Bo pokonał niewidzialne bariery, których większość dorosłych nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić.

Ale nie mam jak porozmawiać z Coltonem.

To już cztery dni, od kiedy opuściłam jego dom.

Cztery dni bez kontaktu.

Cztery dni dla niego i dla nas, żebyśmy poukładali swoje sprawy.

A dla mnie cztery dni absolutnego chaosu związanego z Domem, z moimi emocjami, z szaleństwem mediów wokół domniemanego dziecka, z tęsknotą za Coltonem.

Obiecuję Zanderowi, że odłożę jego ukochanego pluszowego pieska na jego łóżko, i każę mu iść pobawić się w berka z resztą chłopców. Idź, bądź dzieckiem, baw się, śmieję i, jeśli to w ogóle możliwe, zapomnij o prześladowających cię obrazach.

Zabieram się za przygotowywanie obiadu i chociaż myślami jestem gdzieś indziej, pomaga mi w tym hałas bawiących się na zewnątrz chłopców.

Tęsknię za Coltonem. Byliśmy razem codziennie przez prawie miesiąc i przyzwyczaiałam się do jego obecności, uśmiechu, głosu. Boli mnie to, że nie dzwoni, ale jednocześnie nie oczekuję tego od niego. Wysłał mi jedynie SMS-a z pytaniem, czy dotarłam do domu, i z piosenką *I Am Human*. Ma mnóstwo rzeczy do przemyślenia i rozwiązania. *Oczywiście* wolałabym być teraz przy nim, żeby mu w tym pomóc, ale to nie moja sprawa. Proste.

Chciałabym usłyszeć jego głos, dowiedzieć się, jak się czuje, albo po prostu powiedzieć „cześć”, i niezliczoną ilość razy brałam telefon, żeby do niego zadzwonić. Ale nie mogę tego zrobić. Wiem lepiej niż ktokolwiek, że dopóki Colton nie dopuści mnie do swojego zabarykadowanego serca, rozmowa telefoniczna nie przyniesie mi nic dobrego.

Lukruję ciasto, które zrobiłam wcześniej w ramach nagrody dla Zandera za okazaną dziś odwagę, gdy dzwoni telefon. Zerkam na wyświetlacz i klikam „odrzuć”. Nieznany numer, czyli najprawdopodobniej jakiś dziennikarz chce mi złożyć szczerą ofertę w zamian za moją wersję historii Tawny. Tawny powiedziała mediom, że jestem kochanką, która odebrała jej, ciężarnej ofierze, miłość życia, czyli Coltona.

Jedynym plusem jest to, że paparazzi na razie nie odkryli Domu. Prędzej czy później jednak na niego trafią, a ja wciąż nie mam pojęcia, *co wtedy zrobić*.

Z jakiegoś powodu śmiesz mi naszkicowana przez Tawny opowieść. Nie wierzę w sensacyjne doniesienia na PageSix o tym, że ona i Colton na nowo zapalali do siebie miłością. Byłam w domu Coltona i widziałam, jak bardzo gardzi nią i wszystkim, co ona reprezentuje. To nie dlatego jest mi smutno.

Ja po prostu za nim tęsknię. Za wszystkim, co z *nim* związane.

Zabawne jest to, że nie boję się, iż tym razem zwróci się do innej kobiety. Przerabialiśmy to i szczerze powiedziawszy, dodawanie kolejnej kobiety do tego równania jeszcze bardziej skomplikowałoby mu życie. Nie, martwię się nie tym, że zwróci się w stronę innej kobiety, lecz tym, że być może nie zwróci się do mnie.

Głosy chłopców przebijają się przez mgłę zamyślenia przy krojeniu ziemniaków na obiad. Wychwytyję słowa Connora:

— Znowu ten palant.

— Zawsze możemy go obrzucić jajkami — to głos Shane’a.

*O kim oni, do cholery, mówią?*

— Hej, chłopcy? — wołam ich, wycierając ręce i przechodzę do salonu. — O kim mówicie?

— O nim — odpowiada Shane, wskazując głową w stronę okna. — Myśli, że sobie anonimowo tam parkuje.

— Jakbyśmy go nie zauważyli — wtrąca się Connor — i nie domyślili się, że jest *fotografem*. Aparat mówi wszystko, koleś.

Natychmiast zaciągam firanki i zerkam na ulicę. Wiem, czego szukam, chociaż dopiero po chwili go zauważam. Ciemnoniebieski sedan, który stoi kilka domów dalej, częściowo ukryty za innym samochodem. Zupełnie o nim zapomniałam.

Ten samotny paparazzi jest na szczęście chciwy i chce zachować dla siebie informację o miejscu mojego pobytu, żeby samemu zgarnąć całą kasę. Za to mogę mu być wdzięczna. Ale skoro on się domyślił, to inni wkrótce podążą w jego ślady, aby dowiedzieć się czegoś więcej o zdzirze rozbijającej szczęśliwe związki, którą podobno jestem.

*Niech to!* Wiedziałałam, że anonimowość Domu była zbyt piękna, żeby się utrzymała.

— Chodźcie chłopcy. Czas na...

— Super, że jesteś sławna! — wypala Connor w korytarzu.

Chcę go poprawić, ale Shane robi to za mnie, szturchając go żartobliwie w ramię.

— Nie ona, ty baranie! To Colton jest sławny. Czy ty nic nie rozumiesz?

— Hej! Spokój! — krzyczę za nimi.

\*\*\*

— Dzięki, że po mnie przyjechałaś.

— Żaden problem — odpowiada Haddie i rusza, bo światło zmieniło się na zielone. — Drażnienie fotografów było nawet zabawne, chociaż nie sądzę, żeby którykolwiek mi uwierzył, że ukrywasz się w domu.

Jęczę. Trochę trwało, zanim się przyzwyczaiłam do reporterów kręcących się dookoła domu i boję się, że do tych kilku, do których przywykłam, dołączyło całe stado.

— Mogę zapytać?

Haddie zerka na mnie i posyła mi swój diabelski uśmiech.

— Nie, nie możesz, bo nie będziemy o tym myśleć... ani o Coltonie... ani o mnie... ani absokurwalutnie o niczym ważnym — odpowiada.

— Nie? — Spoglądam na nią i bezwiednie się uśmiecham. Cieszę się, że akurat miała czas i mogła mnie odebrać z pracy, żeby nie dopadły mnie te sępy.



— Nie! — odpowiada, a opony piszczą chórem na zakręcie. — Poszukamy jakiegoś ciemnego zakątka i zatopimy wszelkie smutki, a potem znajdziemy jakiś szalony parkiet i będziemy tańczyć do utraty przytomności!

Śmieję się z nią, bo ten pomysł wydaje mi się genialny. Chwilowa ulga dla serca i ucieczka od myśli, które nieustannie krążą po mojej głowie.

— A co z tobą? Jakie smutki chcesz zatopić? — pytam i dopada mnie chwilowy smutek, że przez ostatnie kilka tygodni byliśmy tak zajęte, że nie znam odpowiedzi, chociaż dawniej w ogóle nie musiałabym pytać.

Haddie wzrusza ramionami i przez chwilę milczy, co w ogóle nie jest do niej podobne.

— Takie tam problemy z Lexy — stwierdza. Chcę dopytać o szczegóły, bo zawsze była bardzo blisko ze swoją siostrą, ale uprzedza mnie. — Nie rozmawiamy o niczym, co wymaga omawiania, pamiętasz?

— Super! — odpowiadam. Haddie puszcza muzykę i obie zaczynamy nucić.

\*\*\*

Odstawiam szklankę z brzękiem i uświadamiam sobie, że moje usta są trochę odrętwiałe. A raczej *bardzo* odrętwiałe. Patrzę, jak Haddie uśmiecha się do faceta naprzeciwko, po czym odwraca się z powrotem do mnie, a jej uśmiech się poszerza.

— Wygląda trochę jak Stone — mówi, wzruszając ramionami, a ja cieszę się, że już przełknęłam drinka, bo chyba bym nim parsknęła.

Nie wiem, czemu mnie to tak śmieszy, bo tak naprawdę to w ogóle nie jest zabawne. W każdym razie mój umysł zaczyna łączyć kropki poszczególnych wspomnień. Stone kojarzy mi się z Asem, As kojarzy mi się z Coltonem, a myśl o Coltonie sprawia, że *pragnę*... jego. Wszystkiego, co z nim związane.

— Hola, hola — hamuje mnie Haddie, orientując się, o czym myślę. — Następna kolejka — mówi do barmana. — Nie myśl o nim. Obiecałaś, Ry. Żadnych facetów. Żadnego smutku. Żadnych zakłóceń ze strony penisów.

— Masz rację — odpowiadam ze śmiechem i mam nadzieję, że mi uwierzy, chociaż na pewno nie brzmię zbyt przekonująco. — Żadnych zakłóceń ze strony penisów. — Barman przesuwa w naszą stronę nowe drinki. — Dziękuję — szepczę i koncentruję się na mieszaniu lodu słomką, żeby nie myśleć o Coltonie i nie zastanawiać się, co robi i jak się czuje. Niestety ponoszę sromotną klęskę. — Opowiedziałam mu niedawno o Stonie.

Dziwię się, że Haddie mnie usłyszała, bo mówiłam naprawdę cicho. Ale musiała to słyszeć, bo uderza dłonią w bar.

— Wiedziałaś, że nie wytrzymasz! — wykrzykuje, skupiając na nas uwagę innych klientów. — Wiedziałaś, że niezależnie od tego, ile wypijesz, i tak do tego dojdziemy.

— Przepraszam — mówię i wykrzywiam usta. — Naprawdę mi przykro. — Skupiam się z powrotem na drinku, zmartwiona tym, że zawiodłam przyjaciółkę.

— Hej — mówi, pocierając moje ramię. — Nie wyobrażam sobie... Przepraszam... Chciałam po prostu, żebyśmy uwolniły się na chwilę spod dominacji członków i zaakceptowały swoje wewnętrzne dziwki. — Unoszę brew w jej stronę i potrząsam głową.

— Wewnętrzna dziwka zaakceptowana — oznajmiam, kładąc głowę na jej ramieniu, chociaż wcale tak naprawdę tego nie czuję.

— To jak, rozmawiałaś z nim? — pyta.

— Myślałam, że miałyśmy nie rozmawiać o zdominowanych przez własne członki i zakłócających nasze życie swoimi penisami mężczyznach o nazwisku Donovan czy Stone — śmieję się.

— Cóż — stwierdza przeciągle. — Trudno nie gadać o twoim facecie, skoro tak wygląda z tą swoją seksowną pewnością siebie, ściągającymi majtki oczami i diabelską przystojnością. Kurde, takiego gościa można wykopać z łóżka tylko wtedy, gdy chcesz uprawiać z nim seks na podłodze.

Zaczynam się śmiać, tak szczerze, że aż nagle w moich oczach pojawiają się łzy i czuję drżenie dolnej wargi. Tłumię szlochnięcie i natychmiast przeklinam alkohol, bo to musi być wina alkoholu, że nagle robi mi się smutno i tęsknię za Coltonem jak cholera.

*Weź się w garść, Thomas! To tylko jeden popieprzony tydzień. Bądź dojrzała.*

Reprimenda od głosu wewnętrznego nie odnosi zamierzonego skutku, bo nie ma znaczenia, czy minął dzień czy tydzień. I tak tęsknię jak cholera. Jestem damską wersją mięczaka do potęgi.

— W końcu to z siebie wyrzuciłaś — stwierdza Haddie, obejmując mnie ramieniem i przyciągając do siebie.

— Zamknij się! — krzyczę na nią, chociaż wcale tego nie chcę.

Bo przecież siedzę w piątkowy wieczór w knajpie z najlepszą przyjaciółką i powinnam się świetnie bawić, ale potrafię myśleć tylko o Coltonie. Jak się czuje? Czy dostał już wyniki testu na ojcostwo? Zadzwoń do mnie? Dlaczego jeszcze nie zadzwonił? Czy myśli o mnie tak, jak ja myślę o nim?

— Dlatego podniosę ten temat, bo chociaż jesteśmy tu same, to i tak Colton metaforycznie jest między nami. Jakkolwiek ta idea mogłaby mu się podobać...

W końcu udaje jej się wydobyć ze mnie szczerzy śmiech.

— Ech! Nie cierpię tego — mówię.

— To czemu do niego nie zadzwonisz?

Oto pytanie za milion dolarów.

— Cała ta sprawa z Tawny zamieszała mu w głowie. Wydobyła brudy z jego przeszłości i chociaż bardzo chciałabym przy nim być lub do niego zadzwonić, nie chcę, żeby się na mnie wyżywał. Dzwoniłam jedynie do Becks, żeby się upewnić, czy wszystko z nim w porządku. — Wzruszam ramionami. — Becks stwierdził, że Colton wciąż jest w rozsypce. Chciałabym z nim pogadać — przyznaję, a Haddie gładzi mnie po ramieniu — ale muszę dać mu trochę przestrzeni, o którą prosił. Zadzwoń do mnie, gdy pozbiera się do kupy.

— Hm, zastanawiam się, czy ja już gdzieś tego nie słyszałam? — mówi prowokująco, lecz ja tylko wzruszam ramionami.

— Jakaś mądra kobieta to powiedziała, jak mi się wydaje.

— W istocie, bardzo mądra — śmieje się, przewraca oczami i stuka szklanką w moją szklankę. — A skoro to ja jestem *tą* kobietą, pozwolisz, że zaoferuję ci kolejną drobną poradę?

— Haddie'izm?

— Tak, haddie'izm. Podoba mi się to słowo. — Kiwa głową z aprobatą i bierze kolejny łyk drinka, uśmiechając się znowu do kolesia na drugim końcu baru. — Pytałam cię kiedyś, czy Colton jest tego wart... Czy teraz, gdy zainwestowałam w niego więcej czasu, wciąż czujesz tak samo? Wciąż widzisz w nim swoją potencjalną przyszłość?

— Kocham go, Had — odpowiedź wyrzywa się z moich ust w ułamku sekundy. Bez wahania, bez wątpliwości. Absolutna pewność.

Haddie obserwuje mnie przez chwilę. Wiem, że skrycie testuje moją reakcję, próbując zobaczyć ją z szerszej perspektywy, i że jest zdziwiona tak *pełnym* zaangażowaniem z mojej strony.

— Kochasz go dlatego, że jest twoim pierwszym facetem od czasu Maxa, czy dlatego, że go wybrałaś? Obie wiemy, że masz słabość do skrzywdzonych dusz, więc czy kochasz go, bo chcesz go naprawić, czy dlatego, że wybrałaś *jego*, którym jest teraz, i *jego*, którym będzie za

pięć lat?

Nie odpowiadam, ale nie dlatego, że nie znam odpowiedzi, tylko dlatego, że nie potrafię wydusić z siebie ani słowa z powodu guli zatykającej mi gardło. Ale Haddie widzi, co chciałabym powiedzieć, bo zna mnie na tyle dobrze, że wie, co czuję.

— A jeśli dziecko jest jego?

Odzyskuję głos.

— Jezu... zasypujesz mnie dzisiaj naprawdę trudnymi pytaniami. Myślałam, że miałyśmy dzisiaj nie myśleć o absokurwalutnie niczym? Na pewno jest jakiś haddie'izm na tę sytuację.

Nie chodzi o to, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale gdy słyszę to pytanie z jej ust, cały problem nagle staje się tak bardzo realny.

Bo zdarza się tak ciężki bagaż, że nawet miłość nie wystarczy, żeby się z nim uporać.

— Zaraz jakiś wymyślę — stwierdza, popychając w moją stronę nietkniętego drinka. — W każdym razie sprawa jest istotna, bo moja najlepsza przyjaciółka cierpi, więc napij się i odpowiedz na moje pytanie.

Biorę łyk i uśmiecham się z rezygnacją.

— Przeraza mnie nie to, czy okaże się ojcem... ale jego reakcja, gdy tak się stanie. — Po raz pierwszy wyznaję na głos swoją najgorszą obawę. — Co, jeśli jest ojcem, ale nie będzie umiał sobie z tym poradzić? Jak miałabym kochać mężczyznę, który nie potrafi kochać własnego dziecka, niezależnie od tego, kim jest matka? Który wypisze czek, żeby ją spłacić, i będzie udawał, że dziecko nie istnieje? Co, jeśli Colton wybierze taką opcję? Jak miałabym spędzić noc z facetem, który wyrzekł się dziecka, a potem pójść do pracy w Domu pełnym chłopców, których spotkało dokładnie to samo? Przecież byłabym straszną hipokrytką.

Już. *Wyrzuciłam to z siebie.* Moją największą obawę. Że Kocham mężczyznę, który być może odejdzie od swojego dziecka. A będę musiała odejść od niego, skoro nie będzie potrafił stawić czoła swoim demonom i zaakceptować tego, że potrafi być mężczyzną, jakiego potrzebuje jego dziecko. Drobne kompromisy, preferencje i pragnienia w związku to jedno, ale rezygnacja z tego, kim jestem, i z moich najgłębszych przekonań i zasad moralnych nie wchodzi w grę.

Wzdycham i potrząsam głową.

— Co wtedy będzie, Haddie? Co jeśli Colton dokona takiego wyboru?

— Cóż... — Haddie wyciąga rękę i ściska moją dłoń. — Jak na razie niczego nie wiemy, więc ta dyskusja jest bezpodstawna. Po drugie, musisz mu dać przywilej domniemanej niewinności... Jej sensacja go zszokowała, wytrąciła z równowagi i wkurzyła... Ale to dobry człowiek. Zobacz, jaki jest wobec chłopców.

— Wiem, ale nie byłaś tam. Nie widziałas jego reakcji, gdy...

— Wiesz, co ja mówię w takich sytuacjach? — pyta, przerywając mi i podnosząc stojące przed nami od dłuższego czasu dwa szoty tequili. Patrę na nią i zastanawiam się, dlaczego nagle, w połowie moich zwierzeń, chce wznieść toast, ale biorę jeden z kieliszków. — Ja mówię: nigdy nie osądzaj faceta z góry, chyba że ma głowę między twoimi nogami.

Krztuszę się własnym oddechem. Już dawno powinnam do tego przywyknąć, ale ona wciąż mnie zaskakuje i sprawia, że Kocham ją jeszcze bardziej. W końcu przestaję się śmiać i patrę na nią.

— Jeden na szczęście...

— I jeden na odwagę — dokańcza i obie wlewamy w siebie tequilę.

Z zadowoleniem przyjmuję palenie w gardle i cieszę się, że jestem tu i teraz ze swoją najlepszą przyjaciółką. Gdy w końcu dociera do mnie, co przed chwilą powiedziała, patrę na nią kątem oka.

— Chyba że ma głowę między twoimi nogami? Co, to jakieś stare rodzinne porzekadło?

Przekazywane z pokolenia na pokolenie?

— Uhm — potwierdza, wykrzywiając usta, żeby stłumić wybuch śmiechu. — Nigdy nie przeszkadzaj mężczyźnie, gdy stołuje się między nogami.

— Haddie — śmieję się. — Serio?

— Mogę tak całą noc, siostró! — Po raz kolejny stuka się ze mną szklanką, a mnie od śmiechu bolą policzki. — Oto następne: co robisz, gdy twojej najlepszej przyjaciółce jest smutno? Musisz ją sponiewierać, a potem zabrać na tańce.

— Cóż — stwierdzam, zeskakując ze stołka. Odczekuję chwilę, aż pomieszczenie przestanie wirować. — Myślę, że to doskonały pomysł!

Haddie płaci nasz rachunek i dzwoni po taksówkę. Potem, chwiejąc się, ruszamy w stronę wyjścia. Próbuję wyperswadować sobie pomysł przekonania Haddie, że powinna mnie zawieźć teraz do domu Coltona, chociaż w tej chwili jest mi obojętnie, czy byłby miły czy niemiły, bo zobaczyć go to jedyne, czego pragnę.

— Chodź, jesteśmy już wystarczająco zrobione. Trzy godziny w knajpie to zdecydowanie za długo — stwierdza, a potem obejmuje mnie ramieniem i pomaga mi iść w miarę prosto w stronę wyjścia.

Gdy stajemy za drzwiami, ciemne nocne niebo eksploduje nagle błyskami niezliczonych fleszy, a ja dostaję serią nieoczekiwanych pytań.

— Jakie to uczucie mieć opinię osoby rozbijającej rodziny?

— Czy masz jakieś wyrzuty sumienia, że wepchnęłaś się między Coltona i Tawny?

— Czy to nie jest hipokryzja, że namawiasz Coltona do porzucenia dziecka, skoro pracujesz z sierotami?

I tak dalej. Bez końca, seria za serią. Czuję się jak w pułapce, a Haddie próbuje mnie wyprowadzić poza tę nawałnicę krzyków, błysków i pogardy.

*Wygląda na to, że media już mnie znalazły.*

## Rozdział 21.

### Colton

— Jaja sobie ze mnie robisz, prawda? — krzyczę, walcząc z pragnieniem, żeby coś rozwalić. Pragnieniem, które rozpala moje emocje i sprawia, że pragnę słyszeć odgłosy zniszczenia. Odgłosy tego, jak moje życie rozpada się od środka.

Próbuję wyrzucić z głowy obrazy z ostatnich kilku dni.

Pobieranie krwi, markery DNA i pierdolone testy na ojcostwo.

Tawny, jej głupie kłamstwa i krokodyle ły, pochłaniane przez medialne sępy jak świeże mięso.

Odwiedziny Jacka i Jima. To, że miałem tak dość oglądania świata przez dno pustej szklanki, iż obu dżentelmenów postanowiłem pić prosto z butelki.

A do tego Rylee.

Pierdolona Rylee.

Wszędzie jej ślady. Jej zapach w pościeli. Gumka do włosów na blacie w łazience. Puszki jej ulubionej dietetycznej coli ustawione równiutko w lodówce. Czytnik książek na stoliku nocnym. Pojedyncze włosy na mojej koszulce. Dowód na to, że tak idealna istota naprawdę istnieje. Dowód na to, że ktoś tak czysty i dobry naprawdę chce być z kimś tak skażonym i popieprzonym przez duże „P” jak ja.

Pragnę i potrzebuję jej, nienawidzę się za to, że jej pragnę, i nienawidzę się za to, że tak bardzo jej potrzebuję, ale nie mogę tego zrobić. Nie mogę wciągać jej w tę nawałnicę kłamstw, pod którą jestem. Nie chcę, żeby miała do czynienia z moim popieprzonym obliczem, którego nawet ja nie znoszę. Muszę najpierw wszystko naprostować. Muszę zapanować nad emocjami, które kierują moimi działaniami.

Muszę poczekać na negatywny wynik testu DNA.

*Moja mama miała pierdoloną rację.* Miała rację, a znała mnie tylko przez pierwsze osiem z trzydziestu dwóch lat mojego życia... Jeśli to nie ma znaczenia, to nie wiem, co ma. Nie da się mnie kochać. Jeśli ktoś mnie pokocha... jeśli dopuszczę kogoś zbyt blisko, to dobiórą się do niego moje demony. Wydostaną się przez pęknięcia w mojej duszy i znajdą sposób, żeby zniszczyć tę drugą osobę.

— Colton, jesteś tam?

Wyrywam się ze swojego ciągu myślowego, tego samego, który przerabiam na okrągło przez ostatni tydzień. Kupa ściem krążących w mojej głowie jak chomik w kołowrotku.

— Taa — odpowiadam mojej specjalistce od PR. — Jestem, Chase. — Spycham stos brukowców ze stolika przede mną, ale nawet gdybym je podpalił lub wyrzucił do kosza, wciąż będę miał przed oczami to zdjęcie Rylee wychodzącej z baru. Zszokowane spojrzenie, rozchyłone usta i ogólne przytłoczenie tym medialnym piekłem, które zaskoczyło ją przy wyjściu.

Dobija mnie to! Nie mogę znieść, iż cały ten szajs i bycie ze mną doprowadziły do tego, że jej twarz przybrała taki wyraz. Że jej oczy emanowały takim przerażeniem. Pragnę być mężczyzną, który ją ochroni i przytuli, ale nim nie jestem. Nie potrafię nim być, bo nie mam pojęcia, jakie słowa lub czyny poprawiłyby jej humor. Sprawilyby, że to wszystko zniknie. Ochroniły ją.

— To są pieprzone ściemy i dobrze o tym wiesz.

Słyszę, jak Chase wzdycha na drugim końcu linii. Wie, że jestem wkurzony. Wie, że żadne jej słowa mnie nie uszczęśliwią, chyba że kazałyby mi odszukać tych dupków, którzy

prześladują Rylee, i wyładować na nich moją potrzebę destrukcji.

— Colton, najlepsze, co możesz zrobić wobec oskarżeń Tawny, to milczeć. Jeśli zareagujesz, twój wizerunek publiczny...

— Mam w dupie mój wizerunek publiczny!

— Uwierz mi, wiem o tym — wzdycha. — Ale jeśli zareagujesz, media to podchwycą i tym dłużej będą krążyć w oczekiwaniu, aż coś zepsujesz lub stracisz. To oznacza, że tym dłużej będą męczyć Rylee...

Szlag mnie trafia, ale ona ma rację. Czego ja bym jednak nie dał, żeby móc wyjść do tych sępów i dorzucić im swoje trzy grosze.

— Kiedyś nie wytrzymam, Chase — mówię.

— Wiem, wiem.

Rzucam telefon na kanapę naprzeciwko i pocieram twarz dłońmi. Potem siadam na tej za sobą i zamykam oczy. Co ja mam, do cholery, zrobić? I od kiedy w ogóle mnie to obchodzi?

Co się ze mną stało? Kiedyś miałem wszystko w dupie i nic mnie nie obchodziło, a teraz tęsknię za Rylee i chciałbym zobaczyć chłopców. Gówniane więzi. *Ja pierdolę.*

Słyszę głos dziękujący Grace, mojej gosposi, który sprowadza mnie na ziemię z krainy jednorożców i tęczy. Kompletnie to do mnie nie pasuje. Całe to badziewie typowe dla zniewieściałych dupków. Nie ma na nie miejsca w mojej głowie, od dawna zatruwanej inną trucizną.

Chwileczkę. Czuję jego obecność. Wiem, że patrzy na mnie i próbuje rozszyfrować moje myśli, ale nic nie mówi. Otwieram jedno oko i dostrzegam go. Opiera się o futrynę z rękami skrzyżowanymi na piersi i z zatroskaniem w oczach.

— Będziesz tak stał i się gapił czy podejdziesz tu i rzucisz mi swój wyrok prosto w twarz?

Patrzy na mnie jeszcze przez chwilę. Przysięgam na Boga, że nienawidzę tego uczucia. Nienawidzę tego, że na długiej liście osób, które zawiodłem, jest także jego nazwisko.

— Żadnego osądzania, synu — oznajmia, po czym wchodzi do pokoju i siada na kanapie naprzeciwko.

Nie potrafię podnieść wzroku i spojrzeć mu w oczy. Dziękuję w myślach Grace za to, że nie wygląda tu jak w chlewie, bo wtedy domyśliłby się, jak bardzo sytuacja z Tawny namieszała mi w głowie. Biorę głęboki wdech i żałuję, że nie mam przy sobie piwa. Mógłbym rozkręcić tę imprezę.

— No weź, tato, złajaj mnie, bo wiem, że na pewno nie przyszedłeś tu czysto towarzysko.

Siedzi w milczeniu, a ja nie potrafię tego wytrzymać. W końcu podnoszę wzrok i widzę, że patrzy na mnie swoimi szarymi oczami. Wykrzywia usta w zamyśleniu nad tym, co powiedzieć.

— Cóż, mogę szczerze przyznać, że wpadłem tylko po to, żeby zobaczyć, jak sobie radzisz w tej całej zawierusze — mówi, gestykulując obojętnie dłonią — chociaż to było dość oczywiste, biorąc pod uwagę twój gówniany nastrój. — Odchyła się na oparcie, kładzie nogi na stolik i patrzy na mnie. *Kurde, on się tutaj rozgaszcza.* — Zaczнеш mówić, synu, czy będziemy tu tak siedzieć i patrzeć się na siebie przez całą noc? Bo ja mam nieskończoną ilość czasu. — Zerka na zegarek i wraca spojrzeniem do mnie.

Kurwa! Nie chcę rozmawiać o całym tym szajsie. Nie chcę mówić o dzieciach, o laskach lecących na kasę, o chłopcach, za którymi tęsknię, i o kobiecie, o której nie potrafię przestać myśleć.

— Kurde, nie wiem.

— To mi nie wystarczy, Colton.

— To co mam ci powiedzieć? Że to spierdoliłem? To chcesz usłyszeć? — Próbuję go sprowokować. Cóż za przyjemna odmiana. Przez ostatni tydzień wszyscy chodzili wokół mnie na palcach, bo bali się, że wybuchnę, dlatego wyzywanie się jest tak przyjemne, nawet jeśli potem będę się czuł podle, że zrobiłem to własnemu ojcu. — Chcesz usłyszeć, że pieprzyłem się z Tawny i dostałem to, na co zasługuję, bo wyrzuciłem ją jak gorący kartofel, a teraz ona wraca i mówi, że jest w ciąży? Że nie chcę mieć dzieci i *nie będę ich miał*, ani z nią, ani z nikim innym? *Nigdy*. Bo nie podoba mi się, że ktoś wykorzystuje dziecko jako kartę przetargową, żeby coś ode mnie wyszarpać. A poza tym, jak ktoś taki jak ja miałby być ojcem, skoro jestem teraz równie popieprzony jak wtedy, gdy mnie znalazłeś?

Zrywam się z kanapy i zaczynam chodzić po pokoju. Wkurza mnie to, że nie połknął przynęty i nie dał się sprowokować do walki, do której tak się pałę. Zamiast tego siedzi spokojnie w wyrazem kompletnego zrozumienia i akceptacji na twarzy. Cóż za pacyfikacja. Chciałbym, żeby mi powiedział, że mnie nienawidzi, że go rozczarowałem i że zasłużyłem sobie na to wszystko, co mnie spotyka, bo w to jest mi znacznie łatwiej wierzyć niż w coś odwrotnego.

— A co Rylee o tym wszystkim myśli?

Zatrzymuję się i wbijam w niego wzrok. *Co?* Nie spodziewałem się takiego pytania z jego ust.

— Co masz na myśli?

— Pytałem, co Rylee o tym wszystkim myśli. — Nachyla się do przodu, opiera łokcie na kolanach i patrzy na mnie pytająco z uniesionymi brwiami.

— Gdybym tylko wiedział. — Chrząkam, a mój ojciec potrząsa głową. *Boże, jak ja nienawidzę się tłumaczyć*. Ale to mój ojciec. Mój ostateczny superbohater. Jak mógłbym go zignorować? — Była ze mną, gdy Tawny zrzuciła swoją bombę. Poszarпалиśmy się, bo jako nieczuły dupek zacząłem wszystko na nią zrzucać. Pieprzyłem o dziecku, którego nie chcę, chociaż wiem, że ona nie może mieć dzieci. Krótko mówiąc: byłem w swojej najlepszej formie — wyznaję i przewracam oczami. — Uznałiśmy wspólnie, że potrzebujemy kilku dni przerwy, żeby wszystko sobie poukładać. Żebym zebrał się do kupy.

— I od tego czasu z nią nie rozmawiałeś?

— Co to ma być, tato? Gra w dwadzieścia pytań? Czy ja wyglądam, jakbym już się pozbierał do kupy? — Parskam drwiącym śmiechem. Jeden krok do przodu, a potem dwadzieścia kroków do tyłu. — Czy Tawny nadal jest w ciąży? Czy przyszły już wyniki testów? Tak i *kurewsko wielkie nie...* Tak więc jeszcze do niej nie dzwoniłem. Dopisz to do tych wszystkich rzeczy, które masz mi za złe.

Ale on tylko patrzy.

— Tak twoim zdaniem jest? Mam ci za złe to, że masz problemy? Bo wygląda na to, że wcale nie muszę ci w tym pomagać, synu. Pozwól więc, że zadam ci pytanie, które sam powinieneś sobie zadać: dlaczego wciąż babrzesz się we własnym gównie zamiast wynurzyć z niego głowę i do niej zadzwonić?

Wydecham powietrze ze świstem. Ja pierdołę.

— Nie chcę w to teraz wchodzić, tato. — *Idź sobie*. Pozwól mi opróżnić następnego Jacka i poczekać, aż pieprzeni doktorzy w końcu zdecydują, czy właśnie spierdoliłem życie nienarodzonego dziecka. Bo jeśli to dziecko jest moje, to jego dusza już jest skażona, a tego za nic w świecie nie chciałbym mieć na sumieniu.

— Cóż, ja chcę w to wchodzić, więc lepiej dołącz do mnie, Colton, bo nie zamierzam stąd wyjść, dopóki nie porozmawiamy. Zrozumiano?

Otwieram z zaskoczeniem usta, bo w ułamku sekundy cofam się o piętnaście lat wstecz, gdy spędziłem noc w areszcie za wyścigi równoległe. Do momentu, kiedy przyszedł mnie

odebrać, porządnie mnie zrugął i powiedział, jak to wszystko będzie wyglądało od tamtej chwili. Ja pieprzę. Mam włosy na kłacie, dwa domy i kupę innego szajsu, a on nadal potrafi sprawić, że czuję się jak nastolatek.

Czuję atak wściekłości. Nie potrzebuję teraz pieprzonego terapeuty, tylko negatywnego wyniku tych cholernych badań. I Rylee obejmującej mnie i wzdychającej cicho, gdy w nią wchodzę. Ostatecznej przyjemności, żeby zagrzebać cały ten niepotrzebny ból.

— A więc — mówi, przerywając moje marzenia o niej — naprawdę pozwoliś jej odejść bez walki? Pozwolisz jej zniknąć z twojego życia z powodu *Tawny*?

— Ona ode mnie nie odejdzie! — krzyczę na niego z wściekłością, że w ogóle tak pomyślał. *Na pewno nie odejdzie?*

Ale on tylko unosi brew.

— Dokładnie — mówi, a ja spoglądam mu w oczy. — Dlatego przestań ją traktować tak, jakbyś zakładał, że odejdzie. Ona nie jest jak twoja matka.

Chciałbym się na niego wydrzeć, że, kurwa, wiem, że nie jest. I niech nie śmie umieszczać jej w tym samym zdaniu. Zamiast tego jednak bawię się szwem kanapy i myślę nad odpowiedzią, którą moim zdaniem chce usłyszeć. Do której sam próbuję się przekonać.

— Ona nie zasługuje na to... na cały ten szajs, który jest ze mną związany. Moją przeszłość... a teraz być może także przyszłość.

Wydaje z siebie pomruk. Nienawidzę tego, bo nie mam pojęcia, co to oznacza.

— Czy to nie powinno zależeć od niej, Colton? Bo w sumie podejmujesz decyzję za nią... Nie powinna mieć w tej kwestii czegoś do powiedzenia?

*Zamknij się*, chciałbym mu powiedzieć. Nie przypominaj mi, co powinna mieć, bo dobrze o tym wiem. Bardzo, kurwa, dobrze! A wiem o tym dlatego, że *nie potrafię jej tego dać*. Myślałem, że potrafię... myślałem, że będę w stanie, ale w świetle tego, co się stało, wiem, że nie potrafię. To potwierdzenie wszystkich *jej* słów... wszystkiego, czego nigdy już nie wyrzucę ze swojej duszy.

— Twierdzisz, że ona cię nie opuści w chwili próby, synu, ale twoje czyny mówią mi, że wcale w to nie wierzysz. Ale nie widziałeś, jak walczyła o ciebie każdego dnia, który spędziłaś przykuty do szpitalnego łóżka. Każdego pieprzonego dnia. Nigdy nie odeszła. Wynika z tego, że w tym całym twoim małym dylemacie wcale nie chodzi o nią.

Każda cząstka mnie buntuje się przeciw jego słowom. Te słowa w ustach każdej innej osoby wywołałyby u mnie wybuch wściekłości, ale szacunek każe mi powstrzymać się od wrzeszczenia na mężczyznę, który w swoim wnioskowaniu trafił niebezpiecznie blisko.

— *Chodzi o ciebie*. — Cicha pewność jego głosu przepływa przez pokój i uderza mnie w twarz. Kusi mnie, żebym połknął przynętę, a ja nie mam już siły się powstrzymać.

I nie mam ochoty o *tych* rozmawiać równie mocno, jak nie chcę spędzać kolejnej nocy bez Rylee w łóżku. Gdy podejdziesz zbyt blisko, na powierzchni zaczną się pokazywać duchy przeszłości, a ja nie mam już na nie siły, bo wystarczy mi cała szafa pierdolonych trupów.

Ale zapalka została zapalona i benzyna wybuchła. Ogień w moim wnętrzu zapłonął i cała frustracja, cała niepewność i cała samotność z ostatniego tygodnia uderzają mi do głowy i eksplodują we mnie. Wydepczę ścieżkę w tej cholerniej podłodze, jak będę tak łąził, próbując bezskutecznie zwalczyć lub okiełznać ten wybuch.

— Spójrz na mnie, tato! — krzyczę na niego. Chwytam się pod boki i nienawidzę się za to załamanie głosu, za to nieoczekiwane okazanie słabości. — Spójrz na to, co *ona* ze mną zrobiła! — Nie muszę wyjaśniać, o kogo mi chodzi, bo pogarda w moim głosie mówi mu wszystko.

Rozkładałam ramiona, krew krąży we mnie jak oszalała, a on sobie po prostu spokojnie



siedzi i uśmiecha się do mnie. Kurwa, uśmiecha się!

— *Widzę, synu. Patrzę na ciebie każdego dnia i myślę, jak bardzo jesteś niesamowity.*

Jego słowa zabierają wiatr z moich żagli. Wrzeszczę na niego, a on odpowiada mi *tym?* Co to ma być za gra? Jeszcze bardziej namieszać Coltonowi w głowie? Kurde, słyszę jego słowa, ale nie dopuszczam ich do siebie. To nie jest prawda. Nie może być. Niesamowitość i zepsucie nie idą ze sobą w parze.

*Nie można powiedzieć „niesamowity” o człowieku, który mówił molestującym go ludziom, że ich kocha, niezależnie od tego, czy był do tego zmuszony, czy nie.*

— To jest, kurwa, niemożliwe — mruczę, a brudne wspomnienia podsycają mój gniew i skłaniają do głębszego ukrycia swojej duszy. Nie potrafię mu nawet spojrzeć w oczy, bo mógłby zobaczyć, że w rzeczywistości jestem jeszcze bardziej popieprzony. — To niemożliwe — powtarzam do siebie, tym razem z większą emfazą. — Jesteś moim ojcem. Musisz tak mówić.

— Nie, nie muszę. I formalnie rzecz biorąc, nie jestem twoim ojcem, więc niczego nie muszę mówić. — Teraz zupełnie zbił mnie z tropu... i sprowadził do poziomu wystraszonego dziecka, które boi się, że zostanie odesłane. Nigdy wcześniej nie powiedział mi czegoś takiego i jestem cholernie przerażony kierunkiem, w jakim zmierza nasza dyskusja. Wstaje, podchodzi do mnie i patrzy mi prosto w oczy. — Jesteś w błędzie. Nie musiałem się zatrzymywać i siadać obok ciebie na progu. Nie musiałem zabierać cię do szpitala, adoptować cię, kochać... — kontynuuje podsycanie każdego kompleksu z dzieciństwa, jaki kiedykolwiek miałem. Z trudem przełykam ślinę. Zmuszam się do patrzenia mu w oczy, bo nagle jestem przerażony do szpiku kości tym, co ma mi do powiedzenia. Prawdą, jaką za chwilę wyzna. — Ale wiesz co, Colton? *Wiedziałem to już wtedy, gdy byłeś przestraszonym i wygłodzonym ośmiolatkiem. Wiedziałem od razu, że jesteś fantastyczny, że jesteś tą niesamowitą istotą, której nie potrafię się oprzeć. Nie odchodź ode mnie!* — grzmi nagle, a ja zamieram zszokowany. Od spokoju i wspierania do wściekłości w ułamku sekundy.

Stoję bez ruchu, owładnięty potrzebą ucieczki od tej rozmowy, która budzi we mnie tyle szajsu, że mój wewnętrzny buntownik błaga o możliwość wyjścia przez te drzwi prosto na plażę. Ale nie mogę. Nie potrafię. Od zawsze uciekam przed wszystkim w życiu, ale nie mogę odejść od człowieka, który nigdy ode mnie nie odszedł. Zwieszam głowę i zaciskam pięści w oczekiwaniu na to, co powie.

— Czekałem prawie dwadzieścia lat na tę rozmowę, Colton — mówi spokojniej i równomierniej, co przeraża mnie jeszcze bardziej niż jego gniew. — Wiem, że chciałbyś uciec, wyjść przez te pieprzone drzwi i pobiec na swoją ukochaną plażę, ale tego nie zrobisz. Nie pozwolę ci tak tchórzliwie stąd spieprzyć.

— Tchórzliwie? — krzyczę i odwracam się, żeby wyrazić tłumioną przez te wszystkie lata wściekłość. Przez te wszystkie lata, gdy się zastanawiałem, co on tak naprawdę o mnie myśli. — To, przez co przeszedłem, nazywasz tchórzliwym spieprzaniem? — Na jego twarz wraca uśmiech. Wiem, że mnie prowokuje, bo chce, żebym połknął przynętę i wyrzucił z siebie to wszystko, ale i tak ją łykam. — Jak śmiesz stać tutaj i sugerować, że było mi łatwo, nawet po tym, jak mnie przygarnąłeś? *Ze los* był dla mnie łaskawy? — wrzeszczę. Trzęsę się z wściekłości, a wszystkie urazy wypływają na powierzchnię. — Jak możesz twierdzić, że jestem niesamowitym człowiekiem, skoro przez dwadzieścia cztery lata powiedziałeś mi z milion pieprzonych razy, że mnie *KOCHASZ*, a ja *nigdy* ci tego nie powiedziałem? Ani razu! I mówisz, że ci to nie przeszkadza? Jak mam nie myśleć, że jestem popieprzony, skoro dałeś mi wszystko, a ja nie dałem ci w zamian absolutnie nic? Nie potrafię ci nawet powiedzieć tych dwóch pierdolonych słów! — Po wyrzuceniu z siebie ostatnich słów wracam do rzeczywistości i orientuję się, że stoję kilka centymetrów od ojca i trzęsę się z wściekłości. Wściekłości, której

małe odpryski odpadały od mojego skamieniałego serca i trawiły mnie od środka przez całe życie.

Cofam się o krok, ale on w mgnieniu oka z powrotem się do mnie zbliża.

— Nic? Nic, Colton? — jego krzyk niesie się echem po całym pokoju. — Dałeś mi *wszystko*, synu. Nadzieję, dumę i wszystko to, co nieoczekiwane. Nauczyłeś mnie, że nie ma nic złego w strachu. Że czasem musisz pozwolić osobie, którą kochasz, żeby goniła wiatr w pieprzonym polu, bo tylko w ten sposób potrafi uwolnić się od wewnętrznych koszmarów. To ty, Colton, nauczyłeś mnie być mężczyzną... Bo bardzo łatwo jest nim być, gdy cały świat zostaje ci podany na srebrnej tacy, ale tobie podano kanapkę z wielkim gównem, a mimo to stałeś się tym mężczyzną, który przede mną stoi! To jest dopiero definicja męskości, mój synu.

*Nie, nie, nie* — chciałbym wrzasnąć do niego, żeby zagłuszyć słowa, w które nie mogę uwierzyć. Próbuję zakryć uszy jak pieprzony dzieciak, bo to dla mnie zbyt wiele. Wszystko. Słowa, strach, pieprzona nadzieja, że być może jestem tylko lekko skrzywiony, a nie kompletnie zepsuty. Ale on mi na to nie pozwala i muszę wykrzesać całą swoją samokontrolę, żeby mu nie przywalić, gdy odciąga mi dłonie od uszu.

— Nie-e — mówi, siłując się ze mną. — Nie wyjdę stąd, dopóki nie powiem tego, po co tu przyszedłem. Tego, z czym ze strachu zbyt długo zwlekalem, bo teraz wiem, że jako rodzic popełniłem poważny błąd, nie zmuszając cię do wysłuchania tego wcześniej. Więc im bardziej ze mną walczysz, tym dłużej to potrwa, dlatego sugeruję, żebyś pozwolił mi skończyć, synu. Bo jak powiedziałem wcześniej, mam nieskończoną ilość czasu.

Wpatruję się w niego rozdarty między dwoma ciałami: małego chłopca, który desperacko pragnie aprobaty, i dorosłego mężczyzny, który nie może uwierzyć, że kiedyś ją otrzymał.

— Ale to nie jest moż...

— Żadnych ale, synu. Żadnych — przerywa mi i odwraca mnie, żeby nie trzymać mnie od tyłu, bo wie, że po tylu latach wciąż nie mogę tego znieść. Spogląda mi prosto w oczy, żebym nie mógł się ukryć przed absolutną szczerością jego wzroku. — Nigdy nawet przez chwilę nie żałowałem, że cię wybrałem. Ani wtedy, gdy się buntowałeś, ani wtedy, gdy ze mną walczyłeś, gdy brałeś udział w ulicznych wyścigach, gdy podkradałeś drobne z blatu...

Przeszywa mnie dreszcz po tych słowach. Mały chłopiec wewnątrz mnie jest zdruzgotany tym, że go przyłapano, nawet jeśli ojciec nie okazuje złości.

— Myślałeś, że nie wiem o tym słoiku z pieniędzmi i pudełku z jedzeniem, które ukrywałeś pod łóżkiem? O tych zapasach na wypadek, gdyby nam się odwidziało i postanowilibyśmy wyrzucić cię z powrotem na ulicę? Nie zauważyłeś, że nagle wszędzie zacząłem zostawiać drobne pieniądze? Celowo to robiłem, bo nawet przez chwilę nie żałowałem swojego wyboru. Nawet wtedy, gdy przekraczałeś wszelkie granice i łamałeś każdą możliwą regułę, bo lepiej było czuć adrenalinę płynącą z nieposłuszeństwa niż przypominać sobie o tym wszystkim, co ona pozwalała im z tobą robić.

Oddech więźnie mi w gardle na te słowa. Cały mój świat spowija się czernią i czuję się, jakby w żołądku nastąpiła erupcja kwasu, który rozlewa się teraz wszędzie jak lawa.

Rzeczywistość się rozpada, bo właśnie zrealizowała się moja największa obawa... *on wie*. Zna mój koszmar, moją słabość, moje podłe czyny i wie o sprzedajnej miłości i skazie na mojej duszy.

Nie potrafię podnieść wzroku, żeby spojrzeć mu w oczy, i nie potrafię na tyle stłumić wstydu, żeby się odezwać. Czuję jego rękę na ramieniu, gdy próbuję na powrót przywołać to dawne odrętwienie, żeby uciec od wspomnień wytatuowanych w mojej duszy i na moim pieprzonym ciele, ale nie potrafię. Rylee przełamała tę cholerną barierę i obudziła we mnie uczucia, i teraz nie potrafię już nie czuć.

— A skoro mówimy sobie o wszystkim — dodaje znacznie łagodniejszym głosem i ściska moje ramię. — *Ja wiem, Colton.* Jestem twoim ojcem i wiem.

Pierdolona podłoga osuwa mi się spod nóg. Próbuje wyrwać się z jego chwytu, ale mnie nie puszcza, nie pozwala mi się odwrócić i ukryć łez kłujących mnie w oczy jak szpilki. Łez, które jeszcze dobitniej dowodzą, że jestem mięczakiem, który wcale z niczym się nie uporał.

I chociaż chciałbym, żeby się już zamknął... żeby zostawił mnie w spokoju... to on kontynuuje:

— Nie musisz mi niczego mówić. Nie musisz wyznaczać sobie tej wyimaginowanej granicy, która każe ci się bać, że przyznanie się do tego ujęłoby ci męskości, że wszyscy by cię opuścili, a ty stałbyś się znowu tylko kartą przetargową, którą ona w tobie widziała...

Przerzywa na chwilę, a ja staram się wykrzesać z siebie całą swoją siłę woli, żeby spróbować spojrzeć mu w oczy. Przez ułamek sekundy udaje mi się to zrobić, lecz natychmiast po tym czuję obezwładniające pragnienie wyjścia przez drzwi tarasowe, bo jednostajne uderzenia stóp o piasek w rytm ciężkiego oddechu są dla mnie jak heroina dla narkomana. Ucieczka. Bieg. Spieprzanie. Mimo to stoję jak wmurowany, a sekrety i kłamstwa wirują w powietrzu i zderzają się z prawdą. Prawdą, którą on zna, ale której ja po dwudziestu czterech latach absolutnego milczenia wciąż nie potrafię wykrztusić.

— Dlatego nie mów teraz nic, po prostu słuchaj. Wiem, że pozwalała *im* robić ci rzeczy podłe, odrażające i budzące moje obrzydzenie. — Oddech mi się rwie, a mój żołądek napina się i skręca, gdy słyszę te słowa wypowiedane na głos. — Rzeczy, których nikt *nigdy* nie powinien znosić... Ale wiesz co, Colton? *To wcale nie oznacza, że miałeś w tym swój udział.* Nie oznacza, że na to zasłużyłeś ani że się na to zgadzałeś.

Osuwam się plecami po ścianie, aż w końcu siadam na podłodze jak pieprzony dzieciak... bo jego słowa, słowa mojego ojca... sprowadziły mnie z powrotem do tego okresu.

Przeraziły mnie.

Zmieniły mnie.

Namieszały mi w głowie, przez co wspomnienia zaczynają wypływać na wierzch przez tunele czasoprzestrzenne w moim sercu i w mojej duszy.

Chcę zostać sam.

Potrzebuję Jacka lub Jima.

Potrzebuję Rylee.

Muszę zapomnieć. Znowu.

— Tato? — pytam drżącym głosem. Głosem małej pizdy pytającej o pozwolenie i niech mnie szlag, ale czy teraz właśnie nią nie jestem? Znowu na pieprzonej podłodze na granicy rzygania, trzęsąc się jak galareta, z gonitwą myśli w głowie i skręcającym się żołądkiem?

Siada na podłodze przede mną, tak jak kiedyś, gdy byłem dzieckiem. Kładzie dłoń na moim kolanie, a jego ciepłość trochę mnie uspokaja.

— Tak, synu? — mówi tak miękkim i niepewnym głosem, że wiem, iż boi się, czy nie przegiął. Czy nie załamał mnie jeszcze bardziej po tym, jak przez bardzo długi czas byłem rozbity w trzy dupy i poklejony taśmą klejącą.

— Chciałbym... chciałbym zostać teraz sam.

Słyszę, jak wciąga powietrze, i czuję jego zrezygnowaną akceptację i nieskończoną miłość. Ale chcę, żeby poszedł. Teraz. Zanim mi to umknie.

— No dobrze — mówi łagodnie. — Ale nie masz racji. Być może nigdy nie powiedziałeś mi głośno tych słów, ale zawsze wiedziałem, bo ty mnie kochasz. Poznawałem to po twoich oczach, po uśmiechu, który poszerza się, gdy mnie widzisz, po tym, że bez prośzenia dzieliłeś się ze mną swoimi ukochanymi snikersami. — Chichoczę na to wspomnienie. — I po tym, że

pozwalaleś mi trzymać się za rękę i razem z tobą powtarzać mantrę z superbohaterami, gdy leżałeś w łóżku i nie umiałeś zasnąć. Tak więc, Colton, słowa nie... ale każdego dnia przekazywałeś mi to w taki czy inny sposób. — Milknie na chwilę, a jakaś część mnie przyjmuje w końcu to, że on wie. Przez te wszystkie lata niepotrzebnie się martwiłem, że on nie ma pojęcia, jak się czuję. *On wiedział.*

— Wiem, że najbardziej na świecie boisz się mieć dziecko...

Wzbierającą we mnie radość połyka strach. To już naprawdę zbyt wiele. Zbyt wiele i zbyt szybko, skoro przez tyle czasu myślałem, że jestem w stanie to wszystko ukryć.

— Proszę, nie — błagam go, zaciskając mocno powieki.

— No dobrze... usłyszałeś dzisiaj całkiem sporo, ale to był najwyższy czas. Przykro mi, że przypuszczalnie namieszałem ci w głowie jeszcze bardziej, niż byś sobie życzył, ale synu, tylko ty możesz to teraz naprawić. Rozwiąż to teraz, gdy wszystkie karty są na stole. Muszę ci jednak powiedzieć, że nie jesteś twoją matką. DNA nie robi z ciebie potwora... i gdyby się okazało, że będziesz miał dziecko, wiedz, że twoje demony nie zostaną przeniesione na to nowe życie.

Zaciskam pięści i zgrzytam zębami na te ostatnie słowa, które podsycają moją największą obawę. Wraca potrzeba rozwalenia czegoś. Uśmierzenia powracającego bólu za pomocą zemsty. Wiem, że specjalnie doprowadził mnie do punktu, w którym muszę coś zrobić. Słyszę jego ciche westchnienie, chociaż wszystko we mnie krzyczy.

Wstaje powoli, a ja próbuję się zmusić, żeby na niego spojrzeć. Chcę mu pokazać, że go wysłuchałem, ale nie potrafię tego zrobić. Kładzie mi dłoń na głowie, jakbym znowu był małym chłopcem, i niepewnym głosem szepcze:

— Kocham cię, Colton.

Słowa pulsują mi w głowie, ale nie potrafię ich przepchnąć przez strach, który zapycha mi gardło. Przez wspomnienia, w których po tych słowach następowała brutalność i niewysłowione cierpienie. I chociaż chciałbym mu to powiedzieć i czuję taką potrzebę, to nie potrafię.

*Widzisz, doskonały przykład* — chciałbym krzyknąć do niego, żeby się przekonał, jak bardzo jestem popieprzony. Obnażył przede mną swoją duszę, a ja nie potrafię dać mu odpowiedzi, bo *ona* mi ją zabrała. I on myśli, że ja mogę być rodzicem? Przez nią moje serce jest czarne, a dusza przegnita. Za żadne skarby nie mogę mieć dziecka, jeśli istnieje chociaż cień ryzyka, że mógłbym mu to przekazać.

Słyszę zamykane drzwi, ale nie wstaję z podłogi. Na zewnątrz robi się ciemno. Jack mnie wzywa, zachęca do zanurzenia się w jego komfortowych objęciach, bez żadnej szklanki.

Tonę w niepewności, która wciąga mnie w swe bagno.

Muszę oczyścić głowę.

Muszę pozbierać się do kupy.

Dopiero wtedy mogę zadzwonić do Ry. Boże, *jak ja pragnę do niej zadzwonić*. Mój palec unosi się nad ikoną „połączenie”. Unosi się nad nią sporo ponad godzinę.

Połączenie.

Zakończ.

Połączenie.

Zakończ.

Kurwa!

Zaciskam powieki, w głowie mi szumi od wypitego alkoholu. Zaczynam się śmiać ze swojego upadku. Ja i podłoga staliśmy się najlepszymi przyjaciółmi. Ja pierdolę.

Nietrudno ruszyć w górę, gdy jest się na samym dnie. Czas wejść do pieprzonej windy. Wiem, że istnieje tylko jeden sposób na oczyszczenie głowy i poskromienie na chwilę moich

demonów. Mój jedyny jebany odlot poza Rylee. I chociaż desperacko jej teraz pragnę, muszę najpierw zebrać się do kupy. Moja prawa dłoń drży, gdy naciskam w końcu ikonę „połączenie”. Jestem przerażony do szpiku kości, ale już czas.

Oczyścić głowę.

Potem Rylee.

Pierdolone małe kroczi.

— Cześć, dupku. Myślałem, że zapomniałeś mojego numeru, skoro tak kurewsko długo nie dzwoniłeś.

Jęczy jak stara baba. Boże, uwielbiam tego gościa.

— Chcę wrócić na pieprzony tor, Becks.

Jego śmiech natychmiast zamiera i zapada cisza, która upewnia mnie, że mnie słyszał. Że słyszał słowa, na które czekał od chwili, gdy lekarze dali mi swoje błogosławieństwo.

— Co się dzieje, Wood? *Jesteś pewien?*

Czemu dzisiaj wszyscy mnie o wszystko wypytyją?

— Powiedziałem, że chcę wrócić na pieprzony tor!

— Dobrze — odpowiada w swój przeciągły sposób. — Jak twoje samopoczucie?

— Serio? Najpierw próbujesz mnie do tego skłonić, a potem kwestionujesz to, że chcę to zrobić? Jesteś moją pieprzoną mamką?

— Cóż — chichocze w odpowiedzi — chociaż lubię, jak ktoś bawi się moimi sutkami, Wood, to na samą myśl, że miałbyś to robić ty, dostaję erekcji wstecznej.

Nie potrafię powstrzymać wybuchu śmiechu. Pieprzony Beckett. Zawsze potrafi mnie rozbawić.

— Skończ pieprzyć i powiedz, czy załatwisz mi powrót na tor, czy nie?

— A czy ty usuniesz ten bełkot z głosu i odstawisz Jacka? Bo to bez dwóch zdań wskazuje, że nadal masz najebane w głowie. Dlatego ponawiam pytanie: jak twoje samopoczucie?

— W kompletnej rozsypce! — krzyczę. Próbuję nie brzmieć jak pijany, ale mi się nie udaje. — Cholera, Becks! *Właśnie dlatego muszę wrócić na tor.* Muszę oczyścić głowę, żeby móc to wszystko rozwiązać.

W słuchawce zapada cisza. Przygryzam język, bo wiem, że jak przegnę, to Becks się rozłączy.

— Tor nie pouklada nic w twojej zjebanej głowie, ale myślę, że pewna laseczka z długimi lokami mogłaby to dla ciebie zrobić.

— Opuść sobie, Becks — cedzę słowa, bo nie jestem w nastroju na kolejną sesję psychoterapeutyczną.

— Nie w kwestii twojego życia, pojebańcu. Dziecko, nie dziecko, ale naprawdę zamierzasz pozwolić odejść najlepszej osobie, jaką kiedykolwiek poznałeś?

*No to zaczynamy sesję numer dwa.*

— Pieprzę cię.

— Nie, dziękuję. Nie jesteś w moim typie.

Jego protekcjonalny ton niemiłosiernie mnie irytuje.

— Nie mieszaj się, kurwa, do tego!

— O! Czyli jednak pozwolisz jej odejść? Co to ma być, melodramatyczna piosenka czy co? W każdym razie skoro ją sobie odpuszczasz, to może ja w takim razie dam jej szansę.

*Skurwiel.* Czy naprawdę tak łatwo dzisiaj wyprowadzić mnie z równowagi?

— Jeśli jesteś bystry, lepiej się zamknij. Wiem, że mnie prowokujesz... żeby do niej zadzwonił.

— Łał! On naprawdę słucha. Ja pieprzę, sensacyjna nowina!

Jestem ugotowany.

— Przestań pierdolić, rób to, co do ciebie należy, i załatw mi powrót na tor, Beckett.

— Bądź na torze jutro o dziesiątej rano.

— Co?

— Najwyższy czas. Miałem już zrobioną rezerwację w zeszłym tygodniu i czekałem, aż pozbierasz dupę.

— Ehm. — Zabił mi ćwieka.

— I tak nie przyjdiesz — śmieje się.

— Pieprzę cię.

— Chciałbyś.

## Rozdział 22.

Robię wydech i poruszam ramionami, ciesząc się z palącego uczucia, gdy rozciągam rozgrzane i kompletnie wyczerpane mięśnie. Naprawdę potrzebowałam tego biegu — ucieczki tylnym wyjściem, a potem przez bramę sąsiadów z domu znajdującego się za naszym, żeby zgubić uporczywy medialny ogon.

Rozglądam się w trakcie rozciągania i coś po drugiej stronie ulicy przykuwa moje spojrzenie. Moją czujność od razu wzbudza ciemnoniebieski sedan, o który opiera się facet. Jego twarz jest zasłonięta aparatem z teleobiektywem. Jest w nim coś znajomego, ale nie umiem tego dokładnie uchwycić... Wiem natomiast, że moje sekretne przejście zostało odkryte.

Ta myśl wzbudza moją irytację i chociaż jeszcze nigdy nie wdawałam się w bójki z prasą, moje stopy zaczynają automatycznie kroczyć w jego stronę. W głowie układam sobie słowne manto, jakie zamierzam mu spuścić. Obserwuje, jak podchodzę, migawka klika z zawrotną prędkością, a aparat wciąż przesłania jego twarz. Jakieś piętnaście metrów od niego otwieram usta, żeby zacząć na niego krzyczeć, ale zaczyna dzwonić telefon, który trzymam w dłoni.

Nawet po tylu dniach ciszy wciąż przyspiesza mi puls na myśl o tym, że to być może Colton, chociaż nawet nie patrząc na wyświetlacz wiem, że to nie on. Jestem jednak trochę zaskoczona, gdy widzę nazwisko Becketta. Zatrzymuję się natychmiast i odbieram, bo martwię się, że Coltonowi mogło się coś stać.

— Becks?

— Cześć, Ry — mówi, po czym zapada cisza. *O Boże*. Przewrzenie opada na mnie swą czarną kurtyną.

— Beckett, co się stało Coltonowi? — pytam pełna obaw. Cisza się wydłuża, prowokując lawinę myśli. Zerkam na fotografa i pośpiesznie ruszam z powrotem do domu.

— Chciałem, żebyś wiedziała, że Colton właśnie jedzie na tor.

Jestem na otwartym powietrzu, ale nagle brakuje mi tlenu.

— Co? — pytam tak cicho, że nie wiem, jakim cudem to usłyszał. Przez głowę przelatuje mi kaskada obrazów: wypadek, zmiażdżone auto, Colton bez czucia na szpitalnym łóżku.

— Znam was... ta cała sprawa z dzieckiem, no i wiem, że nie dzwonił do ciebie. — Wzdycha. — Musiałem do ciebie zadzwonić i dać ci znać... Pomyślałem, że chciałabyś o tym wiedzieć. — Czuję, że jest rozdarty między lojalnością wobec najlepszego przyjaciela i zrobieniem tego, czego jego zdaniem ów przyjaciel najbardziej potrzebuje.

— Dzięki — nie potrafię nic więcej wykrztusić z powodu szalejącej burzy emocji.

— Nie jestem pewien, czy naprawdę jesteś mi wdzięczna, Ry, ale uznałem, że powinienem zadzwonić.

Znowu zapada cisza i wiem, że on jest tak samo przerażony jak ja.

— Czy on jest gotowy, Becks? Nakłaniałeś go? — Nie potrafię ukryć irytacji w głosie.

Wzdycha i z jakiegoś powodu chichocze.

— Ry, nikt nie jest w stanie do niczego nakłonić Coltona. Wiesz o tym.

— Wiem, ale czemu teraz? Dlaczego tak nagle?

— Bo tego właśnie teraz potrzebuje... — Beckett milknie, szukając właściwych słów.

Otwieram bramę i przechodzę przez niskie ogrodzenie dzielące mój ogródek od ogródka sąsiadów. — Po pierwsze, musi sobie udowodnić, że nadal jest tak dobry, jak wcześniej. Po drugie, tak sobie radzi, gdy ma za duży chaos w głowie, a po trzecie...

Nie słyszę, co Beckett mówi dalej, bo skupiam się na przypomnieniu sobie nocy przed wyścigiem i naszej rozmowy. W końcu wpadam na to słowo:

— Rozmycie.

— *Co?*

Pytanie Becketta wytrąca mnie z zamyślenia i uświadamia mi, że powiedziałam to na głos.

— Nic — odpowiadam. — Jaki był trzeci powód?

— Nieważne.

— I tak już powiedziałeś więcej, niż powinienieś, więc dlaczego miałbyś nagle przerywać?

Zapada niekomfortowa cisza. Beckett zaczyna mówić, lecz przerywa na chwilę.

— To nic takiego. Chciałem powiedzieć, że gdy w przeszłości był w takim stanie, miał na to trzy lekarstwa. Przepraszam, nie powinienem...

— Nic nie szkodzi. Rozumiem to i rozumiem jego. W przeszłości, gdy życie stawało się nie do zniesienia, lekarstwem były kobiety, alkohol lub tor wyścigowy, prawda? — Becks milczy, co oznacza, że mam rację. — Cóż, w takim razie powinnam się cieszyć, że tor akurat był wolny, co nie?

Beckett wybuchają śmiechem i czuję, że mu ulżyło.

— Boże, on na ciebie nie zasługuje, Rylee. — Uśmiecham się na te słowa, chociaż wciąż zżerają mnie obawy. — Mam nadzieję, że oboje wiecie, jak bardzo cię potrzebuję.

Łzy napływają mi do oczu.

— Dziękuję, że zadzwoniłeś, Becks. Jadę do was.

\*\*\*

Na szczęście po drodze na tor Fontana nie było korków, a ochrona na parkingu nie pozwoliła reporterom wejść za mną na teren obiektu. Parkuję w środku i zamieram, gdy słyszę odpalenie samochodu. Silnik budzi się z rykiem do życia, a jego hałas niesie się echem po trybunach i wibruje w mojej klatce piersiowej.

Nie wiem, jak tego dokonam. Jak mam patrzeć na zapiętego pasami i mknącego dookoła toru Coltona, skoro tak się boję, a w myślach widzę tylko dym? Ale obiecałam mu, że będę na torze, gdy po raz pierwszy po przerwie wsiądzie za kierownicę. Nie wiedziałam, że dostanę telefon wzywający do spełnienia obietnicy, skoro wszystko między nami jest w rozsypce.

W każdym razie muszę tu być. Bo dotrzymuję słowa. I nie zniosłabym myśli, że jest tutaj, a ja nie wiem, czy wszystko z nim w porządku. Owszem, jeszcze nie rozmawialiśmy i nadal czujemy ból i zagubienie, ale to nie oznacza, że mogę wyłączyć swoje uczucia.

Znowu słyszę wycie silnika, które wytrąca mnie z zamyślenia. Przerazenie i potrzeba bycia tu dla niego, dla siebie i dla własnego zdrowia psychicznego zmusza mnie do poruszania nogami. Przed punktem serwisowym spotykam Davisa, który podaje mi rękę i prowadzi mnie do miejsca, w którym pracuje ekipa Coltona.

Zatrzymuję się, gdy dostrzegam samochód z wystającym hełmem Coltona w kapsule kierowcy. Beckett pochyla się nad nim i dociąga pasy w sposób, na jaki tylko Colton mógł mu pozwolić. Próbuję przełknąć ślinę, ale orientuję się, że nie mam nic do przełknięcia, bo w ustach zupełnie mi zaschło. Nawykowo sięgam dłonią do pierścionka, żeby nim pokręcić, ale go nie mam, więc muszę się zadowolić zaciskaniem dłoni.

Davis prowadzi mnie po schodach na wieżę obserwacyjną, podobną do tej, na której siedziałam i patrzyłam, jak Colton wiruje w powietrzu. Każdy krok w górę przypomina mi coś z *tamtego* dnia. Odgłosy, zapachy, skręcanie żołądka, absolutne przerażenie. Każdy stopień wzbudza kolejne wspomnienia tego, co nastąpiło po uderzeniu auta w ogrodzenie. Moje ciało pragnie stąd uciec, ale serce mówi mi, że muszę tu być. Nie mogę go opuścić w sytuacji, w której



najbardziej mnie potrzebuje.

Łoskot silnika się zmienia i nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, że Colton powoli ruszył aleją serwisową w stronę pustego toru. Stoję w wieży, a kilku członków ekipy obserwuje odczyty układów elektronicznych w samochodzie. Od razu wyczuwam nerwową atmosferę. Nie tylko ja jestem przejęta pierwszą przejażdżką Coltona.

Słyszę kroki na schodach za sobą i wiem, że to musi być Becks. Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, ryk silnika słabnie i oboje odwracamy się w stronę końca pustej alei serwisowej. Po chwili silnik znowu odzywa się głośniejsze i samochód powoli wjeżdża na tor.

Beckett rzuca mi szybkie spojrzenie i wręcza słuchawki. Wyczytuję z jego wzroku, że jest równie zdenerwowany i niespokojny jak ja, co przynosi mi pewną ulgę. Nachyla się do mnie, gdy zakładam słuchawki, i mówi:

— Nie wie, że tu jesteś.

Potakuję tylko i dziękuję mu wzrokiem.

— Myślę, że tak będzie najlepiej.

Wskazuje siedzenie z przodu wieży, ale zdecydowanie potrząsam głową. Nie ma szans, żebym usiadła na miejscu. Niepokój drażni wszystkie moje zakończenia nerwowe i kołyszę się na stopach do przodu i do tyłu ze strachem, który zakotwiczył się w mojej duszy.

Silnik pyrka łagodnie przy wyjściu z pierwszego zakrętu. Odwracam się tak, żeby śledzić Coltona wzrokiem, chociaż z całych sił pragnę krzyknąć, żeby się zatrzymał, wysiadł i wrócił do mnie. Samochód zaczyna przyspieszać przed drugim zakrętem.

— Tak trzymaj, Wood. Płynnie i spokojnie — Becks mówi do niego łagodnym głosem. Colton nie odpowiada. Jedyne, co słychać w słuchawkach, to jego ciężki oddech i odgłos silnika. Przygryzam wargę i zerkam na Becketta, bo nie podoba mi się, że Colton się nie odzywa. Mogę sobie tylko wyobrażać, co dzieje się w jego głowie.

— Cholera, Becks! — po raz pierwszy od tygodnia słyszę jego głos, a emanująca z niego mieszanina gniewu i strachu sprawia, że przyciskam słuchawki do uszu. — Ten samochód to szajs! Myślałem, że wszystko sprawdziłeś. To jest...

— Auto jest w porządku, Colton — słyszę wyraźnie równy głos Becketta, który zerka w stronę jednego z członków zespołu i potrząsa przecząco głową.

— *Gówno prawda!* Trzęsie się jak stara dupa i rozpadnie się, jak tylko przygazuję. — Nie słychać normalnej w takich warunkach wibracji w głosie, co oznacza, że Colton wjeżdża w zakręt tak powoli, że nie powinien czuć żadnych przeciążeń.

— To nowy samochód. Sprawdziłem go z każdej możliwej strony.

— Nie wiesz, o czym mówisz, Beckett! Cholera! — wrzeszczy i zatrzymuje się na przeciwległej prostej między drugim i trzecim zakrętem, a jego frustracja rezonuje przez radio.

— To inny samochód. Na torze nie ma nikogo, kto mógłby cię stuknąć. Po prostu jedź, powoli i spokojnie.

Cisza. Nic poza odległym odgłosem jałowej pracy silnika, który z pewnością wkrótce zgaśnie i ekipa będzie musiała go na nowo zapalać. A Colton będzie miał mnóstwo czasu, żeby siedzieć, wspominać i przeżywać wypadek, który go paraliżuje.

Im dłużej to trwa, tym bardziej martwię się o mojego ukochanego mężczyznę. Wiem, że mimo naszego wsparcia jest tam odizolowany w metalowej puszcze na kołach i czuje się samotny. Serce więźnie mi w gardle, a panika i poczucie bezradności zaczynają mnie dusić.

Beckett chodzi tam i z powrotem, raz po raz przeczesuje dłonią włosy i zastanawia się, jak zmotywować swojego najlepszego przyjaciela, skoro on praktycznie go nie słucha. Przeszuję z nogi na nogę, w słuchawkach słyszę tylko ciężki oddech Coltona i w końcu nie wytrzymuję.

Podchodzę do Becketta.

— Wyłącz wszystkich w radiu. — Patrzy na mnie, próbując rozgryźć, o co mi chodzi. — Wyłącz ich — mówię, a mój niecierpliwy głos jest zabarwiony desperacją.

— Wszyscy wyłączają radio — nakazuje natychmiast Beckett, a ja podchodzę do mikrofonu przed konsolą. Siadam i czekam na sygnał od Becketta, że rozumie, co chcę zrobić.

Rozglądam się po przyciskach, lecz Davis nachyla się i przyciska za mnie ten, którego szukam.

— Colton? — mówię drżącym głosem, ale wiem, że mnie słyszy, bo wstrzymuje na chwilę oddech.

— Rylee? — to tylko moje imię, jedno słowo, ale Colton wypowiada je tak złamanym i zranionym głosem, że do oczu napływają mi łzy. Brzmi jak moi chłopcy, gdy obudzą się po koszmarnym śnie, i żałuję, że nie mogę podbiec do niego po torze, żeby go przytulić i wesprzeć. Ale skoro tego nie mogę, robię coś innego w zamian.

— Mów do mnie. Powiedz mi, co się dzieje w twojej głowie. Wszyscy się wyłączyli, jesteśmy tylko ty i ja. — Zapada cisza, w trakcie której pocą mi się dłonie z nerwów, bo martwię się, że wcale mu w ten sposób nie pomagam.

— Ry — wzdycha z rezygnacją. Chcę odejść od mikrofonu, ale on kontynuuje. — Nie mogę... Chyba nie dam rady... — jego głos zamiera i jestem pewna, że tak jak mnie zalewają go teraz wspomnienia wypadku.

— Potrafisz to zrobić — mówię z większym przekonaniem, niż czuję. — To jest Kalifornia, Colton, a nie Floryda. Żadnych innych aut. Żadnych żółtodziobów, którzy mogliby popełnić jakiś głupi błąd. Żadnego dymu, przez który nic nie widać. Żadnego wraku, na który mógłbyś się nadziać. Tylko ty i ja, Colton. Ty i ja. — Przerywam na chwilę, a gdy nie odpowiada, dodaję jeszcze coś, co cały czas chodzi mi po głowie. — Tylko my i prześcieradła.

Słyszę krótkie parsknięcie i czuję ulgę, bo wiem, że do niego dotarłam. Wykorzystałam przyjemne wspomnienie, żeby przebić się przez obezwładniający strach. Ale gdy się odzywa, wciąż słyszę przerażenie w jego głosie.

— Ja po prostu... — przerywa i wzdycha. Mężczyźnie ciężko się przyznać do słabości, szczególnie przed zespołem, który go szanował i uważał za idola.

— Dasz radę to zrobić, Colton. Zrobimy to razem, dobrze? Jestem tuż obok. Nigdzie nie odchodzę. — Daję mu kilka sekund, żeby przyswoił moje słowa. — Trzymasz dłonie na kierownicy?

— Uhm... ale prawa dłoń...

— Jest zupełnie w porządku. Widziałam, jak jej używałeś — stwierdzam, licząc na to, że to go trochę rozluźni. — Masz stopę na pedale?

— Ry? — jego głos znowu drży.

— Pedał. Tak czy nie? — Wiem, że potrzebuje, żebym przejęła kontrolę i była tym partnerem, który jest silny, a dla niego jestem w stanie zrobić wszystko.

— Tak...

— Dobrze, więc oczyść umysł. Jesteś tylko ty i tor, As. Potrafisz to zrobić. Potrzebujesz tego. To twoja wolność, pamiętasz? — Słyszę ryk silnika, potem drugi, a na twarzy Becketta pojawia się ulga pomieszana z dumą. Skupiam się z powrotem na Coltonie. — Masz to wszystko w małym paluszku... Przyciśnij gaz. Włącz biegi i przyciśnij gaz. — Silnik wyje trochę mocniej, a ja dodaję: — Super... Widzisz? Udało się. Nie musisz jechać szybko. To nowy samochód, musisz się do niego przyzwyczaić. W każdym razie Becks byłby wkurzony, gdybyś spalił silnik, więc jedź powoli.

Odwracam się i obserwuję z zapartym tchem, jak Colton powoli rusza w trzeci zakręt.

Nawet nie zbliżył się do prędkości treningowych, ale jedzie, i tylko to się teraz liczy. Razem walczymy ze strachem przed jego powrotem na tor. Nie sądziłam tylko, że zachęcanie go do jazdy zmniejszy mój własny lęk.

Czuję wibracje w piersi, bo przed czwartym zakrętem silnik znowu wyje. Colton przeklina.

— Wszystko w porządku? — Odpowiada mi cisza i narastający ryk zbliżającego się samochodu. — Mów do mnie, Colton. Jestem tu.

— Nie umiem powstrzymać drżenia dłoni. — Nie odpowiadam, bo wstrzymuję oddech, gdy przyspiesza i wchodzi w pierwszy zakręt. — Becks będzie wkurzony, bo mam kompletny chaos w głowie.

Zerkam na Becksa i widzę uśmiech na jego twarzy. Wiem, że słucha, żeby mieć pewność, że jego najlepszemu przyjacielowi nic nie grozi.

— W porządku... Obserwowanie ciebie stąd sprawia, że też mam niezły chaos w głowie... Ale jesteś gotowy i potrafisz to robić.

— Niezła z nas para, co? — prycha w radio, a ja czuję, jak jego niepokój i strach maleją z każdą kolejną sekundą. Obserwujący nas członkowie zespołu rozluźniają się trochę, gdy widzą szeroki uśmiech na twarzy Becketta.

— No całkiem niezła — śmieję się i oddycham z ulgą. Chciałabym mu powiedzieć, że go kocham, ale się powstrzymuję. Silnik rozkręca się na przeciwległej prostej, a ja nie potrafię powstrzymać uśmiechu na ten odgłos zwycięstwa. — Hej, As, mogę ci z powrotem włączyć ekipę?

— Taa — mówi, lecz szybko dodaje: — Ry... ja...

Serce mi puchnie od emocji w jego głosie. Słyszę, że jest mu przykro, i czuję jego absolutną szczerłość.

— Wiem, Colton. Ja też.

Walczę ze wzbierającymi łzami szczęścia, a gdy podnoszę wzrok, widzę łagodny uśmiech na twarzy Becketta. Potrząsa nieznacznie głową i mówi bezgłośnie słowa *koło ratunkowe*.

## Rozdział 23.

Samochód skręca do alei i podjeżdża pod punkt. Beckett natychmiast do niego podchodzi, a ja wiercę się za ścianą, bo chcę zobaczyć się z Coltonem twarzą w twarz, żeby się upewnić, że wszystko w porządku. Colton ściąga kierownicę i wręcza ją Beckettowi, po czym odpina kask, następnie ściąga przez głowę urządzenie HANS, które Becks pomógł mu odpiąć, a potem zdejmuje kominiarkę i cały zespół zaczyna wiwatować.

Przechodzą mnie dreszcze, gdy to słyszę. Tymczasem Colton z pomocą Becks'a wysiada i staje przed autem — spocony, piękny i seksowny jak diabli. Nie potrafię trzymać się z dala i wychodzę zza ściany razem z resztą zespołu. Na jego widok czuję dumę zabarwioną pożądaniem.

Nie sposób podejść do niego, bo wszyscy mu gratulują i poklepują go po plecach. Beckett patrzy na niego z tym irytująco szerokim uśmiechem na swojej przystojnej twarzy.

— Jestem z Ciebie dumny, stary, ale, kurwa, *miałeś beznadziejne czasy okrążeń*.

Colton wybucha śmiechem i obejmuje go ramieniem.

— Zawsze mogę liczyć na to, że skopiesz mnie parę schodów w dół. — Zamierza powiedzieć coś jeszcze, lecz milknie, gdy trafia wzrokiem na mnie.

Mam *déjà vu*: Colton stoi pośrodku chaotycznie biegających członków zespołu i wpatruje się we mnie z seksownym uśmiechem na ustach. Czas znowu się zatrzymuje, świat przestaje istnieć, a my się w siebie wpatrujemy.

Wiem, że od ostatniego spotkania mamy bardzo wiele do omówienia, ale jednocześnie potrzebuję tej więzi z nim. Potrzebuję tej cielesnej żądz, która błyskawicznie pokonuje dzielącą nas odległość i mimo tych wszystkich nierozwiązanych spraw uderza we mnie z siłą huraganu.

Widzę, że on czuje to samo, bo bez wahania rusza w moją stronę. Gdy tylko do mnie podchodzi, wskakuję na niego i oplatom go nogami w pasie, a on przyciska usta do moich z gorączkowym pragnieniem. Chwytam go za ramiona, a on jedną rękę kładzie mi na pośladkach, a drugą trzyma za kark, tak kierując moimi ustami, żeby zakosztować wszystkiego, co oferuję.

— Boże, jak ja za tobą tęskniłem — mruczy w moje usta między pocałunkami. Bez żadnych ceregieli zaczynamy się przemieszczać. Niesie mnie na swoich silnych nogach, a jego mocarne ramiona trzymają mnie bezpiecznie, gdy zawłaszcza moje usta z nieokiełznaną zapalczywością.

Wszystkie hałasy zanikają. Pohukiwania i wrzaski członków zespołu niosą się echem po pustym torze, bo Colton wychodzi bez słowa wyjaśnienia.

— Znajdźcie sobie pokój! — ktoś krzyczy, a ja jestem tak obezwładniona i tak bardzo pragnę zaspokoić wszechogarniające pożądanie, że odpowiadam, zanim Colton zdąży to zrobić:

— Po co komu pokój? — pytam i natychmiast przywieram z powrotem do jego ust, zaciskając dłonie w jego włosach i napierając biodrami na jego erekcję, którą ociera się o mnie przy każdym kroku.

Słyszę śmiechy, po których następują gwizdy, ale to tylko tło dla szalejącej w nas nawałnicy pożądania.

— Szybciej — mówię do Coltona między desperackimi pocałunkami.

— Ja pieprzę — mruczy, próbując otworzyć drzwi za moimi plecami bez odrywania ust od moich.

— O tak, lepiej się na to przygotuj — odpowiadam i odchylam się, żeby mógł znaleźć klamkę. Wybucha śmiechem, a ja zjeżdżam językiem na jego szyję. Czuję słony smak potu i wibrację jego śmiechu na ustach.

Ruszamy dalej, po schodach do ciemnego korytarza. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

Trzymam się mocno, w gardle wzbiera mi śmiech i czuję rozplywającą się po ciele ulgę pomieszaną z pełnym napięciem oczekiwaniem na to, co się wydarzy.

Nagle wpadamy do pomieszczenia z przytłumionym światłem. Odwracam głowę i mrugam oczami, rozglądając się dookoła. Jesteśmy w jednym z luksusowych pomieszczeń nad punktami serwisowymi: drogie kanapy, barek, stół wzdłuż ściany z przyciemnianych okien wychodzących na tor, gdzie zespół Coltona majstruje przy jego samochodzie.

To wszystko, co rejestruję, bo Colton znowu wpija się w moje usta, emanując toksyczną mieszaniną pragnienia i żądz. Zsuwam się z jego bioder i staję na podłodze, po czym zaczynamy chaotyczny pochód w stronę kontuaru. Opieram się o niego pośladkami, a Colton zsuwa dłonie po moim tułowiu i po chwili czuję je pod bluzką, na nagiej skórze.

Nie wiem, czy podniecenie jest spotęgowane adrenaliną toru wyścigowego czy naszym ponownym zejściem, lecz nie mogę się od niego oderwać. Jego dotyk, smak, pomruki z głębi gardła, moje imię na jego ustach — wszystko tylko dolewa oliwy do ognia mojego pożądania. Odpinam rzep przy szyi, żeby móc rozpiąć zamek, ale nawet te drobne gesty sprawiają mi ból, bo muszę oderwać się od jego ust. W chwili, gdy zamek jest na dole, przywieram z powrotem do jego ust. Rozpinamy ubrania, wyjmujemy ręce z rękawów, Colton zsuwa moje szorty i majtki, ubrania lądują bezładnie na podłodze, lecz nawet na moment nie odrywamy od siebie ust.

— Ry — szepcze między pocałunkami, trzymając mnie mocno za włosy, a drugą dłonią sprawdzając moją gotowość na jego natarcie. Nie mamy czasu na żadną grę wstępną. Jesteśmy tak wygłodniali i tak desperacko pragniemy wyprostować błędy naszej ostatniej rozmowy, że nie wymieniamy ani słowa, wiemy, jak bardzo potrzebujemy tego zespolenia. Porozmawiać możemy później. Tak samo przytulać się i głaskać. Teraz pochłania nas wir pożądania, przytłaczającej napiętności i miłości. — Kurwa, pragnę cię tu i teraz.

— Weź mnie — dwa proste słowa. Wypadają z moich ust bez zastanowienia, a sekundę później Colton odwraca mnie tyłem, kładzie moje dłonie na białej blacie i chwytając mnie za biodra. Czuję z tyłu jego pulsującego penisa. Przykłada główkę między moje fałdki i zaczyna nim pocierać w górę i w dół. Całe moje ciało napina się w oczekiwaniu, a z moich ust dobywa się cichy jęk.

W tej chwili, tuż przed tym, jak Colton bez wahania mnie weźmie, jest coś takiego, że czuję, iż każda komórka mojego ciała błaga o jego dotyk i o to, żeby mnie posiadał.

— Błagam, teraz — dyszę, moja cipka drży z pożądania, a ciało jest idealnie dostrojone do każdego jego ruchu, na który instynktownie reaguje, otwiera się, zaprasza.

Odwracam się i próbuję sama go wziąć, żeby zademonstrować mu swoją żądzę, która przenika każdy nerw, okrada z wszelkiej racjonalności i wzbudza jeszcze silniejsze pragnienie.

— *Zachowuj się!* — chichocze z czysto samczym uznaniem i chwytając w garść moje włosy, a drugą dłoń kładzie mi na lewym pośladku. Czuję ciarki na karku, ale są niczym wobec nawałnicy doznań, gdy wchodzi we mnie jednym gładkim i wstrząsającym ziemią pchnięciem. Wstrzymuję oddech, po czym wydaję z siebie cichy jęk. Doznania rozlewają się we mnie falami, a moje ścianki pulsują konwulsyjnie wokół niego.

Ciągnie mnie za włosy, odchylając moją głowę do tyłu, i zbliża się ustami do mojego ucha.

— To jest najseksowniejszy dźwięk na świecie — mruczy. Jego usta lądują na moim barku, a zarost łaskocze zwykle zapominane strefy erogenne na plecach. Skubie zębami mój bark, po czym przyciska do niego usta i wpija się we mnie, a ja jęczę z czystego zachwytu, bo jednocześnie przeciąga brodą wzdłuż kręgosłupa.

Zaczynamy się rytmicznie poruszać i teraz moja kolej na rozkoszowanie się wydawanymi przez niego odgłosami. Na moim ciele, mimo rozlewającego się wszędzie ciepła, pojawia się

gęsia skórka. Colton trzyma mnie jedną dłonią za biodro, kontrolując każdą iniekcję rozkoszy powodowaną przez ruchy naszych bioder, a jego członek pobudza wszelkie możliwe zakończenia nerwowe. Moje ciało przyspiesza, porwane jego zwierzęcym chwytem za włosy i samczą dominacją nad moim ciałem.

— O, Boże! — dyszę. Pragnę go, pożądam, chociaż jednocześnie nie wiem, czy będę w stanie wytrzymać jeszcze więcej. Moje dłonie zaczynają się ślizgać na blacie, bo są wilgotne od potu.

— Kurrwaa! — grzmi. Słyszę w jego głosie pragnienie zapanowania nad sobą. A ja albo wyczuwam wyzwanie, albo po prostu w końcu uwalniam swoją wewnętrzną lisicę, którą pomógł mi odnaleźć, lecz pragnę złamać jego samokontrolę. Pragnę go sprowokować, żeby zerznął mnie jeszcze mocniej i szybciej, żeby wziął mnie bez opamiętania, bo... o mój Boże... ten gardłowy pomruk, to uczucie pełności, gdy wchodzi we mnie do końca, te obrotowe ruchy jego bioder przy wbijaniu się we mnie, to wszystko popycha mnie jeszcze dalej i rozpala jeszcze mocniej, poza wszelkie wyobrażenie. Pragnę dać mu chociaż ułamek rozkoszy, jaką zapewnia mi jego ciało.

Sięgam ręką między nogi, opieram się pokusie zajęcia się swoją lechtaczką i zamiast tego zaczynam się bawić jego jądrami. Wbija się we mnie, a ja pieszczę go palcami, skrobie paznokciami i chwytam w dłoń. Ciągnie mnie mocniej za włosy, słyszę odgłosy, jakie wydaje, i wiem, że zaciska szczękę, balansując na cienkiej jak brzytwa krawędzi dzielącej samokontrolę od poddania się czystej cielesności tego aktu. Od samczego zaspokojenia własnych pragnień. To mnie jeszcze bardziej nakręca. Pragnę jeszcze szybciej zepchnąć go z tej krawędzi, bo wiem, że z pewnością spadnę w tę otchłań razem z nim.

Zatracam się w tym uczuciu, w odgłosach uderzających o siebie ciało, w tym, że władczo trzyma mnie za biodro, i w tym, że raz po raz nieświadomie mruczy moje imię, i błyskawicznie docieram do własnej krawędzi, po czym spadam w otchłań orgazmu, a moje ciało zostaje owładnięte huraganem sprzecznych doznań.

— Colton! — krzyczę raz za razem, a on zwalnia tempo i przeciąga językiem po moich plecach, żeby pomóc mi przedłużyć orgazm.

Czuję, jak moje mięśnie pulsują wokół jego powoli poruszającego się członka. Nagle moje uszy wypełnia dziki okrzyk, bo on także nie mógł się już dłużej utrzymać na krawędzi. Wbija się we mnie jeszcze kilka razy, po czym niespodziewanie obejmuje mnie mocno i podnosi do pozycji stojącej.

Ten nieoczekiwany akt czułości jest zupełnym przeciwieństwem wcześniejszej absolutnej dominacji nad moim ciałem. Colton przyciska mnie do siebie i chowa głowę w zagłębieniu mojej szyi. Stoimy tak przez jakiś czas, chłonąc się nawzajem i przyjmując wzajemne milczące przeprosiny.

## Rozdział 24.

Ubieramy się w milczeniu. Zaspokoiliśmy pożądanie i teraz, gdy nasze ciała nie są już połączone fizycznie, zaczynam się zastanawiać, czy uda nam się połączyć za pomocą słów.

Bo nie możemy tego tak zostawić. I nie możemy tego zignorować. Miejmy nadzieję, że czas przecierpiany w samotności na coś się przyda i w końcu ruszymy dalej.

Ale nawet jeśli tak się stanie, czym właściwie miałyby być to „dalej”?

Patrzę ukradkiem, jak zapina kombinezon i spogląda przez przyciemnione szyby na swój zespół na dole, i nie potrafię go odczytać. Zakładam bluzkę i zwilżam usta, zastanawiając się, co powiedzieć.

— Musimy porozmawiać — mówię łagodnie, jakbym bała się zmarszczyć spowijający nas całun ciszy.

— Wystawiłem dom w Palisades na sprzedaż — odpowiada cicho, nie oglądając się na mnie, a ja jestem tak skupiona na nim i na jego emocjach, że nie dociera do mnie ukryte znaczenie jego słów.

*Halo! Co? Więc tak zamierza to rozegrać? Klasyczny unik?*

Chociaż na mnie nie patrzy, wiem, że zwraca na mnie uwagę, więc próbuję ukryć szok spowodowany zarówno słowami, które właśnie powiedział, jak i tymi, których nie powiedział.

— Colton? — wypowiadam jego imię jak pytanie o bardzo wiele różnych kwestii.

Rozwiążemy to jakoś? Czy zignorujemy? Dlaczego sprzedajesz ten dom?

— Nie korzystam z niego... — odpowiada na moje milczące pytanie i zerka na mnie, lecz szybko wraca wzrokiem do ludzi na dole. Mówi to niemal tak, jakby prosił o wybaczenie, i mam wrażenie, że chce mi przekazać, iż przeprosza mnie za to wszystko, co się stało: za Tawny, za potencjalne ojcostwo, za to, że potrzebuje przestrzeni.

Gdy nie odpowiadam, tylko cierpliwie go obserwuję, odwraca się do mnie. Spoglądamy sobie w oczy i patrzymy się na siebie przez chwilę, przekazując sobie bez słów swoje wątpliwości.

— Nie potrzebuję go już — wyjaśnia i czeka na moją reakcję.

I chociaż jest między nami nierozwiązany dramat, to jego słowa świadczą o tym, że naprawdę chce się zaangażować na dłuższą metę. Po tych wszystkich katastrofach ostatniego tygodnia, które wyróciły jego świat do góry nogami, chce sprzedać miejsce, do którego nie wróciłabym za żadne skarby świata. Najwyraźniej znaczę dla niego na tyle dużo, że jest skłonny pozbyć się symbolu swojego dawnego stylu życia, pełnego warunków i usprawiedliwień.

— O... — tylko tyle jestem w stanie wykrztusić. Kompletnie brakuje mi słów, więc nadal patrzymy się na siebie w tym pomieszczeniu, które pachnie seksem. Widzę, że myśli, i nie wie, co powiedzieć i co powinniśmy teraz zrobić, więc postanawiam zacząć. — Co ci chodzi po głowie, Colton?

— Tak sobie myślę — odpowiada, ściągając usta i przeczesując dłonią włosy — że nie miałem pojęcia, jak bardzo pragnę usłyszeć twój głos, dopóki nie pojawił się w słuchawkach.

Każda część mojego ciała wydaje z siebie ciche usatysfakcjonowane westchnienie, rozgrzewając mnie w środku i sprawiając, że jeszcze bardziej oddaję mu swoje serce. Dawna ja przewróciłaby oczami i stwierdziłaby, że próbuje mi się przypodobać, ale dawna ja nie potrzebowała Coltona tak bardzo jak dzisiejsza ja i nie wiedziała, jak wiele Colton ma do zaoferowania.

— Wystarczyło do mnie zadzwonić — mówię cicho i kładę rękę na jego dłoni. — Obiecałam, że będę tu na twoim pierwszym treningu po powrocie.

Śmieje się z samego siebie i potrząsa głową.

— I co miałem powiedzieć? Że nie odzywałem się, bo jestem dupkiem, ale potrzebuję cię dzisiaj na torze? — mówi z wyraźnym sarkazmem.

— To przecież twój powrót — mówię coraz cichszym głosem, ściskając jego dłoń. — Ustaliliśmy, że musimy pozbierać się do kupy i wyprostować chaos w naszych głowach, ale gdybyś zadzwonił, przyjechałabym bez wahania.

Wzdycha i odwraca głowę w stronę toru pod nami.

— Przepraszam za to, co ci powiedziałem... Za to, o co cię oskarżałem... Zachowałem się jak palant. — Jego głos drży z emocji, przez co te słowa są jeszcze bardziej ujmujące.

Nie chcę zepsuć chwili, ale muszę mu coś powiedzieć.

— Skrzywdziłeś mnie. Wiem, że byłeś wkurzony i wyładowałeś się na osobie, która była najbliżej... Ale *skrzywdziłeś mnie*, gdy byłam w rozsypce. I ty, i ja codziennie zmagamy się ze swoją przeszłością, a potem zdarza się coś takiego i... ja... — Nie potrafię znaleźć właściwych słów, żeby wyrazić to, co chcę przekazać, więc po prostu urywam myśl.

Colton zbliża się do mnie i bierze mnie za rękę. Przyciąga mnie do siebie tak, że rozdzielają nas jedynie ubrania.

— Wiem. — Bierze drżący wdech i kontynuuje. — Nigdy tego nie robiłem, Ry. Próbuję wszystko rozgryzać na bieżąco i, kurde, wiem, że moje wyjaśnienia robią się nudne i wkrótce przestaną być wybacalne, ale... no ja pieprzę, staram się.

Wzrusza ramionami. Potakuję, lecz odejmuje mi mowę, bo on robi coś, w czym nigdy nie był dobry: mówi o sobie. Nawet jeśli uważa to za małe kroki, to nasz związek właśnie zyskał potężne fundamenty.

Nachyla się i nieoczekiwanie muska moje usta.

— Chodź tu — mruczy i opiera się pośladkami o parapet, przyciągając mnie tyłem do siebie. Staję między jego nogami i opieram głowę na jego piersi. Czuję niedorzeczne zadowolenie, gdy obejmuje mnie ramionami i mocno przytula, opierając podbródek na moim ramieniu. — Dzięki ci za dzisiaj. Nigdy wcześniej nikt nie zrobił dla mnie czegoś takiego.

Jego słowa trochę mnie zaskakują, ale po jakiejś minucie dociera do mnie, o co mu chodziło, i muszę go skorygować.

— Becks, twoja rodzina, oni cały czas coś takiego robią. Ty po prostu nie pozwalasz sobie tego zobaczyć i przyjąć.

— Tak, ale oni są rodziną i nie mają innego wyjścia — przerywa i chociaż nie widzę jego wzroku, czuję, że się zastanawia, kim właściwie dla niego jestem. — A ty? Ty jesteś moją pierdoloną flagą w szachownicy — stwierdza. Przechyliłam nieznacznie głowę i widzę drobny uśmiezek na jego ustach, który pojawia się po tym, jak moje usta unoszą się w szerokim uśmiechu. — Trochę trudno przywyknąć do całej tej koncepcji, bo nigdy wcześniej tego nie doświadczałem. Muszę się przyzwyczaić do tego, że jesteś przy mnie, żeby mi pomagać, i że cię potrzebuję. I niech mnie szlag, jeśli to nie sprawia, że cofam się o kilka kroków, bo jestem cholernie tym przerażony.

Jasny gwint! Znowu odbiera mi mowę, gdy słyszę jego próbę wyjaśnienia strachu, który z pewnością czai się na obrzeżach jego psychiki. Kładę dłonie na obejmujących mnie ramionach i ściskam je w wyrazie uznania dla jego dojrzałości, którą chce mi pokazać.

— Nie zamierzam uciec, Colton — mówię zdecydowanie. — I nie uciekłam, ale ty *naprawdę* mnie skrzywdziłeś. Wiem, że przechodzisz teraz ciężkie chwile, ale mnie też nie jest łatwo to wszystko przyswoić. I czasem też będę potrzebowała pit stopu. Wiesz, ty, media, kobiety, które wciąż cię pragną i mnie nienawidzą, to, że być może będziesz miał... — nie potrafię dokończyć zdania. Nie mogę wypowiedzieć słowa *dziecko* i nie potrafię pozbyć się



nagle gryzącego smaku w ustach.

— *No wiem, do czego zmierzasz.* — Wzdycha głośno i czuję, że zaciska szczękę.

Nie chcę zepsuć chwili, bo brakuje nam takich szczerych rozmów, ale skoro niezaplanowanie podniosłam tę kwestię, to wolę ją rozwiązać, żeby mieć to za sobą.

— I co zamierzasz z tym zrobić? — Zamykam oczy i zgrzytam zębami w oczekiwaniu na odpowiedź.

— Nie obchodzi mnie, co ona mówi o moich domniemyanych czynach, których nie pamiętam. Wiem, że to nie moje, Rylee.

Prostota jego wyjaśnienia i pewność, z jaką go udzielił, wskrzesza we mnie iskrę nadziei, która jednak szybko zaczyna gasnąć. Jeśli wyniki już przyszły, to czemu nie zadzwonił?

— To dostałeś już wyniki? — pytam ostrożnie, próbując ukryć niepewność.

— Nie — potrząsa głową, a iszka nadziei gaśnie zupełnie. — Zrobiłem testy dwa dni temu. Wyniki powinny przyjść lada dzień. Ale ja wiem... wiem, że to nie moje — stwierdza, a ja nie potrafię wywnioskować z brzmienia jego głosu, kogo próbuję bardziej przekonać: siebie czy mnie.

— Skąd wiesz, Colton, skoro nie pamiętasz? — pytam głośno, bo jestem sfrustrowana. Chcę to zamknąć i chcę, żeby okazał więcej emocji, niż okazuje. Biorę głęboki wdech i próbuję się uspokoić. — Chodzi mi o to, że jeśli ty i Tawny faktycznie... — przerywam, bo nie potrafię dokończyć. — Ona powiedziała, że nie użyliście kondomu — dodaje niemal bezgłośnie. Nienawidzę tego, że po raz kolejny nasza cudowna chwila zostaje zrujnowana przez świat zewnętrzny i doganiającą nas przeszłość.

— Jesteś jedyną kobietą, Ry... jedyną, z którą uprawiałem seks bez kondomu. Nie wypieram się, że z nią spałem, ale po prostu wiem, Rylee... wiem, że użyłbym kondomu. — Słyszę w jego głosie błaganie, żebym mu uwiaryła. Żebym chociaż częściowo zrozumiała strach, jaki budzi w nim perspektywa posiadania dziecka. Gdy nie odpowiadam, odsuwa się ode mnie i zaczyna przemierzać pokój tam i z powrotem. Sielanka sprzed pięciu minut zniknęła, a w jej miejsce pojawił się niepokój, jak u zwierzęcia zamkniętego w klatce, które pragnie uciec.

— To nie moje! — mówi podniesionym głosem. — To niemożliwe, żeby to było moje!

— A co, jeśli jest twoje? — powtarzam z pełną świadomością tego, że dolewam oliwy do ognia.

— Nie jest — krzyczy. — Kurwa! Wiem tylko tyle, że już nic, do cholery, nie wiem! Nienawidzę tego, że pieprzone media łążą za tobą i cię prześladują. Nienawidzę tego twojego wyrazu twarzy, który sugeruje, że poczujesz się przegrana, jeśli okaże się, że to moje dziecko, nawet jeśli mówisz mi coś innego. Nienawidzę pieprzonej Tawny i wszystkiego, co sobą reprezentuje. I tych rozpowszechnianych przez nią kłamstw na twój temat, na które według Chase nie mogę odpowiedzieć, bo media zaczną cię jeszcze bardziej nękać. Nienawidzę tego, że po raz kolejny cię skrzywdziłem... i że spieprzę to wszystko, bo moja przeszłość jest taka, jaka jest... — Zamyka oczy i porusza ramionami, próbując okiełznać swój gniew.

To jest walka, z którą jestem w stanie sobie poradzić. On się piekli, ja go wysłuchuję, przez co być może zmniejszy się cierpienie w jego oczach i napięcie w ramionach, nawet jeśli tylko odrobinę.

— Masz dość własnych zmartwień. Nie powinieneś martwić się teraz o mnie — mówię, chociaż strasznie mnie cieszy, że przejmował się wpływem tej katastrofy na moje życie.

— Nie powinienem? — pyta z niedowierzaniem. — Do mnie należy opiekowanie się tobą, a ja nie potrafię ci tego zapewnić, bo wszystko jest takie pogmatwane!

— Colton...

— Niech mnie szlag, całkowicie przewróciłem ci cały twój świat, a ty bardziej martwisz

się o mnie i o chłopców niż o siebie. — Podchodzi do mnie potrząsając głową. Patrzę na niego zmieszana, gdy wskazuje mnie palcem. — Jesteś pieprzoną świętą, na którą absolutnie nie zasługuję.

— Każdy grzesznik musi mieć świętego dla równowagi — stwierdzam z uśmiechem.

Śmieje się cicho i ujmuje moją twarz w dłonie. I chociaż niedawno się zaspokoiliśmy, moje ciało natychmiast zaczyna wibrować pod wpływem jego bliskości, oznajmiając swoje pragnienie i pożądanie. Colton wbija wzrok w moje oczy, a przez zasłonę rzęs przebijają się sugestie tego, co chciałby ze mną zrobić.

— Boże, jak ja cię wyściguję — mówi z emfazą, po czym błyska połowicznym uśmiechem i potrząsa głową, jakby wciąż nie ogarniał do końca głębi swoich emocji.

Ile jeszcze razy będzie kradł mi serce? Bo właśnie zrobił to znowu. Jego nieprzewidywalność sprawia, że te słowa działają na mnie jeszcze silniej i każda komórka mojego ciała drży ze wzruszenia.

Nie ma sensu walczyć ze łzami zbierającymi się w moich oczach, bo te słowa mają o wiele głębsze znaczenie niż to, że mnie „wyściguje”. On się stara i przeprosza za momenty, w których mnie zawiedzie. I chociaż wcześniej nikogo do siebie nie dopuszczał, wręcza mi klucz do drzwi wraz z nieograniczoną przepustką.

Wyciągam dłoń, chwytam go za kark i przyciągam do siebie, bo jest po prostu niesamowity i absolutnie nie do odparcia. Całuję go czule i wsuwam mu język między wargi, żeby wykonać intymny taniec z jego językiem. Bez natarczywości, z łagodną, subtelną akceptacją. Nie minęło zbyt wiele czasu od ostatniego pocałunku, ale wydaje mi się, jakby to była cała wieczność. Gdy kończymy się całować, opiera czoło na moim czole, a ja mówię:

— Ja też cię wyściguję.

Czuję na ustach jego uśmiech i dokładnie w tym momencie uświadamiam sobie, iż naprawdę to zrozumiał i akceptuje to, że go kocham. To jak metaforyczny promień światła ze strony mrocznego anioła, który mnie rozgrzewa od środka. Przysięgam po cichu, że na zawsze zapamiętam to, jak się teraz czuję.

Wciąż mamy sporo nierozwiązanych problemów i nie wiemy, co przyniesie nam przyszłość, ale przynajmniej wiem, że startujemy w tym wyścigu razem.

— Chodź — mówi, ciągnąc mnie za rękę. — Chodźmy stąd.

Wracamy do punktu serwisowego, gdzie ekipa Coltona pracuje przy samochodzie. Gdy tylko wchodzimy, Beckett potrząsa głową i uśmiecha się do nas. Szybko odwracam wzrok, bo mam świadomość, że każdy mężczyzna w warsztacie dokładnie wie, co przed chwilą robiliśmy. Wymykanie się chyłkiem od faceta też bywa wstydlive, ale gdy twoje wyjście obserwują ludzie, którzy wiedzą, że to robiliście, to cóż... wstyd jest znacznie większy.

Colton śmieje się za mną i ściska moją rękę.

— Co cię tak śmieszy? — mamrocze, nie odrywając wzroku od ziemi.

— Wyglądasz uroczo, gdy się czerwienisz — drażni mnie. — Chociaż wolę róż innych części twojego ciała.

Otwieram usta z szoku, lecz zanim zdążę je zamknąć, Colton przyciska do nich swoje. Słyszę dookoła brzęk spadających narzędzi, ale i tak potrafię się skupić wyłącznie na biciu swojego serca. Pocałunek jest tylko namiastką tego, co przed chwilą robiliśmy, ale gdy Colton się ode mnie odrywa i całuje czubek mojego nosa, jeden kącik jego ust unosi się w uśmiechu.

— Za co to? — Jakby mnie to w ogóle obchodziło. Może mi to robić w każdym miejscu i w każdej chwili.

— Znasz mnie, kochanie. Jeśli mają się gapić, to możemy im dać niezłe przedstawienia, prawda? Poza tym, na wypadek, gdyby ktoś jeszcze tego nie wiedział, chciałem pokazać

wszystkim, że jesteś moja.

Serce mi wzbiera po tych słowach, lecz odpowiadam z sarkazmem:

— Znaczymy teren, co?

— Słonko, ja już oznaczyłem teren — odpowiada, zatrzymując się, żeby spojrzeć na mnie z uśmiechem. — Bez wątpienia.

Przewracam oczami ze śmiechem i ruszam dalej.

— No co, As — rzucam przez ramię — nie potrafisz mi dotrzymać tempa?

Czuję klepnięcie w tyłek.

— Ty już dobrze wiesz, że potrafię dotrzymać tempa — stwierdza, obejmując mnie ramieniem, i nachyla się tak, że jego usta są tuż przy moim uchu. — Mój członek, ty przyciśnięta do drzwi, moja potencja... to wszystko świadczy o tym, że dotrzymuję tempa... i tak naprawdę to jest najważniejsze, nie sądzisz? — chichocze, a ja potrząsam głową z rozbawieniem.

Ustalamy, że Sammy odwiezie mój samochód do domu, a Colton prowadzi mnie na zadaszony parking, gdzie stoi Sex. Nie przeczę, że widok wartego grzechu auta budzi wspomnienia chwil, które wywołują uśmiech na mojej twarzy. Odrywam wzrok od maski i patrzę na Coltona, który posyła mi zmysłowy uśmiech. Unosi brew z szelmowskim spojrzeniem, zwilża wargi językiem i otwiera mi drzwi.

— Niezłe autko wybrałeś na dzisiaj — mówię, wsiadając do luksusowego wnętrza.

— Przypomina mi o tobie, a ja potrzebowałem cię tu dzisiaj — stwierdza i zamyka drzwi, żeby nie mogła odpowiedzieć. Może to i dobrze, bo to proste wyznanie tak wiele dla mnie znaczy.

Małe kroczi.

Kilka chwil później suniemy autostradą przy dźwiękach muzyki Dave Matthews Band, spowici pomrukiem silnika, z napastliwymi reporterami na ogonie. Colton w okularach przeciwsłonecznych patrzy w lusterko, po czym odwraca się do mnie.

— Pasy zapięte? — pyta, a ja nagle czuję sensacje w żołądku z obawy przed tym, co się za chwilę stanie.

Zanim zdążę cokolwiek odpowiedzieć, samochód podrywa się do przodu z rykiem silnika. Colton śmieje się, gdyż reporterzy nie są w stanie za nami nadążyć. Czuję zastrzyk adrenaliny i przez ułamek sekundy rozumiem jego uzależnienie, ale potem patrzę, jak manewruje w gęstym ruchu ulicznym, i serce staje mi w gardle, a cały zewnętrzny świat się rozmazuje.

## Rozdział 25.

Wyrównuję dokumenty na blacie kuchennym. Jestem zadowolona z transkrypcji zeznania Zandera, które umożliwia postawienie formalnych zarzutów jego ojcu. Wkładam je do brązowej teczki i orientuję się, że straciłam poczucie czasu: jest siódma czterdzieści, a chłopcy mają być na boisku o ósmej. Cholera! Muszę przygotować do końca rzeczy potrzebne na mecze. Wstaję od stołu i zaczynam napełniać butelki. Ustawiam je obok torebek z nasionami słonecznika. Wytężam słuch, żeby usłyszeć hałasy w domu, i dochodzę do wniosku, że dzięki Jacksonowi chłopcy są prawie gotowi do wyjścia.

— Hej, Ry?

— Tak? — Odwracam się i widzę, że Jackson opiera się o ścianę i patrzy na mnie zmartwionym wzrokiem.

— Zander i Scoot wciąż śpią. — Przerzywa na chwilę, po czym dodaje: — Nie spałaś, gdy Shane wczoraj wrócił?

Patrzę na niego, próbując się domyślić, dlaczego pyta.

— Tak. Czytałam w swoim pokoju. A co?

— Widziałaś go? Rozmawiałaś z nim?

W mojej głowie odzywa się alarm. Przerzywam to, co robię, i odwracam się do Jacksona.

— Nie. Zawołałam go, a on odpowiedział „dobranoc” i poszedł do swojego pokoju. Nie strasz mnie, Jax. Coś się stało?

— Cóż, wygląda na to, że Shane się wczoraj nawalił. Ma kompletny zgon na łóżku, jego pokój cuchnie piwem, a sądząc po wyglądzie ubikacji, oglądał w nocy to, co wypił, w odwrotnej kolejności. — Jackson uśmiecha się półgębkiem i chociaż wiem, że to niestosowne, też tłumię śmiech z tego, iż Shane zrobił coś tak typowego dla swojego wieku.

Szybko jednak odpowiedzialność bierze górę. Przygryzam wargę i patrzę na Jaxa.

— Wiedzieliśmy, że prędzej czy później do tego dojdzie... Kurde, chcesz, żebym się tym zajęła, czy ty to zrobisz?

— Będziemy czekać w aucie, Jax! — krzyczy Ricky.

— Okej! — odpowiada i odwraca się z powrotem do mnie. — Mogę tu zostać z Zanderem, Scooterem i Shane'em, jeśli chcesz iść dzisiaj na baseball.

— Nie, spoko — mówię, a on zbiera butelki. — Przyjdziemy później na boisko obejrzeć grę. Poradzę sobie z Shane'em.

— Jesteś pewna?

— Jasne.

Jax się żegna i wychodzi. Gdy zamyka za sobą drzwi, nie jestem już taka pewna. Siedzę na stołku barowym i się zastanawiam, jak poradzić sobie ze skacowanym szesnastolatkiem. Jest najstarszy i jako pierwszy przez to przechodzi, więc czuję się zagubiona. Oczywiście jako grzeczna pod każdym względem dziewczynka nie odważyłam się pić w szkole średniej, dlatego to wszystko jest dla mnie trochę obce.

Dzwoni telefon. Na mojej twarzy natychmiast pojawia się uśmiech, gdy widzę, że to Colton.

— Dzień dobry — mówię, a moje serce zalewa się ciepłem. Przez ostatnie kilka dni było nam ze sobą dobrze, może dlatego, że celowo ignorowaliśmy napięcie związane z oczekiwaniem na wyniki testów. Colton był podekscytowany tym, że w przyszłym tygodniu wróci do biura i będzie mógł zobaczyć najnowsze poprawki w zabezpieczeniach, nad którymi pracują. Śmiałam się z niego, że najpierw wrócił na tor, a potem do biura, ale on stwierdził z uśmiechem, że tor to

była konieczność, a biuro nie.

— Hej... to łóżko jest nieznośnie puste bez ciebie. — Jego zaspana poranna chrypa mnie kręci, a jego słowa działają uwodzicielsko, chociaż wiem, że nic z tego teraz nie będzie.

— Uwierz mi, że wolałabym być w nim z tobą...

— No to zbieraj się jak najszybciej, mała, bo szkoda czasu. Mam dzisiaj długą listę rzeczy do zrobienia — mówi rozbawionym i sugestywnym głosem. Uwielbiam to w nim, że samym brzmieniem głosu potrafi rozluźnić moje poranne napięcie.

— A co takiego masz dzisiaj do zrobienia?

— Ty na kanapie, ty na blacie, ty oparta o ścianę, ty w każdym innym możliwym miejscu... — mówi coraz ciszej, a dotychczas uśpione części mojego ciała nagle budzą się do życia.

Jęczę do telefonu.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo kusi mnie ten plan, szczególnie że mam dzisiaj trochę przerabane.

— Dlaczego? Co się stało? — pyta zatroskany.

— Shane miał swoje pierwsze doświadczenia z alkoholem, które nie były dobre, z tego, co mówi Jax.

Colton parska śmiechem.

— Sponiewierał się? Zuch chłopak!

— Colton! Ja ich próbuję wychować na przyzwoitych ludzi! — W chwili, gdy to mówię, uświadamiam sobie, że brzmię jak staroświecka cnotka, ale to prawda.

— Sugerujesz, że jestem nieprzyzwoity, Ryles?

Uśmiecham się, bo potrafię sobie wyobrazić ten szelmowski uśmieszek, który ma teraz na twarzy.

— Cóż, nie da się ukryć, że robisz ze mną niezbyt przyzwoite rzeczy... — stwierdzam prowokująco. Moje ciało się napina, a w dolnej części brzucha czuję pulsowanie na wspomnienie naszej przedwczorajszej sekswycieczki na schodach domu w Malibu.

Jego śmiech jest uwodzicielski i sugestywny.

— Och, kochanie, w tym akurat jestem najlepszy, ale mam coś innego na myśli. Nie żałowałem sobie alkoholu w szkole średniej i wyrosłem na zupełnie normalnego człowieka.

— No nie wiem — drażnię się. — Czyli sugerujesz, że to nic takiego? Żebym dała mu spokój i nie wyciągała żadnych konsekwencji?

— Nie, wcale tego nie sugeruję. Myślę jedynie, że to dobry znak, że Shane wychodzi do ludzi i zachowuje się jak normalny szesnastolatek. To nie jest ani złe, ani dobre, po prostu typowe. I o ile mamy do czynienia z jednorazowym wybrykiem, czyli że nie pije po to, żeby uciec od przeszłości, to nic mu nie będzie.

W pewnym sensie zgadzam się z Coltonem, lecz jednocześnie wiem, że muszę coś zrobić z Shane'em. Muszę mu powiedzieć, że to było nie w porządku i że nie chcę, żeby się powtórzyło, chociaż wiem, że się powtórzy.

— No więc, panie były zbuntowany nastolatek, jak powinnam to rozwiązać?

— Ja nadal jestem zbuntowany, Ry — mówi z rozbawieniem. — To, moja droga, nigdy nie ulegnie zmianie. Niech Jax z nim pogada, bo on nie będzie chciał cię teraz słuchać.

— Ośmielę się mieć inne zdanie. — Nie podoba mi się to, że chłopcy mieliby mnie nie słuchać dlatego, iż jestem jednym z niewielu wychowawców płci żeńskiej w Domu.

— Nie rób z igły wideł, Thomas — mówi ze śmiechem. — Nie twierdzę, że sobie z tym nie poradzisz, tylko że będzie bardziej słuchał słów mężczyzny.

— Cóż, Jax jest na meczu baseballu, więc to muszę być ja.

— Jesteś tam sama? — jego głos natychmiast zabarwia się troską. Cieszę się na ten nagły przejaw opiekuńczości wobec mnie i dbania o moje bezpieczeństwo. To całkiem urocze.

— Colton — wzdycham — pilnuje mnie pięćdziesięciu fotografów stojących przed domem. Nic mi nie będzie.

— Dokładnie. Pięćdziesięciu fotografów, którzy są tam tylko po to, żeby nękać ciebie i chłopców. Ja pierdolę! — klnie do siebie. — Mam dość tego, że moje brudy lądują na twojej wycieraczce.

— To naprawdę nie jest aż taki...

— Będę u ciebie za trzydzieści minut — mówi i się rozłącza.

No dobrze. Czyli przyjedzie, żeby zająć się prasą, co nic nie zmieni, a ja wciąż muszę wymyślić, jak załatwić sprawę z Shane'em.

Niech to!

\*\*\*

— Możesz jeszcze pooglądać z godzinę, Scooter, a potem musimy iść na boisko, dobrze?

— Jasne! — krzyczy do mnie i biegnie korytarzem do salonu, w którym z pewnością zaraz będą leciały poranne niedzielne kreskówki.

Idę dalej i zatrzymuję się przy pokoju Zandera i Aideny. Zander siedzi na łóżku owinięty kocem, przyciska do siebie swojego ukochanego pluszowego pieska i z zamkniętymi oczami kiwa się do przodu i do tyłu. Wchodzę do pokoju, przechylam głowę i obserwuję go przez chwilę, zastanawiając się, czy śpi. Robię kolejny krok i nagle słyszę łkanie dobywające się z jego piersi, więc zdaję się na instynkt.

— Hej, Zander, wszystko w porządku? — pytam łagodnie i siadam powoli na łóżku obok niego.

Nadal się kiwa, lecz podnosi głowę, żeby na mnie spojrzeć. Ma łzy na twarzy, a wzrok zdradza kompletnie złamane serce. Bo niezależnie od tego, ile minie czasu, wspomnienia zawsze będą zapuszczały swoje destrukcyjne macki najgłębiej jak się da, tak żeby nigdy nie zapomniał. I nawet jeśli w pewnym momencie poczuje się gotowy, żeby pójść dalej, to nigdy nie zapomni.

— Chcę do mamy — zawodzi. Gdyby moje serce mogło się rozpaść na milion kawałeczków, to właśnie by to zrobiło z powodu tego chłopca, którego kocham ponad wszystko.

Bardzo powoli wciągam go na swoje kolana i przytulam. Chowam jego głowę w zagłębieniu mojej szyi, żeby nie widział łez płynących mi po twarzy. Boli mnie jego utracona niewinność i to, że w jakimś stopniu zawsze będzie mu brakowało matki.

— Wiem, stary — mówię, kołysząc go. — Wiem. Byłaby tu, gdyby mogła. Nigdy by cię nie zostawiła, gdyby nie to, że aniołki jej potrzebują.

— Ale... ale ja też jej potrzebuję... — stwierdza, pociągając nosem, a ja nie wiem, co na to odpowiedzieć. Kompletnie. Dlatego przyciskam usta do jego głowy i przytulam go mocniej, żeby moja miłość zdjęła trochę ciężaru z jego serca, chociaż wiem, że to mu nigdy nie wystarczy.

Siedzimy tak przez chwilę i nawzajem się pocieszamy. W końcu trochę się uspokaja, więc przeczesuję jego włosy dłonią, zastanawiając się, co by go rozchmurzyło.

— Hej, Zand, wiesz, że Colton do nas jedzie?

Podrywa się cały i patrzy na mnie zaczerwienionymi oczami.

— Naprawdę?

Jak na komendę słyszę jakieś poruszenie przed domem. Mimo zamkniętych okien i zasuniętych rolet dobiega do mnie pomruk silnika, klikanie aparatów i wykrzykiwanie pytań.

— Tak, myślę, że właśnie przyjechał.

Cieszę się z synchronizacji Coltona, bo oczy Zandera natychmiast się rozświetlają.

Wstajemy i idziemy w stronę drzwi wejściowych. Każę chłopcom iść do salonu, żeby nie byli w zasięgu aparatów, gdy otworzę drzwi.

Colton przeciska się wąską szczeliną, mrużąc przekleństwo pod nosem, i od razu zamyka za sobą drzwi. Ma sfrustrowany wyraz twarzy, a pod pachą trzyma brązową torbę z zakupami. Uśmiecha się.

— Cześć.

— Cześć, As — odpowiadam i podchodzę do niego, żeby go pocałować, lecz jego ciało się spina. Natychmiast robię krok wstecz, bo wiem, że któryś z chłopców patrzy. Colton zawsze zwraca na nich uwagę i uważa, żeby nie całować mnie przy nich, nawet przelotnie, bo wie, że są wobec mnie nadopiekuńczy, i nie chce zburzyć tego porządku.

— No pocałuj ją i chodź dalej! — poirytowany głos Scootera za mną sprawia, że oboje wybuchamy śmiechem, a ja odwracam się do niego.

Colton staje obok mnie i kładzie mi dłoń na łądźwiach, po czym kuca przed Scooterem.

— Mogę? — pyta chłopca, którego oczy właśnie zmieniły się w spodki. — No wiesz, bo to niezbyt grzeczne wchodzić do domu innego mężczyzny i całować jego dziewczynę... Ale skoro jesteś jednym z mężczyzn w tym domu, to myślę, że mogę ją pocałować, jeśli powiesz, że nie masz nic przeciwko.

Scooter otwiera usta i wyprostowuje się z dumą.

— Naprawdę? — Ekscytacja w jego głosie sprawia, że kładę dłoń na sercu. — Taa... nie mam. Pod warunkiem, że nie będzie przez ciebie smutna.

— W porządku. — Colton wyciąga rękę i potrząsa dłoń Scootera. Moje serce puchnie od miłości i muszę walczyć ze łzami, które po raz drugi dzisiaj wzbierają w moich oczach. Tym razem z dumy z tych dwóch mężczyzn mojego życia.

— W takim razie — Colton podnosi się i spogląda na mnie — mężczyzna z tego domu mówi, że mogę cię pocałować.

Mój uśmiech się poszerza, a Colton nachyla się i muska po bratersku moje usta.

— Eeeee, fuj! — krzyczy Scooter, wyciera usta wierzchem dłoni i ucieka do salonu, żeby opowiedzieć to Zanderowi.

Colton odwraca się przez ramię, żeby sprawdzić, czy Scooter poszedł, po czym bez zawahania z powrotem wpija się w moje usta. To krótki pocałunek, ale ścina mnie z nóg, wzmacniając przekonanie, że nie mogę żyć bez tego narkotyku.

— Łał! — mówię, gdy się ode mnie odrywa.

— Powiedział, że mogę to zrobić — stwierdza Colton z uśmieszkiem i wzrusza ramionami. — Gdzie ta nasza pijana szmata?

— Nadal śpi — odpowiadam i spoglądam na brązową torbę pod jego ramieniem. — Co to?

Colton odpowiada uśmiechem.

— Małe co nieco, żeby na długo zapamiętał ten poranek. Wiesz, mały klinik.

— Colton — ostrzegam go, bo zauważam, że torba przypomina kształtem sześciopak. — Nie mogę mu dać piwa! Wyleją mnie z pracy! — protestuję przyciszonym głosem.

Ale on patrzy na mnie bezczelnie i chichocze.

— Dokładnie. Dlatego ja to zrobię. — Po tych słowach skręca w prawo do pokoju Shane'a. Przypomina mi się, jak wcześniej mówił, że Shane nie będzie chciał mnie słuchać, więc idę za nim, żeby zobaczyć, co robi.

Colton podnosi rolety i cały pokój staje w świetle. Potem zerka na komodę Shane'a i na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Po kilku sekundach głośniki z wpiętym do nich ipodem rozbrzmiewają łomoczącym bitem. Shane natychmiast zrywa się z łóżka z krzykiem i zatyka

uszy. Z opóźnieniem dociera do niego, kto przed nim stoi ze skrzyżowanymi rękami i uniesionymi brwiami.

Patrzą na siebie przez chwilę, po czym Shane bierze poduszkę i kładzie sobie na głowie, żeby stłumić dźwięki i zasłonić się przed jasnym światłem.

— Wyłącz to! — jęczy. Colton podchodzi ze śmiechem do ipoda i wyłącza go. — Dzięki! — mówi stłumionym przez poduszkę głosem.

— Nie, nie, nie — stwierdza Colton, siada gwałtownie na łóżku obok niego i wydziera mu poduszki, a Shane próbuje zasłonić oczy ramionami. — Sądząc po zapachu w twoim pokoju i wyglądzie twojej twarzy, zgaduję, że ostro się wczoraj skułeś. Mam rację, stary? — pyta, a gdy Shane nie odpowiada, wybucha złowieszczym śmiechem doktora Zło. — Pulsuje ci w głowie? Cały pokój wiruje? Bolać cię oczy? Masz ochotę się wyrzygać, ale czujesz, że żołądek jest już pusty?

— Zamknij się — jęczy Shane i próbuje naciągnąć kołdrę na głowę, ale Colton ciągnie ją z powrotem w dół.

— Nie. Jeśli chcesz się zadawać z dużymi chłopcami i łoić tak jak oni, to czas wstać i przyjąć to jak mężczyzna. — Z mojego punktu obserwacyjnego w korytarzu widzę, że Colton opiera się wygodnie o ścianę i sięga do brązowej torby. Słyszę syknięcie otwieranego piwa. Shane podrywa się na łóżku i patrzy na Coltona jak na wariata.

— Pogięło cię? — chrypi spanikowanym głosem.

— Tak — odpowiada Colton i patrzy na Shane'a z uśmiechem. Bierze łyk piwa, po czym wręcza je Shane'owi. — Z pewnością oszalałem. Twoje zdrowie, synu.

— Nie ma mowy! — wypala Shane i odskakuje od puszki jak oparzony. — Nie możesz dawać mi piwa!

Colton unosi brwi.

— Przecież właśnie to robisz. Przestań wreszcie się tym wykręcać. Wczoraj byłeś na tyle dorosły, żeby się skuć? No to najwyższa pora, żebyś sobie przypomniał, dlaczego tak ci się to podobało. — Colton ponownie podsuwa mu piwo. — No dalej, napij się. Nie bądź tchórzem.

— O co, kur... —

— Pij! — naciska Colton. — Co? Jesteś na tyle wyluzowany, żeby napić się z kumplami, a ze mną się nie napijesz?

— Jak to wypiję, to się porzygam!

— W końcu coś do ciebie dociera! — oznajmia Colton z uśmiechem, sięga wolną ręką do torby i wyciąga kolejne piwo. — Mam jeszcze dla ciebie pięć, gdy skończysz to.

Shane blednie i robi wielkie oczy, gdy docierają do niego słowa Coltona.

— Nie ma mowy! Porzygam się!

— *To dobrze* — oznajmia i nachyla się bliżej Shane'a. — Pij — mówi. — Chcę, żebyś zapamiętał, jak dobrze smakuje piwo, gdy przechodzi przez gardło po raz drugi. Następnym razem, gdy koledzy będą cię namawiać do picia albo będziesz chciał zrobić wrażenie na dziewczynach... to chcę, żebyś przypomniał sobie zajebiste wrażenie, jakie robisz, rzygając zgięty nad kibelem. Zaręczam ci, z własnego doświadczenia wiem, że to nie jest zbyt piękny widok. — Colton oddala się od Shane'a i z powrotem opiera się o ścianę z cieniem uśmiechu na twarzy. Odchyła głowę, ale patrzy w bok na Shane'a. — Jesteś pewien, że nie chcesz tego piwa? Nie chcesz sobie przypomnieć, jak smakuje?

Shane potrząsa głową. Jest w lekkim szoku po słownych batkach spuszczonej przez swojego idola, ja zresztą też.

Colton kontynuuje złowieszczą spokojnym głosem.

— No dobrze, skoro coś do ciebie dociera, ustalimy parę podstawowych reguł, dobrze?



— Nie czeka na odpowiedź. — Jak dotarłeś wczoraj do domu, Shane?

Jego pytanie mnie zaskakuje, podobnie jak Shane'a.

— Davey mnie przywiózł.

— Czy Davey też wczoraj pił? — spokojny głos Coltona sprawia, że Shane odwraca wzrok, a ja czuję serce w żołądku.

— No, trochę. — Słyszę wstyd w głosie Shane'a, który wie, że to było złe.

— Eeeee! Zła odpowiedź! — odpowiada Colton i odwraca głowę w jego stronę. — Chcesz być głupi i się nawalić? Spoko, potrafię to zrozumieć. Ale nie będę tolerował tego, że z własnej woli wsiadasz do samochodu prowadzonego przez pijanego kierowcę, bo powiedzmy sobie szczerze, byłeś nawalony, więc skąd możesz wiedzieć, ile wypił Davey! Masz w tym domu zbyt wiele osób, które cię kochają i które *troszczą się o ciebie, Shane*. Ani Ry, ani chłopcy, ani ja nie chcielibyśmy, żeby coś ci się stało. Pozwól więc, że wyrażę to inaczej, dobrze? Nie będę cię pytał, czy zamierzasz jeszcze kiedykolwiek się upić, bo musiałbyś mnie okłamać. Oto moje pytanie: wsiądziesz jeszcze kiedyś do samochodu z pijanym kierowcą?

Shane przełyka głośno ślinę i potrząsa głową przecząco, ale Colton nadal się w niego wpatruje, więc odpowiada na głos:

— Nie.

— Świetnie! W końcu do czegoś dochodzimy... — mówi Colton, waląc głośno ręką w ścianę. Shane podskakuje i chwyta się za głowę, a Colton wybucha śmiechem. — Na pewno nie chcesz tego piwa? — Wyciąga dłoń, lecz Shane energicznie potrząsa głową. — Jesteś bystrym dzieciakiem, więc wymyśl sobie, co chcesz: idź na piechotę, zadzwoń do mnie, jeśli będziesz musiał, ale nigdy nie jedź z pijanym. Ostatnia rzecz: *dłaczego?*

Shane podnosi wzrok i spogląda Coltonowi w oczy.

— To znaczy?

Colton patrzy mu w oczy przez dłuższy czas, a ja nie mogę znieść tego, że nie widzę tej milczącej wymiany między nimi.

— Żeby być cool? Zrobić wrażenie na dziewczynie? Złagodzić ból zadany przez mamę? Nie musisz mi mówić, Shane, ale to bardzo ważne pytanie. To jest pytanie, na które sam musisz sobie odpowiedzieć. — Widzę, że Shane spuścił głowę i wciągnął oddech z zaniepokojeniem. Potem opiera się o ścianę tak jak Colton. Obaj mają stopę położoną na kolanie drugiej nogi, skrzyżowane ramiona i wzrok wbity w sufit. Widok ich obu razem jest bezcenny i wiem, że to jedna z chwil, które zapamiętam do końca życia.

Colton wzdycha i zaczyna mówić tak cicho, że muszę wytężyć słuch, żeby go usłyszeć.

— Jako dziecko przeżyłem dość poważne piekło. *Naprawdę poważne*. Niezależnie od tego, co robiłem, jak bardzo byłem grzeczny lub jak usilnie się starałem... to nie potrafiłem tego przerwać. Nikt mi nie pomógł. Więc w swoim siedmioletnim umyśle doszedłem do wniosku, że to moja wina. Nawet teraz zdarzają się dni, gdy wciąż tak myślę. Najgorsze jednak było to, że musiałem żyć z tym bólem i poczuciem winy. — Wzdycha, po czym odrywa wzrok od sufitu i czeka, aż Shane spojrzy mu w oczy. — Kurde, zacząłem pić, gdy byłem znacznie młodszy od ciebie, Shane... i piłem dlatego, że tak bardzo cierpiałem. Po kilku głupich popisach i sytuacjach, z których cudem wyszedłem cało, mój ojciec posadził mnie przed sobą i zadał mi to samo pytanie, które usłyszałeś ode mnie. I powiedział mi to samo, co ja ci powiedziałem. A potem zapytał: „Po co pić, żeby to stłumić, skoro cierpienie to odczuwanie, odczuwanie to życie, a czy nie lepiej być żywym?” — Colton potrząsa głową. — I wiesz co? Kiedyś myślałem, że to ściema i że nie będę w stanie spędzić całego dnia bez myślenia o tym, bez bólu, bez poczucia winy... i, kurwa, w te dni chciałem pić. Gdy miałem piętnaście lat, Shane, to piłem, żeby się z tym uporać... Ale mój ojciec siadał potem ze mną i powtarzał mi te słowa. I wiesz co? Miał rację. To

wymagało czasu. Mnóstwa czasu. I wiem, że moja przeszłość nigdy nie zniknie... ale cieszę się, że wybrałem życie, a nie odretwienie. Cieszę się, że wybrałem życie, a nie śmierć.

Widzę łzy na policzkach Shane'a i uświadamiam sobie, że moje też są mokre. Colton obejmuje go za szyję i przyciąga do siebie. Obdarza go szybkim, męskim uściskiem, a Shane'owi wyrywa się szloch. Colton, co nietypowe, całuje go w czubek głowy i powtarza szeptem:

— Pamiętaj, cierpieć to odczuwać, odczuwać to żyć, a czy nie lepiej być żywym?

Serce więźnie mi w gardle, brakuje mi tchu i uświadamiam sobie, że nigdy nie będę w stanie odejść od tego pięknego, pokrzywdzonego mężczyzny.

Cierpiący mężczyzna pomagający skrzywdzonemu dziecku.

Colton puszcza Shane'a, a ja od razu wyczuwam ich dyskomfort spowodowany tym okazaniem sobie emocji. Colton wstaje z łóżka, jeszcze raz oferuje Shane'owi piwo i śmieje się, gdy ten odmawia. Zabiera torbę z resztą puszek i rusza w stronę drzwi. Tuż przed wyjściem odwraca się za siebie.

— Hej, Shane? Cuchniesz, stary. Weź prysznic i ubierz się, mamy dzisiaj mecz do obejrzenia.

Po tych słowach wychodzi i wpada na mnie. Patrzymy się na siebie, a w jego oczach pływają niezliczone emocje, gdy dostrzega łzy na moich policzkach. Mówię szeptem jedyne słowa, jakie potrafię wykrztusić.

— Dziękuję.

Colton kiwa głową, jakby nie ufał swojej zdolności mówienia, i rusza w głąb korytarza.

## Rozdział 26.

### Colton

— Przejmiesz ich, Jax? — pytam, obserwując, jak Scooter kupuje jakieś cukrowane śmieci za pieniądze, które mu dałem. Shane nie chce. Jest wciąż zielony na twarzy. Jeszcze przez jakiś czas niczego nie zje, chyba że chce to od razu zobaczyć z powrotem.

Ach, słodkie wspomnienia z okresu dorastania i upijania się do pieprzonego betonu. Przykro mi, jak na niego patrzę, ale nie mogę powiedzieć, że obserwowanie tego rytuału przejścia wcale mnie nie bawi.

Jax poprawia swoją baseballówkę, odkłada kij i podchodzi do mnie.

— Tak, przejmę ich. — Wyciąga dłoń i potrząsa moją. — Dzięki za... — mówi i wskazuje podbródkiem w stronę Shane'a.

— Nie ma za co — śmieję się. — Nie wyglądał nawet w połowie tak źle jak ja po swoim pierwszym spotkaniu z dnem butelki, ale pogadałem z nim.

— Dzięki. Ry nie zmieniła zdania i nie przyjdzie?

— Nie. — Potrząsam przecząco głową i obserwuję, jak Ricky uderza piłkę, która wylatuje poza boisko. Gwiżdżę z uznaniem, żeby wiedział, że go widziałem, a on spogląda na mnie i obdarza mnie szerokim uśmiechem. Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że wyrażanie uznania może działać cuda. — Nie przyjdzie. Zander miał dość ciężki poranek i nie chciała zmuszać go do paradowania przed obiektywami. Dlatego ja wziąłem chłopców, licząc na to, że pojedą za mną.

*Pieprzone sępy.* Patrzę w stronę swojego range rovera na parkingu i widzę, że stoją tam z aparatami na szyjach i długimi obiektywami skierowanymi we mnie, z nadzieją, że uchwycą... no, kurde, nie mam pojęcia, co można uchwycić na meczu małej ligi. Ale z drugiej strony jestem trochę zdziwiony, bo zachowują dystans i nie ostrzeliwiają mnie, gdy jestem z dziećmi. Od kiedy to mają jakiegokolwiek maniery? No ale w końcu nie zamierzam robić niczego ekscytującego za trybunami, żeby spłodzić kolejne nieślubne dzieci. — W każdym razie — wzruszam ramionami — chyba się udało.

Jax śmieje się, patrząc na tłumek fotografów na parkingu.

— Tak sądzisz? Szaleństwo, człowieku, mieć ich cały czas na głowie. Można się do tego przyzwyczaić?

— A czy samochód może jeździć bez kół? — Najgłupsze pytanie świata, ale to jest Jax. Koleś jest spoko. Troszczy się o Ry.

— Racja — mówi, kiwając głową.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę, po czym ruszam w stronę samochodu, żeby dać tym pasożytniczym dupkom zbliżenia, za które dostaną trochę pieniędzy. Mam nadzieję, że kupię sobie spokój na przynajmniej jeden pieprzony dzień.

Atakują mnie swoimi aparatami, gdy przechodzę, i muszę się siłą powstrzymać, żeby nie zdzielić kogoś pięścią. Ale by mi ulżyło, gdybym mógł się na nich wyżyć. Pieprzona Chase. Jej słowa powstrzymują mnie tylko dlatego, że mówiła, iż zaszкодziłbym Ry, gdybym uwolnił swojego wewnętrznego buntownika, którego prowokują głupimi sugestiami, jakoby Ry rozbiła rodzinę.

Pierdolone obietnice. Pieprzyć je wszystkie. Dlatego ich nigdy nie składam. Albo raczej nie składałem przed pojawieniem się Ry. Kto by pomyślał, że któregoś dnia wpadnę pod pantofel i nie będzie mi to przeszkadzało.

Najwyraźniej zamarzył kolejny krąg piekła, które staje się zimne jak biegun po tym, co ona

we mnie zmienia.

Powiedziałem jej, że staram się być lepszym mężczyzną. No cóż. Nie wiedziałem, że zostaniemy rzucony w sam środek tego pieprzonego sztormu, którzy pozamiatał nami jak zeszlórocznymi liśćmi.

Jak dotąd jestem grzeczny. Nie zadzwoniłem do Tawny i nie zwymyślałem jej za te pieprzone ściemy, za rzucenie Rylee wilkom na pożarcie i za skrzywdzenie mnie. Ale wiem, że gdybym to zrobił, pokazałbym jej, iż udało się jej do mnie trafić. A dla niej to jak wygranie połowy walki.

„*Kiedy ślub, Colton?*”

„*Czy Tawny wie, że byłeś dzisiaj z Rylee?*”

„*Wybrałeś już imię dla waszego syna?*”

Jeden z reporterów szturcha mnie z boku, więc odwracam się do niego gwałtownie z zaciśniętymi pięściami.

— Nie dotykaj mnie, do cholery! — cedzę przez zaciśnięte zęby.

Rylee. Rylee. *Moja pieprzona Rylee*. Muszę to sobie powtarzać na okrągło, żeby łatwiej mi było ignorować ich gówniane kłamstwa i nie tracić panowania nad sobą.

Na szczęście reporter się odsunął i mogę otworzyć drzwi do samochodu. Dzięki Bogu za luksusowe samochody, bo w chwili, gdy zatraskuję drzwi, zapada cisza, a przyciemniane szyby utrudniają sfotografowanie mnie na krawędzi załamania. I chociaż chciałbym tu posiedzieć, żeby się uspokoić, jest to niemożliwe, gdy otacza mnie cały ten cyrk.

Dodaję gazu i mam nadzieję, że załapią i się odsuną, żebym nikogo nie przejechał. Gazuję jeszcze raz i wycofuję, a oni odskakują do swoich samochodów, żeby mnie śledzić.

Na litość boską!

*Mam przesrane, proszę jechać za mną* — gdybym miał zrobić sobie naklejkę na tylny zderzak, to taka powinna być jej treść.

Zerkam na dzieciaki i gazuję jeszcze raz, po czym szybko wyjeżdżam z parkingu. Udaje mi się zgubić większość z nich, gdy przejeżdżam przez skrzyżowanie na żółtym świetle tuż przed zmianą na czerwone. W końcu oddycham z ulgą i przez minutę nucę sobie piosenkę *Best of You*, która leci w radiu. Potem sprawdzam telefon.

Nagle czuję, że brakuje mi powietrza, a pod wpływem otrzymanej wiadomości cierpnie mi noga na gazie, jak u niedzielnego kierowcy.

„*Mam na biurku zapieczętowaną kopertę. Przyszły wyniki. Zadzwoń*”.

Całe moje ciało zamiera: płuca, serce, gardło, wszystko. Patrę się przed siebie i próbuję opanować nawał emocji, ściskając kierownicę tak mocno, że bieleją mi kostki.

Zmuszam się do oddychania, do mrugania, do myślenia. W chwili, gdy moja głowa odzyskuje panowanie nad ciałem, gwałtownie zjeżdżam na prawy pas i słyszę trąbienie za sobą. Skręcam na najbliższy zjazd na parking przy centrum handlowym i się zatrzymuję.

Sięgam po telefon, żeby zadzwonić do prawnika, ale odkładam go i zaciskam powieki, próbując zapanować nad nagłą nerwowością. *To już teraz*. Odpowiedź czekająca po drugiej stronie linii albo przyniesie mi życiową katastrofę, albo największą ulgę.

Wcale już nie czuję absolutnej pewności, że to nie moje dziecko. Wzdycham głośno, uderzam pięścią w deskę rozdzielczą, zbieram się do kupy i biorę telefon.

Każdy sygnał mnie rozwała. Jakbym czekał z niewinnie zawiązaną pętlą na szyi, aż ktoś wykopie mi krzesło spod nóg.

— Cześć, Donovan — mówi głos w słuchawce.

Chyba z minutę się zbieram, żeby odpowiedzieć.

— Cześć, CJ — mój głos brzmi cholernie obco, jakbym był dzieckiem czekającym na

ogłoszenie kary.

— Jesteś gotowy?

— Ja pierdolę, powiesz mi w końcu? — odszczekuję.

Chichocze i słyszę rozdzieranie papieru. Łatwo mu się śmiać, gdy moje serce łomocze jak oszalałe, w głowie mi pulsuje, a stopa szaleńczo skacze po podłodze. W końcu słyszę jego westchnienie.

— Jest OK.

Niemożliwe, żebym dobrze usłyszał.

— *Co?*

— Kłamała. Dziecko nie jest twoje.

Wyciągam rękę z zaciśniętą pięścią i krzyczę. Potem ściskam dłońmi głowę, bo czuję, jak adrenalina uderza z pełną siłą. Ręce mi drżą i czuję wzbierające łzy. Nie potrafię myśleć. Wiem, że CJ coś mówi, ale nie słyszę go, bo serce dudni mi w uszach od adrenaliny jak przed rozpoczęciem wyścigu. Podnoszę dłoń, żeby przeczesać włosy, ale zatrzymuję się w połowie ruchu i uderzam nią w kierownicę, a potem pocieram twarz, bo jestem tak oszołomiony... Topię się w zalewającym mnie uczuciu ulgi i nie potrafię sformułować żadnej myśli poza jedną.

To nie moje.

Nie spierdoliłem życia niewinnej osobie, przekazując jej swoje skażone geny.

Nie będę miał dziecka z tą dwulicową suką.

— Wszystko w porządku, Wood?

Chwilę trwa, zanim przełykam ślinę i odzyskuję głos.

— Taa — wzdycham. — Lepiej niż w porządku. Dzięki.

— Powiem Chase, żeby przygotowała oświadczenie prasowe...

— Ja się tym zajmę — przerywam mu, bo niczego tak nie pragnę jak nakarmienia sępów smakiem klęski i wypieprzenia na chwilę ich nachalnych obiektywów z naszego życia. Żeby Rylee mogła powoli dostosować się do mojego szalonego życia, gdy będziemy szukać wspólnego gruntu.

I znowu. Myślę o szukaniu wspólnego gruntu, przyszłości z nią i tak dalej. Ona jest moim kryptonitem.

Ja pierdolę.

Nagle to do mnie dociera.

*Rylee.*

Muszę jej powiedzieć.

— Dzięki jeszcze raz, CJ, muszę kończyć, bo mam pilny telefon.

Rozłączam się i zaczynam wybierać numer Rylee, ale z powodu krążącej w żyłach adrenaliny tak bardzo trzęsie mi się dłoń, że zatrzymuję się na sekundę.

W tej chwili przerwy uświadamiam sobie, że zanim do niej zadzwonię, chcę to raz na zawsze rozwiązać. Chcę do niej zadzwonić z czystą kartą, żebym mógł jej powiedzieć, że to wszystko jest już za nami. Dziecko, Tawny, kłamstwa... wszystko jest pozamykane, posprzątane i pozamiatane.

Biorę głęboki wdech i wybieram numer, który był kiedyś tak swojski, lecz teraz doprowadza moją krew do wrzenia.

— Colton? — Cieszę się, że jest zaskoczona, bo to oznacza, iż przyłapałem ją z opuszczoną gardą.

Czas zrobić to, co trzeba zrobić.

— Tawny — mówię płaskim, wypranym z emocji głosem. I milknę. Chcę, żeby ją skręcało. Chcę, żeby się zastanawiała, czy już wiem. Skoro jest na tyle bezczelna, że potrafi

skłamać mi w żywe oczy, to sprawdzmy, czy będzie nadal ciągnęła tę gierkę czy wyłoży karty na stół.

A wynik testu jest moim asem w rękawie.

— Cześć — mówi tak łagodnie, że nie potrafię określić, czy jest onieśmielona czy próbuje brzmieć uwodzicielsko.

Obojętne, i tak przewraca mi się w żołądku, jak ją słyszę.

Przygryzam policzek, zastanawiając się, jak poprowadzić tę konwersację, bo chociaż chciałbym, żeby cierpiała, to zależy mi na tym, żeby przepadła z mojego życia. Sajonara, adios, strzała na drogę. Chrząka i wiem, że ta cisza ją dobija.

Dobrze.

— Colton — mówi jeszcze raz moje imię, a ja gryzę się w język. Niech cierpi. — Potrzebujesz czegoś? Ja... jestem zaskoczona twoim telefonem...

— Naprawdę? Jesteś zaskoczona? — Sarkazm kapie z moich słów jak olej ze starego silnika. — A to niby czemu?

Próbuje coś wyjąkać, ale wszystkie wyrazy urywają się po pierwszej sylabie.

— Daruj sobie, Tawn. Powiedz mi tylko jedną rzecz: *dłaczego?*

Kiedy ona się taka stała? Kiedy zmieniła się z mojej licealnej miłości w tę krętaczkę i manipulatorkę, z którą właśnie rozmawiam? Co ja, do cholery, przegapiłem?

— Dłaczego? — odpowiada pytaniem, przeciągając to słowo. Tak długo byliśmy przyjaciółmi, że wiem, iż zarzuca wędkę. Szuka jakiegokolwiek wskazówki, żeby ją wykorzystać lub przekręcić to, co zamierzam powiedzieć, tak, aby najlepiej pasowało jej interesom.

Mam dość. W jej przypadku, uwzględniając jej pieprzone kłamstwa, to już dawno nie jest niewinna rutyna. Przynajmniej teraz ją widzę. Po tym, co zrobiła Ry i próbuje teraz zrobić mnie.

*Szykuj się do walki, złotko.*

— Tak, dlaczego? — odszczekuję. — Dłaczego te cholerne kłamstwa przeszły ci przez tę idealną buźkę? Dłaczego wykorzystowałaś mój wypadek, żeby...

— Colton, ja nie próbowałam...

— Zamknij się, Tawni! Nie interesują mnie twoje żalodne wymówki! — krzyczę na nią, bo w końcu kontroluję sytuację i cieszę się, że mogę to wszystko z siebie wyrzucić. Uwolnić całą wściekłość, cały strach i całą niepewność, które panowały w moim życiu przez ostatnie kilka tygodni. I pozostawiły po sobie dezorientujący chaos, w którym poruszałem się tak, jak w dymie w trakcie wypadku, z nadzieją, że szczęśliwie przejadę na drugą stronę. — Nie próbowałaś czego?

Jestem wściekły do granic możliwości. Muszę się ruszyć. Muszę spalić trochę energii, więc otwieram drzwi samochodu i zaczynam kroczyć tam i z powrotem. Wolną ręką przeczesuję włosy, a moje stopy uderzają głucho o pieprzoną ziemię.

— Nie próbowałaś wykorzystać mojego wypadku i tego, że *miałem namieszane w głowie*, żeby zdobyć to, czego chcesz? Nie powiedziałaś mi, że cię pieprzyłem, chociaż tego nie zrobiłem? Nie próbowałaś złapać mnie na swoje nieślubne dziecko? *Jak bardzo trzeba być popieprzonym?* Jakim trzeba być śmieciem, żeby coś takiego zrobić, Tawn? Co? Możesz mi powiedzieć, dlaczego kobieta, którą znałem i która kiedyś była moją przyjaciółką, upadła tak nisko, że wykorzystywała dziecko do tego, żeby mnie odzyskać?

Ten parking jest za mały, żeby ulżyć mojej potrzebie rozchodzenia toczącej mnie w środku furii, bo im bardziej myślę o tym, co próbowała mi zrobić, tym bardziej się wściekam.

*Dobrze, że siedzi cicho*, myślę sobie, gdy nie odpowiada ani słowem. Po drugiej stronie linii słyszę tylko płaczące pojękiwania.

— I pomyśleć, że kiedyś się o ciebie troszczyłem. Niewiarygodne, Tawn. — Potrząsam

głową i przetykam olbrzymią kulę powietrza. — Tak traktujesz ludzi, których kochasz? Wykorzystujesz dziecko, żeby ich zmanipulować? Oszukujesz, żeby zdobyć miłość?

— Dostałeś wyniki. — To nie pytanie, tylko ciche stwierdzenie, które wypowiada ze złowieszczym spokojem.

Czyli wie.

— Tak, dostałem wyniki — mówię cicho, lecz tak ostro, że lepiej, żeby rozejrzała się za jakąś osłoną. — Już raz ze mną pogrywałaś, Tawn. Rozwiązałem to najdelikatniej, jak się dało, ze względu na więź między naszymi rodzinami. — Opieram się o samochód i potrząsam głową z niedowierzaniem. Mój puls szaleje i mam przyspieszony, płytki oddech. — Ale najwyraźniej miałaś to gdzieś, skoro zasadniczo znowu ze mną pogrywałaś. I to próbując wmówić mi coś, co jak wiesz, kompletnie by mnie zniszczyło. Sugeruję więc, żebyś słuchała bardzo uważnie, bo powiem to tylko raz. Skończyłem z tobą raz na zawsze. Nie kontaktuj się ze mną. A już na pewno nie kontaktuj się z Ry. A imprezy rodzinne? — Śmieję się, chociaż na pewno nie ze szczęścia. — Wymyśl jakiś ból brzucha, grypę lub inny powód, żeby się nie pojawić. Rozumiemy się? Byłaś moją przyjaciółką, a teraz jesteś... nikim.

— Proszę, posłuchaj mnie — błaga, a jej głos, który kiedyś tyle dla mnie znaczył, zupełnie na mnie nie działa. W ogóle. — Nie bądź taki zimny...

— Zimny? — krzyczę na nią, a moje ciało wibruje z gniewu. — Zimny? Zimny? Lepiej przygotuj się na arktyczny lód, bo z nami koniec. Jesteś dla mnie martwa, Tawni. Nie mam nic więcej do powiedzenia — kończę i rozłączam się mimo, że słyszę szloch na drugim końcu linii. Opieram się dłońmi o samochód i próbuję to wszystko zrozumieć. Jak przyjaciółka z dzieciństwa mogła mi coś takiego zrobić?

Nagle uświadamiam sobie, że to jest kompletnie nieważne. Ani *dłaczego* ani *po co*.

Bo mam teraz Ry.

*Jasny gwint*. Tak bardzo skupiłem się na sobie, że zapomniałem o powodzie, dla którego to zrobiłem.

Rylee.

Wsiadam do auta i szukam jej w telefonie. Sekundę zajmuje mi znalezienie jej wśród ostatnich połączeń. Słyszę sygnał, ale cholernie się niecierpliwię.

— No dalej, Ry! — Uderzam w kierownicę pięścią. Sygnał przenosi się na głośniki w samochodzie.

— Hej! — mówi Ry ze śmiechem.

Ten głos. *Mój Boże*, ten beztroski głos chwyta mnie za pieprzone serce i ściska mnie tak mocno, że nie mogę złapać oddechu. To tak, jakby nagle wszystkie ściemy związane z Tawni i wypadkiem zniknęły i chociaż nie potrafię złapać tchu, po raz pierwszy czuję, że mogę spokojnie odetchnąć. Czy nie tak powinno być? Pieprzona jasność sytuacji i w ogóle.

Chcę coś powiedzieć, ale nie potrafię. Co jest, do cholery? Jakbym chciał powiedzieć jej wszystko naraz i nie wiedział, od czego zacząć. Wybucham śmiechem, szaleńczym śmiechem wariata, bo jestem pod jakimś beznadziejnym centrum handlowym i teraz mnie to uderza.

— Dobrze się czujesz? — pyta tym swoim seksownym tonem.

— Taa — wykrztuszam przez śmiech. — Ja po prostu...

Słyszę w głośniku wyraźny chichot i milknę. To Zander, a ja po raz pierwszy słyszę jego śmiech, którego brzmienie otwiera mnie na wskroś jak nóż do filetowania. Niech to, chyba kompletnie zniewieściałem, bo jestem teraz jednym wielkim kłębką emocji.

— Weź swoją rękawicę z ogrodu i ruszamy, dobrze? — Słyszę, że się zgodził. — Sorry, ale musisz mi powiedzieć, co cię tak rozbawiło.

Zaczynam mówić, chcę jej powiedzieć o wynikach badań, lecz przerywa mi przerażający

odgłos, który wdziera się do mojej piersi i rozrywa moje niepokorne serce.

— Co to, do cholery, było? — mówię to zbyt późno, bo mimo pisku przypominającego skomlenie rannego zwierzęcia, które walczy o życie, słyszę, jak Rylee się przemieszcza. Przewraca mi się w żołądku z powodu tego odgłosu i jej pieprzonego milczenia. — Ry? Powiedz mi, co się dzieje? Ry?

— Nie, nie, nie, nie! — mówi, a jej głos emanuje taką mieszaniną strachu, niedowierzania, szoku i oporu, że przechodzą mnie ciarki i automatycznie zapalam samochód i wrzucam bieg.

— Ry, na litość boską! Mów do mnie! Co się tam dzieje? — krzyczę do telefonu spanikowany, ale słyszę tylko jej ciężki oddech. I łkanie. — Rylee!

— Nie możesz go zabrać — mówi złowieszczo spokojnym głosem, który brzmi bardzo odległe. Wpycham się przed jakiegoś palanta na sąsiednim pasie.

— Kto tam jest, Ry? *Proszę, powiedz mi, kochanie* — błagam i jestem tak przerażony, jak w młodości, gdy czułem żółć w ustach. Przerażony do szpiku kości. Nie umiem się zdecydować, żeby zadzwonić na 911, bo to oznaczałoby konieczność rozłączenia się z nią. A wtedy już bym jej nie słyszał i nie wiedziałbym, czy wszystko z nią w porządku.

— Ty pierdolona suko! — słyszę w głośniku. Rylee krzyczy z bólu, po czym połączenie się przerywa.

— Nie! — krzyczę i uderzam dłonią w kierownicę. Mimo rozmytego wzroku próbuję wpisać na telefonie 911, ale palce tak mi drżą, że udaje mi się dopiero za trzecim razem.

— Co się stało? — odbiera bezosobowy kobiecy głos.

— Proszę, pomóżcie im. Oni krzyczą i... oni krzyczą! — błagam.

— Kto krzyczy, proszę pana?

— Rylee i Zand... — Nie potrafię jasno myśleć. Lód płynie w moich żyłach, a w głowie mam tylko to, że muszę jakoś do nich dotrzeć, przez co nie zdaję sobie sprawy z tego, że gadam od rzeczy. — Proszę, ktoś tam jest i...

— Proszę pana, jak pan ma na imię? Jaki to adres?

— Co-Colton — jąkam się, bo uświadamiam sobie, że nawet nie znam pieprzonego numeru domu. Tylko ulicę. — Switzerland Avenue.

Kurwa. Kurwa. Trzymaj się, mała. Trzymaj się. Jadę. Mówię to bez przerwy swojemu drżącemu ciału.

— Jaki to adres, proszę pana?

— Nie mam zielonego pojęcia! — krzyczę do operatorki. — Dom z tymi wszystkimi pieprzonymi reporterami przed wejściem. W środku została tylko ona i mały chłopczyk. *Proszę! Szybko!*

Gdy podnoszę wzrok znad telefonu po zakończeniu rozmowy, muszę przycisnąć hamulec do dechy, bo inaczej uderzyłbym w ogrodzenie.

— Kurwa! — wrzeszczę, przyciskając klakson, jakby był moim kołem ratunkowym.

Rylee.

Tylko o niej myślę.

Rylee.

Boże, proszę, nie.



## Rozdział 27.

— Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man. Spider-Man. Batman... — Zander powtarza w kółko, siedząc za mną w kącie podwórka. Tylko to przebija się przez szum w mojej głowie po otrzymanym ciosie. Zander zakrywa dłońmi uszy i kiwa się, zamykając się w sobie. Ucieka przed światem, w którym źli mężczyźni grożą bronią, a ojcowie zabijają nożem swoje żony.

Problem polega na tym, że w jego świecie jest taki mężczyzna.

Rejestruję to wszystko w ułamku sekundy po otrzymaniu ciosu, gdy moje ciało zostaje odrzucone w tył i skręca się od siły uderzenia, a mój chłopiec kuli się w sobie. Czas staje w miejscu, po czym rusza w zwolnionym tempie. Ból policzka i oka w żaden sposób nie tłumi strachu, jaki odczuwam, kiedy podnoszę wzrok, żeby spojrzeć w oczy mężczyźnie, który snuł się za mną od kilku tygodni. Spadła mu czapka i okulary przeciwsłoneczne i teraz dopiero zaczynam rozumieć.

Znam tego mężczyznę.

Widziałam go wcześniej.

To facet, który na parkingu Target spowodował, że przeszły mnie ciarki. To facet z ciemnoniebieskiego sedana, którego widziałam przed Domem chłopców i moim domem. Gdy jest bez czapki i okularów, widzę w nim Zandera. Wiem, czemu wtedy na parkingu wydawał mi się znajomy. Ma takie same oczy, te same rysy twarzy. Jego włosy są nieco dłuższe i ciemniejsze, ale podobieństwo jest uderzające.

Patrzę na matowo czarny metal wymierzonego we mnie pistoletu, po czym wracam do jego oczu, ciemnych i pozbawionych emocji, które zerkają to na mnie, to na Zandera nucącego z tyłu swoją mantrę z superbohaterami.

— Co ty mu zrobiłaś? — krzyczy na mnie, wskazując pistoletem Zandera, po czym z powrotem wymierza broń we mnie. — Czemu on to robi? Odpowiedz mi!

Spokojnie, Rylee. Tylko spokojnie.

— On... on jest przerażony.

*To ty mu to zrobiłaś! Ty mu to zrobiłaś, ty beznadziejna mordująca kupo gówna!*

Chciałabym mu to wszystko wykrzyczeć, hamuję się jednak, próbując ukryć strach i uniknąć jękania. Próbuję się skupić na łomotaniu serca i liczyć uderzenia w uszach, żeby się uspokoić. Czuję strumyki potu spływające między łopatkami i piersiami. Czuję zapach strachu, a mój żołądek przewraca się na myśl, że to mój zapach. Połączony z jego zapachem.

I tej myśli się trzymam.

Że on też jest przerażony.

*Myśl, Ry. Myśl.* Nie mogę go denerwować i muszę chronić Zandera. Nie mam pojęcia, jak to pogodzić. Nieokiełznany strach miesza mi w głowie i utrudnia mi logiczne myślenie. Nad tym, co powinnam zrobić, bo wiem, że ten człowiek już raz kogoś zabił. Zabił matkę swojego dziecka i swoją żonę.

Co go powstrzyma przed zabiciem mnie?

*Nie ma nic do stracenia.*

To przeraża mnie bardziej niż cokolwiek innego.

Z trudem przełykam ślinę i rozglądam się szybko po całym dziedzińcu. Na ziemi przy wejściu leży jego aparat i fałszywa przepustka dziennikarska. Na brzegu trawnika dostrzegam swój telefon, który wypadł mi, gdy dostałam cios. Natychmiast myślę o Coltonie.

Chwytam się myśli, że mnie usłyszał, że wie, iż mam kłopoty, że zadzwoni po pomoc. Bo

jeśli nie, to nie mam szans ochronić Zandera przed tym szaleńcem. Ani siebie.

Łzy mnie pieką, a opuchlizna pod okiem w miejscu, w które mnie trafił, boli jak cholera. Ze strachu trzęsą mi się ręce i rwie się oddech, a coraz głośniejsza mantra Zandera zwiększa poziom stresu w całej tej sytuacji.

Jedyne, na czym potrafię się skupić, to zawrodozenie tego małego chłopca, który stracił wszelką nadzieję. Z każdą chwilą jego szeptane słowa przybierają na sile, jakby próbował zagłuszyć głos swojego ojca.

— Cze... czego pan chce? — pytam w końcu, wyczuwając, że dawno stracił kontakt z rzeczywistością. A ja nie wiem, jak się dogadać z szaleńcem.

Robi krok w moją stronę, taksując spojrzeniem moje ciało. Chociaż wszystkie moje nerwy były już pobudzone, jego martwy wzrok prześlizgujący się po moim ciele skłania je do ponownego uderzenia na alarm. Sygnały ostrzegawcze wibrują boleśnie w moim żołądku i są tak intensywne, że muszę walczyć z odruchem wymiotnym.

Podnosi broń. Zamieram, gdy przejeżdża lufą w górę i w dół mojego policzka. Zimna stal, nieubłagana rzeczywistość metalu na ciele oraz to, co to oznacza, zamrażają mi krew w żyłach.

— Całkiem ładna z ciebie sztuka, *Rylee*. — Prawie wymiotuję, gdy wypowiada moje imię w taki sposób, jakby pieprzył je swoim językiem. Ścisną dłońmi moje policzki i zbliża się do mnie na odległość kilku centymetrów. Łzy płyną mi po twarzy. Chcę być twarda. Chcę mu powiedzieć, żeby się odwalił. Chcę krzyknąć do Zandera, żeby uciekał i sprowadził jakąś pomoc. Chcę błagać o pomoc Boga, *kogokolwiek*. Chcę powiedzieć Coltonowi, że go kocham. Ale żadna z tych rzeczy nie jest teraz możliwa. Drżą mi kolana, a zęby próbują szczękać w jego żelaznym uścisku. Ma w garści wszystko, czym jestem: moją przyszłość, moje możliwości, mój kolejny oddech.

Zbliża się jeszcze bardziej i wbija mi palce mocniej w policzki. Czuję na ustach jego oddech i z moich ust wydobywa się jęk strachu.

— Pytanie brzmi, *Rylee*... jak daleko się posuniesz, żeby ochronić jednego ze *swoich* chłopców?

— *Pierdol się* — rozsypane słowa wypadają z moich ust, zanim zdążę je powstrzymać, bo wściekłość usuwa filtr między głową i językiem. Ułamek sekundy później czuję cios w brzuch, po którym zataczam się w tył. Łąduję z hukiem na betonowym tarasie, uderzając ramionami i głową w drewniany płotek.

Pozerający mnie strach zostaje przyćmiony przez ból po ciosie. Upadłam niedaleko Zandera, więc przeczolguję się jak najszybciej do niego i przytulam go, starając się go ochronić najlepiej jak mogę. Wiem, że jego ojciec stoi za mną, bo czuję wymierzoną we mnie broń, ale kołyszę Zandera.

— Nie bój się, Zand. On cię nie skrzywdzi. Nie pozwolę, żeby cię skrzywdził — mówię przyciszonym głosem, ale Zander nie przestaje się kołysać i wciąż powtarza swoją mantrę. Jestem tak przerażona, że zaczynam ją powtarzać razem z nim i siedzimy tak na dziedzińcu, który zbudowano na nadziei, lecz który przypuszczalnie za chwilę zostanie splamiony przemocą.

— Przyszedłem zabrać mojego syna. — Jego głos już wcześniej był zimny, ale teraz jest idealnym odzwierciedleniem stali jego pistoletu.

— Nie — odpowiadam. Drżenie głosu zdradza, że jestem mniej pewna, niż mi się wydaje.

— Czy ty, do cholery, nie wiesz, kim jestem? — ryczy, stukając mnie lufą w plecy. Jej twarde koniec wbija się głęboko między łopatki. — Czas, żebyś odsunęła się od mojego syna.

Zaciskam pięści, żeby powstrzymać drżenie rąk, bo nie chcę, żeby Zander widział, jak bardzo jestem przerażona. Ojciec też lepiej, żeby tego nie wiedział. Ciałem Zandera zaczyna

targać szloch, a ja jeszcze bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że nie mogę pozwolić ojcu się do niego dostać, mimo iż zalewa mnie zimny pot i czuję strach w sercu. Muszę ochronić Zandera za wszelką cenę, bo nikt inny tego wcześniej nie zrobił.

Lufa wbija mi się głębiej w żebra. Przełykam ukłucie bólu, chociaż łzy spływają mi po policzkach. Zaczynam szarpać zębami dolną wargę, bo za chwilę będę musiała wstać. A potem odwrócić się i pokazać mu, że się go nie boję. Muszę odegrać przed nim rolę życia, jeśli chcę ocalić tego małego chłopca.

— Już! — ponagla mnie ojciec. Wzdrygam się, gdy jego ostry głos przebija się przez monotonną mantrę Zandera.

Nachylam się do ucha chłopca i próbuję zatrzymać jego kiwanie. Mam nadzieję, że moje słowa do niego dotrą. Że przebiją się do świata, w którym się schronił przed strachem i wspomnieniami związanymi z ojcem.

— Zander, posłuchaj mnie — mówię. — Nie pozwolę mu cię zabrać. Obiecuję. Superbohaterowie przyjdą. Pojawią się, rozumiesz? Teraz wstanę, a gdy powiem „Batman”, chcę, żebyś pobiegł ile sił w nogach do domu, dobrze? Zapamiętaj: *Batman*.

W chwili, gdy kończę mówić, facet odrywa lufę od moich pleców i kopie mnie w lewy bok. Krzyczę z bólu i przytulam mocniej Zandera, a siła ciosu popycha nas na drewniane ogrodzenie, przy którym siedzimy.

— Wstawaj, *Rylee*.

— Pamiętaj: *Batman* — powtarzam i zaciskam zęby, próbując oddychać mimo bólu. Zmuszam się do wstania na drżących nogach. Biorę głęboki wdech i odwracam się twarzą do ojca Zandera.

— Twarda z ciebie sztuka! — Uśmiecha się ironicznie. — *Lubię*, gdy moje kobiety są twarde.

Przełykam kulę w gardle i zmuszam się do tego, by mój głos zabrzmiał równo.

— Nie pozwolę ci go zabrać.

Wybucha głośnym śmiechem, odchylając głowę do tyłu, po czym z powrotem spogląda na mnie. Zastanawiam się, czy właśnie nie przegapiłam jedynej szansy na to, by kazać Zanderowi biec. Serce mi staje w miejscu na tę myśl.

— Cóż, nie sądzę, żebyś była na pozycji umożliwiającej mówienie mi, *co mogę i czego nie mogę* robić. Prawda?

Rozpaczliwie szukam w głowie jakiejś odpowiedzi. Muszę jakoś okiełznać nerwy, które zaczynają brać nad nim górę. Jednocześnie jednak potrzebuję czasu. Im dłużej to przeciągnę, tym większa szansa, że nadejdzie pomoc.

— Przed domem stoi mnóstwo reporterów. Jak zamierzasz z nim wyjść?

Znowu wybucha śmiechem, a ja wiem, że ten odgłos będzie mnie prześladował do końca życia.

— I tu się mylisz. Wszyscy pojechali za twoim wspaniałym chłopakiem. — Nachyla się bliżej i przystawia broń do mojej twarzy. — Zostaliśmy tylko ja, ty i Zand. I co na to powiesz, hę?

Przysięgam, że cała krew spłynęła mi do stóp, bo kręci mi się w głowie i nie potrafię się skupić na utrzymaniu pozycji stojącej. Po chwili udaje mi się odzyskać równowagę i zobaczyć coś przez ciemność przed oczami. Muszę wymyślić, co zrobić.

Jedynie, co przychodzi mi do głowy, to rozproszyć go jakoś, rzucić się na broń i krzyknąć Zanderowi, żeby uciekał.

Ale jak?

Kiedy?

Wydaje mi się, że całą wieczność stoimy w tym milczącym, wymuszonym układzie i nie ma wątpliwości, kto dzierży całą władzę. Czas się rozciąga, a jego dłoń zaczyna drzeć, mięśnie jego twarzy drgają i cały lśni od potu. Niestabilność sytuacji potęguje narastająca mantra Zandera w tle.

— Każ mu się zamknąć, do cholery! — krzyczy na mnie i rozgląda się nerwowo po całym podwórku niczym uwięzione zwierzę, które nie ma jak się ruszyć.

Truchleję, gdy słyszę hałas za plecami ojca. Serce podchodzi mi do gardła, bo pies sąsiadów zaczyna wściekle ujadać za ogrodzeniem. Ojciec Zandera odwraca się razem z bronią w stronę hałasu. Działam pod wpływem instynktu, nie myśląc o możliwych konsekwencjach.

— BATMAN! — krzyczę, rzucając się na niego. Zderzam się z nim, a siła uderzenia mojego szczupłego ciała o jego ciało wytrąca mi z głowy wszystkie myśli poza nadzieją, że Zander mnie usłyszał. Że dotarłam do niego i biegnie, żeby się uratować, bo jeśli mi się nie uda, to właśnie przypieczętowałam swój los.

Ogłuszający huk.

Uwalniający się z lufy pocisk.

Wstrząs jego ciała od siły odrzutu.

Mój krzyk, pierwotny wrzask, który słyszę, ale nie rozpoznaję jako własny. Potem wszystko cichnie. Tracę oddech, gdy uderzamy o ziemię. Łąduję na nim i przez sekundę jestem kompletnie ogłuszona, po czym próbuję od niego uciec. Muszę zdobyć broń i upewnić się, że Zander uciekł.

Z trudem odpycham się od tego podłego mężczyzny. W głowie słyszę tylko: *bierz broń, bierz broń, bierz broń*, ale ślizgam się na czymś dłonią. Odskakuję w tył i czuję, jak promieniuje we mnie ból pomieszany z paniką. Łąduję z hukiem na pośladkach, a wstrząs przechodzi wzdłuż kręgosłupa i wytrąca mój umysł z szoku, w którym tkwił.

Przestaję się skupiać na mężczyźnie i patrzę na krew na trzęsących się dłoniach. Zauważam krew na koszulce z nadrukowaną maskotką drużyny Ricky'ego. Gorączkowo przeszukuję wszystkie zakamarki umysłu, by znaleźć jakieś rozwiązanie, bo widok takiej ilości krwi przyprawia mnie o zawroty głowy.

Jestem zagubiona.

I przerażona.

Kręci mi się w głowie.

Mój świat spowija się w czerń.

## Rozdział 28.

— Kochanie, ocknij się, proszę.

*Colton?* Kręci mi się w głowie, ale słyszę jego głos i czuję w pobliżu jego zapach. Próbuję rozszyfrować, co się właściwie dzieje. Powieki wydają się tak ciężkie, że nie jestem w stanie ich na razie otworzyć.

— Przepraszam, musi mi pan pozwolić zbadać...

— Nigdzie się stąd nie ruszam!

W tych ciemnościach jest tak ciepło, miło i bezpiecznie, ale skąd się wziął tutaj *Colton*... Wtedy wszystko mi się przypomina i uderza falą przytłaczających emocji. Próbuję wstać.

— Zander! — ledwo skrzeczę jego imię, mocując się z ramionami, dłońmi i wszystkim innym, co nie pozwala mi wstać.

— Ciiiiiii! Wszystko w porządku, Ry. Wszystko w porządku.

*Colton.*

Natychmiast z ulgą opadam na ziemię. *Colton* tu jest. Otwieram oczy, które już toną we łzach, i to jego pierwszego widzę. Mój as. Promień światła w całym tym mroku. Spogląda mi w oczy głęboko zatroskanym wzrokiem i wymuszonym uśmiechem przyklejonym do tych zniewalających ust.

— Nic ci nie jest, kochanie.

Mrugam nerwowo, bo zauważam całą resztę, całą tę gorączkową bieganinę na podwórku, wszystkich policjantów i lekarzy.

— Zander. Pistolet. Ojciec. — Mój umysł wyławia pojedyncze słowa, bo nie nadążam z wypowiedzeniem swoich myśli. Rozglądam się nerwowo i skupiam się na grupce mężczyzn pochylonych nad czymś niedaleko mnie.

Powtarzam te słowa, aż w końcu *Colton* nachyla się i całuje mnie w usta. Czuję słony smak i próbuję się domyślić, dlaczego miałby płakać. Gdy się ode mnie odrywa, jego uśmiech jest nieco mniej niepewny.

— Moja dziewczyna — mówi łagodnie, głaszcząc mnie po włosach, policzkach i twarzy.

— Nic ci nie jest, Ry. Zanderowi też nic nie jest. — Opiera czoło na moim czole.

— Ale krew...

— Nie twoja — przerywa mi, a jego usta unoszą się w uśmiechu ulgi. — Nie twoja — powtarza. — Zachowałeś się niesłuchanie głupio i jestem za to zły na ciebie, ale gdy rzuciłaś się na broń, policjanci oddali strzał. Jego krew, kochanie. To jego krew. Nie żyje.

Wstrzymuję oddech. Czuję, jak kamień spada mi z serca, i uświadamiam sobie, jak bardzo potrzebowałam tej ulgi. Wraz z nią nadchodzą łzy. Ostry, targający ciałem i oczyszczający ze wszystkiego szloch. *Colton* pomaga mi usiąść i przyciąga mnie do siebie, na swoje kolana. Przytula mnie mocno, udzielając wsparcia i zapewniając bezpieczeństwo. Chowa głowę w mojej szyi i całkowicie do siebie przywieramy.

— Zanderowi nic się nie stało. Jest w środku. Jax został z chłopcami, żeby nie musieli oglądać i doświadczać tego, co się stało. Zadzwonił po Avery, żeby przyjechała do Zandera. Jedzie też do nas terapeutka, która pomoże mu, jeśli będzie tego potrzebował — tłumaczy, znając moje obawy i rozpraszając je kolejno każdym wypowiedzianym słowem. — A ty... gdzie cię boli?

— Proszę pana, czy możemy...

— Jeszcze nie! — *Colton* odszczekuje głosowi za moimi plecami. — Jeszcze nie — mówi tak cicho, że ledwo go słyszę, po czym przytula mnie jeszcze mocniej, upajając się moim zapachem. Jestem teraz w pełni świadoma, rejestruję aktywność wokół ciała ojca Zandera.

Wydawało mi się, że rozumiem podejmowane ryzyko, ale nagle czuję spazmy, targające ciałem Coltona, który próbuje opanować cichy szloch.

Już po mnie. Nie wiem, co zrobić, gdy ten silny mężczyzna rozpada się w milczeniu na kawałki. Zaczynam się ruszać, żeby się do niego odwrócić, ale on ściska mnie jeszcze mocniej.

— *Proszę* — błaga mrukliwym głosem. — Nie chcę cię jeszcze wypuszczać. Jeszcze tylko minutkę.

Więc pozwalam się trzymać.

Pozwalam się przytulać na tym trawniku, na którym przemoc próbowała pozbawić Zandera nadziei po raz ostatni.

\*\*\*

Colton zamyka za mną drzwi range rovera i zajmuje miejsce kierowcy. Przejeżdża przez blokadę policji i błyskające flesze reporterów czekających pod Domem. Za nami trzy bardzo długie godziny. Trzy godziny przesłuchań i mówienia o wszystkim, co zapamiętałam z wydarzeń za domem. Pamiętam, że opowiadałam, jak kazałam Zanderowi biec na hasło „Batman”. I że Colton patrzył na mnie dziwnie, gdy odmówiłam pomocy medycznej i badania w szpitalu. Przypomina mi się jego rosnąca wściekłość, kiedy powtarzałam wypowiedzi ojca Zandera i opowiadałam o jego atakach. Podpisywanie zeznań i fotografowanie moich siniaków. Odebrałam też telefony od Haddie i moich rodziców, których zapewniłam, że nic mi nie jest i że później im wszystko wytłumaczę.

Trzy godziny czułam się bezradna, bo nie mogłam pocieszyć chłopców i powiedzieć im, że nic mi nie jest. Terapeuta uznał, że najlepiej będzie, jeśli nie zobaczą mojego podbitego oka i napuchniętego policzka, bo to może odgrzebać ich trudne historie. Trudno mi było się pogodzić z tym, że nie mogę im pokazać, że wszystko ze mną w porządku. Pocałowałam Zandera i tuliłam go tak długo, jak mogłam, chwając go w kółko za to, że był taki dzielny. Tym razem pomógł kogoś ocalić. Wiem, że nie jestem jego matką, ale chciałam zmniejszyć jego poczucie winy i złagodzić poczucie bezradności.

Wjeżdżamy na autostradę. W samochodzie jest cicho, nie licząc głosu Roba Thomasa, który jak na ironię śpiewa *Unwell*. Colton nie mówi ani słowa, chociaż ściska kierownicę tak mocno, że bieleją mu kostki. Wyczuwam emanującą z niego falami wściekłość, ale jedyny powód, jaki przychodzi mi do głowy, to to, że ryzykowałam swoje życie.

Zatapiam się w fotelu i zamykam oczy, ale muszę je natychmiast otworzyć, bo od razu widzę *jego* oczy, czuję zimną stal na policzku i słyszę mantrę Zandera w tle.

Chcę jakoś złagodzić napięcie między mną i Coltonem, bo naprawdę go teraz potrzebuję. Na nic mi się nie przyda, jeśli zamknie się w krainie wkurzonego Coltona. Wolałabym, żeby mnie objął. Chciałabym poczuć ciepło jego oddechu na karku. Chciałabym poczuć bezpieczeństwo, które zawsze czuję w jego obecności.

— Robił to, co mu powiedziałaś — mówię tak cicho, że nie wiem, czy w ogóle mnie słyszy. Wyjawiam jedyną rzecz, którą zataiłam przed policją. Czułam, że zdradzając to, zawiódłabym zaufanie, jakim mnie obdarzył. Po kilku minutach słyszę jego głośne westchnienie i widzę, że na mnie zerknął. Dodaję więc: — Gdy wyszłam na zewnątrz, Zander był skulony i przez cały czas, gdy tam byliśmy, wzywał twoich superbohaterów.

Wydaję z siebie bezwiedny krzyk, bo Colton przy akompaniamencie klaksonów gwałtownie przecina dwa pasy i z piskiem opon hamuje na poboczu. Zanim zdążę odzyskać oddech lub odpiąć pas, wypada z samochodu i przechodzi przodem w stronę barierek. Patrzę na niego i próbuję się domyślić, o co, do cholery, mu chodzi. Samochód się zepsuł? Obserwuję, jak przechodzi obok moich drzwi do tyłu, a potem wraca. Mija przód, lecz idzie dalej. Zatrzymuje się

po około trzech metrach i widzę, jak zwrócony plecami do mnie wrzeszczy na całe gardło. Nigdy nie słyszałam u niego tak dzikiej wściekłości.

Myślałam wcześniej o tym, żeby wysiąść, ale w takich okolicznościach na pewno tego nie zrobię. Widzę napięcie w jego barkach, które unoszą się i opadają w rytm ciężkiego oddechu. Zaciska dłonie w pięści, jakby szykował się do walki. On kontra świat.

Nie mogę oderwać od niego wzroku i próbuję rozszyfrować, co się dzieje w jego głowie. Po jakimś czasie odwraca się, idzie w stronę moich drzwi i otwiera je na oścież. Spoglądam na niego i widzę zaciśnięte zęby i napięty kark. W końcu patrzę mu w oczy. Próbuję odczytać to, co mi przekazują, ale jest to tak sprzeczne z jego mową ciała, że dochodzę do wniosku, iż muszę się mylić. Widzę pulsujący mięsień jego szczęki, gdy wyciąga dłoń w stronę mojego policzka, po czym ją cofa. Przechylam pytająco głowę, a moja dolna warga zaczyna drżeć, bo jestem już przeładowana tym wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło. Zerka na moje usta, dostrzega moją rozsypkę i sekundę później zostaje przyciśnięta do jego piersi. Jedną rękę trzyma na moich plecach, a drugą z tyłu mojej głowy i przytula mnie do siebie z absolutną desperacją.

Stoimy w tym zespoleniu i moje łzy kapią na jego koszulkę.

— Nigdy w życiu nie czułem się tak bezradny — wyznaje pełnym emocji głosem i przytula mnie jeszcze mocniej. — Jestem teraz strasznie wściekły i nie wiem, jak sobie z tym poradzić. — Słyszę w jego głosie czającą się tuż pod powierzchnią furję.

— Już po wszystkim, Colton. Nic nam się nie stało...

— Miał cię w swoich pieprzonych rękach! — krzyczy, odpychając się ode mnie i przechodząc kilka kroków. Potem odwraca się i przeczesuje dłonią włosy. Patrzy na mnie błagającym o wybaczenie wzrokiem, chociaż nie ma o co błagać, bo nie zrobił niczego złego. — Miał cię w swoich pieprzonych rękach, a mnie przy tobie nie było! Nie ochroniłem cię, chociaż to właśnie powinienem robić, Rylee! Chronić cię! Opiekować się tobą! A ja nie mogłem! Kurwa, nie mogłem! — Spuszcza wzrok na żwir na poboczu drogi. Ból w jego głosie mnie dobija, rozrywa mnie na kawałki, bo przecież zrobił wszystko, co mógł zrobić, ale wiem, że nie ma sensu mu tego mówić.

Gdy podnosi wzrok, w jego oczach lśnią łzy.

— Szamotałem się z policjantem pilnującym blokady. Wsadzili mnie na tył samochodu, żebym się uspokoił, bo próbowałem dostać się do domu, nie czekając na nich. Słyszałem cię przez telefon, Rylee, potem te słowa rozbrzmiewały mi w głowie na okrągło, a ja nie mogłem się do ciebie dostać. — Potrząsa głową, a po jego policzku spływa samotna łza. — Nie mogłem się do ciebie dostać. — Głos mu się załamuje.

Przesuwam się, żeby wysiąść, ale on zatrzymuje mnie dłonią, żebym pozwoliła mu dokończyć.

— Broń wypaliła — mówi i widzę, że z całych sił walczy z naporem przytłaczających go emocji — i myślałem... myślałem, że to ty. Te kilka minut po tym, jak Zander wybiegł przed dom z krzykiem, a ja czekałem na ciebie, lecz ty nie wychodziłaś... Ja pierdolę, Ry, posypałem się. Kompletnie się posypałem.

Podchodzi o krok bliżej, ocierając łzę wierzchem dłoni. Przetykam emocje wzbierające mi w gardle.

— Upewniłem się, że z Zanderem jest wszystko w porządku, i ruszyłem do środka. Musiałem się do ciebie dostać, zobaczyć cię, dotknąć... ale gdy wszedłem do salonu, zobaczyłem was na trawie. Leżeliście na plecach i oboje mieliście krew na piersiach. I żadne z was się nie ruszało.

Wchodzi między moje nogi, tworząc więź fizyczną, której tak desperacko pragnę, i ujmuję moją twarz w dłoń.

— Myślałem, że cię straciłem. Byłem przerażony jak nigdy wcześniej, Ry. Podbiegłem do ciebie, padłem na kolana, żeby cię przytulić, pomóc czy... Nie wiem, co ja do cholery zamierzałem z tobą zrobić, ale musiałem cię dotknąć. *I okazało się, że żyjesz* — mówi łamiącym się głosem i opiera czoło o moje. — Okazało się, że żyjesz — powtarza, przyciskając usta do moich, i zastygamy w tym pocałunku. Jego ramiona drgają, a po policzkach płyną łzy, których słony smak czuję między naszymi złączonymi wargami.

— Jestem przy tobie, Colton. Nic mi nie jest — zapewniam go. Opieram czoło o jego czoło i kładę dłonie na jego karku, a on kładzie swoje na moim karku. Zewnętrzny świat przemyka obok z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, lecz teraz jesteśmy tylko Colton i ja.

Czujemy się, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na tej planecie.

Akceptujemy to, że wraz z upływem czasu łączą nas coraz większe emocje.

Próbujemy sobie poradzić ze świadomością, że nie zawsze będziemy w stanie się nawzajem ocalić.

Kochamy się tak, jak nie sądziliśmy, że w ogóle można kochać.

\*\*\*

Skręcamy na Broadbeach Road. Trzymamy się za ręce, zbliżając się do największego zbiegowiska reporterów, jakie widziałam w życiu. Colton wzdycha głośno. Nasze emocje zostały poddane poważnej próbie i zastanawiam się, ile jeszcze Colton jest w stanie wytrzymać, zanim pęknie.

Modłę się, żeby ten chaotyczny tłum nie okazał się kroplą, która przeleje czarę, bo szczerze powiedziawszy, ja też już mam dosyć.

Pochylam głowę i podnoszę dłoń, żeby zasłonić spuchniętą część twarzy przed falą błysków, mimo uderzeń w maskę mających nas skłonić do podniesienia głów. Powoli jedziemy do przodu i przejeżdżamy przez otwartą bramę, przy której Sammy z dwoma ochroniarzami pilnuje, żeby reporterzy nie dostali się do środka. Parkujemy, a gdy Colton otwiera mi drzwi, uderza mnie niesamowity huk medialnego zgiełku.

Pomaga mi wysiąść. Krzywię się z bólu, bo moje ciało zaczęło się usztywniać po tym wszystkim, co przeszło. Colton zauważa mój grymas i zanim zdążę się sprzeciwić, bierze mnie na ręce i niesie w stronę drzwi wejściowych. Chowam głowę w jego szyi i czuję jej wibrację, gdy wypowiada imię Sammy'ego, a potem kiwa głową w jego stronę.

Nagle jednak staje w miejscu. Nie wiem, co usłyszał lub co go sprowokowało, ale zawraca i rusza w stronę bramy na końcu podjazdu.

— Otwórz tę pierdoloną bramę, Sammy! — wyszczekuje, a ja automatycznie wtulam się bardziej w Coltona, bo zalewa mnie zagubienie i niepewność.

Słyszę szcęk metalu, szum otwieranej bramy i rosnący zgiełk reporterów, którzy to widzą. Gdy dostrzegają Coltona ze mną na rękach, wpadają w istny szal. Serce kołacze mi jak oszalałe, bo nie mam pojęcia, co on, do diabła, zamierza. Trzyma mnie na rękach, a ja chowam głowę w jego szyi i stoimy tak przez chwilę pod ostrzałem nachalnych pytań i tak osłepiających błysków fleszy, że widzę je przez zamknięte oczy.

Colton przechyla głowę i zbliża usta do mojego ucha. Mimo tego całego zewnętrznego hałasu wyraźnie słyszę jego słowa.

— Muszę zrobić coś, co powinienem był zrobić od razu, gdy to wszystko się zaczęło. Przepraszam — mówi i całuje mnie w policzek. — Postawię cię teraz na ziemi, dobrze?

Zastanawiam się, o co mu chodzi, ale potakuję. *Co on zamierza?*

Stawia mnie na ziemi.



— W porządku? — pyta, patrząc mi w oczy tak, jakbyśmy byli tu sami. Potakuję, a on posyła mi swój szelmowski uśmiezek i ku mojemu absolutnemu zaskoczeniu wpija się w moje usta w poruszającym duszę i serce intymnym pocałunku, który nie pozostawia żadnych złudzeń co do tego, do kogo należy jego serce. Zawłaszcza mnie ustami i spija mnie jak człowiek umierający z pragnienia. Zatracam się w nim całkowicie, bo pragnę go równie mocno i przestaję słyszeć otaczających nas ludzi i cykające szaleńczo migawki aparatów, bo niezależnie od zewnętrznego świata wszystko ostatecznie sprowadza się do nas.

W końcu odrywa się ode mnie z westchnieniem i znowu rzuca mi ten swój uśmiezek.

— Jeśli mają się gapić, Ryles... — mówi, wzruszając ramionami, a ja w myślach dokańczam słowa, które powiedział mi w Vegas: *to możemy im dać porządne przedstawienie.*

— Zrobiliście sobie porządne zdjęcia? — wykrzykuje do otaczającego nas tłumu, a ja patrzę na niego zagubiona. — To teraz powiem wam, jak możecie je podpisać. Rylee nie jest żadną rozbijaczką rodzin. To Tawny nią jest. Która dodatkowo jest pieprzonym kłamcą. — Spogląda na mnie, a ja stoję z otwartymi ze zdziwienia ustami. — Tak — wykrzykuje. — Wyniki badań na ojcostwo są negatywne. Więc wasza sensacja przestała być sensacją!

Dopiero po chwili dociera do mnie znaczenie jego słów. Patrzy na mnie z najszerszym uśmiechem świata i potrząsa głową, po czym przyciąga mnie do siebie i mocno przytula.

— Jak... dlaczego... co? — wyjąkuję, bo przetacza się przeze mnie istny huragan emocji, z których najsilniejszą jest ulga.

— Chase mnie za to zabije — mruczy do siebie z uśmiechem na twarzy, którego do końca nie rozumiem. Ale nim zdążę go o to zapytać, odwraca się razem ze mną i wracamy do środka w zgiewku wykrzykiwanych pytań o to, co stało się dzisiaj w Domu. Ignoruje je i czeka, aż brama się zamknie. Potem odwraca się do mnie.

— Z tym właśnie do ciebie dzwoniłem... gdy stało się to wszystko.

Przyglądam mu się w milczeniu. Widzę, że z jego oczu zniknęło wcześniejsze przygnębienie. Przypuszczalnie zniknęło już wcześniej, ale trzeba przyznać, że mieliśmy dziś dość sporo na głowie. Potakuję tylko, bo nie potrafię nic wykrztusić, a on bierze moją rękę i podnosi do swoich ust.

Wtedy z niespotykaną wcześniej intensywnością uderza mnie to uczucie.

*Uda nam się.* Wszystkie dzielące nas przeszkody zostały w ten lub inny sposób usunięte. Została tylko bezinteresowna dziewczyna i dochodzący do siebie chłopiec, którym naprawdę może się ułożyć.

W moich oczach wzbierają łzy. Wtulam się w jego ramiona i nie chcę ich opuścić, bo właśnie tutaj pragnę być.

Tutaj przynależę.

To jest mój dom.

## Rozdział 29.

— Na pewno wszystko w porządku?

Pyta mnie o to chyba już setny raz, ale jakaś część mnie uśmiecha się skrycie i cieszy, że tak się o mnie troszczy. Ten dzień niemiłosiernie się wydłuża. Najpierw zapewniałam Haddie, że czuję się dobrze, że nie musi urywać się z pracy w San Francisco, żeby przekonać się na własne oczy, i że zadzwonię do niej rano. Potem rozmowa z rodzicami i znowu te same zapewnienia, a potem chłopcy... Sprawdziłam, co u Zandera, żałując, że nie mogę z nim porozmawiać twarzą w twarz, podobnie jak z pozostałymi chłopcami. Potem Colton odciął mnie od świata, tłumacząc wszystkim dzwoniącym, w tym jego rodzicom, Quinlan, Beckettowi i Teddy'emu, że muszę teraz odpocząć i zadzwonię do nich jutro.

— Nic mi nie jest. Nie czuję się zbyt dobrze, ale to chyba z powodu wyczerpania. Przewraca mi się w żołądku. Powinnam zjeść coś, zanim wzięłam środki przeciwbólowe. A po nich czuję się strasznie śpiąca...

Colton siada na łóżku.

— Chcesz, żebym przyniósł ci coś do jedzenia?

— Nie — odpowiadam i ciągnę go za ramię, żeby położył się na plecach, a potem patrzę na niego i pytam: — *Przytulisz mnie?*

Natychmiast przesuwa się trochę, ostrożnie otacza mnie ramionami i przyciąga tak, że nasze ciała ściśle do siebie przylegają.

— Tak dobrze? — mruczy w czubek mojej głowy.

— Uhm — potwierdzam, przytulając się tak mocno, jak tylko pozwala mi na to obolałe ciało, bo w jego ciasnym uścisku ból jest nieco łatwiejszy do zniesienia.

Leżymy tak przez chwilę, nasze oddechy powoli się wyrównują. Jestem na krawędzi snu, gdy Colton szepcze:

— Wyściguję cię, Ry. Naprawdę szczerze cię wyściguję.

Każda komórka mojego ciała wzdycha na te słowa, bo wiem, jak trudne jest dla niego takie wyznanie. Całuję go w moje ulubione miejsce tuż pod krawędzią jego szczęki.

— Ja też cię wyściguję, Colton.

*Bardziej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.*

\*\*\*

Budzą mnie skurcze żołądka.

Leżę w atramentowych ciemnościach bezksiężycowej nocy, a ciągle ukłucia bólu w połączeniu ze spoconą skórą i zawrotami głowy mówią mi, że powinnam szybko dostać się do łazienki, zanim zwymiotuję. Wysuwam się z rozluźnionych objęć Coltona. Staram się zrobić to szybko, ale tak, żeby go nie obudzić. Zamieram na chwilę, gdy mruczy coś pod nosem, lecz potem przewraca się na plecy i milknie.

Kręci mi się w głowie, gdy staję, a do tego jestem poważnie zamroczona środkami przeciwbólowymi. Czuję się, jakbym chodziła po wodzie. Śmieję się, bo nawet podłoga wydaje mi się jakaś mokra. To muszą być omamy mojego odurzonego mózgu. Ruszam, opierając się o ścianę, żeby zachować równowagę i nie wpaść w ciemnościach na coś, co obudziłoby Coltona.

*Mój Boże, zaraz zwymiotuję!* Czuję pod stopami gruby dywanik w łazience i prawie wydaję z siebie jęk bólu pomieszanego z ulgą, że jestem już tak blisko ubikacji. Gdy dywanik się kończy, poślizguję się lekko i przeklinam w myślach Baxtera i jego cholerną miskę z wodą, którą zawsze rozlewa po łazience. Zamykam drzwi łazienki i zapalam światło. Wybuch jasności kłuje

mnie w oczy, więc zamykam je, a zawroty głowy uderzają z pełną siłą. Nachylam się z ręką na muszli. Mój żołądek kurczy się jak przy wymiotach, ale nie czuję nic poza wirowaniem całego pomieszczenia. Raz po raz atakują mnie suche skurcze. Żołądek napina się tak mocno, że czuję wilgoć spływającą mi po nogach.

Zaczynam się śmiać z zażenowania tym, że mam tak silne skurcze, iż właśnie zsikałam się pod siebie, ale mój umysł jest tak odrętwiały i tak wolno składa ze sobą myśli, że zamiast zastanowić się, co dalej, siadam na piętach. Zsuwam się na śliską od moczu podłogę, ale tak bardzo boli mnie brzuch i kręci mi się w głowie, że w ogóle się tym nie przejmuję. Myślę tylko o tym, że muszę wyglądać teraz strasznie głupio. I że za żadne skarby nie zawołam Coltona na pomoc.

Jestem kompletnie wyczerpana i strasznie senna, a do tego boję się, że znowu zachce mi się wymiotować, więc postanawiam oprzeć głowę na dłoniach otaczających muszlę i chwilę odpocząć.

Głowa zaczyna mi się zsuwać z muszli. Nie wiem, jak długo to trwa, ale uczucie spadania sprawia, że gwałtownie się budzę. Przez moje ciało przetacza się fala gorąca, a zaraz po niej fala zimna. Zmuszam się do tego, żeby zatrzymać się na minutę i odetchnąć.

Coś jest nie tak.

Czuję to od razu, chociaż mój umysł nadal ma problemy ze składaniem myśli w spójną całość. Po prostu nie jest w stanie tego zrobić. Nic z tego nie rozumiem. Głowa mi ciąży, a ręce ważą chyba z milion kilogramów. Próbuje zawołać Coltona, bo jest mi już obojętne, że zobaczy mnie w kałuży moczu. Coś jest nie tak. Opieram się dłonią o boazerię, bo chcę wstać i otworzyć drzwi, żeby mnie usłyszał, ale moja dłoń się ześlizguje. A gdy otwieram oczy i udaje mi się skupić wzrok, dostrzegam na ścianie krwawy ślad po mojej dłoni.

*Hmm.*

Zaczynam się śmiać, bo mój umysł odpływa w majaki. Patrzę pod siebie i okazuje się, że nie siedzę we własnym moczu.

Nie.

Dlaczego podłoga jest cała we krwi?

— Colton! — wołam, ale jestem tak osłabiona, że mój głos na pewno jest zbyt cichy.

Kręci mi się w głowie, jest mi gorąco i czuję się wycieńczona. Zamykam oczy i uśmiecham się, bo widzę twarz Coltona.

Taką przystojną.

I moją.

Czuję, że sen zaczyna brać górę nad moim umysłem, ciałem i duszą. Jego letargiczne palce powoli ze mną wygrywają.

Tuż przed zapadnięciem w sen dociera do mnie, co to wszystko oznacza, *choć nie rozumiem, jak to się stało.*

Och, Colton.

*Wybacz mi.*

Ciemność wciąga mnie w swoje objęcia.

*Proszę, nie znienawidź mnie.*

Nie mam już sił opierać się jej absolutnej czerni.

*Kocham cię.*

*Spider-Man. Batm...*

## Rozdział 30.

### Colton

Budzi mnie odgłos wystrzału. Zrywam się z łóżka i z trudem łapię oddech, powtarzając sobie, że już po wszystkim. To tylko koszmarny sen. Ten pieprzony drań dostał to, na co zasługiwał, i nie żyje. Zander jest bezpieczny. Rylee też.

Ale coś jest nie tak. Coś mi nie pasuje.

„*Say something, I'm giving up on you...*”[1] — wzdrygam się z paniki, gdy słyszę te słowa dobiegające z głośników nad głową. *Kurde*. Zapomniałem wczoraj wyłączyć muzykę. To ona mnie tak przerażała? Pocieram twarz dłońmi, próbując otrząsnąć się z otumanienia po przerwaniu snu.

To musiało być to.

„*I'm sorry that I couldn't get to you...*”[2].

Sięgam na stolik nocny po pilota, żeby wyłączyć muzykę. Wtedy słyszę to znowu. Odgłos, który mnie obudził.

— Bax? — krzyczę w stronę pokoju i orientuję się, że strona łóżka Rylee jest pusta. Bax znowu jęczy. — Cholera, Bax! Naprawdę musisz teraz siku? — krzyczę do niego, stawiając stopy na podłodze, i wstaję z łóżka. Czekam przez sekundę, żeby opanować kręcenie w głowie. Na szczęście trwa to coraz krócej, bo mam już dość tego, że za każdym razem, gdy wstaję, czuję się jak osiemdziesięcioletek.

Zerkam w stronę schodów, żeby zobaczyć, czy na dole nie świeci się światło. Jeżą mi się włosy, bo wszędzie jest ciemno jak cholera. Baxter znowu jęczy.

— Spokojnie, stary. Już idę! — Przechodzę kilka kroków i czuję niewielką ulgę, bo widzę pasek światła wokół zamkniętych drzwi toalety. *Boże, Donovan, uspokój się, nic jej nie jest*. Nie mogę jej zagłaskiwać i męczyć tylko dlatego, że jestem przerażony.

Baxter znowu jęczy i uświadamiam sobie, że też jest w łazience. Co, do cholery? Ten pies najwyraźniej za często liże swoje jaja i zwariował.

— Zostaw ją, Bax! Ona nie czuje się dobrze. Ja cię wyprowadzę. — Idę do łazienki. Wiem, że Bax się nie ruszy, dopóki nie wezmę jego obroży. Klnę na niego pod nosem, żeby był posłuszny, ale on nawet nie drgnie. Jestem zmęczony i nie mam ochoty na użeranie się z tym upartym bydlęciem. Poślizguję się na podłodze, co sprawia, że wybucham. — Przestań pić tę cholerną wodę, to nie będziesz musiał wychodzić na siku w środku pieprzonej nocy! — Robię kolejny krok i znowu się ślizgam. Tym razem jestem wściekły. Już nad sobą zapanowałem, ale teraz nie umiem się uspokoić.

Baxter znowu jęczy pod drzwiami toalety. Podchodzę do nich i pukam lekko.

— Wszystko w porządku, Ry? — Cisza. *Co jest, kurwa?* — Ry? Wszystko w porządku?

Między moim ostatnim słowem a otwarciem drzwi mija ułamek sekundy, ale mnie się wydaje, jakby to była cała wieczność. Przez głowę przemyka mi tak wiele myśli, miliony, jak na początku wyścigu, ale nad moim ciałem i umysłem zapanowuje jedyne uczucie, które zawsze blokowałem i któremu nigdy się nie poddawałem.

*Strach*.

Mój umysł próbuje ogarnąć to, co widzę, ale nie jest w stanie, bo rejestruje jedynie krew. Jest wszędzie, a w samym środku tej jatki, oparta plecami o ścianę, z zamkniętymi oczami i twarzą tak bladą, jak jasny marmur ściany, leży Rylee. Próbuję przetworzyć ten widok, ale nie potrafię ogarnąć tego wszystkiego naraz.

Nagle czas rusza i zaczyna biec zdecydowanie zbyt szybko.

— Nie! — Słyszę swój krzyk. Nie czuję krwi oblepiającej moje kolana, gdy padam na nie, żeby ją podnieść. — Rylee! Rylee! — krzyczę i szarpnię ją, żeby się ocknęła, ale jej głowa zwisa bezwładnie na bok. — O Boże! O Boże! — powtarzam, sadzając ją sobie na kolanach i potrząsając nią, ale nie potrafię jej obudzić. Nagle zamieram. Zamieram w jedynej chwili w życiu, w której powinienem działać. Jak sparaliżowany podnoszę powoli dłoń i zatrzymuję się na chwilę, bo boję się, że gdy przycisnę dwa palce pod jej podbródkiem, nie poczuję pulsu.

*Boże, ona jest taka piękna* — ta myśl przebiega mi przez głowę i znika razem z moją odwagą.

Baxter trąca mnie wilgotnym nosem i wciągam powietrze w płuca, uświadamiając sobie, że wstrzymywałem oddech. W pewnym stopniu odzyskuję zdolność myślenia i zdrowy rozsądek. Jestem na granicy, ale zaczynam myśleć. Przyciskam palce i wydaję z siebie okrzyk ulgi, gdy czuję pod nimi słaby puls.

Chciałbym schować głowę w jej szyi, przytulić ją i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale wiem, iż te trzydzieści sekund, które zmarnowałem, siedząc na podłodze, to o wiele za dużo.

Powtarzam sobie, że muszę myśleć, że muszę się skoncentrować, ale moje myśli są w takiej rozsypce, że nie potrafię żadnej uchwycić.

Zadzwoń na 911.

Znieś ją na dół.

Tyle pieprzonej krwi.

Nie mogę jej stracić.

— Zostań ze mną, kochanie. Proszę, zostań ze mną — błagam i zawodzę. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Jestem zagubiony, przerażony i kompletnie nad sobą nie panuję.

Mój umysł wyrwa się spod kontroli i podsuwa mi, co muszę zrobić i co jest najważniejsze... Wiem, że za żadne skarby świata nie chcę jej opuścić. Ale muszę. Wynoszę ją z ciasnej toalety. Ślizgam się po zakrwawionej podłodze, ciągnąc ją na dywan, a widok ciemnej krwi rozsmarowującej się na jasnych kafelkach wywołuje nowy atak paniki.

Delikatnie kładę ją na ziemi.

— Telefon. Zaraz wracam — mówię i ślizgając się, biegnę w stronę stolika nocnego, na którym leży telefon. Wybieram numer i wracam z telefonem przy uchu. Przy drugim sygnale jestem przy niej i przykładam palce do jej szyi.

— 911...

— 5462 Broadbeach Road. Szybko! Proszę...

— Proszę pana, potrzebuję...

— Wszędzie jest pełno krwi i nie wiem...

— Proszę pana, proszę się uspokoić, my...

— Uspokoić? — krzyczę na operatorkę linii. — Potrzebuję pomocy! Pośpieszcie się, proszę! — mówię i rzucam telefon. Muszę znieść ją na dół. Żeby była bliżej wejścia, bo w ten sposób szybciej otrzyma pomoc, gdy przyjedzie karetka.

Podnoszę ją, biorę na ręce i najszybciej jak mogę idę przez sypialnię do schodów, a potem na dół. Nie mogę opanować pieprzonego szloch. Ogarnia mnie panika pomieszana z zagubieniem i paraliżującym strachem.

— Sammy! — krzyczę. Jestem jak pieprzony szaleniec i nic mnie to nie obchodzi, bo cały czas mam przed oczami krew w całej łazience. Cały czas przypomina mi się pieprzona lalka Quin, która nazywała się Raggedy Ann czy jakoś tak. Niezależnie od tego, jak Quinlan ją trzymała, ręce i nogi lalki zwisały bezwładnie, i pamiętam, że Quin płakała, gdy bez przerwy żartowałem sobie, że lalka nie żyje.

Nie potrafię przestać myśleć o tej pieprzonej lalce, bo tak właśnie wygląda teraz Rylee. Jej głowa leży kompletnie bez życia na moim ramieniu, a ręce i nogi zwisają bezwładnie.

— Boże! — szlocham, docierając na dół. Pieprzony obraz tej lalki utkwił mi w głowie. — Sammy! — krzyczę po raz kolejny. Boję się, bo chociaż chciał się przespać w pokoju gościnnym z powodu szaleństwa prasy, kazałem mu iść do domu.

— Colt, co się dzieje? — Wybiega zza rogu i robi wielkie oczy, widząc mnie z Rylee na rękach. Zamiera i przez krótką chwilę wyobrażam sobie, jak Ry jest na mnie wściekła za to, że pozwoliłem mu ją tak oglądać, w samej podkoszulce i majtkach. Wręcz słyszę jej reprimendę. Brzmienie jej głosu w głowie zupełnie mnie powala i padam z nią na kolana.

— Potrzebuję pomocy, Sammy. Zadzwoń znowu na 911. Zadzwoń do taty. Pomóż mi! Pomóż jej! — błagam i chowam twarz w jej szyję. Kołyszę ją, mówię, żeby się trzymała, że wszystko będzie dobrze i że nic jej nie będzie.

Wiem, że Sammy dzwoni, słyszę jego rozmowę, ale mój zszokowany umysł nie przyjmuje żadnej innej myśli poza tą, że muszę jej jakoś pomóc. Że nie może mnie opuścić. *Że teraz ona jest zepsuta.*

— Colton! Colton! — głos Sammy'ego wrywa mnie z objęć hipnotyzującej paniki. Podnoszę wzrok na niego. Trzyma telefon przy uchu i z pewnością słucha instrukcji operatora linii 911. Nie wiem, czy coś mu odpowiedziałem, czy nie. — Skąd krwawi?

— *Co?*

— Spójrz na mnie! — krzyczy, rozpędzając moją mgłę. — Skąd to krwawienie? Musimy spróbować je zatamować.

O cholera! Czemu o tym nie pomyślałem? Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, i uświadamiam sobie, że nie mam zielonego pojęcia, bo byłem tak owładnięty paniką.

Sammy wbija we mnie wzrok, jakby chciał mi przekazać, że muszę to zrobić i że ona mnie potrzebuje. Udaje mu się przebić przez mój spowolniony umysł. Natychmiast kładę ją na ziemi, chociaż dobija mnie to, bo jest tak zimna, że wolałbym ją jakoś ogrzewać swoim ciałem. Przebiegam dłońmi po jej ciele i zaczynam drżeć z wściekłości na siebie, że o tym nie pomyślałem. I z przerażenia tym, co za chwilę znajdę.

Wydaję z siebie jęk strachu, gdy uświadamiam sobie, że po jej nogach nadal płynie krew, i nawet nie chcę sobie wyobrazić dlaczego.

— Jej wypadek. Coś związanego z jej wypadkiem — mówię Sammy'emu, podnosząc jej koszulkę i pokazując mu blizny na brzuchu. Jakby to miało coś wyjaśnić. A potem biorę ją z powrotem na ręce i przytulam. Przytulam jej zimne ciało do swojej gorącej skóry, a Sammy wraca do rozmowy z osobą na drugim końcu linii.

— Trzymaj się, kochanie. Pomoc już nadchodzi — mówię. Kołyszę ją, a świadomość, że nie potrafię zatamować krwawienia, rozrywa mi serce.

Trzymam ją mocno i przysięgam, iż w pewnym momencie poczułem, że się rusza. Wykrzykuję jej imię, żeby pomóc jej do mnie wrócić.

— Rylee! Rylee! Proszę, kochanie, proszę. — Ale nic to nie daje. Kompletnie nic. Moim ciałem targa kolejny szloch desperacji i uświadamiam sobie, że to ja nią poruszam. To moje trzęsące się ciało i moje błagania sprawiają, że ona się porusza.

— O Boże! — krzyczę. — Nie ona. Tylko nie ona. Zabierasz mi wszystko, co dobre — krzyczę w pustym domu do Boga, w którego w tej chwili i tak nie za bardzo wierzę. — *Nie możesz jej zabrać* — wrzeszczę i trzymam ją, bo tylko to mi pozostało. Wszystko inne przesypuje mi się przez palce. Chowam głowę w jej szyi. Targają mną szluchy, a mój gorący oddech ociepla jej zimną skórę. — *Nie... możesz... jej... zabrać.*

— Colton! — Czuję dłoń szarpiącą mnie za ramię i wrywam się z transu. Nie mam

pojęcia, ile minęło czasu, ale widzę ratowników medycznych. Na ścianach błyska światło ambulansu wpadające przez otwarte drzwi wejściowe. Wiem, że muszą ją ode mnie zabrać, żeby jej pomóc, ale jestem tak przerażony, iż nie chcę jej wypuścić z rąk.

Potrzebuje mnie teraz, chociaż dobrze wiem, że ja potrzebuję jej bardziej.

— Proszę, nie zabieraj mi jej — chrypię, gdy jeden z ratowników bierze ją z moich ramion. Nie wiem, czy mówię do niego czy do Boga.

\*\*\*

— Ile jeszcze, Sammy? — pytam, zrywając się z krzesła. Nerwy mnie zżerają. Zaczynam chodzić tam i z powrotem, ale to ich nie uśmierza.

— Tylko trzydzieści minut. Musisz dać im trochę czasu.

Wiem, że wszyscy w tej pieprzonej poczekalni się na mnie gapią, bo w końcu nie na co dzień widzi się mężczyznę w zakrwawionych ubraniach, który przemierza wte i wewte całe pomieszczenie jak zwierzę w klatce. Jestem niespokojny. Zniecierpliwiony. Przerażony jak diabli. Muszę się dowiedzieć, gdzie ona jest i co się jej stało. Siadam z powrotem, ale moje kolano skacze jak u cholernego ćpuna, który potrzebuje kolejnej działki. Uświadamiam sobie, że faktycznie jestem ćpunem. Potrzebuję mojego narkotyku. Potrzebuję mojej Ryles.

Wczoraj najpierw myślałem, że ją straciłem, potem się okazało, że nie, ale gdy już uznałem, iż jest bezpieczna, bo, do cholery, zasypia w moich ramionach, została mi wydarta. Jestem strasznie zagubiony. Cholernie wściekły. I... nie wiem już, kim jestem, chcę tylko, żeby w końcu ktoś wyszedł przez te pieprzone drzwi automatyczne i powiedział mi, że z Rylee wszystko w porządku. Że cała ta krew wyglądała stokroć gorzej, niż faktycznie było.

Ale nikt nie wychodzi. Nikt nie udziela mi odpowiedzi.

Chcę krzyknąć, wałnąć w coś pięścią, przebiec sprintem dziesięć pieprzonych kilometrów... cokolwiek, byle pozbyć się tego cholernego bólu w klatce piersiowej i skręcania w żołądku. Czuję, że zaraz zwariuję. Chciałbym, żeby czas przyspieszył lub zwolnił, w zależności od tego, co jest dla niej lepsze, pod warunkiem że jak najszybciej ją zobaczę i będę mógł wziąć w ramiona.

Wyciągam telefon, bo potrzebuję jakoś się z nią skontaktować. Jakkolwiek. Zaczynam pisać do niej SMS-a, wyrażając to, co najlepiej rozumiem, czyli uczucia.

Kończę, naciskam „wyślij” i trzymam się myśli, że odbierze to, gdy się ocknie, bo musi się ocknąć. I będzie wiedziała, jak się w tej chwili czułem.

— Colton!

To głos człowieka, który zawsze wszystko potrafił naprawić, ale tym razem nic nie może zrobić. Z tego powodu... gdy słyszę ten głos, tracę panowanie nad sobą. Nie wstaję, żeby się przywitać. Nawet nie podnoszę głowy, bo jestem tak wszystkim przytłoczony, że nie mam siły tego zrobić. Spuszczam głowę i zaczynam szlochać jak jakieś dziecko.

Nie obchodzi mnie, że tutaj są ludzie. Nie obchodzi mnie, że jestem dorosłym mężczyzną, a mężczyźni nie płaczą. Nie obchodzi mnie nic, bo myślę tylko o tym, że nie mogę jej teraz pomóc. *Że mój najlepszy superbohater nie może jej teraz pomóc.* Drgają mi ramiona, boli mnie klatka piersiowa i palą mnie oczy, a on obejmuje mnie ramieniem i przytula do siebie najmocniej jak potrafi, próbując mnie pocieszyć, chociaż wiem, że to w żaden sposób jej nie pomoże. Nie wymaże z mojego umysłu prześladowającego mnie widoku jej ciała przypominającego szmacianą lalkę Quinlan i jej białych ust.

*Pierdolony Humpty Dumpty.*

Jestem w takiej rozsypce, że nie potrafię nic powiedzieć. A nawet gdybym potrafił, nie wiedziałbym, jak wyrazić to, co myślę. Ale on zna mnie na tyle dobrze, że w ogóle się nie

odzywa. Przytula mnie po prostu, a ja wyrzucam z siebie wszystko, czego nie potrafię wyrazić w żaden inny sposób.

Siedzimy w milczeniu przez pewien czas. W końcu przestaję płakać i chowam twarz w dłoniach, ale on dalej mnie obejmuję.

Jego jedyne słowa to: „Jestem przy tobie, synu. Jestem przy tobie”. Powtarza je w kółko, bo to jedyne, co może mi powiedzieć.

Zaciskam powieki i próbuję nie myśleć, ale to nie działa. Wciąż powraca myśl, że moje demony ostatecznie zwyciężyły. Dobrały się do najczystszej istoty, jaką kiedykolwiek poznałem, i odebrały jej pieprzone światło.

Jej iskrę.

Co ja najlepszego zrobiłem?

Słyszę piszczenie butów na podłodze, które zatrzymują się przede mną. Jestem tak przerażony tym, co ta osoba ma do powiedzenia, że nie podnoszę głowy i nie otwieram oczu. Pozostaję w swoich ciemnościach, licząc na to, że uda mi się nie dopuścić do tego, żeby ją także pochłonęły.

— Czy pan jest ojcem? — słyszę pytanie zadane z łagodnym, południowym akcentem. Czuję, że mój ojciec się poruszył, i uznaję, że musiał przytaknąć pytającej osobie, wyrażając gotowość wzięcia na siebie ciężaru wysłuchania przynoszonych wieści.

— Czy pan jest ojcem? — głos pyta ponownie. Podnoszę głowę i patrzę na ojca, bo chcę, żeby to za mnie zrobił. Niech przejmie kontrolę nad sytuacją, a ja zamknę oczy i będę bezradnym dzieckiem, bo tak się właśnie czuję. Ale on spogląda mi prosto w oczy i patrzy. Nie odrywa ode mnie wzroku, a ja po raz pierwszy w życiu nie potrafię odczytać, co próbuje mi przekazać.

Jego wzrok jest niezachwiany. Patrzy na mnie jak wtedy, gdy byłem w małej lidze i nie chciałem wyjść na boisko, bo na pozycji miotacza stał Tommy Williams, który zawsze trafiał w palkarza, a ja bałem się, że dostanę piłką w głowę. Patrzy na mnie, jak robił to dawno temu, gdy próbował mi przekazać, że *dam radę* i że jestem w stanie zmierzyć się ze swoimi obawami.

Oblewam się cały zimnym potem, bo uświadamiam sobie, co ten wzrok próbuje mi przekazać i o co pyta stojąca nade mną kobieta. Przełykam głośno ślinę, szum w głowie nie pozwala mi myśleć, po czym znika, a ja zaczynam się trząść jak osika. Podnoszę głowę i spoglądam w cierpliwe brązowe oczy kobiety przede mną.

— Czy pan jest ojcem? — pyta po raz kolejny z pośępnie rozciągniętymi ustami, jakby uśmiechała się, żeby złagodzić słowa, które za chwilę mi powie.

Wpatruję się w nią i nie potrafię wykrztusić słowa, bo emocje, które wyrzuciłem z siebie w objęciach ojca, wróciły do mnie ze zdwojoną siłą. Siedzę oniemiały, oszołomiony i przerażony. Tato ściska dłońią moje ramię ponagłajaco.

— Rylee? — pytam ją, bo to musi być jakaś pomyłka. Ona na pewno się pomyliła.

— Czy pan jest ojcem dziecka? — pyta łagodnie, siadając obok mnie. Kładzie dłoń na moim kolanie i delikatnie je ściska. Ale ja nie jestem w stanie skupić się na niczym innym niż na dłoniach, palcach i skórkach na paznokciach, które wciąż są pokryte zaschniętą krwią. Ręce zaczynają mi drżeć na widok plamiącej mnie krwi Rylee.

*Moje ręce są splamione krwią mojego dziecka.*

Podnoszę głowę, odrywając wzrok od widoku symbolizującego życie, które odeszło i umarło na moich rękach, oraz nadzieję i strach, związane z tym, czego wcale nie jestem już pewien.

— Tak — mówię niemal niesłyszalnym szeptem. Przełykam ślinę, ale czuję, jakbym przełykał żwir. — Tak. — Ojciec ściska znowu moje ramię, a ja patrzę na nią wzrokiem błagającym jednocześnie o potwierdzenie i zaprzeczenie.



Zaczyna mówić powoli jak do pieprzonego dwulatka.

— Rylee jest wciąż w trakcie badań — oznajmia, a ja mam ochotę nią potrząsnąć i zapytać, co to, do cholery, właściwie oznacza. Moje kolano zaczyna podskakiwać, gdy czekam na jej odpowiedź z zaciśniętą szczęką i splecionymi dłońmi. — Doszło albo do przedwczesnego odklejenia łożyska, albo do łożyska przodującego i...

— Stop! — mówię, bo nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi, i gapię się na nią jak jeleń w światła reflektorów.

— Naczynia krwionośne łączące ją z dzieckiem w jakiś sposób ucierpiały i lekarze właśnie próbują to ustalić. W każdym razie straciła sporo krwi. Jest teraz w trakcie transfuzji, która pomoże jej w...

— Odzyskała świadomość? — Nie potrafię przetworzyć tego, co usłyszałem. W głowie mam tylko dziecko, krew, transfuzja. — Nie słyszałem, czy pani powiedziała, że nic jej nie będzie, a muszę, do cholery, usłyszeć, że nic jej nie będzie! — krzyczę, bo wszystko w moim życiu rozpada się wokół mnie, jakbym znowu był w pieprzonym samochodzie wyścigowym, tyle że tym razem nie wiem, co będę w stanie z powrotem poskładać... A to przeraża mnie do szpiku kości.

— Tak — odpowiada miękko, a jej kojący głos sprawia, że mam ochotę nią potrząsnąć, żeby zapewniła mnie o tym trochę bardziej przekonująco. Chciałbym wymazać wszystko, jak z magicznej tablicy, i narysować nowy obrazek, którego sobie życzę. — Daliśmy jej znieczulenie, żeby złagodzić ból łyżeczki, a gdy dostanie jeszcze trochę krwi, powinna być w znacznie lepszym stanie fizycznym.

Nie mam pojęcia, co właśnie powiedziała, ale uczepiam się słów, które rozumiem: że Rylee będzie w lepszym stanie. Zwieszam głowę i przyciskam wnętrza dłoni do oczu, żeby powstrzymać płacz, bo nie doznam prawdziwej ulgi, dopóki jej nie zobaczę, nie dotknę i nie pocuję.

Ścisną ponownie moje kolano i mówię:

— Przykro mi. Dziecku nie udało się przeżyć.

Nie wiem, co powinienem jej powiedzieć, bo w głębi serca znałem prawdę, chociaż głowa nie potrafiła jej wtedy zrozumieć. Ale jej słowa sprawiają, że świat pod moimi stopami przestaje się kręcić, a ja nie potrafię oddychać. Nie umiem zaczerpnąć powietrza. Wstaję i chwiejnym krokiem ruszam do przodu, po czym zawracam, kompletnie przytłoczony przez szum w uszach.

— Colton! — słyszę głos ojca, ale potrząsam tylko głową i pochylam się do przodu, próbując złapać oddech. Chwytam się dłońmi za głowę, jakby to miało uspokoić panujący w niej chaos. — *Colton*.

Macham rękami przed sobą, żeby się ode mnie odczepił.

— Potrzebuję pieprzonego pit stopu! — mówię mu, patrząc na dłonie splamione krwią czegoś stworzonego przez Rylee i mnie. Przez świętą i grzesznika.

Niezmacona niczym niewinność.

I nagle to czuję. Czuję, jak coś roztrzaskuje się we mnie na kawałki niczym lustro w tym pieprzonym osiedlowym barze, gdy Rylee powiedziała mi, że mnie kocha. Coś jakby blokada istniejąca w mojej duszy przez ostatnie dwadzieścia kilka lat. Dwie sytuacje, w których zdarzyło się coś, czego absolutnie nigdy nie chciałem doświadczyć, a mimo to... Nie potrafię opanować uczuć i nie rozumiem, dlaczego przychodzą mi do głowy możliwe scenariusze, skoro zarówno wtedy, jak i teraz wiem, że to po prostu nie może się zdarzyć. To jest coś, czego nigdy, absolutnie nigdy nie chciałem. A mimo to wszystko, czego byłem pewien, w jakiś sposób się zmieniło.

Nie wiem jeszcze, co to oznacza.

Wiem tylko, jak się z tym czuję. Inaczej. Wyzwolony i niepełny. Cholernie przerażony. Przewraca mi się w żołądku, a gardło zapycha się tak wieloma emocjami i tak wieloma uczuciami, że nawet nie wiem, od czego zacząć przetwarzanie tej nowej rzeczywistości. Od utraty zmysłów powstrzymać mnie może tylko skupienie się na osobie, której można teraz pomóc.

Rylee.

Nie potrafię złapać oddechu, serce łomocze w piersi jak karabin maszynowy, a ja jestem w stanie myśleć tylko o niej. Jedyne, czego pragnę, jedyne, czego potrzebuję, to Rylee.

— Colton. — To mój ojciec, który znowu kładzie ręce na moich ramionach. Ręce, które prowadziły mnie w najmroczniejszych chwilach i które próbują wyrwać mnie z zachłannych szponów ciemności. — Porozmawiaj ze mną, synu. Co się dzieje w twojej głowie?

*Żartujesz sobie ze mnie?* — chciałbym wykrzyczeć na niego te słowa, bo nie mam pojęcia, co zrobić z pochłaniającym mnie strachem, a jedyne, co przychodzi mi do głowy, to wyładować się na osobie, która jest najbliżej. To zupełnie inny strach niż wcześniej, lecz mimo to nadal ten sam. Potrząsam jednak tylko głową i podnoszę wzrok na brązowe oczy kobiety, zastanawiając się, co zrobić, co czuć i co powiedzieć.

— Czy ona wie? — Nie poznaję własnego głosu. Jest złamany, ma dziwny ton i wyraża kompletne niedowierzanie.

— Tak, lekarze już z nią rozmawiali — odpowiada, a ja uświadamiam sobie, że Rylee musi sobie z tym poradzić... *samotnie*. Oddałaby wszystko, żeby mieć dziecko, i samotnie musiała przyjąć wiadomość, że chociaż mówiono jej, iż nigdy nie będzie mogła go mieć, to je miała.

I straciła.

*Znowu.*

Jak to przyjęła? Jak to na nią wpłynęło?

Jak to wpłynęło na nas?

Wszystko wymyka się spod kontroli, ale ja muszę nad tym zapanować. Chcę, żeby ziemia przestała się pode mną poruszać. Wiem, że tylko ona może z powrotem wyprostować mój świat. Muszę poczuć jej skórę pod palcami, żeby uśmierzyć ten cały toczący mnie chaos.

Rylee.

— Muszę ją zobaczyć.

— Teraz odpoczywa, ale może pan przy niej usiąść, jeśli pan chce — oznajmia, wstając.

Potakuję i biorę wdech, a ona rusza w stronę korytarza. Tato trzyma dłoń na moim ramieniu przez cały czas, okazując swe milczące wsparcie przez całą drogę do pokoju Rylee.

— Będę na zewnątrz, gdybyś mnie potrzebował. Zaczekam na Becksa — mówi ojciec, a ja tylko kiwam głową, bo mam w gardle taką gulę, że nie potrafię oddychać. Wchodzę do środka i staję jak zaczarowany.

*Rylee.*

Imię, którego się kurczowo trzymam, gdy mój umysł próbuje *wszystko* ogarnąć.

*Rylee.* Jest taka drobna i blada, że wygląda jak mała dziewczynka, która gubi się w tym wielkim białym łóżku. Gdy podchodzę do łóżka, muszę przypominać sobie o konieczności oddychania. Pragnę ją dotknąć i wyciągam dłoń, ale nagle dopada mnie lęk, że jeśli to zrobię, ona się rozpadnie na kawałki. I już nigdy jej nie odzyskam.

Nie mogę się jednak powstrzymać, bo jeśli na tylnej kanapie radiowozu czułem się bezradny, to teraz wydaje mi się, że jestem kompletnie bezużyteczny. Bo nie mogę tego naprawić. Nie jestem w stanie wparować i uratować jej przed złymi ludźmi... I po prostu nie wiem, co zrobić, co powiedzieć, jak się zachować.

Rozwala mnie to na kawałki.

Stoję i patrzę na nią. Wchłaniam ją całą. Pełne blade usta, skóra, która pachnie wanilią, szczególnie tuż pod uchem. Uświadamiam sobie, że ta zuchwała, żywiołowa, nieposłuszna i stawiająca warunki kobieta mnie *zdobyła*.

Kompletnie.

Każdą część mnie. W tym krótkim czasie, gdy jesteśmy razem, zburzyła pieprzony mur, który nieświadomie budowałem wokół siebie przez całe życie. Bez tych ścian jestem bezradny. Tyle czasu nic nie czułem, bo wołałem być odrętwiały, ale teraz nauczyłem się przeżywać emocje i nie potrafię już ich wyłączyć. Nie da się tego zatrzymać. W tej chwili, wchłaniając jej absolutne piękno, wiem, że desperacko jej potrzebuję. Musi poprowadzić mnie po tym nieznanym mi terenie, zanim poddam się świadomości, że to wszystko przeze mnie.

To przeze mnie będzie zmuszona do dokonania wyboru, a ja nie jestem nawet pewien, czy chciałbym, żeby go dokonywała.

Siadam na krześle obok jej łóżka i poddaję się swojej jedynej słabości: potrzebie dotknięcia jej. Delikatnie ujmuję obiema dłońmi jej bezwładną rękę i chociaż śpi i nie wie, że ją dotykam, i tak czuję tę iskrę.

*Kocham cię.*

Przemyka mi to przez głowę i wstrzymuję oddech, bo czuję burzę w środku w związku z tymi słowami, lecz nie w związku ze swoimi uczuciami. Skupiam się na tym, żeby się odciąć i odepchnąć te słowa, które oznaczają wyłącznie cierpienie, bo nie chcę, żeby splamiły tę chwilę. Nie chcę, żeby myśli o nim pomieszały się z myślami o niej.

Oddech znowu więźnie mi w gardle i zaczynają płynąć mi łzy. Przyciskam usta do jej dłoni. Serce wali mi jak oszalałe i uświadamiam sobie, że przypuszczalnie właśnie zburzyła ostatnią żelazną ścianę i otworzyła moją duszę jak puszkę Pandory. Całe zamknięte w niej od zawsze zło może teraz uciec, a mi zostaje tylko jedno.

Pieprzona nadzieja.

Pytanie brzmi: na co ja, do cholery, mam teraz nadzieję?

[1] „Say something...” — „Powiedz coś, bo rezygnuję z ciebie”. Fragment piosenki *Say something* — *przyp. tłum.*

[2] „I’m sorry...” — „Przepraszam, że nie potrafiłem do ciebie dotrzeć” — *przyp. tłum.*

## Rozdział 31.

Mam mętlik w głowie i jestem potwornie zmęczona. Chciałabym z powrotem zatopić się w jego ciepło. *Ach, to takie przyjemne.*

Nagle wszystko mi się przypomina. Krew, zawroty głowy, ból, kwadratowe płytki na suficie, gdy nosze jechały korytarzem, zwiastując słowa lekarza, których już więcej miałam nie usłyszeć. Otwieram oczy z nadzieją, że to był tylko zły sen, a ja nadal jestem w domu, ale widzę aparaturę medyczną i kroplówki. Czuję ból w żołądku i zaschnięte słone ślady łez na policzkach.

Łez, które popłynęły, gdy usłyszałam potwierdzenie tego, co już wiedziałam. I chociaż czułam wcześniej, jak nowe życie odchodzi z mojego wnętrza, usłyszenie tego z ust lekarki złamało mi serce. Krzyczałam i pomstowałam, twierdziłam, że na pewno się pomyliła, bo nawet jeśli przywracała moje ciało do życia, jej słowa sprawiały, iż serce przestawało mi bić. Walczyłam z rzeczywistością, bólem i zdruzgotaniem, aż czyjeś ręce przytrzymały mnie na łóżku, dostałam kroplówkę i z powrotem odpłynęłam w ciemność.

Zamykam znów oczy. Próbuję odnaleźć jakieś uczucie w przejmującej wewnętrznej pustce. Próbuję przebić się przez mgłę niedowierzania i nieskończony, niepojęty żal. Próbuję uciszyć wyimaginowany płacz, który słyszę teraz, chociaż nie słyszałam go wczoraj, gdy moje dziecko umarło.

Po moim policzku spływa łza. Jestem pochłonięta swoimi odczuciami, skupiam się na wszystkim, co mogłabym czuć, ale i tak odnajduję w środku tylko jedno.

Samotność. Rezygnację. Odchodzenie w nieznanne bez żadnego poczucia pewności.

— O, znowu do nas wróciłaś — mówi głos po mojej prawej. Otwieram oczy i trafiam na miłe spojrzenie kobiety w białym kitlu. Tej samej, która wcześniej przyniosła mi te fatalne wieści. — Byłaś nieprzytomna całkiem sporą chwilę.

Zmuszam się do nieznacznego uśmiechu, przepraszając milcząco za swoją reakcję, bo okazuje się, że jedynej osoby, którą chciałabym zobaczyć i której potrzebuję bardziej niż kogokolwiek innego, nie ma.

Jestem zdruzgotana.

Czy on wie o życiu, które stworzyliśmy? Część mnie i część jego. Nie mógł tego znieść i odszedł? Ogarnia mnie panika, a w oczach wzbierają łzy. Potrząsam głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Jak to możliwe, żeby Bóg był tak okrutny i dwukrotnie pozbawił mnie dziecka i ukochanego mężczyzny?

Nie dam rady. Nie przeżyję tego po raz kolejny.

Mam w głowie kompletny chaos, skalpel gniewu wbija się coraz głębiej i głębiej, a ja próbuję odnaleźć jakiegokolwiek uczucie poza nieskończonym bólem i niesłyszana pustką w środku. Chciałabym się chwycić czegokolwiek poza garścią brzytw, na które wciąż trafiam.

— Wiem, kochanie — mówi lekarka, pocierając moje ramię. — Bardzo mi przykro. — Próbuję zapanować nad emocjami związanymi z dzieckiem i z Coltonem, czyli dwiema osobami, nad którymi nie panuję i które straciłam. Czuję ból w piersi, bo chociaż oddycham szybko, wciąż brakuje mi powietrza. Próbuję przełknąć gulę emocji, która blokuje dopływ tlenu. Ale dochodzę do wniosku, że będzie łatwiej, jeśli się zadławię. Odejdę w ciemność, wpelnę z powrotem pod jej czarny płaszcz i znowu przestanę cokolwiek czuć. Może znowu odzyskam nadzieję i okażę się tylko skrzywiona, a nie zepsuta.

— Rylee? — zwraca się do mnie lekarka, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, czy może znowu się na nią rzucę tak jak wtedy, gdy powiedziała mi o poronieniu.

Potrząsam tylko głową, bo nie mam nic do powiedzenia. Skupiam się na splecionych na

brzuchu dłoniach i próbuję odzyskać panowanie nad sobą oraz przyzwyczać się do ponownej pustki i samotności.

Gdy w końcu trochę się uspokajam, lekarka uśmiecha się do mnie.

— Jestem doktor Andrews. Przedstawiałam się wcześniej, ale co zrozumiałe, przypuszczalnie tego nie pamiętasz. Jak się czujesz?

Wzruszam ramionami, bo dyskomfort odczuwany w pustym łonie w żaden sposób nie może się równać z dogłębnym bólem serca.

— Jestem pewna, że masz jakieś pytania. Możemy zacząć teraz czy chcesz poczekać, aż Colton wróci?

Nie opuścił mnie? Gula w gardle nieco się zmniejsza i biorę głęboki wdech, a słowa lekarki sprawiają, że ów wbijający się we mnie skalpel rani nieco mniej. Lekarka przechyla głowę i patrzy na mnie ze smutkiem, a ja czuję, że próbuje mi coś powiedzieć bez słów. *Ale co? O reakcji Coltona na tę nowinę?* Jestem niebotycznie przerażona spotkaniem z nim i koniecznością rozmawiania na ten temat w sytuacji, gdy jeszcze nie opadł kurz po bombie zrzuconej przez Tawny, lecz jednocześnie czuję w środku niewielką ulgę, że on wciąż przy mnie jest.

— Jest tutaj? — pytam ledwo słyszalnym głosem.

— Przed chwilą wyszedł po raz pierwszy, odkąd tu jesteś — wyjaśnia, wyczuwając moje obawy. — Bardzo się denerwował i jego ojciec w końcu go przekonał, że powinien wyjść na chwilę rozprostować nogi.

Te słowa przynoszą mi niesłychaną ulgę. Czuję dreszcze na ramionach na myśl, że Colton mnie nie opuścił. *Nie opuścił mnie.* Głupio mi, że w ogóle przyszło mi do głowy, iż mógłby to zrobić, ale byłam przytłoczona nawałem zdarzeń, a wytrzymałość ludzka ma swoje granice.

A moja skończyła się dawno temu.

W końcu udaje mi się odzyskać głos i podnoszę wzrok, żeby spojrzeć jej w oczy.

— Może być teraz. — Mam tyle pytań, które wymagają wyjaśnienia. Potrzebuję odpowiedzi, których Colton wolałby nie usłyszeć. — Wciąż nie potrafię tego wszystkiego ogarnąć — mówię i przetykam ślinę, próbując stłumić wracające łzy. — Co...?

— ...się stało? — dokańcza za mnie, gdy urywam zdanie.

— Powiedziano mi, że nigdy już nie zajdę w ciążę, bo uraz był zbyt... — Jestem tak wstrząśnięta, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, że nie potrafię dokończyć zdania. Myśli przelatują przez mój umysł z szybkością karabinu maszynowego i na żadnej nie potrafię się na dłużej zatrzymać.

— Przede wszystkim muszę powiedzieć, że rozmawiałam z twoim ginekologiem i przeglądałam twoją kartotekę. Rzeczywiście, szanse na to, że mogłoby dojść do zagnieżdżenia zarodka, czy choćby do zapłodnienia, były naprawdę nikłe — mówi i wzrusza ramionami. — Lecz czasem ludzkie ciało okazuje się odporne... zdarzają się cuda, natura zwycięża.

Uśmiecham się słabo, chociaż wiem, że uśmiech nie dociera do moich oczu. Jak to się stało, że nie wiedziałam, iż noszę w sobie życie, moje dziecko, część Coltona? Jak to możliwe, że tego *nie poczułam*?

— Jak mogłam tego nie zauważyć? To znaczy który to był miesiąc? Dlaczego poroniłam? Czy to dlatego, że dziecko... *moje dziecko*... było zbyt słabe, czy może to moja wina, skutek czegoś, co zrobiłam? — Pytania wysypują się ze mnie jedno po drugim, bo zaczynam płakać. Łzy płyną mi po twarzy, gdy czuję na sobie ciężar winy za poronienie. Lekarka pozwala mi wyrzucić z siebie wszystkie pytania i stoi przede mną ze współczuciem w oczach. — Istnieje szansa, że to się powtórzy, czy to był jednorazowy przypadek? To mnie po prostu przerasta — przyznaję zadyszana z przejęcia. — I nie wiem... Nie wiem już, w co wierzyć. Kręci mi się w

głowie...

— To rozumiałe, Rylee. Bardzo dużo przeszłaś — mówi, zmieniając pozycję. Gdy to robi, zauważam Coltona opartego o futrynę, z rękami w kieszeniach i koszulą poplamioną krwią. Moją krwią, krwią dziecka... *naszego dziecka*. Jeśli wcześniej łzy płynęły strumieniami, to teraz czuję prawdziwą powódź.

W mgnieniu oka podchodzi do łóżka. Jego twarz jest porwana cierpieniem, a oczy emanują nieprzeniknionymi emocjami. Wyciąga dłoń, żeby mnie pocieszyć, lecz zatrzymuje się z wahaniem, gdy widzi, że rozmyte przez łzy spojrzenie kieruję w dół, na plamy na jego koszuli. W ułamku sekundy zrzuca z siebie kurtkę i ściąga koszulę przez głowę, rzuca to wszystko na krzesło i obejmuje mnie, przyciągając do siebie.

Teraz dopiero zaczynają się łzy. Potężny, poszarpany, wstrząsający szloch, który szarpie moim wtulonym w niego ciałem. Colton kompletnie nie ma pojęcia, jak mnie pocieszyć, więc po prostu pozwala mi płakać. Gładzi mnie dłońmi po plecach i szepcze słowa, które i tak nie przebijają się przez moje odurzenie pełnym niedowierzania żalem.

Uderza mnie naraz tak wiele emocji, że nie potrafię się na żadnej skupić. Jestem zagubiona, przerażona, zdruzgotana, pusta, zszokowana, bezpieczna. A do tego czuję, że bardzo wiele rzeczy zmieniło się na zawsze.

Dla mnie.

Między nami.

Los, który nigdy nie dopuszczał mnie do głosu, dawno temu odarł mnie z nadziei, marzeń i pragnień. Łzy płyną jeszcze intensywniej, gdy uświadamiam sobie, że doświadczam tego po raz drugi. Po raz drugi zostaję pozbawiona nadziei, której w ogóle nie spodziewałam się odzyskać.

Przez cały ten czas Colton niestrudzenie całuje moją moką od łez twarz, starając się wyprzeć mój ból swoim współczuciem, a żal miłością. W końcu przechyla głowę i spogląda mi prosto w oczy. Siedzimy tak przez chwilę, nasze usta milczą, lecz oczy mówią bardzo wiele, a ja czuję bezbrzeżną ulgę. Najgorsze jest jednak to, że nie potrafię odczytać tego, co próbuje mi przekazać.

Jedyne, co wiem na pewno, to to, że jest równie zagubiony jak ja, ale głęboko w środku boję się, że czuje się tak z zupełnie innych powodów niż ja.

— Hej — mówi cicho z nieznacznym uśmiechem w kącikach ust. Czuję, że trochę drżą mu dłonie. — Przestraszyłaś mnie do szpiku kości, Ryles.

— Przepraszam. Dobrze się czujesz? — mój głos brzmi niemrawo i ospale.

Colton spuszcza wzrok i potrząsa głową, chichocząc sztucznie.

— Leżysz na szpitalnym łóżku i pytasz, czy ja dobrze się czuję? — mówi i podnosi wzrok, a w jego oczach błyszczą łzy. — Rylee, ja... — przerywa i wzdycha. Jego głos jest przesycony emocjami.

Dalszą wypowiedź przerywa mu pukanie w futrynę. To doktor Andrews pyta, czy może już wrócić. Ani ja, ani Colton nie zorientowaliśmy się, że wyszła, bo byliśmy tak bardzo zaabsorbowani sobą.

— Jesteś gotowa usłyszeć odpowiedzi?

Potakuję z oporem, ale muszę się tego dowiedzieć. Colton natychmiast mnie puszcza, a pozbawienie jego dotyku wprawia mnie w przerażenie. Okazuje się, że po prostu założył bluzę i z powrotem chwytła mnie za dłoń. Lekarka podchodzi do łóżka i wzdycha.

— Niestety nie mogę powiedzieć niczego konkretnego, bo możemy wnioskować wyłącznie na podstawie śladów po tym, co się wydarzyło. Skoro jesteś teraz w lepszym stanie niż przy naszym pierwszym spotkaniu, może opowiesz mi, co pamiętasz?

Czuję się, jakbym pływała pod wodą, ale streszczam wszystko, co mi się przypomina, aż

do siedzenia na podłodze w łazience. Potem nie wiem nic do momentu, gdy obudziłam się tutaj. Lekarka potakuje i notuje coś w swoim tablecie.

— Miałaś prawdziwe szczęście, że Colton znalazł cię tak szybko. Straciłaś mnóstwo krwi i kiedy do nas trafiłaś, byłaś na granicy wstrząsu hipowolemicznego.

Mam tyle pytań, które chciałabym zadać... tyle niewiadomych, z którymi mój umysł wciąż próbuje się uporać. Zerkam na Coltona i ze względu na to, co przeszliśmy z powodu Tawny, waham się zapytać o to, co najbardziej mnie interesuje. Postanawiam zapytać o coś innego, co także mnie dręczy.

— W którym byłam miesiącu? — mój głos jest bliski szeptu. Colton trzyma mnie mocno za rękę, a ja uświadamiam sobie dobitnie, że przecież miałam już nigdy nie mieć powodu, żeby zadać takie pytanie. A tymczasem nosiłam w sobie dziecko. *Dziecko*. Podbródek zaczyna mi niebezpiecznie drgać i z całych sił próbuję się znowu nie rozplakać.

— Szacujemy, że byłaś między dwunastym a czternastym tygodniem — odpowiada, a ja zaciskam powieki, próbując przyjąć to, co usłyszałam. Palce Coltona zaciskają się na mojej dłoni i słyszę jego powolne, poszarpane westchnienie. Lekarka daje nam chwilę na przyswojenie jej słów, po czym kontynuuje. — Na ile można to stwierdzić, miałaś albo przedwcześnie odklejone łożysko, albo łożysko przodujące z powodu zerwania naczyń krwionośnych.

— A co to znaczy?

— Po przywiezieniu do szpitala krwawienie było już w takim stopniu zaawansowania, że mogliśmy jedynie domyślać się jego przyczyny. Zakładamy, że to było łożysko przodujące, bo w tak wczesnym stadium ciąży rzadko dochodzi do odklejenia łożyska, jeśli nie miał miejsca żaden gwałtowny uraz lub uderzenie w brzuch i...

Mówi dalej, ale ja przestaję ją słyszeć, podobnie zresztą jak Colton, który natychmiast wstaje z łóżka i zaczyna przemierzać pokój. Cały wibruje od negatywnej energii, a jego twarz jest poorana gniewem.

Skupiam się na nim i jego wybuchu emocji, bo to dla mnie znacznie łatwiejsze niż myślenie o sobie. Mój przeciążony umysł uznaje, że nie będę musiała wtedy mierzyć się z własnymi uczuciami. Bo może popchnęłam ojca Zandera nieco zbyt mocno, zbyt intensywnie. I to wszystko jest moją winą.

Zaczynam opowiadać przebieg wydarzeń, a doktor Andrews z troską w oczach patrzy najpierw na Coltona, potem na mnie. Za każdym razem, gdy wspominam o tym, że ojciec Zandera mnie uderzył, widzę, jak wzrasta zdenerwowanie Coltona. Nie wiem dokładnie, jak to na niego wpływa, co sobie myśli i ile jeszcze jest w stanie wytrzymać. Boję się bardzo wielu rzeczy, bo wiem, jak sama się czuję.

— To mogła być przyczyna, która doprowadziła do poronienia — mówi doktor Andrews po kilku sekundach.

Zaciskam mocno powieki i z trudem przelękam ślinę, a Colton rzuca przekleństwo pod nosem. Wciąż nie może sobie znaleźć miejsca i ma zaciśnięte pięści. Obserwuję go uważnie, próbując odczytać emocje przemykające przez jego twarz. W końcu zatrzymuje się i odwraca do mnie.

— Muszę na chwilę wyjść — oznajmia i wychodzi, nie czekając na moją odpowiedź.

Znowu czuję łyż. Jestem w emocjonalnej rozsypce i wiem, że nie rozumiem zbyt jasno, ale w głowie pojawia mi się myśl, że Colton jest zły, bo byłam w ciąży, a nie dlatego, że straciliśmy nasze dziecko. Natychmiast odpycham tę myśl i nienawidzę się za to, że w ogóle się pojawiła, ale po tym, co przeszliśmy w ciągu ostatnich kilku tygodni, nie jestem w stanie jej powstrzymać. Co więcej, powoduje ona wysyp kolejnych niekontrolowanych myśli, więc mówię sobie, że muszę wziąć się w garść. Przecież Colton się o mnie troszczy i nie odszedłby ode mnie z takiego

powodu. Zmuszam się do skupienia na odpowiedziach, a nie na niewiadomych.

Dlatego bez zastanowienia wypalam z kolejnym pytaniem, chociaż powietrze wciąż wibruje od gniewu Coltona.

— Czy to możliwe, żebym... żebym znowu zaszła w ciążę? Czy będę w stanie ją donosić?

Lekarka spogląda na mnie ze współczuciem na stoickiej twarzy i wzdycha, a jej oczy zaczynają niebezpiecznie błyszczeć.

— Czy to możliwe? — powtarza za mną i na moment zamyka oczy, kiwając nieznacznie głową. Potem bierze moją dłoń i obserwuje mnie przez chwilę. — To w ogóle nie miało być możliwe, Rylee — mówi łamiącym się głosem. Mój żal i niedowierzenie najwyraźniej nie pozostają dla niej obojętne. — Mam nadzieję, że los nie będzie tak okrutny, żeby zrobić ci to dwa razy i nie dać ci kolejnej szansy. — Ociera łzę szybkim ruchem i pociąga nosem. — Czasem najlepszym lekarstwem jest nadzieja.

\*\*\*

Czuję go, zanim jeszcze otwieram oczy. Wiem, że siedzi obok mnie. Niecierpliwy mężczyzna okazuje mi swoją cierpliwość. Wzdycham lekko, a potem czuję ból w sercu na myśl o małym chłopcu, który na zawsze się we mnie zatracił. Ciemne włosy, zielone oczy, piegowaty nos, szelmowski uśmiech. Otwieram oczy i trafiam na to samo spojrzenie, które widziałam w wyobraźni.

Ale jego oczy wyglądają na zmęczone, zmatowiałe i zatroskane. Nachyla się i bierze dłoń, którą do niego wyciągam.

— Hej — mówię skrzekliwie i przesuwam się, żeby zmniejszyć dyskomfort w brzuchu.

— Hej — odpowiada łagodnie, siadając na krawędzi krzesła. Zauważam, że zamiast swojej koszuli ma szpitalną. — Jak się czujesz? — pyta i całuje moją dłoń, a ja znowu zaczynam płakać. — Nie. — Wstaje i siada na brzegu łóżka. — Nie płacz, kochanie — mówi, obejmując mnie i przyciągając do swej piersi.

Potrząsam głową, bo uczucia przelewają się przeze mnie, pociągając mnie to w górę, to w dół. Z jednej strony jestem zdruzgotana utratą dziecka, bo to mogła być moja ostatnia szansa, nawet jeśli cała ta sytuacja sugeruje pewne możliwości. Z drugiej strony czuję przesiąkniętą poczuciem winy ulgę, bo gdybym była w ciąży, to co stałoby się ze mną i Coltonem?

— Nic mi nie jest — mówię i całuję go w szyję tuż pod linią szczęki, czerpiąc siłę z wyraźnego pulsu, który wyczuwam ustami. Potem opieram się na spiętrzonych poduszkach, żeby móc na niego spojrzeć. Zdmuchuję włosy z twarzy; nie chcę używać do tego dłoni, żeby nie przerywać naszego kontaktu.

Patrzy na mnie tak intensywnie i ma tak napiętą szczękę i ściągnięte z emocji usta, że spuszczam wzrok na nasze złączone dłonie, żeby przygotować się psychicznie na to, co muszę mu powiedzieć, chociaż boję się jego reakcji. Biorę głęboki wdech i zaczynam.

— Musimy o tym porozmawiać — mówię niewiele głośniejszym głosem, podnosząc na niego wzrok.

On potrząsa głową, zapowiadając odpowiedź, która padnie za chwilę z jego ust.

— Nie — ściska moją dłoń. — Ważne jest tylko to, że będziesz zdrowa.

— Colton... — mówię tylko jego imię, ale wiem, że słyszy zawarte w nim błaganie.

— Nie, Ry! — wstaje z łóżka i zaczyna przemierzać tam i z powrotem małą przestrzeń przy łóżku. Przypomina mi się, jak wczoraj przytłoczony poczuciem winy chodził przy autostradzie. Czy to było naprawdę wczoraj? Bo wydaje się, jakby minęła cała wieczność. — Nie rozumiesz, prawda? — krzyczy na mnie tak, że aż wzdrygam się od jego gwałtowności. —



Znalazłem cię — mówi, wbijając wzrok w ziemię, a jego złamany głos mnie dobija. — Wszędzie była krew. — Podnosi wzrok i patrzy mi w oczy. — Wszędzie... A ty... Ty leżałaś w środku tej jatki, cała zakrwawiona. — Podchodzi do brzegu łóżka i chwytam mnie za obie dłonie. — Myślałem, że cię straciłem. I to po raz drugi w ciągu jednego dnia!

Z tymi słowami chwytam mnie mocno za kark i wpija się zaborczo w moje usta. Jego język tańczy we mnie z przenikliwym niepokojem i namacalnym pragnieniem, aż w końcu Colton odchyła się i opiera swoje czoło o moje. Nie puszcza mojej szyi, a drugą dłonią ujmuje mój policzek.

— Daj mi chwilę — szepcze, muskając mnie oddechem. — Pozwól mi tak być, dobrze? Potrzebuję teraz tego... ciebie. Chcę cię trzymać w taki sposób, bo wychodziłem z siebie, czekając na twoje przebudzenie. Czekając, aż do mnie wrócisz, Ry, bo teraz, gdy tu jesteś, gdy jesteś w moim życiu... i gdy stałaś się częścią mnie, nie potrafię oddychać, jeśli nie wiem, czy z tobą wszystko w porządku. I że do mnie wróciłaś.

— Zawsze do ciebie wrócę — wypalam bez zastanowienia, bo kiedy serce chce coś powiedzieć, po prostu to robi. Słyszę jego drżący oddech, czuję jego palce na karku i wiem, że jako mężczyzna, który nigdy nikogo nie potrzebował, kompletnie nie ma pojęcia, co zrobić w tej sytuacji, gdy nie może żyć bez czegoś, czego nigdy nie chciał.

Siedzimy tak przez chwilę. W końcu Colton odchyła się i całuje mnie w czubek nosa. Słyszę kroki i widzę w drzwiach swoją najlepszą przyjaciółkę.

— Jezu Chryste, kobieto! Chcesz mnie przyprawić o atak serca? — mówi, wparowując do środka. — Zabieraj z niej swoje łapy, Donovan, i dopuść mnie do niej — nakazuje. Czuję, że jego usta układają się w uśmiech, gdy mnie całuje. Chwilę później wchłania mnie cyklon, jakim jest Haddie, która przytula mnie mocno i obie zaczynamy płakać. — Pozwól mi na siebie spojrzeć! — mówi i odchyła głowę, uśmiechając się przez łzy. — Wyglądasz gównianie, ale wciąż jesteś piękna jak zawsze. Dobrze się czujesz? — szczerze jej tonu sprawia, że znowu wzbierają mi łzy i muszę przygryźć wargę, żeby je pohamować. Potakuję, a Haddie podnosi wzrok i trafia na wzrok Coltona. Przez chwilę wymieniają pełne emocji spojrzenia. — Dziękuję ci — mówi do niego cicho, a ja zamykam na moment oczy, bo uderza mnie intensywność tego wszystkiego.

— Żadnych łez, dobrze? — Haddie ściska moją dłoń, a ja potakuję, nie otwierając oczu.

— Dobrze — wzdycham i otwieram oczy, żeby spojrzeć na Coltona. Jest w nich coś, czego nie potrafię uchwycić, ale oboje przeszliśmy w ciągu ostatnich dni tak wiele, że przypuszczalnie to zwykle przeciążenie emocjonalne.

Siedzimy tak przez moment. Z każdą chwilą Colton coraz bardziej się wycofuje. Wiem, że Haddie to widzi, ale po prostu trąkocze dalej, jakbyśmy nie byli w szpitalu i jakbym ja wcale nie opłakiwała utraconego dziecka. Dobrze, że to robi, bo, jak zwykle, doskonale wie, czego potrzebuję.

Właśnie opowiada, że rozmawiała z moimi rodzicami, którzy zmierzają do mnie z San Diego, gdy dostaje SMS-a. Czyta go, po czym patrzy na Coltona.

— Becks jest na parkingu i chce, żebyś zszedł po niego.

Patrzy na nią dziwnie, lecz potakuje, całuje mnie w czoło i uśmiecha się łagodnie.

— Zaraz wrócę, dobrze?

Uśmiecham się w odpowiedzi i patrzę za nim, jak wychodzi z pokoju. Potem spoglądam na Haddie.

— Możesz mi powiedzieć, co tu jest, do cholery, grane? — pyta, a ja się śmieję, bo wiem, że będzie walić prosto z mostu. — Kurde — wzdycha. — Kazałam ci zakosztować trochę buntowniczego seksu z nim, oczyścić się z pajęczyn i takie tam. A tymczasem ty nadajesz się do

jakiegoś talk show. Zapłodniona siłujesz się z facetem z bronią i przeżywasz poronienie dziecka, o którym nie miałaś pojęcia.

Znowu pojawiają się łzy, ale tym razem ze śmiechu, bo każdy, kto posłuchałby tej rozmowy, uznałby Haddie za bezduszną, ale ja wiem, że głęboko w środku radzi sobie z nieoczekiwanym niepokojem w jedyny znany sobie sposób, czyli za pomocą sarkazmu. Dla mnie to jak terapia, bo przywykłam do tego przez ostatnie dwa lata w ciężkie noce po wypadku z Maxem.

Haddie śmieje się ze mną, ale jej śmiech szybko zastępują łzy. W końcu patrzy na mnie i mówi:

— Wiesz, kto by przypuszczał, że ten facet ma supermocną spermę, która potrafi zrobić istny desant i naprawić zepsute łono jak jakiś pieprzony superbohater?

Krztuszę się ze śmiechu i wzdrygam na to, co powiedziała, bo nigdy nie opowiadałam jej o superbohaterach Coltona, ponieważ nie chciałam zawieść jego zaufania. Ale ona tego nie zauważa, tylko kontynuuje.

— Od teraz logo Supermana będzie mi się kojarzyło z Coltonem i jego supersperumą. Przebijającą jajeczka i niebiorącą jeńców.

Chichoczę razem z nią, a jednocześnie uśmiecham się po cichu do jej słów i spoglądam w stronę drzwi, bo desperacko go pragnę i potrzebuję.

— Jak on się czuje? — pyta, gdy jej zabarwiony łzami śmiech powoli wygasa.

Wzruszam ramionami.

— W ogóle nie mówi nic bezpośrednio o... o dziecku. — Trudno mi wypowiedzieć to słowo. Zaciskam powieki, żeby powstrzymać powracające łzy. Haddie ściska moją dłoń. — Nie powiedział tego, ale wini za to siebie. Wiem, że myśli, że gdyby nie zostawił mnie w Domu samej, to ojciec Zandera nie odważyłby się wejść. Nie uderzyłby mnie. I nie doszłoby do... — To głupie, że nie potrafię wykrztusić słów „poronienie” lub „utrata dziecka”, bo po tym, co mnie spotkało, powinnam zasadniczo być przyzwyczajona do ich wypowiedania. Ale za każdym razem, gdy o tym myślę... i gdy to mówię, czuję się jak za pierwszym razem.

Haddie kiwa potakująco głową i zerka na mnie, po czym spuszcza wzrok na nasze złączone dłonie. Czekam, aż się odezwie, rzuci jakimś haddie'izmem, żeby mnie rozśmieszyć. Ale gdy podnosi wzrok, w jej oczach błyszczą łzy.

— Przeraziłaś mnie do szpiku kości, Ry. Colton do mnie zadzwonił... Gdybyś słyszała, jak brzmiał... Nie miałam żadnych wątpliwości, co do ciebie czuje.

Oczywiście idę w jej ślady i zaczynam płakać, więc ona siada na łóżku obok mnie i przytula mnie mocno do siebie. W tej samej pozycji przesiedziałyśmy wiele godzin po tym, jak straciłam Maxa i nasze dziecko. Przynajmniej tym razem kamień na moim sercu jest nieco lżejszy.

## Rozdział 32.

Czuję się jak na paradzie, gdy Colton pcha mój wózek inwalidzki w stronę wyjścia ze szpitala. Nie potrzebuję go, ale pielęgniarka powiedziała, że taka jest polityka szpitala. Moja mama rozmawia cicho z Haddie, a mój ojciec słucha z półuśmiechem na twarzy, bo nawet on nie jest odporny na jej urok. Becks podjeżdża range roverem bezpośrednio pod wejście, a Sammy stoi na straży, żeby w razie czego odgonić prasę, która na szczęście nie wie o moich najnowszych doświadczeniach. Jeszcze.

Colton popycha wózek w milczeniu. Zresztą milczał przez większą część ostatnich dwóch dni. Gdyby to był ktokolwiek inny, przypisałabym to wycofanie nieoczekiwanemu poznaniu moich rodziców. Pierwsze spotkanie z rodzicami partnera lub partnerki to poważny krok w każdym związku, a już na pewno w związku z kimś takim jak Colton, który nie ma żadnych doświadczeń w takich sprawach. Jakby tego było mało, poznał ich po tym, jak jego dziewczyna poroniła dziecko, z którego istnienia nie zdawała sobie sprawy.

Ale w przypadku Coltona chodzi o coś innego. I chociaż Kocham rodziców za to, że przybyli do mnie jak najszybciej, Haddie za jej niezachwiany humor, Becksa za nieoczekiwane żarty i każdą inną osobę, która wpadła, żeby życzyć mi zdrowia, to chciałabym w końcu zostać z Coltonem sam na sam. Wtedy nie będzie się mógł przede mną ukrywać i ignorować tego, co chodzi mu po głowie. Milczenie powoli zaczyna nas dusić, a ja potrzebuję powietrza. Chcę, żebyśmy mogli sobie powzruszyć, pokrzyknąć, popłakać i powściekać się po to, żeby to wszystko z siebie wyrzucić, a nie da się tego zrobić na oczach rodzin pilnujących, żebyśmy się nie załamali.

Bo my potrzebujemy się załamać. Musimy pęknąć. Dopiero wtedy będziemy w stanie pozbierać swoje kawałki i na nowo poskładać się w całość.

Zerkam za siebie na Coltona i jego spokojny wyraz twarzy. Po głowie chodzą mi uparte myśli o tym, co by się stało, gdyby nie zdarzenie z ojcem Zandera. Co by było, gdybym wciąż była w ciąży? Jak by to na nas wpłynęło?

*Nie skupiaj się na tym*, powtarzam sobie, chociaż tylko o tym potrafię myśleć. O ciąży. Wydaje mi się to tak realną perspektywą, wręcz namacalną, że nieustannie przebłyskuje w mojej głowie. Colton zatrzymuje wózek za wyjściem i staje przede mną. Patrzy mi w oczy. Łagodność zajmuje miejsce intensywności, którą widziałam w jego oczach przez ostatnie kilka dni. Na jego usta wpełza uśmiech. Czy ja byłabym w stanie odejść od tego faceta dlatego, że chcę dziecka, a on nie chce? Czy byłabym w stanie odejść od mężczyzny, bez którego nie potrafię żyć, dla czegoś, za co jeszcze niedawno oddałabym wszystko?

*Nie*. Odpowiedź jest prosta. Ten złamany, piękny, dojrzewający mężczyzna jest po prostu dla mnie zbyt ważny, żebym była w stanie kiedykolwiek od niego odejść.

Colton nachyla się i kładzie delikatny pocałunek na moich ustach, a ja mam poczucie winy za swoje myśli.

— Wszystko w porządku? — pyta.

Wyciągam dłoń i kładę ją na jego policzku, po czym uśmiecham się, potakując.

— Tak, a u ciebie?

Uśmiecha się szerzej, bo wie, że nawiązuję do tego, jak mój ojciec taksował go wzrokiem, zastanawiając się, czy to odpowiedni mężczyzna dla jego małej córeczki.

— Daję radę — odpowiada, puszczając mi oczko, i potrząsa głową. Potem prostuje się, nie odrywając ode mnie wzroku i wciąż ogrzewając mi serce swym uśmiechem. — Wątpisz w moje możliwości?

— Nie, w to z całą pewnością nie wątpię. — Śmieję się, ale przestaję, gdy on przechyla głowę i patrzy na mnie. — Co?

— Dobrze w końcu widzieć twój uśmiech — stwierdza łagodnie. Nagle spogląda na coś za moim ramieniem i jego spojrzenie pochmurnieje. Gdy wraca wzrokiem do mnie, jego oczy są z powrotem jasne i łagodne. — Gotowa, żeby stąd spadać?

Chwyta mnie za jeden łokieć, moja mama za drugi, a ja wstaję. Oboje mnie asekurują, co jest zupełnie zbędne.

— Jest w porządku, naprawdę — mówię do nich.

Mama obejmuje mnie ramionami i przytula nieco dłużej niż normalnie.

— Jeśli chcesz, możemy zostać jeszcze jeden dzień. Dopilnujemy, żeby było ci miło i przytulnie, zanim wrócimy do domu.

— Ona nie idzie do domu. — Wszystkie głowy, w tym moja, jak na komendę zwracają się w stronę Coltona. Ale on mimo tych wszystkich spojrzeń patrzy wyłącznie na mnie. — Zostaniesz u mnie. Koniec tematu.

Po tym rozporządzeniu mija uśmiechającego się Becketta, zadowoloną Haddie i moich oniemiałych rodziców. Zamyka tylną klapę samochodu i podchodzi do moich rodziców.

— Oczywiście jak najbardziej możecie także u mnie zostać. Mam mnóstwo miejsca. — Unosi brwi do nich, gotowy obalić wszelkie ewentualne zastrzeżenia.

— Nie, w porządku — odpowiada mój ojciec, chwytając wyciągniętą rękę Coltona i wymieniając z nim uścisk dłoni. — Wierzę, że będziesz się nią dobrze opiekował.

To takie proste. Czuć między nimi nienazwaną więź, jak między ojcem a ukochanym jego córki. Dwaj mężczyźni. Dwaj obrońcy. Colton trzyma zdecydowanie dłoń mojego ojca i potakuje, przyjmując zaufanie, jakim został obdarzony. Zgodnie z *męskim kodem* jest teraz odpowiedzialny za mnie. Patrzą sobie w oczy przez dłuższą chwilę, a ja czuję wzbierające w gardle emocje. Zerkam na mamę, która obserwuje ich rozmowę i także ma w oczach łzy.

Obie patrzymy na nich jeszcze trochę, po czym mama pomaga mi wsiąść do samochodu. Zapina mi pas, po czym ujmuje moją twarz w dłonie i spogląda mi w oczy.

— Powiedziałaś mi, że nie jesteś pewna, co jest między tobą i Coltonem. — Odgarnia mi z twarzy niesforny kosmyk. — Ten facet jest w tobie zakochany po uszy, słonko. — Uśmiecha się łagodnie i kiwa głową, gdy otwieram usta i próbuję temu zaprzeczyć. — Jestem twoją mamą i widzę to jak na dłoni, Ry. Mężczyźni nigdy tego nie widzą, nie akceptują i nie pragną, dopóki się o to nie potkną i nie wpadną w to twarzą. Jesteś szczęściarą, że drugi raz w życiu zdarza ci się mężczyzna, który chce się specjalnie potknąć i wpaść w tę studnię bez dna. Nawet jeśli coś zepsuje... — Unosi dłoń, gdy chcę go obronić, i przewraca oczami. — Spójrzmy prawdzie w oczy, to mężczyzna, na pewno coś zepsuje... W każdym razie bądź wyrozumiała, bo kocha cię równie mocno jak ty jego. Słowa, których nie potrafi wypowiedzieć, są wypisane na całej jego przystojnej twarzy.

Potakuję bez słowa, przygryzając dolną wargę, żeby powstrzymać nieskończony strumień znowu wzbierających łez.

— Wiem — mówię bardzo cicho, przytłoczona szczęściem i smutkiem.

Sięga w dół i ściska moje dłonie oparte na udach.

— Jeśli jest ci pisane dziecko, Ry, będziesz je miała. Wiem, że to wcale nie sprawi, że poczujesz się lepiej, ale przypomnij sobie te słowa w środku nocy, gdy będzie ci smutno. Pamiętaj, że w życiu nie chodzi o to, żeby przetrwać sztorm, tylko żeby umieć tańczyć w deszczu. — Nachyla się i całuje mnie w policzek. — Kocham cię.

— Ja też cię kocham, mamó — odpowiadam i obejmuję ją, a jej mądre słowa dźwięczą mi w głowie. — Dziękuję.

Pozostali żegnają się szybko, bo samochód stoi w miejscu, gdzie nie wolno parkować. Beckett żegna się ostatni. Colton rozmawia o czymś z Sammym z drugiej strony auta, a Becks przytula mnie krótko. Chce zamknąć drzwi, ale zatrzymuje się i patrzy na mnie, kiwając głową.

— To o kole ratunkowym działa w obie strony, wiesz? Wykorzystaj je. Wykorzystaj jego. Nie pęknie, jeśli to zrobisz... ale ty możesz pęknąć, jeśli tego nie zrobisz.

— Dzięki, Becks. Jesteś dla niego naprawdę dobrym przyjacielem.

— Prędeż dupkiem! — mówi Colton, siadając za kierownicą. — Byłby jeszcze lepszym przyjacielem, gdyby zabrał swoje łapska z mojej dziewczyny i pozwolił mi zabrać ją do domu.

— Oto i nasz dobrze wychowany przyjaciel — mówi Beckett ze śmiechem, ściskając moją dłoń. — Też cię kocham, Wood!

— Również, stary! — śmieje się Colton. Przyciska guzik na desce rozdzielczej i silnik budzi się do życia.

— Trzymaj go krótko — mówi Becks, puszcżając mi oczko i potrząsając głową, po czym zamyka drzwi.

Wyjeżdżamy z parkingu i oboje cieszymy się zapadłą ciszą. Chcę jak najszybciej być w domu i znaleźć się w łóżku, wtulona w pokrępiające ciepło Coltona. Zamykam oczy i odchylam głowę, a mój umysł przewija każde chaotyczne zdarzenie z ostatnich kilku tygodni. Wzdycham w ciszy, a Colton włącza radio i chwyta mnie za rękę.

W powietrzu zaczyna unosić się głos Sarah Bareillis. Zaczynam bezwiednie nucić i uśmiecham się z powodu trafności słów. Wiem, że Colton słyszy te słowa, bo ściska moją dłoń. W końcu otwieram oczy i jestem zdumiona tym, co przed sobą widzę.

— Colton, co...?

— Wiem, że wciąż jesteś obolała, ale chciałem zabrać cię w miejsce, które cię uszczęśliwi.

— Ty mnie uszczęśliwiasz — stwierdzam i łapię na chwilę jego spojrzenie, żeby wzmocnić swoje słowa, po czym przenoszę wzrok na rozciągającą się przed nami plażę.

— Tym razem jestem przygotowany. — Uśmiecha się nieśmiało. — Mam koce, kurtki i trochę jedzenia, jeśli chcesz ze mną pójść i posiedzieć trochę na słońcu.

Śmieję się, a w oczach zbierają mi się łzy.

— Chcę. Przepraszam — mówię o łzach, które ocieram. — Jestem w rozsypce emocjonalnej. Hormony ciążowe i... — milknę, bo uświadamiam sobie, że poruszyłam temat tabu, którego jeszcze nie omawialiśmy.

Zapada między nami niezręczna cisza. Colton chwyta mocno kierownicę, wzdycha głośno i bez słowa wysiada. Otwiera tylne drzwi, wyciąga jakieś rzeczy, po czym pomaga mi wysiąść.

— Ostrożnie — mówi, gdy powoli zsuwam się z fotela.

— Nic mi nie jest.

Chwytam się za dłonie i w milczeniu schodzimy na plażę. Tym razem jest więcej ludzi, nie tak jak wtedy, gdy byliśmy tu kilka miesięcy temu na naszej pierwszej oficjalnej randce. Czuję radość w sercu, że zabrał mnie w miejsce, w którym mogę znaleźć pocieszenie.

— Tu będzie dobrze? — pyta, po czym puszcza moją dłoń i rozkłada koc na piasku, stawiając obok brązową papierową torbę z zakupami. Gdy próbuję usiąść, chwyta mnie za biodra.

— Nic mi nie będzie — mówię cicho, chociaż uwielbiam czuć na sobie jego dłonie. Zwykły dotyk, który daje mi siłę, komfort i bezpieczeństwo.

Siada za mną tak, że jestem między jego nogami, i przyciąga mnie do swojej piersi, obejmując ciasno. Opuszcza głowę w zagłębienie mojej szyi i wzdycha.

— Wiem, że nic ci nie będzie, Ry, ale było naprawdę groźnie. Wiem, że jesteś silna i

niezależna i że przyzwyczałaś się robić wszystko samodzielnie, ale pozwól mi się teraz tobą zaopiekować, dobrze? Potrzebuję tego... potrzebuję, żebyś mi na to pozwoliła — kończąc, przyciska usta do mojej skóry i tak zostaje. Czuję ciepło jego oddechu i łaskotanie zarostu.

— OK — szepczę i wzdycham głęboko, a kłujący ból w brzuchu przypomina mi, że musimy porozmawiać. Przechylam głowę w stronę słońca i zamykam oczy, ciesząc się ciepłem, chociaż w środku czuję chłód.

— No powiedz to — mówi z lekką irytacją w głosie. — Czuję, że się spinasz i udajesz, że wcale nie myślisz obsesyjnie o tym czymś, o co chcesz mnie spytać. Nie będziesz w stanie się rozluźnić, dopóki tego nie powiesz — chichocze. Jego pierś wibruje na moich plecach, ale wyczuwam, że niekoniecznie jest zachwycony.

Nie otwieram oczu jeszcze przez chwilę, bo nie chcę zniszczyć tego spokoju między nami. Muszę jednak rozwiązać to ukryte napięcie.

— Musimy porozmawiać o... o dziecku. — W końcu udaje mi się to powiedzieć i jestem z siebie dumna, że mój głos nie drżał jak za każdym razem w ciągu ostatnich kilku dni, gdy próbowałam poruszyć ten temat. — Nic mi o tym nie powiedziałeś i nie wiem, co myślisz... ani co czujesz. A muszę to wiedzieć...

— Dlaczego? — pojedyncze słowo wrywa mu się niczym kolano w odruchu skokowym, bo chociaż nie widzę jego twarzy, wyczuwam, że jego ciało się spięło. — Dlaczego ma to znaczenie? — pyta w końcu nieco bardziej opanowanym głosem.

*Bo tak właśnie się robi w związkach*, chciałabym mu odpowiedzieć, lecz zamiast tego wzdycham cicho i mówię:

— Colton, przytrafiło się nam coś poważnego... a przynajmniej mnie...

— Nam — poprawia mnie, czym wytrąca mnie przez chwilę z mojego toku myślenia. Po raz pierwszy naprawdę uznał dziecko, które straciliśmy. Coś, co stworzyliśmy razem i co w jakiś sposób zawsze będzie nas wiązało.

— Nam. Ale ja nie wiem, jak się z tym czujesz. Wiem tylko, że mój świat zachwiał się w posadach i że kręci mi się od tego wszystkiego w głowie. Ja po prostu... Jesteś przy mnie i doświadczasz tego ze mną, ale jednocześnie czuję, jak się zamykasz i nie rozmawiasz ze mną — wzdycham. Mam świadomość, że plotę bez ładu i składu, ale nie za bardzo wiem, jak do niego trafić. Próbuje jeszcze raz. — Powiedziałeś, że potrzebujesz, żebym pozwoliła ci się sobą zaopiekować. Rozumiem to. A czy ty rozumiesz, że ja potrzebuję, żebyś ze mną porozmawiał? Że nie chcę, żebyś mnie teraz odcinał? Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnę, jest zamartwianie się tym, na czym stoimy.

Zmuszam się do zamilknięcia, bo zaczynam słyszeć desperację we własnym głosie. Colton nie odpowiada, więc siedzimy w niezręcznej ciszy. Zaczyna się ode mnie odrywać, a ja przygotowuję się na pustkę i na to, że zdystansuje się, chociaż teraz najbardziej go potrzebuję. On jednak zanurza nos w moich włosach i po prostu mną oddycha. Zamykam oczy i czuję dreszcze na skórze, bo wiem, że nie zamierza mnie odepchnąć, lecz po prostu, jak to on, potrzebuje chwili na zebranie myśli.

— Rylee... — wzdycha moje imię w tak przesycony emocjami sposób, że aż wstrzymuję oddech z przejęcia. Opiera czoło o tył mojej głowy i ściska dłońmi moje ramiona. — Nie potrafię o *ty* rozmawiać. Po prostu nie potrafię — wyznaje, akcentując słowo „*ty*” tak, że wiem, iż chodzi mu o dziecko. — Mogę rozwiązywać tylko jeden problem w danym momencie, a teraz wciąż jeszcze próbuję uporać się z tym, że prawie cię straciłem.

Przesuwa czoło w lewo i w prawo po mojej głowie.

— Nie przywykłem do uczuć, Ry, tylko do życia w odrętwieniu... Uciekania na pierwszy sygnał, że robi się zbyt poważnie. A ty, my... — wzdycha. — To jest tak cholernie poważne, że

bardziej nie mogłoby być. Czuję, jakby ktoś przywalil mi z zaskoczenia w brzuch w sytuacji, gdy dopiero przyzwyczajałem się do nowej pierdolonej normalności. Jestem w rozsypce i nie wiem, gdzie jest góra, a gdzie dół, ale staram się z tym uporać najlepiej jak potrafię. To oznacza, że muszę jakoś wyrzucić z głowy obraz ciebie przypominającej martwą szmacianą lalkę.

Jego słowa docierają głęboko do mojej duszy i wskrzeszają ziarenko nadziei, które obumarło wraz z poronieniem i obawami trawiącymi mnie z powodu jego milczenia. Nie chce rozmawiać o dziecku, bo nie potrafi, ale przynajmniej mi o tym powiedział. I chociaż chciałabym z nim o tym pogadać i zapewnić go, że potrzebuję tylko jego, a resztę możemy ustalić później, to milczę i pozwalam mu, żeby najpierw uporał się z tym, co mnie spotkało.

Przesuwam się, żeby usiąść bokiem i przekładam nogi nad jego nogą. Chcę zobaczyć jego twarz i pokazać mu, że wszystko jest w porządku. Patrzę w jego zagubione oczy, kładę dłoń na jego policzku i łagodnie się uśmiecham.

— Nic mi nie jest, Colton. Uratowałeś mnie — mówię i kładę czuły pocałunek na jego ustach, których chyba nigdy nie będę miała dosyć. — Dziękuję, że mnie uratowałeś.

— Myślę, że to ja powinienem tobie podziękować. — Potrząsa nieznacznie głową. — Bo to ty mnie uratowałaś.

Jego słowa wyplaszają z mojej głowy wszelkie myśli poza słowami, których nie mogę mu powiedzieć. *Kocham cię*. Kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek będziesz wiedział, i bardziej, niż kiedykolwiek będę w stanie wyrazić. Czy on ma świadomość, że mogłam go uratować tylko dlatego, że w końcu mnie do siebie wpuścił? Kiedy w końcu pogodzi się z tym, że jest wart uratowania? Patrzymy sobie w oczy i rozmawiamy bez słów. Zaskakuje mnie, gdy w kącikach jego oczu zbierają się łzy, a on bierze drżący oddech.

— Obojgu nam nic nie jest, Ry. Ja po prostu potrzebuję małego pit stopu, żeby przerobić sobie w głowie całe to badziewie, do którego nie przywykłem, dobrze? Nie proszę cię o przestrzeń i rozejście się na jakiś czas, tylko o odrobinę cierpliwości, gdy będę próbował to wszystko ogarnąć.

Potakuję, przygryzając dolną wargę, bo nie potrafię wykrztusić ani słowa. Fizycznie nie jestem do tego zdolna po jego słowach. Chce złagodzić wszystkie moje największe obawy, zanim mój umysł zacznie jak zwykle wszystko nadmiernie analizować.

Siedzimy tak przez chwilę, tym razem w komfortowym milczeniu.

— Jesteś głodna? — pyta po jakimś czasie. Wzruszam ramionami, rozkoszując się wtulaniem głowy w jego szyję i obejmującymi mnie ramionami. — Gdy byliśmy tu pierwszy raz, zwałaś mnie z nóg.

— Dlaczego? — mój głos jest senny i zadowolony. Nie ma takiego miejsca na świecie, w którym wolałabym teraz być.

Czuję jego wzruszenie ramion.

— Nie wiem. Myślałem, że się wkurzysz, że zabrałem cię na plażę i nakarmiłem salami, serem i winem z plastikowych kubeczków — chichocze. — Nie wiedziałem, że zachwiejesz całym moim światem.

Ogarnia mnie fala ciepła. Przez głowę przemykają wspomnienia tego, jak siedziałam tu z tym nieziemsko przystojnym mężczyzną i zastanawiałam się, co on, do cholery, we mnie widzi. Teraz to rozumiem. Dostrzegał kawałki mnie, które mogą utworzyć nową całość. Akceptował szorstkie krawędzie, które wymagały wygładzenia, bo też taki był. A teraz znowu jesteśmy w rozsypce i musimy się poskładać na nowo. Tym razem jednak mamy siebie nawzajem i możemy na sobie polegać.

— Boże, byłeś takim fiutem, ale po prostu nie potrafiłam ci się oprzeć, *As*.

— No, kochana, wciąż jestem równie arogancki i z pewnością mam sporego fiuta.

Przewracam oczami i chichoczę.

— Dobry Boże! — Nie potrafię przestać, a on całuje mnie w czubek głowy. — Arogancja jak u króla.

— Nie — odpowiada. — Jak u asa.

— Słabe! — mówię. Cieszy mnie nasze swobodne przekomarzanie się. Odchylam się i patrzę mu w oczy. — Serio? Nie wymyślisz nic lepszego? Tylko do tego potrafisz dojść?

— Oj, Ry — uśmiecha się do mnie zmysłowo i obdarza mnie szybkim pocałunkiem w usta — nie bój się o dochodzenie, bo byłoby ci bardzo trudno znaleźć mężczyznę, z którym będziesz dochodzić lepiej niż ze mną.

Nim cokolwiek wykrztuszę, oplata mnie ramionami i przyciska usta do moich. Nasze serca splatają się tak, jak nigdy nie podejrzewałam, że w ogóle można.

Pokochaliśmy się.

Zgubiliśmy się.

A teraz na nowo szukamy wspólnego gruntu. Szukamy nas. A ja jeszcze nigdy nie czułam się tak przyjemnie, zatracając się w kimś po to, żeby odnaleźć się na nowo.

\*\*\*

— Na pewno wszystko w porządku?

Czuję jego ciężar na łóżku, gdy siada obok mnie, a jego woda kolońska natychmiast przesłania antyseptyczny zapach pozostawiony przez sprzątających.

— Uhm. Jestem po prostu zmęczona — mówię i przewracam się na bok, żeby móc na niego spojrzeć. — Dzięki za to popołudnie. — Nawiązuję do chwil spędzonych na plaży. Do naszej rozmowy, do jedzenia z delikatesów, które przypomniało nam pierwszą randkę, i do milczenia, które nie było już bolesne i samotne. — A u ciebie wszystko w porządku?

Klepie Baxtera po głowie i nachyla się, żeby pocałować mnie czule w usta. Zauważam, że nie odpowiedział na moje pytanie.

— Pójdę teraz trochę popracować — oznajmia i wstaje z łóżka. — Na pewno wszystko w porządku?

— Tak, Colton. Prześpię się po prostu. — Odwraca się, żeby odejść od łóżka, ale ściskam jego dłoń. — Hej, nie wiesz, gdzie jest mój telefon? Chciałabym zadzwonić do Haddie, żeby się nie martwiła.

Podchodzi do komody i podaje mi go. Całuje mnie w czoło i w nos, a potem wychodzi. Patrzę za nim i wiem, że nigdy mi się nie znudzi. Nigdy nie przestanę go sobie cenić, skoro dotarcie do tego punktu wymagało tyle pracy.

Włączam telefon i ze zdziwieniem zauważam, że bateria się nie rozładowała, chociaż leżał tu od tamtej feralnej nocy. Potrząsam głową, gdy widzę niekończącą się liczbę życzeń powrotu do zdrowia. Czytam kilka wiadomości o zbliżającej się przełomowej imprezie mającej upamiętnić rozpoczęcie nowego projektu, ale ostatni SMS zupełnie mnie rozwała.

Zapiera mi dech w piersi i kradnie moje serce.

To od Coltona. Chyba jeszcze nigdy nie napisał mi czegoś tak szczerego i wyrażającego tak absolutną desperację.

*Czuję się zagubiony. Jesteś gdzieś tam w środku tego cholernego szpitala, a ja potrzebuję rozmowy z tobą. Twojego dotyku. Czegokolwiek związanego z tobą, bo jestem przerażony jak diabli... Dlatego powiem ci to w sposób, który na pewno zrozumiesz. Lighthouse, Broken.*

Teraz pojawiają się łzy. Spływają po mojej twarzy, a ja nawet nie próbuję ich powstrzymać ani ukryć, bo i tak nikt ich teraz nie zobaczy. I dlatego, że są to łzy radości.

On mnie kocha.





## Rozdział 33.

**Colton**

— Zamierzasz tu siedzieć i topić smutki całą noc jak jakaś jęcząca dupa czy co? Dochodzący z atramentowych ciemności głos przeraża mnie do szpiku kości.

— Ja pierdolę, Becks! — warczę i odwracam się, żeby zobaczyć, jak wylania się z tyłu domu. — Co to ma być, stary? Nie słyszałeś nigdy o drzwiach frontowych?

— Taa, a ty nie słyszałeś nigdy o odbieraniu pieprzonego telefonu? Poza tym pukanie jest dla przyjaciół, a ja jestem pieprzoną rodziną, więc przestań marudzić.

— Od dwóch miesięcy jestem tak częstym gościem w szpitalach, że nie mam teraz w planie ataku serca. — Biorę spory łyk piwa i w końcu czuję się na tyle pijany, że gdy myślę o Rylee, obraz jej zimnego, pokrytego krwią i bezwładnego ciała nie pojawia się jako pierwszy.

— Cóż, to jaki jest w takim razie twój plan? — pyta, otwierając piwo wyciągnięte z lodówki. Z jego uśmiešku wnioskuję, że ma coś do przekazania, a ja, *do cholery*, nie potrzebuję żadnych przekazów, porad czy czegokolwiek w tym stylu.

— Jasne, czuj się jak u siebie w domu — mówię. — Złodzieju mojego piwa.

— Nieee, ja je tylko pożyczam — odpowiada i klapie na krzesło obok mnie. Siedzimy w milczeniu, próbując odgadnąć swoje nastroje. — Nie mieliśmy kiedy pogadać w szpitalu.

— Tak? Cóż, miałem na głowie istotniejsze rzeczy niż pieprzenie z tobą o głupotach. — Kurde, zachowuję się jak dupek. Potrzebowałem wtedy jego obecności, ale teraz nie czuję się zbyt komfortowo, bo nie wiem, do czego zmierza. Czuję, że zmyje mi głowę. *Kurwa!*

— Śpi? — pyta, wskazując podbródkiem w stronę piętra.

— Jest po północy, więc jak myślisz?

— Nie bądź takim dupkiem. Słuchaj, trafiło ci się sporo szajsu i...

— Odwal się, Becks. Daj mi po prostu napić się w spokoju piwa. — Rzucam pustą butelkę w stronę kosza i nie trafiam. Chyba jestem bardziej pijany, niż mi się wydaje. Cholera.

— Nie ma takiej opcji, bracie. — Wzdycha, a ja mówię pod nosem „bałwan”, co wywołuje jego chichot. — Spieprzyłeś to wszystko zbyt wiele razy, dlatego przyszedłem ci pomóc.

— Uważaj, żeby drzwi nie uderzyły cię w dupę, gdy będziesz wychodził, *misiaczk*. — Chcę po prostu zostać sam. Ja, piwo, pies i mój święty spokój.

— Niezła próba, ale jesteś na mnie skazany. Coś jak na opryszczkę, tyle że lepiej. *Co?*

— Stary, czy ty właśnie porównałeś siebie do pieprzonej opryszczki? — Odchylam się i patrzę w gwiazdy, po czym spoglądam na niego i potrząsam głową. — Bo w przypadku opryszczki przynajmniej najpierw zostałby obsłużony mój fiut. W twoim przypadku bardziej możliwe, że trzeba się wypiąć bez żadnego smarowania.

Śmieje się tym swoim śmiechem, który unosi kąciki moich ust. Uparty bałwan dobiera się do mnie, chociaż marzę o tym, żebym został sam.

— Cóż, dobrze wiedzieć, że byś się wypiął — stwierdza, puszczając mi oczko, i gapi się na mnie tak długo, aż nie wytrzymuję i wybucham śmiechem, przed którym się powstrzymywałem.

— Jesteś chorym pojebańcem, wiesz o tym? — mówię, otwierając kolejne piwo.

— Nie chciałbyś mnie, gdybym był inny.

— Uhm — odpowiadam i wypijam pół butelki, pozwalając, by na chwilę zapadła między nami cisza. Z jednej strony wolałbym zostać sam, żeby poukładać chaos w głowie, z którego

wynika, że raczej prędzej niż później stanę przed koniecznością podjęcia pewnych decyzji. Z drugiej strony jednak miło mieć przy sobie Becks'a, nawet jeśli jest jak wrzód na dupie. Stukam kciukiem do grającej w głośnikach piosenki Seether, a Becks daje mi kilka minut, zanim zacznę się bawić w psychoterapeutę i będzie grzebał w toksycznych odpadach w mojej głowie.

— Pamiętasz tę pannę, Roxy Tomlin? — pyta w końcu, zwalając mnie z nóg.

— *Odkurzaczkę?* — śmieję się. Ciekawe, po co wspomina królową obciążania z dawnych czasów. Tę, która zrobiła laskę najpierw jemu, a potem mnie. Normalnie wyrzuciłbym ją za drzwi po takim numerze, ale skoro Becks twierdził, że to było najlepsze obciążanie w jego życiu, postanowiłem dać szansę jej chętnym ustom.

— Tak, odkurzaczkę. Nieskończone ssanie — śmieję się ze mną, potrząsając głową na to wspomnienie. — Wciąż dość wysoko w mojej prywatnej klasyfikacji.

— Nie jest to Rylee, ale owszem — wzruszam ramionami — była całkiem przyzwoita.

— Przyzwoita? — wyszczekuje. — Przysięgam na Boga, ta kobieta nie miała odruchu wymiotnego.

— Może dlatego, że masz za małego, żeby dotrzeć aż do tyłu gardła. — Poruszam do niego brwiami i dopijam piwo. Skoro chciał przyjść do mojego domu, żeby mieszać mi w głowie, to ja też mogę mu trochę pomieszać.

— Pieprz się, Wood.

Siedzę i uśmiecham się, a kapsel jego butelki trafia mnie w klatkę piersiową.

— Zdarzały mi się znacznie lepsze oferty, mój drogi, ale i tak dziękuję — mówię i zastanawiam się usilnie, do czego on właściwie zmierza, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

— Wpadłem na nią ostatnio. — Jego spokojny głos skłania mnie, by odwrócić głowę i na niego spojrzeć.

— *I...?*

— Byłem zszokowany tym, co zrobiła.

— A to czemu? — udaję zainteresowanie, chociaż niezbyt mnie to obchodzi. Zerkam w stronę okna sypialni, w którym światło nadal się nie świeci, i chociaż jeszcze daleko mi do upojenia, cieszę się, że Ry tam jest. Próbuję się skupić na Becksie, ale dlaczego miałaby mnie interesować wyruchana przez nas obu łatwa sztuka, która miała nasrane w głowie bardziej ode mnie?

— Prawie jej nie poznałem. Wciąż jest olśniewająco piękna. Nieco pełniejsza we wszystkich właściwych miejscach.

*Taa, do rzeczy, Beckett.*

— Razem z nią były trzy dzieciaki.

— Słuchaj, stary. Wiem, że odsłaniasz tu przede mną jakąś skomplikowaną tajemnicę, ale nie nadążam za tobą, więc zmierzaj do sedna. — Nagle doznaję olśnienia. *O cholera!* — Hej, ale to nie twoje dzieciaki, Becks?

— Jezu Chryste, Donovan, jesteś bardziej pijany, niż myślałem — krztusi się śmiechem, po czym podnosi dłoń i wskazuje na siebie palcem. — Patrzysz na króla, który zawsze wchodzi w płaszczu!

— A kto cię tego nauczył, palancie?

— Na pewno nie ty, bo najwyraźniej sam nie stosujesz się do własnych nauk.

Jego nieoczekiwane słowa wywołują kłujący ból w moich trzewiach, którego nienawidzę. To samo ukłucie czuję za każdym razem, gdy myślę o Rylee leżącej na pieprzonej podłodze nie wiadomo jak długo, i za każdym razem, gdy myślę o cząstce mnie, która umarła w jej wnętrzu. Sączę piwo, odpychając te refleksje z głowy i zmuszając się do oddychania.

— Dokąd, do cholery, zmierzasz, Daniels? Bo jestem nawalony, skończyła mi się

cierpliwość i zaczyna mi się wydawać, że chcesz mnie sprowokować do żywej reakcji na ów pieprzony wniosek, do którego zmierzasz. Dlatego po prostu mi go powiedz.

— Pamiętasz, jak kiedyś zrobiliśmy się na ognisku u Jimmy'ego?

— Beckett! — warczę na niego, bo cierpliwość skończyła mi się jakieś pięć minut temu.

— Wyluzuj, zatkaj się i słuchaj. — Podnoszę głowę, żeby na niego spojrzeć, bo kompletnie nie mam nastroju. — Byliśmy nieźle nawaleni i ona zaczęła opowiadać o całym tym szajsie, który spotkał ją w życiu. Pamiętasz? — Potakuję oszczędnie, bo wciąż nie rozumiem, gdzie on, do cholery, zmierza, chociaż pamiętam jej opowieść o byciu wykorzystywaną na wszelkie możliwe sposoby. Rozmowę, w której w ogóle nie zabrałem głosu. — Twierdziła, że nigdy nie chce mieć dzieci, bo życie jest zbyt popieprzone i ona nie chce, żeby musiały przechodzić takie piekło jak ona. A teraz ma trójkę dzieci, męża i wydaje się naprawdę szczęśliwa.

— No i? — warczę na niego.

— Przestań być taki uparty, Donavan, i połącz te pierdolone kropki, dobrze?

— Nie jestem pieprzoną konstelacją. Twoje kropki nie tworzą żadnego obrazka, więc pomóż mi, do jasnej cholery.

— Dla mnie wyglądasz trochę jak Mała Niedźwiedzica — uśmiecha się szyderczo.

Biorę leżącą obok mnie poduszkę i ciskam w niego.

— Spieprzaj! Już przedź Wielka! — Biorę potężny łyk piwa. Cholera, skończyło się. Znikają tak szybko, że nie nadążam z liczeniem. Normalnie przespałbym się tutaj, ale Ry jest na górze. Nie ma mowy, żebym zasnął bez niej przy boku. Wzdycham, a słowa Becksa krążą mi po głowie i przeczuwam, o co mu chodzi, chociaż nie potrafię tego w pełni uchwycić. — Serio, Becks, co ty mi próbujesz przekazać? Po prostu mi powiedz.

— Wszystko się zmienia, stary! Życie. Priorytety. Z góry wyrobione poglądy. Musisz się do nich dostosować albo zostaniesz w tyle. — Wstaje, podchodzi do poręczy i spogląda w czerną noc. Gdy się odwraca, jest śmiertelnie poważny. — Jesteśmy przyjaciółmi od ilu? Prawie dwudziestu lat. Kocham cię, stary. Nigdy nie wtrącałem się w twoje klocki... Nie mówiłem ci, która kobieta ma ci ogrzewać pościel, ale ja cię pieprzę, Wood...

Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa. Muszę zrobić unik.

— Z tego, co pamiętam, mówiłeś, że powinienem wypieprzyć jakąś niunię, a nie ciebie — stwierdzam, próbując rozluźnić humorem tę poważną konwersację. Nie mam pojęcia, jak przeszliśmy od Odkurzaczki do tego, że Becks wtyka swój nos w nie swoje sprawy.

Śmieje się. Ma czelność drwić sobie ze mnie. A potem podchodzi do mnie i potrząsa głową.

— Nie czaisz tego, prawda? Nie mów mi o pieprzeniu niuń, bo na górze masz wszystko, czego potrzebujesz, ona śpi w twoim łóżku i jedyną osobą, która może to spieprzyć, jesteś ty! — krzyczy na mnie.

Co, do licha? Bierze jej stronę? Niech to szlag, jeśli magiczna cipka Rylee nie wpłynęła na niego, a przecież zawsze był na to odporny. Ona naprawdę jest jakaś supermagiczna.

— Becks? Jak niby miałbym to spieprzyć? Jest tutaj, prawda? Chcę, żeby tu była, przywozłem ją tutaj, więc czego jeszcze ode mnie oczekujesz? I co tu ma do rzeczy Odkurzaczka?

— Jezu Chryste, ja pieprzę! — mówi, przechodząc obok mnie i pociągając spory łyk piwa. — Jest tutaj na razie! Jest tutaj, dopóki nie zaczniesz zbyt dużo myśleć o waszej relacji, bo teraz, gdy się okazało, że jednak może mieć dziecko, nie wiadomo, czy będzie chciała z tobą być, skoro ty nigdy nie chcesz ich mieć. Jest tutaj, dopóki nie zaczniesz jej odpychać i krzywdzić, prowokując do podjęcia decyzji za ciebie, żebyś nie musiał robić tego samodzielnie. Ale świat się

zmienia, Colton! Spójrz na taką Roxy „Odkurzaczkę” Tomlin. Nigdy nie chciała mieć dzieci z powodu szajsu, który ją spotkał, gdy sama była dzieckiem, a teraz co? Dzieci są całym jej pieprzonym światem!

— Pierdol. Się. — Chłód mojego głosu mógłby równać się z chłodem polarnej czapy lodowej.

— Nie, Colton, to ty się pierdol! Siedziałeś w tym cholernym pokoju szpitalnym, gdy najbardziej cię potrzebowała, i faktycznie, byłeś przy niej... Ale poprawianie poduszek nie złagodzi jej wewnętrznego bólu. Ani twojego. Siedziałem tam i wyraźnie widziałem, jak powoli się od niej oddalałeś.

— Ostrzegam cię, Becks! — mówię i wstaję z zaciśniętymi pięściami, a w moich żyłach krąży furia. Jego słowa są zbyt trafne. Ocierają się o coś, czego nigdy nie chciałem i nie tolerowałem, ale czego nagle nie potrafię wyrzucić z umysłu. O wyobrażenia życia, którego miałem nigdy nie doświadczyć. Jak to jednak w ogóle możliwe? Zepsuta karuzela w mojej głowie wciąż wiruje, ale ja myślę tylko o tym, że Becks powinien się już zamknąć, bo ma pieprzoną rację, mówiąc o odpychaniu. I o tym, że nie było mnie przy niej, gdy najbardziej mnie potrzebowała. Ma tak bardzo rację, że aż boli mnie żołądek.

— Prawda boli, stary? Masz ochotę mi przywalić? Odrzucić prawdę, z którą nie chcesz się zmierzyć?

Zgrzytam zębami i rzucam butelką do kosza, obserwując, jak rozbija się na milion pieprzonych kawałeczków. Jestem znowu w tym samym punkcie: rozbite szkło, pokawałkowany umysł i wszystko w rozsypce. Becks szturcha mnie w ramię od tyłu, żeby mnie sprowokować, a ja błyskawicznie połykam przynętę. Obracam się, zginam ręce jak do ciosu i zaciskam pięści. Jestem wściekły do granic możliwości.

Ale Becks stoi bez ruchu ze wzrokiem wbitym w moje oczy. Unosi podbródek, jakby chciał powiedzieć „pieprz się”, i prowokuje mnie do zadania ciosu.

— Jaki masz problem, mistrzu? Już nie jesteśmy tacy twardzi, co?

Całe moje ciało wibruje od wszystkich emocji, które tłumilem w sobie przez ostatni tydzień, ale nie potrafię się ruszyć. Patrzę na niego i desperacko pragnę wyrzucić z siebie to pierdolone poczucie winy, które zżera mnie od środka.

Czuję, że to wszystko moja wina. Nie okazałem się mężczyzną, zostawiłem ją z Zanderem, nie wróciłem do Domu odpowiednio szybko, za późno przyszedłem do ubikacji. Poczucie winy przywiera do wszystkiego we mnie, do całej mojej nadziei i do mojej wewnętrznej trucizny. Jedyne, czego pragnę, to otworzyć następne piwo, otumanić się i odepchnąć to wszystko precz.

— Chcesz się bić? A może sobie darujesz? A może powalczysz o coś, co jest tego warte? Bo ona — mówi, wskazując okno sypialni, i obniża głos, który staje się stalowo cichy — ona jest tego warta, stary. Warta każdego lęku, który cię zżera. Warta wszystkiego, od A do pierdolonego Z, bo jest całym twoim jebanym alfabetem. — Staje przede mną i szturcha mnie palcem w klatkę piersiową. — Czas uporać się z przeszłością, bo Rylee... — ponownie wskazuje pokój na piętrze, a potem z powrotem na mnie. — Rylee jest twoją przyszłością. Czas wybrać: walczysz czy uciekasz. Miejmy nadzieję, że jesteś mężczyzną, za jakiego zawsze cię uważałem.

Całe moje ciało spina się na jego słowa. Jestem niemożliwie wściekły na siebie, że nie powiedziałem mu od razu, iż pieprzy od rzeczy. Jestem kurewsko wściekły na to, że przez chwilę, przez ułamek sekundy, poczułem taki strach, że pomyślałem o ucieczce.

Pomyślałem o ucieczce, chociaż ona na każdym kroku udowadnia, że jest wojowniczką. Diabelnie piękną, nieposłuszną i zadziorną wojowniczką. Pokazuje to za każdym razem, gdy musi walczyć o swoje, a tymczasem ja się waham. Zgrzytam zębami tak mocno, że za chwilę

złamię sobie zęby trzonowe. Odwracam się od Becksa, podchodzę do poręczy i ciskam przekleństwo w ciemność równą tej, którą czuję teraz w swojej duszy.

Nie zasługuję na nią. Grzesznik i święta. Moja ostrożność i jej flaga z szachownicą. I chociaż wiem to wszystko, a przy każdym wdechu czuję z tego powodu ból w klatce piersiowej, to mam przed oczami tylko ją. Tylko jej pragnę. *Mojej pieprzonej Rylee.*

— Zapomniałeś języka w gębie, Colt? — szydzi Becks za moimi plecami. — Jesteś aż tak głupi, że odejdziesz od niej dlatego, że była w ciąży? Z powodu jakiegoś szajsu, który zda...

Już po mnie.

Pękam.

To jak benzyna dolana do mojego ognia.

— Nie masz zielonego pojęcia, co się stało! — odwracam się i krzyczę do niego łamiącym się głosem. — Zielonego pojęcia!

Beckett błyskawicznie pokonuje dzielące nas pięć kroków.

— Masz rację! Nie mam zielonego pojęcia! — Chwyta mnie za ramiona, żebym nie mógł się od niego odwrócić, i chociaż próbuję mu się wyrwać, nie potrafię. — Ale Colton, *bracie*, obserwowałem przez lata, jak męczy cię to, co ta jędra ci zrobiła, gdy byłeś dzieckiem, lecz *już nim nie jesteś*. Nie jesteś tamtym dzieciakiem. *To już nie wróci*. I stary, Rylee to akceptuje. Akceptuje cię. *Kurwa, ona cię kocha*. Wymyśl, jak się z tym pogodzić, a reszta sama się ułoży. — Klepie mnie dłonią po twarzy, po czym odchodzi o krok i potrząsa głową. — Czas dorosnąć i uświadomić sobie, że też ją, do cholery, kochasz, bo jest już dość późno i możesz stracić jedyną osobę, dzięki której znowu jesteś szczęśliwy. Wymyśl, jak się uporać z przeszłością, żebyś nie stracił pieprzonej przyszłości.

Po tych słowach skurwiel kiwa głową i odchodzi w stronę domu, jakby nigdy nic. Zatrzymuje się przed drzwiami i odwraca się do mnie.

— Gdy byliśmy młodszy, nie rozumiałem tego, ale pamiętasz, co twój ojciec mówił o tym, że cierpienie to odczuwanie i takie tam ściemy? — Potakuję. — No to myślę, że powinienesz sobie to teraz przypomnieć.

Odwraca się i znika w domu, zostawiając mnie w ciemnościach nocy sam na sam z prześladowającymi mnie wspomnieniami.

\*\*\*

*Cierpieć to odczuwać, odczuwać to żyć, a czy nie lepiej być żywym?* Mantra mojego ojca chodzi mi po głowie, gdy wchodzę do pokoju i widzę śpiącą Ry.

Ja pieprzę.

Wciąż zapiera mi dech w piersi. Wciąż wzbudza we mnie takie pragnienie, potrzebę i pieprzoną żądzę, jak żadna inna kobieta. Wiem, że nadal pragnę ją zdeprawować. To się nigdy nie zmieni. Śmieję się w myślach, chociaż głęboko w środku wiem, że to już nie ma znaczenia. Tylko ona się teraz liczy.

Rylee. Pieprzona flaga w szachownicę i w ogóle.

Podchodzę do łóżka. Mógłbym godzinami na nią patrzeć. Ciemne loki rozsypane na mojej poduszce, podkoszulek na ramiączkach, który zakrywa te idealne cycki, lecz jest podciągnięty na brzuchu, odsłaniając skąpane w księżycowym świetle blizny z przeszłości. Blizny, które jeszcze trzy pieprzone dni temu symbolizowały pozbawienie jej upragnionej przyszłości.

Obserwuję ją i pocieram się dłonią po boku, wzdłuż swoich atramentowych blizn, które także jeszcze trzy pieprzone dni temu symbolizowały niemożliwą dla mnie przyszłość. Docieram do ostatniego tatuażu, pustego i bezbarwnego. Ostatnia rzecz, jaką muszę rozwiązać, żeby

uzyskać pewność, że mogę zrobić to, czego pragną moja głowa i moje serce.

Bo bagaż potrafi być naprawdę ciężki. Może cię pochłonać. Nie pozwolić ci się ruszyć. Zabić cię. I czasem uczucia to za mało, żeby się od niego oderwać i pójść dalej. Ale gdy stoję tu i patrzę, jak jej pierś wznosi się i opada, wiem z całą pewnością, że nadszedł czas, żeby odprawić do lotu mojego boeinga 747 z bagażem i wszystkim innym.

*Bo postanowiłem walczyć.*

Oddech więźnie mi w gardle, gdy sobie uświadamiam, że tego pragnę. Pragnę jej — w swoim życiu, w dzień, w nocy, teraz, później. Ta myśl mnie zdumiewa. Rozwala i skleja na nowo. Poskramia nieposkromione. Ja pieprzę.

Potrząsam głową i śmieję się cicho. Powinienem raczej powiedzieć, że tego *nie* spieprzę. Nie mogę już wytrzymać i wsuwam się na łóżko obok niej, odpychając wspomnienia tego, co stało się ostatnim razem, gdy leżeliśmy tu razem.

Poddaję się poczuciu konieczności krążącemu we mnie jak adrenalina, której pragnę. Obejmuję ją i przyciągam mocno do siebie, a ona odwraca się w moich ramionach tak, że jej twarz chowa się pod moim podbródkiem, ramiona są przyciśnięte między naszymi klatkami piersiowymi, a ciepło jej oddechu muska moją skórę, po czym szepcze:

— Kocham cię, Colton.

Jej głos jest tak delikatny, że prawie go nie słyszę. Tak cichy i zaszpany, że uświadamiam sobie, iż powiedziała to przez sen, ale i tak oddech więźnie mi w piersi. Czuję ból w sercu i bijący szaleńczo puls. Otwieram usta, lecz zamykam je, żeby przełknąć, bo czuję, jakbym właśnie zjadł pół worka waty kosmetycznej. Robię jedyną rzecz, jaką jestem w stanie zrobić: całuję ją w czubek głowy.

Chciałbym zwalić to na pieprzony alkohol. Chciałbym wierzyć, że któregoś dnia uda mi się wypowiedzieć te słowa i nie będę się czuł, jakbym otwierał stare rany i na nowo je rozjątrzał.

Chciałbym wierzyć, że mam szansę na normalne życie. Że ta wtulona we mnie kobieta jest moim lekarstwem.

Dlatego mówię jej jedyne słowa, które potrafię i które mają dla niej znaczenie.

— Wyściguję cię, Ry. — Całuję ją w ramię. — Branoc, mała.

## Rozdział 34.

— Impreza zaczyna się o czwartej. Będziecie, prawda?

— Jasne, mamó! Będziemy — krzyczy Shane i z potężnym uśmiechem na twarzy wychodzi dumnym krokiem przez drzwi wejściowe, kręcąc na palcu kluczyki od samochodu.

— Boję się, że stworzyliśmy potwora — śmieję się, odwracając się do Coltona, który opiera się ramieniem o ścianę i patrzy na mnie z milczącą intensywnością. Dostrzegam pod jego oczami ciemne kręgi, które nie schodzą mu już od kilku tygodni. Smuci mnie to, bo najprawdopodobniej znowu ma koszmary, lecz nie rozmawia o nich ze mną. No ale w zasadzie nie rozmawia ze mną o niczym poza pracą, chłopcami lub ceremonią rozpoczęcia realizacji projektu. To dziwne, bo między nami nie ma żadnych spięć. Wręcz przeciwnie, jest uważniejszy i bardziej czuły niż kiedykolwiek wcześniej, ale mam wrażenie, że próbuje mi w ten sposób zrekompensować to, że jeszcze nie porozmawialiśmy o poronieniu.

Prosił o przestrzeń i dałam mu jej aż nadto. Nie mówiłam nic o stracie dziecka, o swoich uczuciach ani o tym, jak sobie z nimi radzę. Posunęłam się w tym tak daleko, że nawet nie powiedziałam mu o wczorajszej wizycie kontrolnej.

Rozumiem, że oboje radzimy sobie z tym na swój sposób. Jego metoda polega na odgradzeniu się i przemyśleniu tego w pojedynkę, lecz moja wymaga nieco ciaśniejszej więzi i nieco bliższego kontaktu. Potrafię znieść chwilowy dystans, o ile wiem, że jest chwilowy, lecz jednocześnie dobija mnie, gdy widzę, jak cierpi. Sama też cierpię, bo potrzebuję go, a nie mogę poprosić o nic więcej. Potrzebuję kontaktu, który zawsze był dla nas czymś oczywistym.

Dobija mnie to, że daję mu przestrzeń, o którą prosił, chociaż pragnę mu pomóc.

Gdy dzisiaj w nocy obudziłam się z koszmaru pełnego zmiażdżonych samochodów i zakrwawionych podłóg, patrzyłam jak śpi, a mój umysł powędrował w stronę tych ciemnych, mrocznych myśli, przed którymi ukrywam się w świetle dnia. Zastanawiałam się, czy jego niechęć do rozmowy o poronieniu wynika z tego, że się boi, iż chce teraz dziecka. I że jesteście przekłeci, bo on nigdy nie będzie go chciał.

Ale jeśli nie mogę z nim porozmawiać, bo zmienia temat za każdym razem, gdy próbuję go poruszyć, to nie mogę mu powiedzieć, że wcale tak nie jest.

Oczywiście myślę czasem o dziecku, ale nie mogę się na nie nastawiać. Nie mogę pozwolić sobie na wiarę w to, że taki powypadkowy cud zdarzy się więcej niż jeden raz w moim życiu. Taka nadzieja mogłaby mnie zniszczyć, gdybym kierowała się tylko nią.

Ale co, jeśli kieruję się nadzieją, że on ze mną porozmawia i do mnie wróci, a tymczasem on będzie powoli się odsuwał i coraz bardziej wymykał z moich dłoni? Czy taka nadzieja mnie nie niszczy? Becks stwierdził, że muszę być cierpliwa, bo na ile może powiedzieć po tylu latach przyjaźni, Colton sam rozwiązuje swoje problemy, ale nie powinnam pozwolić mu się za bardzo oddalić. A skąd, u licha, mam wiedzieć, jak bardzo to za bardzo?

Chcę być mu potrzebna równie mocno jak on był mi potrzebny, gdy borykałam się z emocjami związanymi z utratą czegoś naszego i wspólnego... I dobija mnie to, że on myśli inaczej. Owszem, obejmuje mnie przez całą noc, gdy śpimy, ale jego umysł jest gdzieś indziej. Być może orbituje wokół niekończących się ostatnio SMS-ów i szeptanych rozmów. Denerwuje mnie to, chociaż głęboko w środku wiem, że mnie nie zdradza.

Coś jednak ukrywa, z czymś próbuje się uporać i robi to beze mnie, chociaż ja potrzebuję jego pomocy.

Próbuję sobie mówić, że to z braku więzi fizycznej za bardzo wszystko analizuję i przesadzam. Bo chociaż leżę w jego ramionach każdej nocy, przytulona do jego piersi dokładnie



tak, jak pragnę, to od powrotu ze szpitala jeszcze nie uprawialiśmy seksu. Całujemy się, lecz gdy próbuję to pogłębić, zjeżdżam dłońmi w dół jego ciała i staram się doprowadzić do tego, żeby zapragnął mnie równie mocno jak ja jego, chwyta mnie za nadgarstki i mówi, że powinniśmy poczekać, aż poczuję się lepiej, chociaż mówiłam mu, że nic mnie nie boli i że czuję się doskonale. I że chcę poczuć go w sobie i zespolić się z nim. Chcę, żeby mnie wziął.

Odrzucenie strasznie mnie boli, bo znam Coltona. Wiem, że ma temperament i potrzebuje fizyczności, gdy cierpi. Dlaczego więc mnie nie weźmie, skoro wyraźnie widzę cierpienie w jego oczach?

Otrząsam się z myśli i skupiam na wpatrujących się we mnie szmaragdowych oczach mężczyzny, którego kocham. I boję się jak diabli, że wymyka mi się z dłoni.

— Potwór? Nie — mówi, potrząsając głową, i uśmiecha się połowicznie tak, że jego dołek się pogłębia. — Rozpuszczony nastolatek? Zdecydowanie tak.

Uśmiecham się do niego, a on podchodzi do mnie, bo w końcu może mnie dotykać, skoro pozostali chłopcy są na treningu baseballu i wrócą dopiero na imprezę inauguracyjną.

— Wszystko w porządku? — pytam chyba milionowy raz w ciągu ostatniego tygodnia.

— Taa, nie narzekam. A u ciebie?

— Też. — I tak wygląda nasza codzienna konwersacja, odbywana przynajmniej trzykrotnie. Potwierdzamy, że wszystko w porządku, nawet jeśli nie jest. — Colton... — mój głos opada, bo tracę odwagę, by zapytać go o więcej.

Wyczuwa moje wahanie, kładzie mi dłoń na policzku i pociera go delikatnie kciukiem. Zamykam oczy i wchłaniam jego dotyk, bo dla mnie to coś znacznie więcej niż tylko skóra ocierająca się o skórę. Czuję wibracje przenikające do najgłębszych zakątków mojego jestestwa, wkradające się w nieznane wcześniej miejsca, piętnujące je swoją obecnością i niewidzialnymi tatuażami, które sprawiają, że nie istnieję dla nikogo innego.

Otwieram oczy, Colton stoi na wprost przede mną i patrzy na mnie.

— Hej, przestań się martwić. Wszystko będzie dobrze. Damy sobie z tym radę. — Przełyka ślinę i spuszcza na chwilę wzrok, po czym podnosi go z powrotem na mnie. — Próbuję po prostu ogarnąć swoje brudy, żeby nie wpływały na nasz związek.

— Ale... — Ucina moje zastrzeżenia pocałunkiem. Delikatnym muśnięciem, które powoli się pogłębia, bo Colton wsuwa mi język między wargi i zaczyna powolny taniec z moim językiem. Czuję smak pragnienia splecionego z pożądaniem, ale zachodzę w głowę, dlaczego on za tym nie podąży?

Przesuwam dłonie w górę, żeby móc pobawić się jego włosami tuż nad karkiem i w ten sposób uciszyć umysł i kazać mu cieszyć się chwilą obecną i Coltonem. Czuję wzbierające łzy, bo rozwała mnie czułość jego dotyku, a ja jestem wrażliwa i na krawędzi załamania.

Nie wiem, czy wyczuł mój drżący oddech, gdy próbowałam powściągnąć emocje, ale odrywa się od moich ust i całuje mnie w nos, co niemal przerywa tamę łez. Potem odsuwa moją głowę i spogląda na mnie. Trzyma moją twarz w dłoniach i przeszukuje moje oczy.

— Nie płacz — szepcze i całuje mnie w czoło. — Proszę, nie płacz — mruczy.

— Ja tylko... — wzdycham, bo nie umiem znaleźć słów, które nie byłyby nachalne i wyrażałyby to, co czuję i czego od niego pragnę.

— Wiem, mała. Wiem. Ja też. — Przyciska usta do moich ust, a po policzku spływa mi kolejna łza. — Ja też.

\*\*\*

Zgromadzeni ludzie klaszczą, gdy kończę przemawiać i schodzę z podium. Taksuję wzrokiem publikę. Shane siedzi obok Jacksona i klaszcze razem z pozostałymi, ale nie widzę

Coltona.

Próbuję wymyślić jakieś wiarygodne usprawiedliwienie niewytłumaczalnej nieobecności głównego sponsora projektu na ceremonii otwarcia i sesji fotograficznej, które nastąpią za niespełna dziesięć minut.

Gdzie on, do cholery, jest? Przecież nie opuściłby celowo czegoś dotyczącego chłopców lub projektu, którego realizacja bez niego byłaby zasadniczo niemożliwa. Ruszam w stronę Shane'a, żeby spytać go o Coltona, i zerkam po drodze na telefon. Nic. Żadnego nieodebranego połączenia, żadnego SMS-a, nic.

Oklaski ustają, a na mównicę znowu wchodzi Teddy, żeby zakończyć konferencję prasową.

— Shane! Shane! — szepczę podniesionym głosem i pokazuję, żeby do mnie podszedł.

Jax szturcha Shane'a, który rusza w moją stronę. Odwracam się i odchodzę na bok, zakładając, że Shane pójdzie za mną. Skręcamy za róg, żeby nie być na celowniku prasy, a ja zmuszam się do oddechu.

— Gdzie jest Colton? — pytam, nie próbując ukrywać niepokoju.

— Cóż — odpowiada Shane, przebierając nogami, po czym podnosi wzrok i spogląda mi w oczy. — Gdy tu jechaliśmy, zadzwoniła jakaś Kelly. Colton kazał mi zjechać na pobocze, bo chciał wysiąść i porozmawiać na osobności.

Serce przestaje mi bić i podchodzi do gardła, chociaż mówię sobie, że musi istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie tego zdarzenia. Ale wmawianie sobie i przekonanie samej siebie to dwie zupełnie inne kwestie.

— Wszystko w porządku? — pyta Shane, a jego niebieskie oczy błędzą po mojej twarzy i trafiają w moje.

Ganię się w duchu, bo uświadamiam sobie, że Shane nie jest już dwunastolatkiem, tylko nastolatkiem na progu męskości, który dostrzega pewne rzeczy.

— Taa, w porządku, po prostu dziwię się, że go nie ma, i tyle.

— Wiesz, po chwili wrócił do samochodu i mówił tej osobie, że oddzwoni za kilka minut, bo musi nas tu przywieźć. Przyjechaliśmy tuż przed rozpoczęciem przemów i powiedział, żebyśmy poszli, a on zaraz do nas dołączy. Wysiadł i patrzył, jak siadam obok Jaxa, a potem widziałem, że rozmawia przez telefon i macha mi na pożegnanie. Dlaczego? Coś się stało, Ry?

— Nie, nic się nie stało. Po prostu nie zdążyłam odebrać jego telefonu — okłamuję Shane'a i przypuszczalnie także siebie, żeby osłabić siłę tego ciosu. — Byłam ciekawa, czy mówił ci, kiedy wróci, bo nie chciałabym, żeby przegapił przecięcie wstęgi.

— Cóż, na pewno musiało mu wypaść coś bardzo ważnego, skoro go tu nie ma. Wie, jak wiele to dla ciebie znaczy i w ogóle — stwierdza, uśmiechając się nieznacznie. Próbuje mnie pocieszyć w niezręczny, typowy dla nastolatków sposób i moje serce puchnie z dumy.

— To musiało być bardzo ważne — mówię i uśmiecham się do niego. — Dobrze wiecie, że jesteście dla niego całym światem. — Kładę dłoń na jego ramieniu i wracamy do tłumu. Mam nadzieję, że Shane nie odczyta tego, czego nie powiedziałam, czyli że być może ja już nie jestem dla Coltona całym światem.

Wracamy w sam raz na ceremonię przecięcia wstęgi. Nie mogę się powstrzymać i gorączkowo przeczesuję wzrokiem tłum. Powtarzam sobie w myślach słowa Shane'a: *to musiało być coś naprawdę ważnego*. Coś poważnego. Pytanie jednak brzmi: co?

Po chwili oczywiście dopadają mnie wątpliwości i zaczynają podkopywać moją pewność. Wskoczyło coś z Tawny? Z jego rodziną? Ale gdyby tak było, to by zadzwonił, napisał lub jakoś się skontaktował, prawda?

Po zakończeniu ceremonii zegniam się z chłopcami, a moje nerwy są w strzępach.

Przeszłam przez z troskanie, zdenerwowanie, niepokój i gniew, a teraz, gdy jadę autostradą w stronę domu na Broadbeach Road i wciąż trafiam na jego pocztę głosową, jestem tak pełna obaw, że przewraca mi się w żołądku.

Gdy dojeżdżam do bramy i parkuję na pustym podjeździe, szaleję z niepokoju. Otwieram drzwi frontowe i krzyczę jego imię. Nie muszę jednak nawet wchodzić do kuchni, by wiedzieć, że go nie ma. Poznają nie tylko po entuzjastycznym szczekaniu Baxtera, lecz także po złowieszczej ciszy.

Otwieram przesuwne drzwi, żeby wypuścić Baxtera na taras, i przychodzi mi do głowy kolejne wyjaśnienie. A co, jeśli coś stało się z jego głową? Co, jeśli doznał jakiegoś urazu i potrzebuje pomocy, ale nikt o tym nie wie?

Wbiegam z powrotem do kuchni i wybieram numer Haddie.

— Cześć!

— Czy Colton dzwonił do domu?

— Nie, a co się stało? — pyta Haddie z troskanym głosem, lecz ja nie mam czasu na wyjaśnienia.

— Wytłumaczę ci później. Dzięki. — Rozłączam się, gdy ona jeszcze coś mówi.

Przepraszę ją za to później, bo teraz wybieram kolejny numer.

— Rylee!

— Becks, gdzie jest Colton?

— Nie mam pojęcia, czemu?

Słyszę w tle kobiecy chichot, ale w ogóle nie zastanawiam się nad tym, w czym im przeszkodziłam.

— Nie pokazał się na ceremonii. Shane mówił, że ktoś do niego zadzwonił, i potem już nikt go nie widział.

Beckett każe kobiecie być cicho.

— Nie pokazał się? — Słyszę jakieś trzaski na drugim końcu linii, a głos Becketta jest zabarwiony niepokojem.

— Nie. Kim jest Kelly?

— Kto? — pyta i milknie na chwilę. — Nie mam pojęcia, Ry.

Znowu milknie, a ja zaczynam wątpić w jego szczerość i wypowiadam na głos rozsypane myśli.

— Mam gdzieś wasz męski kod i tym podobne rzeczy, Beckett, więc jeśli wiesz, to musisz mi powiedzieć, niezależnie od tego, czy będzie to dla mnie bolesne, czy nie, bo jestem przerażona jak cholera i... i... — plotę gorączkowo i w końcu zmuszam się do przerwania, bo zaczynam wpadać w histerię, która nie ma żadnych podstaw poza moją intuicją, podszeptującą mi, że coś jest nie tak.

— Uspokój się. Weź głęboki oddech. OK? — Zaciskam powieki i biorę się w garść. — Ostatni raz, gdy z nim gadałem, uczył Shane'a prowadzić, a potem mieli pojechać na ceremonię. Wiesz...

— No to czemu nie odbiera telefonu?

— Ry, on ma kupę badziewia do przemyślenia, może po prostu... — milknie, bo nie wie, co mi powiedzieć. Słyszę, jak wzdycha głęboko, i idę zamknąć taras, bo Baxter właśnie wrócił. Zaczyna dzwonić telefon stacjonarny i widzę, że to Quinlan. Coś się dzieje, a jej imię na wyświetlaczu mówi mi, że moje obawy są uzasadnione.

— Quinlan dzwoni, muszę kończyć — mówię do Becketta i zanim się rozłączam, słyszę, jak prosi, żebym oddzwoniła.

— Wszystko z nim w porządku? — pytam od razu po odebraniu, a niepokój sprawia, że

czuję palący kwas w żołądku.

— O to samo chciałam cię zapytać. — Troska w jej głosie dorównuje mojej.

— Co? A skąd wiesz, że coś mogłoby być nie w porządku? — *Mam mętlik w głowie.*

Myślałam, że ona wie, co się dzieje.

— Byłam na zajęciach cały dzień i miałam wyłączony telefon. Właśnie go włączyłam i odsłuchiłam jego wiadomość. — Boję się spytać, co powiedział. — Wydawał mi się zdenerwowany. Plótł coś o tym, że musi z kimś pogadać, bo jest w całkowitej rozsypce psychicznej. *I że on wie.* Ale nie wyjaśnił, co to znaczy.

Ołów kapie na moją duszę, gdy próbuję połączyć puzzle, które w ogóle do siebie nie pasują.

— Coś się stało, Ry? Coś związanego z poronieniem? Ja... Nigdy nie słyszałam, żeby tak brzmiał.

W moim umyśle pojawiają się urywki myśli, ale żadna nie tłumaczy tego, co się dzieje z Coltonem. Ruszam po schodach na górę, bo przychodzi mi do głowy pewne miejsce, w którym może być.

— Quin, chyba wiem, gdzie on jest. Zadzwoń, jak się upewnię.

Rzucam telefon na łóżko i pośpiesznie idę do łazienki, zostawiając za sobą ścieżkę z eleganckich ubrań, które z siebie zrzucam. Po chwili jestem już w dresie i zawiązuję buty najszybciej jak potrafię. Sięgam po telefon i biegnę po schodach w stronę drzwi prowadzących na taras, a potem zbiegam w dół na plażę.

Ruszam pełnym sprintem w stronę miejsca, w które Colton zabrał mnie w tę pierwszą, brzemiennej w skutki noc w jego domu. Jego szczęśliwego miejsca, do którego przychodzi pomyśleć. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tam właśnie musi być. Przypuszczalnie siedzi na skale, patrzy, jak słońce chowa się za horyzontem, i próbuje ogarnąć to wszystko, co się wydarzyło.

Dlaczego jednak nie wzięła ze sobą Baxtera? I gdzie jest jego samochód? Odpycham wątpliwości, przekonując się, że na pewno tam rozmyśla, ale niepewność rośnie z każdym krokiem.

Niepewność zmienia się w pewność, gdy dobiegam na miejsce i widzę, że go nie ma. Od razu wyciągam telefon i dzwonię.

— Znalazłaś go? — pyta zdenerwowanym głosem Becks. Głupio mi, że doprowadziłam go do takiego stanu, ale boję się o Coltona.

— Nie. Myślałam, że wiem, gdzie jest, ale... — muszę przerwać, żeby złapać oddech, bo płuca mnie palą od tego sprintu po plaży.

— Ry, co się dzieje?

— Zadzwoił do Quin i powiedział, że on *wie* i że jest w całkowitej rozsypce psychicznej — mówię, dysząc. — Więc pobiegłam do jego miejsca na plaży, ale tu go nie ma. Znasz go lepiej niż ktokolwiek inny... Gdzie chodzi, gdy potrzebuje oczyścić umysł, poza tym miejscem?

— Do ciebie.

— Co?

— Idzie do ciebie. — Jego szczerłość rezonuje na linii.

Staję jak wryta na te słowa. Trafiają bardzo głęboko i sprawiają, że serce puchnie mi z miłości i troski. Łzy wzbierają w moich oczach, bo uświadamiam sobie, jak rozpaczliwie za nim tęsknię. Odzyskałam go zaledwie kilka tygodni temu, a teraz znowu został mi zabrany przez okrutny splot wydarzeń, który doprowadził do poronienia. Przetykam gulę w gardle i próbuję odzyskać głos.

— Zanim się pojawiłam, Becks...

- Tor.
- Tam faktycznie może być. — Puszczam się biegiem w stronę domu. — Jadę tam.
- Chcesz, żebym...
- Ja to muszę zrobić, Becks. To muszę być ja. — To były najszczerze słowa w moim życiu, bo głęboko w środku czuję, że mnie potrzebuje. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że jestem mu potrzebna.
- Napiszę ci, jak dostać się do środka.
- Dzięki.

## Rozdział 35.

Z powodu ruchu na autostradzie dotarcie na tor zajmuje mi całą wieczność. Na skrzydłach nadziei i z sercem w gardle skręcam w zjazd w Fontanie, zastanawiając się, w co się wpakuję, gdy go znajdę.

Podjeżdżam pod bramę kompleksu i nadzieję wypiera panika, bo wszędzie panują atramentowe ciemności, przeplatane sporadycznie nielicznymi lampami na parkingu. Objeżdżam główny kompleks, kierując się w stronę tunelu, i wydobywam z siebie potężne westchnienie ulgi, bo widzę range rovera należącego do Coltona.

Czyli jest tutaj. I co mam teraz zrobić?

Parkuję obok jego samochodu i spoglądam w nieprzeniknione ciemności pustego toru. Wyłączam silnik i piszczę, bo ktoś puka w szybę od strony pasażera. Serce bije mi jak oszalałe, ale orientuję się, że to Sammy, więc zmuszam się do wznowienia oddychania i wysiadam z auta.

Troska w jego oczach potęguje moje zmartwienie.

— Proszę, powiedz, że nic mu nie jest, Sammy.

Sammy walczy ze sobą, bo nie chce zdradzić swojego szefa i przyjaciela.

— On cię potrzebuje — mówi tylko. I więcej nie musi.

— Gdzie on jest? — pytam, ruszając za Sammym przez ciemne przejście pod potężnymi trybunami. Docieramy do końca i zauważam, że jestem w środku trybuny głównej i patrzę na złowieszczo pusty tor. Wymieniam w ciemnościach spojrzenia z Sammym, który wskazuje wzrokiem za moje lewe ramię. Odwracam się natychmiast.

Zauważam go.

W tej części trybun pali się tylko jedna lampa i na skraju jej świetlnej obręczy dostrzegam samotny cień. Bez namysłu ruszam w jego stronę i wspinam się po kolejnych stopniach. Nie widzę jego twarzy, ale wiem, że na mnie patrzy, bo czuję ciężar jego spojrzenia. Docieram do rzędu siedzeń, w którym siedzi, i skręcam w jego stronę, czując jednocześnie niepokój i ulgę.

Próbuję się zastanowić nad tym, co powinnam powiedzieć, ale moje myśli są tak poszatkiwane przez strach, że nie potrafię się skupić. Ale gdy w końcu dostrzegam jego zacięzioną twarz, wszystko przestaje być ważne i zostaje tylko ściskająca serce bezwarunkowa miłość.

Jego postura mówi mi wszystko. Siedzi pochylony z łokciami na kolanach, opuszczonymi ramionami i twarzą naznaczoną łzami. A jego oczy, które zawsze były tak intensywne i błyszczały szelmostwem lub radością, są teraz przepełnione absolutną desperacją. Wpatrują się we mnie błagalnie, prosząc mnie o tak wiele, ale ja nie do końca wiem, jak powinnam zareagować.

Gdy w końcu do niego podchodzę, jego żal rozbija się o mnie niczym fala przypyływu. Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, wyrывa mu się szloch i przyciąga mnie do siebie. Chowa twarz w moim karku i zwiesza się, jakby naprawdę była jego kołem ratunkowym, dzięki któremu nie zsuwa się w otchłań i nie tonie. Obejmuję go i przywieram do niego, starając się dać mu to, czego potrzebuje.

Bo nic nie wzbudza większego niepokoju niż obserwowanie, jak silny i pewny siebie mężczyzna kompletnie się załamuje.

Jego stłumione szlochy wypełniają ciszę, a drgania ciała przenoszą się rykoszetem na moje ciało. Myślę intensywnie. Co się stało, że ten arogancki buntownik wpadł w taką rozpacz? Trzyma się mnie mocno, a ja szepczę „ciiiii”, kołysząc go delikatnie do przodu i do tyłu. Cokolwiek, byle uciszyć sztorm, który najwyraźniej szaleje w jego wnętrzu.

— Jestem tu, jestem tu — to jedyne słowa, które mogę powiedzieć, gdy wyzwala z siebie wszystkie wzburzone emocje. Tulę go w ciemnościach, w miejscu, w którym zrealizował swoje marzenia, i mam nadzieję, że zaczyna się godzić z demonami, przed którymi właśnie tu próbował uciec. Mam nadzieję, że się zatrzymał i że się z nimi mierzy.

Mija czas. Odgłosy ruchu na autostradzie za pustym parkingiem tracą na intensywności, a księżyc powoli przesuwają się po niebie. Colton nadal mnie trzyma, nadal czerpie ode mnie to, co jest mu potrzebne. Upajam się świadomością, że moje wątpliwości okazały się niesłuszne i on wciąż mnie potrzebuje. Skaczę w myślach po wspomnieniach i przypomina mi się ława pod prysznicem i to, jak wtedy do mnie przywarł. Tak samo jak teraz. Zastanawiam się, co mogło powalić mojego mężczyznę na kolana, i po prostu go trzymam tak jak wtedy i bawię się jego włosami. W końcu jego płacz powoli cichnie, a ciało nieco się rozluźnia.

Nie wiem, co powiedzieć i co myśleć, więc mówię to, co przychodzi mi do głowy jako pierwsze.

— Wszystko w porządku? Chcesz o tym porozmawiać?

Rozluźnia uścisk, po czym, biorąc drżący wdech, jeszcze mocniej przyciska dłonie do moich pleców i przytula mnie do siebie. Przeraza mnie, ale nie dlatego, że się go boję, tylko dlatego, że musiało się zdarzyć coś naprawdę poważnego, żeby zmusić go do takiej reakcji.

Odchyła się i zamyka oczy, zanim zdążę w nie zajrzeć. Pociera twarz dłońmi i wzdycha głośno. Potem zwiesza głowę i potrząsa nią, a ja ubolewam nad tym, że nie widzę jego twarzy.

— Zrobiłem... — zaczyna mówić i znowu wzdycha. Kładę dłoń na jego kolanie. Potakuje, jakby mówił do siebie, a potem jego ciało znowu się spina. — Zrobiłem to, co mówiłaś, że powinienem.

*Co? Zastanawiam się, co takiego kazałam mu zrobić.*

— Zrobiłem to, co mówiłaś, i teraz... teraz mam absolutny chaos w głowie. Jestem w całkowitej rozsypce psychicznej.

Jego łamiący się głos jest tak przesiąknięty żalem, że siadam obok niego i czekam, aż spojrzy mi w oczy.

— Co zrobiłeś?

Chwyta mnie za rękę, splata palce z moimi i mocno ściska.

— *Odszukałem swoją mamę.*

Oddech więźnie mi w gardle, bo gdy to mówiłam, nie sądziłam, że kiedykolwiek naprawdę to zrobi. Nie wiem, co teraz powiedzieć, ponieważ to ja spowodowałam całe to cierpienie.

— Colton... — tylko tyle udaje mi się wykrztusić. Tylko tyle mogę mu dać poza podniesieniem jego dłoni do ust i pocałowaniem jej.

— Kelly zadzwonił, gdy byłem... O kurwa! Przegapiłem ceremonię. Wystawiłem cię do wiatru — mówi z tak absolutnym niedowierzaniem, że wiem, iż naprawdę wyleciało mu to z głowy.

— Nie, nie, nie — uspokajam go, próbując mu przekazać, że to bez znaczenia. Że najważniejsze jest teraz to, że zmierzył się ze swoimi lękami. — Nic się nie stało — dodaję i znowu ściskam jego dłonie.

— Tak mi przykro, Ry... Ja po prostu... nie potrafię teraz w ogóle myśleć. — Odrywa wzrok ode mnie i zawstydzony spogląda w bok, ocierając drugą dłonią łzy z policzków. — Wiesz... — potrząsa głową i patrzy w dal, w ciemny tor przed nami. — To dość zabawne, że przychodziłem w to miejsce, żeby o wszystkim zapomnieć, a dzisiaj przyszło mi do głowy jako pierwsze, gdy musiałem się z tym wszystkim uporać.

Podążam za jego wzrokiem i patrzę na tor. Absorbuję wielkość — zarówno toru, jak i

czynu Coltona. Siedzimy w milczeniu, a mnie uderza znaczenie jego słów. Próbuje zmierzyć się z przeszłością, uzdrowić swoje rany i ruszyć dalej. Jeszcze nigdy nie byłam z niego tak dumna.

— Parę miesięcy temu spytałem ojca, czy wie, co się z *nią* stało. Skontaktował mnie ze swoim prywatnym detektywem, Kellym. Wynajmował go przez dziesięć lat, gdy byłem młodszy, bo chciał mieć pewność, że matka będzie się trzymała z daleka — mówi płaskim, beznamiętnym głosem, który wyraźnie kontrastuje z wcześniejszymi zdesperowanymi szlochami, ale i tak wyczuwam pod jego powierzchnią skrajne emocje. — Kelly zadzwonił dzisiaj i powiedział, że ją znalazł — mówi i patrzy na mnie osamotnionym wzrokiem małego chłopca, który próbuje znaleźć swoją ścieżkę. Rozbraja mnie to spojrzenie i przełamuje falę emocji, którą próbowałam powstrzymać, żeby być dla niego silną.

Chciałam być skałą, gdy on się chwieje.

Pierwsza łza spływa po moim policzku, kiedy wyciągam dłoń i kładę na jego policzku. Tym prostym dotykiem przekazuję mu to, co myślę, co czuję, i to, czego moim zdaniem ode mnie potrzebuje. Czuję pod dłonią jego zaciśniętą szczękę. Nie odrywając od niego oczu, nachylam się i muskam lekko jego usta.

— Jestem z ciebie taka dumna — szepczę. Nie pytam, co odkrył ani kim ona jest. Skupiam się na nim, na chwili obecnej, bo wiem, że próbuje się pogodzić z przeszłością, a jednocześnie stara się ogarnąć swoją przyszłość. Dlatego skupiam się na teraźniejszości i mam nadzieję, że zrozumie, iż będę przy nim przy każdym jego kroku, jeśli mi na to pozwoli.

Siedzimy tak w ciszy uwydatniającej mój wspierający dotyk i zrozumienie wyrażone pocałunkiem. Tym razem milczenie jest kojące i demonstrowane moją akceptacją dla jego umęczonej duszy.

Colton z trudem przełyka ślinę i mruga gwałtownie, jakby także próbował wszystko zrozumieć. Ale on ma o wiele więcej puzzli do poukładania niż ja, więc czekam cierpliwie, aż znowu się odezwie. Przerywa nasz kontakt wzrokowy i spogląda z powrotem na tor.

— Moja mama nie żyje — mówi te słowa bez jakichkolwiek emocji, lecz chociaż wypowiada je w ciemność nocy, czuję, że go dławią. Patrząc na niego, na jego profil skąpany w księżycowej poświacie na tle nocnego nieba i postanawiam, że nie będę nic mówić i pozwolę mu prowadzić tę konwersację.

Zniecierpliwiony wstaje z siedzenia, przechodzi do końca przejścia między siedzeniami i staje. Jego postać jest obramowana światłem pojedynczej lampy za nim.

— Nie zmieniła się. Domyślałam się, że nie powinienem był spodziewać się niczego innego — mówi bardzo cicho, ale i tak słyszę każdą modulację i każde załamanie jego głosu. Odwraca się w moją stronę, podchodzi kilka kroków i się zatrzymuje.

— Ja... Ja... mam teraz w głowie kompletny chaos i nie... — Pociera twarz dłońmi, po czym przeczesuje ręką włosy i śmieje się autoironicznym śmiechem, od którego przechodzą mnie ciarki. — Nie mam żadnego pozytywnego wspomnienia z nią związanego. Żadnego. Osiem lat mojego pierdolonego życia i nie pamiętam ani jednej chwili, która wywoływałaby mój uśmiech.

Wiem, że jest mu ciężko, i desperacko pragnę do niego podejść i go dotknąć, przytulić, pocieszyć, ale wiem, że potrzebuje to z siebie wyrzucić. Musi się pozbyć tej wymagowanej trucizny zatruwającej jego duszę.

— Moja matka była naćpaną dziwką. Mieczem wojowała i od miecza zginęła... — mówi z tak zjadliwą złośliwością i przejmującym bólem, że w moich oczach wzbierają łzy i nie potrafię opanować drżenia oddechu. — Tak — dodaje i znowu śmieje się tym złowieszczym śmiechem. — Ćpunka. Ale nie była wybredna. Wzięłaby cokolwiek, żeby się naćpać, bo to było dla niej najważniejsze. Znacznie ważniejsze niż jej mały synek, który siedział w kącie przerażony jak diabli. — Porusza ramionami i chrząka, jakby próbował oczyścić gardło z emocji. — Dlatego po



prostu tego nie rozumiem... — Jego głos cichnie. Próbuję się domyślić, co chciał mi przekazać, ale mi się nie udaje.

— Nie rozumiesz czego, Colton?

— Nie rozumiem, czemu, do jasnej cholery, przejąłem się tym, że umarła! — krzyczy, a jego głos niesie się echem po pustych trybunach. — Dlaczego mnie to dręczy? Dlaczego jest mi przykro? Dlaczego czuję cokolwiek innego, a nie tylko ulgę? — Jego głos znowu się łamie, a słowa odbijają się rykoszetem od betonu.

Ściska mnie w żołądku, bo wiem, że cierpi i że nie potrafię z tym nic zrobić. Nie jestem w stanie niczego naprawić, złagodzić ani rozwiązać, więc postanawiam go pocieszyć.

— Ona była twoją matką, Colton. To normalne, że jest ci przykro, bo jestem pewna, że głęboko w sercu na swój sposób cię kochała...

— Kochała mnie? — krzyczy, przerażając mnie tym gwałtownym przejściem od zagubienia i żalu do nieokiełznanej wściekłości. — Kochała mnie? — wrzeszczy znowu, podchodzi do mnie i uderza się w klatkę piersiową. — Wiesz, czym była według niej miłość? Miłość polegała na oddawaniu swojego sześciolatniego syna za pierdolone dragi, Rylee!

Podchodzi jeszcze o krok i zatrzymuje się.

— Miłość polegała na pozwalaniu na to, żeby jej diler gwałcił jej syna, *pieprzył jej małego chłopca, który musiał powtarzać na głos, jak bardzo to kocha i jak bardzo jego kocha*. Bo dzięki temu mogła dostać następną pierdoloną działkę! Miłość polegała na traktowaniu syna gorzej niż pieprzonego psa, żeby tylko zdobyć dragi na swój następny odlot! Wiedziała, że skurwiel daje jej możliwie jak najmniejsze działki, bo nie może się doczekać, kiedy wróci i będzie mógł zrobić to jeszcze raz. Miłość polegała na tym, że siedziała za zamkniętymi drzwiami sypialni i słyszała, jak jej mały synek krzyczy z najgorszego pierdolonego bólu, bo jest rozdzierany fizycznie i emocjonalnie, ale nie kiwnęła nawet palcem, żeby to powstrzymać, bo była taką kurewską egoistką.

Wzdryga się na te słowa, a jego ciało napina się tak mocno, że boję się, iż jego kolejne słowa przerwą to napięcie, uwolnią chłopca, lecz złamią ukrytego w środku mężczyznę. Patrzę na niego z bólem w sercu i straconą wiarą w ludzkość, wyobrażając sobie horror, jaki musiało przeżyć jego dziecięce ciało. Zmuszam się do stłumienia odrazy, bo boję się, że uzna, iż czuję odrazę do niego, a nie do potwora, który go wykorzystywał.

Słyszę jego przyspieszony oddech, czuję, jak fizycznie buntuje się przeciw własnym słowom, próbując zmusić się do przełknięcia śliny. Gdy zaczyna mówić dalej, jego głos jest bardziej opanowany, lecz jego złowieszczą cichość wywołuje ciarki na moich plecach.

— Miłość polegała na złamaniu ręki swojemu synowi za to, że tak mocno bił gwałcącego go mężczyznę, iż ten nie dał jej następnej działki speedballu. Miłość polegała na wmawianiu swojemu synowi, że tego pragnie, że na to zasługuje i że nikt go nie pokocha, jeśli pozna prawdę. O, jeszcze miłością było też mówienie synowi, że wzywani przez niego w trakcie gwałtu superbohaterowie, *tak, ci superbohaterowie*, nigdy nie przyjdą go uratować. Nigdy! — krzyczy w ciemność nocy, po jego twarzy płyną łzy tak jak po mojej, a jego ramiona drgają z ulgą po zrzuceniu ciężaru dźwiganego przez dwadzieścia pięć lat.

— Jeśli więc tym właśnie jest miłość — znowu śmieje się mrocznym śmiechem — to tak, przez pierwsze osiem lat życia byłem tak kochany, że byś kurwa nie uwierzyła. — Podchodzi do mnie i mimo ciemności widzę fale wściekłości, żalu i rozpacz, które przetaczają się przez jego ciało. Przez chwilę zwiesza głowę, a ja patrzę, jak kapiące z jego twarzy łzy przyciemniają biały beton poniżej. Potem potrząsa głową i spogląda na mnie z druzgocącą rezygnacją i wstydem. — Pytasz dlaczego się dziwię, że jej śmierć wzbudza we mnie cokolwiek innego poza nienawiścią? Właśnie dlatego, Rylee — mówi tak cicho, że muszę wyęczać słuch, żeby go usłyszeć.

Nie wiem, co mam powiedzieć. Nie wiem, co zrobić, bo każda cząstka mnie właśnie została roztraskana i rozsypała się wokół mnie. Spotkałam się już z tym w pracy, ale teraz mówi mi o tym dorosły mężczyzna, który był załamany, zagubiony, osamotniony i przytłoczony ciężarem wstydu przez całe swoje życie. Mężczyzna, któremu oddałabym całe serce i całą duszę, gdyby to było w stanie ukoić ból i zniweczyć wspomnienia. Jestem w kompletnej rozsypce.

W ułamku sekundy, gdy się nad tym zastanawiam, do Coltona dociera to, co właśnie powiedział. Dogasa wybuch adrenaliny związany z wyznaniem i jego ramiona zaczynają się trząść. Nogi odmawiają mu posłuszeństwa i pada na siedzenie za sobą. Natychmiast do niego podbiegam. Chowa twarz w dłoniach i całym jego ciałem zaczyna targać rozdzierający, przejmujący szloch.

— O mój Boże! — powtarza co chwilę.

Obejmuję go w poczuciu absolutnej bezradności, ale nie chcę się poddać. Nigdy się nie poddam.

— Wszystko będzie dobrze, Colton. Wszystko będzie dobrze — powtarzam między jego słowami. Moje łzy kapią na jego ramiona i ściskam go mocno, żeby wiedział, że złapię go, niezależnie od tego, jak nisko upadnie.

Zawsze go złapię.

Próbuję powstrzymać szloch targający moim ciałem, lecz bezskutecznie. Nie pozostało mi nic poza empatią, odczuwaniem jego żalu i jego żaloby. Siedzimy tak w ciemnościach, ja mocno go trzymam, a on wyrzuca z siebie wszystko w miejscu, które zawsze zapewniało mu spokój.

Modłę się, żeby tym razem spokój znalazł sobie jakieś stałe miejsce w jego pokiereszowanej duszy.

Powoli przestajemy płakać, ale on nadal chowa twarz w dłoniach i mocno zaciska powieki. Nawał emocji obnaża całe jego wnętrze. Chciałabym, żeby przejął pałeczkę i pokazał mi, jak mu pomóc, więc siedzę cicho.

— Nigdy... jeszcze nigdy nie wypowiedziałem tego na głos — mówi ochryplym od łez głosem, wbijając wzrok w swoje niespokojne palce. — Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem — szepcze. — Myślałem, że jeśli powiem, to... nie wiem, co myślałem, że się stanie.

— Colton — wypowiadam jego imię, próbując wymyślić, co powiedzieć dalej. Muszę zobaczyć jego oczy i chcę, żeby spojrzał w moje. — Colton, popatrz na mnie, proszę — mówię najłagodniej jak potrafię, lecz on tylko potrząsa głową niczym dziecko, które boi się kary.

Daję mu chwilę i pozwalam mu się ukryć w milczeniu i ciemnościach nocy. Rozmyślam o cierpieniu tego mężczyzny, którego darzę tak wielką miłością. Zamykam oczy, próbując to wszystko przetworzyć, i nagle słyszę słowa, których w ogóle się teraz nie spodziewałam.

— *Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

Uderza mnie to niczym worek cegieł. To, co chce mi przekazać tą cichą, szeptaną mantrą. Serce mi pęka i krzyczę:

— Nie, nie, nie, nie!

Padam przed nim na kolana, ujmuję jego twarz w dłonie i kieruję ją tak, żeby spojrzał mi w oczy. Wzdryga się, gdy go dotykam, a mnie przechodzą ciarki, bo wiem, że przeraża go pierwszy krok na drodze do wydobrzenia. Boi się, co sobie o nim pomyśle, kiedy już poznałam jego sekrety. Nie wie, za jakiego mężczyznę go uznam, skoro pozwolił na coś takiego. Wstydzi się, że będę go oceniać na podstawie urazów, które wciąż panują nad jego ciałem, duszą i umysłem.

Ale to wszystko jest nieprawdą.

Siedzę i czekam cierpliwie, a moje ręce drżą na jego policzkach. W końcu odsłania swoje

zielone oczy i spogląda na mnie z niewyobrażalnym bólem.

— Chciałabym ci teraz powiedzieć tak wiele rzeczy... — zaczynam, nie walcząc z drzeniem głosu. Łzy spływają mi po twarzy, a na ciele pojawia się gęsia skórka. — Chciałabym je powiedzieć małemu chłopcu, którym byłeś, i niewiarygodnemu mężczyźnie, jakim jesteś. — Przełyka ślinę, próbując opanować drzenie szczęki i strumień łez, a jego oczy błyszczą ze strachu i niedowierzania.

Dostrzegam w nich także nadzieję. Jest tam, czai się tuż pod powierzchnią i czeka na pojawienie się poczucia bezpieczeństwa wynikającego z bycia otoczonym opieką i miłością.

Jestem pod wrażeniem zaufania, jakim mnie obdarzył, bo nie potrafię sobie wyobrazić, jak trudno jest się otworzyć, gdy znasz tylko ból. Patrzy na mnie, a ja pocieram kciukiem jego policzek i dolną wargę, szukając słów, które przekażą mu prawdę, jaką powinien usłyszeć.

— Coltonie Donavanie, to nie jest twoja wina. Jeśli miałbyś zapamiętać tylko jedną rzecz z tego, co ci powiem, to zapamiętaj właśnie to. Nosileś to w sobie tak długo, lecz chcę, żebyś zrozumiał, że niczym, co zrobiłeś jako dziecko i jako dorosły, nie zasłużyłeś sobie na to, co cię spotkało. — Jego oczy się powiększają i skręca trochę ciało, otwierając nieco swoją ochronną postawę. Mam nadzieję, że jego gest odzwierciedla to, jak się przy mnie czuje. Że mnie słucha, rozumie i *przyjmuje* to, co mówię. Bo mam mu do powiedzenia bardzo wiele rzeczy o tym, czego się domyślałam i o czym teraz się dowiedziałam. Rzeczy, które chciałam mu powiedzieć od dawna i w końcu mogę je wyrazić.

— Nie masz się czego wstydzić, *ani teraz, ani w przyszłości*. Podziwiam cię za twoją siłę. — Próbuje mi przerwać, ale kładę palec na jego ustach, żeby go uciszyć i powtarzam. — Podziwiam cię za twoją siłę, bo potrafiłeś utrzymać to tak długo w tajemnicy i nie dałeś się przez to zniszczyć. Nie jesteś zepsuty, spierdolony ani beznadziejny, tylko odporny, odważny i godny szacunku.

Głos mi się łamie przy ostatnim słowie i wyczuwam dłoń dygotanie jego podbródka, bo trudno mu słuchać te słowa, skoro przez tak długi czas myślał o sobie coś zupełnie przeciwnego. Mimo to nie odrywa ode mnie wzroku. Samo to daje mi do zrozumienia, że jest otwarty na to, żeby się z tego wyleczyć.

— Startowałeś z miejsca, w którym doświadczałeś niewyobrażalnego bólu, a mimo to... to ty jesteś dla mnie tym niewiarygodnym światełkiem, pomagasz mi odnaleźć siebie i pomagasz moim chłopcom wyjść na prostą. — Potrząsam głową, próbując znaleźć słowa przekazujące jak się czuję. Żeby zrozumiał, że jest w nim sporo światła, chociaż przez dłuższy czas widział w sobie wyłącznie ciemność.

— Ry — wzdycha i widzę, że ma problemy z zaakceptowaniem prawdy moich słów.

— Nie, Colton. To prawda. Nie wyobrażam sobie, jak ciężko ci było spytać ojca o twoją biologiczną matkę. Nie wyobrażam sobie, jak się czułeś, odbierając dzisiaj ten telefon. Nie wyobrażam sobie, jak trudno było ci wyznać sekrety, które tak długo ciążyły ci na duszy... Chciałabym, żebyś wiedział, że twoje sekrety są u mnie bezpieczne.

Pociągam nosem, żeby stłumić szloch, i mruga gwałtownie z bólem na twarzy. Nachylam się i całuję go delikatnie w usta. Mały, fizyczny gest, którym chcę nam obojgu dodać otuchy. Potem całuję go w nos i opieram czoło o jego czoło, dając sobie chwilę na przyswojenie tego wszystkiego.

— Dziękuję ci za zaufanie i podzielenie się tym ze mną — szepczę, muskając słowami jego usta. Nie odpowiada, ale nie musi. Siedzimy tak czoło przy czole, akceptując przekroczone granice i dodając sobie nawzajem otuchy.

Nie oczekuję, że podzieli się czymś jeszcze, więc wzdrygam się, gdy słyszę jego głos.

— Nie miałem pojęcia, jak sobie z tym poradzić, gdy dorastałem. — Przenika mnie na

wskroś dogłębny wstyd w jego głosie. Kręci mi się w głowie, gdy myślę o samotności, jakiej musiał doświadczać jako nastolatek. Pocieram kciukiem jego policzków, żeby wiedział, że jestem przy nim i słucham. Wzdycha cicho, ogrzewając oddechem moje usta i dokańcza swoje wyznanie.

— Próbowałem gorączkowo udowodnić sobie, że chociaż on robił mi takie rzeczy, to nie jestem na zawsze przeklęty. Przeleciałem sporo dziewczyn w liceum, żeby się do tego przekonać. Poprawiło mi to samopoczucie, czułem się chciany i pożądany przez kobiety, a strach na chwilę zniknął... i tak powstał mój sposób radzenia sobie z tym... mój mechanizm obronny.

*Zakopywanie bólu pod przyjemnością.*

Szepczę równocześnie z nim to zdanie, które powiedział mi w pokoju hotelowym na Florydzie. Utkwiło mi to w pamięci i męczyło mnie, bo chciałam zrozumieć, skąd się to wzięło. Teraz wiem. Rozumiem skakanie z kwiatka na kwiatek. Żeby zerznąć i porzucić. Chciał udowodnić za pomocą tych kobiet, że nie ciąży na nim piętno przeszłości. To były jego wymienne opatrunki na otwartych ranach, które nie chciały się zablźnić.

Zaciskam mocno powieki i czuję, że pragnę go całym sercem i duszą. Nagle jego głos przerywa ciszę.

— Nie pamiętam wszystkiego, ale wiem, że zwykle zachodził mnie od tyłu. To dlatego...  
— mówi bardzo cicho i milknie, odpowiadając mi na pytanie zadane kiedyś na gali charytatywnej.

— Rozumiem — odpowiadam, żeby wiedział, że go słyszałam i że już wiem, z jakiego powodu nie potrafi zaakceptować tak niewinnego dotyku.

— Superbohaterowie — kontynuuje, a od jego przejmującej szczerości oddech więźniem mi w gardle. — Nawet jako dziecko musiałem mieć coś, co pozwalałoby mi uciec przed bólem, wstydem i strachem, więc wzywałem ich, żeby sobie z tym jakoś poradzić. Żeby mieć jakąś nadzieję, której mogłem się uchwycić.

Czuję słony smak w ustach. Zakładam, że to moje łzy, ale nie wiem na pewno, bo nie potrafię określić, gdzie kończy się on, a zaczynam ja. Siedzimy tak czoło przy czole i dochodzę do wniosku, że być może łatwiej mu to wszystko wyrzucić, gdy mamy zamknięte oczy, czujemy nasze łomoczące serca i stykamy się naszymi duszami. Bo wtedy nie widzi rozpacz, bólu i współczucia w moich oczach. Jednak mimo zamkniętych oczu czuję, jak powoli pękają łańcuchy, które tak długo go więziły. Czuję, jak kruszy się mur wokół jego serca. Czuję, że w jego mrocznym wnętrzu pojawia się iskierka nadziei. Tylko ja i on w miejscu, w którym może gonić za marzeniami bez przeszłości depczącej mu po piętach.

Przechylam głowę i całuję go w usta. Czuję ich drżenie. Mój pewny siebie mężczyzna jest całkowicie obnażony i otwarty. W końcu odchyła głowę do tyłu i odrywa czoło od mojego, a ja mogę spojrzeć mu w oczy, które błyszczą niespotykaną wcześniej czystością. Jakaś część mnie wzdycha z ulgą, bo być może uda mu się teraz znaleźć spokój i odstawić demony na bok.

Uśmiecham się uroczyście, a on bierze poszarpany wdech, po czym chwytą mnie za ręce, wciąga na swoje kolana i mocno przytula. Siedzę kołysana, pokrzepiana i kochana przez mężczyznę, który tak wiele potrafi dać. Mam nadzieję, że w końcu to dostrzegł i zaakceptował. Zarzekał się, że nie potrafi kochać, a dokładnie to mi właśnie przekazuje: miłość. I to w samym środku najczarniejszej rozpacz. Całuję go tuż pod szczęką i czuję łaskotanie jego zarostu na swoich wrażliwych ustach.

Opada kurz rozwalonej przeszłości, a na jej zgliszczach pojawia się nadzieja.

— *Dlaczego postanowiłeś mi to powiedzieć?*

Wzdycha płytko, przytula mnie mocniej i całuje w czubek głowy, chichocząc cicho.

— Bo jesteś pieprzonym alfabetem.

Co? Potrząsam głową i odchylam się, żeby na niego spojrzeć. I gdy patrzę mu w oczy i widzę uśmiech, który rozkwita na jego twarzy i rozjaśnia otaczające nas ciemności, moja miłość do niego jeszcze bardziej rozkwita.

— *Alfabetem?*

Muszę wyglądać na kompletnie oniemiałą, bo jego uśmiech poszerza się jeszcze bardziej, pogłębiając dołeczek. Potrząsa głową.

— Taa, od A do pierdolonego Z. — Widzę w jego oczach przebłyskującą iskrę, której wcześniej nie było, i cieszę się, że jego głos znów pobrzmiwa rozbawioną arogancją. Chichocze znowu i mówi: — Pieprzony Becks. — A potem nachyla się i całuje mnie w usta, ignorując moje pytanie.

Potem mnie odciąga i patrzy mi intensywnie w oczy.

— Dlaczego teraz, Ry? Przez ciebie. Bo tak długo przyciągałem cię i odpychałem i tak długo cię krzywdziłem... a ty mimo to walczyłaś o mnie. Chciałaś ze mną być, pomóc mi, uzdrowić mnie, *wyścigować* mnie. Po raz pierwszy w życiu chciałem, żeby ktoś do dla mnie robił. I chciałem się uwolnić od przeszłości, żeby też umieć to dla kogoś zrobić. Ja... — wzdycha, próbując znaleźć słowa, które wyraziłyby emocje pływające w jego oczach. Oczach, w których wciąż czai się ślad strachu, ale jest znacznie słabszy niż dotychczas, a samo to napawa mnie szczęściem. — Chciałem mieć szansę udowodnienia, że jestem do tego zdolny. Że to wszystko... — macha dłonią w powietrzu — nie pozbawiło mnie przyszłości. Że mogę być kimś, kogo potrzebujesz i kto da ci to, czego pragniesz — mówi z błaganiem w głosie.

W jego głosie wciąż pobrzmiwa smutek związany z wcześniejszym wyznaniem, ale słyszę też emanującą z niego nadzieję. Tak mnie to cieszy, że przyciskam usta do jego ust.

Czuję targające nim emocje, gdy pogłębia pocałunek, wsuwając język między moje półotwarte i chętne wargi. Czuję, że wciąż próbuje się odnaleźć na tym nowym gruncie, ale wiem, że mu się uda.

Bo jest wojownikiem.

Zawsze nim był.

I zawsze nim będzie.

## Rozdział 36.

Odwracam się do niego i patrzę na grę świateł ulicznych na jego twarzy, cicho nucąc dobiegającą z radia piosenkę *Everything* Lifehouse'a. Jest późno, ale czas przestał mieć dla nas znaczenie, gdy siedzieliśmy razem na trybunach, leczyliśmy swoje stare rany i szukaliśmy nowego początku. Sammy odwozi mój samochód do domu, lecz gdy zjeżdżamy z autostrady, zauważam, że Colton jeszcze nie jedzie do domu.

Do domu.

Co za szalone stwierdzenie, to o jechaniu razem do domu. To nasz dom, bo teraz, po dzisiejszej nocy, to słowo znaczy o wiele więcej niż budynek z betonu. Oznacza komfort, odzyskiwanie siebie i Coltona. *Mojego asa*. Wzdycham, a moja klatka piersiowa wibruje z miłości.

Spoglądam na niego znowu. Musiał poczuć moje spojrzenie, bo odwraca się do mnie. Jego oczy są nadal lekko zaczerwienione od łez. Wpatruje się w moje oczy przez chwilę, uśmiecha się łagodnie i nieznacznie potrząsa głową, jakby wciąż próbował ogarnąć wydarzenia ostatnich kilku godzin, po czym wraca spojrzeniem na drogę. Ale ja nie odrywam od niego wzroku, bo głęboko w środku wiem, że niezależnie od tego, na co będę patrzeć, i tak do niego wrócę.

Jestem tak głęboko zamyślona, że nie mam pojęcia, gdzie dotarliśmy. Colton zajeżdża na parking i zatrzymuje samochód.

— Mam tu jeszcze coś do załatwienia. Idziesz ze mną?

Patrzę na niego, zastanawiając się, co można mieć do załatwienia o dwudziestej trzeciej na przypadkowym parkingu na przedmieściach Hollywood. To musi być coś ważnego, bo wydaje mi się, że po tej nocy na pewno jest wyczerpany i pragnie wrócić do domu.

— Jasne.

Wysiadamy z samochodu. Rozglądam się podejrzliwie, bo trochę szkoda mi opuszczać przytulne auto, aby się znaleźć na słabo oświetlonym, opustoszałym parkingu, ale Colton się tym w ogóle nie przejmuje. Przytula mnie mocno do siebie i prowadzi do potężnych drewnianych drzwi, które wyglądają, jakby trafiły tu wprost ze średniowiecza. Gdy Colton je otwiera, uderza nas jasne światło, łagodnie grająca muzyka i dziwne bzyczenie.

Zerkam na niego, a on patrzy na mnie z zaciekawieniem i rozbawieniem. Wydaje z siebie krótki chichot i potrząsa głową, widząc moje otwarte usta i zdziwiony wzrok.

Nigdy wcześniej nie byłam w takim miejscu. Głęboko w środku czuję, dlaczego tu jesteśmy, ale kompletnie tego nie rozumiem.

Colton splata palce dłoni z moimi i ruszamy wąskim korytarzem w stronę pomieszczenia, z którego dobiega to jasne światło. Colton pierwszy przekracza próg i czeka, aż bzyczenie ucichnie.

— O kurwa, w dupę jeża! Pieprzony piękniś wpadł z wizytą — słyszę dudniący głos. Colton wybucha śmiechem i zostaje wciągnięty głębiej. — Do licha, dobrze cię widzieć, Wood!

Wokół Coltona owijają się ręce pokryte różnokolorowymi wzorami i rysunkami. Po krótkim uścisku piwne oczy ich właściciela dostrzegają mnie za ramieniem Coltona.

— Ożeż kurwa! Przepraszam za to całe pierdolone przeklinanie — mówi mężczyzna, odsuwając Coltona na bok i podchodząc do mnie. — Stary, jeśli przyprowadzasz tu pieprzoną damę, musisz mnie ostrzec, żebym zachowywał się z szacunkiem!

Colton się śmieje, a mężczyzna wyciera dłoń o dzinsy i wyciąga ją do mnie. Jest gruby i cały pokryty tatuażami, ma krótko obcięte włosy i długą niesforną brodę, ale najbardziej ujmują

mnie rumieńce na jego policzkach. To dość urocze, chociaż wątpię, czy byłby zachwycony, gdybym mu o tym powiedziała.

— Przepraszam, kurwa! Ja pieprzę, znowu przekląłem! — Potrząsa głową i wydaje z siebie rżący śmiech. Ja też nie mogę się powstrzymać od śmiechu.

— Nie przejmuj się — odpowiadam i wskazuję podbródkiem w stronę Coltona. — Jego gęba jest równie niewyparzona. Jestem Rylee.

— Dobra, cóż, spróbuję ograniczyć *pieprzenie* do minimum — mówi i znowu się czerwieni. — Znaczy nie z tobą oczywiście... o ile sobie tego nie życzysz...

— Nawet o tym nie myśl, Sledge — ze śmiechem ostrzega go Colton, a Sledge potrząsa głową i znowu śmieje się tym swoim wyjątkowym charczącym śmiechem, po czym zaprasza nas gestem głębiej.

— To jak, naprawdę, stary? — pyta Coltona.

— Taa — odpowiada, spoglądając na mnie z uśmiechem. — Naprawdę. — Nic z tego nie rozumiem.

— Cóż, wygląda na to, że nie robisz sobie jaj — odpowiada, potrząsając głową, po czym podchodzi do blatu i zaczyna przeszukiwać jakieś papiery. — A skoro już mowa o jajach... — Zerka na mnie i wykrzywia twarz w przeprosinach, po czym wraca do szukania czegoś w papierach. — Jak tam twoja zajebicie ładna siostra, której z przyjemnością powierzyłbym swoje jaja...

Czekam na wybuch złości Coltona, ale on odrzuca głowę i wybucha śmiechem. Widząc jego reakcję, uświadamiam sobie, że ci dwaj muszą się znać od bardzo dawna.

— Pożarłaby cię żywcem stary, dobrze o tym wiesz... Jesteś za miękki.

— Pieprz się! — śmieje się Sledge, a Colton ściąga koszulkę. I chociaż jest tu tyle nowych rzeczy do obejrzenia, nie mogę oderwać wzroku od jego muskularnego brzucha. Patrząc na cztery symbole reprezentujące jego przeszłość i zastanawiam się, co zamierza zrobić.

— Taa... wielki mi twardziel — drażni go Colton, sadzając mnie na krześle. Całuje mnie niewinnie w policzek, po czym patrzy mi przez chwilę w oczy, jakby chciał powiedzieć „*zaufaj mi*”. Potem sam też siada na krześle. — Tatuażysta, który słucha Barbary Streisand i ma pięć kotów na zapleczu. — *O czym on do cholery mówi?* — Nie wiesz, że jeśli chcesz udawać twardziela, to powinieneś słuchać death metalu i mieć krwiożerczego pitbulla, a nie tyle kotów, że mógłbyś rywalizować ze starymi pannami? — naigrawa się Colton, a jego śmiech jest niemalże beztroski. Niezależnie od tego, kim jest jego rozmówca, cieszę się, że wydobył to z niego.

— Jestem delikatny jak kwiat! — kpi sobie Sledge, po czym wykrzykuje: — Aha!

— Kwiat-srat! — odpowiada Colton, potrząsając głową i śmiejąc się, a Sledge podchodzi do niego z kartką. — To jest ten? — pyta Colton, a ja wyciągam się na krześle, żeby zobaczyć, co jest na kartce. Ogląda ją przez chwilę ze ściągniętymi ustami i przechyla głowę, zastanawiając się. — Jesteś pewien? Będzie pasował? — podnosi wzrok na Sledge'a, podkreślając pytanie wyrazem twarzy.

— Nie napięprzaj się, przecież sam to najlepiej wiesz. Ups, znowu wyrwało mi się pieprzenie. — Zerka na mnie, przepaszająco unosząc brwi. — Stary, jeśli mam cię napiętnować, sprawdzę to dla pewności.

— Sprawdzisz w internecie czy na dnie butelki? — pyta Colton.

— Wynocha z mojego pieprzonego krzesła! — wrzeszczy żartobliwie Sledge, wskazując ręką drzwi, po czym spogląda na mnie. — Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz na co dzień.

Unoszę brwi i śmieję się, a Colton nachyla się do mnie i patrzy mi w oczy. Przez chwilę widzę w jego oczach smutek, który jednak znika równie szybko, jak się pojawił.

— Ryles?

— Tak? — Przesuwam się na brzeg siedzenia, wciąż zaciekawiona tym, co przedstawia rysunek.

— Czas wysłać demony na emeryturę — oznajmia, nie odrywając ode mnie wzroku — i ruszyć dalej.

Zmuszam się do odwrócenia wzroku i spoglądam na szkic przedstawiający wzór z powyginanych i przeplatających się linii. Znam ten symbol i wiem, że to węzeł celtycki. Pasuje do pozostałych, chociaż nie mam pojęcia, jakie jest jego znaczenie.

Podnoszę wzrok znad kartki i patrzę na Coltona pytająco.

— Nowy początek... — mówi, przekazując wzrokiem, że jest gotowy — odrodzenie.

Wstrzymuję oddech, a w oczach wzbierają mi łzy. Ten symbol ma tak głębokie znaczenie, że nie potrafię znaleźć właściwych słów, więc tylko potakuję w odpowiedzi.

— Dobra, rozumiem to wasze miłosne gruchanie, ale nie mogę się doczekać momentu, w którym zadam ci ból, Wood, więc wskakuj z powrotem na pierdolone krzesło — stwierdza, popychając go, i puszcza mi oko z uśmiechem. — Bo nie będziesz miał szansy na odrodzenie się, skurwielu, jeśli będziesz gapił się na nią tak długo, że zdechniesz w międzyczasie.

Wybucham śmiechem i chociaż poznałam tego faceta przed chwilą, już go kocham. Colton spełnia polecenie, ale odgryza się.

— Stary, po prostu mi zazdrościsz!

— Jasne, że ci zazdroszczę. Jak na nią patrzę, to założę się, że potrafi... — milknie i zerka na mnie, po czym wraca spojrzeniem do sprzętów, które przygotowuje — błyskawicznie upichcić przywoitą michę makaronu z serem. — Znowu śmieje się tym swoim śmiechem.

— Co racja, to racja — przyznaje Colton, klepiąc go w ramię. — I do tego jest smakowita i ostra.

Wciągam oddech jednocześnie ze Sledge'em i oboje się czerwienimy. Patrzę na Coltona z niedowierzaniem i potrząsam głową, a on odpowiada mi szelmowskim spojrzeniem niegrzecznego chłopca. Ten widok sprawia, że uśmiecham się jeszcze szerzej.

— Powinienem ci za to zrobić pieprzonego bratka zamiast... — Potrząsa głową i uruchamia igłę, a Colton wzdryga się na ten odgłos. Sledge odrzuca głowę i wybucha głębokim, basowym śmiechem. — Ciotowaty twardziel! Ups, serduszko. Ups, wagina. Ups, stokrotka! — drażni się z Coltonem, udając, że przykłada igłę do jego ciała.

Boli mnie brzuch ze śmiechu. Tak bardzo tego potrzebowałam po tej ciężkiej nocy.

— Ups, but w twojej dupie, prędzej to zobaczysz. — Colton zaczyna się śmiać, ale przestaje, gdy Sledge zbliża igłę do jego boku.

Nigdy nie widziałam, jak się robi tatuaż, i jestem trochę zaciekawiona. Wstaję i siadam na krześle obok Coltona, żeby mieć lepszy widok. Początkowo nawet nie muszę patrzeć, bo poznaję, kiedy igła go dotyka, po tym, że spina się cały i wciąga z sykiem oddech.

— Boże, nic się nie zmieniło — stwierdza Sledge zirytowany. — Mięczak zawsze będzie mięczakiem. — Bzyczenie ustaje i Sledge podnosi wzrok na Coltona. — Serio, stary? Jeśli masz zamiar się trząść jak pieprzony czilała, to będziemy mieć poważne problemy i wątpię, żebym chciał się podpisać pod takim dziełem.

Colton bez słowa podnosi dłoń i pokazuje Sledge'owi środkowy palec, po czym zerka na mnie. Bzyczenie się wznawia, tym razem bez przerw, a gdy Colton trochę się rozluźnia, przechodzę z drugiej strony Sledge'a, aby sprawdzić, czy będę w stanie patrzeć, jak utacza krew Coltona. W końcu zdobywam się na odwagę, lecz to, co widzę, wprawia mnie w zdumienie.

Sledge pracuje igłą na symbolu zemsty. Wycina ciemnoczerwone linie, na których widok się wzdrygam, wyobrażając sobie ból Coltona w klatce piersiowej. Podnoszę wzrok,



zastanawiając się, o co chodzi, i trafiam na spojrzenie Coltona.

— Sledge wymyślił, jak zakryć tym węzłem symbol zemsty.

— Już po zemście — szepczę i z jakiegoś powodu tak mnie to porusza, że stoję z otwartymi ustami i potrząsając głową, obserwuję, jak Sledge zmienia symbol, który jeszcze bardziej zniszczyłby Coltona, na taki, który emanuje nadzieją.

— Czas pogrzebać demony.

Przełykam gulę w gardle, po czym wyciągam rękę, żeby chwycić go za dłoń, i razem obserwujemy powolną transformację jednej z jego atramentowych blizn, która staje się teraz symbolem nadziei i odrodzenia.

Colton i Sledge nadal co chwilę się przekomarzają, a ja coraz bardziej uwielbiam tego nowo poznanego artystę. Po jakimś czasie transformacja zostaje ukończona.

— Chcę go zobaczyć, zanim go zawiniesz — mówi Colton, gdy Sledge obficie smaruje tatuaż wazeliną. — Idź się pobaw ze swoimi kotkami, bo zasłaniasz mi widok, a muszę sprawdzić, czy nie przemyciłeś mi tam jakiegoś serca lub tęczy, skurczybyku. — Colton wstaje z krzesła. Zwracam uwagę, że znacznie szybciej odzyskuje równowagę. Rusza do pokoju w głębi, w którym jest lustro.

Nie wiem, co we mnie wstępuje, może to wydarzenia nocy, a może nadzieja, która wkrada się powoli w nasze życie, ale gdy Colton wychodzi do sąsiedniego pokoju, podejmuję decyzję. Muszę działać szybko, zanim stracę odwagę i mój racjonalny umysł dogoni nieracjonalne serce.

Zanim stchórzę.

— Hej, Sledge — mówię i siadam na zwolnionym przez Coltona miejscu. Zsuwam spodnie od dresu, odsłaniając kość biodrową, i wskazuję na nią. — Myślę, że to świetny moment, żebym zrobiła sobie pierwszy tatuaż. Chcę to samo, tylko znacznie mniejsze.

Patrzy na mnie z intensywnością i przestraszaniem.

— Kochanie, gdy mówiłem o pieprzeniu, nie sądziłem, że się podłóżysz i że zaczniesz ściągać spodnie, jak tylko Wood pójdzie na zaplecze. — Puszczam mi oczko, uśmiecha się i znowu spogląda mi prosto w oczy. — Chcesz, żeby mnie zabił?

Śmieję się.

— Nic ci nie zrobi. Wydaje mi się, że ma do ciebie słabość, Sledge.

— Taa, raczej słabość do siebie. — Zwilża wargi i ogląda moje biodro przez chwilę.

Potem patrzy na mnie z niepokojem i niepewnością. — Jesteś pewna? To tak jakby niezmywalne — pyta, unosząc z rozbawieniem brew. Potakuję szybko, zanim wyczerpie mi się odwaga. Chcę to zrobić i udowodnić Coltonowi, że pragnę mu towarzyszyć na każdym kroku tej ścieżki.

Sledge śmieje się i zaciera ręce.

— Uwielbiam jako pierwszy dotykać dziewiczej skóry. Sterczy mi jak cholera i w ogóle... — Wzdycha głośno. — Kurde, przepraszam. Znowu. — Potrząsa głową i zaczyna kreślić palcem rysunek na moim biodrze, patrząc na mnie, żeby się upewnić, gdzie chcę go mieć.

— Na pewno? — pyta po raz ostatni, a ja potakuję, bo jestem tak zdenerwowana, że z trudem przełykam ślinę.

*Nie jestem dziewczyną, która się tatuuje*, mówię sobie, więc dlaczego to robię? Wtedy przychodzi mi do głowy, że nie jestem też dziewczyną, którą pociągają źli chłopcy. Cóż, najwyraźniej nie miałam w tej kwestii racji.

Wzdrygam się, gdy igła zaczyna bzyceć. Mam płytki oddech i czuję, jak całe ciało wibruje z niecierpliwego oczekiwania. Przygryzam dolną wargę i zaciskam dłoń, gdy igła uderza po raz pierwszy. Jasny gwint! To boli znacznie bardziej, niż myślałam. *Nie wymiękaj, nie wymiękaj*, powtarzam sobie na okrągło w myślach, próbując zagłuszyć bzyczenie igły, która

niemiłosiernie kłuje mnie w biodro. Moja mantra wcale nie zmniejsza bólu, więc zamykam oczy i biorę głęboki wdech. Sledge przerywa i patrzy na mnie, więc kiwam mu, żeby kontynuował.

Nie słyszę i nie widzę Coltona, ale od razu wiem, że wrócił do pokoju, bo go wyczuwam. Jego energia, nasza więź i jego magnetyzm sprawiają, że natychmiast otwieram oczy i trafiam na jego spojrzenie.

Wyraz jego twarzy jest bezcenny. Szok i dumy mieszają się z niedowierzaniem, gdy podchodzi bliżej, żeby zajrzeć pod dłonie Sledge'a. Poznaję moment, w którym zauważa symbol, bo wstrząśnięty wciąga głośno powietrze i spogląda mi w oczy.

— Odrodzenie — tylko tyle potrafię wykrztusić, wchłaniając pełne emocji spojrzenie zielonych oczu.

— Wiesz, że to jest trwałe, co? — mruczy, potrząsając głową, wciąż zszokowany tym, na co się zdecydowałam.

— Taa — mówię i splatam dłoń z jego dłonią — trochę tak jak my.

## Rozdział 37.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu i napływu czułych emocji, gdy Colton kończy tłumaczyć mi całą historię dotyczącą porównania mnie do alfabetu. Wesoły ton jego głosu wprawia mnie w zadowolenie i przypomina mi mroczne chwile w szpitalu, gdy z całego serca pragnęłam znowu tego doświadczyć. Bez zastanowienia pytam więc:

— Możemy zjeść dzisiaj lody na śniadanie?

Colton zatrzymuje dłoń na moim udzie i parska śmiechem.

— Co? — pyta. Uwielbiam wyraz jego twarzy w tym momencie: beztroski, swobodny i pozbawiony ciężaru sekretów, które już nas nie dzielą.

W tle cicho gra muzyka. Colton leży naprzeciw mnie, a ja uśmiecham się bez słowa, poprawiam sobie poduszkę i odwracam się na plecy. Wzdycham, czując na sobie jego rozbawione spojrzenie, i wzruszam ramionami, bo nagle głupio mi z powodu tego, co powiedziałam. Po prostu poczułam, że wszystko zatacza krąg. To, co mówiłam, że chciałabym zrobić, to, czego potrzebuję, obietnice złożone na szpitalnym łóżku, których muszę dotrzymać.

— Tak, lody na śniadanie — mówię i krzywię się, bo gdy się ruszam, spodnie ciągną za bandaż na moim świeżym tatuażu. Mama mnie zabije, jak go zobaczy. Jego przestraszony wzrok wrywa mnie z zamyślenia. Nachylam się, żeby przyjrzeć mu się bliżej, bo ciekawi mnie, co tam znowu wymyślił. Patrzy na mnie przez chwilę, potem mruga kilka razy, jakby próbował coś ogarnąć, po czym potrząsa głową i uśmiecha się do mnie, roztapiając mi serce i utwierdzając mnie w przekonaniu, że absolutnie niczego nie żałuję.

Nie żałuję bycia z nim i tatuażu, który właśnie sobie zrobiłam, żeby to przypieczętować.

Nie żałuję wzlotów i upadków, przez które przeszliśmy, które przetrwaliśmy i dzięki którym jesteśmy silniejsi.

Nie żałuję niczego, co doprowadziło nas do tego momentu, tu i teraz.

Gdy nawzajem się naprawiamy i obdarzamy miłością.

Gdy podejmujemy pierwsze kroki w stronę wspólnej przyszłości.

Colton przechyla podpartą na łokciu głowę i ściąga usta.

— Cóż, jeśli kobieta czegoś pragnie, to musi to dostać.

— Podoba mi się to — mówię, poruszając biodrami — bo mam całe mnóstwo innych pragnień, panie Donovan.

— Doprawdy? A jakież to mogłyby być pragnienia? — Unosi brwi, a zmysłowy uśmiech unosi jeden kącik jego ust. Nachyla się i całuje mnie delikatnie w krawędź bandażu. Podnosi wzrok, w którym tańczy nieokiełznane pożądanie, i powoli wdrapuje się na mnie. Zatrzymuje się kilka milimetrów od moich ust.

Dobry Boże, jak ja pragnę się zbliżyć, zakosztować tych ust i poczuć, jak skóra budzi się do życia pod wpływem jego dotyku... postanawiam jednak przedłożyć mu jeszcze jedną prośbę, zanim ostatecznie się w nim zatracę.

— A na kolację chciałabym...

— Naleśniki — dokańcza. — Lody na śniadanie i naleśniki na kolację. Pamiętam, że mówiłaś coś takiego — stwierdza pełnym czci i uwielbienia głosem, a ja jestem wzruszona tym, że słyszał mnie, gdy był nieprzytomny w szpitalu. Patrzę, jak próbuje to wszystko przetrwać i potrząsa głową. — Sporo mówiłaś — mruczy, nachylając się bliżej, ale nie dotyka moich ust. Wiem, że się uśmiecha, bo widzę to po zmarszczkach wokół jego oczu.

— Czyli mamy ustalony jadłospis na jut...

Przerywa mi delikatnym pocałunkiem.

— Czas przestać gadać, Ryles — oznajmia, po czym odchyła się i patrzy mi w oczy z rozbawieniem i nieskrępowaną miłością.

— Colton — mówię i wyginam się w łuk, próbując otrzeć się piersiami o jego nagi tors, bo każda komórka mojego ciała desperacko pragnie jego dotyku, jego smaku i naszego zespolenia. Ale on nawet nie drgnie. Chwytam go więc za kark i próbuję przyciągnąć do siebie, lecz bezskutecznie.

Nadal się nie porusza, tylko intensywnie się we mnie wpatruje. Po raz pierwszy dociera do mnie, co miał na myśli, gdy mówił, że byłam pierwszą osobą, która naprawdę go zobaczyła i zajrzała do jego duszy, bo teraz nie jestem w stanie niczego przed nim ukryć. Absolutnie niczego. Nasza więź jest tak silna i tak nieodparta.

Ten wieczór był pełen emocji, a chociaż jego emocje były przypuszczalnie większe, to moje ciało pragnie się wyładować. Czuję, że aż wibruje z żądz i pragnie tylko jego.

— Rylee... — zakłęte w moje imię błaganie, które porusza mnie za każdym razem.

— Żadna Rylee — naciskam, dostrzegając troskę w kącikach jego pożądlivych oczu. Ujmuję jego twarz w dłonie i trzymam go mocno, żeby musiał mnie wysłuchać. — *Nic mi nie jest*, Colton.

— Tak się boję, że zrobię ci jakąś krzywdę... — jego głos tonie w morzu troski, przez które każda cząstka mnie zostaje jeszcze głębiej wciągnięta w otchłań miłości.

— Nie, Colton, nie. Nie zrobisz mi krzywdy. — Nachylam się i muskam ustami jego usta, po czym odsuwam się, żeby z powrotem spojrzeć mu w oczy. — Krzywdzisz mnie, gdy nie chcesz ze mną być, bo to mnie wyniszcza. Potrzebuję cię, Colton, pod każdym względem: emocjonalnym i psychicznym. Dzisiaj obnażyliśmy się ze wszystkiego, co nas dzieliło, i teraz chcę być z tobą blisko. Chcę poczuć więź w każdy możliwy sposób, bo tylko tak mogę ci pokazać, co naprawdę do ciebie czuję. I co dla mnie zrobiłeś.

Słyszę jego poszarpany wydech ułamek sekundy przed tym, jak jego ciepło dociera do moich ust. Zaciska dłoń na moim bicepsie, a potem ją rozluźnia, jakby pragnął, ale się waha. Wpatruje się we mnie z niezdecydowaniem wypisanym na twarzy. W końcu jego przesłonięte pożądaniem oczy mówią mi, że decyzja została już podjęta, a ja patrzę na jego pulsujący mięsień szczęki, ostatni bastion jego oporu.

Nachyla się, żeby mnie pocałować. Chyba jeszcze nigdy zwycięstwo nie miało tak doskonałego smaku.

Muska mnie delikatnie raz i drugi, po czym wsuwa język między moje wargi i zaczyna lizać mój. Gładzi mnie po plecach i przyciąga do siebie, a nasze języki kontynuują uwodzicielski balet. Wsuwa dłonie pod bluzkę i ściąga mi ją przez głowę, pieszcząc po drodze moją nagą skórę.

Wydaję z siebie ciche westchnienie, gdy musimy się na chwilę od siebie oderwać, żeby przepuścić moją bluzkę. Natychmiast jednak odnajdujemy swoje usta na nowo. Puszczam jego włosy i drapię paznokciami jego napięte bicepsy. Jego ciało reaguje, napinając się pod wpływem mojego dotyku. Słyszę gardłowy pomruk, który mnie nakręca, wabi i wzbudza jeszcze większe pragnienie.

Z każdą sekundą nasze pożądanie i pragnienie jest coraz większe. Ściskam uda, a mój oddech robi się coraz płytszy.

— Colton — szepczę, a on przemierza ustami linię szczęki i dociera do mojego punktu rozkoszy tuż pod uchem. Gdy czuję gorąco jego ciała na moim chętnym ciele, wyginam się w łuk i jęczę, a on muska dłońmi skórę na mojej klatce piersiowej, po czym chwyta ciężkie od pożądania piersi, wzniecając falę doznań rozchodzącą się po całym ciele.

— Kurde, Ry, nie potrafię się przy tobie opanować. Tak bardzo pragnę poczuć smak twojej słodkiej cipki. Chcę usłyszeć ten odgłos, który wydajesz, gdy w ciebie wchodzi. Chcę

poczuć cię na sobie, gdy dochodzisz.

Wsuwam dłonie w jego szorty. Jęczy, gdy chwytam jego gorące ciało. A potem mówi do mnie rozpalające słowa, które jeszcze bardziej rozniecają wymykający się spod kontroli pożar, a nagle czułość jego dotyku drastycznie kontrastuje z ich dosadnością.

— Pragnę, żeby każda cząstka ciebie drżała, żeby wręcz *wibrowała*, błagając o mój dotyk, Ry, bo wiem, że ja tak właśnie będę się czuł. Pragnę być twoim westchnieniem, twoim pomrukiem, twoim jękiem przyjemności i wszystkimi innymi odgłosami, które z siebie wydasz.

— Nachyla się i skubie moją wargę. Czuję, że drży, i wiem, iż jest równie poruszony jak ja.

— *Pragnę cię czuć*. Pragnę czuć twoje paznokcie wbijające się w moje barki. Twoje uda napinające się wokół moich, gdy doprowadzam cię coraz bliżej krawędzi — dyszy, a w jego dominującym głosie pobrzmiewa nieokiełznana żądza, od której całe moje ciało zaczyna wibrować. — Chcę zobaczyć, jak podwijasz palce u nóg, gdy odpychasz się od mojego torsu. Chcę patrzeć, jak twoje usta się rozchylają i zamykasz oczy od rozkoszy tak intensywnej, że niemal nie do zniesienia. Bo taką właśnie rozkosz chcę w tobie wywołać. Chcę, żebyś poczuła w środku, że naprawdę żyjesz, i to tak samo intensywnie, jak ja się przez ciebie czuję.

Nie mogę już dłużej wytrzymać. Jego słowa to najbardziej uwodzicielska gra wstępna, jaką mógł zafundować mojemu wygłodniałemu ciału. Przyciągam go do siebie, a wszelkie wahanie spada w niepamięć. Nasze ciała i serca zderzają się ze sobą i padamy na łóżko, pieszcząc się zapalczywie dłońmi i ustami.

Popycham go na plecy, drapiąc palcami po torsie. Napina mięśnie pod wpływem mojego dotyku i wydaje z siebie desperacki, gardłowy jęk. Sunę uwodzicielsko ustami wzdłuż jego szyi, a potem w dół, aż do wyraźnie zarysowanych mięśni brzucha, które napinają się po każdym liźnięciu językiem lub drapnięciu palcami. Zsuwam się ustami niżej, wzdłuż jednej z krawędzi jego seksownego „V”. Docieram do szortów i przenoszę się na drugą stronę, uważając na świeży tatuaż, a palcami otaczam przez materiał jego twardą męskość.

Podnoszę wzrok, patrzę mu w przesłonięte pożądaniem i emocjami oczy i zsuwam mu szorty. Całuję cienką ścieżkę włosów, a potem dotykam wilgotnymi i ciepłymi ustami czubek członka, który zaczyna wierzgać.

— *Kurwa!* — syczy Colton, a przeciągły sposób, w jaki to mówi, skłania mnie, by wziąć go głębiej w usta. Przyciskam język od dołu i zsuwam się wargami niżej.

Jego ręce, które leżały bez ruchu na łóżku, zaciskają się w pięści, a biodra drgają, gdy przesuwam się w górę, aż w moich ustach zostaje sam koniuszek. Bawię się nim za pomocą języka, zwracając szczególną uwagę na zakończenia nerwowe pod spodem, po czym biorę go z powrotem w usta tak głęboko, że aż uderza w tył mojego gardła. W tej samej sekundzie pod wpływem przytłaczającej rozkoszy chwytam mnie za włosy.

— Słodki Jezu — wykrztusza między ciężkimi, płytkimi oddechami, ale nie przerywam swojej zabawy ustami. — To takie przyjemne.

Czubkami palców łaskoczę i muskam wrażliwą skórę pod członkiem. Wciągam policzki przy każdym ruchu w dół i robię próżnię, gdy podnoszę głowę do góry. Patrzę na niego i nie mogę powstrzymać zadowolonego uśmiechu, który próbuje wpełznąć na moje usta, nie przejmując się znajdującym się w nich członkiem. Colton ma odrzuconą w tył głowę, ściągnięte z rozkoszy usta i napięte mięśnie karku. Od dawna jestem gotowa, żeby go przyjąć, ale obserwowanie, jak powoli opanowuje go rozkosz, wyzwala we mnie jeszcze większą falę wilgoci.

Zaciskam dłoń na jego członku i zaczynam wykonywać skrętne ruchy, a ustami pieszczę pozostałą część członka, który zamienia się w stal w moich ustach, a Colton wydaje z siebie jęk i w tej samej sekundzie ciągnie mnie do góry. Czuję falę pożądania, gdy moje sutki ocierają się o

jego nagą skórę.

Wpija się we mnie ustami od razu, gdy moje znajdują się w jego zasięgu, i spajamy się w chciwym zderzeniu warg, języków i zębów. Dominuje w pocałunku, biorąc to, czego chce, chociaż ja jestem i tak gotowa oddać mu wszystko. Błyskawicznie zmienia naszą pozycję i nagle jestem na plecach i leżę na stercie poduszek. Zjeżdża spojrzeniem w dół klatki piersiowej, dociera do majtek i wraca, a na jego ustach pojawia się szelmowski uśmiech.

— Trochę wyszedłem z wprawy — mówi, potrząsając głową, i przez ułamek sekundy miga mi jego dołeczek. I chociaż każdy nerw mojego ciała zatapiają fale nieokiełznanej żądz, nie potrafię powstrzymać śmiechu, gdy Colton zrywa ze mnie majtki. — Proszę — mówi, zsuwając się do mojego brzucha i kładąc tam pocałunek. — Znacznie lepiej.

Jego usta zatrzymują się na moment tuż pod moim pępkiem i nagle ta chwila nabiera znacznie głębszego znaczenia. Jednocześnie to, co robi, jest po prostu słodkie, bo z zamkniętymi oczami przyciska usta do łona, w którym było jego dziecko. Natychmiast czuję ciarki na całym pobudzonym do granic ciele.

Po chwili wznawia swoją boleśnie wolną wędrówkę w górę, do moich piersi. Czuję na nich jego gorący oddech oraz muśnięcia języka i ssanie ust na sutku. Jęczę bezwiednie, bo wywoływane przez niego doznania są jak uderzający prosto między moje nogi piorun, który rozwała wszelkie zahamowania i wznieca nieugaszony pożar.

— Colton — dyszę. Pragnienie w moim wnętrzu staje się coraz bardziej nieznośne. Znaczą paznokciami skórę na jego ramionach, a on pieszczotami ust podpowiada mi to, czego doświadczę za chwilę. Gdy moje sutki są nabrzmiące i pobudzone do granicy bólu, węduje ustami w górę. Jedną dłonią chwyta mnie z tyłu za włosy, a drugą zsuwa w dół i wkłada mi między nogi.

Wstrzymuję oddech po tym, jak rozsuwa moje uda, lecz nie dotyka mnie jeszcze w kluczowym miejscu. Kończy mi się powietrze w płucach, całe ciało drży w oczekiwaniu. Wtedy Colton wpija się w moje usta w namiętym i upajającym pocałunku. Gdy odrywa się ode mnie, kręci mi się w głowie i czuję, że moje pożądanie wymyka się spod kontroli. Właśnie wtedy rozsuwa mnie na dole palcami i bierze w swe posiadanie. Jęczę w jego usta pod wpływem wprawnych pieszczot. Czuję falę gorąca i z głębi mojego gardła dobywa się krzyk rozkoszy, bo jestem kompletnie pochłonięta i rozbrojona przez niego.

Przesuwa mokrymi od mojego podniecenia palcami po pulsującej lechtacze.

— Ach! — Nie potrafię się powstrzymać, gdy czuję jego palce i zalewają mnie doznania i emocje. Pieści mnie palcami na dole, a jednocześnie drażni ustami skórę szyi, a ja w błyskawicznym tempie zbliżam się do krawędzi. Sutki nabrzmiwiają i całe ciało się napina pod wpływem rozchodzących się po nim fal pożądania, które chwilę później uderzają mnie z dziesięciokrotnie większą siłą.

Już po mnie. Oddaję się upojeniu rozkoszą, która atakuje wszystkie moje zmysły i wypłukuje wszelkie myśli. Zaciskam dłonie na jego ramionach i wierzgam biodrami, a moje ciało eksploduje miliardem odłamków przyjemności. Przez dudniący w moich uszach puls przebija się tylko jeden odgłos: zadowolony jęk, który dobywa się z jego ust.

W chwili, gdy unoszę się na ostatniej fali orgazmu, Colton zmienia pozycję, rozsuwa mi uda kolanami i przykładą główkę członka do mojego wciąż pulsującego wejścia.

Wtedy uderza mnie coś, co przebija się przez zamroczenie orgazmem i przywraca mi trzeźwość zmysłów. Odpycham się od jego piersi i potrząsam głową.

— Colton... musimy użyć prezerwatywy... — mówię. Rzeczywistość uderza mnie silniej niż orgazm, który wciąż targa moim podnieconym ciałem.

Colton się spina i odrywa wzrok od miejsca naszego zespolenia. Przechyla głowę i patrzy

na mnie w milczeniu. Jedynym odgłosem w pokoju jest mój urywany oddech i delikatne dźwięki *Stolen* w tle. Ale to, jak na mnie patrzy — jakbym była jego następnym oddechem — sprawia, że wszelkie kolejne protesty giną bezgłośnie, zanim dotrą do moich ust.

— *Nie chcę zakładać prezerwatywy, Rylee.* — Truchleję na te słowa. Chociaż bardziej na sposób, w jaki je wypowiada. Z niedowierzaniem, rezygnacją i irytacją.

Ale dlaczego?

Nie wierzy, że mogłam zepsuć nastrój tą prośbą? Irytuje się, bo teraz będzie musiał ją założyć?

— No weź, Colton, nie bądź taki. Wiem, że to nie to samo, ale musimy to wziąć pod uwagę i...

Colton nieoczekiwanie przewraca się na łóżko, wciągając mnie na siebie tak, że siadam na nim okrakiem, a ja z zaskoczenia milknę. Chwyta mnie obiema dłońmi za kark, muska kciukami moją twarz i wpatruje się we mnie z pełną czci intensywnością, której nigdy wcześniej u niego nie widziałam.

— Nie, Ry. Nie chcę zakładać prezerwatywy, ale nie z powodu słabszych doznań. Kurwa, kotku, nawet gdybym miał kondoma z płótna, to i tak bym cię czuł.

Chcę się roześmiać, ale mój umysł zawiesza się na tym, co właśnie usłyszałam.

— Co... co ty mi próbujesz powiedzieć? — I chociaż nie odpowiada od razu, moje serce przyspiesza, a palce zaczynają drżeć.

Patrzę jak przetyka ślinę, a jego jabłko Adama porusza się w górę i w dół. Na jego ustach pojawia się cień uśmiechu. Potrząsa nieznacznie głową i uśmiecha się szerzej.

— Nie wiem, jak to wyjaśnić, Ry. *Tamta noc* była straszna. Przeżyłem coś, czego nie zapomnę do końca życia. Ty... ja... dziecko... — milknie i lekko potrząsa głową, spuszczać na chwilę wzrok. Wiem, że wciąż próbuje się pogodzić z tym, że straciliśmy nasze dziecko. Wydaje z siebie poszarpane westchnienie i podnosi oczy, których przenikliwa szczerłość sprawia, że wstrzymuję oddech. — Byłem przerażony do szpiku kości — mówi, muskając moje usta najczulszym z pocałunków. Potem całuje mnie w nos i odchyła się. — Wciąż czuję przerażenie, gdy tylko pomyślę o tym, co mogło się stać. Ja... po prostu nie wiem, jak to wyjaśnić — stwierdza i wzdycha głośno. Widzę po jego twarzy, że pragnie znaleźć właściwe słowa, żeby wyrazić to, jak się czuje.

— Nie spiesz się — szepczę ze świadomością, że dałabym mu cały czas świata, gdyby o niego poprosił.

Pociera kciukami moje policzki, a doniosłość tej chwili przyprawia mnie o gęsią skórę.

— Jakaś część mnie... — głos mu się łamie. Widzę, jak pulsuje mięsień szczęki, gdy próbuje opanować wzbierające w oczach emocje. — Jakaś część *nas* umarła tamtej nocy. A ja byłem zdany tylko na siebie.

Oddech więźnie mi w gardle i chwytam go dłońmi za bicepsy, gdy słyszę, że opisuje dziecko jako *nasze*.

— Siedziałem w poczekalni, Ry, z twoją krwią i z krwią naszego dziecka na sobie, i jeszcze nigdy... jeszcze nigdy nie czułem tak dobitnie tego, że żyję. — Na jego niesamowite usta wraca ten łagodny uśmieszek, ale to jego oczy najbardziej mnie fascynują. Zielone iskierki, które patrzą błagalnie, pytają i sprawdzają, czy rozumiem jego słowa, zarówno te wypowiedziane, jak i te niewypowiedziane.

Spuszcza na chwilę wzrok na dłonie. Jego twarz skrzy od emocji, gdy przypomina sobie swoje uczucia w tamtym momencie. W końcu spogląda z powrotem na mnie.

— Krew dziecka, którego nigdy nie zobaczyłem, lecz które stworzyliśmy wspólnie... — mówi.

Jego chrapliwy głos łamie się przy ostatnim słowie, lecz mimo to nie odrywa ode mnie wzroku, bo chce, żebym zobaczyła wszystko, co zdradzają jego oczy: żal, niedowierzanie, poczucie straty.

— Wszystkie emocje... wszystko, co się stało... próbowałem to wszystko ogarnąć, ale za każdym razem ponosiłem sromotną klęskę. — Wzdycha ciężko i zamyka na chwilę oczy, przytłoczony wspomnieniami i chęcią jak najwierniejszego przekazania swoich uczuć. — Nadal nie wiem, czy kiedykolwiek będę to w stanie zrozumieć. Wiem jednak jedno — mówi i chwyta mnie mocniej za policzki, żeby podkreślić pewność swoich słów — że gdy siedziałem w tej poczekalni i lekarka powiedziała mi... o dziecku... przepelniły mnie uczucia, o które nigdy bym się nie posądzał — kończy, wpatrując się we mnie bez mrugnięcia i z kompletnym uwielbieniem w głosie. W moim sercu wzbiera nadzieja na rzeczy, o których nie sądziłam, że kiedykolwiek się spełnią.

Nawet nie wiem, w którym momencie po moim policzku spływa łza, a Colton ociera ją kciukiem i kontynuuje.

— A gdy siedziałem w tym cholernym pokoju i czekałem, aż się obudzisz... uświadomiłem sobie, ile dla mnie znaczysz i co udało nam się razem stworzyć. Połączenie tego, co najlepsze w tobie i we mnie. Wtedy doznałem olśnienia — wyznaje z taką wrażliwością w oczach, że gdy otwieram usta, żeby coś powiedzieć, nic się z nich nie wydobywa. Uśmiecha się łagodnie do mnie i zwilża językiem dolną wargę. — Uświadomiłem sobie, że to, co *ona* mi zrobiła, wcale *nie musi* się powtórzyć. Że mogę dać komuś życie, jakiego sam nie miałem, Rylee. Życie, które pokazałaś mi, że jest możliwe.

Powstrzymuję się od komentarza, który ciśnie mi się na usta, bo słowa Coltona rozbijają ostatnie fragmenty osłony, jaką miałam wokół swego serca. Zaciskam palce na jego bicepsach, a mój podbródek drga od nawału przetaczających się przeze mnie emocji.

— Nie, nie płacz, Ry — szepcze i całuje ścieżki łez spływających po moich policzkach. — Już wystarczająco dużo się napłakałaś. Chcę cię teraz uszczęśliwić, bo kurwa, kochanie, to dzięki tobie wszystko jest inaczej. To ty pokazałaś mi, że mój największy lęk... że cała ta tocząca mnie od środka trucizna wcale nie była aż tak straszna. Używałem jej jako wymówki, żeby się nie otwierać na innych, bo rzekomo sprowadzę na nich wyłącznie ból i przekleństwo swoich demonów. Ale wiem z *całą pewnością*, że nigdy nie skrzywdziłbym dziecka. Dziecka zrodzonego z mojej krwi. I już na pewno wiem, że ty nie skrzywdziłabyś dziecka tylko po to, żeby zrobić mi na złość.

Łzy wzbierają w jego oczach. Spuszcza na chwilę wzrok i potrząsa głową, bo to wyznanie i otworzenie duszy w końcu zbierają swoje żniwo. Ale gdy podnosi spojrzenie, to mimo łez widzę w jego oczach taką jasność, czystość i uwielbienie, że brakuje mi tchu. A moje serce już dawno zostało skradzione i należy wyłącznie do niego.

— To tak, jakby na końcu tych straszliwych ciemności, w których spędziłem całe życie, pojawił się ten niewiarygodny promień światła.

Głos mu się łamie i łzy spływają po jego twarzy. Siedzimy nago na łóżku, przeszłość nie jest już tajemnicą, serca są obnażone i wrażliwe jak nigdy wcześniej, lecz mimo to jeszcze nigdy nie czułam takiej pewności z jakąkolwiek osobą w swoim życiu.

Podnosi moją głowę, żebym na niego spojrzała i pyta:

— To nie masz nic przeciwko?

Nie jestem pewna, o co pyta, lecz mam nadzieję, że moje domysły są właściwe.



## Rozdział 38.

### Colton

— Boże, Rylee, muszę wiedzieć, czy nie masz nic przeciwko? — Szukam w jej twarzy jakiegokolwiek wskazówki, że chce podążyć tą ścieżką ze mną, bo moje serce łomocze jak oszalałe i z każdym oddechem czuję coraz większy ciężar w piersi.

W jej fioletowych oczach, jedynych, które potrafiły zajrzeć prosto do mojej duszy i zobaczyć wszystko, co w niej ukryłem, wzbierają łzy. Odpędza je mruganiem, próbując przetworzyć to, co mówię. Że chcę z nią czegoś, czego nigdy nie chciałem.

Jutra.

Perspektyw.

Pieprzonej przyszłości.

Ostatecznej pierdolonej flagi z szachownicą.

Głęboko w sercu wiem z absolutną pewnością, co czuję do tej kobiety, która wparowała w moje życie, chwyciła mnie za jaja — i najwyraźniej także za serce — i już nie wypuściła. Nie potrafię się oprzeć próbie uspokojenia dręczących mnie obaw. Chcę złagodzić niepokój duszy, która kiedyś wydawała mi się przeklęta. Nachylam się i całuję ją, czerpiąc otuchę z jej ust, chociaż ona nawet nie wie, że mi jej dodaje.

Patrzę na moje dłonie. Drżą na jej policzkach, ale wiem, że nie ma to nic wspólnego z pieprzonym wypadkiem, lecz wynika wyłącznie z gojeniem się ran, które są tak stare, że nie sądziłem, iż w ogóle się zabliznią. Podnoszę wzrok i patrzę jej w oczy, bo chcę, żeby wiedziała, że chociaż miałem przed nią wiele kobiet, to ona jest jedyną, której to mówię.

— Powiedziałem ci na Florydzie, że zawsze wykorzystywałem adrenalinę... rozmycie, kobiety... żeby wypełnić dręczącą mnie pustkę. A teraz... — Potrząsam głową, bo nie mam pojęcia, jak sprawić, żeby słowa, które kotłują się w mojej głowie, zabrzmiały sensownie i spójnie. Biorę głęboki oddech, bo są to najważniejsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowiem. — Teraz, Ry, przestało to mieć dla mnie znaczenie. Potrzebuję tylko ciebie. Tylko. Ciebie. I chłopców. *I tego, co razem stworzymy.*

Czuję dreszcze na całej skórze, bo jestem przytłoczony tym wszystkim. Tą chwilą, tą pieprzoną wrażliwością. Z trudem przelękam ślinę i zamykam na chwilę oczy. A gdy je otwieram, współczucie i miłość w jej oczach — i samo to, że widzę jej miłość i ją akceptuję — sprawia, że przyspiesza mi puls i czuję euforię, która przełamuje ostatnią blokadę z przeszłości.

— *Kocham cię, Rylee* — szepczę. Ciężar w mojej piersi rozpada się na miliony kawałków, ostatecznie uwalniając moją duszę z dręczącego ją przez tyle lat bagażu.

## Rozdział 39.

*On mnie kocha.*

Ta myśl przebiega mi przez głowę raz po raz i za każdym razem wyzwala zastrzyk adrenaliny.

*Właśnie powiedział, że mnie kocha.*

Nie wiem, co odpowiedzieć, bo pochłania mnie fala miłości i dumy z tego mężczyzny. Spowija mnie kokonem możliwości i wycisza resztki wątpliwości, jakie mogłam jeszcze mieć.

— Colton... — Jestem przytłoczona emocjami i nie potrafię nawet wykrztusić słów, na których powiedzenie czekałam tak długo.

— Ciiii — ucisza mnie, przykładając palec do moich ust, i uśmiecha się nieśmiało. — Pozwól mi dokończyć. *Kocham cię, Rylee.* — Tym razem mówi to pewniejszym głosem, jakby stopniowo odnajdywał się na tym nowym gruncie. Jego uśmiech się poszerza i ja też uśmiecham się szerzej z jego palcem na ustach. — Myślę, że zawsze cię kochałem... od tego pieprzonego pierwszego wieczoru. Byłaś jasnym punktem... iskrą, przed którą nie potrafiłem się schować nawet wtedy, gdy ogarniały mnie ciemności. Boże, kochanie, przeszliśmy razem tak wiele, że ja... — milknie, a z jego wilgotnych oczu wymyka się pojedyncza łza, która powoli spływa po policzku.

Wrywa mi się tłumiony szloch, bo nie potrafię pohamować emocji. Ujmuję jego twarz w dłonie, czuję jego kojąco szorstki zarost i przyciskam usta do jego ust, a on mnie obejmuje i przyciąga mocno do siebie. Opieram czoło na jego czole i chwytam go za włosy z tyłu głowy, bo chcę ją odciągnąć, żeby spojrzeć mu w oczy.

— Kocham cię, Colton. Nie mogłam się doczekać, kiedy ci to znowu powiem. — Śmieję się, bo nie potrafię opanować wzbierającego we mnie szczęścia. — Kocham cię, ty dzielny, niesamowity, skomplikowany, uparty, cudowny mężczyzno, którego chyba nigdy nie będę miała dosyć...

Wpija się w moje usta. Pocałunek niesie ze sobą tak wiele emocji, że nie potrafię pohamować łez i powtarzania szeptem wyznania, z którym musiałam się tak długo powstrzymywać.

Czuję na plecach drapanie jego twardych palców. Przyciska mnie do siebie. Jego stalowe mięśnie na miękkości moich piersi wznecają na nowo płomień pożądania w głębi mojego brzucha. Oddajemy się temu leniwemu, lecz namiętmemu i obeszwałniącemu pocałunkowi, a niezaspokojone języki tańczą w atmosferze wspólnych westchnień i intensyfikują nasze pragnienie. Każdy nerw mojego ciała krzyczy, zachłannie domagając się zawłaszczającego dotyku jego palców.

Ocieram się wzgórkami o czubek jego erekcji, a jego język sprawia, że miękną mi nogi i staję się bezbronna. Samym pocałunkiem naznacza mnie swoim nieusuwalnym piętnem. Muskam bezmyślnie palcami twarde mięśnie jego ramion, po czym wsuwam dłoń w jego włosy, zniewalając jego głowę tak, jak on zniewolił każdy, nawet najmniejszy fragment mojego ciała.

Przerywa pocałunek i odrywa się ode mnie. Jęczę w proteście, ale mam wrażenie, że nigdy nie uda mi się w pełni zaspokoić mojego pożądania. Patrzę na jego rozczochrane włosy i błyszczące oczy, lecz nagle mój wzrok pada na jego uśmiech, który kompletnie mnie rozbraja. Bardzo subtelnymi muśnięciami palców kreśli linie wzdłuż mojego kręgosłupa, a ja próbuje odczytać, co chce mi przekazać.

— Chcę się z tobą kochać, Ry — mówi ochrypłym z emocji głosem.

Ile jeszcze razy tej nocy sprawi, że zabraknie mi tchu w piersi? Ile jeszcze razy zamierza ofiarować mi potłuczone fragmenty swojej duszy, żebym mogła razem z nim na nowo poskładać ją w całość i wyleczyć?

Patrzę na niego, a na moich ustach pojawia się uśmiech.

— Ja *zawsze* się z tobą kocham. — Potrząsam głową, bo nadmiar emocji wykwita rumieńcem na moich policzkach. Głupio mi, że czuję się zawstydzona, skoro wyznaliśmy już sobie wszystkie tajemnice, ale z przyjemnością zauważam, iż po moich słowach w jego oczach pojawiły się iskry i rozchylił lekko wargi. Przesuwam dłoń po jego ramieniu i kładę mu ją na sercu. — Zawsze się z tobą kochałam, ty po prostu o tym nie wiedziałeś.

Parska śmiechem, a kąciki jego ust unoszą się jeszcze wyżej, gdy kładzie mnie na plecach na stercie poduszek i nachyla się nade mną. Opiera się na łokciach, jego kolana są między moimi nogami, a twarz unosi się kilka centymetrów od mojej.

— Cóż, tym razem oboje będziemy wiedzieli — stwierdza i bierze drżący oddech, przyciskając swoją stalową męskość do mojego wejścia.

Zamykam oczy. Całe moje ciało drży pod nim, pragnąc tej nieuchronnej nawałnicy obezwładniających doznań.

— Spójrz na mnie, Ry. — Otwieram oczy i zatracam się w pięknie jego twarzy. — Chcę, żebyś widziała, jak będę cię brał. Chcę, żebyś widziała, jak cię kocham. — Nachyla się i muska moje usta lekkim jak piórko pocałunkiem, po czym wraca wzrokiem do moich oczu. — Kocham cię.

Wraz z tymi słowami wbija się we mnie. Czuję się, jakby wzniecił snop iskier, bo tym razem to coś więcej niż tylko zespolenie fizyczne. To zespolenie serc, dusz i wszystkiego, co nas tworzy. Patrzę, jak jego oczy przesłaniają się mgłą pożądania i ciemnieją od emocji, gdy wchodzi aż do końca.

— Słodki Jezu! — jęczy i zaczyna się poruszać, pobudzając we mnie każdy wewnętrzny nerw. Moje ciało reaguje instynktownie: wyginam się w łuk, żebym mogła jak najpełniej czerpać rozkosz od tego niewiarygodnego mężczyzny.

Czuję, jak bombardują mnie doznania. Czuję, jak jego skóra przesuwa się po mojej. Widzę niepohamowaną żądzę i nieskrępowaną miłość w jego oczach. Słyszę ciche jęki rozkoszy z głębi jego gardła. Pochłania mnie fala gorąca, gdy on wbija się we mnie kolistym ruchem, a potem powoli wycofuje.

Moje ciało wibruje od tego zmysłowego odurzenia. Wszystkie doznania zderzają się ze sobą z tak idealną synchronizacją, że nie byłabym w stanie przed tym uciec, nawet gdybym chciała.

Narasta napięcie. Colton katapultuje mnie na oszałamiające wyżyny przyjemności, znajdując powolny, lecz niezmienny rytm, w którym pobudza i pociera każdy możliwy nerw. Nie odrywa ode mnie wzroku, ale widzę, że pragnienie obserwowania mnie jest stopniowo wypierane przez rozkosz. W pewnym momencie zamyka na chwilę oczy. Patrzę na jego zaciśniętą w skupieniu szczękę, ocieżale powieki i rozszerzone nozdrza.

— Colton... — jęczę, bo moim ciałem zaczyna kołysać wszechogarniająca żądza. Moje mięśnie zaciskają się w oczekiwaniu na zaciekły atak doznań. Na dźwięk swojego imienia Colton zmienia pozycję i siada na piętach, przesuwając dłonie wzdłuż mojego ciała. Dociera do wzgórka i zaczyna muskać kciukiem moją lechtaczkę, a ja wierzgam biodrami, prosząc o więcej.

Jego zmarszczona koncentracją twarz wygląda się nieco, a usta układają się w zmysłowy uśmiešek.

— Chcesz jeszcze?

Przytakuję, bo nie potrafię wykrztusić ani słowa od nawału doznań. Uważając na mój

świeży tatuaż, chwyta mnie mocno za pośladki i z uśmiechem kontynuuje swoją serię niesamowicie pobudzających pchnięć i następujących po nich wycofań. Pochłania mnie to całkowicie i nie jestem w stanie zapanować nad tą wszechogarniającą inwazją na moje zmysły. Colton patrzy mi w oczy i doprowadza mnie coraz wyżej i wyżej. Napinam biodra i odrzucam głowę, bo czuję nadchodzący orgazm.

I nagle wszystko się urywa.

Colton zastyga bez ruchu i kradnie mi w ten sposób mój orgazm. Podnoszę na niego sfrustrowany wzrok i trafiam w zielone oczy, w których rozbawienie miesza się z powściągliwością.

Nachyla się, a jego gorący członek wbija się niewyobrażalnie głęboko, zmuszając mnie do niepohamowanego jęku, którego nawet nie próbuję stłumić. Chwyta mnie dłońmi za uda, a jego twarz wypełnia całe moje pole widzenia. Czuję na sobie jego gorący oddech i widzę, jak napina mięśnie, żeby utrzymać w ryzach pragnienie bezceremonialnego, szybkiego i ostrego rżnięcia, które błyskawicznie doprowadziłoby nas na szczyt. Wiem, że tak lubi.

— Kurde, kochanie, czuję się jak w niebie — mówi, muskając moje usta. Ku mojemu zaskoczeniu wsuwa mi język między wargi i zapanowuje nad pocałunkiem tak samo, jak zapanował nad moim sercem. Czuję, jak powoli traci opanowanie, każdy słodki centymetr jego męskości we mnie maksymalnie nabrzmiewa, a rosnące pożądanie wypłukuje wszelki rozsądek.

Zawłaszczając moje usta, zaczyna się powoli we mnie poruszać. Bierze mnie, kusi, prowokuje do podjęcia jego wyzwania. Przygaszony płomień wznieca się na nowo, a ciekła lawa w moim wnętrzu rozpala pożar doznań, który przed chwilą musiałam porzucić. Wchłaniam ustami jego jęk, a on wbija się coraz głębiej, wyzwalając drobne iskierki przyjemności, które rozbudzają każdy mój nerw.

Przygryza moją dolną wargę, po czym przerywa pocałunek i zaczyna powoli przyspieszać. Opuszcza czoło na moje ramię i wbija się we mnie z pełną pasji desperacją. Moje ciało zaczyna drżeć od jego zacieklej inwazji w moje wnętrze, ale on nadal utrzymuje to mordercze tempo i doprowadza mnie coraz wyżej i wyżej. Pokój wypełnia się moimi cichymi jękami, jego nieartykułowanymi pomrukami i odgłosami uderzeń skóry o skórę.

Skubie zębami mój obojczyk i to doznanie przechyla szalę. Ogarnia mnie amok rozkoszy, moje ciało zaczyna się na nim napinać, a ja całkowicie się mu poddaję i spadam w odurzającą mgłę.

Przez niego zapominam o wszystkim. Nie liczy się nic, poza jego zapachem, odgłosami, smakiem i dotykiem. Fale doznań rozbijają się o moje ciało zjednoczone z jego ciałem, a on powtarza moje imię.

— Patrzenie na twój orgazm jest takie odurzające — szepcze, a jego zarost drapie mnie po szyi. Przerywa na chwilę ruchy, po czym zaczyna bardzo powoli wchodzić i wychodzić, przeciągając ostatnie skurcze przetaczającego się przeze mnie orgazmu. Moja cipka zaciska się wokół jego członka, a ja znacząco paznokciami jego ramiona, poddając się kolejnym falom przyjemności.

— Kurwa, Ry, to takie rozkoszne! — jęczy, wykonując gwałtowne ruchy biodrami, gdy mój orgazm spycha go powoli z krawędzi. Siada z powrotem na piętach, podciąga do góry moje biodra i zaczyna uderzać mnie szaleńczo, ścigając własny orgazm.

— No dalej, kochanie — dyszę i próbuję odpowiadać mu synchronicznymi uderzeniami, poddając się całkowicie jego potrzebom.

Gdy dociera do szczytu, jego gardłowy jęk wypełnia cały pokój. Całe jego ciało się napina i zaczyna drżeć. Po chwili, nie przerywając naszego zwierzęcego zespolenia, przewraca się na plecy, kładąc mnie na sobie. Mam policzek na jego piersi i słucham łomotania jego serca.

Zastygamy tak na chwilę, kreśląc leniwe linie na swoich ciałach. Powoli odzyskujemy oddech, a nasze serca się uspokajają. Panuje komfortowa cisza, bez demonów czających się w cieniach. Owszem, jakaś część jego duszy na zawsze już będzie uszkodzona, ale po raz pierwszy ma kogoś, z kim mógł się tym podzielić. Kogoś, kto pomoże mu dźwigać ten ciężar i ułatwi wyjście na prostą.

Wzdycham na tę myśl i czuję się absolutnie zadowolona. Colton całuje mnie w czubek głowy.

— Kocham cię — szepczę, wciąż przytłoczona tym, jak wiele się dzisiaj wydarzyło, a on wodzi palcami po moich plecach. Zamykam oczy i rozkoszuję się naszymi zespolonymi ciałami i prostotą jego dotyku. Nagle daje o sobie znać moja nadpobudliwość, bo uświadamiam sobie, co jego palce piszą na moich plecach. Podpieram głowę na rękach leżących na jego mostku i patrzę na niego.

— Co? — pyta niewinnie, chociaż jeden kącik jego ust jest uniesiony, a oczy błyszczą szelmostwem, które w nim kocham i którego od niego oczekuję. Zamiast odpowiedzieć unoszę tylko brwi. Czuję vibracje jego chichotu, które przenoszą się z jego klatki piersiowej na mnie.

— Alfabet, As? — Unoszę znowu brew i próbuję powstrzymać się od uśmiechu, lecz ponoszę klęskę.

— Tak. Teraz postrzegam go w zupełnie innym świetle — stwierdza, porzucając pisanie na moich plecach i przenosząc się niżej.

Uprzedza mój śmiech, chwytając mnie za pośladki. Pożądanie, które zawsze tli się we mnie, gdy jestem obok niego, zaczyna powoli rozpalać się na nowo. Czuję, jak Colton powiększa się we mnie, a ja znowu robię się wilgotna pod wpływem tak ścisłego zespolenia naszych ciał.

— A jaka jest twoja ulubiona litera?

Colton wybucha śmiechem, a vibracje z jego klatki piersiowej przenoszą się aż na członka, który jest w pełni pobudzony i schowany w moim wnętrzu.

— Och, kochanie, mam słabość do „V”, które tworzą twoje uniesione nogi, gdy się w ciebie wbijam.

Śmiesz mi jego beznadziejna odpowiedź, ale nie mam okazji się zaśmiać, bo on w tym samym momencie zadaje mi pchnięcie biodrami. Wstrząs rozchodzi się po całym ciele, czuję ocieranie jego skóry o moje sutki i z mojego gardła wyrывa się jęk rozkoszy. Zamykam oczy i rozluźniam ciało, wchłaniając wzmocnione poprzednim orgazmem doznania wywoływane przez jego ruchy.

— Dobry Boże! — wzdycham, gdy wyrывa mnie z katatonicznego stanu po szczytowaniu i od nowa roztacza nade mną swój czar.

## Rozdział 40.

### Colton

Ciepło słońca jest równie przyjemne jak smak lodowatego piwa i widok pochylającej się przede mną Rylee. *Kurwa* — besztam się milcząco za to, że myślę o rzeczach, o których nie powinienem myśleć przy chłopcach.

Czy to się kiedykolwiek skończy? To, że chcę, by była w pobliżu? Że chcę patrzeć, jak śpi, i budzić się obok niej? Że chcę znowu w niej być? Minęły dopiero trzy godziny od chwili, gdy opuściliśmy łóżko, a ja mam straszliwą ochotę zaciągnąć ją znowu na górę.

— Leżeć!

Oto kubek zimnej wody splukujący moje gorące wizje.

— Co tam, Becks?

— Uważaj, bo zrobi ci się namiocik, jeśli nie przestaniesz na nią patrzeć takim wzrokiem, jakbyś chciał ją przegiąć przez tę sofę i zerznąć do nieprzytomności — stwierdza i bierze łyk piwa.

*Cóż, zawsze to jakaś myśl.*

Wydaję z siebie jęk.

— Dzięki za wizualizację, stary, bo to naprawdę mi teraz nie pomaga — odpowiadam, przewracając oczami i potrząsając głową, a zaraz potem rozglądam się za chłopcami, bo wolałbym, żeby nie usłyszeli naszej rozmowy o tym, jak z chęcią zdeprawowałbym ich nieziemsko seksowną wychowawczynię. Mój Boże, ona jest jak chodzący mokry sen. Zmieniam znowu pozycję na krześle i obserwuję, jak kuca, poprawia górę stroju i zaczyna smarować Zandera kremem do opalania.

Potrząsam głową, myśląc o tym, jak wcześniej zastanawiała się, który strój wybrać na przyjęcie basenowe z chłopcami. Nawet ten czerwony, w którym jej zdaniem wygląda jak matrona, uwydatnia wszystkie pieprzone linie jej ciała, a ja mam nieodpartą chęć na jazdę testową po wszystkich jej krągłościach.

Uwaga na niebezpieczne zakręty i wzdórki? No kurwa. *Dawać mi je*. Uwielbiam ryzyko i związany z nim dreszcz. Niech mnie szlag, jeśli nie myślę teraz wyłącznie o tym.

O jeździe bez trzymanki.

— Sądząc po twoim ckliwym wyrazie twarzy, między wami wszystko w porządku? — pyta Becks, wyrывая mnie z nieczystych wizji i siadając obok.

— Raczej tak. — Otwieram kolejną butelkę i pociągam łyk.

— Tylko proszę, nie mów mi, że się teraz udomowisz i w ogóle.

— Udomowię? Jasne, że nie — śmieję się. — Chociaż ta kobieta wygląda seksownie jak diabli, gdy idzie przede mną w szpilkach i popycha supermarketowy wózek. — Właśnie to sobie wyobrażam. Mam niewyobrażalną ochotę ją zerznąć.

— Ty, Coltonie Donavanie, byłeś w supermarkecie? — wykrztusza.

— Jasne. — Unoszę brwi i śmieję się ze zszokowanego wyrazu jego twarzy.

— I to nie wyłącznie po kondomy?

Nie mogę się powstrzymać. Uwielbiam go drażnić. To po prostu zbyt łatwe.

— Nie, kondomy są niepotrzebne, gdy masz kartę stałego klienta w klubie jeżdżących na oklep.

— Jezu Chryste, stary, czy ty chcesz, żebym udławił się piwem? — mówi, wycierając z brody piwo, którym parsknął.

— Mam coś lepszego, co może prowadzić do zakrztuszenia — mruczę i znowu patrzę na

pochylającą się Rylee, która nieustannie przyprawia mnie o wzdół. Tak bardzo skupiam się na jej widoku i moich zdrożnych, lecz jakże rozkosznych wizjach tego, co zrobię z nią później, że nie rejestruję, co mówi Becks. — He? — pytam.

— Stary, jesteś opętany przez cipkę, skurczybyku, przyznaj się.

Zerkam na niego z zamiarem obrony swojej męskości, lecz uświadamiam sobie, że właśnie tam ją widzę, w pieprzonych dłoniach Rylee, która idealnie łączy w sobie słodycz i ostrość. Dlatego śmieję się w głos i potrząsam głową, po czym biorę łyk piwa i wzruszam ramionami.

— Jeśli w grę wchodzi jej cipka, zgadzam się z tobą w stu procentach.

Becks krztusi się znowu, lecz tym razem ze śmiechu. Klepię go w plecy, a Ry odwraca się do nas, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— Mój Boże! To musi być najlepsza magiczna cipka na świecie, skoro usidlila pieprzonego Coltona Donavana.

— *Usidlila?* Nigdy! — Chichoczę, potrząsając głową, po czym odchylam się na leżaku i zerkam na Becksa. — Po prostu pewien bałwan... ehm, przyjaciel... uświadomił mi, jak bardzo lubię pierdolony alfabet.

— W takim razie ten *przyjaciel* zasługuje na kontener piwa w podzięce — stwierdza, wzruszając ramionami. — Albo na załatwienie mu wyśmienitej dupy w ramach rewanżu.

Parskam śmiechem, wdzięczny za jego sarkazm, bo dzięki temu nie musimy gadać o głębi uczuć i podobnych bzdurach, o których niezbyt komfortowo mi się opowiada. Dopiero co nauczyłem się o tym mówić przy Ry, ale na pewno nie będę tak sielsko-sentymentalny z Becksem.

— *Ona ma niezłą przyjaciółkę* — stwierdzam, unosząc brew. Becks prycha w odpowiedzi na powtórzenie kwestii, którą powiedziałem, gdy przekonywałem go, żebyśmy wzięli Ry na wycieczkę do Vegas.

— Z całą pewnością — mruczy.

Chcę coś odpowiedzieć, ale Aiden wskakuje na bombę do basenu i opryskuje nas wodą. Zaczynamy się śmiać, mamy ochlapane okulary i wylatuje mi z głowy to, co chciałem powiedzieć.

— Hej — mówi Becks, więc odwracam się w jego stronę. — Wciskam ci gówna, bo tacy już jesteśmy... ale cieszę się twoim szczęściem, Wood. Nie spierdol tego.

Uśmiecham się. *Skurwiel.*

— Dzięki za zaufanie, stary.

— Do usług, ziom. Do usług. — Siedzimy przez chwilę w milczeniu, obserwując chłopców, którzy zachowują się tak jak powinni, czyli jak dzieci. — To jesteś gotowy?

Głos Becksa wrywa mnie z zamyślenia i naprowadza na to, na czym powinienem się skupić: na wyścigu w przyszłym tygodniu. Pierwszy raz w samochodzie od wypadku. Gaz do podłogi i w lewo. Sama myśl o tym sprawia, że skacze mi ciśnienie.

Ale mam to pod kontrolą.

— No co ty, gotowość mam we krwi — odpowiadam, stukając szyjką w jego butelkę. — Flaga z szachownicą na mnie czeka.

— Jasne, że tak — stwierdza i zerka na telefon, bo właśnie dostał SMS, a ja wracam wzrokiem do Rylee i myślę o majtkach w szachownicy, których ostatecznie jeszcze nie zdobyłem. Muszę coś z tym zrobić, bez dwóch zdań.

Potrząsam głową i zatapiam się bardziej w leżaku. Obserwuję, jak chłopcy wskakują do basenu i bawią się w bitwę morską. Siedzę i czekam na to, co zawsze, ale nic się nie dzieje. Nie czuję tego pieprzonego ukłucia zazdrości, które kiedyś pojawiała się za każdym razem, gdy

widziałem chłopców w tym wieku, wyglupiających się beztrzesko tak, jak ja nigdy nie miałem okazji. Bo nawet po tym, jak zostałem adoptowany, ten strach ciągle był we mnie, przenikliwy jak diabli.

Rylee łapie moje spojrzenie z drugiego końca tarasu i na jej ustach wykwita ten seksowny grzeszny uśmiech. Niech mnie kule biją! Moje jaja się napinają i czuję ucisk w klatce piersiowej na myśl, że to ja spowodowałem ten uśmiech. Ta kobieta jest moim pieprzonym kryptonitem.

Jakiej innej kobiecie pozwoliłbym zaprosić siedmiu chłopców do mojego domu na basenowe przyjęcie z okazji rozpoczęcia lata? Jakiej innej kobiecie mógłbym zwierzyć się ze swoich demonów, a ona zamiast uciec w podskokach spojrzalaby mi w oczy i powiedziała, że jestem odważny? Jaka inna kobieta napiętnowałaby swoją skórę, żeby udowodnić mi, że wchodzi w to całym sercem?

Pieprzone flagi w szachownicę, alfabety i prześcieradła. Jak to się stało, że się z tym wszystkim pogodziłem?

Potrząsam głową, udając, że mnie to nie obchodzi, ale nie potrafię oderwać od niej wzroku dłużej niż na sekundę i znowu trafiam na jej spojrzenie.

Biorę nowe piwo, które podaje mi Becks, i pociągam łyk. Zerkam na niego, a on potrząsa głową ze śmiechem.

— *Co?*

— Ty się zdecydowanie z nią ożenisz.

Teraz ja krztuszę się piwem. Zginam się w pół z kaszlu, a Becks klepie mnie trochę zbyt mocno w plecy.

— Nic mu nie jest! — słyszę jego głos, próbując opanować kaszel pomieszany z cisnącym mi się na usta śmiechem. — Nic mu nie jest — powtarza rozbawionym głosem.

— Odwal się, Becks! — udaje mi się w końcu wykrztusić. — Nie ma szans! *Zero obrączek, zero bolączek* — powtarzam ze śmiechem nasze stare motto. A potem odszukuję wzrokiem Ry. Jest na drugim końcu tarasu, siedzi na krawędzi basenu z dietetyczną colą w dłoni i sędziuje w grze w marco polo[1]. Ricky ku swojemu niezadowoleniu zostaje złapany, a Rylee odrzuca głowę i śmieje się z czegoś, co Scooter do niego powiedział.

Jest w niej teraz coś niezwykłego: włosy rozświetlone promieniami słońca, beztrzeski śmiech, ewidentna miłość dla wszystkich swoich podopiecznych. W każdym razie coś związanego z jej podejściem do chłopców i tworzeniem im normalnego życia w miejscu, które jeszcze niedawno — zanim się pojawiła — nie było tak naprawdę domem, uderza mnie mocniej niż pieprzony żółtodziób Jameson na Florydzie. A ja zaczynam myśleć o wspólnej przyszłości i innych bzdurach, których jeszcze sześć miesięcy temu w ogóle nie brałem pod uwagę.

To na pewno przez Becksa, który miesza mi w głowie. Wprowadza zamęt. Skurczybyk powinien się zamknąć i nie gadać rzeczy, które nigdy nie będą mieć miejsca.

Nigdy.

Dlaczego więc, do cholery, zastanawiam się, jak Ry wyglądałaby w bieli? Dlaczego zastanawiam się, jak zabrzmiałyby wypowiedziane na głos słowa *Rylee Donovan*?

Nigdy. Próbuję wyrzucić te wizje z głowy, ale one nie chcą odejść i nadal mnie straszą.

— *Nie ma żadnych szans* — powtarzam ze śmiechem, ale nie wiem, kogo tak naprawdę próbuję przekonać: Becksa czy siebie? Zerkam ukradkiem na Rylee. To byłby konkretny falstart, bo przecież ta dyscyplina jest dla mnie zupełnie obca. Pieprzony Beckett. — Usidlanie to jedno, dupku, ale obrączkowanie? — Gwiżdżę. — Tym rodzajem zabawy w wiązanie w ogóle nie jestem zainteresowany. — Potrząsam głową, widząc jego irytująco szeroki uśmiech, i wstaję z leżaka. — Nigdy.

— Zobaczmy — odpowiada z uśmiechem, który bardzo chętnie starłbym mu z twarzy.



— Stary, czujesz to? — pytam, wyciągając ręce na boki i odchylając twarz w stronę słońca, po czym spoglądam na niego.

— He?

— To jest ciepło, Daniels. Piekło nie może zamarznąć, jeśli na zewnątrz jest tak gorąco — rzucam przez ramię i podchodzę do krawędzi basenu. Koniec dyskusji. Żadnego więcej gadania o małżeństwie i tym podobnych bzdurach.

Czy on chce, żebym zszedł na atak serca?

Kurwa.

— Bombaaaa! — wrzeszczę i skaczę do basenu z nadzieją, że spowoduję większy chaos, niż Becks próbuje wywołać w mojej głowie.

[1] Marco polo — gra podobna do polskiej ciuciubabki, rozgrywana w basenie. Jedna osoba zamyka oczy i krzyczy „Marco”, pozostali muszą odpowiedzieć „Polo” i osoba z zamkniętymi oczami próbuje złapać kogoś, kierując się słuchem — *przyp. tłum.*

## Rozdział 41.

Gdy wychodzę przed Coltonem z przyczepy, *déjà vu* uderza mnie z siłą pędzącego pociągu. Z nieba nad Fort Worth leje się wilgotny żar, ale strużka potu spływająca mi po plecach nie ma nic wspólnego z pogodą, bo wynika wyłącznie z niepokoju dręczącego każdą komórkę mojego ciała.

Niepokoju związanego z Coltonem.

I z samochodem, do którego idziemy.

Wiem, że jest zdenerwowany, bo ściska mocno moją rękę, ale z zewnątrz wygląda jak człowiek w stu procentach przygotowany do swojego zadania. Otaczający nas ludzie bez przerwy o czymś do siebie mówią, lecz ja, Colton i Becks wchodzimy na tor w absolutnym skupieniu, jak jedno ciało.

Próbuję odepchnąć bombardujące mój umysł wspomnienia, bo chcę wyglądać na spokojną, chociaż w środku wszystko mi się trzęsie z przerażenia.

— W porządku? — jego zatroskany głos przywraca mnie do porządku. Mam poczucie winy, bo to ja powinnam go pocieszać, a nie on mnie.

Nie potrafię go okłamywać. Zorientowałby się, a to sprawiłoby, że zaczęłyby się jeszcze bardziej martwić. A myślenie o mnie jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz od niego oczekuję. Gdy wsiądzie do samochodu, powinien być skupiony i pewny siebie od zielonej flagi na rozpoczęcie wyścigu aż do flagi w szachownicy na mecie.

— Powoli się uspokajam — mówię cicho i ściskam jego dłoń. Docieramy do punktów serwisowych i tłumy fotografów pragnących udokumentować pierwszy wyścig Coltona po wypadku. Klikanie migawek i wykrzykiwane pytania zagłuszają jego odpowiedź. Coraz bardziej zżerają mnie nerwy, ale Colton chyba się trochę rozluźnił, bo najwyraźniej czuje się w tym otoczeniu jak ryba w wodzie.

Uświadamiam sobie, że chociaż dla mnie to wszystko jest niepokojące i obce, dla niego stanowi to część rozmycia, w którym kiedyś żył. Otoczony krzykami i błyskami fleszy, jest w stu procentach w swoim żywiole. Ten kompletny chaos pozwala mu zapomnieć o dręczących go obawach, co mnie bardzo cieszy.

Staję nieco z boku i obserwuję, jak odpowiada na pytania, błyskając swoim rozbajającym uśmiechem, któremu nie potrafię się oprzeć. Z jednej strony w każdej odpowiedzi emanuje urokiem aroganckiego złego chłopca, ale z drugiej strony widzę w nim mężczyznę, który uwielbia ten sport i rolę, jaką w nim odgrywa. Mężczyznę, który krok po kroku, wraz z każdą udzieloną odpowiedzią, odzyskuje pewność siebie, którą zgubił na torze w Saint Petersburgu.

I chociaż przechodzi mnie dreszcz przerażenia, gdy słyszę tradycyjny okrzyk: „*Panowie, zapalamy silniki*”, to głęboko w środku czuję ulgę, że Colton tu wrócił. Mój dzielny, zbuntowany łobuz odzyskał grunt pod nogami i dumnie wraca na swoje miejsce.

\*\*\*

Zapada cisza. Nieustanny hałas wraz z upływem kolejnych minut dzielących nas od rozpoczęcia wyścigu powoli zamienia się w ciche mruczenie. Wyczuwam rosnące zaniepokojenie Coltona, który nie może usiedzieć na miejscu. Chciałabym mu jakoś ulżyć, ale boję się, że wyczuje moje obawy, a to tylko pogorszyłoby sprawę.

Widzę, jak wyrzuca papierek po snickersie do kosza i krąży po punkcie serwisowym, ustalając coś z Becksem i kilkoma innymi członkami zespołu. Jego twarz emanuje intensywnością, lecz mowę ciała ma płynną. Odchodzi od samochodu i przygląda mu się przez

chwilę z przechyloną głową, co wygląda jak milcząca rozmowa między człowiekiem i maszyną. Podchodzi do niego powoli, a mechanicy dokonujący ostatnich regulacji przerywają pracę i odchodzą na bok. Kładzie dłoń na przednim skrzydle i przesuwa ją aż do kokpitu, tak jakby pieścił samochód. Potem stuka kostkami w bok, jak zwykle cztery razy. Za czwartym razem zatrzymuje pięść i przez sekundę opiera ją o metal, po czym potrząsa głową.

Mimo otaczającego mnie chaosu ostatnich przygotowań nie potrafię oderwać od niego wzroku. Uświadamiam sobie, jak bardzo się myliłam, gdy siedząc przy szpitalnym łóżku, łudziłam się, że z tego zrezygnuje. Prośenie go, by porzucił wyścigi, byłoby jak próba zmuszenia go, by oddychał bez powietrza. Albo by kochał osobę, której nie kocha. Widzę to teraz jak na dłoni, że on ma wyścigi we krwi i że wyścigi są dla niego absolutną koniecznością.

Zastanawiam się, na ile ten wyścig będzie inny, skoro Colton nie czuje deptających mu po piętach demonów, które zmuszałyby go do przyspieszenia i większego ryzykowania. Czy bez zagrożenia, które prześladowało go przez całe życie, będzie mu łatwiej czy trudniej?

Megafony budzą się do życia, wytrącając mnie z zamyślenia i przerywając Coltonowi jego chwilę refleksji. Odwraca się przez ramię i od razu napotyka moje oczy. Na jego ustach pojawia się nieśmiały uśmiech, który potwierdza, że łączy nas tak głęboka więź, iż nie potrzebujemy słów. To uczucie jest bezcenne.

Ludzie biegają wokół nas, a on, nie odrywając ode mnie wzroku, stuka jeszcze dwa razy w maskę, po czym odwraca się od samochodu i rusza w moją stronę.

— Tworzysz nową tradycję? — pytam z uniesioną brwią, szerokim uśmiechem i sercem nabrzmiałym z miłości. — Dwa dodatkowe stuknięcia, żeby mieć więcej szczęścia, czy co?

— Nie. — Uśmiecha się i pociera nos w uroczy sposób, co zupełnie nie licuje z mocnymi rysami jego twarzy i kradnie mi serce. — Moje największe szczęście stoi przede mną — oznajmia i ofiaruje mi najczulszy pocałunek, a potem przez chwilę zastyga z ustami na moich ustach.

Czuję we wnętrzu emocjonalną burzę. Albo raczej wojnę. Próbuję się przekonać, że jego nagła uczuciowość nie wynika z tego, że stanie się coś strasznego i los chce mi dać ostatnie piękne wspomnienie z nim. Próbuję desperacko zwalczyć zagrażające łzy i cieszyć się chwilą, ale wiem, że on wie. Wyczuwa mój niepokój, bo ujmuje moją twarz w dłonie, odchyła się i spogląda mi prosto w oczy.

— Wszystko będzie dobrze, Ry. Nic mi się nie stanie. — Zmuszam się do wychwycenia absolutnej pewności w jego głosie, żeby choć trochę się rozluźnić i być dla niego silną.

Potakuję nieznacznie.

— Wiem...

— Kotku, w niebie na razie mnie nie chcą, a w piekle by ze mną nie wytrzymali, więc poniekąd utknęłaś tu ze mną. — Błyska krótkim uśmiechem, w którym jest wszystko, czego nigdy nie uważałam za seksowne, a co teraz wywołuje we mnie pożądanie: nieprzewidywalność, żądza przygód, arogancja.

— Utknęłam z tobą, co?

Nachyla się do mojego ucha.

— Miałem na myśli raczej „utknąłem w *tobie*” — szepcze, a jego gorący oddech wysyła strumień ciarek w dół mojego kręgosłupa. — Dlatego proszę, naprawdę *proszę*, powiedz, że masz na sobie majtki w szachownicę, które będę mógł potem zdobyć, bo jedyne, o czym teraz myślę, to przerzucić cię przez ramię i zrobić sobie jazdę testową.

Każda część mojego ciała zaciska się po tych słowach. Może to wpływ adrenaliny lub nadmiernych emocji wracających w tej bezcennej chwili, która została nam brutalnie zabrana miesiąc temu, ale ja też myślę tylko o tym, że chciałabym, żeby to ze mną zrobił.

— Uwielbiam, gdy mężczyzna mnie o coś błaga — przekomarzam się z nim, bawiąc się opadającym mu na kark kosmykiem.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, o co jestem gotów błagać, jeśli chodzi o ciebie, kochanie. — Rozbraja mnie tym swoim łobuzerskim uśmiechem, a po jego słowach oddech więźnie mi w gardle. — Poza tym moje błaganie prowadzi do twojego jęczenia, a to jest najbardziej podniecający odgłos na świecie.

Wydaję z siebie cichy jęk frustracji, bo rozpaczliwie go pragnę, lecz nie mogę go mieć... i wiem, że właśnie dlatego pożądanie jest tak intensywne. Zaczynam coś mówić, ale przerywają mi pierwsze dźwięki hymnu. Colton przyciska dłonie do moich policzków i patrzy mi w oczy jeszcze przez chwilę, po czym całuje mnie w usta i w nos. Dopiero wtedy odwraca się w stronę flagi, ściąga swoją szczęśliwą czapkę i kładzie dłoń na sercu.

Gdy hymn dobiega końca i rozbrzmiewają ostatnie dźwięki, biorę głęboki wdech, żeby przygotować się na najbliższe chwile. Muszę być silna i nie okazywać strachu, który wciąż jest we mnie, niezależnie od poziomu pewności siebie Coltona. Nagle spada na nas chaos wiwatującego tłumu.

Colton jest już ubrany, owinięty i zapięty. Ma rękawice na dłoniach. Silniki zaczynają wyć, a ich łoskot wibruje w mojej piersi. Colton jest w swoim żywiole, słucha Becksa i skupia się na tym, co ma teraz zrobić.

Przesąd każe mi zadbać o to, żeby ten wyścig był inny. Davis nie może mnie odprowadzić. Muszę zmienić cokolwiek, żeby nie mieć wrażenia powtórki z historii. Nagle słyszę jego głos. Głos, który rozwała całą moją determinację odłamkami nostalgii.

— *Rylee?*

Natychmiast na niego spoglądam. Oddech więźnie mi w gardle pod wpływem jego głosu i słodko-gorzkich wspomnień. Patrzymy sobie w oczy, gdy podchodzi do mnie, ignorując wrzask Becketta o absolutnym braku czasu.

Rozchyłam usta i marszcząc brwi, pytam:

— Hę?

Wyciąga dłoń nad niskim ogrodzeniem, które nas dzieli, i przyciąga moje ciało do swojego tak, że nasze serca uderzają obok siebie.

— Naprawdę myślałaś, że tym razem pozwolę ci odejść, nie mówiąc ci tych słów?

Uśmiech na mojej twarzy przypuszczalnie sięga do uszu, bo bolą mnie policzki. Moje oczy robią się wilgotne i tym razem nie są to łzy strachu.

Lecz łzy miłości.

Bezwarunkowego uwielbienia dla tego trzymającego mnie mocno mężczyzny.

— Kocham cię, Ryles — mówi cicho tym swoim lekko ochrypłym głosem, lecz ja i tak wyraźnie go słyszę, mimo całego tego hałasu wokół nas, tych ryczących silników, wrzawy na trybunach i trzasków w megafonach.

Te słowa owijają się wokół mojego serca, wplatają się w nie i wiążą mnie z Coltonem. Odpowiadam drżącym westchnieniem i uśmiecham się do niego.

— Ja ciebie też, As.

Uśmiecha się i muska moje usta pocałunkiem, od którego przechodzą mnie ciarki.

— Czas na flagę z szachownicą, mała.

— Czas na flagę z szachownicą — powtarzam.

— Do zobaczenia na podium — mówi i puszcza mi oczko, po czym odwraca się i odchodzi do swoich ludzi, którzy czekają bez ruchu na swojego kierowcę.

Patrzę zahipnotyzowana miłością i strachem, jak pomagają mu założyć kask, a potem dają się odprowadzić Davisowi do punktu obserwacyjnego. Zakładam słuchawki i patrzę przez okno,

jak zapinają na Coltonie urządzenie HANS, dociągają paski i zakładają kierownicę.

— Test radia, Wood — rozbrzmiewa w moich uszach bezcielesny głos obserwatora, sprawiając, że się wzdrygam. — Raz, dwa. Raz, dwa.

Przez chwilę w radiu jest cicho i spoglądam w dół, tak jakbym liczyła na to, że zobaczę go mimo kasku i zasłaniających go ludzi.

Obserwator próbuje ponownie.

— Raz, dwa, raz, dwa.

— Test radia, A, B, C — słyhać w słuchawkach wyraźny głos Coltona.

— Wood? — w głosie obserwatora słyhać niepewność. — Wszystko w porządku?

— Nigdy nie było lepiej — śmieje się Colton. — To takie podziękowanie dla całego alfabetu.

Zzerające mnie nerwy znikają bez śladu.

— *Alfabetu?*

— Tak. Od A do pierdolonego Z.

\*\*\*

Quinlan ściska mnie za rękę, a ja zerkam na licznik na górze ekranu, pokazujący, ile okrążeń zostało do końca.

Dziesięć.

Dziesięć okrążeń wypełnionych całą gamą emocji — zdenerwowaniem, ekscytacją, wariowaniem, nadzieją, miłością — tak jak poprzednie dwieście trzydzieści osiem okrążeń. Robiłam już wszystko: stałam, siedziałam, chodziłam w kółko, krzyczałam, modliłam się i musiałam przypominać sobie o oddychaniu.

— Uda mu się — szepcze za mną Quinlan, ściskając moją rękę nieco mocniej. Zgadzam się z nią, bo myślę, że Colton będzie miał wielki comeback i wygra ten wyścig, ale nie mówię tego na głos, bo boję się zapeszyć.

Patrzę w dół na Becksa, który ukradkiem omawia coś z innym członkiem zespołu. Niemal dotykają się głowami, pisząc coś na kartce. Nie znam się zbyt dobrze na wyścigach, ale z tego, co wiem, martwią się, iż w kalkulacjach zużycia paliwa zostawili tak mały margines, że na ostatnim okrążeniu Colton będzie dosłownie jechał na oparach.

Liczyby na wyświetlaczu zmieniają się na coraz niższe. Gdy widzę piątkę, przyspiesza mi puls, a serce wzbiera nadzieją.

— Masz Masona, który zbliża się ostro i szybko od góry — mówi obserwator, a jego stoicki zazwyczaj głos jest zabarwiony niepokojem.

— Zrozumiałem — odpowiada Colton, w pełni skupiony na jeździe.

— Dobiera się! — wykrzykuje obserwator.

Zerkam na monitor, żeby obejrzeć zbliżenie tego, co widać przez okno. Całe moje ciało napina się niecierpliwie, gdy pędzą w stronę trzeciego zakrętu. Dwie metalowe puszki rozpędzone do nieludzkich prędkości. Wszyscy wychylają się z siedzeń, żeby to lepiej zobaczyć. Zaciskam dłonie w pięści i staję na palcach, jakbym dzięki temu mogła zobaczyć więcej, a w myślach modlę się, żeby Coltonowi udało się utrzymać prowadzenie.

Słyszę krzyk tłumu w tej samej chwili, gdy wracam wzrokiem na monitor i widzę, jak tylne opony wchodzą w kontakt. Mason za mocno koryguje tor jazdy i ociera się o ścianę po prawej, a samochód Coltona gwałtownie odbija w stronę wewnętrznej części toru.

Wszyscy w punkcie obserwacyjnym natychmiast wstają. Chociaż to inny tor, ten sam dźwięk sieje spustoszenie w naszych nerwach. Zasłaniam dłońią usta i wychylam się przez otwarte okna punktu, żeby lepiej widzieć tor.

— Colton! — krzyczy Beckett. Wstrzymuję oddech, bo czerwony samochód sunie na wewnętrzną część toru, jakby Colton nad nim nie panował. Zawsze odpowiada od razu, lecz teraz w radiu panuje absolutna cisza. Jakaś część mnie umiera w tym momencie. Wiem z całą pewnością, że za każdym razem, gdy zobaczę dym lub żółtą flagę, poczuję to ukłucie niepokoju i przypomni mi się burza emocji, której doświadczyłam po wypadku Coltona.

Widzę, jak Beckett ciągnie za daszek czapki ze wzrokiem wbitym w tor. Jestem coraz bardziej zdenerwowana, chociaż wciąż czuję to nasionko pewności zasianej we mnie przez Coltona, które jest gotowe do zakiełkowania. Nie wyobrażam sobie, co musi się dziać w jego głowie, ale wiem, że mimo nawału emocji i wspomnień na pewno się nie podda. Samochód nawet odrobinę nie zwolnił.

Colton wciąż milczy.

— No dalej, synu — mruczy do siebie stojący niedaleko mnie Andy. Zaciska dłonie do białości na krawędzi stołu przed sobą.

Mija zaledwie kilka sekund, ale mnie się wydaje, jakby to była cała wieczność. Patrzę na niekontrolowany ślizg samochodu Coltona w stronę trawy wewnątrz toru, prosto na barierkę. Tuż przed nią odzyskuje panowanie i koryguje tor jazdy.

Wszyscy w punkcie obserwacyjnym wydają westchnienie ulgi, a samochód z charakterystycznym czerwono-niebieskim skrzydłem wraca z wewnętrznej części z powrotem na tor. Pod kontrolą kierowcy. I wciąż na prowadzeniu. Wtedy w słuchawkach odzywa się głos Coltona:

— Ja pierdolę! — wyszczekuje i nawet przez radio słychać, że zalewają go emocje. Chwilę później pod wpływem adrenaliny dodaje do tego okrzyk: — Juhu!

— Sprowadź ją do domu, kotku! — krzyczy do niego Becks, który chodzi tam i z powrotem. Wydaje głośne westchnienie ulgi i ściąga na chwilę słuchawki i czapkę, żeby odzyskać panowanie nad sobą, ale szybko zakłada to wszystko z powrotem.

Cztery okrążenia do końca.

Odzyskuję zdolność oddychania. Splatam znowu palce z nerwów, a nadzieja osiąga nieznane wcześniej wyżyny. *No dalej, kochanie, dasz radę* — powtarzam do niego w myślach. Mam nadzieję, że wyczuwa energię, jaką przekazuję mu wraz z tysiącami ludzi na trybunach, którzy życzą mu zwycięstwa.

Trzy okrążenia do końca. Nie mogę już wytrzymać. Moje ciało wibruje nie tylko od ryku silników samochodów, które mijają nas nieskończoną sekwencją. Odchodzę od blatu. Quinlan posyła mi pytające spojrzenie, ale wzruszam ramionami. Chcę być jak najbliżej niego, więc idę do schodów i biegnę w dół.

— Dwa do końca, kotku! — krzyczy Becks do mikrofonu, gdy jestem na ostatnim stopniu. Trzymam się blisko ściany punktu serwisowego. Nie widzę stąd zbyt dobrze toru, ale uśmiecham się, obserwując Becksa, który patrzy w monitor, potrząsa głową i tak go nosi, że nie potrafi ustać w miejscu.

Zerkam na tablicę wyników. Colton wciąż jest na prowadzeniu, a tymczasem flagowy przygotowuje białą flagę, sygnalizującą ostatnie okrążenie. Gdy zaczyna nią machać, serce podchodzi mi do gardła. Becks uderza pięścią w powietrze i ściska ramię stojącego obok niego członka zespołu.

Ktoś ociera się o moje ramię. Odwracam się i widzę obok siebie Andy'ego. Uśmiecha się ostrożnie, gotowy do wybuchu radości, gdy tylko w powietrzu pojawi się flaga z szachownicą. Spoglądam w stronę stanowiska flagowego, ale widok zasłania mi rząd ludzi w czerwonych ogniodpornych kombinezonach, którzy stanęli na murku alei serwisowej i czekają z niecierpliwością na finisz.

Wtedy to słyszę.

Rozdzierający wrzask tłumu i triumfujące krzyki członków zespołu, którzy skaczą, gwizdząc i wiwatując. Jestem tak przytłoczona emocjami, iż nie mam pojęcia, kto kogo przytula, ale wiem, że obok mnie stoi Andy i że ściskamy się z niepohamowanej radości. Udało mu się. Naprawdę mu się udało.

Następne pięć minut mija w atmosferze uścisków i przybijania piątek. Wszyscy ściągamy słuchawki i ruszamy wielką masą w stronę pasa zwycięzcy. Colton podjeżdża z wyjącem silnikiem na swoje miejsce, bo właśnie zakończył zwycięskie okrążenie.

Nie mam pojęcia, jaki jest protokół dla osób spoza zespołu, ale wbijam się w tłum i walczę o to, żeby zobaczyć Coltona. Nawet dzikie konie nie byłyby w stanie mnie teraz od niego odciągnąć.

Widok blokuje mi przez chwilę zespół reporterów. Jestem zdenerwowana, serce bije mi jak oszalałe, policzki boją od śmiechu, a moja dusza jest przepełniona miłością. Jedyne, czego pragnę, to zepchnąć ich wszystkich z drogi i dostać się do niego.

Gdy zmieniają pozycję, żeby uzyskać lepsze zdjęcie, dostrzegam Coltona. Przyjmuje gratulacje od Becksa, popija gatorade, przeczesuje dłonią wilgotne od potu włosy, które sterczą na wszystkie strony w totalnym nieładzie, i ma najpiękniejszy wyraz twarzy, jaki potrafię sobie wyobrazić: wyczerpanie połączone z ulgą i dumą.

Nagle jakby wyczuwa moje spojrzenie, bo odwraca się i na jego twarzy pojawia się największy i najbardziej ujmujący uśmiech. Serce przestaje mi bić, gdy na niego patrzę. Przysięgam, że od naszej wymiany spojrzeń w powietrzu zaczęły przeskakiwać iskry. Bez słowa zostawia Becketta i zaczyna przeciskać się przez tłum, który rusza razem z nim. Podchodzi do mnie, nawet na chwilę nie odrywając ode mnie wzroku.

Bez chwili wahania obejmuje mnie i bierze w ramiona tak, że moje stopy odrywają się od ziemi. Odrzuca głowę i wybucha najbardziej beztróskim śmiechem, jaki słyszałam, po czym przywiera do moich ust. Wokół nas dzieje się tak wiele, to niemal kompletny chaos, ale nic nie równa się z tym, jakie uczucia we mnie teraz wywołał.

Całe otoczenie znika, bo jestem tam, gdzie powinnam być — w jego ramionach. Czuję ciepło jego ciała przyciśniętego do mnie i nie zwracam uwagi na poszturchujących nas reporterów, którzy chcą uzyskać jak najlepsze ujęcie. Wdycham jego zapach, w którym mydło i dezodorant mieszają się z zapachem spracowanego ciała, a moje feromony natychmiast zostają pobudzone i milcząco błagają, by mnie wziął, zdominował i posiadał, bo chcę być naznaczona tym zapachem. Czuję smak gatorade na jego ustach, ale to nawet w małym stopniu nie zaspokaja mojego pożądanego, bo w przypadku Coltona jeden smak to zawsze za mało. Słyszę znowu jego śmiech, gdy odrywa się od pocałunku i przez chwilę opiera czoło na moim czole. Cała jego pierś wibruje od dudniącego odgłosu euforii.

— Dalesz radę!

— Nie — zaprzecza, odchylając głowę i spoglądając mi prosto w oczy. — My daliśmy radę, Ry. Dokonaliśmy tego razem, bo bez ciebie nie byłbym w stanie wygrać.

Serce przewraca mi się w piersi i rozbija o żołądek, który poderwał się w górę, jakbym spadała w otchłań. *I w pewnym sensie spadam*. Bo moja miłość do niego jest bezkresna, bezdenna, wieczna.

Uśmiecham się do niego przez wzbierające mi w oczach łzy i całuję go krótko w usta.

— Masz rację — szepczę. — Dokonaliśmy tego razem.

Przyciska mnie do siebie mocno po raz ostatni, po czym odstawia mnie na ziemię i znowu błyska tym zabójczym uśmiechem. Powoli odzyskuję świadomość otoczenia. Robię krok wstecz, dopuszczając do niego wszystkich innych ludzi, którzy pragną mu pogratulować, a w głowie

dudnią mi te trzy słowa: *dokonaliśmy tego razem.*

Patrzę na niego, na mojego ukochanego mężczyznę, i wiem, że te słowa to najszczerza prawda. Naprawdę tego dokonaliśmy. Razem zmierzyliśmy się z naszymi demonami.

Jego przeszłość, jego obawy, jego wstyd.

Moja przeszłość, moje obawy, mój żal.

Zerka na mnie w trakcie udzielanego wywiadu i puszcza mi oczko z uśmiechem.

Zalewa mnie dumą, miłością i poczuciem ulgi.

*Jasny gwint.*

Naprawdę tego dokonaliśmy.



## Rozdział 42.

Siadam i patrzę, jak Zander pracuje z terapeutką. Serce mi rośnie, gdy widzę, jaki jest aktywny. Coraz więcej mówi i coraz lepiej się czuje. Pozwalam sobie na dumę, a w moich oczach wzbierają łzy.

Bo naprawdę mu się udaje.

Wychodzę z jego pokoju, w którym odbywa się sesja, i wracam do kuchni. Słyszę muzykę z pokoju Shane'a i rozmowy chłopców bawiących się klockami lego na tarasie z tyłu domu. Gdy wchodzę do kuchni, Dane akurat wyciąga ostatnie sztuczce ze zmywarki. Siadam na stołku i wdycham ze zmęczenia.

— Zgadzam się! — stwierdza Dane, zamykając szufladę, i siada obok mnie. — A więc? — pyta, gdy nic nie odpowiadam. — Jak tam z naszym zrywającym majtki adonisem?

Przewracam oczami.

— Chciałbyś, żeby był zrywającym bokserki adonisem — pryham.

— Jak cholera, ale porzuciłem wszelką nadzieję, że przekonam go do przejścia na lepszą stronę. Tylko ślepy nie zauważyłby, jak na ciebie patrzy.

— Och, Dane — wdycham i uśmiecham się na samą myśl o Coltonie i tym, jak świetnie nam się układa przez ostatnie kilka tygodni. Udało nam się znaleźć komfortowy rytm, chociaż w ogóle o tym nie rozmawialiśmy. Wszystko wyszło jakoś tak naturalnie. Jakby tak miało być. Żadnych dramatów, żadnego braku komunikacji i ukrywania sekretów. — Jest po prostu super. Nie mogłoby być lepiej.

Naprawdę w to wierzę. To już nie jest życie na szpilkach w oczekiwaniu na nieuchronną katastrofę. Wręcz przeciwnie. Nie spodziewam się żadnej, bo życie z Coltonem nauczyło mnie, że nasza miłość nie jest cierpliwa i nie jest łaskawa, ale jest wyjątkowa i nasza.

— Czyli zamieszkanie razem nie okazało się kompletną katastrofą?

— Nie — mówię z miękkością w głosie, bo uświadamiam sobie, że jest wręcz przeciwnie. — Właściwie to jest praktycznie idealnie.

— No weź, przecież on musi mieć w sobie coś okropnego — podpuszcza mnie Dane.

— Nie, jest w każdym calu *idealny* — odpowiadam, ciesząc się z możliwości użycia słowa „idealny” w odniesieniu do Coltona i mnie.

— Nie wierzę w to — stwierdza Dane, uderzając pięścią w stół. — Na pewno dłubie w nosie, chrapie jak niedźwiedź albo pierdzi jak nosorożec.

— Nie! — zaprzeczam, wybuchając śmiechem. Dane próbuje z całych sił zachować powagę, ale ponosi klęskę.

— Z całą pewnością kłamiesz, Ry, bo żaden facet nie jest idealny. — Wzrusza ramionami. — To znaczy, oczywiście, poza mną.

— To znaczy, oczywiście — przyznaję ze śmiechem i potrząsam głową. — Hm, zastanówmy się... — mówię i zastanawiam się nad czymś, co go usatysfakcjonuje. — Odmówił mi, jak poprosiłam go ostatnio, żeby kupił mi tampony, gdy wracał z biura.

Wyraz twarzy Dane'a jest bezcenny. Szczęka na ziemi i oczy jak spodki.

— A to dupek! — wycedza przez zęby z udawaną odrazą, po czym potrząsa głową. — Kurde, właśnie poszybował o dwadzieścia punktów w górę na mojej skali. Kochanie, nie możesz prosić takiego alfa-adonisa, żeby kupował ci twoje dziewczynskie zabawki. Równie dobrze mogłabyś go poprosić, żeby wręczył ci swoje jaja na tacy.

Woda, którą miałam w ustach, niemal wypływa mi nosem, gdy parskam śmiechem.

— Dane!

— No co, to prawda. — Wzrusza ramionami. — W sumie powinienem sprawdzić, czy jego jaja są nadal przytwierdzone do ciała.

— Taa — pryham. — Żądza cię zaślepia.

— Cóż — mówi przeciągle. — Tworzylibyśmy piękną parę, no i nie ukrywam, że lubię jaja przytwierdzone do ludzi, z którymi się umawiam na randki.

Mój następny łyk wody nie ma tyle szczęścia co poprzedni. Parskam nim ze śmiechu, a zrobiona przeze mnie fontanna sprawia, że wybuchamy jeszcze większym śmiechem. Przez kilka minut nie potrafimy się uspokoić, bo za każdym razem, gdy wymieniamy spojrzenia, na nowo wybuchamy śmiechem.

\*\*\*

*Musiałem znowu pojechać do biura. Poprosiłem Haddie, żeby odebrała Cię z pracy. Zadzwoń, jak będę wracał. Luke Bryan, Crash My Party. XX C.*

Moje serce szybuje w górę i czuję ciepło w duszy z powodu polecanej przez niego piosenki. Mój sentymentalny mężczyzna alfa, pełen ciągłych sprzeczności. Wzdycham, żeby odegnąć rozczarowanie, bo strasznie za nim dzisiaj tęskniłam, ale cieszę się na spotkanie z Haddie. Nie widywałyśmy się ostatnio zbyt często.

Biorę telefon i odpisuję:

*Tęsknię za Tobą. Wróć jak najszybciej. John Legend, All of Me. XXX*

Sprawdzam godzinę i uświadamiam sobie, że straciłam poczucie czasu. Zaczynam zbierać swoje rzeczy i żegnać się z chłopcami.

Wychodzę z domu i widzę, że Haddie siedzi w samochodzie. Otwieram drzwi pasażera i słyszę jej zachwycony pisk.

— Niech mnie drzwi ścisną, tak dawno cię nie widziałam!

— No wiem! — odpowiadam, a ona przytula mnie krótko, po czym zapala silnik i rusza ze śmiechem.

Śmiejemy się razem beztrąsko, a ja zamykam oczy na chwilę i pozwalam, by wpadający przez otwarte okno wiatr owiewał moją twarz. Haddie zamyka okno i wiatr znika, więc odwracam się do niej i widzę, że zerka co chwilę w moją stronę.

— Dzięki, że po mnie przyjechałaś. Gdybym wiedziała, że Colton będzie pracował do późna, przyjechałabym swoim samochodem. Sorry.

— Wiem, jesteś po prostu okropna! — żartuje, wrzucając kierunkowskaz, i skręca w lewo. — Cóż, skoro pan Superciacho tymczasowo cię porzucił, co powiesz na kilka drinków i pogadanie o tym i owym? Na przykład dlaczego, chociaż masz w domu wszystkie swoje rzeczy, to nigdy do niego nie wracasz? Mimo że stanowczo zaprzeczasz, jakobyś „oficjalnie” się do niego wprowadziła.

Śmieję się i potrząsam głową.

— Nie chcę zapeszyć — odpowiadam, wzruszając ramionami. — Wiesz, jaka jestem.

— Jasne, że wiem. Dlatego wypijemy kilka drinków, żebyś się rozluźniła, wpadła w gadatliwy nastrój i wszystko mi opowiedziała.

Plan wydaje mi się kuszący, ale jestem śmiertelnie zmęczona.

— Może zrobimy to w jego domu? Siądziemy na tarasie, popatrzymy na ocean i napijemy się wina. Poza tym — dodaję, spoglądając w dół na swoją koszulkę i džinsy — nie jestem wyjściowo ubrana.

— Wiedziałaś, że to powiesz — odpowiada, sięga za mój fotel i szuka tam czegoś przez chwilę. W końcu kładzie mi na kolanach jakąś torbę na zakupy. Rzucam jej zdziwione spojrzenie, lecz ona się tylko uśmiecha. — Niezła wymówka, Ry, ale idziemy się napić. —

Wskazuje głową torbę i dodaje: — Bluzka, seksowne buty i makijaż.

— Co? — pytam zaskoczona, chociaż z drugiej strony wcale mnie nie dziwi, że stawia na swoim.

— Zabieraj się za wylaszczenie się! Prowadzę samochód, a czas to pieniądz! — mówi, a ja śmieję się i potrząsam głową. — Podziękujesz mi, jeszcze zanim ten wieczór się skończy. — Zatrzymujemy się na czerwonym, a ona bierze telefon i wysyła wiadomość, po czym odkłada go i spogląda na mnie. — Nie uciekniesz mi, Thomas. Tęsknię za przyjaciółką, chcę się napić, koniec dyskusji.

Światła się zmieniają i ruszamy, a na moich ustach pojawia się uśmiech. Boże, uwielbiam ją.

Nie zwracam zbytnej uwagi na drogę, bo patrzę w lusterko w osłonie przeciwsłonecznej i poprawiam makijaż oraz układam włosy. Haddie rzuca tylko, że mam zostawić rozpuszczone, gdy chcę je spiąć. Rozmawiamy o różnych rzeczach, nadrabiając brak codziennego kontaktu. Gdy zapinam kosmetyczkę, dzwoni telefon.

Szukam go niezdarnie i widzę, że to Colton. Od razu przychodzi mi do głowy, że może skończył już pracę i dołączy do nas.

— Cześć! — mówię, wrzucając wszystko do torby, która leży na podłodze przede mną.

— Cześć, kochanie.

Samo brzmienie jego głosu sprawia, że zalewa mnie fala miłości.

— Skończyłeś pracę?

— Okłamałem cię — stwierdza, kompletnie zbijając mnie z tropu. — Nie pracowałem, bo byłem zajęty organizowaniem idealnej randki, więc spójrz przed siebie, bo randka właśnie się zaczyna.

Podnoszę wzrok i szloch więźnie mi w gardle, bo widzę przed sobą zakurzone pole i nieczynne wesołe miasteczko. Nieruchomy diabelski młyn, puste budki i zamknięte bramki obrotowe.

— Colton... co... dlaczego? — próbuję wykrztusić w zdumieniu i słyszę na drugim końcu linii jego rozbawiony chichot.

— Nie byliśmy na prawdziwej randce od tamtego wieczoru w wesołym miasteczku, więc pomyślałem, że to będzie najlepsze miejsce na rozpoczęcie tej randki. Wiem, że boisz się nieznanego, ale obiecaj, że to zrobisz. Dla mnie.

Co? Jasny gwint!

— Tak... oczywiście — wykrztuszam.

— Do zobaczenia wkrótce — odpowiada i się rozłącza.

Patrzę na Haddie, która ma na twarzy najszerszy uśmiech świata.

— Ty! — mówię łamiącym się od nadmiaru emocji głosem. — Wiedziałaś o tym?

— No chyba żartujesz. — Śmieje się z udawaną odrazą, po czym dodaje: — No jasne, że wiedziałam!

Siedzę w samochodzie w stanie absolutnego zdumienia. Rozglądam się i próbuję to wszystko ogarnąć. Nie rozumiem, jak mężczyzna, który się zarzekał, że nie bawi się w romans, może być w głębi serca tak romantyczny. — Jak... co? — próbuję wykrztusić sformułowane w myślach pytanie, ale mi się nie udaje.

— Colton uznał, że zasługujesz na prawdziwą randkę w ramach podziękowania za to, że towarzyszyłaś mu we wszystkim, i poprosił mnie o małą przysługę. — Wzrusza ramionami. — Zgodziłam się z nim i dlatego tu jesteśmy.

Łzy wzbierają mi w oczach. Oddycham głęboko, bo nie mogę uwierzyć, że byliśmy tu siedem miesięcy temu. Tymczasem Haddie sięga za mój fotel i wyciąga pudełko niewiele

większe od pudełka na buty.

Śmieję się.

— Masz tu cały sklepik?

— Nie, to już ostatnia rzecz — odpowiada i podaje mi pudełko. Śmieję się nerwowo, ale nie z powodu zdenerwowania, tylko dlatego, że nie lubię niespodzianek i wolę mieć wszystko pod kontrolą.

Colton tak dobrze mnie zna.

Patrzę na prostokątny szary karton i nie potrafię powstrzymać uśmiechu, gdy przypominam sobie słowa, które usłyszałam od Coltona dawno temu: *czasem bycie pozbawionym kontroli jest bardzo wyzwalające.*

— Jezu, kobieto, otwórz to cholerne pudełko! Ta niepewność mnie zabije! — mówi Haddie zniecierpliwionym głosem.

Biorę głęboki oddech i zdejmuję pokrywkę, jakby coś miało wyskoczyć na mnie ze środka. Okazuje się, że w środku na papierze w czarno-białą szachownicę leży koperta z moim imieniem. Biorę ją i wyjmuję ze środka karteczkę.

*Ryles,*

*wiem, że przypuszczalnie zastanawiasz się, co tu się właściwie dzieje, dlatego pozwól, że Ci wyjaśnię. Zawsze stawiasz na pierwszym miejscu kogoś innego niż siebie: mnie, chłopców, bezpańskiego psa na ulicy. Dlatego uznałem, że najwyższy czas zamienić miejsca i postawić Ciebie w centrum zainteresowania. Z pomocą przyjaciół zorganizowałem małe podchody. Aby zdobyć nagrodę, musisz znaleźć wszystkie wskazówki i odpowiedzieć na wszystkie pytania.*

*Powodzenia.*

*Oto pierwsza wskazówka: w wesołym miasteczku zorientowałem się, że jesteś dla mnie kimś więcej, niż oczekiwałem. Siedząc w wagoniku diabelskiego młyna, wiedziałem, że choćbym nie wiem, jak ze sobą walczył, nie jestem w stanie mieć z Tobą wyłącznie przypadkowego seksu, i że zasługujesz na o wiele więcej. Dlatego pierwszy fant czeka na Ciebie na pierwszej karuzeli, na jaką poszliśmy.*

*Buziaki*

*Colton*

Ocieram spływające po policzkach łzy, starając się nie zepsuć zrobionego przed chwilą makijażu, ale to praktycznie niemożliwe. Haddie ściska mnie za ramię, żeby pomóc mi odzyskać panowanie nad sobą. Patrzę na nią, próbując zrozumieć, jak wiele wysiłku musiało wymagać zorganizowanie tego i wyrażenie na papierze myśli i uczuć, które ciężko mu zwerbalizować.

— Wypieprzaj z tego samochodu i znajdź swojego chłopaka, zanim dostanę ataku serca z tego napięcia — mówi i wypycha mnie, gdy otwieram drzwi.

Wysiadam z samochodu. Serce łomocze mi w piersi, a głowa uświadamia sobie, że Coltonowi zależy na mnie tak bardzo, iż chciał to wszystko zorganizować. Podchodzę do wejścia i zauważam, że jedna bramka jest odblokowana. Przechodzę przez nią i ruszam w głąb złowieszczego pustego wesołego miasteczka. Idę coraz szybciej, a z każdym krokiem zalewają mnie nowe wspomnienia. Pluszowy pies, skradzione pocałunki i wata cukrowa. Prowokowanie złego chłopca, który skradł moje serce, lecz nie chciałam wtedy jeszcze się do tego przyznać. Obawy, pierwsze razy i nieśmiały, połowiczny uśmiech na jego niesamowitej twarzy.

Docieram do karuzel i idę w stronę tej z wirującymi spodkami. Staję jak wryta, bo z ciemnej budki wynurzają się Shane i Connor, obaj z potężnymi uśmiechami na twarzach i pudełkami w dłoniach.

Przyciskam dłoń do piersi, bo zapiera mi dech z szoku i uwielbienia dla Coltona za to, że zaangażował chłopców w tę zabawę w podchody. Że pozwolił, by mu pomogli zrobić dla mnie

coś miłego.

— Wy dwaj! — krzyczę, podbiegając do nich i spoglądając w ich szelmowskie oczy. — Ukrywaliście to przede mną? — Przytulam ich i wszyscy się śmiejemy.

— Musieliśmy przysiąc, że dochowamy tajemnicy — wyznaje Shane i się rumieni.

— Colton powiedział, że nie będziesz zła, że cię okłamujemy — dodaje Connor, potrząsając głową.

— Nie jestem. — Śmieję się, kompletnie tym wszystkim przytłoczona. — Nigdy nie będę na was zła za coś takiego.

Shane chrząka, żeby zwrócić moją uwagę.

— Mamy dla ciebie następną wskazówkę.

— O, świetnie — odpowiadam ze śmiechem i znowu czuję się lekko zestresowana.

— Żeby ją dostać, musisz odpowiedzieć na to pytanie, okej? — Potakuję w odpowiedzi.

— Gdy widzisz ten przedmiot w ręce Connora, jakie słowo przychodzi ci do głowy?

Connor wyciąga dłoń z żółtą gumową kaczką. Wpadam w niekontrolowany chichot, a w kącikach oczu znowu pojawiają się łzy. Potrząsam głową, próbując opanować śmiech, ale nie potrafię i z trudem wykrztuszam:

— Kwa!

W mojej głowie pojawiają się wspomnienia krzyków i zmieszanego z porannym chłodem bólu przed domem w Palisades, pokoju hotelowego na Florydzie i mojej menażerii zwierząt, którymi się posługiwałam, próbując ochronić serce przed błędnie pojmowaną prawdą. Przypomina mi się, jak byłam tak uparta, że nie słyszałam, co próbuje mi przekazać.

Ale teraz słucham. Nie tylko on się czegoś nauczył przez ten czas, gdy jesteśmy razem.

Connor i Shane wydają mały okrzyk radości i wręczają mi kopertę, którą w pośpiechu otwieram. W środku jest kartka.

*Wspomnienia związane z tą wskazówką są na stałe wypalone w moim umyśle i są równie trwale jak tatuaże na moim ciele. Byłaś wtedy seksowna jak diabli. Cholera! „Na wypadek, gdybyś potrzebowała się osłodzić po tym, jak Cię zbrukam”. Gdzie możesz kupić tę rzecz?*

Każdy miesiąc poniżej pasa kurczy się na wspomnienie Coltona i waty cukrowej.

Uśmiecham się do tych myśli, po czym patrzę na chłopców i trochę mi dziwnie, że mam przy nich takie myśli.

— Dacie sobie radę? — pytam od razu.

Przewracają oczami.

— Nie jesteśmy tutaj sami — stwierdza Shane. — No a teraz idź za wskazówką!

— Dobrze — odpowiadam z rosnącą ekscytacją. Całuję ich obu w czubek głowy i ruszam w poszukiwaniu budki z watą cukrową. Z każdym krokiem coraz bardziej cieszę się na to, że spotkam Coltona i zobaczę jego szelmowski uśmiech.

Ale nigdzie nikogo nie ma.

Zaczynam panikować na tym opuszczonym terenie. Po chwili chaotycznego łążenia skręcam za róg i dostrzegam zwisający ze stoiska samotny kłębek waty cukrowej. Podchodzę bliżej i krzyczę z przestachu, bo za ladą stoją w fartuchach Ricky i Jackson.

— Już nie mogłem się doczekać! — mówi Ricky, szukając czegoś pod ladą. Po chwili wręcza mi pudełko. Oboje z Jaxem śmiejemy się z jego ekscytacji, że mógł wziąć w tym udział.

Stawiam pudełko na ladzie i je otwieram. W środku jest tabliczka aukcyjna z napisem:

*Wróć tam, gdzie wszystko się zaczęło. Gdzie nauczyłem się, że opór może być bardzo seksowny.*

Znowu potrząsam głową, bo nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. Żegniam się z nimi i pośpiesznie wracam na parking. Haddie siedzi za kierownicą. Brwi uniesione, palce bębnią ze

zniecierpliwieniem.

— No powiedz mi, powiedz — prosi w kółko, gdy wsiadam do samochodu. Każę jej jechać w miejsce, gdzie odbyła się aukcja charytatywna, po czym opowiadam o dwóch wskazówkach otrzymanych w wesołym miasteczku. Podskakuje na swoim fotelu z ekscytacji, a ja siedzę zszokowana tą sympatyczną niespodzianką Coltona.

— Kurde, to stuknięcie w głowę w wyścigu na Florydzie strasznie poprawiło u niego wyczucie romantyzmu — stwierdza ze śmiechem. — Myślę, że to powinno być obowiązkowe dla wszystkich osób z penisami!

Śmieję się.

— Naprawdę o tym nie wiedziałaś? — pytam ją kilka razy.

— Ry, Colton powiedział mi tylko, że zaplanował fajną randkę, i spytał, czy chcę być twoim szoferem. Dlatego tu jestem i też nie mogę się doczekać tego, co jeszcze wymyśli! — odpowiada w końcu, przebiegając dłonią przez słowa na tabliczce aukcyjnej, która leży na moich kolanach, a ja nie potrafię przestać na tę tabliczkę patrzeć.

Gwiazdy najwyraźniej nam sprzyjają, bo unikamy korków i w rekordowym czasie docieramy do starego teatru.

— Zaczekam tu na ciebie! — krzyczy za mną, gdy wysiadam z tabliczką w dłoni i ruszam truchtem w stronę wejścia. Jedne drzwi są uchylone.

Wchodzę do znajomego przedsionka, rozglądam się i ruszam w stronę drzwi po prawej stronie od sceny, tak jak kilka miesięcy temu. Z przyzwyczajenia zaczynam nucić piosenkę *Overjoyed Matchbox Twenty*, która cicho gra w głośnikach. To musi być przypadek, bo nawet Colton nie byłby w stanie tak dokładnie określić momentu, w którym przyjadę, ale uśmiecham się z radości, że gra *mój zespół*. Mrugam powiekami, żeby odpędzić łzy, bo uświadamiam sobie znaczenie tej chwili. Colton sprowadził mnie tu z powrotem po całym tym czasie, w którym zaczęło się coś, czego nigdy tak naprawdę nie pragnęłam.

*I spojrz, kim jesteśmy teraz.*

Przełykam palącą kulę łez w gardle, popycham drzwi i wchodzę do oświetlonego korytarza za kulisami. Nagle moje łzy przeradzają się w niekontrolowany chichot, bo zauważam, że mała wnęka, w której Bailey próbowała go uwieść, jest zagrodzona taśmą ostrzegawczą. Jeszcze zabawniejsze jest to, że na taśmie widnieje napis: „Uwaga, grasujące piranie”.

Ze śmiechem na ustach skręcam korytarzem i widzę *naszą kryjówkę*. Drzwi są uchylone, a w środku pali się światło. Moje obcasy stukają o linoleum, a ja próbuję się domyślić, kogo tam spotkam. Jakaś część mnie chciałaby, żeby to był Colton, bo mogłabym go pocałować, uściskać i podziękować mu za to wszystko, ale z drugiej strony nie wiem, czy chcę, żeby ta podróż w przeszłość już się skończyła.

Chichot powraca na moje usta, bo w środku siedzą Aiden i wychowawca Austin, którzy grają w uno. Aiden podskakuje z piskiem, gdy mnie dostrzega, a Austin i ja śmiejemy się z jego entuzjastycznej reakcji.

— Cześć, chłopaki!

— Rylee! — wykrzykuje Austin z podnieceniem. — Proszę! To dla ciebie!

Sięga za siebie i podaje mi kopertę oraz dwa pudełka: jedno większe, a na nim drugie, znacznie mniejsze. Patrzę na Aidena i Austina, którzy, tak jak ja, uśmiechają się ze zniecierpliwieniem. Odkładam pudełka i rozdieram kopertę. W środku jest jak zwykle kartka z odręcznym pismem Coltona:

*Byłaś pierwszą osobą, która spojrzała na mnie i zobaczyła moją duszę. Przeraziło mnie to do szpiku kości. Gdzie to się stało? Jeśli potrzebujesz wskazówki, jest w górnym pudełku. (To większe otwórz dopiero po wyjściu z teatru).*

C.

Serce łomocze w piersi, a dłonie drżą mi z ekscytacji. Znam odpowiedź. Nawiązuje do pokoju, w którym po imprezie promocyjnej rumu Merit po raz pierwszy uprawialiśmy seks. Nie spodziewałam się jednak tego, co znalazłam w pierwszym pudełku.

Oddech więźnie mi w gardle i odruchowo podnoszę dłoń do ust. W środku jest jeden kolczyk. Kolczyk, którego nie mogłam znaleźć, gdy próbując ocalić swoją godność, opuszczałam pokój. Zgubiłam go tam i nie myślałam, że jeszcze go kiedyś zobaczę, zresztą podobnie jak nie sądziłam, że jeszcze spotkam mężczyznę, który teraz mi go oddaje.

To, że widzę ten kolczyk, i to, że Colton trzymał go przez cały czas i zostawił sobie, nawet gdy od niego odeszłam, wywołuje we mnie tak wielkie emocje, że z trudem wykrztuszam słowa podziękowania do Aideny i Austina, po czym biorę drugie pudełko i pośpiesznie wracam do Haddie, żeby pojechać w następne miejsce.

Oszołomiona i zdezorientowana wsiadam do auta i wyjaśniam Haddie znaczenie kolczyka. Ruszamy w stronę hotelu. Otwieram większe pudło i niemal umieram ze śmiechu. Mam przed sobą wszystkie majtki, które zostały ze mnie zdarte. W pudle jest także kolejna koperta, ale jej otwarcie zajmuje mi ponad minutę, bo tak się śmieję z powodu wspomnień związanych z majtkami i tego, że on je wszystkie sobie zostawił.

— Jezu, kobieto! Nie żartowałaś, gdy mówiłaś, że ten facet szerzy spustoszenie w twoich szufladach! — mówi prowokacyjnie i kiwa głową, żebym otworzyła kopertę.

Rozrywam ją. Ze środka wypada karta podarunkowa do sklepu La Perla opiewająca na jakąś nedorzeczną kwotę. Ale dołączony do niej liścik jest dla mnie znacznie cenniejszy.

*Lepiej kup sobie duży zapas, Ry, bo nie zapowiada się, żeby moje pragnienie brania Cię gdzie zechcę, kiedy zechcę i jak zechcę miało w najbliższym czasie wygasnąć.*

Bezczelna zmysłowość tych słów wznieca płomień pożądania między moimi udami, którego nawet nie próbuję zignorować.

— Łał! — wykrzykuje Haddie przeciągle, wrywając mnie z mojej rozkosznej zadumy, bo przeczytała kartkę, zaglądając mi przez ramię, gdy stałyśmy na światłach. — Ten facet jest cholernie przystojny *oraz* potrafi mówić w tak niegrzeczny i dominujący sposób? — Bierze drżący wdech. — Kurde, Ry... powiedziałaabym mu, żeby przykuł mnie do łóżka i pozwolił być swoją seksualną niewolnicą do końca życia — mówi ze śmiechem.

To niesamowite, że ten facet jest cały mój.

— Kto mówi, że tak nie zrobię? — odpowiadam z uśmiechem na ustach i uniesionymi brwiami.

— Niech cię diabli! — stwierdza, klepiąc mnie w udo. — I tak trzymaj!

Śmiejemy się razem i próbujemy wymyślić, jaka może być następna wskazówka, aż w końcu Haddie zajeżdża pod hotel.

— Przypuszczam, że zaraz wrócę — mówię, wysiadając z auta, i wbiegam do holu. Zatrzymuję się jednak, bo uświadamiam sobie, że nie mogę tak po prostu pójść do tego pokoju i zapukać do drzwi.

Podchodzę do recepcji, a stojąca tam kobieta przygląda mi się z góry na dół.

— Pani Tomas, zgadza się?

— Tak... — odpowiadam z lekkim zdumieniem, że wie, kim jestem.

— Tędy proszę — mówi i prowadzi mnie do osobnej windy z boku holu. Bierze kartę i przyciska do skanera, żeby otworzyć drzwi. — Proszę — mówi i uśmiecha się szeroko, po czym odwraca się i wraca do recepcji.

— Dziękuję — wołam za nią i wchodzę do windy. Znajomy wystrój budzi we mnie wspomnienia naszego pierwszego razu i tego, jaka byłam zdenerwowana mroczną obietnicą

Coltona wygłoszoną w innej windzie. Odzywa się dzwonek i drzwi się otwierają. Wsiadam z uśmiechem na ustach, bo przypomina mi się nasze desperackie, pełne szamotania wyjście tamtej nocy.

Pukam do drzwi pokoju i słyszę chichotanie. Drzwi otwiera Zander, a za nim stoi Avery. Oboje patrzą na mnie z promiennymi uśmiechami, a beztroski chichot Zandera sprawia, że rozczulam się jeszcze bardziej.

— Cześć! Niech zgadnę: macie dla mnie wskazówkę?

Zander gorączkowo potakuje i zerka na Avery, żeby się upewnić, czy może mi dać to, co ma w dłoniach.

— Cześć, Rylee.

— Cześć!

— No dobrze, nasza wskazówka jest taka: jakie słowo nasuwa ci się na myśl, gdy widzisz to, co ma Zander?

Opuszczam wzrok na Zandera, który wyciąga zza pleców małe pudełko i mi je wręcza. Patrzę na nie równie zakłopotana jak Avery, dopóki Zander go nie otwiera.

Wtedy wybucham śmiechem.

W środku jest ognistoczerwona poszetka do smokingu. Moje zmysły natychmiast budzą się do życia, gdy przypominam sobie każde doznanie wywołane przez Coltona tamtego wieczoru w limuzynie, gdy byliśmy za bardzo lub za mało wystrojeni. Ale to nie może być odpowiedź, bo to więcej niż jedno słowo.

— Oczekiwanie! — prawie krzyczę, gdy nagle sobie przypominam, a przez głowę przelatują mi obrazy z tego pamiętnego wieczoru.

— Bingo! — oznajmia entuzjastycznie Avery, a Zander szaleńczo podskakuje.

— Dobra robota, Ry! — stwierdza i podaje mi drugie pudełko i kopertę. Patrzę na niego ze zmarszczonymi brwiami, które wywołują u niego kolejną falę chichotu, po czym biorę od niego obie rzeczy.

— To dla mnie? — pytam.

— Aha! — odpowiada, kiwając głową.

— Na pewno?

— Tak! Otwórz już! — rzuca z uroczym zniecierpliwieniem.

Rozrywam kopertę i uśmiecham się, chociaż nie mam pojęcia, co w niej jest, ale wiem, że słowa Coltona na pewno mnie poruszą.

Ry,

*zawsze wiedziałem, że jesteś inna niż wszystkie... ale tamtej nocy stałaś się moją flagą w szachownicy. Bez wątplenia. Tej nocy przekonałem się, że jest coś, czego nigdy nie chciałem, a o co będę walczył do końca. Udaj się tam, gdzie po raz pierwszy zaznajomiłaś się z przedmiotem z pudełka.*

C.

Ostrożnie otwieram pudełko i przewracam oczami, bo moim oczom ukazuje się miniaturowy model czerwonego Ferrari F12. Doskonale wiem, gdzie mam się udać, bo tej nocy nigdy nie zapomnę.

Żegnam się i pełna oczekiwań zjeżdżam windą, po czym w pośpiechu przebiegam obok uśmiechającej się hostessy w recepcji. Wsiadam do samochodu i opowiadam Haddie o wskazówce. Śmiejemy się, po czym ona potrząsa głową i zawozi mnie kilka przecznic dalej, do hotelu, w którym byłam z Coltonem na gali charytatywnej.

Każę jej jechać na najwyższe piętro parkingu i odruchowo wstrzymuję oddech, gdy zauważam Sex. Zalewają mnie obrazy i emocje, których nawet nie próbuję tłumić.



— Cholera, ten samochód wygląda jak pieprzony orgazm na kółkach — mruczy Haddie z uznaniem.

— Nawet sobie nie wyobrazasz — odpowiadam przeciągle i gwizdzę. Wsiadam zarumieniona i ruszam w stronę ferrari stojącego w ustronnym miejscu parkingu. Dostrzegam sylwetkę człowieka za jednym z filarów za samochodem i serce podchodzi mi do gardła. Mam nadzieję, że to Colton. Wystarczy mi już podróży przez wspomnienia i chociaż bardzo mi się to podoba, to po prostu go pragnę. Desperacko.

Śmieję się jednak, bo zza filaru wyłania się Beckett z szerokim uśmiechem przylepionym do swojej przystojnej twarzy. Patrzy przez moje ramię na Haddie i subtelnie kiwa do niej głową, a jego uśmiech znacznie łagodnieje. Wzbudza to moją ciekawość, ale zapominam o tym, gdy zaczyna do mnie mówić.

— Cóż, nie wiem, co zrobiłaś z moim kumplem — stwierdza, obejmując mnie przez chwilę — bo sądząc po tym ceremonialnym wyznaniu, zupełnie stracił jaja, ale nie powiem, że mi się to nie podoba!

— Jestem pewna, że karmisz go mnóstwem bzdur — odpowiadam, a on tylko przechyla głowę i patrzy na mnie przez chwilę z łagodnym wyrazem twarzy.

— Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby był tak szczęśliwy — oznajmia, kiwając głową.

Bez namysłu wypalam:

— A jak myślisz, czemu taki jest?

Becks wybucha swoim niskim chichoczącym śmiechem i z rozbawieniem wręcza mi reklamówkę. Biorę ją i zaglądam do środka. Dopiero po chwili orientuję się, na co patrzę.

— Bo jestem całym alfabetem — szepczę, patrząc na plastikowe litery dla przedszkolaków.

— Od A do pierdolonego Z, Ry — potwierdza, a ja podrywam głowę w samą porę, by dostrzec oczko, które mi puszcza. Zaraz potem na jego twarzy pojawia się leniwy, połowiczny uśmiech. Patrzę na niego i uśmiecham się głupio. — Tak więc ja zabieram cię do następnego miejsca — obwieszcza.

Odruchowo oglądam się przez ramię i z zaskoczeniem stwierdzam, że Haddie zniknęła. Byłam tak zaabsorbowana tą interakcją, że nie zauważyłam jej odejścia. Becks wskazuje drzwi. Wsiadam i zapinam pasy. Zapala silnik i odwraca się do mnie.

— W jakim miejscu udowodniłaś Coltonowi, że żółtodzioby mogą wygrać wyścig?

Zaczynam się śmiać, przypominając sobie naszą intymną rozmowę o żółtodziobach i wyścigach, po czym orientuję się, że Coltonowi chodziło o bardziej niewinny czas spędzony z chłopcami.

— Tor gokartowy! — wykrzykuję, gdy wyjeżdżamy z parkingu na ulicę.

— Tak, madam — potwierdza. Wjeżdżamy na autostradę i zostawiamy za sobą ruch uliczny. Rozmawiamy o różnych rzeczach, ale chociaż staram się go podejść na różne sposoby, nie chce powiedzieć, jakie są pozostałe wskazówki ani gdzie kończy się gra. Uśmiecha się tylko i potrząsa głową.

Po chwili docieramy do parku przemysłowego, do którego Colton zabrał mnie i chłopaków na gokarty.

— Zaczekam tutaj — oznajmia Becks, gdy wyskakuję z auta i ruszam w stronę szklanych drzwi.

Mój uśmiech się poszerza, gdy widzę za ladą Dane'a i Scootera.

— Rylee! — wykrzykuje Scooter i biegnie, żeby się przytulić.

Ściskam go mocno i całuję w czubek głowy, a potem patrzę na Dane'a z uniesioną brwią.

— Wiedziałaś i nic mi nie powiedziałaś! — mówię do niego, wywołując chichot mojego

uroczego Scootera.

— Niektórych rzeczy lepiej nie zdradzać — odpowiada z uśmiechem i wzrusza ramionami, po czym odpycha się od lady i podaje Scooterowi torbę.

Potrząsam głową z udawanym gniewem, a on parska śmiechem. Nie mówię nic więcej, bo Scooter prawie wyskakuje z butów z ekscytacji.

— No dobrze, Scoot... pomożesz mi rozwiązać to zadanie?

— A mogę? — pyta.

— Oczywiście — odpowiadam i wyciągam z torby plastikową figurkę Spider-Mana. W moich oczach natychmiast pojawiają się łzy, chociaż staram się uśmiechać.

— Jaka jest odpowiedź? O czym myślisz, gdy go widzisz?

Zastanawiam się przez chwilę, bo są dwie możliwe odpowiedzi. Ale sposób Scootera na wyrażanie miłości był zapalnikiem, który to wszystko zainicjował.

— Spidermanuję cię! — mówię i od razu po smutniejszej twarzy Scootera widzę, że to zła odpowiedź, ale nie przejmuję się, bo i tak chciałam mu powiedzieć, że go kocham. Próbuję więc swój drugi strzał: — Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.

— Tak! — wykrzykuje i zaczyna szaleńczo skakać, po czym przytula mnie mocno, wzbudzając radość moją i Dane'a.

Dane spogląda mi w oczy i wręcza kopertę.

— Z tego, co widzę, faktycznie jest *idealnie*.

— Niedoskonale, lecz idealnie — potwierdzam z lekkim uśmiechem i otwieram kopertę.

*Dlaczego superbohaterowie? Bo po tamtej nocy na torze już się nie boję. Nie potrzebuję już sposobu z dzieciństwa, bo mam Ciebie, Ry. To Twoje imię teraz powtarzam. Wskazówka do następnego miejsca: „Witaj w pierwszej lidze, As”.*

Śmieję się na wspomnienie chwili, gdy mi to mówił i gdy ja nieudolnie próbowałam odwrócić role w uwodzeniu, a jednocześnie upajam się pozostałymi słowami na kartce. Ceni mnie równie wysoko jak swoich ukochanych superbohaterów. Moje serce jest tak przepełnione miłością, że niemal pęka. Gdy podnoszę wilgotne od łez oczy i patrzę na Dane'a, nie odzywa się, lecz jego oczy mówią wszystko. *To ten jedyny.*

Żegnam się z nimi krótko i w pośpiechu wracam do seksownie burczącego ferrari. Wsiadam i spoglądam na szczerzącego się Becketta.

— Gdzie teraz, Ry?

— Surf Shack — oznajmiam, potrząsając głową, po czym patrzę na niego przez chwilę w milczeniu.

— *Co?* — pyta, przechylając głowę.

Biorę głęboki oddech i odwracam się w stronę przedniej szyby.

— Nic, po prostu próbuję to wszystko ogarnąć... To trochę oszałamiające.

— No cóż — stwierdza, gazując na światłach — wygląda na to, że piekło zamarzyło jak cholera. — Wybuchu śmiechem, a ja dołączam do niego, opierając głowę na zagłówku. Jestem wdzięczna, że Becks daje mi chwilę na pozbieranie myśli i zastanowienie się nad wszystkim, co dotychczas przekazał mi Colton.

Zatrzymujemy się na parkingu i natychmiast przychodzi mi do głowy spotkanie z Tannerem i niedoszła bójka z Coltonem. Przypominam sobie kipiący testosteron i szokowany wyraz twarzy Coltona, gdy odrzuciłam go i zostawiłam na parkingu. Patrzę na Becksa, którego twarz zdaje się mówić: „*Cóż, to ruszaj dalej*”.

Wysiadam i wchodzę do restauracji. Rachel stoi na podium dla hostessy. Uśmiecha się szeroko, gdy mnie zauważa i mówi od razu:

— Twój stolik już na ciebie czeka.

— Dzięki, Rachel — odpowiadam i ruszam pośpiesznie za nią, bo ciekawi mnie następna niespodzianka. Zakładam, że spotkam Kyle’a, bo spośród wszystkich chłopców jeszcze tylko jego dzisiaj nie widziałam. Wychodzę na taras i przypomina mi się, jak poznawałam Coltona, gdy byliśmy tu po raz pierwszy, jak opowiadał mi o przeszłości, swojej rodzinie i tym, że lubi, *gdy leżą na plecach*.

Z mgły wspomnień wyrywa mnie widok Quinlan i Kyle’a siedzących przy stoliku — naszym stoliku. Oboje mają na ustach uśmiechy szerokie jak ocean za ich plecami.

— Cześć!

— Cześć, Ry — odpowiada Quinlan równocześnie z Kyle’em. — Mamy dla ciebie następną wskazówkę.

— Twój brat jest niemożliwy — mówię z emfazą.

— Taa, też tak sądzę — potwierdza ze śmiechem. — No cóż, miłość zmienia ludzi. — Patrzy na mnie wilgotnymi od łez oczami, w których widzę łagodność, akceptację i podziękowanie.

Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu, ale tę rozmowę bez słów przerywa Kyle, popychając w moją stronę kolejne pudełko.

— Otwórz je, otwórz! — nalega. — Musisz podać właściwą odpowiedź, żeby dostać następną wskazówkę!

Ściągam wieczko i zaczynam się śmiać, bo w środku jest komplet prześcieradeł z nadrukowanymi literkami. Quin patrzy na mnie dziwnie i stwierdza:

— Mam nadzieję, że istnieje jakieś sensowne wyjaśnienie, bo to wygląda dość nietypowo dla kogoś z zewnątrz.

— Oczywiście, że istnieje sensowne wyjaśnienie — odpowiadam ze śmiechem. Jestem pod wrażeniem, że Colton na tych podchodach nie zapomniał o niczym. Patrzę na Kyle’a. — Tylko my i prześcieradła.

— Juhu! — wykrzykuje i podskakuje tak energicznie, że prawie przewraca stolik. Quinlan chwyta blat i obejmuje Kyle’a ramieniem. — Udało jej się! — oznajmia jej Kyle. Quin potakuje i Kyle wręcza mi kopertę.

— Mogę ją otworzyć? — pytam, chociaż moje palce aż palą się, żeby to zrobić.

— Tak! — wrzeszczy Kyle, przestraszając innych klientów restauracji.

Rozrywam ją i czytam kartkę.

Ry,

*najmocniej czułem, że nie potrafię bez Ciebie żyć, gdy nie mogłem Cię mieć. Być może nie mówiłem tego wprost, ale często o tym myślałem. Gdzie byliśmy, gdy mówiliśmy, że: „Nic nas już nie rozdzieli: będziemy tylko my i prześcieradła”?*

Czuję, jakby ktoś przykleił mi niezmywalny uśmiech do twarzy. Żegnam się i wracam do Becketta, który czeka w samochodzie.

— No i? — pyta, przechylając głowę.

— Broadbeach Road!

Ruszamy wzdłuż wybrzeża. Im bliżej jesteśmy, tym większą czuję ekscytację. Jestem pewna, że Colton tam na mnie czeka.

## Rozdział 43.

Gdy podjeżdżamy pod dom w Broadbeach, czuję ekscytację, nerwowość i każdą inną możliwą emocję. Brama otwiera się, zanim pod nią podjeżdżamy. Pod domem nie czekam, aż Beckett zupełnie się zatrzyma, tylko wyskakuję z jeszcze jadącego samochodu i biegnę w stronę drzwi wejściowych, przy których stoi Sammy.

— Cześć, Sammy! — wykrztuszam prawie bez tchu i czekam, aż odsunie się od drzwi.

— Nie chcesz następnej wskazówki? — pyta swoim głębokim basem. Szczęka mi opada i zwieszam ramiona, bo myślałam, że to już koniec wskazówek. Myślałam, że to finisz i że za chwilę zobaczę Coltona.

— Chcę — zgadzam się niechętnie. Sammy wyrzuca coś w powietrze, a ja odruchowo zasłaniam twarz. Przez minutę nie wiem, o co chodzi. Patrę na srebrne drobinki błyskające w promieniach słońca i nagle doznaję olśnienia. Każda część mojego ciała staje na baczność i dostaję gęsiej skórki. Swoją drogą to dość zabawnie wygląda, że ten silny, onieśmielający mężczyzna stoi w brokatowym deszczu. Ta chwila jest bezcenna pod wieloma względami, bo Sammy inscenizuje słowa piosenki Pink *Glitter in the Air*[1].

Szloch więźnie mi w gardle, a Sammy uśmiecha się i podaje mi pudełko. Biorę je z łomoczącym sercem, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Otwieram i nie potrafię już pohamować łez, bo w środku jest kubek na kawę wypełniony kostkami cukru.

Może i to jest banalne do bólu, ale uświadamiam sobie, że Colton słuchał mnie tej nocy, gdy tłumaczyłam mu znaczenie słów piosenki Pink, a teraz przypomina mi te słowa po tych wszystkich gestach i to mnie rozbija.

Rozbija mnie na kawałki, całkowicie otwiera i dopełnia za pomocą zwykłego różowego kubka na kawę z kostkami cukru w środku.

— No i? — pyta Sammy, próbując stłumić uśmiech spowodowany moją przesadnie emocjonalną reakcją na tę tandetną wskazówkę.

— „There you are, sitting in the garden, clutching my coffee, calling me sugar”[2] — nucę drżącym głosem z uśmiechem na twarzy.

— Zuch dziewczyna! — Śmieje się i odchodzi na bok, otwierając mi drzwi. — Ostatnia wskazówka. — Spoglądam na niego zdziwiona. — Idź tam, gdzie pierwszy raz słuchałaś tego z Woodem.

— Dzięki, Sammy! — krzyczę przez ramię i biegnę jak szalona przez cały dom i po schodach w górę. Serce łomocze jak oszalałe, ręce mi drżą z przejęcia i kręci mi się w głowie. Desperacko pragnę go zobaczyć, dotknąć, pocałować i podziękować mu, ale gdy wbiegam na taras, jest pusty, nie licząc setek świeczek postawionych na każdej możliwej płaskiej powierzchni.

Widok miękkiego, migotliwego światła na tle ciemniejącego nieba zapiera mi dech w piersi, ale biegnę na górny taras. Przeciagam palcem po szezlongu i słyszę z głośników ciche dźwięki piosenki *Glitter in the Air*. Wybucham śmiechem.

— Pieprzona Pink — to rozbawiony głos Coltona, którego chrapliwość wdziera się we mnie i robi ze mnie swojego zakładnika. Wzdrygam się, lecz jednocześnie czuję, że w końcu jestem w domu.

— Pieprzona Pink — powtarzam za nim i odwracam się w stronę mężczyzny, którego kocham całym sercem. Stoi przede mną na tle zachodu słońca, który otacza aureolą światła jego ciemną sylwetkę. Zalewa mnie tak wiele emocji, gdy go widzę. Trzyma ręce głęboko w kieszeniach znoszonych džinsów, ma na sobie swoją ulubioną koszulkę i opiera się luzacko o

futrynę z lekko nieśmiałym uśmiechem na ustach, który roztopia moje serce.

— Miałaś dobry dzień? — pyta obojętnie, a jego oczy łapczywie taksują moje ciało na całej długości. Zwilża usta językiem, próbując stłumić szerszy uśmiech.

Boże, jak ja pragnę rzucić się w jego ramiona i całować go do utraty zmysłów. Moje ciało tak silnie wibruje z emocjonalnego i fizycznego pragnienia, że zaciskam dłonie na kubku, żeby się nie poddać.

— A, wiesz, biegałam bez sensu, jak za jakimś jednorożcem, ale jestem pewna, że w końcu trafiłam tam, gdzie jest moje miejsce.

— Hmm... — Odpycha się od ściany i wolno kroczy w moją stronę. Istne uosobienie seksu. — Czyli gdzie? — pyta, unosząc brew.

Jego nonszalanckość mnie dobija. Przepała się na wylot przez szalejący we mnie pożar. Jedyne, czego pragnę, to rozkoszować się tym mężczyzną. Mężczyzną, który pozbierał myśli, słowa i wspomnienia dotyczące naszych wspólnych chwil i stworzył z nich spójną całość, żebym mogła je odkrywać kawałek po kawałku i przypominać sobie znaczenie każdej z tych chwil. A co ważniejsze, pamiętał te chwile, czyli że są dla niego tak samo znaczące jak dla mnie.

— Tutaj — szepczę. — Tu jest moje miejsce, przy tobie, Colton. — Podchodzę do niego, do mojego narkotyku, pragnienia i dożywotniego uzależnienia. Kładę mu dłoń na policzku, chociaż chciałabym przyciągnąć go do siebie i zatrzymać na zawsze. — Dziękuję ci — mówię. Nasze ciała są oddalone o marne centymetry, ale serca są bez wątpienia złączone. — Nie wiem, co powiedzieć.

Pozwala sobie na szeroki uśmiech i zaczyna bawić się lokiem na moim ramieniu. Obserwuję, jak jego oczy podążają za palcami. To, że wydaje się być trochę skrępowany moim komplementem, sprawia, że jest jeszcze słodszy, a cały ten wieczór nabiera jeszcze głębszego znaczenia.

Po chwili wraca do mnie wzrokiem. Jego kryształowo zielone oczy płoną od emocji, ale wzrusza nieznacznie ramionami.

— Jesteś najbardziej bezinteresowną osobą, jaką znam. Chciałem po prostu zrobić coś, żeby ci pokazać, jak wiele to dla mnie znaczy. Chciałem, żeby chłopcy też w tym uczestniczyli, bo w ten sposób mogli ci pokazać, jak wiele znaczysz dla nich.

Łzy wzbierają w moich oczach chyba po raz setny. Przełykam gulę w gardle i patrzę na tego pięknego z zewnątrz i w środku mężczyznę. Mężczyznę, którego kiedyś uważałam za aroganckiego i samolubnego, lecz który wielokrotnie udowodnił mi, że nie jest dupkiem.

*Tylko prawdziwym asem.*

Pocieram kciukiem jego policzek i uśmiecham się do niego.

— Wbiłeś mnie w ziemię... jestem oszołomiona... tym całym twoim przedsięwzięciem. — Spuszczam wzrok na dłuższą chwilę, bo muszę uspokoić drżący głos. — Nikt jeszcze nigdy nie zrobił dla mnie czegoś takiego.

Nachyla się i muska moje usta najslodszy pocałonkiem. Próbuję pogłębić pocałunek, bo desperacko go pragnę. Pragnę usłyszeć jego westchnienia i poczuć ciepło jego dotyku, ale on się odrywa, całuje mnie w czubek nosa i opiera czoło na moim czole. Przykłada drugą dłoń do mojego policzka symetrycznie do pierwszej i bawi się moimi włosami.

— Czyli w pewnym sensie byłem twoim pierwszym. — Jego ciepły oddech oplata moje usta.

— Tak. — Serce mi łomocze i wydaję z siebie potargane westchnienie.

— To dobrze, Ry, bo chcę być twoim pierwszym, twoim ostatnim i twoim każdym pomiędzy — podkreśla każde słowo, jakby ich wypowiedzianie sprawiało mu ból.

Serce mi się ściska, bo nagle moje nadzieje i marzenia przestały być tylko mrzonkami, ale

nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo Colton odchyła się i patrzy mi w oczy z taką intensywnością, jakby robił to po raz pierwszy w życiu, po czym zadaje mi pytanie, którego w ogóle się nie spodziewałam.

— Dlaczego mnie kochasz, Rylee?

Odrzucam głowę i spoglądam mu w oczy, a przez myśl przechodzi mi tak wiele rzeczy, że nie potrafię wykrztusić słowa, więc po prostu zaczynam się śmiać. Patrzy na mnie dziwnie, a ja wykorzystuję ten moment zaskoczenia, żeby chwycić go za kark i przyciągnąć do siebie.

W ułamku sekundy wpijam się w niego ustami. Mój język wsuwa się między jego rozchylone wargi i łączy się z jego językiem. Jego napięte usta zdradzają zaskoczenie, które znika w chwili, gdy naśladowując mój gest, zaczyna bawić się moimi włosami i zatapiamy się w delikatnym i czułym pocałunku. Odpowiadam na jego pytanie ruchami języka, zadowolonymi gardłowymi jękami i wiecznym nienasyceniem jego osobą.

I chociaż wcale nie czuję się zaspokojona, odrywam się od jego usta i spoglądam w jego oczy.

— Kocham cię, Coltonie Donavanie, z bardzo wielu powodów. — Muszę przerwać, bo opanowują mnie emocje, a chciałabym, żeby widział moje oczy, bo wtedy będzie z całą pewnością wiedział, dlaczego czuję to, co czuję.

— Kocham cię za to, kim jesteś, za to, kim nie jesteś, za to, skąd się wziąłeś, i za to, dokąd zmierzasz. — Uśmiecham się łagodnie do niego, do mojego ukochanego mężczyzny, i pozwalam sobie poczuć wszystko to, o czym mówię. — Kocham twój mały chłopięcy uśmieszek ukrywający się pod szyderczym wyrazem twarzy złego chłopca. Kocham cię, bo dopuściłeś mnie do środka, oddałeś mi swoje serce, powierzyłeś mi swoje sekrety i pozwoliłeś mi zobaczyć oblicze, którego nikt inny wcześniej nie widział... *Pozwoliłeś mi być twoją pierwszą.* — Głos mi się łamie przy ostatnich słowach, a w moich oczach wzbierają łzy, bo jestem kompletnie obezwładniona emocjami.

— Kocham cię za uwielbienie dla waty cukrowej i seksownych samochodów. Kocham ten dołczek... — Nachylam się i kładę pocałunek w miejscu, gdzie się znajduje. — I kocham to — dodaję, przeciągając dłonią po jego zaroście. — I uwielbiam na nie patrzeć, gdy unosisz się nade mną, zanim we mnie wejdiesz — mówię, ściskając jego bicepsy, a on je napina i błyska uśmiechem. — Ale najbardziej ze wszystkiego kocham to, co kryje się tutaj. — Nachylam się i całuję go w pierś. Czuję pod ustami łomotanie jego serca. Zostaję tak przez chwilę, po czym podnoszę wzrok i patrzę na niego spod rzęs, żeby podać najważniejszy powód. — Bo to, co kryje się tutaj, jest czyste, dobre i tak niewiarygodnie piękne, że nie potrafię tego wyrazić i nie wiem, co powiedzieć, tak jak dzisiaj... i tak jak teraz.

Widzę pulsujący mięsień jego szczęki, gdy stara się przyjąć wszystko, co właśnie mu powiedziałam. Patrzymy sobie w oczy, nasze dusze są obnażone, a serca płoną tak silną akceptacją, że zatracamy się w niewypowiedzianych słowach.

Nagle on przyciąga mnie do siebie, obejmuje i mocno przytula.

— *Kurwa, kocham cię* — mówi, chowając twarz w mojej szyi. Czuję jego nierówny oddech, gdy próbuje odzyskać panowanie nad sobą.

Przywieramy do siebie, a desperacja jego dotyku i jego słowa cementują wszystko, co jest między nami.

— O to mi właśnie chodziło — szepcze, składając pocałunek na mojej szyi niedaleko ucha. — Dzisiejszy wieczór miał być poświęcony tobie, a ty i tak dałaś mi tak wiele, że praktycznie nie potrafię złapać tchu.

Odchyła się ogarnięty emocjami. Widzę w jego wzroku małego chłopca, dorosłego mężczyznę i zbuntowanego łobuza, którzy patrzą na mnie z bezwarunkową miłością. Bierze

głęboki wdech i z trudem przełyka ślinę.

— Nie da się być obok ciebie, Ry, i nie zostać w jakiś sposób poruszonym. Przez połowę czasu nie wiem, co powiedzieć, a mój pieprzony żołądek zwija się w supły. — Potrząsa głową, a ja uśmiecham się do niego, poruszona tymi komplementami. Wyciąga dłoń i odgarnia kosmyk z mojej twarzy. — Kochałaś mnie w najmroczniejszych chwilach — szepcze, a mnie zapiera dech.

Brutalna rzeczywistość jego słów sprawia, że dostaję gęsiej skórki i nie wiem, co powiedzieć. Patrzy na mnie wilgotnymi oczami i przygryza dolną wargę, szukając odpowiednich słów do wyrażenia swoich emocji.

— Kochałaś mnie, gdy się nienawidziłem. Gdy cię odpychałem i próbowałem skrzywdzić, żebyś nie zobaczyła... mojej przeszłości. Zaakceptowałaś mój strach i pokochałaś go. — Potrząsa głową. — A do tego chwyciłaś mnie za jaja, postawiłaś swoje warunki i powiedziałaś: „*Bez żadnych wykrętów*”. — Śmiejemy się z tych słów, a ich zabawność pozwala nam rozładować trochę energii skumulowanej w tej intensywnej konwersacji.

— Tak na marginesie, to nadal obowiązuje — stwierdzam z uśmiechem, a on nachyla się i muska moje usta.

— Ja... — wzdycha. — Ry, dałaś mi tak wiele i dzisiaj chciałem ci pokazać, że to widzę. Przyjmuję to i czuję do ciebie to samo. — Przeczesuje dłonią włosy i zamyka na chwilę oczy, a po chwili na jego ustach pojawia się uwielbiany przeze mnie nieśmiały uśmiech.

Zaczyna mówić, lecz przerywa, bo emocje więzną mu w gardle. Podnosi wzrok i patrzy mi w oczy.

— Dałaś mi nadzieję, gdy myślałem, że jestem beznadziejny. Pokazałaś mi, że nieposłuszeństwo jest seksowne jak diabli, że krągłości są moim kryptonitem i że *pieprzyć blondynki*, bo brunetki są znacznie zabawniejsze. — Śmieję się, zadowolona z powrotu mojego aroganckiego złego chłopca. Pociera dłonią twarz i słyszę delikatne skrobanie zarostu. — Gadam bez ładu i składu... niezbyt to wszystko sensowne, ale nie wychodź.

— Nie ma innego miejsca, w którym wołałabym teraz być, Colton — odpowiadam, a on prowadzi mnie do szezlongu i sadza na nim. Klęka przede mną, między moimi nogami, obejmując mnie w pasie.

— Ry, spytałem cię, dlaczego mnie kochasz, ale tak naprawdę chciałem ci powiedzieć wszystkie powody, dla których ja ciebie kocham. To dla mnie ważne, żebyś nie wątpiła w moje uczucia do ciebie... bo, kurde, Ry, zwałaś mnie z nóg. Reprezentujesz jedyną rzecz, której nigdy nie chciałem i której nigdy, przenigdy się nie spodziewałem, a bez której teraz nie mogę żyć. — Śmieje się z własnego wyznania, a mój uśmiech też się poszerza. — Prowokowałaś mnie, kusiałaś, zmuszałaś do konfrontacji z prawdami, z którymi nie chciałem się zmierzyć, i jesteś uparta jak osioł, ale Boże, kochanie, nie chciałbym, żebyś się zmieniała. Nie chciałbym, żeby *między nami* coś się zmieniało.

Kładzie dłonie na moich ramionach i pięści kciukami zagłębienia nad obojczykami. Potem potrząsa głową.

— Myślę, że zawsze przeczuwałem, że jesteś dla mnie kimś *więcej*... ale to, że cię kocham, uświadomiłem sobie na tej imprezie Kids Now... gdy stałaś w tym ogrodzie i sprowokowałaś mnie do podjęcia ryzyka... sprowokowałaś mnie do pokochania cię — głos mu się łamie od emocji związanych z tamtą nocą.

— A potem pokazałaś mi Sex i uprawialiśmy na niej seks — dodaje ze śmiechem, a on wydaje z siebie diabelnie podniecający gardłowy pomruk.

— Kurwa, Ry, klatka schodowa, maska samochodu, wata cukrowa, to wszystko sprawiało, że nie mogłem przestać o tobie myśleć — mówi przeciągle.

— Taki był mój plan od samego początku — drażnię się.

— Doprawdy? Czyli przez cały ten czas to była twoja gra?

— Uhm — potwierdzam. — Cóż, nie możesz się gniewać na swoje karty — śmieję się.  
— Witaj w pierwszej lidze, As — dodaję bez zastanowienia, a mój sarkazm zostaje nagrodzony uwielbieniem przede mną uśmiechem. Potrząsa głową, muska mnie ustami, po czym, ku mojemu zaskoczeniu, pogłębia pocałunek. Jego język kusi i wabi, wznecając płomień pożądania, od którego kurczą się wszystkie mięśnie na południe od mojego pasa. Odrywa się równie nagle.

— Widzisz — szepcze — za to właśnie cię kocham. Nie za wielkie rzeczy, które robisz, lecz za miliony pierdolonych drobiazgów, z jakich nawet nie zdajesz sobie sprawy. Za to, że rozśmieszasz mnie, bo wiesz, że czuję się nieswojo, mówiąc o takich rzeczach, i akceptujesz to. Za to, że dzięki tobie widzę świat w innym świetle, czego przykładem są lody na śniadanie i naleśniki na kolację. — Potrząsa głową i spuszcza wzrok na chwilę.

— A ja kocham cię właśnie za to — mówię. — Bo chociaż czujesz się nieswojo, mówiąc o tych rzeczach, to wiesz, że chcę je usłyszeć, i się starasz... A dzisiaj to już w ogóle zwałeś mnie z nóg. To było idealne i ty byłeś idealny.

— Daleko mi do ideału, Ry — mówi z autoironicznym śmiechem.

Wyciągam dłoń i przejeżdżam wzdłuż jego policzka.

— Na swój specyficzny sposób dla mnie jesteś idealny, Colton.

Uśmiecha się łagodnie, a jego oczy nagle robią się intensywne i poważne.

— Nie, chyba nie rozumiesz, Ry, a ja nie wiem, jak inaczej ci to powiedzieć... — Znowu ujmuję moją twarz w drżące dłonie i patrzy mi prosto w oczy. — Chcę być twoją flagą w szachownicy, Rylee. Twoim samochodem bezpieczeństwa prowadzącym cię w ciężkich chwilach, twoim pit stopem, gdy będziesz potrzebowała przerwy, twoim startem, twoją metą i twoim *pieprzonym zwycięskim okrążeniem*.

Nie wiem, co powiedzieć, bo jego słowa zaspokajają potrzebę, którą czułam od naszego pierwszego spotkania. Chociaż starałam się walczyć z uczuciami w tę feralną noc, to pragnęłam być jego. Pragnęłam znacznie więcej niż lizanka w korytarzu za kulisami. Pragnęłam całego pieprzonego wyścigu.

— Twoim trofeum — dodaję z lekkim uśmiechem, przypominając sobie naszą rozmowę po pierwszym spotkaniu. Wiem, że on też to pamięta, bo odpowiada mi takim samym uśmiechem.

— Nie — szepcze, nachylając się i muskając moje usta. — Jesteś dla mnie czymś więcej niż trofeum, Rylee. Po zakończeniu zabawy trofea stają się nieistotne... Ale ty? *Nieosiągalne, żebyś stała się nieistotna*. — Czuję, że jego usta układają się w uśmiech.

— Nie, ty i ja razem... *to sprawi, że będziesz mój* — odpowiadam z uśmiechem, dorzucając coś od siebie z naszej przeszłości.

— Dobrze — przyznaje, odchylając się z diabelskim uśmieszkiem na swojej przystojnej twarzy. — Moja kolej — stwierdza, zwilżając językiem usta. — Czyją dupę muszę skopać, zanim będę to mógł ogłosić? — mówi ze śmiechem i z wyzywającym spojrzeniem.

Potrząsam głową z uśmiechem, a on błądzi palcem po moim ramieniu i czeka, aż rzucę swoim tekstem. Jego dotyk mnie rozprasza, ale pamiętam.

— Co ogłosić, panie Donavan? — pytam, mrugając rzęsami. Patrzą mi w oczy i zaskakuje mnie intensywność jego spojrzenia.

— *To, Rylee* — szepcze. — *To ogłosić* — powtarza.

Nagle brakuje mi tchu i odruchowo zasłaniam dłońią usta, bo zauważam błyszczący pierścienek zaręczynowy. Cieszę się, że siedzę, bo cały świat nagle zaczyna wirować mi przed oczami. Jedyne, na czym potrafię się skupić, to blask mężczyzny przede mną, który chce dopełnić mój świat. Świat, którego istnienia nawet nie podejrzewałam.



Przypominam sobie o konieczności oddychania, ale nadal nie wierzę w swoją zdolność formułowania zdań, więc po prostu na niego patrzę. Mam gęsią skórę na całym ciele, mimo że zalewa mnie ciepło jego miłości. Wpatruję się w niego zamglonymi przez łzy oczami i kiwam głową zszokowana. Nie odrywam od niego wzroku, bo wiem, że ta chwila znaczy dla niego równie wiele jak dla mnie.

— Ogłoszmy oficjalnie, że jesteśmy razem, Rylee — prosi zdecydowanym tonem, chociaż jego dłonie drżą.

Skoro jest tak zdenerwowany, to najwyraźniej znaczą dla niego tak wiele, że boi się, iż mogłabym się nie zgodzić.

— Powiedziałem ci kiedyś, że jeśli nie będę w stanie wypowiedzieć oczekiwanych przez ciebie słów, to zrobię wszystko, żeby udowodnić ci swoje uczucia. Cóż, teraz potrafię już mówić te słowa. Ty mnie tego nauczyłaś. Kocham cię. — Patrzy mi w oczy, ale ja nie potrafię się powstrzymać i spuszcza wzrok na ten uwielbiany przeze mnie nieśmiały uśmiech. — Kocham to, kim jesteś, i to, do czego mnie motywujesz. Kocham to, że jesteś iskrą, która zniwelowała rozmycie. Kocham to, że chcesz się ze mną wyścigować. I to, że nie potrzebuję już superbohaterów, bo mam ciebie.

Potrząsa nieznacznie głową i śmieje się nerwowo.

— Kurwa, mamy już za sobą *na dobre i na złe* oraz *w zdrowiu i w chorobie*. Zostało nam jeszcze *póki śmierć nas nie rozłączy*. Spędź ze mną życie, Ryles. Zaczynaj ze mną. Skończ ze mną. Dopełnij mnie. Bądź moją jedyną pierwszą. Bądź moim zwycięskim okrążeniem i moją flagą w szachownicę, bo ja na pewno będę tym dla ciebie, jeśli mi pozwolisz. Wyjdiesz za mnie, Ry?

Łzy płyną po naszych twarzach. Jestem pod takim wrażeniem piękna jego słów i jego otwartej duszy, że nie potrafię nic wykrztusić, więc postanawiam mu to pokazać. Nachylam się i przyciskam usta do jego ust, wkładając całą duszę w ten słony od łez pocałunek.

Nagle doznaję głupawki i zaczynam chichotać w jego usta. Emocje biorą nade mną górę. Nie potrafię się powstrzymać. Odchylam się i ocieram łzy wierzchem dłoni.

— Dobijasz mnie, Ry... — mówi drżącym głosem, w którym irytacja miesza się z niepokojem. Nie odrywa ode mnie wzroku, a jego błagalne spojrzenie uświadamia mi, że chociaż znam odpowiedź, to jeszcze mu jej nie powiedziałam.

— Tak, Colton — mówię przepęłnionym radością głosem, a po policzkach płynie nowy strumień łez. — Tak, wyjdę za ciebie.

— Dzięki Bogu! — Wzdycha i potrząsa głową, patrząc na mnie z absolutnym uwielbieniem. Nie odrywam od niego wzroku, ale on bierze moją dłoń i spogląda w dół. Patrzę za nim i widzę, jak wsuwa mi na palec serdeczny pierścionek z diamentem w szlifie „cushion” otoczonym małymi diamentkami.

Patrzmy na niego w milczeniu, obezwładnieni potęgą tej chwili. Pierścionek jest piękny i ogromny, ale tak naprawdę wystarczyłaby mi zwykła złota obrączka, bo gdy podnoszę wzrok, mam przed oczyma swoją prawdziwą nagrodę. Ciemne włosy, zielone oczy, zaróżnione policzki... i serce, które zdobyło moje ciało, mój umysł i moją duszę.

— Kocham cię — szepczę.

— Ja też cię kocham — odpowiada i całuje mnie w usta, po czym nieoczekiwanie odrzuca głowę, wybucha śmiechem i wrzeszczy na całe gardło: — Zgodziła się!

Wzdrygam się na jego krzyk, ale po chwili wszystko rozumiem, bo słyszę wiwaty z dołu, i szybko podbiegam do poręczy. Spoglądam w dół i z zaskoczeniem odkrywam, że na dolnym tarasie jest pełno ludzi i wszyscy się na nas patrzą. Wszyscy, których dzisiaj spotkałam, a do tego moi rodzice i rodzice Coltona.

Wiwatom i gwizdom nie ma końca. Nie mam wyjścia, potrząsam głową i przyjmuję ich

radość. Macham do nich i wyciągam dłón, żeby pokazać pierścioneek.

Potem odwracam się do Coltona i daję się pochłónąć emocjom. Kocham go całym sercem. Bez pytań, bez wątpliwości, bez obaw.

— Hej, Ryles — mówi, przyciągając mnie do siebie. — Jeśli mają się gapić... — Unosi brew i uśmiecha się, gdy dostrzega pierścioneek na mojej lewej dłoni spoczywającej na jego bicepsie.

Odrzucam głowę i wybucham śmiechem, po czym dokańczam za niego.

— To możemy im dać porządne przedstawienie.

Kurwa, kocham cię, moja przyszła pani Donovan — stwierdza przeciągle.

Czuję ciarki na kręgosłupie i uśmiecham się, a on zaczyna mnie całować.

Wiwaty urastają do poziomu zamieszek ulicznych, ale ja słyszę tylko cichy gardłowy jęk Coltona. Czuję każde miejsce, w którym nasze ciała się dotykają. Całe moje ciało ogarnia fala ciepła, która zadomawia się w nim na stałe.

Wszystko inne przestaje istnieć.

Ludzie pod nami.

Świat na zewnątrz.

Bo wszystko, czego potrzebuję, mam teraz w ramionach.

Mamy coś, czego oboje nie chcieliśmy i bez czego już nie potrafimy żyć.

Siebie nawzajem.

[1] Chodzi o słowa: „Have you ever thrown a fist full of glitter in the air?”, czyli: „Czy zdarzyło ci się kiedyś rzucić w powietrze garść brokatu?” — *przyp. tłum.*

[2] „There you are... sugar” — „Tu jesteś, siedzisz w ogrodzie z moją kawą w dłoniach i mówisz do mnie »cukiereczku«” — *przyp. tłum.*

## Rozdział 44.

*Rok później*

*Spóźniasz się. Co ty sobie myślisz, że jesteś jakąś panną młodą czy co?*

Śmieję się z jego SMS-a i próbuję odpisać, ale nie pozwalają mi trzęsące się dłonie. Nie potrafię ich uspokoić, ale muszę to zrobić, bo jeśli moja mama je zobaczy, pomyśli, że się denerwuję, i przypuszczalnie uzna, że mam wątpliwości i chcę się wycofać.

Nic bardziej mylnego.

Bo jestem w stu procentach zdecydowana. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę, pocałuję i stanę się *oficjalnie* jego. Wręcz podskakuję z ekscytacji. Czuję motylki w brzuchu, bo tak chciałabym już zobaczyć jego twarz, gdy ujrzy mnie po raz pierwszy. To będzie chyba najlepsza część wesela.

Spoglądam na telefon i odpisuję:

*Mogę się spóźnić, jeśli chcę. To mój ślub. Reguła numer jeden: panna młoda — żona — ma zawsze rację. Bez żadnych wykrętów.*

Patrzę przez okno naszej sypialni na dolny taras, który został przerobiony na tropikalny raj. Wszyscy zajmują swoje miejsca: najbliższa rodzina, nasi przyjaciele i wystrojeni w jednakowe smokingi chłopcy.

Cieszę się tymi cichymi chwilami między szaleństwem poranka a chaosem, który z całą pewnością wkrótce nastąpi. *To moje ostatnie chwile jako Rylee Thomas*. Jestem na biało, cała w koronkach, dopieszczona do perfekcji, poza jedną rzeczą, na którą sama się uparłam.

Patrzę w lustro na szarfę w biało-czarną szachownicę, owiniętą wokół mojej talii i spływającą z tyłu. Moja mała oda do Coltona i nasz prywatny żart.

Telefon bzyczy.

*Jeszcze nie jesteście po ślubie, a Ty już stawiasz warunki? Prosisz się o to, żeby Cię zerznąć i pokazać, kto tu rządzi. Moja reguła numer jeden: niezależnie od tego, co napiszesz, w sypialni to ja ustalam reguły.*

Śmieję się, bo moje ciało jest w stanie tak chronicznej żądy, że jeden jego dotyk wywołałby eksplozję rozkoszy. Myślę sobie o mojej bieliźnie w szachownicę i gardłowym pomruku Coltona, gdy ją zobaczy. Desperacko pragnę, żeby ta część już nastąpiła, bo nie pozwalałam mu się dotykać przez ostatni miesiąc, nie zwracając uwagi na jego prośby i błagania. A gdy postanowiłam złamać własne reguły, poddać się požądaniu i uprawiać z nim seks, odrzucił mnie. Usłyszałam tylko: „*Witaj w pierwszej lidze*”.

*As, zdominowałaś mój umysł, serce i duszę... Sypialnia to tylko dodatkowy bonus. Poza tym od kiedy stosujesz się do reguł?*

Klikam „wyślij” i uśmiecham się do swojego odbicia. Włosy zebrane u góry poza paroma luźnymi lokami, oczy jasne i pozbawione wątpliwości. Jestem w pełni gotowa wziąć ślub z mężczyzną, z którym chcę spędzić resztę życia. Mój wzrok pada na przedmiot, który jest elementem przesądów ślubnych. Od razu chwytam za telefon i piszę.

*Prezent bardzo mi się podoba. Nie trzeba było. Dziękuję. Nie mogę się doczekać, kiedy Cię zobaczę.*

Chcę nacisnąć „wyślij”, ale się powstrzymuję. Muszę mu to przekazać w *nasz sposób*, więc dopisuję:

*Katy Perry, Unconditionally*

Myślę o nim i przebiegam palcami po bransoletce na moim nadgarstku. To prezent, który zostawił mi na komodzie. Gdy go otworzyłam, moja mama zmarszczyła brwi, lecz ja wybuchłam

śmiechem, widząc litery alfabetu przeplatane diamentami i szafirami.

*Coś niebieskiego i coś nowego.*

Potem patrzę na diamentowe kolczyki, które moja mama miała na sobie, gdy wychodziła za tatę. Mam nadzieję, że nasze małżeństwo będzie równie szczęśliwe i pełne miłości.

*Coś starego.*

Czuję ściskanie w sercu, gdy przypominam sobie wyraz twarzy Haddie, która zaoferowała mi wczoraj prostą tiarę. „Jesteś jedyną siostrą, jaka mi została. Chciałabym, żebyś to założyła”.

*Coś pożyczonego.*

Zamykam na chwilę oczy, bo zalewa mnie fala emocji, gdy o tym wszystkim myślę. Chcę zapamiętać, jak się teraz czuję — niemożliwie podekscytowana, na progu poważnej zmiany w życiu. Moje myśli wracają do mężczyzny, z którym pragnę spędzić resztę życia. Mężczyzny, który złapał mnie pierwszego dnia i mimo paru wybojów nigdy nie wypuścił, a ja coraz bardziej się w nim zakochiwałam. Każdego dnia.

Co on teraz myśli i jak się czuje? Jest roztrzęsiony? Zdenerwowany? Czy jest tak samo pewny swojej decyzji jak ja?

Znowu bzyczy telefon.

*Przyzwyczaj się do rozpieszczania. Już niedługo się zobaczymy. Wiesz, jak bardzo Cię kocham, bo odrywam sobie jaja na chwilę, żeby napisać tytuł tej piosenki. Beyonce, Halo. Brr. Jaja wracają na miejsce. BTW: tu jest pełno wystrojonych kobiet, skąd mam wiedzieć, która z nich to Ty?*

Słowa piosenki uderzają mnie w tym samym momencie co jego sarkazm. Wyrzywa mi się szloch, a moje ciało nie potrafi zdecydować, za którą emocją podążyć. Postanawiam pozwolić sobie na wszystkie emocje, bo tylko raz w życiu zdarza się taki dzień.

A ponieważ pozwalam sobie na wszystkie emocje, uświadamiam sobie, że desperacko go pragnę. Cieszę się ze wszystkich gości, ale nie obchodzi mnie cała ta pompa i ceremonialność, bo najważniejszy jest mężczyzna, który będzie na mnie czekał na środku.

Biorę telefon po raz ostatni i odpisuję z uśmiechem:

*Będę na biało.*

Pukanie do drzwi wyrzywa mnie z zamyślenia.

— Proszę.

— Jesteś gotowa, kochanie?

Głos mojej mamy na nowo wzbudza szalejącą we mnie burzę emocji i znowu muszę walczyć z palącym uczuciem w gardle. Powtarzam sobie, że nie mogę płakać, bo zepsuję cały makijaż, ale to bezcelowe. Przez ostatnie trzy i pół roku wypłakałam się za całe życie, więc mam teraz prawo zrujnować makijaż łzami radości.

— Tak, jestem. — Odwracam się do mamy i uśmiecham się lekko, tak jak ona. Patrzy na mnie, a w jej niebieskich oczach duma jest zabarwiona nutką smutku, że musi mnie oddać. — Nie zaczynaj — ostrzegam, bo wiem, że jeśli ona zacznie płakać, to ja też nie wytrzymam.

— Wiem. — Pociąga nosem ze śmiechem, po czym ujmuję moją twarz w dłonie i spogląda mi prosto w oczy. — To jest ten jedyny, Ry. Matki wiedzą takie rzeczy. — Kiwa głową z łagodnym uśmiechem na twarzy, po czym odpowiada na pytanie, które widzi w moich oczach. — *Tańczy z tobą w deszczu.* Stąd wiem.

Po raz kolejny przelękam łzy, bo przypomina mi się jej porada, gdy wychodziliśmy ze szpitala. O tym, że w życiu nie chodzi o to, żeby przetrwać sztorm, lecz o to, żeby umieć tańczyć w deszczu. Gdybym miała jakiegokolwiek wątpliwości, rozpląnęłyby się w powietrzu po tej prostej uwadze.

Nie ma to jak błogosławieństwo matki, dzięki któremu ta chwila jest jeszcze piękniejsza. Już mam coś odpowiedzieć, gdy przez drzwi wpada Haddie.

— Czas pomachać flagą, kochana, ołtarz czeka! — oznajmia i gwizdże. — A niech mnie, kobieto!

— Dzięki — śmieję się, a Haddie razem z moją mamą zaczynają zbierać moją suknię. Ruszamy w stronę schodów przy dźwiękach piosenki *A Thousand Years*, granej na dole na gitarze akustycznej. Słowa tej piosenki wyrażają wszystko, co czuję do czekającego na mnie mężczyzny.

Quinlan daje mi sygnał, że Colton jest na miejscu i że mnie nie widzi. Mama i Haddie pomagają mi z trenem, żebym mogła zejść po schodach, nie potykając się i nie skręcając kostki. Na dole mama przytula mnie mocno, po czym odchyła się i uśmiecha, a jej oczy są wilgotne od emocji.

— Wiem — szepczę do niej i potakuję, a Shane odprowadza ją na jej miejsce.

Czuję czyjąś rękę na ramieniu i odwracam się. Tanner wygląda bardzo przystojnie w smokingu. Patrzy mi prosto w oczy i potrząsa głową.

— Cóż, to nie to samo co w domu babci — drażni się z miłością w oczach i bierze mnie za rękę. — Jesteś gotowa to zrobić, mała?

Energicznie kiwam głową, bo emocje więzną mi w gardle, gdy przypominam sobie, jak bawiliśmy się w ślub w domu naszej babci. Mieliśmy żelkowe obrączki, a misie pełniły rolę gości.

— W stu procentach — odpowiadam i całuję go w policzek, a w oczach mojego zwykle opanowanego brata wzbierają łzy.

— Wyglądasz olśniewająco — mówi, potrząsając głową z niedowierzaniem, i oddaje mi całusa.

— Tato? — pytam i oglądam się za siebie.

— Próbuje się pozbić — odpowiada Tanner, puszczając mi oczko. — Nie co dzień zdarza się oddawać komuś swoją małą córeczkę. Daj mu jeszcze chwilę. — Kiwam głową w odpowiedzi, a Tanner odchodzi do Quinlan, która jest w kompletnej rozsypce. Odwraca się do mnie i potrząsa głową, milcząco przekazując mi, że jeśli teraz podejdzie pogadać, to obie się pobierzemy i już się nie pozbiemy.

— Tu jest kobieta odpowiedzialna za tysiące niewiast płaczących dziś w poduszki.

Odwracam się i widzę mężczyznę, którego przez ostatni rok bardzo polubiłam.

— Becks — tylko tyle potrafię wykrztusić, ale uwielbienie w moim głosie przekazuje mu wszystko, co powinien wiedzieć. Uwielbiam go z wielu powodów, szczególnie za to, że popchnął nas do siebie, gdy myśleliśmy tylko o tym, żeby od siebie odejść.

— Hej, ślicznotko — mówi. — Masz jeszcze czas, żeby uciec, jeśli chcesz. Jego ego jeszcze bardziej urośnie, gdy dostanie dzisiaj główną nagrodę.

Serce mi się ściska na te słowa.

— Pod warunkiem, że ty będziesz prowadził samochód — prowokuję go i biorę głęboki wdech, żeby opanować emocje.

— Eee, skopałby mi za to dupę — śmieje się cicho i przytula mnie. — Czeka na ciebie — szepcze mi do ucha, po czym oddala się i kiwa głową.

Idealnie trafia ze swoimi słowami, bo nagle wszystko staje się takie prawdziwe. Muzyka. Haddie i Quinlan w klasycznych czarnych sukniach z kolorowymi bukietami w rękach. Tanner, który kołysze się na piętach i próbuje zachować spokój, lecz czeka niecierpliwie na przyjęcie, żeby ściągnąć muszkę. Dźwięk gitary. Szum otoczenia. Serce łomoczące z niewyobrażalnego zniecierpliwienia.

*Jestem w stu procentach gotowa.*

Haddie podchodzi bliżej. Moja najlepsza przyjaciółka ze łzami w oczach zaczyna poprawiać mój tren. Gdy kończy, spogląda na mnie z uśmiechem.

— Pamiętaj, w małżeństwie bywa ciężko. W takich chwilach ubierz sukienkę z suwakiem na plecach.

Patrzę na nią, jakby oszalała.

— Będzie musiał cię dotknąć, żeby pomóc ci się rozebrać, a to, co znajdzie pod spodem, sprawi, że zapomni, o co się wkurzył. — Unosi brwi. — I wtedy zaczniesz się najlepsze, czyli *seks na zgodę* — mówi ze śmiechem, a ja przewracam oczami.

— Dzięki, Had — odpowiadam, potrząsając głową, bo chociaż jestem pewna tego, co zamierzam zrobić, żołądek właśnie opadł mi do stóp.

— Kocham cię, Ry. — Przyciska usta do mojego policzka, a ja przygryzam wargę i potakuję. — Jeden na szczęście — szepcze.

— I jeden na odwagę — szepczę w odpowiedzi i także całuję ją w policzek. Tym razem nie potrzebuję tequili, bo jestem wystarczająco odurzona nadmiarem emocji.

Rusza w stronę Becketta, bo Quinlan i Tanner rozpoczęli pochód do przodu, ale zatrzymuje się i odwraca do mnie.

— Hej, Ry?

— Tak?

— Dzisiejszy dzień będzie niewiarygodnie szybki. Wszystko przeleci z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Dopilnuj, żeby się zatrzymać i to wszystko wchłonąć, żebyś dobrze zapamiętała pierwszy dzień reszty waszego życia.

Po tych słowach nie mogę złapać oddechu, bo z całych sił powstrzymuję się od płaczu. Kiwam głową i wzdycham głośno, próbując się pozbierać. Patrzymy sobie w oczy, przekazując mnóstwo niewypowiedzianych słów. W końcu odwraca się, obejmuje Becksa i razem ruszają do przodu.

Wychyłam się zza zasłony, bo chcę wszystko zobaczyć i wszystko zarejestrować, ale moje oczy instynktownie zaczynają szukać Coltona. Niestety z mojego miejsca go nie widzę, więc rozglądam się wśród przyjaciół i rodziny. Zespół Coltona, moi współpracownicy, członkowie naszych rodzin — wszyscy siedzą na krzesłach i patrzą, jak moja najlepsza przyjaciółka i najlepszy przyjaciel Coltona przechodzą środkiem do przodu. Łapię spojrzenie Dorothei, która uśmiecha się i bezgłośnie mówi „ślicznie”, a potem szturcha Andy’ego, który od razu odwraca głowę. Patrzymy sobie w oczy przez chwilę. Andy dyskretnie kiwa głową, a jego twarz wyraża podziw i wdzięczność.

— Jesteś gotowa, córeczko?

Słyszę za sobą głos mężczyzny, z którym porównywałam wszystkich swoich facetów, i czuję, że zaraz pękne. Odwracam się i patrzę na ojca, który wygląda niewiarygodnie przystojnie. Całe moje ciało drży na myśl, że dzisiaj przestanę być jego małą córeczką. Wzdycham ciężko, a on patrzy na mnie i nie potrafi ukryć wzbierających w kącikach oczu łez.

— Dobrze się spisałaś, Ry. — Kiwa głową, a jego silny podbródek drży z emocji.

Pierwsza łza spływa po moim policzku, gdy słyszę to, co każda dziewczyna pragnie usłyszeć od swojego ojca — słowa aprobaty. Szczególnie w kwestii osoby, z którą planuje spędzić resztę życia.

— Dzięki, tato. — Nie mogę wykrztusić nic więcej, bo runie tama i popłyną łzy. Wiem, że on czuje się tak samo, bo oboje odwracamy wzrok.

Zaczyna się *Kanon* Pachelbela i czuję dreszcze na całym ciele. To mój znak. Tato wyciąga do mnie łokieć, a ja chwytam go, powierzając mu się po raz ostatni. Zawsze będzie

moim bohaterem i źródłem życiowych porad, ale czas ruszyć w stronę mężczyzny, z którym będę tworzyć nowe wspomnienia.

To moja przyszłość.

Początek nowej bajki.

Moje „żyli długo i szczęśliwie”.

— Wyglądasz naprawdę pięknie — szepcze do mnie, gdy przekraczamy próg, a moje oczy przesłaniają się łzami. — Twój mąż na ciebie czeka.

To słodko-gorzkie pożegnanie ojca ze swoją córeczką niemal przerywają tamę, ale udaje mi się przelknąć łzy i opanować.

Biorę głęboki wdech i patrzę na kolorowe płatki róż rozsypane na białym dywanie w przejściu. Mrugam powiekami, żeby rozpędzić łzy, bo gdy podniosę wzrok, by spojrzeć na Coltona po raz pierwszy, chcę, żeby był wyraźny, nierozmazany i idealny.

Taki jak miłość, którą do niego czuję.

Robimy pierwszy krok. Słyszę poruszenie wśród gości, którzy wyciągają szyje, żeby mnie zobaczyć, i szepczą między sobą, gdy im się to udaje. Słyszę dźwięki skrzypiec i odgłosy migawek aparatów. Czuję swój łomoczący puls i drzenie ręki mojego ojca, gdy wykonujemy ten najważniejszy w życiu wspólny spacer. Zapach kwiatów rozrzuconych na tarasie miesza się z łagodną oceaniczną bryzą. Próbuję wchłonąć to wszystko zgodnie z radą Haddie, żeby zapamiętać każdy, nawet najdrobniejszy szczegół.

Przede wszystkim jednak słyszę syk wdechu Coltona, kiedy pojawia się w jego polu widzenia. Nie mogę już dłużej czekać. Każda część mojego ciała wibruje ze zniecierpliwienia.

Podnoszę wzrok.

Moje stopy nadal się poruszają.

Ale serce staje w miejscu. A potem znowu rusza.

Patrzę Coltonowi w oczy, wchłaniam jego oszołomiony wyraz twarzy i oddech więźnie mi w gardle. Mężczyzna, który zawsze był tak pewny siebie, wygląda, jakby świat się zatrzymał, skręcił i poleciał w inną stronę.

Zabawne jest to, że... *tak właśnie się stało*, zaczynając od chwili, kiedy pierwszy raz wpadłam w jego ramiona.

Nie odrywamy od siebie wzroku. Nawet gdy całuję ojca w policzek, a on wymienia z Coltonem uścisk dłoni, po czym siada obok mojej mamy. Nawet wtedy, gdy Colton bierze mnie za dłonie, potrząsa głową i chichocze.

— Niezła flaga w szachownicę — mówi.

— Bałam się, że nie będziesz w stanie mnie rozpoznać — żartuję i po raz pierwszy tego dnia czuję, że mogę odetchnąć. Serce łomocze mi w piersi i drżą mi dłonie, lecz w końcu jestem z nim.

— Kochanie, znalazłbym cię, nawet gdybym był ślepy. — Na jego ustach pojawia się ten uśmiech, ten, który rozświetla jego oczy i rozgrzewa moją duszę. Zatracam się w jego oczach i przekazywanych przez nie niewypowiedzianych słowach i nie zauważam, że oficjantka rozpoczęła już ceremonię. Orientuję się dopiero wtedy, gdy Colton zerka na nią, po czym wraca wzrokiem z powrotem do mnie. Jego zielone oczy błyszczą od emocji, a uśmiech łagodnieje.

— Rylee — mówi i potrząsa lekko głową, zerkając na nasze dłonie. — Byłem człowiekiem, który pędził wyścigiem przez życie i który nigdy nie myślał o miłości. Miłość po prostu nie była dla mnie. Ale wtedy ty *zderzyłaś się* ze mną. Zobaczyłaś we mnie dobro, chociaż ja nie potrafiłem go dostrzec. Zobaczyłaś przyszłość, chociaż ja nic nie widziałem. A gdy cię odepchnąłem, popchnęłaś mnie dziesięć razy mocniej. — Chichocze cicho. — Raz za razem okazywałaś mi swoje serce. Nauczyłaś mnie, że flagi z szachownicą są znacznie cenniejsze poza

toem niż na nim. Wprowadziłaś światło w moje ciemności swoją bezinteresownością i zuchwałością... — Wyciąga dłoń i ociera kciukiem łzy, które w milczeniu płyną po moich policzkach.

Ta osobista przysięga podkreśla głębię jego miłości. Mężczyzna, który się zapierał, że nie jest zdolny do miłości, potrafi kochać całym sercem.

— Dałaś mi życie, jakiego nie wiedziałem, że potrzebuję, Ry. Za to wszystko oddaję ci siebie całego. To, co złamane, to, co skrzywione, i wszystko inne. Oddaję ci się całym sercem, bez oszustw i bez zewnętrznych nacisków. Ślubuję pisać ci w SMS-ach tytuły piosenek, żeby dotrzeć do ciebie, gdy nie będziesz mnie słuchać. Ślubuję wspierać twoją empatię, dzięki której jesteś tym, kim jesteś. Ślubuję prowokować cię do spontaniczności, bo łamanie reguł to coś, co najlepiej mi wychodzi — mówię z uśmiechem, a po jego twarzy zsuwa się samotna łza. — Ślubuję ci, że będziemy bardzo często grali w baseball, żebyśmy zaliczyli wszystkie bazy. *Łącznie z czwartą!* — Ostatnie słowa mówi tak cicho, że tylko ja jej słyszę, i śmieję się przez łzy.

Nie mogę się już powstrzymać, więc wyciągam dłoń i głaskam go po policzku. Nie obchodzi mnie, co ludzie pomyślą o tej przysiędze.

— A to... ten śmiech? Ślubuję rozmieszać cię każdego dnia. *I wywoływać westchnienia.* Twoje westchnienia też lubię. — Puszczam mi oczko. — Ślubuję, że nic w moim życiu nie będzie ważniejsze od ciebie. Że nigdy nie staniesz się nieistotna. I że ci, których kochasz, będą moimi ulubieńcami. — Przy tych słowach odwraca się w stronę rzędu, w którym siedzą chłopcy. — Ślubuję być twoim i oddawać ci całego siebie, chociaż wiem, że całe życie to za mało, żeby okazać ci moją miłość. To po prostu niewykonalne. — Wzrusza ramionami, lecz głos mu drży, gdy to mówi, a ja czuję niesłychaną radość w sercu. — Ale cóż, mam całą wieczność, żeby próbować. Chcesz tego?

— Tak! — wykrztuszam, a Colton wsuwa obrączkę na mój palec. Całe moje ciało drży, ale serce bije pewnie i spokojnie, a w głowie mam absolutną jasność.

— Kocham cię — szepcze.

Łzy spływają mi po twarzy, lecz nawet nie próbuję ich zatrzymać. Colton jest rozdarty, bo chciałby mnie przytulić i uspokoić. Zerka na oficjantkę, pytając ją wzrokiem, czy może mnie dotknąć. To takie urocze, że mężczyzna, który nigdy nie przestrzegał reguł, boi się je teraz złamać.

Osuszam oczy chusteczką higieniczną podaną mi przez Haddie i biorę głęboki wdech, przygotowując się do wygłoszenia swojej przysięgi.

— Colton, chociaż z całych sił próbowałam z tym walczyć, myślę, że zakochałam się w tobie już w chwili, gdy wypadłam z tej komórki prosto w twoje ramiona. *Absorbujące Spotkanie.* Dostrzegłeś we mnie iskrę, mimo że byłam wtedy pogrążona w żałobie. Pokazałeś mi romantyzm, chociaż zarzekałeś się, że w niego nie wierzysz. Nauczyłeś mnie odczuwać, chociaż przez tak długi czas byłam odrętwiała.

Potrząsam głową i patrzę na nasze dłonie, po czym wracam do jego oczu.

— Pokazałeś mi, że blizny, zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne, są piękne i że można je nosić bez strachu. Pokazałeś mi prawdziwego siebie i *wpuściłeś mnie do środka*, chociaż przed wszystkimi innymi się zamykałeś. Pokazałeś mi taki hart ducha i niezłomność, że nie miałam innego wyjścia jak cię pokochać. I chociaż o tym nie wiedziałeś, co chwilę okazywałeś mi swoje serce. Każdy jego skrzywiony fragment — mówię cicho, trzymając go za rękę drżącymi dłońmi.

Nigdy nie zapomnę jego oczu w tym momencie, pełnych akceptacji, uwielbienia i czci. Po jego policzkach wolno płyną łzy, które stanowią uderzający kontrast z intensywnością jego wyrazu twarzy. Ale ja widzę jego wrażliwość. I czuję miłość.

— Powiedzieliś, że wniosłam światło w twoje ciemności, ale nie zgadzam się z tobą.



Twoje światło zawsze tam było, ja ci tylko pokazałam, jak pozwolić mu rozbłysnąć. Dajesz mi życie, jakiego zawsze pragnęłam. Za to wszystko oddaję ci siebie całą. Moje nieposłuszeństwo, bezinteresowność, cały pieprzony alfabet. Oddaję ci się całym sercem, bez oszustw i bez zewnętrznych nacisków.

Wiem, że to wbrew zasadom, ale nie potrafię się powstrzymać i całuję go lekko w usta. Gdy się odchylam, trafiam na jego wzrok i szelmowski uśmiech, który zapamiętam do końca życia.

— Łamaczka reguł — przeżywa mnie na żarty, unosząc brew, gdy przygotowuję się do dokończenia przysięgi.

— Uczyłam się od najlepszych. — Potrząsam głową i patrzę na niego pewnym wzrokiem. — Ślubuję wspierać twoją swobodną duszę i twój brak pokory, bo dzięki temu jesteś tym, kim jesteś. Ślubuję cię prowokować i zachęcać, żebyśmy oboje stawali się coraz lepszymi wersjami siebie. Ślubuję być cierpliwą i trzymać cię za rękę wtedy, gdy tego nie chcesz, bo to jest coś, co najlepiej mi wychodzi. Ślubuję wysyłać ci SMS-y z tytułami piosenek, żebyśmy nie stracili naszego porozumienia. I ślubuję ubierać sukienki z suwakami na plecach — dodaję pod wpływem impulsu, a Colton zerka na Haddie, która wybuchła śmiechem. Potrząsa głową i wraca wzrokiem do mnie. — Ślubuję ci życie pełne śmiechu, lodów na śniadanie i naleśników na kolację. I pamiętaj, że uwielbiam machać flagą z szachownicą, więc bądź gotów na *odbieranie trofeów*. — Uśmiecham się równocześnie z nim, a moja miłość do niego wzbija się na nowe szczyty. — Ślubuję, że nic w moim życiu nie będzie ważniejsze od ciebie. Bo wszystko inne jest nieistotne, a ty, Colton, z całą pewnością nie jesteś nieistotny. Pamiętam, jak siedzieliśmy w Starbucksie, a ja patrzyłam na ciebie i zastanawiałam się, jak by to było, gdybyś dał mi szansę cię pokochać, a teraz mam na to całe życie. Ale i tak wiem, że to za mało.

Biorę od Haddie obrączkę ze wzorem szachownicy i wsuwam na jego palec.

Becks zaczyna nas przedrzeźniać i wszyscy goście wybuchają śmiechem. Mam ochotę go udusić, ale nigdy tego nie zrobię. To jest teraz moje życie, a on jest jego częścią.

— Jesteś następny, skurwielu — mruczy do niego Colton. Becks się krztusi, a ja zaczynam się jeszcze bardziej śmiać. Dopiero po chwili ludzie powoli się uspokajają i z powrotem skupiają na nas.

— Colton, mamy całą wieczność, żeby próbować. Chcesz tego?

— Wiesz, że to jest trwałe, co? — pyta łagodnie, przypominając mi o symbolu na moim biodrze. Potakuję nieznacznie, a on przechyla głowę, patrzy na mnie z rozbawieniem i mówi: — Oczywiście, że tego chcę. — Spuszcza wzrok na swoją dłoń, na obrączkę na palcu serdecznym, i potrząsa głową, oswajając się z tym, co się stało. Wyraz jego twarzy jest bezcenny. A potem z niecierpliwością godną moich chłopców patrzy na oficjantkę.

— Tak, Colton — chichocze, wiedząc doskonale, o co chce zapytać. — Możesz pocałować pannę młodą!

Zalewa mnie zachwytem i miłością.

— Dzięki Bogu! — wzdycha, po czym podchodzi do mnie i ujmuje moją twarz w dłonie.

— Ta flaga w szachownicę na zawsze jest moja.

Po czym przyciska usta do moich ust z niepodważalną pasją, a ja słyszę głos oficjantki:

— Panie i panowie, przedstawiam wam panią i pana Donavan.

## Epilog 1.

*10 lat później*

Czuję w klatce piersiowej wibracje silnika, jeszcze zanim samochód wejdzie w czwarty zakręt. Patrzę za nim, jak walczy na przedostatnim okrążeniu, i zastanawiam się, czy zawsze już tak będzie. Czy zawsze będę kłębkim nerwów, gdy on jest na torze.

Na pewno. Bez wątplenia.

Słyszę, jak zmienia biegi, wchodząc w drugi zakręt, jedyny, który widzę ze swojego miejsca w pomieszczeniu obok punktu serwisowego, więc odwracam się w stronę monitora. Słyszę komentatora, który coraz bardziej się gorączkuje, i nawet nie próbuję ukrywać dumy ani tłumić uśmiechu.

— Donovan wpada w trzeci zakręt. Jeszcze jeden i będzie miał kolejne zwycięstwo na koncie, a tym samym obejmie prowadzenie w klasyfikacji punktowej. Zostawia wszystkich z tyłu przed czwartym zakrętem i na ostatniej prostej nikt nie jest w stanie mu zagrozić. — Komentator zaraża wszystkich swoim entuzjazmem, a ja odrywam wzrok od ekranu i patrzę na samochód, który przecina linię mety.

Ale chociaż widzę przed sobą jego wynik, uspokoję się dopiero wtedy, gdy znowu poczuję go w swoich ramionach.

— Donovan pierwszy! Panie i panowie, Donovan zdobywa flagę w szachownicy w Indy Lights Grand Prix! Kolejne trofeum dla tego utalentowanego kierowcy, którego z pewnością jeszcze wiele razy zobaczymy na pasie zwycięzcy.

Wszyscy w pomieszczeniu zaczynają wiwatować, ale ja nie tracę czasu na pogawędki. Zrzucam słuchawki i zbiegam po schodach. Wszyscy znają już procedurę, więc nie interesuję się teraz tym, kto z kim przyszedł lub kiedy się znowu spotkamy. Przebijam się przez tłum dokładnie w chwili, gdy jego samochód powoli wjeżdża na biało-czarny pas zwycięzcy.

Cała drzę z ekscytacji i mam serce w gardle, gdy widzę, jak zespół tłoczy się wokół niego, ściskają go za ramię lub poklepują po kasku w ramach gratulacji. Stoję z tyłu, pozwalając im na tę zespołową chwilę, chociaż nie mogę się doczekać, kiedy sama mu pogratuluję.

Widzę, że oddaje kierownicę i wysiada z samochodu. Pomocne dłonie pomagają mu odzyskać równowagę i władzę w nogach po pięciogodzinnym siedzeniu w kokpicie.

Cały zespół odstępuje o krok, a do zwycięzcy podchodzi jeden człowiek. Ta szczęśliwa rutyna jest już stosowana cały rok. Zalewa mnie miłość, gdy patrzę, jak mężczyzna, którego z każdym dniem kocham coraz bardziej, podchodzi do niego i pomaga mu odpiąć kask.

Reporterzy cisną się wokół mnie, żeby dopchać się bliżej, ale ja stoję jak przymurowana i obserwuję chwilę, która za każdym razem mnie porusza. Chwilę, która nigdy nie przestanie na mnie działać.

Kask i biała kominiarka zostają ściągnięte jednym płynnym ruchem, a ja w końcu mogę zobaczyć oczy Zandera. Błyszczą w nich dumą i podekscytowaniem zwycięstwem identyczne jak te, które sama czuję. Colton zabiera jego kask i obdarza *naszego syna* szybkim, przepełnionym emocjami uściskiem. Wiem, co do niego teraz mówi. To samo, co powtarzał mu niezliczoną ilość razy przez te wszystkie lata.

— *Jestem z Ciebie dumny, synu. Kocham Cię.* — Chce, żeby Zander zapamiętał te słowa na zawsze i nigdy nie wstydził się ich wypowiadać. Przełykam gulę w gardle, gdy Colton czochra jego wilgotne od potu włosy, po czym odchodzi do tyłu, żeby pozwolić Zanderowi nacieszyć się chwilą w centrum uwagi.

Colton ginie w tłumie, a do Zandera podchodzi Becks, który obejmuje go ramieniem,

żeby mu pogratulować, zanim dopadną go media.

Stoję w otaczającym mnie tłumie i czekam, bo wiem, że mnie znajdzie. Po kilku minutach czuję jego dłonie wokół talii. Przyciąga mnie do siebie, moją miękkość do swojego twardego ciała, i czuję jego usta obok swojego ucha.

— Dobrze się dziś spisał, co? — jego chrapliwy głos sprawia, że zamykam oczy i zastanawiam się, jak to możliwe, iż po dziesięciu latach nadal tak na mnie działa. Dlaczego wciąż wywołuje we mnie taką falę uczuć, jak tej pierwszej nocy, gdy się poznaliśmy.

Przechylam głowę i czuję jego zarost na swojej skórze. Zbliżam usta do jego ucha, żeby usłyszał mnie mimo krzyków spikerów i ogólnego chaosu.

— Z wyścigu na wyścig coraz lepiej — mówię, po czym przyciskam usta do skóry pod linią szczęki i zostaję tak na chwilę. — Ma świetnego nauczyciela — dodaję z ustami na jego skórze. — Teraz twoja kolej na zdobycie flagi w szachownicy. — Podnoszę głowę i widzę jego uniesioną brew i szelmowski uśmiech. Na pewno nie myśli teraz o swoim wyścigu za tydzień. Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. — Na torze, As! Tę flagę już zdobyłeś!

— No nie da się ukryć — śmieje się. Całuje mnie w głowę i nie odrywając ust, szepcze: — Muszę wrócić do zespołu. Zobaczymy się za chwilę?

— Uhm. Powiedz wszystkim, że kolacja jest jutro o osiemnastej trzydzieści, dobrze?

— Jasne — odpowiada. Odwraca mnie w swoich ramionach twarzą do siebie i przez chwilę przygląda mi się z uwielbionym przeze mnie uśmiechem. Upływające lata były dla niego łaskawe: może i zyskał kilka nowych zmarszczek wokół oczu, ale wciąż ma ten wygląd adonisa, który zapiera mi dech w piersi.

Nachyla się i przyciska usta do moich ust, a ja muszę wykrzesać całą swoją siłę woli, żeby nie poddać się temu bardziej. Bo mimo upływu czasu wciąż nie mam go dosyć.

Podobnie jak inne moje emocje, Colton wyczuwa moje pragnienie i czuję, jak na jego ustach rozkwita uśmiech. Muska mnie ustami jeszcze raz, po czym nachyla się do mojego ucha.

— Potem się tym zajmiemy — szepcze.

— A co się stało z „kiedy zechcę i gdzie zechcę”, co, As? — prowokuję go.

Uwielbiam jego beztroski śmiech. Odrzuca głowę do tyłu i śmieje się całym ciałem. Potem potrząsa głową i patrzy na mnie, zerkając ulotnie w stronę pokoju konferencyjnego za moim ramieniem.

— Wydaje mi się, że pokazałem ci dziś rano, pani Donovan. — Pod wpływem tych słów pożądanie, które zaspokoił wcześniej na biurku w tym pokoju, wraca z podwójną siłą. Colton muska palcem mój policzek. — Ale z przyjemnością udowodnię ci to jeszcze raz nieco później, wieczorem.

— O, bez obaw — uśmiecham się. — Pamiętam twój twardy *argument*.

— Kochanie, ten argument jest nie do obalenia — szepcze sugestywnie, chwytając mnie za pośladki. Przyciska mocno do siebie, żebym wyraźnie poczuła, jak jego nieobalony argument przyciska się do mojego podbrzusza. Wydaję z siebie bezwiedne westchnienie, bo moje ciało znowu desperacko go pragnie. — Kurwa, kocham cię — stwierdza, po czym całuje mnie krótko w usta, puszcza mi oczko i odchodzi w stronę Zandera i jego zespołu.

Nie mogę oderwać od niego wzroku: silne ramiona, głowa wysoko, wciąż seksowny jak diabli. Potrząsam głową, bo przypomina mi się, jak wiele lat temu odchodził ode mnie w kombinezonie wyścigowym. Jak zawołał moje imię, znalazł w sobie odwagę, żeby powiedzieć, że mnie wyściguje, i w ten sposób na zawsze zmienił nasze życie.

## Epilog 2.

### Colton

W domu huczy jak w pieprzonym ulu.

Dokładnie tak, jak lubi Ry. Nie mam pojęcia, dlaczego, bo w ten sposób dom jest przepełniony testosteronem, który przytłacza jej jednoosobową dawkę estrogenu.

Wchodząc po schodach, zerkam na taras i dostrzegam Shane'a z żoną przy boku, który popija piwo i opowiada Connorowi o swojej nowej pracy.

Raz na miesiąc wszyscy chłopcy wpadają na *kolację rodzinną*, jak nazywa to Ry, chociaż niektórzy chłopcy — kurde, mężczyźni — zdążyli już założyć własne rodziny.

— Hej, Shane — wołam do niego przez otwarte drzwi. — Mam tu jeszcze parę piw, jeśli chcesz — żartuję sobie, a on prychnie i przewraca oczami w odpowiedzi.

— Nie, dzięki. Jedno mi wystarczy — stwierdza z szerokim uśmiechem, unosząc butelkę w udawanym toaście. Śmieję się na wspomnienie o tym, jak był zielony i miał potwornego kaca.

Przechodzę korytarzem i wchłaniam wszystko. Aiden przyszedł prosto z treningu i jest w koszulce baseballowej UCLA. Gada o bzdurach z Zanderem, który ma na sobie szorty i założoną daszkami do tyłu czapkę baseballową i uśmiecha się beztrudnie. Scooter bawi się na tarasie figurkami Spider-Mana z dwuletnim synem Shane'a.

### *Kurde.*

Ten widok sprawia, że czuję się jak stary piernik.

Brakuje tylko Kyle'a i Ricky'ego. Współczuję dziewczynom na pierwszym roku w Stanford, nad którymi ci dwaj aktualnie roztaczają swój urok. Może to ich własny rodzaj magii. Kobiety nie mają szans i nie uchronią się przed złamanym sercem.

### *Zerznąć i porzucić.*

Gdy myślę o tej dwójce, przypomina mi się to stare hasło. Wspomnienia tego pierwszego wieczoru uderzają mnie jak worek cegieł. Nawet nie próbuję walczyć z uśmiechem, gdy przypominam sobie łamane przeze mnie serca... Byłem w tym naprawdę dobry... aż pewna seksowna wiedźma wpadła w moje cholerne życie, chwyciła mnie mocno i już nie puściła. Jej przekora i boskie kształty przewróciły mój świat do góry nogami, gdy otworzyłem tę pieprzoną komórkę.

I dzięki Bogu.

### *Moja pierdolona Rylee.*

Słyszę jej głos dobiegający z kuchni i bez zastanowienia ruszam w jej stronę. Staję w drzwiach i zniemacka zalewa mnie każdy gram miłości, o którą nigdy się nie posądzam. Czuję to za każdym razem, gdy ich widzę.

Garnki bulgoczą na kuchence, mikrofalówka dzwoni, a w tle gra Goo Goo Dolls, ale ja w ogóle tego nie zauważam, bo skupiam się wyłącznie na tym, co widzę przed sobą. Serce wali mi jak oszalałe. Siedzą na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, dotykają się kolanami i chichoczą bez opamiętania w związku z jakimś wspólnym sekretem. Twarze i włosy mają w mące i patrzą na siebie z absolutnym uwielbieniem.

Stoję i obserwuję ich. Jestem najszcześniejszym skurczybykiem na ziemi i ta myśl sprawia, że czuję najśłodszy ból duszy. Przeszedłem piekło tam i z powrotem, ale było warto dla każdej sekundy przeżywania tego, co teraz czuję... Uczuć, które nie są już dla mnie obce.

I bez których nie wyobrażam sobie życia.

Chichoty cichną. Zielone oczy spoglądają na mnie spod gęstych, ciemnych rzęs. Chłopiec marszczy ubrudzony mąką nos i uśmiecha się szelmowsko. Patrzy, próbując ocenić, czy będę zły

za zrobienie bałaganu, w którym najwyraźniej miał swój udział.

Potem do zielonych oczu dołączają fioletowe. Na uwielbianych przeze mnie ustach pojawia się łagodny uśmiech, który jest przeznaczony wyłącznie dla mnie. Zdumiewa mnie to, jakim cudem taki prosty uśmiech tak na mnie działa, niezależnie od tego, ile minęło lat. Pragnę wziąć ją w ramiona, zdradzić jej wszystkie swoje sekrety i jednocześnie zerznąć ją do utraty zmysłów.

Jej magiczna cipka nadal roztacza swój czar.

I nie chciałbym, żeby było inaczej.

Walczę z uśmiechem wpełzającym mi na usta, bo przy tym chłopcu jestem największym mięczakiem świata, chociaż regularnie temu zaprzeczam. Próbuję okazać surowość.

— Co tu się dzieje? — pytam, wchodząc do środka. Rylee klaszcze w dłonie, wzniecając mączną zamieć, i oboje znowu zaczynają chichotać.

Podchodzę do nich, mąka przyczepia się do moich nagich stóp. Kucam obok i patrzę to na nią, to na niego. W końcu robię mu kropkę z mąki na nosie.

— Wygląda na to, że zrobiliście tu niezły syf — stwierdzam, próbując odegrać rolę surowego ojca, ale ponoszę klęskę.

— Dzięki, *Panie Oczywisty!* — chichocze sarkastycznie.

— *Asie Thomasie!* — Ry karci naszego syna, lecz jego słowa i tak zdążyły zwalić mnie z nóg.

Patrzę na niego, studiuję jego twarz jak pod mikroskopem, bo ciekawi mnie, czy ma w ogóle pojęcie, co właśnie powiedział, ale widzę tylko łobuzerskie zielone oczy i łamiący serce uśmiech. Wykapany tata.

— *Hej?*

Jej głos rodem z sekstelefonu odrywa mnie od przeblyskujących obrazów z plastikowym helikopterem, plastrem z superbohaterami na palcu wskazującym i odgłosami stukania. Obrazów, które nie do końca sobie przypominam, ale które z jakiegoś powodu wydają się niezwykle wyraźne. Potrząsam głową i próbuję odepchnąć zagubienie, po czym podnoszę wzrok na nią.

— Tak?

— Wszystko w porządku? — Wyciąga dłoń i kładzie na moim policzku.

Wtedy on zaczyna chichotać, wyrывая mnie z niepokojących myśli. Wskazuje palcem na mąkę, którą Ry właśnie przeniosła na mój policzek.

— Co? — wykrzykuję głosem potwora, sprawiając, że sześciolatek piszczy jak mała dziewczynka w oczekiwaniu na moje łaskoczące palce.

— Teraz też jesteś mącznym potworem! — wyrzuca z siebie między przyspieszonymi oddechami i próbuje mi się wyrwać.

Łaskoczę go jeszcze kilka sekund, po czym pozwalam mu uciec, gonię go i przytulam. Chichocze jeszcze przez chwilę, aż wreszcie oplata mi ramiona wokół szyi i mocno mnie ściska.

Te drobne ramiona wzruszają mnie najbardziej, bo jest w nich wszystko, co mam.

Zamykam oczy i oddycham nim przez chwilę: zapachem małego chłopca, mąki i delikatną nutą waniliowego zapachu Ry.

To chyba *zapisano w kartach*.

Niech mnie kule.

*On mnie uratował.*

Wtedy. I teraz.

Tak jak jego matka.

Czuję jej dłoń na plecach i jej usta przyciśnięte do mojego ramienia. Otwieram oczy, żeby na nią spojrzeć — *na mój cały pieprzony alfabet* — i się uśmiecham.

— Myślę, że nasz mączny potwór potrzebuje szybkiej kąpieli przed kolacją — stwierdza.  
— Nie — czochram jego włosy, wzniciając kolejną chmurę mąki. — To nie jest coś, czego nie zmyje skok na bombę do basenu, prawda, As?

— Juhu! — krzyczy w odpowiedzi, po czym przybija mi piątkę i pędem wybiega z kuchni. Patrzę, jak biegnie i wskakuje do basenu, a ochlapany Zander jęczy na niego.

— Owinął sobie ciebie wokół małego palca — stwierdza Ry, podchodząc do zlewu, żeby zmyć mąkę z dłoni.

— A ciebie nie? — odpowiadam pytaniem i potrząsam głową, a potem podchodzę do niej od tyłu, obejmuję ją w pasie i przyciągam do siebie. Niech mnie szlag, jeśli jej pośladki przyciśnięte do mojego członka nie wzbudzają we mnie palącego pragnienia, żeby przerzucić ją przez ramię i pobiec z nią na górę.

Kładę pocałunek u nasady jej szyi i chociaż jesteśmy już razem tak długo, jej ciało wciąż natychmiast na mnie reaguje. Na jej skórze pojawia się gęsia skórka, słyszę, jak gwałtownie nabiera powietrza, po czym z jej ust dobywa się to pieprzone westchnienie, które podnieca mnie równie mocno jak jej dłonie na moim członku. Nawet gdyby jej piękne ciało już mnie nie kręciło, to jej wrażliwość na mnie sprawia, że w sekundę robię się twardy jak skała.

Jej wrażliwość i jej bezwarunkowa miłość.

*Jak to się stało, że mam takie szczęście?*

Potrząsam głową, przypominając sobie przelotnie wszystko, co mnie spotkało. Chichoczę, bo to, co uderzyło mnie najmocniej i miało największe znaczenie, zaczęło się w tej pieprzonej komórce z tą przekorną kobietą w moich ramionach, która wezwała mnie na dywanik, chwyciła za jaja i zadecydowała, że będziemy razem bez żadnych wykrętów.

Ja pieprzę, wciąż mamy całe życie na to, żeby mną rządziła, bo moje jaja są wciąż tam, gdzie powinny być, czyli w jej dłoniach.

— Z czego się śmiejesz? — pyta.

— Przypomniał mi się wyraz twojej twarzy, gdy się dowiedziałas, że wygrałem aukcję — odpowiadam i mam to wyraźnie przed oczami, jakby to było wczoraj. — Byłaś taka wkurzona.

— Która kobieta nie byłaby wkurzona, skoro zachowywałaś się wtedy tak arogancko? — parska śmiechem, po czym wydaje z siebie ciche westchnienie.

Przez które mój członek zaczyna twardnieć.

— Arogancki? Ja? *Nigdy* — odpowiadam.

— Obojętne! Wiem, że ustawiłeś tę aukcję, As.

Wybucham śmiechem. Boże, kocham tę kobietę. Dziesięć lat później nadal ma równie niewyparzoną gębę.

— Kochanie, tę kwestię zatrzymam dla siebie na zawsze — mówię, kładąc pocałunek z tyłu jej głowy.

— To niemożliwe — szepcze i odchyła głowę, żeby pocałować mnie w szyję — bo będziesz zbyt zajęty trzymaniem mnie.

No proste.

Przytulam ją nieco mocniej, bo nie chcę, żeby już poszła, bo do cholery, który kierowca nie chciałby zatrzymać flagi z szachownicą na trochę dłużej?

Ja przynajmniej wiem, że moja macha tylko dla mnie.

Mój kryptonit.

Mój alfabet, od A do pierdolonego Z.

*Moja pieprzona Rylee.* Moja.

**Koniec**

## Podziękowania

Łał! Od kogo tu zacząć? Krytykowano mnie za długość podziękowań w *Fueled. Napędzani pożądaniem...* więc jeśli jesteś jedną z osób, które uważały, że przesadzam, lepiej omiń te strony.

Nieco ponad dziewięć miesięcy temu opublikowałam *Driven. Namiętność silniejsza niż ból*. Nie byłam pewna, czego się spodziewać. Wiem tylko, że zarówno mama, jak i mąż mówili mi, żebym nie liczyła na zbyt wiele. Mogłabym kłamać i wmawiać Wam, że miałam wizję, iż ludzie pokochają tę książkę a ja z dnia na dzień zrobię karierę pisarki. W rzeczywistości jednak byłam przerażona do szpiku kości. Nigdy wcześniej nie robiłam nic, co wystawiałoby mnie na widok publiczny, aby wszyscy mogli mnie analizować, krytykować lub wychwalać. Miałam nadzieję, że ludzie kupią książkę o aroganckim, pewnym siebie kierowcy wyścigowym i temperamentnej, lecz godnej zaufania dziewczynie. Przyznaję, że wykorzystałam schemat fabularny o dobrej dziewczynie i złym chłopcu, ale liczyłam na to, że czytelniczki wybiorą tę książkę dla fabuły i odkryją, iż potrafię pisać, tworzyć historie, wciągać w inny świat i wywoływać uczucia. I ludzie faktycznie kupili tę książkę. I faktycznie krytykowali schematyczną fabułę. Ale oprócz tego zakochali się także w Rylee, Coltonie i chłopcach.

Nieco ponad sześć miesięcy temu opublikowałam *Fueled. Napędzani pożądaniem*. Miałam inne oczekiwania i chciałam udowodnić, że potrafię stworzyć własną fabułę. Że potrafię wykrzesać coś dobrego z przeklętej „drugiej części” trylogii i sprawić, że będzie się wyróżniała na tle książek, z którymi była porównywana. Przepisałam na nowo większość tego, co już miałam. Dodałam rozdziały z punktu widzenia Coltona, superbohaterów, wyznanie „wyściguję cię”. A gdy klikałam „publikuj”, byłam nieco bardziej pewna siebie i miałam świadomość, że ta książka zadecyduje o powodzeniu moich prób stania się „prawdziwą” pisarką.

Nigdy bym nie przewidziała tego, co nastąpiło później. Nie spodziewałam się dzwoniących agentów, którzy wcześniej odrzucili moje listy, maili od cenionych przeze mnie autorów ani tego, że czytelniczki nie będą się mogły oderwać od stworzonego przeze mnie świata. Jedyne słowo, jakim można opisać te ostatnie pięć miesięcy, to surrealizm. Kompletny, niewiarygodny surrealizm.

Zaczęłam pisać trzeci tom z osiemdziesięciostronicowym zarysem fabuły i presją czytelniczek, które chciały jak najszybciej przeczytać trzecią część. Nie ma to jak motywacja, co? Jednocześnie jednak wiedziałam, że mam niewiarygodne szczęście. Wiedziałam, że pisarze całe życie pracują na ten moment, więc za żadne skarby nie zamierzałam zmarnować otrzymanej szansy. Zaczęłam pisać *Crashed. W zderzeniu z miłością* i próbowałam stworzyć coś, co mogłoby się równać z drugim tomem. Ale jak miałam wymyślić coś, co rezonowałoby w czytelniczkach równie głośno jak mantra z superbohaterami lub słowa „wyściguję cię”? Pierwsze dwa miesiące pisania były ciężkie. Uświadomiłam sobie jednak, że trzeci tom wcale nie musi dorównać pełnemu napięciu zakończeniu drugiego tomu, bo stanowi inną część opowieści o Rylee i Coltonie. Po tym olśnieniu wszystko zaczęło się układać i tak powstała książka, którą właśnie przeczytałaś.

Mam nadzieję, że podobało Ci się zakończenie opowieści o Rylee i Coltonie. Jestem dumna z ich wspólnej drogi, wspólnego leczenia ran i tego, co osiągnęli, lecz mimo to po zakończeniu mam mieszane uczucia, bo podobnie jak Wy, ja także pokochałam zarówno ich, jak i chłopców.

Inna sprawa: otrzymałam mnóstwo listów od czytelniczek i czytelników, których

poruszyła historia molestowania Coltona i mój sposób jej opisanie — zarówno ze strony człowieka, który to przeżył, jak i ze strony jego ukochanej. Przykro mi z powodu Waszych doświadczeń, lecz jednocześnie jestem oszołomiona, że Waszym zdaniem realistycznie opisałam całą sytuację i skutki psychologiczne. Żałuję, że macie wiedzę, żeby móc to ocenić. Dla tych, którzy to przeżyli... godzina po godzinie, dzień po dniu... Wasza siła mnie zdumiewa. Wiem, że wspomnienia nigdy nie znikną, ale mam nadzieję, iż pewnego dnia zrzucicie swój bagaż tak, jak zrobił to Colton.

Jest parę osób, które pomogły mi w stworzeniu tego ostatniego tomu, i chciałabym poświęcić chwilę, żeby o nich wspomnieć. Przede wszystkim jest to mój mąż i trójka moich dzieci, którzy ponieśli największą ofiarę, żebyście mogli jak najszybciej cieszyć się tą książką. Ich mama/zona, która zawsze była obecna i gotowa do różnych szaleństw oraz nigdy o niczym nie zapomniała, zaczęła być osobą wiecznie zatopioną w myślach, raczej nieobecną i często rezygnującą ze spontaniczności na rzecz dokończenia rozdziału, zanim przestanie być wyraźnie widoczny w głowie.

Ponadto na podziękowania zasługują Beta Biggs i Beta Yeti. Ta książka przeszła długą drogę od ich pierwszego wrażenia, że w rozdziale 15. wydaje się, jakby wciąż był to rozdział 6. (bo wszystko się tak wolno dzieje). Za to i za bardzo wiele innych kwestii zawsze będę im wdzięczna. Dziękuję za motywowanie mnie, za prowokowanie, żebym wywołała więcej uczuć, i za wszystkie te komentarze typu „wiem, że stać cię na więcej”. Wasz wkład był monumentalny, wiadomości od Was niezapomniane, a cały proces bezbolesny (cóż, czasami)... W jakimś stopniu zakończenie opowieści o Rylee i Coltonie jest też Waszym dziełem, bo dzięki Wam stało się niezapomniane i takie, z którego możemy być dumne.

Na podziękowania zasługują także Beta Who i Beta Haw, które przez cały czas były szczerze do bólu i udzielały mi bardzo cennych porad. Za to jestem Wam wdzięczna i nie będę zła, nawet jeśli postanowią pójść inną ścieżką. Przyjaciele są ważniejsi od książek, zawsze.

Dziękuję też moim pozostałym beta readerom i korektorom za ich pomoc.

Jest również zwariowana grupa pań na Facebooku licząca już ponad 7500 członkiń, które nazwały się „V.P. Pit Crew”. Dziewczyny, jestem Wam do zgonnie wdzięczna za wsparcie, motywację, zadzierzgnięte przyjaźnie i stworzenie całej społeczności wokół tych książek. Mając tak niewyczerpane źródło pomocy i zaangażowania, jestem najszczęśliwszą pisarką na świecie. Ta trylogia się skończyła, ale grupa istnieje nadal. A, jeszcze jedno: drogie Panie, zauważyłyście w tej książce odwołania do Was?

Podziękowania należą się także moim #WickedAwesomeAdmins (Cara Arthur, Amy McAvoy i Christina Hernandez) oraz asystentce Coltona (alias Larze) za wszystko, co dla mnie zrobiły, nie prosząc o nic w zamian. Dziewczyny, nasza przyjaźń jest bardziej wartościowa niż książka, przy której się poznałyśmy, i za to będę Wam do zgonnie wdzięczna. #Beckspert, #TheRealMrsDonavan, #WalkersChristinas, #LaraMetHimFirst — dziękuję Wam z całego serca. Bez Was nie dałabym rady.

Dziękuję też Maxanne Dobbs z The Polished Pen za polerowanie moich słów i sprawianie, że zaczynały błyszczeć. Dziękuję Ci także za odpowiadanie na moje niezliczone pytania i dzielenie się ze mną wiedzą, która pomogła mi przetrwać przewidziany przez Ciebie huragan. Jestem Ci wdzięczna po wsze czasy i za każdym razem, gdy będę pisała jakąś „jednostkę akcji”, to pomyślę o Tobie z czułością... i przypuszczalnie też Cię przeklnę, ale to wszystko wyłącznie z miłości.

Deborah z Tugboat Designs, dziękuję Ci za odważne zabranie głosu, sprzeciwienie się tłumowi i powiedzenie mi, że pierwotna okładka tego tomu była niedobra. To prawdziwe szczęście mieć takich ludzi po swojej stronie. Ludzi, którzy dbają o mnie dla innych powodów



niż osobista korzyść. Cieszę się, że zabrałaś głos, bo miałaś rację. Na okładce tego tomu powinna być para. Co więcej, wszystkie trzy tomy wyglądają razem idealnie.

Stacey z Hayson Publishing, dziękuję za cierpliwość, gdy wprowadzałam kolejne poprawki, i za to, że ta książka wygląda pięknie i profesjonalnie. I jak flaga z szachownicą.

Amy Tannenbaum, dziękuję za cierpliwość okazaną lubieżnej niezależnej pisarce, która w pierwszych rozmowach była nieco opryskliwa. Doceniam Twoją wiedzę i Twoje porady i nie mogę się doczekać kolejnej okazji do współpracy.

Blogerki... Brak mi słów, które wyraziłyby moją wdzięczność za poparcie dla mnie i dla moich książek. Niektóre z Was są ze mną od momentu, kiedy w kwietniu 2013 roku poprosiłam o przeczytanie *Driven. Namiętność silniejsza niż ból*. To dzięki Wam książki dotarły do czytelników. Albo dzięki Waszej darmowej reklamie, jeśli wolicie... Nigdy Wam tego nie zapomnę. Dziękuję za wszystko, co zrobiliście, żeby wspomóc promocję tych książek, i za podejmowanie moich najdziwniejszych inicjatyw.

Dziękuję Jodi Ellen Malpas za to, że pozwoliła mi zadać pytania o to, co będzie dalej, za szczere odpowiedzi i za wyjaśnienie, że pożegnanie z fikcyjnym mężczyzną może być nedorzecznie emocjonalne. Podziękowania należą się także takim osobom, jak Raine Miller, Laurelin Paige, BJ Harvey i wielu innym pisarzom, którzy odpowiadali na pytania takiego żółtodzioba jak ja. Dziękuję Trishy i Carli, które nauczyły mnie śmiać się z tego wszystkiego, co jest możliwe dopiero wtedy, gdy znasz kogoś ponad dekadę.

Dziękuję słodkiemu Parkerowi — hej, Twój superbohaterowie w końcu także przybyli!

Na koniec dziękuję Wam, moim czytelniczkom... Jesteście cudowne i codziennie zdumiewacie mnie swoimi komentarzami, mailami i notkami. Wiem, że jest Wam smutno, że ta trylogia się już skończyła, ale możecie mieć pewność, iż to nie jest Wasze ostatnie spotkanie z Rylee i Coltonem, bo niedługo pojawi się książka o Haddie i Becksie. Jak zawsze, dziękuję za przeczytanie tej książki i Wasze niewyczerpane wsparcie.

## O autorce

K. Bromberg to ta powściągliwa kobieta siedząca w rogu, o której żartowało się, że ma w sobie dzikie dziecko. Dziecko, które uwalnia za każdym razem, gdy dotyka palcami klawiatury komputera. Jest żoną, matką, poskramiaczką dzieci, podносиelką zabawek, szoferem, domowym Spider-Manem, oglądaczką LaLaloopsów, ubieraczką lalek i wykonywaczką wszystkich innych domowych zawodów i nie tylko. Lubi dietetyczną colę z rumem, głośną muzykę i mnóstwo czekolady w spizarni.

K. mieszka w południowej Kalifornii z mężem i trójką dzieci. Kiedy potrzebuje ucieczki od codziennego chaosu życia, prawdopodobnie spotkasz ją na bieżni lub z czytnikiem Kindle w dłoni, gdy zatapia się w jakiejś pikantnej lekturze.

*Crashed. W zderzeniu z miłością* to jej trzecia opublikowana książka, będąca wyczekiwany zakończeniem trylogii *Driven*. Pierwszy i drugi tom spotkały się z bardzo ciepłym przyjęciem, a pierwszy, *Driven. Namiętność silniejsza niż ból*, to jej pisarski debiut.

<http://www.kbromberg.com/>

<https://facebook.com/authorkbromberg>

<https://www.facebook.com/ColtonDonavanTheDrivenTrilogy>

<http://www.goodreads.com/Kbromberg>

<http://pinterest.com/kbrombergwrites/>

@KBrombergDriven

@ColtonDonavan

VP Pit Crew: <https://www.facebook.com/groups/394768807306804>

